

iluzja grzechu

ALEKSANDRA

MARINIA

W
ydawnictwo
ab

lesiojot

Tytuł oryginału: *Иллюзия греха*

Copyright © Aleksandra Marinina, 1996

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza
Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Stronka,
MMXVI

Wydanie I

Warszawa MMXVI

iluzja grzechu

ALEKSANDRA

MANNA

przełożyła Aleksandra Stronka

Wydawnictwo
ab
two

Rozdział 1

Widok pokoju z leżącym pośrodku ciałem starej kobiety z jakiegoś powodu budził skojarzenie z Dostojewskim. Zabójstwo staruchy lichwiarki. Choć była martwa, wstępne rozpoznanie wykazało, że lichwą się nie trudniła ani nie prowadziła w domu lombardu. W dodatku umeblowanie dużego mieszkania w stalinowskiej kamienicy świadczyło o zamożności i arystokratycznych korzeniach właścicieli.

Kiedyś mieszkanie należało do znanego uczonego, akademika Smagorina, ale to były dawne czasy. Zamordowana Jekatierina Wieniediktowna Aniskowiec była jego córką. Trzykrotnie zamężna, tyle samo razy zmieniała nazwisko, ale nie miejsce zamieszkania. Była chyba najstarszym lokatorem. Tylko ona miała osobne mieszkanie, resztę dawno przekształcono w lokale komunalne, w których trwała nieustanna rotacja najemców. Jedni się wyprowadzali, bo dostawali albo kupowali nowe mieszkanie, inni zaś wprowadzali się w wyniku zamiany z krewnymi albo współmałżonkami. Drzwi mieszkań były upstrzone przyciskami dzwonek i wizytówkami. Tylko na drzwiach mieszkania Jekatieriny Wieniediktowny znajdował się jeden dzwonek oraz ładna metalowa tabliczka z napisem: „Akademik W.W. Smagorin”.

Podczas gdy lekarz medycyny sądowej badał ciało, kryminalistyk uwijał się w poszukiwaniu śladów. Wyglądało na to, że zabójstwo popełniono na tle rabunkowym, bo w wystawnym mieszkaniu panował okropny nieład. Od razu było widać, że czegoś szukano.

- Czy ofiara ma jakichś krewnych? - Śledczy Olszański zwrócił się do sąsiadki poproszonej w charakterze świadka.

- Nie wiem - odparła z wahaniem młoda kobieta w dresie. - Mieszkam tu od niedawna, zaledwie pół roku. Ale słyszałam,

że właścicielka nie miała dzieci.

- Kto w kamienicy może coś powiedzieć o Anisko- wiec? Są tu jacyś starzy lokatorzy?

- Nie mam pojęcia. - Sąsiadka pokręciła głową. - Prawie z nikim nie utrzymuję kontaktów, wynajmuję tylko pokój. Aniskowiec kupiła mieszkanie, a pokój oddała do kwaterunku. Jesteśmy uchodźcami - dodała. - Z Tadżykistanu. Wszyscy trzymają się od nas z daleka, jakbyśmy byli zadżumieni i mogli innych zarazić. Więc nikt się nie kwapi do rozmowy z nami.

Tak, sąsiadka nie na wiele się przydała. Milicjantów czekał długi obchód mieszkań w celu zebrania wstępnych informacji o starszej pani, która zginęła od ciosu ciężkim narzędziem w tył głowy.

Zamordowana Jekatierina Wieniediktowna rzeczywiście nie utrzymywała prawie żadnych kontaktów z sąsiadami, ale miała spore grono przyjaciółek i znajomych. Rdzenna moskwianka, tutaj się wychowała, skończyła szkołę i studia, pracowała w Muzeum Historycznym. I wszędzie nawiązywała przyjaźnie. Dzisiaj przy życiu pozostało oczywiście niewiele jej znajomych. Jednakże tych, którzy mogliby opowiedzieć o zabitej, było i tak sporo.

Olszański polecił znaleźć przede wszystkim tych znajomych, którzy często bywali u Aniskowiec i mogli chociaż pobieżnie stwierdzić, co zostało ukradzione. Taka osoba się znalazła - były mąż Jekatieriny Wienie- diktowny, Piotr Wasiljewicz Aniskowiec. Rozwiódł się z żoną piętnaście lat temu, kiedy ona miała pięćdziesiąt dziewięć, a on sześćdziesiąt dwa lata. Mimo oficjalnego rozstania nadal odwiedzał Jekatierinę Wieniediktownę, przynosił jej kwiaty i obdarowywał małymi, wzruszającymi upominkami.

- Nie obrazi się pan, jeśli zapytam o powód waszego rozvodu? - ostrożnie zagadnął śledczy, zaintrygowany niecodzienną sytuacją: rozwód w poważnym wieku, wcale nie po to, żeby założyć nową rodzinę.

Piotr Wasiljewicz spojrzał na Olszańskiego ze smutkiem.

- Byłem głupcem, ot i cały powód. Straciłem głowę dla młodszej, myślałem, że to właśnie jest owa prawdziwa, potężna namiętność, dla której człowiek jest gotów umrzeć. Rozwiodłem się z Katieriną. A kiedy wszystko się skończyło, Katia długo się ze mnie śmiała. Dobrze ci tak, mówiła, zadufany głuptasie, będziesz miał nauczkę. Wspaniale mnie traktowała. Później nieraz jej się oświadczałem, ale ona wciąż dawała mi kosza, mówiąc, że ślub w jej wieku, w dodatku z byłym mężem, zakrawa na kpinę. Przyjmowała jednak moje zaloty, nie odtrącała mnie.

-To znaczy, że panu wybaczyła? - uściślił śledczy.

- Zgadza się. - Aniskowiec skinął głową. - Zresztą długo się nie gniewała. Wie pan, ona miała niewiarygodne poczucie humoru, na każde nieszczęście umiała spojrzeć z uśmiechem. Przez te wszystkie lata ani razu nie widziałem, żeby Katierina płakała. Da pan wiarę? Ani razu. Za to bez przerwy się śmiała.

Piotr Wasiljewicz pojechał razem z Olszańskim do mieszkania swojej byłej żony. Po drodze parę razy sięgał po validol i było widać, że panicznie boi się wejść do pokoju, w którym niedawno leżały zwłoki. Ostatecznie udało mu się jednak zapanować nad sobą i z ciężkim westchnieniem zabrał się do przeglądania majątku. Widząc, jak wprawnie zlustrował ściany obwieszane obrazami i z jaką pewnością otwierał szuflady komody i drzwi szaf, Olszański domyślił się, że Piotr Wasiljewicz dobrze się orientuje w wyposażeniu i wie, gdzie co powinno leżeć.

- Wydaje mi się, że wszystko jest na swoim miejscu. - Aniskowiec rozłożył ręce. - Zginął tylko jeden obraz, mały, miniatura, ale nie sądzę, żeby zabrali go złodzieje.

- A dlaczego? - Olszański się zaniepokoił.

- Bo to zupełna tandeta, niewarta złamanego grosza. Po co by mieli ją kraść, skoro obok wiszą bezcenne płótna.

- Może chodzi o wielkość - zasugerował śledczy - Mały obraz łatwiej wynieść.

- Ależ skąd, nie ma pan racji - zaproponował Piotr Wasiljewicz. - Niech się pan rozejrzy, tutaj jest pełno miniatur. Ojciec Katieriny,

Wieniedikt Walerjewicz, miał do nich słabość, zbierał je przez całe życie. Każda jest unikatowa, proszę mi wierzyć. Zginął jednak najmniej wartościowy obrazek, Katia kupiła go od jakiegoś ulicznego pacykarza chyba dla kaprysu.

- Co przedstawiał?

- Kwiaty i motyle stylizowane na Dalego. W Moskwie można teraz kupić mnóstwo takich pejzaży. Jednym słowem, kicz. Sądzę, że Katierina raczej go komuś podarowała. To niemożliwe, żeby takie byle co ukradziono.

- Dobrze, Piotrze Wasiljewiczu, wyjaśnimy sprawę obrazu. A co z kosztownościami?

- Niczego nie brakuje. Wie pan, to po prostu zdumiewające. Katierina miała wspaniałą rodzinną biżuterię: brylanty, szmaragdy, platyna. Sama robocizna jest warta fortunę! Ale nic nie zginęło.

To rzeczywiście dziwne. Dlaczego w takim razie powysuwano szuflady z komody, porozrzucano rzeczy na podłozie, pootwierano szafy? Wyraźnie czegoś szukano. Jeśli nie kosztowności, to czego? I dlaczego przestępca ich nie zabrał? Klejnotów jest dużo, nie sposób ich przeoczyć, więc z pewnością je widział, a może nawet dotykał drogich kamieni. Więc dlaczego niczego nie wziął?

Natychmiast należało znaleźć jeszcze kogoś, kto mógłby przejrzeć rzeczy Jekatieriny Wieniediktowny. Niewykluczone, że jej eksmąż zauważył stratę, ale z jakiegoś powodu ją przemilczał.

Opasły, ściągnięty gumką recepturką notes Jekatieriny Wieniediktowny Aniskowiec, z mnóstwem wystających karteczek i wizytówek, leżał na biurku przed Anastazją Kamieńską. Zadanie śledczego było zupełnie jasne: znaleźć wśród znajomych zamordowanej osobę, która mogłaby udzielić fachowej konsultacji w zakresie posiadanych przez nią wartościowych przedmiotów.

O ile zadanie sformułowano krótko i zwięźle, o tyle praca związana z jego wykonaniem była długa i żmudna.

Odszukanie wszystkich osób wymienionych w notesie wymagało dużo czasu i cierpliwości. Nastia skrupulatnie sprawdzała kolejne numery telefonów i w odpowiedzi na swoje pytanie słyszała: „Umarł...”, „Numer przekazano innemu abonentowi...”, „Wyprowadził się...”, „Umarł...”, „Umarł...”.

Trzeciego dnia dopisało jej w końcu szczęście. Historyk sztuki, znawca malarstwa i kolekcjoner antyków

Iwan Jelizarowicz Byszow cieszył się dobrym zdrowiem i miał świetne rozeznanie zarówno w obrazach Aniskowicz, jak i w jej biżuterii. Zanim Nastia się z nim skontaktowała, zdążył się już dowiedzieć o tragicznej śmierci swojej starej przyjaciółki, więc co chwila powtarzał:

- Mój Boże, mój Boże, byłem pewien, że ona nas wszystkich przeżyje! Miała żelazne zdrowie. Ach, Katierina, Katierina!

- Długo pan zna Jekatierinę Wieniediktownę? - zapytała go Nastia.

- Całe życie - szybko odparł Byszow. - Nasi ojcowie się przyjaźnili, więc praktycznie wychowywaliśmy się razem. Mój ojciec i Wieniedikt Walerjewicz byli zapalonymi kolekcjonerami. Nasze drogi się jednak rozeszły. Przejąłem kolekcję ojca i że tak powiem, kontynuowałem jego dzieło, a Katia nie miała serca do zbieractwa, jakoś jej to nie pociągało. Zresztą kobiety w ogóle nie wykazują skłonności... Dyskretnie spieniężała wartościowe rzeczy i z tego się utrzymywała. Państwo przyznało jej skromniutką emeryturę, pracowników muzeów się u nas wysoko nie ceni.

- A kto odziedziczy jej majątek?

- Państwo. Katierina zapisała wszystko kilku muzeom. Nie ma krewnych, którym chciałaby cokolwiek zostawić.

- Naprawdę nie ma żadnych krewnych? - z powątpiewaniem zapytała Nastia.

- No cóż, jakichś tam oczywiście ma - odparł Byszow drżącym głosem. - Ale nie takich, którym można by zostawić kolekcję. Raz, dwa ją przepiją i przehulają. Chociaż gromadzenie dzieł sztuki nie było pasją Kati, świetnie zdawała sobie sprawę z wartości tego, co posiadała. Mam na

myśli nie tyle wartość materialną, ile wartość rozumianą szerzej. W odniesieniu do historii i kultury. Katia była bardzo wykształcona.

Krewni pominięci przy podziale spadku. Robi się ciekawie. Chociaż nie. Gdyby maczali palce w zabójstwie, zabraliby cenne rzeczy. Inaczej zabójstwo traci sens. Może coś im przeszkodziło? Zdążyli zabić, ale nie zdołali ukraść kolekcji... Trzeba przyduścić sąsiadów. No bo co w takiej sytuacji może przeszkodzić przestępcy? Jedynie pojawienie się kogoś na klatce schodowej.

- Proszę powiedzieć, Iwanie Jelizarowiczu, jak został sporządzony testament? Chodzi mi o to, czy zawiera opis każdej rzeczy, która przechodzi na własność muzeum po śmierci Aniskowicz?

- Rozumiem, co pani ma na myśli. - Stary kolekcjoner skinął głową. - Tak, każda rzecz została opisana w obecności przedstawicieli muzeów i notariatu. Testament dokładnie określa, co się komu należy. Katia nie umieściła w nim tylko kilku obrazów, zamierzała je sprzedać i żyć z otrzymanych pieniędzy.

-I co? Sprzedała?

- Oczywiście.

- Nie wie pan komu?

- Jak to komu? Mnie. Sprzedała je mnie. Do tej pory są u mnie.

- A gdyby nie starczyło jej pieniędzy?

- Rozmawiałem z nią na ten temat - odparł Byszow. - Po pierwsze, obrazy, które od niej kupiłem, były bardzo drogie. Podejrzewa pani, że odkupiłem je od Kati za bezcen po starej znajomości? Ależ nie! Zapłaciłem pełną wartość, może to pani sprawdzić. Pieniądzy powinno jej było starczyć na wiele lat. A po drugie, gdyby pieniądze się skończyły, wprowadziłaby zmianę do testamentu, wykluczyła coś z masy spadkowej i wówczas sprzedała.

- Czy dobrze pana zrozumiałam? - Nastia dokonała podsumowania. - W chwili sporządzenia testamentu wszystkie obrazy obejrzeliby eksperci i potwierdzili ich

autentyczność?

- Tak jest.

- Kiedy to było?

- Z pięć albo sześć lat temu.

- Iwanie Jelizarowiczu, czy Jekatierina Wieniediktow- na bala się, że ktoś ją może obrabować?

-W żadnym wypadku! - zdecydowanie oświadczy! Byszow. - Ani przez chwilę.

- A dlaczego?

- Taki chyba miała charakter. - Po raz pierwszy podczas rozmowy mężczyzna się uśmiechnął. - Katia nigdy niczego się nie bała. Uważała, że przed losem nie ma ucieczki. A zresztą już pani mówiłem, że nie przywiązywała szczególnej wagi do kolekcji. Wiedziała, ile jest warta, ale nie była z nią emocjonalnie związana. Przecież sama jej nie gromadziła, nie inwestowała w nią czasu ani pieniędzy. Zamontowała oczywiście drzwi anty- włamaniowe, ale to ja ją do tego namówiłem. A brylantów nawet nie nosiła, mówiła, że jej w nich nie do twarzy.

Teraz przynajmniej wiadomo, co dalej robić. Postarać się o testament Aniskowicz, wezwać rzeczoznawców i porównać wartościowe przedmioty opisane w testamencie z tymi, które znajdowały się w mieszkaniu. Jednocześnie uzyskać potwierdzenie ich autentyczności. Ponieważ złodziej, jeżeli miał stały dostęp do mieszkania Jekatieriny Wieniediktowny, mógł się okazać przebiegły, zrobił kopie wybranych rzeczy i obrazów, a teraz podmienił oryginały na falsyfikaty. To by tłumaczyło, dlaczego Piotr Wasiljewicz nie zauważył żadnych strat.

Pierwszy na liście podejrzanych był kolekcjoner Byszow. Często bywał w mieszkaniu i dobrze znał przechowywane w nim bezcenne przedmioty. Drugim podejrzany automatycznie stawał się były mąż Aniskowicz, który również często ją odwiedzał i świetnie znał każdy obraz na ścianie i wszystkie brylanty w kasetce. Nastia przeczuwała, że wkrótce pojawi się trzeci, czwarty, a nawet dwudziesty piąty podejrzany. Wystarczy dokładniej poszperać i okaże się, że jest

ich całe mrowie. Takich spraw najbardziej nie lubiła. Jeśli wyjdzie na jaw, że część rzeczy Jekatieriny Wieniediktowny podmieniono, to pozostanie tylko jedna hipoteza dotycząca zabójstwa i trzeba będzie szukać winnych wśród ogromnej liczby podejrzanych. To mało interesujące.

Natomiast jeśli się okaże, że z mieszkania rzeczywiście nic nie zginęło, wtedy będzie musiała opracować zupełnie nową hipotezę, i to niejedną. Ta perspektywa wydawała jej się o wiele ciekawsza.

Nigdy się nie dziwiła, że potrafi się obyć niemal bez snu. Już w dzieciństwie się z tym pogodziła. Ira była posłusznym dzieckiem i bez szemrania szła do łóżka na pierwsze skinienie matki, nie kaprysiła, co wcale nie oznaczało, że od razu zasypiała. Leżała cichutko, później niepostrzeżenie zapadała w sen, a koło piątej rano otwierała oczy. Nie czuła się jednak rozbita ani niewyspana. Po prostu tak funkcjonował jej organizm.

Kiedy wydarzyło się nieszczęście, miała czternaście lat. Póki nie skończyła szesnastu, mieszkała w internacie, a potem zaczęła zupełnie samodzielne życie. Jego sens polegał na tym, żeby zarobić jak najwięcej pieniędzy. Były potrzebne na lekarstwa i jedzenie dla dwóch siostr i brata. I dla matki, której Ira nienawidziła.

Ratował ją bałagan prawny, dzięki któremu mogła pracować w kilku miejscach jednocześnie. Zrywała się o piątej rano i biegła pozamiatać albo odśnieżyć chodniki, zależnie od pory roku. Od ósmej myła klatkę schodową w sąsiednim piętnastopiętrowym wieżowcu. O wpół do jedenastej pędziła na bazar i roznosiła handlarzom wodę, gorące posiłki i papierosy. O piątej, gdy bazar zamykano, robiła zakupy, wracała do domu, gotowała, sprzątała, dwa razy w tygodniu jechała do szpitala odwiedzić rodzeństwo, raz w miesiącu do matki. Wieczorem, od dziesiątej do północy, myła podłogi i wykonywała inne brudne prace w małej restauracji znajdującej się nieopodal. Nie zadawała sobie pytania, ile to może trwać. Na jak długo wystarczy jej sił. Żyła w ten sposób, ponieważ nie

było innego wyjścia. Lekarze powiedzieli, że Nataszy i Oleńce już nie da się pomóc, ale małego Pawlika można jeszcze uratować, potrzebne są tylko ogromne pieniądze, bo trzeba zrobić kilka operacji, a te są drogie. O tym, czy można pomóc matce, Ira nawet nie myślała. Szybko zrozumiała, że myślenie szkodzi. Kilka lat temu usłyszała w telewizji, że znany młody aktor filmowy jest ciężko chory i potrzebuje pieniędzy na leczenie. Z ekranu telewizora apelowano do obywateli i sponsorów: pomóżcie, wpłacajcie, ile kto może, podajemy numer konta... Niestety aktor zmarł. Irze tylko raz przyszło na myśl, że skoro aktorowi i jego przyjaciółom zabrakło pieniędzy na leczenie, to co ona ma powiedzieć, na próżno stara się zebrać pieniądze dla Pawlika. Ale ten jeden jedyny raz wystarczył, żeby sobie powiedziała: nie ma sensu tego roztrząsać. Musi robić swoje i iść do przodu. Nie zastanawiać się, nie tracić wiary, inaczej nigdy się nie uda.

W wieku siedemnastu lat całkiem samodzielnie odkryła wielką szekspirowską myśl: „Tak to świadomość czyni nas tchórzami i naturalne rumieńce porywu namysł rozcieńcza w chorobliwą bladość...”¹

Teraz miała dwadzieścia lat. I zmierzała do celu jak robot o niespożytej mocy.

Ira zerwała się przed piątą i na palcach, żeby nie zbudzić lokatorów, poszła do kuchni wstawić wodę na herbatę. Kiedyś mieszkanie zajmowała jej duża rodzina: matka, ojciec, trójka młodszego rodzeństwa i ona. Teraz Ira została sama i pokonawszy wątpliwości oraz lęki, w ubiegłym roku zaczęła wynajmować dwa pokoje, zostawiając sobie trzeci, najmniejszy. Do tej pory lokatorzy nie sprawiali na szczęście większych kłopotów, chociaż ekscesy oczywiście się zdarzały. Ira Tierochina umiała jednak o siebie zadbać, dwa lata spędzone w internacie wiele ją nauczyły.

W kuchni panował bałagan. Szamil znowu miał gości i znowu nie posprząta! po sobie. Ira nie bała się oczywiście żadnej pracy i wynajmując pokój, uprzedziła Szamila: jeśli będzie pan sam

¹Fragment Hamleta W. Szekspira w przekładzie St. Barańczaka (przyp. tłum.).

sprząta! i mył naczynia, czynsz wynosi tyle i tyle, ale jeśli będę musiała po panu sprzątać, to będzie wyższy. Lokator zgodził się płacić więcej, ale do czego to podobne, żeby zostawiać taki chlew! Zupełny brak przyzwoitości! Co prawda bałagan w kuchni Ira widziała prawie codziennie i była gotowa uczciwie odpracować podwyższony czynsz za pokój. Czuje się tylko niezręcznie wobec drugiego lokatora, cichego, skromnego i miłego, który nie hałasuje, prawie nigdy nie przyprowadza gości, a nawet gdy przyprowadza, siedzą u niego w pokoju i spokojnie rozmawiają. Mężczyzna nie korzysta też z naczyń Iry, przywiózł swoje i sam je zmywa. Porządny z niego człowiek, nie trzeba po nim w ogóle sprzątać, chociaż płaci tyle co Szamil.

Dobrze, że Szamil jest u niej ostatni dzień. Wieczorem wyjedzie, mówi, że wraca do ojczyzny, że niby pozałatwiał wszystkie sprawy w Moskwie. A następny kandydat na lokatora znalazł się jak na zawołanie, już tydzień temu Szamil go przyprowadził. Chłopak nie spodobał się Irze, ale to nie miało znaczenia. Szamil też jej się nie podobał, tak samo Musa, który mieszkał tu przed Szami-lem. Nic złego się jednak nie stało, życia nie straciła, majątek pozostał nienaruszony, nikt nie spalił mieszkania. Wszyscy lokatorzy płacą bez szemrania i nie oszukują. Trzeba powiadomić tylko wujka Władika, na wszelki wypadek, dla wspólnego bezpieczeństwa.

Ira szybko się umyła, zjadła kromkę żytniego chleba z tanią margaryną, popiła ją herbatą, po czym wciągnęła stare dresowe spodnie, koszulkę z długimi rękawami i pobiegła sprzątać ulicę. Gdy otworzyła drzwi stróżówki, w której przechowywano miotły, łopaty i grabie, zobaczyła, że jej miotła znikła. Ta, którą tak starannie dobierała do swego wzrostu i która pasowała do jej małych dłoni.

- Co za dranie - syknęła Ira ze złością. - Parszywe dranie. Nawet miotłę zwinęli. Jak się dowiem, kto to zrobił, wydrapię mu oczy.

Była to oczywiście sprawka Tańki pasożytki. Ira nie miała cienia wątpliwości. Nic nie szkodzi, później się z nią porachuje. Jeszcze Tańka gorzko zapłacze. A razem z nią jej gach. Chcą dostać mieszkanie za darmo, zatrudnili się jako dozorczy, ale ni

cholery nie sprzątają. Zjawiają się raz na trzy dni, machną parę razy miotłą i jazda do domu. A ich rejon dalej jest brudny. Ira poprosiła, żeby go jej przydzielono za dodatkowym wynagrodzeniem, ona może zaczynać pracę nawet o czwartej rano i zdąży posprzątać oba rejony. To lepsze niż przymusowe wysyłanie innych, żeby dokończyli pracę Tańki. Ale gdyby spełniono prośbę Iry, musiano by zwolnić Tańkę pasożytkę i wyrzucić ją z mieszkania. Takie rozwiązanie odpowiadało wszystkim, z wyjątkiem oczywiście Tańki.

Jej gach nasłał swoich koleśków, bezczelnych mięśniaków z gumowymi pałkami, którzy szybko wyjaśnili szefostwu co i jak, dlaczego Tańki nie wolno wyrzucać z mieszkania. Szefowie dali Tańce spokój, przymykając na wszystko oczy, ale ich uprzejmość w ogóle Iry nie obchodzi, za każdym razem gdy spotyka tę zdziwę, wcale nie kryje, co o niej myśli. Tańka, trzydziestoletnia dziewczucha z pijacką gębą, obwieszona złotem, nie pozostaje jej dłużna. Krótko mówiąc, obrzucają się błotem. A teraz miotłę gwizdnęła, wywłoka jedna...

Ira posprzątała ulicę, umyła klatkę schodową w piętnastopiętrowym wieżowcu i pobiegła do domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Postanowiła również od razu zadzwonić.

- Wujek Władik? Tu Ira, dzień dobry - wyrzuciła z siebie jednym tchem, jakby tempo pracy, które narzuciła sobie od świtu, obejmowało również rozmowy.

- Cześć - odparł Władisław Nikołajewicz. - Co słyhać?

- W porządku. Trafił mi się nowy lokator.

- Rosjanin?

- Nie. Kolega Szamila.

- Rozumiem. Możesz wpaść dzisiaj? Umówię się z chłopcami, to go zweryfikują.

- Będę po piątej. Pasuje?

- Zgoda. Zadzwoń między piątą a wpół do szóstej.

- Zadzwonię. Dziękuję, wujku.

- Na razie nie ma za co. - Władisław Nikołajewicz uśmiechnął się do słuchawki.

Ira Tieriochina była kiedyś sąsiadką Stasowa. W czasach, gdy razem z żoną Margaritą i córeczką Lilą mieszkał w Sokolnikach. Po rozwodzie wrócił do swojej kawalerki w Czeriomuszkach. Do nieszczęścia w rodzinie Tieriochinów doszło, gdy mieszkali w tym samym domu, więc kiedy rok temu Ira nagle do niego zadzwoniła, Stasow nie potrzebował długich wyjaśnień. I tak wszystko rozumiał.

Za pierwszym razem Ira zadzwoniła, żeby się jedynie poradzić. Zamierza przyjąć lokatorów, na gwałt potrzebuje pieniędzy, ale trochę się boi. Stasow, milicjant, funkcjonariusz operacyjny z dwudziestoletnim stażem, był temu przeciwny, odradzał, straszył możliwymi nieprzyjemnościami. Młoda, dziewiętnastoletnia dziewczyna, nikogo bliskiego w pobliżu, więc nikt jej nie obroni, jeśli coś pójdzie nie tak. Irka się jednak uparła. Nie potrzebowała porady „wynająć pokój czy nie”. Chciała wiedzieć, jak ustrzec się przed wspomnianymi nieprzyjemnościami.

Zdaniem Stasowa uniknięcie nieprzyjemności było w zasadzie niemożliwe, udzielił jej jednak kilku praktycznych wskazówek, które mogły zmniejszyć ryzyko. Wtedy właśnie zaproponował Irze, żeby najpierw zasięgać informacji o przyszłych lokatorach. Irka chętnie na to przystała i jak się okazało, postąpiła bardzo słusznie, ponieważ pierwszy kandydat na najemcę okazał się przestępcą ściągającym listem gończym. Stasow zawiózł Irę na Pietrowkę, pokazał jej furę kartotek, zdjęć i listów gończych, a dwa dni później poszukiwany mężczyzna został zatrzymany. Zadbano oczywiście, żeby nikt nie skojarzył tego faktu z młodą sprzątaczką. Na następnego kandydata Stasow wyraził zgodę po weryfikacji, na wszelki wypadek jeszcze raz uprzedzając Irę, że to niebezpieczny pomysł, i otrzymując od niej solenne zapewnienie, że nie wpuści nikogo do mieszkania, nie powiadamiając o tym Stasowa.

Obecnie Władisław nie pracował już w milicji, zdobył licencję prywatnego detektywa i był szefem ochrony w koncernie filmowym Syriusz. Nadal miał jednak przyjaciół na Pietrowce i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.. Na jego prośbę chętnie

pomagali weryfikować lokatorów Iry Tieriochinej. Lepiej
zawczasu się asekurować, niż znaleźć później właścicielkę
mieszkania martwą.

Znajomych i przyjaciółek Jekatierinie Wieniediktownie nie
brakowało, ale najgorsze było to, że wszyscy mieli dzieci i
wnuki, które mogły słyszeć o cennych przedmiotach
przechowywanych w mieszkaniu samotnej starszej pani bez
szczególnych środków ostrożności. Jurij Korot-
kow razem ze śledczym Olszańskim zajął się przygotowaniem ekspertyzy
obrazów i wyrobów jubilerskich w celu wykrycia falsyfikatów,
Nasti Kamińskiej zaś, jako że była najmniej ruchliwa,
przypadły przesłuchania osób znających ofiarę.

Z przesłuchań wylaniał się wizerunek siedemdzie-
sięcioletniej kobiety, która żyła pełnią życia. Błędem
byłoby jednak stwierdzenie, że jej życie było usłane różami. W
czterdziestym pierwszym narzeczony dziewiętnastoletniej Kati
poszedł na wojnę, a w czterdziestym trzecim zginął. Jej
pierwszy mąż, lekarz ortopeda Szwajstejn, został aresztowany
jako podejrzany w sprawie lekarzy kremlowskich i umarł w
celi, nie wytrzymując brutalnego traktowania przez klawiszy.
Drugi mąż zginął w wypadku samochodowym. Z trzecim, jak
wiadomo, musiała się rozstać z powodu płomiennego uczucia,
którym małżonek obdarzył młodą ślicznotkę. Jeka-
tierina Wieniediktowna rzeczywiście nie miała dzieci, w tej kwestii
sąsiadka się nie myliła. Chodziło o jakieś problemy zdrowotne
natury kobiecej.

Inna kobieta, która tragicznie straciła narzeczonego oraz
dwóch mężów, ukarana nie wiadomo za jakie grzechy
bezdzielną, uważałaby swój los za nieszczęśliwy, a życie za
nieudane. Ale nie Jekatierina Wieniediktowna. Bardziej
pogodnej, wesołej i życzliwej osoby nawet nie można było sobie
wyobrazić. Przez całe życie obracała się w kręgu pisarzy i
poetów, malarzy i artystów, bywała na wszystkich premierach
teatralnych, wernisażach i wieczorach poetyckich, a ostatnio
nie opuszczała żadnej uroczystości, którą organizował Klub

Weteranów Sceny. Chociaż nigdy nie była pracownikiem teatru, wielu starych aktorów i reżyserów teatralnych uważało ją za swoją, bo to właśnie ona była niegdyś zapraszana na próby generalne i to ona zawsze siedziała na premierach w pierwszym rzędzie, uśmiechając się życzliwie i ściskając w dłoniach ogromne bukiety kwiatów, którymi hojnie obdarowywała artystów, gdy opadała kurtyna. W przerwach między małżeństwami Jekatierina Wieniediktowna nawiązała kilka głośnych romansów z mężczyznami, którzy byli w tamtym czasie obiektami powszechnego zainteresowania. Jej przygody miłosne kończyły się różnie, raz partner ją porzucił, raz ona odchodziła pierwsza, to znów kochankowie rozstawali się za obopólną zgodą pod naciskiem okoliczności. Jakkolwiek jednak było, nic nie mogło zetrzeć uśmiechu z twarzy Jekatieriny Wieniediktowny i stłumić jej dźwięcznego śmiechu. Nawet kiedy ktoś wyrwał jej na ulicy torebkę z pieniędzmi, które właśnie wypłaciła z książeczki oszczędnościowej na zakup nowego telewizora, Aniskowicz przybiegła do domu i rzuciła się do telefonu, żeby zadzwonić do przyjaciółki, ale śmiejąc się, długo nie mogła wykrztusić słowa.

- Wyobraź sobie - wydukała wreszcie, trzęsąc się ze śmiechu - że mnie obrabowano. To dopiero heca!

Przyjaciółka uznała, że Jekatierina płacze i dostała ataku hysterii. Tylko tak mogła zinterpretować dźwięki rozlegające się w słuchawce. Zabrała się więc do pocieszania biedaczki. Dopiero chwilę później zorientowała się, że Jekatierina się śmieje, a nie płacze.

- Coś ty taka wesola? - zapytała zdziwiona przyjaciółka.

-A twoim zdaniem powinnam teraz rozpaczać? - odparła Jekatierina Wieniediktowna. - Znasz przecież inołą zasadę: jeśli można coś zrobić, należy działać, a jeśli niczego nie da się zrobić, trzeba się z tym pogodzić. A w każdym razie nie płakać. Mówiłam ci zresztą nieraz, że chroni mnie Anioł Stróż. Jeśli pieniądze na telewizor przepadły, to znaczy, że nie powinnam go kupować. Widocznie sądzono mi było kupić telewizor, który by wybuchł i się zapalił. Więc lepiej, że nie mam tych pieniędzy, niżby moje mieszkanie miało się spalić, a ja razem z nim.[L.J]

Równie dobrze bawiła się, gdy jej trzeci mąż, Piotr Wasiljewicz Aniskowicz, oświadczył, że pragnie się rozwieść. Tak samo pękała ze śmiechu, gdy kilka miesięcy po rozwodzie mąż znowu stanął na progu jej mieszkania.

- No co, stary kocurze, wyszumiałaś się? - zapytała dobrodusznie, częstując go swoją popisową zupą grzybową i wybornym pilawem z rodzynekami i suszonymi morelami. - Warto było?

Grzechem byłoby powiedzieć, że Jekatierina przesadnie o siebie dbała i godzinami przesiadywała w salonach zdrowia i urody. Starła się jednak wyglądać zawsze tak, żeby przyjemnie było na nią spojrzeć. Idealnie ułożone siwe włosy, lekki makijaż: tusz na rzęsach, delikatnie podkreślone usta, naturalne, ciemnocieliste rumieńce na policzkach. Zadbane ręce i obowiązkowy manikiur. Z wiekiem udało jej się nie przybrać na wadze, więc chętnie nosiła kostiumy składające się z zakietu oraz spodni, do których pasowały bluzki w jej ulubionym kremowym kolorze. Często odwiedzała przyjaciółki i nigdy nie odrzucała zaproszeń na bankiety jubileuszowe, których ostatnio otrzymywała sporo: ktoś świętował siedemdziesiąte urodziny, kto inny siedemdziesiąte piąte, trafiały się też złote gody. Nie mówiąc już o uroczystych obchodach pięćdziesięciolecia pracy twórczej.

- Nastają teraz dla mnie złote czasy - często powtarzała. - Wszyscy moi przyjaciele wkraczają w błogosławiony wiek i co chwila coś świętują. Aż trudno nadażyć z kupowaniem kwiatów i prezentów!

Tak, Jekatierina Wieniediktowna miała wielu przyjaciół i znajomych, więc trudno było sobie nawet wyobrazić, że mogła mieć również wrogów. Bo jeśli zabito ją nie dla obrazów i brylantów, musiał istnieć jakiś osobisty powód. Jakiś zatarg, całkiem możliwe, że zadawniony.

Dzisiaj przed Nastią Kamińską siedziała jedna z najbliższych przyjaciółek zamordowanej i wyczerpująco odpowiadała na wszystkie pytania. Podczas takich rozmów Nastia odżywała: starszym ludziom często doskwiera brak uwagi i rozmów, więc zazwyczaj bardzo chętnie oddają się pogawędkom, nawet jeżeli

powód rozmowy jest tragiczny - śmierć bliskiej osoby. Niczego nie trzeba wyciągać z nich na siłę, przeciwnie, czasami trudno ich powstrzymać. Nastia nie próbowała jednak powstrzymać rozmówcy. W jego głowie powstają bowiem skojarzenia, dzięki którym przypomina sobie wiele rzeczy i zaczyna relacjonować wydarzenia pozornie niezwiązane z zabójstwem. Ni stąd, ni zowąd może wypłynąć taki szczegół, o który wywiadowca nawet nie miał zamiaru zapytać.

Najważniejsze, żeby sprowokować przesłuchiwanego do swobodnej opowieści - uczył kiedyś Nastię ojczym, który całe życie przepracował w wydziale kryminalnym - i spokojnie czekać, aż się otworzy i zdradzi coś istotnego dla sprawy. Słuchasz go, nie przerywasz, przytakujesz ze współczuciem i zainteresowaniem, tworząc w ten sposób iluzję swobody wypowiedzi, którą delikwent tak się zachłystuje, że przestaje się pilnować.

Marta Gienrichowna Szulc była tą przyjaciółką, do której Jekatierina Wieniediktowna zadzwoniła po kradzieży torebki, pękając ze śmiechu.

- Proszę powiedzieć, Marto Gienrichowno, jakie stosunki łączyły pani przyjaciółkę z Iwanem Jelizarowiczem Byszowem?

- Wspaniałe. Znali się od dziecka. Przez jakiś czas Wanieczka nawet się do mnie zalecał, co prawda to były dawne czasy, nie miałam wtedy jeszcze pięćdziesięciu lat. Musi pani wiedzieć, że on wcześniej owdowiał i szukał sobie nowej towarzyszki życia.

- Jego zaloty nie były pani na rękę?

- Dlaczego? - Szulc uśmiechnęła się kokieteryjnie. - Wanieczka był czarujący. Ja jednak nie byłam wolna. Nawet gdybym uległa wówczas uczuciu, i tak nie zdecydowałabym się na rozwód.

- Dlaczego? Miała pani małe dzieci?

- Niech pani nie żartuje, o jakich małych dzieciach może być mowa w wieku czterdziestu siedmiu lat! Nie, dzieci były już duże. Chodzi o to, że Wanieczka jest Rosjaninem. A my jesteśmy Niemcami. Rodzice od małego wpajali mi, że nie

powinniśmy się asymilować, zawierając małżeństwa z osobami innych narodowości. Mój zmarły mąż również był Niemcem.

- A co z Jekatieriną Wieniediktowną? Byszow nie próbował z nią flirtować?

- Ależ kochana, oni zaliczyli ten etap jako piętnasto-, szesnastolatki. To była szczenięca miłość. Później Katieńka miała narzeczonego, spotykała się z nim ze dwa lata, póki nie wybuchła wojna.

- A jak potem układały się relacje Jekatieriny Wieniediktowny i Byszowa?

- Bardzo poprawnie. Ich rodziny się przyjaźniły. Iwanowi podobała się kolekcja obrazów, którą zgromadził ojciec Kati, więc stale powtarzał, że kupi wszystkie płótna, gdy tylko Katieńka zdecyduje się je sprzedać.

- Marto Gienrichowno, o ile mi wiadomo, pani przyjaciółka zapisała w testamencie prawie wszystkie swoje obrazy muzeom, z wyjątkiem kilku, które sprzedała Byszowowi. Czy to prawda?

- Tak, ma pani rację. Katia tak właśnie postąpiła.

- A dlaczego nie sprzedała wszystkich obrazów Iwanowi Jelizarowiczowi, skoro tak mu na tym zależało? Przecież przyjaźnili się przez całe życie. Więc dlaczego nie poszła mu na rękę?

- Katia chciała doczekać końca swoich dni w otoczeniu obrazów. Były z nią przez całe życie i nie chciała zbyt wcześnie się z nimi rozstawać. Początkowo rzeczywiście zaproponowała Iwanowi, że mu je zapisze. On jednak wykazał się w tej sytuacji wyjątkową szlachetnością. Nie chcę, mówił, żebyś myślała, że nie mogę się doczekać twojej śmierci. Nie chcę być twoim spadkobiercą. A tym bardziej dostać obrazów za darmo. Wtedy się umówili, że Katia sprzeda mu kilka obrazów, żeby starczyło jej na utrzymanie, a resztę zapisze muzeom.

- Ale dlaczego testament został sporządzony wyłącznie na korzyść muzeów? Czyżby Jekatierina Wieniediktowna nie miała żadnych krewnych?

- Katia miała krewnych, ale oni nie potrzebowali obrazów. Zresztą pokrewieństwo było tak dalekie, że nie utrzymywali z nią żadnych kontaktów.

Wyglądało na to, że Marta Gienrichowna mówi prawdę. Jekatierina Wieniediktowna troskliwie przechowywała otrzymane przez lata listy, kartki z życzeniami i telegramy, ale wśród nich nie było ani słowa od krewnych. Zarówno Byszow, jak i Piotr Wasiljewicz Aniskowiec zgodnie twierdzili, że jacyś krewni z linii ojca gdzieś są, w Murmańsku czy w Magadanie, ale bardzo dalecy. Nigdy jednak nie odwiedzali Jekatieriny. A zatem nie było żadnych podstaw, żeby podejrzewać ich o wyrachowane zainteresowanie kolekcją akademika Smagorina.

- Jak pani sądzi, czy gdyby krewni nagle się zjawili, Jekatierina Wieniediktowna powiedziała by pani o tym? - zapytała Nastia Martę Gienrichownę.

- Jestem pewna, że tak - zdecydowanie odparła Szulc. - Jaki miałyby powód, żeby to przede mną ukrywać? Na pewno by powiedziała.

- A poza tym mogła mieć przed panią jakieś tajemnice?

- O, kochana - odparła Szulc z westchnieniem. - Musiałaby pani znać Katię. Zawsze była wesoła i otwarta, ale nigdy gadatliwa. Jeśli Katia chciała coś ukryć, nie było szans, żeby ktoś się o tym dowiedział, zapewniam panią. Umiała milczeć i trzymać język za zębami. Wszyscy ją za to szanowali. Można jej było powierzyć każdy sekret i mieć całkowitą pewność, że nikomu go nie zdradzi. Katia ani razu nikogo nie zawiodła. Albo jak to się teraz mówi, nie wystawiła. Kto wie, ile tajemnic alkowy zabrała ze sobą do grobu...

Marta Gienrichowna załkała i przyłożyła chusteczkę do oczu. Po raz pierwszy podczas długiej rozmowy pozwoliła sobie na okazanie słabości i w tym momencie Nastia po raz kolejny w ciągu ostatnich dni pomyślała, że wielu młodych ludzi nie docenia starszego pokolenia.

Jest o wiele mądrzejsze, niż przyjęło się sądzić w gronie osób przed czterdziestką, o wiele bardziej pomysłowe i odporniejsze. A jeśli chodzi o tajemnice alkowy zabrane do grobu, temat

wydaje się bardzo interesujący. Czyżby w nim należało upatrywać powodu tragicznej i okrutnej śmierci Aniskowicz?

Nastia zerknęła na zegarek: wpół do siódmej. Biedna Marta Gienrichowna siedzi tu już od ponad czterech godzin. Czy to wypada trzymać tak długo niemłodą i schorowaną kobietę?

- Dziękuję, Marto Gienrichowno, dzięki pani pomocy o wiele lepiej mogę sobie wyobrazić pani przyjaciółkę - ciepło odezwała się Nastia. - Może napije się pani herbaty albo kawy?

- Z przyjemnością - odparła Szulc z ożywieniem. - Będę również bardzo wdzięczna, jeżeli wskaże mi pani damską toaletę.

Nastia uśmiechnęła się przepaszająco. To rzeczywiście nieładnie z jej strony, że tak traktuje świadka. Mogła o tym pomyśleć wcześniej, nie czekać, aż Marta Gienrichowna straci cierpliwość. Kiedy Szulc wyszła do toalety, na biurku Nasti zabrzączał telefon wewnętrzny.

- Nie przeszkadzam, Nastazjo Pawłowno? - rozległ się głos Stasowa.

- Nie. A co, jesteś w pobliżu?

- Owszem, snuję się po korytarzach. Mogę do ciebie wpaść na chwilę?

- Wpadnij. Tylko bez wygłupów, przesłuchuję świadka.

- Za kogo mnie bierzesz - zachnął się Stasow. - Miłość nie może być głupia, najwyżej kłopotliwa. Dobra, pędzę.

Widocznie naprawdę biegł, a może dzwonił z sąsiedniego pokoju, w każdym razie zjawił się dosłownie kilka sekund później. Towarzyszyła mu szczupła, niewysoka dziewczyna o wymizerowanej twarzy pokrytej krostami. Dwumetrowy, zielonooki przystojniak Stasow wygląda! przy niej na jeszcze wyższego, bardziej barczystego i przystojniejszego.

- Nie mogłem przejść obok i nie przypomnieć ci o moim płomiennym uczuciu - ze śmiechem oznajmił Władisław na progu. - Poznajcie się, to Irocza, moja dawna sąsiadka, a obecnie podopieczna. Opowiadałem ci o niej.

- Tak, tak, przypominam sobie. - Nastia skinęła głową. - Bardzo mi miło.

Dziewczyna burknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi i nawet się nie uśmiechnęła.

- Zasięgaliśmy informacji o niejakim Iljasie - ciągnął Stasow jak gdyby nigdy nic. - Zamierza wynająć u Iry pokój.

- I co? Okazał się bandytą i zabójcą poszukiwanym listem gończym? - zażartowała Nastia.

- Na szczęście nic z tych rzeczy. Przyprowadził go obecny lokator, o którym wszystko już wiemy, więc weryfikacja Iljasa nie była trudna. To oczywiście mało ciekawy typ, drobny szmugler podróżujący do Turcji, Egiptu i Włoch, ale na razie czysty. Przed nikim się nie ukrywa, w nic niezamieszany, chyba że w jakieś drobiazgi.

W tej samej chwili wróciła Marta Gienrichowna i z ciekawością zerknęła na dziwną parę. Stasow, który siedział rozparty na krześle, zerwał się błyskawicznie na widok starszej pani, czym zaskarbił sobie jej przychylny uśmiech. Ira zaś w ogóle nie zareagowała na jej przybycie i nawet nie skinęła głową w odpowiedzi na uprzejme „dobry wieczór” wypowiedziane tonem osoby światowej.

- Komu herbaty, a komu kawy? - gościnnie zaproponowała Nastia, włączając grzałkę i wyjmując z biurka kubki, kawę, herbatę i cukier. - Marto Gienrichowno?

- Poproszę herbatę.

- Ja również - rzucił Stasow. - A ty, Irisza?

- Ja nic - burknęła dziewczyna.

Władisław wypił herbatę trzema dużymi łykami i szybko wstał.

- No dobrze, Nastazjo Pawłowno, my już polecimy. Dziękuję za herbatę. Cieszę się, że mogliśmy się zobaczyć. Odezwij się czasem.

- Ty również. - Nastia uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Marta Gienrichowna siedziała zamyślona, patrząc w ślad za Stasowem i jego towarzyszką.

- Co za dziwna dziewczyna - powiedziała, kiedy drzwi się za nimi zamknęły.

- Dlaczego dziwna?

- Zupełnie niewychowana. Spojrzenie ma jakieś dzikie. Zaszczute. To chyba tak zwana trudna nastolatka, prawda?

Nastia mogła po prostu skinąć głową i nie rozwijać tematu. Była jednak wdzięczna Marcie Gienrichownie za wyczerpującą i całkiem szczerą opowieść o zabitej Aniskowicz, więc miała ochotę zrobić rozmówcy przyjemność, zwłaszcza że chyba jeszcze będzie musiała z nią porozmawiać. A co może być przyjemniejszego w tej sytuacji niż opowiedzenie historii przypominającej szeptaną na ucho plotkę, którą Marta przekaze później znajomym, dodając, że dowiedziała się tego na Pietrow- ce w wielkiej tajemnicy. Największa radość starszych ludzi to możliwość pogawędki, a największy sukces: nowy temat do rozmów.

- Ależ skąd, Marto Gienrichowno, Ira już dawno nie jest nastolatką, skończyła dwadzieścia lat. Wygląda tak, bo ma ciężkie życie. A jeśli chodzi o to, że jest niewychowana i dzika, po części ma pani rację, ale chyba nie powinniśmy jej za to winić. Opowiem o niej, jeśli ma pani ochotę posłuchać. Spotkała ją straszliwa tragedia.

Czy Szulc miała ochotę? I to jaką!

- Pewnie pamięta pani, jak sześć lat temu wszystkie gazety rozpisywały się o potwornym wypadku. Matka wyrzuciła przez okno z ósmego piętra trójkę dzieci, a później sama wyskoczyła. Starsza córka zdążyła uciec i schować się u sąsiadów.

- Tak, tak - przytaknęła ożywiona Marta Gienrichowna. - Czytałam o tym.

- No więc Ira jest tą starszą córką.

- Co też pani mówi! - Szulc klasnęła w dłonie ze zdziwienia. - To straszne!

- Powiem pani coś, o czym pani chyba nie wie - ciągnęła Nastia znaczącym tonem. - Wszyscy przeżyli, dwie dziewczynki, chłopiec i matka. Ale oczywiście zostali kalekami. Nazajutrz po wypadku ojciec umarł na zawał. Nie potrafił sobie z tym poradzić. A Ira w wieku czternastu lat została całkiem sama. Wyobraża sobie pani? Całkiem sama. Musi dużo i ciężko pracować, żeby utrzymać i siebie, i czworo niepełnosprawnych. Co prawda nie mieszkają razem, dzieci są w szpitalu, a matka w domu opieki, ale przecież potrzebują

lekarstw, jedzenia, ubrań. Myślę więc, że możemy przymknąć oczy na to, że Ira zapomina powiedzieć „dziękuję” czy „proszę” i w ogóle zachowuje się nieuprzejmie.

- Biedna dziewczyna - rzekła Szulc z westchnieniem. - Co za okrutny los. Mój Boże, co za los.

Łudowa mądrość mówi, że cierpliwi zostają nagrodzeni. A kto umie czekać, dostaje wszystko. Nastia Kamieńska mogła się świetnie obejść bez tego ceremonialnego picia herbaty z siedemdziesięcioletnią, ponad miarę rozmowną kobietą. Miała mnóstwo pracy, powinna odbyć kilka pilnych rozmów telefonicznych. Uważała jednak, że musi okazać cierpliwość, aby Marta Szulc zachowała dobre zdanie o milicjantach z wydziału kryminalnego. I została za to sowiec wynagrodzona. Ponieważ Marta Gienrichowna, zastanowiwszy się chwilę, powiedziała nagle:

- Wydaje mi się, że Katia znała mamę tej dziewczyny.

- Dlaczego tak pani sądzi?

- Teraz sobie przypomniałam, że o tym okropnym zdarzeniu pisały prawie wszystkie gazety, mówiono też o nim w telewizji. Katia nie prenumerowała i nie czytała gazet, ale kiedyś mnie odwiedziła, przypadkiem zauważyła artykuł i powiedziała: „Biedaczka. Wiedziałam, że to się dobrze nie skończy”.

- Co jeszcze powiedziała? - zapytała Nastia, czując momentalnie suchość w ustach.

- Nic więcej. Pewnie to była jedna z tych tajemnic alkowy, których nie można było od Kati wyciągnąć.

Odprowadziwszy Martę Gienrichownę na dół, Nastia zaczęła się wspinać na swoje czwarte piętro. Niezbadane są twoje wyroki, losie wywiadowcy! A gdyby Stasow do niej nie zajrzał? A gdyby od razu wyszedł i nie spotkał się z Martą Szulc? A gdyby Ira Tieriochina okazała się dobrze wychowaną dziewczyną i Marcie nie przyszłoby do głowy wypowiadać się na jej temat? Sukces balansował na cienkiej linii, w każdej sekundzie grożąc upadkiem w przepaść, mimo to utrzymał równowagę i szczęśliwie dotarł na miejsce przeznaczenia.

Rozdział 2

Matka spoglądała na Irę jasnymi, pogodnymi oczami i nieporadnie się uśmiechała. W wyniku upadku z ósmego piętra złamała kręgosłup i straciła zdolność samodzielnego poruszania się. Znacznie gorsze było jednak to, że wskutek urazu czaszki straciła pamięć. To, co teraz wiedziała, powiedzieli jej lekarze, córka i mieszkańcy domu opieki. Nie było żadnej nadziei na odzyskanie pamięci. Właściwie nadzieja istniała, ale potrzebny był bardzo kosztowny specjalista, który przeprowadziłby z Galiną długi cykl zajęć terapeutycznych. Ira nie miała na to pieniędzy, każdą zarobioną kopiejkę, którą udało jej się zaoszczędzić, odkładała na leczenie Pawlika.

- Dlaczego nie dbasz o swoją twarz? - zapytała matka, natarczywie wpatrując się w Irę. - Te okropne krosty cię szpecą.

- Prosił cię ktoś o radę? - opryskliwie odparła Ira. - Lepiej byś się zainteresowała, jak czują się twoje dzieci.

- Jak one się czują? - posłusznie powtórzyła Galina. - Widziałas je?

- Owszem. Wczoraj. Czują się źle. Przez ciebie. Nieźle się postarałaś.

- Czemu tak mówisz, córeczko? - jęknęła żałośnie Galina. - Jesteś taka okrutna.

- Za to ty masz gołębie serce. Zapewniłaś mi szczęście do końca życia. Możesz mi wyjaśnić, po co to zrobiłaś? Dlaczego, mamu, dlaczego?

Z jasnych oczu Galiny Tieriochinej trysnęły łzy. Niczego nie pamiętała. Powiedziano jej, że wyrzuciła przez okno swoje dzieci: jedenastoletnią Nataszę, siedmioletnią Oleńkę i półrocznego Pawlika. Ale Galina tego nie pamiętała. Nie wiedziała również, dlaczego to zrobiła.

Powiedziano jej także, że miała męża, który nie zniósł ciosu i z

rozpaczy pękło mu serce. Męża też nie pamiętała, choć zdawała sobie sprawę, że skoro miała czwórkę dzieci, musiała mieć i męża.

- Ciągłe robisz mi wyrzuty - powiedziała, łkając. - A ja niczemu nie jestem winna.

- Wobec tego kto jest winien? Kto? No powiedz mi: kto? Kto zmusił cię, żebyś to zrobiła?

- Nie wiem, nie pamiętam - wyszeptała Tieriochina. - Nie męcz mnie.

- To ty mnie męczysz! - nagle krzyknęła Ira. - To ty zamieniłaś moje życie w nie wiadomo co! Nie mówię już o życiu twoich dzieci, które od sześciu lat leżą w szpitalu. Nie mogę ich zabrać do domu, bo nie jestem w stanie zapewnić im opieki. Więc muszę harować siedem dni w tygodniu od rana do wieczora, a w rezultacie kupuję ci jakieś kretyńskie lekarstwo zamiast dodatkowego kilograma truskawek dla Pawlika albo nowej koszulki dla Nataszy. Boże, kiedy to się wreszcie skończy!

Ira bezsilnie osunęła się na podłogę koło łóżka, na którym leżała matka, i wybuchnęła płaczem. Galina wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała Irę po głowie. Córka szarpnęła się, jakby poraził ją prąd.

- Nie waż się mnie dotykać! Nie potrzebuję litości! Szkoda, że nie miałaś jej dla dzieci sześć lat temu. Czterem osobom zniszczyłaś życie, a ojca zwyczajnie zabiłaś!

- Szkoda, że wtedy nie umarłam - z rezygnacją stwierdziła Galina.

Ira wstała, otarła dłonią łzy, chwyciła torbę i podeszła do matki.

- Masz rację - powiedziała, omijając ją wzrokiem. - Szkoda, że nie umarłaś.

Wróciwszy do domu o pierwszej w nocy, Ira Tieriochina przekradła się do kuchni, żeby coś zjeść. Po odwiedzinach u matki, przed wyjściem do pracy w restauracji, zdążyła posprzątać mieszkanie, więc teraz kuchnia lśniła czystością.

Szamil się wyprowadził, a nowy lokator, Iłjas, zjawi się dopiero za dwa dni. Georgij Siergiejewicz, drugi lokator, nie zostawiał po sobie bałaganu, tak więc Ira mogła mieć pewność, że przez najbliższe dwa dni w domu będzie panował porządek.

Georgij Siergiejewicz podobał jej się i życzyła sobie, żeby wszyscy lokatorzy byli tacy jak on. Cichy, inteligentny mężczyzna koło pięćdziesiątki, który wyprowadził się od żony po rozwodzie i czekał na rozwiązanie problemu mieszkaniowego, traktował Irę życzliwie, nawet starał się jej jakoś pomóc, widząc, jak bez przerwy biega z jednej pracy do drugiej.

- Iroczko, zamierzam oddać rzeczy do prania. Może pani też coś ma? - pytał.

- Iroczko, jutro wybieram się na duże zakupy. Potrzebuje pani czegoś?

Gdy Ira wracała z pracy, a Georgij Siergiejewicz był jeszcze na nogach, mówił ze współczuciem:

- Proszę usiąść, Iroczko, zrobię herbaty, a pani niech sobie odpoczywa.

Tyle że taka sytuacja zdarzała się niezbyt często. Georgij Siergiejewicz wcześniej wstawał i wychodził do pracy, toteż wieczorem nie przesiadywał do późna. Dzisiaj był jednak piątek, jutro miał wolne, więc kiedy Ira wróciła do domu, jeszcze nie spał. Usłyszawszy jej ostrożne kroki, zjawił się w kuchni.

- Co, Iroczko, zostaliśmy tylko we dwoje? Nowego najemcy ani śladu?

- Wprowadzi się za dwa dni - odparła Ira, krojąc chleb i wyjmując z lodówki tanią margarynę.

- I kto tym razem?

- E tam. - Ira machnęła dłonią. - Taki sam jak Szamil.

- Że też się pani nie boi. - Georgij Siergiejewicz pokręcił głową. - Tacy podejrzani osobnicy, i przyprowadzają tu Bóg wie kogo. Nawet ja się boję, no a pani...

Ira doskonale pamiętała polecenie Stasowa i jego kolegów z milicji, żeby nikomu nie mówić o weryfikacji, więc nie pocieszyła lęklivego lokatora.

- Niech pan da spokój, czego się bać, przecież nas nie zabiją.

Pewnie, że lepiej byłoby znaleźć drugiego takiego jak pan, ale skąd go wziąć. Niech pan lepiej powie, jaki film obejrzał pan dzisiaj w telewizji.

- Chce pani sera? - zaproponował lokator. - Kupiłem dzisiaj bardzo smaczny ser. Mam też dobrą kielbasę. Ukroję pani, bo żywi się pani samym chlebem z margaryną, a to przecież niezdrowo.

Oczywiście, że niezdrowo. Krosty nie schodzą jej z twarzy, bo przez cały czas je chleb z tą wstrętną margaryną naszpikowaną chemią i różnymi innymi paskudztwami. Za to wychodzi tanio. A ona musi oszczędzać. Za nic w świecie nie będzie jednak żerować na współczuciu lokatora. Woli umrzeć.

- Przegryzłam coś w restauracji, kelnerzy mi podsunęli. - Ira posłużyła się dyżurną wymówką. - Teraz zjem coś dla porządku i pójdę spać. A pan się jeszcze nie kładzie?

- Nie chce mi się spać. Rozmawiałem z byłą żoną, zdenierwowałem się i wciąż nie mogę się uspokoić.

- Pewnie się awanturowała? - domyśliła się Ira. - A to jęcza! Niechby tylko wpadła w moje ręce. Dręczy takiego porządnego człowieka. Że też nie spali się ze wstydu!

- Niech się pani nie unosi - łagodnie zmiętygował ją lokator. - To dobra kobieta. Ma tylko trudny charakter. Aha, Iroczko, zupełnie zapomniałem pani przekazać, że dzwonił jakiś mężczyzna, pani dawny sąsiad.

- A co mówił? - Ira się zaniepokoiła.

- Prosił, żeby pani do niego oddzwoniła.

- Uhm - burknęła, odgryzając kawałek kanapki. - Dobrze.

Wujek Władik. Osób w jego wieku właściwie nie powinno się nazywać wujkiem czy ciocią, raczej należałoby zwracać się do nich, używając imienia i otczestwa. Jednak Stasow zawsze był dla niej wujkiem Władikiem. Gdy przeprowadził się do ich domu, Ira nie miała jeszcze dziesięciu lat. Jego córeczka to wspaniała dziewczynka. Ale żona, ciocia Rita, jest prawdziwą zdzirą. Nie dość, że rozwiodła się z takim facetem, to jeszcze skumała się z jakimś wstrętnym typem. Dla Iry Tieriochonej wszystkie kobiety, które nie umiały docenić dobrych facetów, były zdzirami. Ciocia Rita to zdzira. Podobnie jak była żona

Gieorgija Siergiejewicza. Boże, gdyby Ira trafiła na takiego porządnego, nietrunkowego faceta jak obecny lokator, chuchałaby na niego i dmuchała, codziennie dziękując Bogu za swoje szczęście. Ale o takim jak wujek Władik nawet nie ma co marzyć. Przystojniak, ma przyzwoitą pracę, jest dobrym człowiekiem i jeszcze w dodatku nie pije. No chyba że tylko troszeczkę, z jakiejś okazji. I czego te baby chcą? Nie dotknęło ich prawdziwe nieszczęście, nie zaznały nędzy, więc się mizdrzą, udają księżniczki, zadzierają nosa. Weźmy takiego Gieorgija Siergiejewicza, co niby z nim nie tak? Za mało zarabia? Przynajmniej uczciwie, więc można spać spokojnie, nie bać się więzienia albo że ktoś cię zastrzeli. No a jeśli to ci nie wystarcza, idź i sama zarób. Wstawaj codziennie o piątej rano i zamiataj ulicę, a wieczorem szoruj podłogi i zmywaj naczynia w restauracji, tak jak Ira. Wszystkie kobiety pragną poślubić księcia, najlepiej z jachtem i zamkiem w Szkocji. Żeby nie ruszając palcem, od razu opływać w dostatki. Zdziry. To jest najwłaściwsze określenie.

Ira położyła się, z ulgą rozprostowała nogi i zamknęła oczy. Wiedziała, że sen nie przyjdzie od razu, więc może trochę pomarzyć w ciszy. O tym, że pewnego pięknego dnia znajdzie się ktoś, kto ulituje się nad Pawlikiem i da pieniądze na operację. Niczego więcej do szczęścia Ira nie potrzebowała, na utrzymanie swoje i siostr jakoś zarobi. Wystarczy też dla matki. Ira jej nienawidziła, ale w końcu to matka. Nie wyrzeknie się jej, nie pozostawi własnemu losowi. Gdyby przynajmniej umarła... Ale nic z tego. Jeszcze ich wszystkich przeżyje. Kiedy Pawlik będzie już zdrowy, Ira uzbiera trochę pieniędzy i postawi ojcu nagrobek. Dba oczywiście o jego grób, często tam jeździ, przynosi kwiaty. Dobrzy ludzie zrobili ogrodzenie, ale nagrobek jest drogi. Ira musi to wziąć na siebie. Jeśli wszystko pójdzie bez przeszkód, tak jak teraz idzie, pieniądze dla Pawlika zbierze w ciągu pięciu, najdalej sześciu lat. Później jeszcze rok i będzie ją stać na nagrobek. No a potem zajmie się remontem. Lokatorzy nie dbają o mieszkanie, bo to nie ich własność. Ira oczywiście się stara, podkleja tapety, zamalowuje

plamy na suficie, a ślusarz Wołodka z tutejszego DEZ-u² lituje się nad nią i bezpłatnie naprawia krany. Mimo to za pięć lat mieszkanie nie będzie zdatne do użytku. Na to Ira również potrzebuje pieniędzy, i to sporo. Ale to nic, poradzi sobie.

W marzeniach Iry Tieriochonej nie było wspaniałego księcia, który zakocha się w niej od pierwszego wejrzenia i zabierze do dalekiego kraju, gdzie o nic nie będzie musiała się martwić. Jej fantazje były proste i nieskomplikowane: jak zarobić uczciwie pieniądze i na co je wydać. Nigdy nie zastanawiała się, czy starczy jej sił i zdrowia na realizację planów, nie myślała, co się stanie, kiedy zrobi dla Pawlika wszystko, co możliwe, na grobie ojca postawi nagrobek i przeprowadzi remont mieszkania. Czy będzie miała własną rodzinę, męża, dzieci? Czy będzie komuś potrzebna, wyniszczona pracą ponad siły, przedwcześnie postarzała, niewykształcona i biedna?

Takie myśli w ogóle nie przychodziły Irze Tieriochonej do głowy.

Kilka dni zajęło ekspertom, historykom sztuki, jubilerom i pracownikom muzeów wydanie orzeczenia: wśród obrazów i biżuterii znajdujących się w mieszkaniu zabitej Aniskowicz nie ma żadnego falsyfikatu. Wszystkie rzeczy są oryginalne. To, co zostało opisane w testamencie, znajduje się na swoim miejscu. Nic nie zginęło i niczego nie podmieniono. Znalazła się nawet miniatura z idiotycznymi motylkami i kwiatkami. Niedługo przed śmiercią Jekatierina Wieniediktowna podarowała ją na urodziny wnuczce jednej ze swoich przyjaciółek.

Jeśli trzymać się hipotezy zabójstwa na tle rabunkowym, pozostawało tylko jedno rozwiązanie: przestępca ktoś przeszkodził i dlatego ten niczego nie zabrał. Jednakże wzmiankowana hipoteza nie wytrzymała najmniejszej krytyki. Przecież zabójca miał czas, żeby przeszukać szafy i szuflady komody, a właśnie tam znajdowały się pudełka z biżuterią. Więc dlaczego ich nie zabrał?

Kradzieże przedmiotów kolekcjonerskich rzadko są

2 DEZ (direkcja po eksploatacji zdani) - administracja (przyp. tłum.).

popelniane spontanicznie, na hura. Doświadczony przestępca najpierw zapewnia sobie kanał szybkiego zbytu, szuka handlarzy, którzy potrafią upłynnić obrazy i biżuterię. Zazwyczaj na obrazy ktoś składa wcześniej zamówienie i w takich wypadkach złodziej nie zabiera wszystkiego, lecz tylko to, co zostało zamówione i czego łatwo się pozbyć. Bo inaczej co niby ma z tym wszystkim zrobić? Powiesić na ścianie? Do pierwszej wizyty posterunkowego... Z wyrobami jubilerskimi o wartości muzealnej nie pobiegnie przecież do skupu, bo nie pracują tam głupcy i na pewno już odebrali telefon z milicji.

Jeśli jednak celem przestępstwa była kolekcja akademika Smagorina albo jego rodzinna biżuteria, na wszelki wypadek należało skontrolować kanały zbytu. Może zabójca gdzieś się przewinał, wydeptując sobie ścieżki do nabywców?

Ten trop przydzielono majorowi Korotkowowi. Sympatyczny czarnooki dochodzeniowiec Misza Docenko zajął się z kolei lokatorami kamienicy, w której mieszkała Aniskowiec, próbując ustalić, czy nie widzieli, kto w ostatnim czasie, a jeszcze lepiej w dniu zabójstwa, odwiedzał ofiarę.

Natomiast Nasti Kamieńskiej nadal nie dawało spokoju pytanie: co mogło łączyć arystokratkę z dziada pradziada, Jekatierinę Wieniediktownę Smagorinę-Aniskowlec, z gospodynią domową Galiną Tieriochiną, która pewnego dnia w ataku szału okaleczyła siebie i swoje dzieci? W zasadzie mogło je łączyć cokolwiek, a jednak l<> zupełnie niepojęte, dlaczego nikt z otoczenia Aniskowiec nie wiedział o ich znajomości. Dlaczego trzeba ją było ukrywać? Bo stała za nią, jak się wyraziła Marta Szulc, tajemnica czyjejs alkowy?

Tak, widocznie Jekatierina Wieniediktowna naprawdę umiała strzec tajemnic. Przynajmniej tej tajemnicy strzegła tak pilnie, że nie było sposobu, by ją wykraść albo przynajmniej rzucić na nią okiem...

Wszystko w laboratorium było sterylne, białe i lśniące.

Lubił tutaj pracować i gdyby to od niego zależało, spędzałby w tym pomieszczeniu większość czasu. W laboratorium

skupiało się całe jego życie, a raczej dzieło życia. Właśnie tutaj, wśród tej sterylnej bieli, rodziły się pomysły, przychodziły rozczarowania, odbywały się eksperymenty. Tutaj nadzieja na sukces dodawała mu skrzydeł, a niepowodzenia strącały w otchłań smutku i depresji. Przez tyle lat pozostawał w służbie nauki, że nie wyobrażał sobie dalszego istnienia poza ścianami laboratorium.

Za kilka minut powinna zjawić się Wiera. Na razie wszystko przebiega normalnie, bez widocznych dla niewtajemniczonego oka nieprawidłowości. On jednak widzi, wie, co się z nią teraz dzieje i co się będzie działo w przyszłości. W ciągu ostatnich lat posunął się w swoich badaniach tak daleko, że może teraz niemal bezbłędnie prognozować następstwa. Minęły czasy, kiedy z niecierpliwością i w napięciu czekał na wynik, nie mając zielonego pojęcia, jaki będzie, i licząc jedynie na to, że w ogóle nastąpi. Obojętnie jaki. To oczywiście szkoda, że jego przełomowy eksperyment został nagle przerwany z przyczyn od niego niezależnych. Krwiodawca był bowiem wielce obiecujący...

Wiera przysłała jak zwykle spóźniona, prawie pół godziny po umówionym czasie. Nie potrafił jej tego oduczyć. Była święcie przekonana, że prawdziwa kobieta musi koniecznie się spóźniać, zwłaszcza jeśli wybiera się na randkę z ukochanym mężczyzną. Co prawda do pracy też nie raczyła przychodzić punktualnie.

- Cześć! - Uśmiechnęła się radośnie, wpadając do gabinetu przy laboratorium. - Skąd ta smutna mina?

- Z tęsknoty za tobą - odparł z bladym uśmiechem. - Zjawiłaś się i od razu poprawił mi się humor.

- I tego się trzymaj - kokieteryjnie wymruczała Wiera. - Nie znoszę, gdy chodzisz ponury jak chmura gradowa.

- Jak się czujesz?

Właściwie mógł nawet nie pytać. Jeżeli kobieta w szóstym miesiącu ciąży promienieje, wygląda świeżo i nosi oszałamiające stroje, jej samopoczucie nie może być złe.

- Wspaniale! Co prawda wczoraj wieczorem zrobiło mi się niedobrze i okropnie się przestraszyłam. Gdybym miała twój

telefon domowy, na pewno bym do ciebie zadzwoniła, zaręczam ci! Strasznie się bałam! Ale to szybko minęło.

- A co cię właściwie przeraziło? - zapytał troskliwie. - Mdłości, zawroty głowy? Może ból?

- Nie, nic mnie nie bolało. Po prostu... Sama nie wiem. Było mi niedobrze. Bałam się. Może jednak dasz mi swój domowy numer, co? Różnie się może zdarzyć, a ty jesteś lekarzem, do kogo mam się zwrócić w pierwszej kolejności, jak nie do ciebie.

- Wieroczko, kochanie - powiedział cierpliwie - już ci przecież tłumaczyłem...

- No tak, oczywiście, zazdrosna żona i temu podobne rzeczy. Pamiętam. Nawiasem mówiąc, mam męża, który również nie jest aniołem ani głupcem, ale kiedy chodzi o dziecko, zwłaszcza o nasze, chyba możemy z czegoś zrezygnować. Nie sądzisz?

- Nie, moja droga, nie sądzę - odparł nieco oschlej. - Doskonale wiesz, że mam małe dzieci. Nie mogę aż tak ryzykować.

- Ze mną też będziesz miał dziecko. W czym twoje dzieci są lepsze od naszego maleństwa?

- Nie są lepsze - odrzekł łagodniej. - Ale jeśli moja żona dowie się o nas, natychmiast zażąda rozwodu i dzieci będą rosły bez ojca. A twoje dziecko urodzi się w legalnym związku, będzie miało ojca, który się nigdy nie dowie, że wychowuje cudzego malucha. Naszemu dziecku nie stanie się krzywda, jeżeli wszystko pozostanie bez zmian. Moje dzieci również nie zostaną skrzywdzone. Natomiast jeżeli oboje weźmiemy rozwód i się pobierzemy, nasze dziecko będzie rosło w pełnej rodzinie, a moje dzieci nie. Więc teraz cię pytam: w czym moje dzieci są gorsze od naszego maleństwa? Dlaczego muszę je poświęcić?

- Wybacz. - Wiera usiadła mu na kolanach i czule potarła nosem o jego szyję. - Nie gniewaj się. To przez ten strach. Gniewasz się?

Mężczyzna pocałował ją w policzek, a później w czoło.

- Nie gniewam się. Zobaczmy, jak tam nasz maluch.

W laboratorium Wiera jak zwykle się rozebrała i weszła do kabiny. Robiła to tyle razy, że bez poleceń i podpowiedzi wiedziała, co powinna zrobić, jak się położyć i jak oddychać.

- Jadłaś coś dzisiaj? - zapytał na wszelki wypadek, opuszczając przed sobą ekran ochronny.

- Nie. Jak zwykle.

- Brawo.

Właściwie niepotrzebnie ją o to pytał. Lekkomyślna i roztrzepana Wiera wkrótce zostanie, jak mówią niektórzy, zwariowaną mamuszką. W każdym razie o zdrowie przyszłego dziecka zaczęła się troszczyć jeszcze na miesiąc przed poczęciem. O tym, żeby nie stosować się do zaleceń lekarza, nie mogło być nawet mowy.

Upewniwszy się, że Wiera go nie widzi, prędko wciągnął kombinezon ochronny, włożył maskę na twarz, a na dłonie rękawiczki. Gotowe, można zaczynać.

Zabieg zajął zaledwie kilka minut. Wyłączywszy aparaturę, natychmiast zdjął odzież ochronną, wsunął ją do specjalnej szafy i dopiero potem zwinął ekran i nacisnął przycisk otwierający drzwi kabiny, żeby Wiera mogła wyjść.

- No i jak? - zapytała wesoło, niespiesznie wkładając niesłychanie drogą bieliznę. - W porządku?

- W porządku - potwierdził, z przyjemnością obserwując ubierającą się kobietę. Mimo wszystko Wiera była bardzo ładna. Nawet zaokrąglony brzuch i brak talii jej nie szpecily. Miała klasę. - Ubierz się i przyjdź do gabinetu.

Za każdym razem po zabiegu instynktownie pragnął jak najprędzej opuścić laboratorium, chociaż doskonale wiedział, że gdy aparatura jest wyłączona, nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Zostawił Wierę w laboratorium i wrócił do gabinetu. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Przed urodzeniem dziecka Wiera powinna poddać się zabiegowi jeszcze cztery razy. Dopiero wtedy będzie wiadomo, co z tego wyszło. *

Wiera wpadła do gabinetu i szybkim ruchem zamknęła drzwi na zasuwkę.

- Byłam grzeczna, więc zasłużyłam na nagrodę - oświadczyła

z figlarnym uśmiechem.

Ale chyba nie tutaj, Wieroczko - zachnął się.

A czemu nie? Drzwi są zamknięte, nikt nie wejdzie.

- Nie mów głupstw.

- To nie są głupstwa!

Zauważył, że Wierę ogarnia irytacja. Ale myśl, żeby dotykać kobiety zaraz po zabiegu, była nie do zniesienia.

- Wieroczko, kochanie, po co ten pośpiech, doprawdy? Spotkajmy się dzisiaj wieczorem. Przecież wiesz, że ule lubię zabawiać się w gabinecie.

- Ale ja chcę teraz. - Wiera nie ustępowała. - Dawniej nie byłeś taki zasadniczy. Nie miałeś nic przeciwko zabawom w gabinecie.

Dawniej. Oczywiście, dawniej mógł się tu z nią zabawiać na miękkiej kanapie. Bo tego wymagała sprawa. Teraz jednak sprawa wymaga, żeby Wiera regularnie poddawała się zabiegom. Dwadzieścia seansów podczas ciąży, a później raz w miesiącu w okresie karmienia. Pewnie, że powinien uprawiać z Wierą seks, nikt temu nie przeczy, w końcu to jego kochanka, a nie przypadkowa pacjentka. Bardzo proszę, wieczorem nie będzie oponował, tym bardziej że jest gdzie, byle nie tutaj i nie teraz.

- A ja wolę, jak trochę pocierpisz - powiedział wesoło. - Co to za przyjemność, ledwie mnie zapragnęłaś, a ja już jestem gotów na twoje usługi. Nie ma w tym nic podniecającego. Gdy pocierpisz, przyjemność będzie podwójna. Nie wiem, jak to wygląda z twojej strony, ale ja to odbieram właśnie w ten sposób. Stajesz się jedyna w swoim rodzaju. Biegnij więc do domu, zjedz coś i połóż się, odpocznij, a ja będę na ciebie czekał o siódmej. Zgoda?

Wiera była kapryśna, ale posłuszna. Od dziecka przyzwyczyła się zaspokajać wszystkie swoje zachcianki, jednak łatwo ustępowała, jeżeli proszono ją, żeby poczekała, i obiecywano dać w zamian więcej, niż prosiła, a raczej żądała.

- Zgoda - odparła z westchnieniem. - Tylko się nie spóźnij, bo przecież nie mam kluczy. Nie będę sterczała pod drzwiami jak głupia.

- Nie martw się. - Mężczyzna uśmiechnął się czule. - Wracaj do domu.

Nastia wciąż nie potrafiła rozwikłać tajemnicy znajomości Aniskowiec i Galiny Tieriochinej. Miała wrażenie, że bez względu na to, za którą nitkę pociągnie, pozostaje z niczym. Hipotezy upadały jedna za drugą. Cennych rzeczy ani nie ukradziono, ani nie zastąpiono falsyfikatami. W złodziejskim i przemytniczym świecie nikt nie słyszał o obrazach z kolekcji akademika Sma- gorina. Nikt się też wcześniej nie zwracał do handlarzy zajmujących się skupem wyrobów jubilerskich. Sasi- dzi Aniskowiec nie widzieli żadnych podejrzanych osób kręcących się koło mieszkania zmarłej. Sprawdzenie tego wszystkiego pochłonęło mnóstwo czasu, ale nic nie dało. Sprawa utknęła w martwym punkcie.

I nawet taki drobiazg jak dawna znajomość ze zwyczajną gospodynią domową nadal pozostawał niewyjaśniony.

Nastia była jednak uparta, a ponadto miała w zwyczaju sprawdzać wszystko aż do końca. Jeżeli nie udaje się znaleźć rozwiązania w życiu Jekatieriny Wieniedik- towny, można spróbować pójść inną drogą i wziąć pod lupę rodzinę Tieriochinów. Źródeł informacji nie ma co prawda zbyt wiele, właściwie jest tylko Ira.

- Zapytać, oczywiście, można - powiedział Nasti Stasow. - Wątpię jednak, czy to coś da. Galina Tieriochina straciła pamięć. Sześć lat temu obie jej córki były zbyt małe, żeby zapamiętać znajomych matki, a o młodszym chłopcu nawet nie ma co mówić. Jedynie Irka może coś wiedzieć.

- Stasow, bez ciebie sobie nie poradzę - jęknęła żałośnie Nastia. - Twoja dziewczyna to taki mruk, że pewnie nie zechce ze mną rozmawiać. Cała nadzieja w tobie.

Jednakże Władisław nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Ira starała się przypomnieć sobie wszystkich znajomych matki i ojca, ale żadnej Jekatieriny Wieniediktowny Aniskowiec nie pamiętała. Stasow zapisał dla Nasti nazwiska innych osób z otoczenia Tieriochinów, które Ira zdołała sobie przypomnieć.

- Spróbuj z nimi popracować - poradził Nastia. - Może znaję starszą panią.

Rada była dobra. Żeby tak jeszcze się do niej zastosować...

Spotkania z osobami będącymi niegdyś w bliskich stosunkach z rodziną Tieriochinów pozostawiły przykre i smutne wrażenie. Nastia nie rozumiała, jak to się stało, że czternastoletnia dziewczyna została zupełnie sama i nie znalazł się ani jeden dorosły, który zechciałby jej pomóc.

Pierwszymi osobami, które wymieniła Ira, było małżeństwo Bożenków mieszkające kiedyś w tym samym domu co Tieriochinowie, zanim ci przeprowadzili się do Sokolników. Pani Bożenok okazała się kobietą pyską, która z byle powodu podnosiła głos, nie po to, żeby wyładować złość, ale broniąc się przed tym, czego nie rozumiała. Ponieważ natura nie obdarzyła jej byстрыm rozumem, Bożenok używała go niezmiernie rzadko i pojmowała tak niewiele, że krzyczała prawie przez cały czas od rana do wieczora. Natomiast strach przed sytuacją, w której ktoś mógłby ją oszukać, prowadził do tego, że coraz częściej rozpoczynała zdania wyrażeniem „no nie”. Pan Bożenok, przeciwnie, był małowówny, cichy i egzystował bezproblemowo, wygodnie się wycofując i skrywając za wrzaskliwym, histerycznym pokrzykiwaniem żony, które odstraszało wszystkich wrogów.

- Przyjaźniliśmy się z Galą, gdy jeszcze nie była zamężna. Później stopniowo zaczęliśmy się od siebie oddalać. Moim zdaniem odbiła jej szajba.

- W czym to się przejawiało? - zapytała zaintrygowana Nastia.

- No po prostu całkiem zbzikowała. - Bożenok machnęła ręką. - Zaczęła wierzyć w Boga, przez cały czas mamrotała coś o Mesjaszu.

- Czy religijność jest oznaką szaleństwa? - Nastia się zdziwiła.

- No nie, a według pani tak nie jest? - Bożenok natychmiast się uniosła. - Mąż miał na nią taki wpływ. On też chodził do cerkwi. Kompletnie zawrócił jej w głowie.

- Nigdy nie słyszała pani od Galiny o Jekatierinie Wie-

niediktownie Aniskowiec?

- Nie, nigdy. A kto to taki?

- O ile wiem, ta kobieta znała Galinę, a kiedy doszło do nieszczęścia, powiedziała: „Wiedziałam, że to się nie skończy dobrze”. Jak pani myśli, co mogły oznaczać jej słowa?

- No nie, a pani się nie domyśla? Chodziło oczywiście o jej pobożność. Jestem pewna, że zbzikowała na tym tle i dlatego okaleczyła dzieci.

- Widziała pani Galinę po wypadku?

- Nie, a po co? - Bożenok odparła pytaniem na pytanie.

- Przecież się przyjaźniłyście, przez wiele lat mieszkaliście w tym samym domu. Czyżby nawet się pani nie zainteresowała, co się stało ze starszą córką Galiny, z Irą?

- No nie, to naprawdę ciekawe, co pani mówi. - Bożenok znowu podniosła głos. - A co, może mieliśmy ją przysposobić? Swoich mamy dwoje.

- Nie o to chodzi. Ira trafiła do internatu, ale przecież po wypadku i śmierci ojca została całkiem sama. Nie przyszło pani do głowy, że rodzina pani przyjaciół potrzebuje pomocy?

- No nie, słuchając panią, można by pomyśleć, że to my jesteśmy wszystkiemu winni. Czy to my wyrzuciliśmy dzieci przez okno?

Słowa Nasti odbijały się jak groch o ścianę, Bożenok była niewzruszona. Określenie „cudze nieszczęście” w zasadzie dla niej nie istniało.

- Czy oprócz was rodzina Tieriochinów miała przyjaciół albo dobrych znajomych?

- Lidka Jewtiejewa, nasza dawna sąsiadka. Nikogo więcej nie znam.

Lidia Jewtiejewa figurowała na liście, którą sporządził Stasow na podstawie słów Iry Tieriochinej. Jednakże rozmowa z nią również prawie nic nie dała, w każdym razie o Jekatierinie Wieniediktownie kobieta nie słyszała. Co prawda z opowieści Jewtiejewej wynikało, że jakieś dwa lata po ślubie Galina Tieriochina zaczęła szybko się oddalać od swoich przyjaciółek.

- Nie kłóciła się z nami, nie, ale wie pani... Należała do tych, co to nigdy sama nie zadzwoni, nigdy nie zaprosi, żeby ją

odwiedzić. Gdy się u niej zjawiałam, nie wyrzucała mnie oczywiście za drzwi, zapraszała do stołu, częstowała kawą, rozmawiała, ale przez cały czas widziałam, że w ogóle jej na tym nie zależy. Że to ją męczy. Że nie jestem jej do niczego potrzebna. Nina Bożenok obrażała się na nią za to. Moim zdaniem mąż też nie był jej potrzebny.

- A dzieci? - zapytała Nastia.

- Dzieci to co innego. Były całym jej światem. Tylko o nich potrafiła rozmawiać, tylko nimi się interesowała. Można to znieść dwa, trzy razy, ale kiedy na okrągło dostaje się do zrozumienia, że pewne rzeczy w tym życiu są dostępne tylko Galinie, a ty jesteś zbyt tępa i ograniczona, żeby cokolwiek pojąć, no to wie pani... Odehciewa się wszelkich kontaktów.

- Lidio Wasiljewno, może pani rozwinąć ten wątek? - poprosiła Nastia. - Szczerze mówiąc, niezupełnie zrozumiałam, co pani ma na myśli.

...Lidia Jewtiejewa nie twierdziła, że Galina zrobiła jej jakąś przykrość, powiedziała coś nieprzyjemnego albo obraźliwego. W gruncie rzeczy Galina była spokojna, cicha i łagodna, ale po urodzeniu Iroczi zamknęła się w sobie, pogrzyżyła w jej tylko dostępnym i zrozumiałym świecie, który przynosił jej zadowolenie. I nie zamierzała z nikim się nią dzielić. Pewnego dnia, kiedy Ira miała pięć lat, a druga córka, Natasza, dwa latka, Lidia odwiedziła Tieriochinów i przyniosła dzieciom prezenty: elementarz z ładnymi obrazkami dla Iry i śliczną sukieneczkę dla młodszej dziewczynki. Galina przyjęła sukienkę z wdzięcznością, lecz elementarz od razu odłożyła na bok i nawet nie pokazała go córce.

- Spójrz, co ci przyniosłam - zwróciła się Lidia do dziewczynki, próbując skierować jej uwagę na prezent, który tak troskliwie wybrała.

Ale Galina dosłownie wyrwała jej książkę i schowała głęboko do szafy.

- To nie jest jej do niczego potrzebne - surowo oznajmiła Jewtiejewej.

- Ale dlaczego? Niech uczy się czytać, jest już duża - zaoponowała Lidia.

- Co innego jest jej pisane - odparła Galina.

Tak było prawie zawsze. Rzuciła niezrozumiałe, zagadkowe zdania, zawierające jakiś ukryty sens, i nie uważała za konieczne, żeby normalnie pogawędzić / przyjaciółkami. Z biegiem lat stawało się to coraz bardziej widoczne i przykre dla otoczenia. Tieriochinowie stracili wszystkich znajomych, nikt nie chciał ich odwiedzać. Po Nataszy urodziła się Oleńka, a później Pawlik. Wszystkie dzieci Tieriochinów były chorowite, więc (Galina, zajęta dziećmi, nie miała pewnie ani sił, ani czasu, żeby podtrzymywać dobre relacje z przyjaciółkami. Jakies dwa lata przed tragedią Lidia przestała do niej dzwonić i ją odwiedzać. Odniosła wrażenie, że Galina nawet tego nie zauważyła.

Któregoś dnia Lida spotkała nieopodal swojego domu Leonida Tieriochina, męża Galiny, z dziesięcioletnią Irą. Z jakiegoś powodu Leonid okropnie się zmieszał, a Ira, jak to dziecko, bez ogródek wyznała:

- Byliśmy u kolegi taty, wujka Griszy, bo jest chory. Tylko niech pani nie mówi mamie, że nas widziała, dobrze? Bo mama będzie się gniewać.

- Gniewać? - Lida szczerze się zdziwiła. - Dlaczego miałyby się gniewać? Przecież nie zrobiliście nic złego.

Tieriochin zmieszał się jeszcze bardziej, delikatnie pogłaskał córkę po głowie i rzucił w kierunku Lidy przerażone spojrzenie.

- Iroczo, biegnij do cukierni, zapomnieliśmy kupić Nataszy batonik, masz tutaj pieniądze.

Kiedy dziewczynka się oddaliła, zaciskając w pięściste monety, Leonid powiedział:

- Lida, nie mów o nas Gałce, bardzo cię proszę.

- Ale o co chodzi? Co takiego przeskrobaliście?

- Nic nie przeskrobaliśmy, odwiedziliśmy chorego Griszę Samsonowa.

- No i co z tego?

- Gałka go nie cierpi. Zabrania mi się z nim spotykać. A jeśli się dowie, że wzięłam ze sobą Irę, chyba mnie zabije.

- C Boże, czym Griszka jej się naraził? o ile mi wiadomo, jesteście przecież serdecznymi przyjaciółmi i Gałka zawsze go

lubiała. Pokłóciliście się?

- Coś w tym rodzaju. Właściwie nie wiem, o co dokładnie chodzi, ale któregoś dnia Gała powiedziała: „Daj słowo, że nie będziesz się już spotykał z Samsonowem”. Niczego więcej nie wyjaśniła. Znasz ją przecież, jak się uprze, to koniec. Nie ma gadania. Możesz sobie pytać, lecz niczego z niej nie wyciągniesz. Niby się uśmiecha, ale patrzy z takim wyrzutem, że aż człowiek zaczyna czuć się winny. O coś musieli się z Griszą poprzytykać, to pewne. Z nim również próbowałem porozmawiać, żeby wysondować, co się stało, ale on się uśmiechnął i mówi: „Nie chowaj do mnie urazy, Lonia, bo nie obraziłem twojej żony. Ale na nią też się nie gniewaj. Nie ma sensu klócić się z naszymi kobietami. Skoro nie pozwala ci się ze mną spotykać, to trudno. Będziemy spotykali się dyskretnie, nie robiąc zamieszania”.

- Więc niczego się nie dowiedziałeś?

- Nie. - Leonid pokręcił głową. - Ale myślę, że sprawa nie jest warta złamanego grosza. Gałka ma głowę zaprzątniętą religią, nic mi do tego, skoro jej się podoba, to dobrze, ale Grisza jest bardzo zadziorny, złośliwy, ma cięty język. Pewnie chlapnął coś o Bogu albo o Cerkwi, a ona się obraziła.

- Ciężko ci z nią? - zapytała Lida ze współczuciem.

- Kocham ją - otwarcie wyznał Tieriochin. - Kocham taką, jaka jest. Ale inni czasem mają jej dosyć. Nina Bożenok obraziła się nie na żarty, ty, Lidunia, chyba też, przecież widzę. To jak, nie powiesz jej, że byliśmy u Griszy?

- Nie powiem, nie martw się. Ale to, co Gałka wyprawia, nie jest w porządku - powiedziała Lida z wyrzutem. - Jak można rozdzielać przyjaciół z powodu głupstwa?

W tej samej chwili wróciła Ira z dużym batonikiem w jaskrawym opakowaniu...

Kiedy na rodzinę Tieriochinów spadło straszne nieszczęście, Lidii Jewtiejewej nie było w Moskwie. Kilka miesięcy wcześniej wyszła za mąż za wojskowego z Rygi i wyjechała z nim na Łotwę. Wróciła rok temu razem z mężem, który z powodu rosyjskiego pochodzenia i nieznanomości łotewskiego stał się osobą niepożądaną i został przeniesiony do rezerwy.

Gdy tylko Lidia dowiedziała się od Niny Bożenok, co się wydarzyło w rodzinie Tieriochinów, od razu pobiegła do Iry, ale ta powitała ją niezyczliwie, a nawet nagadała jej do słuchu. W mieszkaniu pełno było jakichś hałaśliwych mężczyzn rozmawiających w obcym języku, więc Lidia pospiesznie się wycofała, uznając, że Ira zajęła się prostytutką i raczej nie potrzebuje pomocy.

Grigorij Samsonow, aktor teatru muzycznego, mieszkał niedaleko Jewtiejewej, więc Nastia postanowiła zajrzeć do niego bez zapowiedzi. Szczęście jej dopisało, Samsonow był w domu i chyba się nudził, bo wizytę milicjantki z wydziału kryminalnego przyjął z wyraźnym zadowoleniem. Miał ochotę pogawędzić. Był czerwiec, żona z dziećmi wyjechała na daczę, więc aktor nie miał nic przeciwko temu, żeby urozmaicić sobie samotność i spędzić czas w towarzystwie nieznanym kobiecie.

Sytuację, o której była wówczas mowa, pamiętał bardzo dobrze.

- Wiem, dlaczego Gałka zabroniła Loni spotykać się ze mną - oznajmił kategorycznie. - Bała się.

- Czego? - Nastia nie kryła zdziwienia.

- Sądzę, że miała kochankę. Zresztą może nie miała, tak czy inaczej, nieźle się wtedy przestraszyła. Zbladła jak płótno.

- To znaczy kiedy? Grigoriju Pietrewiczu, nie rozumiem, o czym pan mówi. Proszę zacząć od samego początku i nie pomijać żadnych szczegółów.

- Spotkałem Gałkę, gdy wychodziła od Katieriny. A raczej od Jekatieriny Wieniediktowny Aniskowicz, ale za plecami nazywamy ją wszyscy Katieriną. To znaczy nazywaliśmy.

- Dobrze pan znał Aniskowicz?

- No... Jakby to powiedzieć... - Uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Wszyscy znaleźliśmy ją od wielu lat. Była wielką miłośniczką opery i przychodziła do naszego teatru regularnie, przynajmniej raz w tygodniu. Zawsze była zapraszana na występy, jubileusze, premiery. Była dla nas czymś w rodzaju talizmanu. Gdy spoglądaliśmy na salę i widzieliśmy Katierinę, wiedzieliśmy, że wszystko jest w najlepszym porządku, świat się nie zawalił, wszyscy są cali i zdrowi. Nie mogę jednak

powiedzieć, że znałem ją blisko. Świetnie potrafiła zachowywać dystans, niełatwo było zdobyć jej zaufanie.

- Proszę opowiedzieć, jak spotkał pan Tieriochinę.

- Miałem wpaść do Katieriny, żeby zawieźć ją za miasto, na daczę naszego głównego reżysera. Świętował sześćdziesiąte urodziny. Zostawiłem samochód pod domem, a gdy wjechałem windą na piętro, drzwi do mieszkania Katieriny się otworzyły i stanęła w nich Gałka Tieriochina. Strasznie się zdziwiłem: co ona tutaj robi? Nigdy nie słyszałem, żeby Katierina ją знаła. Gałka momentalnie zbladła, spojrzała na mnie krzywo, przywitała się, cedząc słowa przez zęby, i wpadła do windy, nim zdążyłem zamknąć za sobą drzwi.

- Nie zapytał pan Jekatieriny Wieniediktowny o Tieriochinę?

- Ma się rozumieć, że zapytałem. Ale ona tylko pokręciła głową. Jakby mówiła: niech pan nie pyta, Griszeńka, to nie moja tajemnica, nie mam prawa jej zdradzać.

- Ale o jaką tajemnicę mogło chodzić?

- O jakąkolwiek! - Samsonow się roześmiał. - Katierina uwielbiała patronować cudzym romansom. Wiem na pewno, że wielu znanym osobom udzielała schronienia, udostępniając swoje mieszkanie na intymne spotkania. Nie potrafię jednak wymienić żadnego nazwiska. Katierina była nad wyraz powściągliwa. Mogłaby pracować w wywiadzie, słowo daję.

- Czy z tego, co pan mówi, można wyciągnąć wniosek, że Galina Tieriochina spotykała się w mieszkaniu Jekatieriny Wieniediktowny z kimś powszechnie znanym?

- Wniosek to zbyt mocne słowo. Chociaż to całkiem prawdopodobne. Zresztą te spotkania wcale nie musiały mieć intymnego charakteru. Nie zdziwię się, jeśli się okaże, że urządzali tam na przykład seanse spirytystyczne albo inne podobne bzdury.

- Czyżby Aniskowicz była wierząca? - zapytała Nastia. - Nikt z jej przyjaciół o tym nie wspominał.

- A skąd, Katierina była zdeklarowaną ateistką, ale bardzo towarzyską i ulegającą trendom. Gdy pojawiła się moda na jasnowidzów i media, Katierina od razu się tym zainteresowała.

Pod byle pretekstem urządzała u siebie spotkania towarzyskie. Takim pretekstem mogła być ciekawa albo znana osoba, aktor, pisarz, dysydent, jasnowidz. Ktokolwiek.

- Jak pan sądzi, Grigoriju Pietrowiczu, czy ktoś może wiedzieć, co Aniskowicz łączyło z Galiną Tieriochiną?

Samsonow uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Chyba tylko ten, kto spotykał się z Gałką w mieszkaniu Katieriny. No i sama Katierina, ma się rozumieć, tylko że teraz już nikt jej nie zapyta.

No cóż, koło się zamknęło. Nastia liczyła, że podążając ścieżką od Tieriochinej do Aniskowicz, otrzyma odpowiedź na swoje pytanie, ale się nie udało. Tak, te kobiety się znały, Marta Szulc się nie pomyliła. No i co z tego? Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Jekatieriny Wieniediktowny? Raczej nie. A nawet na pewno nie.

Rozdział 3

Ira widziała tego typa w restauracji już kolejny dzień. Nie żeby się na nią gapił, ale często zerkał w jej stronę, i to z wyraźnym zainteresowaniem.

Restauracja Gloria była niewielka i niczym się nie wyróżniała, groźni mafiosi się tu nie zbierali i nie urządzali porachunków. Raz w miesiącu przychodził jedynie poborca, właściciel wręczał mu umówioną kwotę i wszyscy spali spokojnie. W ciągu dnia Gloria działała jako kawiarnia, a od ósmej do jedenastej wieczorem jako restauracja. Zawsze było tu jednak cicho i przytulnie. Klientów zjawiało się niewielu, przeważnie tych samych. Woleli smacznie i niedrogo zjeść coś w pobliżu domu, niż męczyć się z szykowaniem późnej kolacji. Cały personel - szatniarz wujek Kola, kelnerki i barmanki - znał na pamięć wszystkich klientów oraz ich upodobania kulinarne, Irze zaś podobała się rodzinna atmosfera, która tu panowała. Wszyscy byli dla niej mili, podkarmiali ją i traktowali życzliwie. A zwłaszcza wujek Kola. Mężczyzna mieszka! akurat w tym samym pięć- nastopiętrowym wieżowcu, w którym Ira myła schody, więc widywał ją codziennie najpierw z miotłą na ulicy, gdy wyprowadzał psa, później ze szmatą i wiadrem na klatce schodowej, a wieczorem w Glorii.

- Zamęczysz się - powtarzał, wzdychając. - Kto to widział, żeby harować na trzech etatach od rana do późnego wieczora.

Nie wiedział jeszcze o bazarze...

Dzisiaj nieznamy młody facet znowu przyszedł sam, usiadł w rogu i zamówił jak zwykle szaszłyk z jesiotra i dżin z tonikiem. Ustalony porządek został jednak naruszony. Ira szorowała blachy, na których przez cały dzień piekły się firmowe pierożki z kapustą, gdy poczuła, że ktoś stoi za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła klienta, który dziwnie na nią spoglądał.

- Coś podać? - zapytała nieuprzejmie, choć raczej życzliwie.
- Nie. Chcę porozmawiać - odparł facet.
- No to rozmawiaj.
- Jak ci na imię?
- Ira.
- Ja jestem Oleg. Albo po prostu Alik. No to się poznaliśmy.
- Niech ci będzie. Coś jeszcze?
- Nie. Chciałem zapytać, co z twoją twarzą. Jesteś chora?
- Od dzieciństwa tak mam. Nieprawidłowa przemiana materii. A co ci do tego?
- Tak sobie zapytałem. Pewnie masz ciężkie życie? Zauważyłem, że co wieczór uwijasz się jak pszczołka: myjesz, szorujesz, sprzątasz.
- Życie jak życie. Coś się przyczepił?
Rozmawiała odwrócona plecami do nieznanego, beznamiętnie usuwając tłuszcz z blach.
- Do której pracujesz?
- Póki nie skończę. Różnie.
- Mieszkasz daleko stąd?
- Dwa kroki.
- Nie boisz się wracać po nocy?
- Boję. - Pozwoliła sobie na słaby uśmiech. - Ale nie mam wyjścia. Robota sama do mnie nie przyjdzie.
- Chcesz, to dzisiaj cię odprowadzę - niespodziewanie zaproponował klient.
- Po co? Liczysz na coś?
- Niczego od ciebie nie chcę - odparł Oleg. - No to jak będzie z tym odprowadzaniem?
- Odprowadzaj. - Ira obojętnie wzruszyła ramionami. - Do domu i tak cię nie zaproszę.
- A ja się wcale nie wpraszam.
Wrócił do sali i znowu zabrał się za swój dzin z tonikiem. Pięć minut później Ira o nim zapomniała. Przypomniała sobie dopiero wtedy, gdy koło jedenastej weszła do sali, żeby umyć podłogę. Jego stolik był pusty. Uwodziciel od siedmiu boleści, mruknęła pod nosem. Czmychnął. Pewnie poderwał sobie jakąś... Nie zdążyła dokończyć, ponieważ od strony szatni

dobiegł ją głos wujka Koli. Szatniarz z kimś rozmawiał. Ira wyteżyła słuch. Głos drugiego rozmówcy wydał jej się znajomy. To chyba był natrętny Oleg.

Ira poskromiła ciekawość i spokojnie dokończyła sprzątanie sali. Przechodząc przez hol z wiadrem i szczotką w rękach, doskonale zdawała sobie sprawę, że nie wygląda najlepiej: stare spodnie dresowe, sprana, wyblakła koszulka, rozczochrane włosy, poszarzała twarz. No i dobrze. Musi pracować. A jak mu się nie podoba, nikt go tu siłą nie ciągnie.

Oleg nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, z zapalem dyskutując z wujkiem Kolą na temat piłki nożnej czy hokeja. Ira przez chwilę miała wrażenie, że w ogóle na nią nie czeka, porozmawia sobie teraz z szatniarzem, pokiwa jej nonszalancko dłonią i *goodbye*, królowo sprzątaczek. Albo co też możliwe, czeka wcale nie na nią, ale na jakąś kelnerkę albo barmankę. Ira przemknęła przez hol do toalety, żywiąc cichą nadzieję, że jeżeli Oleg sobie pójdzie, to ona nie będzie tego przynajmniej widziała. Stało się jednak inaczej. o pierwszej w nocy Ira skończyła pracę, wsadziła wiadro i szmaty do schowka, po czym skierowała się do wyjścia. Wujek Kola od razu zadzwonił kluczymi - do jego obowiązków należało zamknięcie Glorii i otwieranie jej rano.

Ira wyszła na ulicę, ostentacyjnie udając, że nie zauważa Olega, a jeżeli nawet go zauważa, to zupełnie nie rozumie, po co on tu sterczy. Słyszała jego kroki za sobą, ale ku jej ogromnemu zdziwieniu mężczyzna się z nią nie zrównał. Po prostu szedł z tyłu. Walcząc z uczuciem narastającego strachu i z trudem przewyciężając chęć, żeby się odwrócić, Ira dobrnęła do domu.

- No i co, odprowadziłeś mnie? - zapytała ze złością, zatrzymując się przed wejściem.

- Odprowadziłem - spokojnie odparł Oleg.

Stali oboje w świetle latarni, więc Ira mogła mu się teraz dokładnie przyjrzeć. Średniego wzrostu, ale oczywiście wyższy od niej, twarz sympatyczna, szczerą. Ubrany drogo, chociaż niewyzywająco. Dżinsy niby zwyczajne, koszulka i kurtka też, ale kręcąc się całymi dniami pośród straganów z ubraniami, Ira

dobrze wiedziała, ile kosztują takie rzeczy.

- No to czego właściwie ode mnie chcesz, amatorze odprowadzania?

- Chcę mieć pewność, że bez przeszkód dotarłaś do domu i po drodze nic ci się nie stało.

- Skąd ta nagle troska? Nie masz co robić z czasem?

- Mam. Na brak zajęć nie narzekam. - Oleg raptem się uśmiechnął. - No dobrze, pójdę już. Dobranoc.

Odwrócił się i niespiesznie ruszył z powrotem w stronę Glorii. Ira najpierw się zdziwiła, bo do metra powinien iść w przeciwnym kierunku, ale później pomyślała, że Oleg pewnie mieszka gdzieś w pobliżu, nie przypadkiem prawie codziennie przychodzi na kolację do Glorii.

W mieszkaniu było cicho i czysto. Nowy lokator, Iljas, trzy dni po przeprowadzce wybył gdzieś w interesach, informując, że wróci za jakieś dziesięć dni. Geоргij Siergiejewicz już spał, w jego pokoju było ciemno. Ira nastawiła wodę na herbatę i wślizgnęła się do łazienki, gdzie wisiało duże lustro.

Ciekawe, dlaczego ten typ się do niej przyczepił. Jej twarz rzeczywiście pozostawia wiele do życzenia. Ira powiedziała Olegowi prawdę, wygląda tak od dzieciństwa, więc przyzwyczaiła się do swojej niezdrowej skóry pokrytej wstrętnymi różowymi krostami. Jeśli jednak ktoś widzi ją po raz pierwszy, pewnie nie jest to przyjemny widok.

Czajnik na kuchence zaczął cichutko gwizdać, więc Ira rzuciła się do kuchni, żeby wyłączyć gaz, póki gwizdanie nie przybierze na sile. Nie chciała niepokoić Geоргija Siergiejewicza. Otworzyła lodówkę i ze smutkiem upewniła się, że oprócz margaryny i dwóch parówek niczego w niej nie ma. Ależ ze mnie kretynka!, zbeształa się w myślach. Przecież Ania dała mi torbę z jedzeniem, a ja ją zostawiłam. Wszystko przez tego głupiego Olega. Barmanka Ania rzeczywiście wsunęła jej torbę, Ira pamiętała, że były w niej dwa pierożki z kapustą i kawałek kielbasy. A ona tak się zdenerwowała z powodu Olega, że zapomniała o torbie.

Pomarszczone, niezjadliwe parówki jakoś jej nie pociągały. Ale margaryny też nie miała z czym zjeść, bo nie zdążyła kupić

dzisiaj chleba. Od razu po pracy na bazarze pobiegła odwiedzić siostry w szpitalu i utknęła tam na długo, więc kiedy wracała, sklepy były już zamknięte.

Dla normalnych ludzi kupienie chleba o dowolnej porze to oczywiście nie problem. Aż do dziesiątej kobiety w metrze sprzedają świeży chleb, ale u nich jest znacznie drożej niż w sklepie. Ira nie ma prawa szastać pieniędzmi. Postawiła przed sobą cel i zmierza do niego zgodnie z planem, podporządkowując mu wszystko, nawet najmniejsze drobiazgi. Dodatkowy tysiąc rubli, który musiałyby wydać na chleb, opóźniał chwilę, gdy będzie mogła opłacić w końcu leczenie braciszka.

Na lodówce stał ładny drewniany pojemnik na pieczywo, który Ira oddała do użytku lokatorom, natomiast sama wsuwała chleb do reklamówki i przechowywała go w lodówce. Tam nie pleśniał tak szybko, a ona musi oszczędzać. Rozejrzawszy się ukradkiem, Ira otworzyła pojemnik. Leżał w nim duży kawałek lawasza i połówka sokolniczeskiego. Może by tak odkroić kromkę?

Nie. Ira zdecydowanym ruchem opuściła wieko i gwałtownie odsunęła rękę, jakby się oparzyła. Nigdy nie sięgała po czyjąś własność, nawet w internacie. Teraz też tego nie robi. Tak, jest prostą, niewykształconą, biedną sprzątaczką i pomywaczką. Ale nie złodziejką.

Nalała sobie mocnej herbaty, wsypała do kubka kilka łyżeczek cukru i usiadła na taborecie przy stole. W mieszkaniu panowała cisza i jak zwykle w takiej chwili ogarnęły ją myśli, których nie lubiła i które starała się przepędzać. Dlaczego żyje w ten sposób? Kto jest temu winien? Matka? Tak właśnie sądziła przez te wszystkie lata po tym, co się stało. Ale ostatnio zaczęła się zastanawiać. Dlaczego matka nagle straciła rozum? Co się wydarzyło? Co ją tak mocno poruszyło? Gdyby nie straciła pamięci... Czasami, gdy Ira była bardzo zmęczona, zaczynała żałować, że tamtej straszliwej nocy zdążyła uciec i ukryć się u sąsiadów. Gdyby pozwoliła matce, żeby ją wyrzuciła przez okno, teraz by się nie męczyła. Leżałaby sobie w szpitalnym łóżku, była na państwowym wikcie i nie wiedziała, co znaczy

zmartwienie. A w każdym razie odżywiałyby się lepiej niż w tej chwili, próbując zaoszczędzić żalosne grosze. Gdyby zaś dopisało jej szczęście, toby nie przeżyła. I nie miałyby żadnych problemów.

Dom opieki znajdował się dosyć daleko. Można było się tam dostać kolejką podmiejską. Nastia Kamieńska wiedziała, że matka Iry Tieriochinej straciła pamięć po upadku z ósmego piętra, więc na nic specjalnie nie liczyła, zamierzając odwiedzić Galinę. Pojechała raczej z obowiązku.

Dyrektorka domu opieki nie powiedziała Nasti nic ważnego, za to ciekawym rozmówcą okazała się siostra Marfa. Tęga, dobrodusznia, koło pięćdziesiątki, w świeckim życiu nosiła imię Raisa, ale kilka lat temu została przyjęta do klasztoru, który znajdował się nieopodal, i bezinteresownie opiekowała się samotnymi pacjentami. Galinę Tieriochinę otoczyła specjalną troską, ponieważ dowiedziała się, że przed wypadkiem Galina była bardzo pobożna.

- Odwiedza ją tylko córka - poinformowała Nasti zakonnica.
- Jest też pewien mężczyzna, który interesuje się Galiną, ale nigdy jej nie odwiedza.

- Jaki mężczyzna? - Nastia się zaniepokoiła.

- Bardzo interesujący. Zjawia się mniej więcej co trzy, cztery miesiące, za każdym razem spotyka się ze mną i wypytuje o Galinę.

- Kto to taki? Czym tłumaczył swoje zainteresowanie? Może jest krewnym albo przyjacielem rodziny?

- Nie potrafię powiedzieć. - Siostra Marfa łagodnie się uśmiechnęła. - Nie mam prawa go o to pytać.

Wspominał, że dobrze znał zmarłego męża Galiny, więc muszę mu wierzyć. Odnoszę jednak wrażenie, że jest lekarzem.

- Skąd to przypuszczenie?

- Wywnioskowałam z pytań, które zadaje. Interesuje go, jakie leki dostaje Galina, na co choruje. A wie pani, co jest najdziwniejsze? Nigdy niczego jej nie przyniósł, żadnych słodczy ani prezentów. Po prostu szukał mnie i zadawał

swoje pytania.

- I to wszystko? - Nastia uważnie przypatrywała się pyzatej, dobrodusznej zakonnicy.

- Nie.

Siostra Marfa śmiało i spokojnie spoglądała Nasti w oczy, ani trochę niezmiuszana.

- Co jeszcze?

- Prosił, żebym nikomu nie wspominała o jego wizytach. I płacił mi za to. Za pieniądze od niego kupowałam różne drobiazgi dla Galiny, pastę do zębów, mydło, cukierki, bieliznę. Na siebie nie wydałam ani kopiejki, zapewniam panią.

- Nie powiedziała pani o tym nawet jej córce?

- Oczywiście, że nie. Dałam przecież słowo. W końcu to tajemnica samej Galiny i mam obowiązek jej strzec. Ale ona nie pamięta tego mężczyzny. W ogóle niczego nie pamięta sprzed wypadku.

- Skąd pani wie, że ona go nie pamięta? Jednak wspomniała jej pani o nim?

- Co też pani mówi, jakże bym mogła? On sam chciał się przekonać, że Galina ma pełną amnezję, więc kilka razy przeszedł koło niej, kiedy wyjechałyśmy do parku na spacer. Nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi.

- Może nie znali się wcześniej? - zasugerowała Nastia.

- Niewykluczone - przyznała siostra Marfa.

- Bardzo ciekawe. Kiedy ten mężczyzna był tutaj ostatnio?

- Jakies trzy tygodnie temu.

- To znaczy, że teraz nie pojawi się tak prędko. No cóż, będziemy musieli poczekać. Siostrzo Marfo, czy mogę panią prosić o przysługę?

- Zależy jaką - ostrożnie odparła zakonnica.

- Zostawię siostrze mój telefon. Gdy zjawi się ten mężczyzna, proszę od razu do mnie zadzwonić. Tylko od razu, a nie po jego wyjściu. Dobrze?

- Postaram się. - Kobieta skinęła głową.

Odwiedziny w szpitalu dziecięcym, w którym leżało młodsze rodzeństwo Tieriochinów - Natasza, Ola i Pawlik - przyniosły równie niespodziewany wynik. Nieznajomy mężczyzna bywał i tutaj, interesował się zdrowiem dzieci. Następstwa upadku z ósmego piętra były u całej trójki inne, łączyło je tylko jedno - żadne nie mogło się samo poruszać. Trzynastoletnia Ola, na przykład, zatrzymała się w rozwoju, a jej umysł znajdował się wciąż na poziomie siedmiolatki, którą była, gdy matka wyrzuciła ją przez okno. Połamane kości nie chciały się zrosnąć, bez przerwy pojawiały się jakieś komplikacje, jakieś procesy zapalne w szwach pooperacyjnych, więc dziewczynka aż do tej pory nosiła gips. Siedemnastoletnia Natasza, przeciwnie, pozostała intelektualnie sprawna i zadziwiła lekarzy swoją pracowitością, samodzielnie opanowując program szkolny. Podręczniki przynosiła jej Ira. Parę razy próbowano ją przenieść do specjalnego internatu dla niepełnosprawnych dzieci, gdzie pracują nauczyciele, ale lekarzy powstrzymywało to, że dziewczyna stale na coś chorowała i potrzebowała opieki medycznej. Nawet z powodu małego siniaka dostawała czterdziestostopniowej gorączki, która utrzymywała się przez kilka dni. Nie było również tygodnia bez kłopotów z sercem. Największy kłopot polegał na tym, że zarówno Ola, jak i Natasza miały alergię na wiele leków. Podczas ich pobytu w szpitalu cały personel zdążył się nauczyć na pamięć, co można im podawać, a czego nie. Reakcje alergiczne były tak silne, że najmniejsza zwłoka groziła gwałtownym opuchnięciem krtani i śmiercią przez uduszenie. W takiej sytuacji oddanie dzieci do innego zakładu było niebezpieczne. A jeśli ich tam nie dopilnują? Szkoda dziewcząt.

O ile w domu opieki nieznany mężczyzna ograniczał się jedynie do rozmów z siostrą zakonną, o tyle podczas wizyt w szpitalu zawsze odwiedzał dziewczęta i małego Pawlika. W związku z tym Nastia od razu poprosiła o spotkanie z Nataszą Tieriochiną. Natasza, ładna, ale chorobliwie błada dziewczyna, unieruchomiona w gorsecie ortopedycznym, siedziała na łóżku obłożona książkami. Oprócz niej w pokoju znajdowało się jeszcze pięć nastolatek, które nie spuszczały z

Nasti oczu.

Natasza Tieriochiną zupełnie nie przypominała swojej starszej siostry ani wyglądem, ani zachowaniem. Mimo ciężkiej choroby uśmiechała się i rozmawiała z Nastią z tą uprzedzającą grzecznością, którą zazwyczaj okazują ludzie starający się wyrzeć dobre wrażenie. Nastia mimowolnie pomyślała o jedynym spotkaniu z Iżą. Dziewczyna najwyraźniej nie martwiła się o wrażenie, jakie robi na otoczeniu.

- Wujek Sasza to przyjaciel taty - chętnie wyjaśniła Natasza, gdy Nastia zapytała o mężczyznę odwiedzającego Tieriochinów w szpitalu.

- A ma jakieś nazwisko? - zainteresowała się Nastia.

- Nikołajew. Aleksander Iwanowicz Nikołajew.

Podczas rozmowy z Nataszą Nastia dowiedziała się, że „wujek Sasza”, czyli niejaki Nikołajew, odwiedza ich średnio raz w miesiącu, ale niczego dzieciom nie przynosi z wyjątkiem książek dla Nataszy. Skąd się wziął, Tieriochinowie nie mieli pojęcia, w każdym razie za życia ojca nigdy go nie widzieli i o nim nie słyszeli. Jest bardzo dobry i troskliwy, śledzi postępy Nataszy w nauce, a nawet sprawdza rozwiązania zadań z fizyki i matematyki. Nie żałuje czasu i tłumaczy materiał, który sprawia jej kłopoty.

Pielęgniarki również wiedziały o „wujku Saszy”, zauważyły jednak, że mężczyzna prawie nie interesuje się Olą i Pawlikiem. Większość czasu spędza z Nataszą, a młodszym dzieciom poświęca najwyżej dziesięć minut. Co prawda za każdym razem bardzo dokładnie wypytuje o ich zdrowie. Jak wygląda? Koło pięćdziesiątki, sympatyczna twarz, ciemne włosy przyprószone siwizną, znaków szczególnych brak.

- Wie pani, podejrzewamy nawet, że Natasza jest jego córką - zdradziła Nastia w tajemnicy jedna z pielęgniarek. - Pewnie miał romans z ich matką. To dlatego pozostałymi dziećmi mniej się interesuje, tak sobie, dla przyzwoitości, żeby nie rzucalo się w oczy, że wyróżnia Nataszę.

Pielęgniarka była chyba bliska prawdy. Tak czy inaczej, jej sugestia brzmiała całkiem logicznie. Jeżeli Galina Tieriochina spotykała się właśnie z nim w mieszkaniu Jekatieriny

Wieniediktowny, to z czystym sumieniem można sobie ten trop darować. Bo nie ma żadnego związku z zabójstwem Aniskowiec.

Coś jednak nie pozwalało Nasti wyłączyć rodziny Tieriochinów ze sprawy. Chodziło o dziwne zainteresowanie tajemniczego wujka Saszy zdrowiem Galiny Tieriochinej i trojga jej dzieci. Tylko trojga, choć było ich czworo. Najstarsza Ira z jakiegoś powodu go nie obchodziła. A może jednak obchodziła?

Wszyscy sąsiedzi zmarłej Aniskowiec znali już Mi- szę Docenkę z widzenia i wiedzieli, kim jest. Nie było wśród nich ani jednej osoby, której by nie przemagło- wał. Docenko doskonale wiedział, że między „widzieć” a „zwrócić uwagę” różnica nie jest wcale tak duża, jak przyjęło się sądzić. Mózg rejestruje to, co człowiek widzi i słyszy, po czym umieszcza informacje w schowku, do którego trzeba umieć znaleźć klucz. Osobę idącą ulicą widzą dziesiątki, a czasami setki par oczu, więc późniejsze twierdzenie, że „nikt go nie widział” mija się z prawdą. Młodemu oficerowi śledczemu można było pozazdrościć pracowitości i uporów. W wyniku podjętych działań udało mu się ustalić, że niedługo przed zabójstwem w domu bywał mężczyzna, którego wcześniej tam nie widziano. A raczej nie widzieli go lokatorzy, którzy mieszkali w domu od niedawna, choć trzeba przyznać, że stanowili większość. Mężczyzna koło pięćdziesiątki, o miłej powierzchowności, z ciemnymi, przyprószonymi siwizną włosami. Nikt mu się specjalnie nie przyglądał, więc żadnych znaków szczególnych nie zaobserwowano. Regularne rysy twarzy, nos z niewielkim garbkiem.

Docenko jeszcze raz obszedł starych lokatorów - tych, którzy mieszkali w domu od ponad sześciu, siedmiu lat, to znaczy przed tragedią, która wydarzyła się w rodzinie Tieriochinów. Jego wysiłki nie poszły na marne: jeden z lokatorów przypomniał sobie, że podobnego mężczyznę widywał często, tyle że wiele lat temu.

Dzięki temu pojawiła się nowa hipoteza robocza: mężczyzna, który spotykał się w mieszkaniu Jekatieriny Wieniediktowny z Galiną Tieriochiną, przestał tu przychodzić po tym, jak Galina z

dziećmi trafiła do szpitala. Od tamtej pory minęło sześć lat. Przez cały ten czas mężczyzna zjawiał się regularnie w szpitalu i domu opieki, interesował się zdrowiem Galiny i jej dzieci, a całkiem niedawno zauważono go znowu w domu Aniskowiec. Po czym kobietę znaleziono martwą. Piękna historia, bez dwóch zdań.

- Nie będę ukrywał, że hipoteza jest marna - zauważył Jura Korotkow, gdy Nastia opisała mu swoje wizyty w domu opieki i szpitalu.

- Może ktoś wymyśli lepszą. - Nastia wzruszyła ramionami.

- Przyznaj jednak, że w twojej teorii jest pełno luk - oburzył się Jura. - Nie udawaj, że ich nie widzisz.

- Widzę - odparła Nastia niezmiernie. - Ale lepiej zapełniać luki, niż siedzieć z założonymi rękami i biadolić z powodu przedwczesnej śmierci Jekatieriny Wieniediktowny. Najważniejsza sprawa to ustalić tożsamość czterech mężczyzn: pierwszy spotykał się z Tieriochiną, drugi bywał w domu opieki i zadawał mnóstwo pytań siostrze zakonnej, Marfie, trzeci odwiedza w szpitalu dzieci Galiny, poświęcając najwięcej uwagi Nataszy, a czwarty pojawił się na horyzoncie krótko przed zabójstwem Aniskowiec. Jego rysopis jest tak nieprecyzyjny, że pasują do niego setki mężczyzn w określonym wieku. Z mojej, jak się raczyłeś wyrazić, marnej hipotezy w jednej chwili mogą wyłonić się inne, w zależności od tego, ilu tych mężczyzn jest naprawdę, jeden, dwóch, trzech czy czterech. Domyślasz się, do czego zmierzam?

- Kto by tam za tobą nadążył - burknął Korotkow. - Słuchaj, mogę u ciebie przenocować?

Zmiana tematu była tak gwałtowna, że Nastia omal nie udławiła się kawą.

- A co, żona wyrzuciła cię z domu?

- Nie żeby wyrzuciła, ale będzie lepiej, jeśli przez parę dni się tam nie zjawię. Wprosiłbym się do Koli, jak dawniej, ale teraz czuję się niezręcznie, bo mieszka z Walentyną.

Tak, po tym jak Kola poznał Walentynę, problem noclegów poza domem stał się dla Jury Korotkowa szczególnie uciążliwy. Kiedyś bez żadnego skrupowania korzystał z uprzejmości

kolegi, ponieważ po rozwodzie Sielujanow zajmował sam duże mieszkanie. Obecność czarującej Waleczki bardzo skomplikowała sytuację. Nie chodziło o ciasnotę, w trzech pokojach wszyscy łatwo by się zmieścili, ale o poczucie taktu, które nie pozwalało Jurze zakłócać spokoju zakochanym. Owo poczucie taktu z jakiegoś powodu nie obejmowało kawalerki Nastii. Wystarczyło, że Jura wiedział, iż mąż Nastii jest w delegacji, a bez skrupułów prosił, żeby go przygarnęła.

- No to jedźmy. - Nastia skinęła głową. - Pościelę ci łóżko polowe. Tylko nie mam nic do jedzenia.

- Nie szkodzi, kupimy coś po drodze. - Jura się ożywił. - Możemy też zrobić próbę dramatycznej sceny, do której dojdzie na jutrzejszej odprawie. Już widzę, jak Pączek będzie się nad nami pastwił za sprawę Aniskowiec.

- I będzie miał rację - ponuro stwierdziła Nastia. - Minęło tyle dni, a my drepczemy w miejscu.

- Mylisz się, koleżanko. - Korotkow rozłożył ręce. - Rozpracowywaliśmy przecież próbę kradzieży, sprawdzaliśmy kanały zbytu. Nawiasem mówiąc, mogę się pochwalić, że wydatnie pomogłem naszym sąsiadom. Zleceniodawców na kolekcję Aniskowiec nie znalazłem, co prawda, to prawda, za to wpadłem na trop zlecenia na obrabowanie dużego antykwariatu. Chłopcy rozwinęli działania profilaktyczne na całym froncie, czekają na złodziei z otwartymi ramionami. A pomyślałaś, że złodzieje mogą nie mieć oporów przed zabiciem właścicieli? To znaczy, że mądry detektyw Korotkow uratował wszystkich przed nową sprawą o morderstwo. A ty mnie nawet nie pochwalisz, tylko obsztorcowujesz i ganisz.

- Co tam ja. - Nastia roześmiała się i potargała go delikatnie za włosy. - Jak zobaczysz jutro Pączka w akcji, dopiero się zdziwisz. Ja przy nim jestem aniołem.

Wsiadli do starego auta Jury, które od dawna ledwie dyszało, i pojechali w kierunku Szosy Szczołkow- skiej, gdzie mieszkała Nastia. W domu przygotowali na chybcika kolację z gotowych produktów, Korotkow zaś nie przestawał ubolewać nad niegospodarnością Nastii.

- Trzeba tu dodać czosnku i jakiejś przyprawy.

- Czosnku nie ma. Przyprawy pewnie są, ale nie wiem, gdzie Loszka je trzyma.

- Ale majonez chyba masz?

- Coś mi się wydaje, że nie. Musisz zajrzeć do lodówki.

- No pięknie! Nawet nie wiesz, co masz, a czego nie.

Jura otworzył lodówkę i przykucnął.

- Matko kochana! Przecież tu stoi garnek z zupą!

- Tak? - Nastia niezmiernie się zdziwiła. - Coś podobnego, nie miałam o tym pojęcia. A co tam jeszcze jest ciekawego?

- Kawalek pieczeni, chyba baraniej. Ser w ogromnych ilościach. Kiedy tu ostatnio zaglądałaś?

- A niech cię, Korotkow, odczep się. - Nastia machnęła ręką.

- Biorę to, co leży pod ręką, szybko połykam i kładę się spać.

-Ale z ciebie niewdzięcznica. - Jurka z przyganą pokiwał głową. - Loszka się starał, naszykował ci tyle jedzenia, żebyś nie umarła z głodu, gdy on jest w delegacji, a ty masz to w nosie.

- Nie wyzywaj mnie, bo nie dam ci łóżka polowego i będziesz spał na podłodze. Dobra, wyjmij zupę, rzeczywiście trzeba ją zjeść, bo Loszka się obrazi.

Kolacja okazała się niespodziewanie obfita i pożywna. Żeby zaspokoić wilczy głód, Nastia i Jura wepchnęli w siebie taką ilość jedzenia, że nie mogli się ruszyć.

- Słuchaj - powiedziała przerażona Nastia - chyba nie dam rady nawet wstać. Obżarstwo to wielki grzech.

- No to posiedzmy jeszcze przy stole, nigdzie nam się nie spieszy - flegmatycznie stwierdził Korotkow. - Kiedy wraca Loszka?

- Za trzy dni.

- Tęsknisz?

-Ja? - Słyszac pytanie, Nastia omal nie wypuściła papierosa z dłoni.

- No chyba nie ja. Czistiakow to twój mąż, a nie mój.

- Nie, nie tęsknię. Przecież wiesz, Jurik, że nigdy nie tęsknię.

- Za nikim? - zapytał z niedowierzaniem.

- Za nikim. Jestem samowystarczalna do obrzydzenia. Czasami mam wrażenie, że w ogóle nikogo nie potrzebuję. Jak kot, który chadza własnymi drogami.

- Asiu, czy twoja samowystarczalność nie napawa cię chwilami strachem?

- Owszem. - Uśmiechnęła się. - Dość często. Ale próbuję z tym walczyć.

- W jaki sposób?

- Przekonuję samą siebie, że to przez pracę, która zabiera mi tyle czasu i sił, że nie mam już ochoty na żadne towarzystwo. A zresztą mam Loszkę, który zastępuje mi koleżanki, przyjaciół i kochanków razem wziętych. A propos przyjaciół. Zapomnieliśmy zadzwonić do Stasowa.

- Rzeczywiście! - Korotkow się zreflektował. - Ale z nas gapy. Zrobiło się późno, jakoś niezręcznie teraz przeszkadzać.

- Późno? A która godzina?

- Wpół do pierwszej.

- Do diabła, Jurik, wiecznie męczysz mi w głowie swoimi filozoficznymi wywodami. Dobrze, zadzwonimy rano. Chodźmy się położyć.

Nastia pościeliła Korotkowowi łóżko połowę i zgodnie z zasadami gościnności pozwoliła, żeby pierwszy wziął prysznic. Wsunąwszy się pod kołdrę, zwinęła się w kłębek i ze znużeniem zamknęła oczy, sen jednak nie nadchodził. Jej myśli wciąż krążyły wokół Iry Tierio- chinej, która zrzędzeniem złego losu została na świecie całkiem sama, choć nie była temu winna.

- Nie, nie rozumiem - nagle powiedziała na głos Nastia.

- Czego nie rozumiesz? - sennie zapytał Korotkow, który zdążył już zapaść w drzemkę.

- Niczego nie rozumiem. Dziewczyna stara się jak może, haruje na czterech etatach i nikt nie chce jej pomóc. Jej rodzice mieli przecież przyjaciół. Gdzie oni są teraz? Czyżby z upływem czasu ludzie tak bardzo się zmieniali? Nie rozumiem, Jurik, gdzie się podziały żal, współczucie, a wreszcie zwyczajna litość! Dlaczego nikomu nie ścisnęło się serce? Dobrze pamiętam nasze życie, gdy miałam czternaście lat. Gdyby z moją rodziną coś się stało, znalazłoby się z dziesięć rodzin, które by mi pomogły i udzieliły wsparcia. Z całą pewnością nie zostałabym sama. I nie pozwolono by mnie zabrać do internatu. A co się teraz wyprawia?

- To, co widzisz na żywym przykładzie Tieriochinej. Pieniądze demoralizują ludzi, Asieńko. Cały cywilizowany świat żyje z wpojonym przeświadczeniem, że jedni ludzie mają dużo, a nawet bardzo dużo pieniędzy, inni zaś mało albo wcale. To normalne zjawisko i nie ma sensu nad nim ubolewać. Natomiast nasi współobywatele wyrosli z myślą, że wszyscy powinni mieć po równo. Dlatego kiedy nasz tradycyjny styl życia nagle został zakłócony, w dodatku tak drastycznie, nie zdążyli się do tego psychicznie przygotować. Czy to w porządku, żeby ktoś dostawał emeryturę równą wartości biletu miesięcznego? Tymczasem sąsiad ma trzy samochody i dwa domy za miastem, a na codziennych zakupach w supermarkecie wydaje trzykrotną emeryturę. Jakie uczucia może to budzić prócz złości, zawiści, obojętności na cudze nieszczęście i niepohamowanej chciwości?

- Tak, chyba masz rację - odparła Nastia w zamyśleniu. - Można do tego dodać brak pewności, że nazajutrz wszystkiego się nie straci. Dlatego nawet zamożni ludzie nie zajmują się dobroczynnością. Boją się, że następnego dnia zmieni się władza i wyschnie źródło ich dochodu. Starają się zatem jak najwięcej uciulać, żeby mieć później na przyzwoite życie. I w takich okolicznościach w mieście pojawia się męczczyzna, który żywo interesuje się matką, siostrami i bratem Iry Tieriochinej. Dlaczego, Jura? Skąd to jego zainteresowanie? I dlaczego w ogóle nie obchodzi go Ira?

- Słuchaj, jestem zupełnie wykończony - rzekł Korotkow żałośnie. - Zawsze ogarnia cię taka żądza pytań, gdy pora się przespać? Znajdziemy tego Nikołajewa i o wszystko go zapytamy. Bądź cierpliwa.

- Przepraszam - ze skruczą odparła Nastia. - Śpij dobrze.

Nastia już teraz była pewna, że nie znajdą żadnego Aleksandra Iwanowicza Nikołajewa. Dobrze, że nie chodzi o Iwana Iwanowicza Pietrewicza³, ale różnica w zasadzie jest żadna.

Zoja stanowiła zupełne przeciwieństwo Wieroczki. Bezbarwna, zahukana, w wieku trzydziestu siedmiu lat nadal była starą

³Iwan Iwanowicz Pietrewicz to przeciętny obywatel Rosji, podobnie jak Jan Kowalski w Polsce (przyp. tłum.).

panną, a ciążę traktowała jak dar od Boga. Na mężczyznę swojego życia spoglądała jak na istotę wyższego rzędu - z niemyim uwielbieniem i zachwytem. Mimo że był ojcem jej przyszłego dziecka, mówiła do niego per „pan”. o legalnym związku małżeńskim w odróżnieniu od energicznej i przedsiębiorczej Wiery ani razu się nie zająknęła.

W pracy z Zoją metoda była inna, kobieta musiała przychodzić na zabiegi co tydzień. Mężczyzna starannie pilnował, żeby obie panie nie spotkały się w gabinecie.

- Sprawiam panu tyle kłopotu - nieśmiało powiedziała Zoja, ubierając się po zabiegu. - Nie mam pojęcia, jak się odwdzięczę.

- Nie gadaj głupstw - burknął rozdrażniony. - Przecież to nasze dziecko, muszę się troszczyć i o ciebie, i o nie. Jak się czujesz?

- Dobrze, dziękuję. Tylko trochę się boję. Podobno poród w moim wieku bywa niebezpieczny. Jak pan sądzi, czy wszystko pójdzie dobrze?

- Naturalnie. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Jesteś normalną, zdrową kobietą, wszystko powinno pójść gładko. Przecież nie na darmo co tydzień cię badam.

Zoja była w czwartym miesiącu, ale to z nią łączył największe nadzieje. Dwadzieścia lat pracy bez wytchnienia, bezsennych nocy oraz związków z niekochanymi kobietami musiały w końcu przynieść długo oczekiwany rezultat. Jeżeli Zoja nie zawiedzie jego oczekiwań, chyba się z nią ożeni. W podzięcie losowi. Relacje z Zoją to kapitał, z którego będzie mógł czerpać do końca swoich dni. Małżeństwo ją uszczęśliwi. Zoja wszystko mu zatem wybaczy i będzie się nim troskliwie opiekować przez resztę życia.

W gruncie rzeczy Zoja ma jednak rację. Pierwszy poród w wieku trzydziestu siedmiu lat to duże ryzyko. On oczywiście obserwuje stan jej zdrowia, ale chyba trzeba wykupić ubezpieczenie w klinice, niech wezwą dobrego kardiologa, chirurg też się przyda, jeżeli Zoja nie da rady urodzić sama i będzie potrzebne cesarskie cięcie. Nie można ryzykować jej życia, a tym bardziej życia dziecka. Malec musi być karmiony

mlekiem matki, inaczej wszystko straci sens.

- Niedługo pana urodziny. Nie rozgniewa się pan, jeżeli coś panu подарuję?

Boże, co za wzruszająca istota! Czemu miałby się rozgniewać? Wprost przeciwnie.

- Zojeńko, moje dziecko, jest mi oczywiście niezmiernie miło, że pamiętasz o moich urodzinach - powiedział ciepło. - Ale nie powinnaś wydawać na mnie pieniędzy. Niestety nie mogę ci pomagać tak, jak bym chciał i powinienem, zarabiam grosze, a przecież mam rodzinę, żonę, dzieci, sama wiesz. Będę się czuł głupio, gdy zaczniesz kupować mi prezenty.

- Co też pan mówi - zaszcebiotała Zoja, wpatrzona w niego jak w obraz. - Nic pan mi nie jest winien, nie musi pan mi pomagać ani dawać pieniędzy. Niczego nie potrzebuję, mam wszystko. Więc nie rozgniewa się pan?

Objął ją lekko i pocałował we włosy, który przyjemnie pachniały szamponem. Na każde spotkanie Zoja szykowała się jak na pierwszą randkę, myła głowę, wkładała ładną bieliznę, robiła manikiur, chociaż ostatnio wszystkie ich spotkania, z małymi wyjątkami, odbywały się w jego gabinecie i w laboratorium. Odkąd Zoja zaszła w ciążę, nie żądała cielesnych uciech jak nienasycona, spragniona przyjemności Wiera, młoda i pełna Wigoru ślicznotka. W ogóle niczego nie żądała prócz prawa do tego, żeby mogła go cicho i żarliwie kochać.

- Idź już, kochanie - powiedział łagodnie. - Mam mnóstwo pracy.

Nie kłamał, pracy miał naprawdę sporo. Zgodnie z planem powinien napisać dwa artykuły do ważnych czasopism naukowych. Ale jeszcze się do nich nie zabrał, nie zgromadził całego materiału empirycznego. Poza tym już od tygodnia na jego biurku leżał opasły maszynopis monografii przysłanej do recenzji, a on go jeszcze nawet nie otworzył. A przecież ma również swoją pracę, którą kocha i ceni ponad wszystko. Nic mu ona nie przyniesie, ani światowej sławy, ani pieniędzy, ani uznania, ponieważ nikt o niej nie będzie wiedział. Oczywiście prócz niego. Dwadzieścia lat poświęcił swojej teorii i chyba zbliża się wreszcie do końca. Jedynie sukces zapewni mu

spokój. Nawet jeżeli nikt o nim nigdy nie usłyszy. Wystarczy, że będzie mógł sobie powiedzieć: udało mi się. Udowodniłem, że mam rację. Teraz potrafię zrobić to, czego nikt inny na świecie nie potrafi.

Dopiero wtedy będzie mógł spokojnie dożywać swoich dni u boku jakiejś cichej, niekonfliktowej, wiecznie mu wdzięcznej Zoi. A grzechy popełnione w imię idei nie będą obciążały jego sumienia.

Obawy Nasti i Korotkowa nie były bezpodstawne. Na porannej odprawie pułkownik Gordiejew o przezwisku Pączek jeszcze raz pokazał całej sekcji do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu, że nie ma wśród podwładnych swoich ulubieńców. Za brak postępów w śledztwie dotyczącym śmierci Jekatieriny Wienie- diktowny Aniskowiec wystawił im notę, którą mimo najszczerzych chęci trudno było nazwać pozytywną.

- Dwóją na szynach - podsumował niezadowolający wynik Gordiejew. - Wszyscy jesteście wolni. Anastazjo, zostań.

Nastia wcisnęła się w oparcie krzesła, spodziewając się bury. Wiedziała, że Wiktor Aleksiejewicz nikogo nie beszta przy świadkach, najostrzejsze słowa padają w rozmowie w cztery oczy, więc przygotowała się na najgorsze. Co prawda trochę ją zdziwiło, że pułkownik zwolnił Jurę Korotkowa, nie zatrzymał też Miszy Docenki. Nie miał w zwyczaju szukać kozła ofiarnego i atakować pierwszej osoby z brzegu.

Kiedy zostali sami w gabinecie, Pączek usiadł przy stole konferencyjnym obok Nasti, zdjął okulary i jak zwykle wsunął plastikowy zausznic do ust.

- No to referuj - rzekł całkiem spokojnie.

-Co?

- Sprawę Aniskowiec. Moja wina, bo ją zaniedbałem, spuściłem z oczu, byłem pewien, że wszystko się kręci wokół kolekcji i brylantów. Dawno powinienem był z tobą porozmawiać. Co cię gryzie, Stasienko? Co jest nie tak z tą sprawą?

- Wszystko! - zawołała histerycznie. - Niczego w ogóle tu nie rozumiem.

- No cóż, w sumie to nic nowego. - Pułkownik się uśmiechnął. - Słyszę to od ciebie przynajmniej raz w miesiącu od dziesięciu lat.

- Wiktorze Aleksiejewiczu, moje hipotezy są absolutnie niedorzeczne, podobnie jak sposoby ich weryfikacji. Ale sama sobie nie poradzę, szybko dostanę po nosie.

- To już brzmi lepiej. - Pułkownik skinął głową. - Przynajmniej przypomina rzeczową rozmowę. Chociaż o niedorzecznych hipotezach też już od ciebie słyszałem. Jeśli mnie pamięć nie myli, ze dwieście razy, odkąd się poznaliśmy. Więc nie staraj się mnie nastraszyć ani tym bardziej zadziwić. Mów, o co chodzi.

- Według zeznań bliskich znajomych Aniskowicz kobieta była powierniczką wielu intymnych sekretów, w jej domu odbywały się schadzki znanych osób. Problem polega na tym, że Jekatierina Wieniediktowna naprawdę strzegła ich tajemnic i nie puszczała pary z ust. W każdym razie żaden z moich rozmówców nie potrafił wymienić ani jednego uczestnika tych schadzek.

- Nie mógł czy nie chciał? - uściślił Gordiejew.

- Nie wiem - przyznała Nastia. - Tak czy inaczej, nazwisk nie znamy. Wśród uczestników schadzek jest osoba, która zachowuje się bardzo dziwnie. Istnieją poważne podstawy, żeby przypuszczać, że maczała palce w zabójstwie. Ale nie mam pojęcia, jak ją odnaleźć.

Nastia opowiedziała naczelnikowi historię tajemniczego mężczyzny o miłym wyglądzie.

- Dlatego powinniśmy działać etapowo. Najpierw należy, w miarę możliwości, upewnić się, że chodzi o tego samego mężczyznę. A później spróbować go znaleźć. Są dwa sposoby, jeden zagwarantuje nam sukces, ale jest całkiem głupi...

- Kto jest głupi? - Gordiejew nie zrozumiał. - Sukces czy mężczyzna o miłym wyglądzie?

- Sposób. To znaczy trywialny i bez polotu. Najważniejsze jest jednak to, że wymaga oderwania od pracy sporej grupy

funkcjonariuszy na nieokreślony, ale z pewnością długi czas. Przyszło mi do głowy, że można urządzić zasadzkę w domu opieki oraz w szpitalu i czekać, aż on się tam zjawi.

- A drugi sposób?

- Spróbować znaleźć go przez tamtych ludzi, którzy znali Aniskowiec. Jest tu pewien haczyk, Wiktorze Aleksiejewiczu. Aniskowiec nie była szczególnie wylewna wobec tych, którzy nie powierzali jej swoich tajemnic. Trzy najbliższe osoby, były mąż Piotr Wasiljewicz Aniskowiec, przyjaciel z dzieciństwa kolekcjoner Iwan Jelizarowicz Byszow i serdeczna przyjaciółka Marta Gienrichowna Szulc, nie korzystały z usług oferowanych przez gościnną właścicielkę mieszkania. Gdyby jednak znaleźć ludzi, którzy urządzali tam schadzki, może się okazać, że oni akurat wiedzą, kto jeszcze prócz nich bywał u Aniskowiec w swoich sprawach sercowych. Jestem niemal pewna, że z nimi nie była tak powściągliwa.

- Skąd ta pewność? - Pączek uniósł brwi.

- To nie jest pewność. - Nastia pokręciła głową. - Ale nadzieja, że Aniskowiec była kobietą o normalnej psychice. Potrzeba podzielenia się sekretem to rzecz zupełnie naturalna niezależnie od tego, czyj jest ów sekret: własny czy cudzy. Zwykle zaspokaja się ją dwoma sposobami: albo prowadząc dziennik, albo zdradzając komuś ten sekret. Wyznam panu, że kiedy się wyjaśniło, iż Aniskowiec nie padła ofiarą kradzieży, od razu pomyślałam o dzienniku. Ale trójka jej najbliższych przyjaciół zgodnie mnie zapewniła, że Jekatierina Wieniediktowna nigdy nie miała zwyczaju prowadzić dziennika. Podejrzewam, że Byszow i Szulc mogli o tym nie wiedzieć, chociaż to raczej mało prawdopodobne, ale mąż, z którym spędziła wiele lat, nie mógł się mylić. To znaczy, że komuś się zwierzała. W przeciwnym razie będę musiała przyznać, że Jekatierina Wieniediktowna Aniskowiec była agentem obcego wywiadu i w swoim czasie odbyła szkolenie psychologiczne w specjalnym centrum naukowym.

- Czemu nie? - Gordiejew się ożywił. - Starsza pani szpiegiem, coś w tym jest. Ciekawy pomysł. Dobra, śmiech śmiechem, ale chyba masz rację, Stasieńko. Sądząc z relacji

znajomych, Aniskowicz była normalną, pogodną, życzliwą kobietą, więc i psychikę powinna mieć w normie. Masz listę wybitnych działaczy epoki застою, którzy przyprowadzali do niej swoje kochanki?

- O to chodzi, że nie. Ale to ludzie z jej środowiska, znajomi, z którymi spotykała się na imprezach, premierach, jubileuszach i bankietach. Musimy sporządzić jak najdokładniejszą listę owych osób, a później ostrożnie wyłowić z niej tych, którzy zdradzali swoje żony, chowając się za plecami Jektieriny Wieniediktowny. Wśród tych lekkomyślnych kochanków powinna znajdować się osoba, która wie, kim jest miły facet spotykający się z Galiną Tieriochiną. A może nam się powiedzie i facet Irafii na listę znajomych.

- Rozumiem. W czym więc problem?

- W tym, że oni nie zechcą ze mną rozmawiać. No niech pan sobie wyobrazi, Wiktorze Aleksiejewiczu, że zjawię się u jakiegoś byłego ministra i zacznę wypytywać go o właścicielkę mieszkania, w którym uprawiał seks ze swoimi kochankami. Minister szybko mi wyjaśni, że mam chorą wyobraźnię, i z hukiem wywali za drzwi. Widział pan w swoim życiu osoby, które tak chciały pomóc w śledztwie dotyczącym zabójstwa, że godziły się na ujawnienie własnych sekretów, działając w ten sposób na swoją szkodę?

- Chyba nie - przyznał Gordiejew. - To znaczy takich przypadków było tak niewiele, że nie przypomnę sobie na poczekaniu, czy w ogóle miałem z czymś takim do czynienia. Więc co proponujesz?

- Nie wiem. Widzę, na czym polega trudność, ale nie wiem, jak ją pokonać. Jedyne nadzieje, że po sporządzeniu listy znajomych Aniskowicz figurant sam wpadnie nam w oko. Istnieje podejrzenie, że jest lekarzem.

- A jeśli nie wpadnie?

- Wtedy będę się zastanawiać. Ale do tego jeszcze daleko, Wiktorze Aleksiejewiczu. Na razie musimy ustalić jego rysopis.

- No to nie zwlekaj. Dzisiaj podpisałem Miszy Docen-

zgode na urlop.

- Jak to na urlop? - jęknęła Nastia ze zgrozą. - Od kiedy?

- Od dziesiątego lipca. Jak się nie zmieścicie w czasie, miej pretensje do siebie.

Nastia wróciła do swojego pokoju i zaczęła obdzwaniać bliskich znajomych Jekatieriny Wieniediktowny Aniskowiec, umawiając się z nimi na spotkania.

Czy niedługo przed śmiercią Jekatierina Wieniediktowna nie wspominała czasem, że odwiedził ją jakiś dawny znajomy, którego nie widziała od kilku lat?

Czy wśród jej znajomych nie było mężczyzny o sympatycznej twarzy, z ciemnymi, szpakowatymi włosami?

Czy w kręgu znajomych Aniskowiec nie znajdowały się osoby związane z medycyną?

Nastia musiała zadać jeszcze wiele innych pytań. I nie było żadnej pewności, że odpowiedzi rzucać choć odrobinę światła na tajemnicę zabójstwa starszej pani.

Rozdział 4

Kiedy Stasow poprosił Iry, żeby się spotkała z Anastazją Kamieńską i odpowiedziała na jej pytania, Ira kategorycznie odmówiła przyjazdu na Pietrowkę.

- Ależ, wujku, to dla mnie strata czasu - oznajmiła. - Mam wolne jedynie od piątej do dziesiątej, ale muszę wtedy posprzątać mieszkanie i poszukać w księgarniach jakiegoś mądrego podręcznika, o który prosiła Nataszka. Nie mam czasu na czczą gadaninę.

- To nie jest czcza gadanina, Irino - surowo powiedział Stasow. - W końcu moi przyjaciele poświęcają swój czas i sprawdzają twoich lokatorów trudniących się drobnym przemytem, więc nie bądź niewdzięczna.

- Ale o co chodzi? - ze złością zapytała Ira. - O czym mamy rozmawiać? Z moimi rodzicami wszystko jest jasne, po co znowu w tym grzebać. Minęło tyle lat...

- Iro!

- No dobrze, dobrze - ustąpiła. - A może ta wasza Kamieńska sama mnie odwiedzi?

Stasowowi zrobiło się żal Iry. Wiedział, kiedy, gdzie i jak długo pracuje jego dawna sąsiadka, więc rozumiał, że spędzanie dzień w dzień osiemnastu do dwudziestu godzin na nogach to rzecz ponad siły nawet dla zdrowego faceta.

- No to może jutro koło piątej - zaproponowała Ira. - Akurat nikogo nie będzie w domu, więc spokojnie porozmawiamy. Tylko ty też przyjdź, wujku, bez ciebie nie będę rozmawiać. Boję się gliniarzy.

W przeddzień spotkania Ira obrzuciła krytycznym okiem swoje lokum. Nie jest tak źle, wygląda przyzwoicie. Pewnie, że zagranicznych ambasadorów raczej by w nim nie przyjęła, ale to w końcu tylko zwyczajna wizyta. Mimo wszystko Ira starała się nie zaniedbywać mieszkania, żeby nie musiała wstydzić się

przed lokatorami. Iljas jeszcze nie wrócił z podróży, a Gieorgij Siergiejewicz przychodzi z pracy koło ósmej, niekiedy nawet później, musi jechać przez całe miasto, mówił, że droga w jedną stronę zabiera mu półtorej godziny. A jutro zamierzał jeszcze obejrzeć jakieś mieszkanie - była żona znalazła kolejną ofertę zamiany, Ira słyszała, jak umawiał się z nią przez telefon. Trzeba więc wrócić nieco wcześniej, szybko umyć podłogę, zetrzeć kurze, zajrzeć do kuchni i sprawdzić, czy w zlewie nie leżą czasem brudne naczynia. I niech wujek Władik przyprowadza sobie tę milicjantkę, skoro ich tak przypiliło.

Nazajutrz Ira opuściła bazar, gdy tylko najlepiej prosperujący handlarze sprzedali swój towar i zaczęli się pakować, choć zazwyczaj zostawała aż do samego końca. Przybiegła do domu, ogarnęła przedpokój, kuchnię i swój pokój, umyła się i przebrała. Właściwie ta kobieta z Pietrowki w ogóle jej nie obchodziła, ale było jej wstyd przed wujkiem Władikiem, nie chciała się przed nim skompromitować.

Równo o piątej rozległ się dzwonek do drzwi. Na progu stał Stasow i tamta kobieta, którą niedawno odwiedzili na Pietrowce.

- Wejdźcie - burknęła, z pewną satysfakcją odnotowując, że kobieta była ubrana nie lepiej niż ona: niedrogie dżinsy i zwyczajna bawełniana koszula w drobną niebieską kratkę, a na nogach ciemne pantofle na płaskim obcasie.

Ira jak zwykle zapomniała się przywitać.

Nastia oglądała lokum Iry Tieriochinej, starając się ukryć swoją ciekawość. Zauważyła, że dziewczyna robi, co może, żeby mieszkanie wyglądało przyzwoicie, a mimo to bieda wygląda z każdego kąta. Tapety podklejone taśmą, sufit dawno niemalowany, jedynie w kilku miejscach, gdzie pojawiły się ciemne plamy.

Nieżyczliwość właścicielki nie zwiódła jednak Nasti. Błyszczące wilgocią linoleum wymownie dowodziło, że Ira przygotowywała się na przyjęcie nieproszonych gości.

- Napije się pani herbaty? - zapytała Ira z wciąż tą samą

ponurą miną.

- Nie, dziękuję. Postaramy się nie zabierać pani dużo czasu.

- Więc chodźmy do pokoju.

Utrzymywanie porządku w tym malutkim pokoju raczej nie sprawiało kłopotu. Mebli było tu niewiele - tapczan, dwa krzesła, szafa na ubrania. Brak stołu, choć miejsca wystarczało. Nastia domyśliła się, że wszystkie porządne rzeczy Ira przeniosła do pozostałych pokoi. Pewnie są tam fotele, ława, lampki. Jeśli już zarabiać na lokatorach, to uczciwie. Ira nie wynajmowała klitek z gołymi ścianami, ale przyzwoicie umeblowane pokoje.

- Iro, czy słyszała pani kiedyś o mężczyźnie nazwiskiem Nikołajew? - Nastia przystąpiła do sprawy.

- To ten, który przychodzi do szpitala? Nataszka mi mówiła.

- A pani go zna?

- Nie. Do mnie nie przychodzi. - Ira się uśmiechnęła.

- Kim on jest? Skąd się wziął?

- Nie wiem. - Dziewczyna obojętnie wzruszyła ramionami.

- Ale przecież odwiedza pani siostry i brata. To znaczy, że jest przyjacielem rodziny.

- No i co z tego?

Ira spojrzała na Kamięńską z bezgranicznym zdumieniem.

- Przychodzi, no to niech sobie przychodzi. Co mi do tego? Przynosi Nataszce książki, to świetnie, dzięki temu mam mniej wydatków.

- Ale to jakoś...

Nastia nie od razu potrafiła znaleźć właściwe słowa, tak absurdalna okazała się sytuacja.

- Nie jest pani ciekawa, kim on jest? Jakiś obcy mężczyzna odwiedza w szpitalu pani krewnych, a pani tak spokojnie o tym mówi.

- Właściwie czego pani ode mnie chce? Kiedy matka wyrzuciła dzieciaki przez okno, a ojciec umarł z rozpacz, żaden mężczyzna się nie zjawił, żeby zaproponować pomoc. Wrzucono mnie na głęboką wodę. Radź sobie, a nuż się nie utopisz. Jeżeli później jakiegoś drania ruszyło sumienie, to rzeczywiście rychło w czas. Po co mam się spotykać z tym

facetem? Kim on jest dla mnie? Ani brat, ani swat. Gdyby chciał pomóc, toby przyszedł i zapytał, czego potrzebuję. Żeby przychodzić do dzieci z pustymi rękami, nie trzeba wyjątkowej dobroci.

- Dobrze, zostawmy to - spokojnie odparła Nastia. - Może pamięta pani wśród znajomych rodziców ciemnowłosego, sympatycznego mężczyznę? Mógł mieć wtedy ze czterdzieści pięć lat, może trochę mniej.

- Nie, nie pamiętam. A po co on pani?

- Jest mi potrzebny. Twierdzi, że znalazł pani ojca. Muszę go znaleźć. Szczerze mówiąc, bardzo liczyłam na pani pomoc. Widocznie się pomyliłam. Szkoda. Proszę się dobrze zastanowić, Iro. Nazywa się Aleksander Iwano- wicz Nikołaj ew.

- Już powiedziałam, że go nie znam. Przecież nie kłamię, na litość boską - powiedziała nagle Ira tonem skargi bezradnego dziecka. - Dlaczego pani mi nie wierzy?

Nastia wierzyła. Rozumiała, że dwudziestoletnia dziewczyna, całymi dniami biegająca z miotłą, łopatą, szmatą i wiadrem, roznosząca jedzenie, napoje i papierosy na bazarze, nie potrafi już znaleźć w sobie siły, żeby zainteresować się jakimś mężczyzną, który od czasu do czasu odwiedza w szpitalu jej kalekie rodzeństwo. Ma na głowie zupełnie inne troski, co innego ją niepokoi. Skoro nieznajomy mężczyzna nie wyrządza nikomu krzywdy, to może o nim nie myśleć. Myśleć musi tylko o tym, jak zebrać pieniądze na leczenie małego Pawlika.

- Iro, czy rodzice nigdy nie wspominali, że mają znajomego lekarza?

- Nie. - Dziewczyna pokręciła głową. - Lekarza nie mieli.

- A kogo mieli?

Ira podniosła głowę i raptem Nastia zauważyła łzy w jej oczach.

- Ależ oni nikogo nie mieli! - krzyknęła łamiącym się głosem.

- Przez matkę, bo odstraszyła wszystkich przyjaciół, i swoich, i taty. Była przecież szalona, nie dało się z nią porozmawiać. Plotła takie bzdury, aż wstyd było słuchać. Pamiętam, że w dzieciństwie odwiedzała nas i ciocia Nina, i ciocia Lida, i

wujek Grisza Samsonow, przyjaciel taty. Było tak wesoło, wszyscy się śmiali, rozmawiali, chodzili razem na spacerory i zabierali mnie ze sobą. Żyliśmy jak inni. A gdy urodziła się Nataszka, matka całkiem zbzikowała...

- Iro! - powiedział Stasow z przyganą. - Co ty mówisz? Przecież to twoja matka.

- Tak, zbzikowała! - jeszcze głośniej powtórzyła Ira. - Wszyscy o tym wiedzieli. A tata się martwił, przecież widziałam. Wymyśliła sobie jakieś przeznaczenie i obnosiła się z nim jak kura z jajkiem.

- Jakie przeznaczenie?

- A skąd mam wiedzieć! Mamrotała coś pod nosem, diabli wiedzą, o co jej chodziło. No i wymamrotała.

- Iro - znowu powtórzył Stasow - nie wolno tak mówić o matce.

- A jej wolno było tak postąpić? Wolno, tak? Wszystkim zniszczyła życie, a ojca zabiła! Wywłoka! Nienawidzę jej!

Niespodziewanie Ira tak głośno i rozpaczliwie się rozplakała, że Nasti ścisnęło się serce. Spojrzała zmieszana na Stasowa, ale on pokręcił tylko głową, jakby sugerował, żeby się nie wtrącała, niech się dziewczyna wypłacz. Trzeba oddać Irze sprawiedliwość, że dość szybko opanowała atak hysterii, otarła twarz rękawem starej, ale świeżo wypranej bawełnianej bluzki i głośno siąknęła nosem.

- Dobra, nie zwracajcie na mnie uwagi - burknęła wciąż jeszcze drżącym głosem. - Niech pani zadaje te swoje pytania.

Rozmowa z kobietą z milicji wytrąciła ją z równowagi. Wujek Władik i jego znajoma już dawno poszli, a Ira wciąż jeszcze popłakiwała, chociaż nieczęsto pozwalala sobie na taki luksus. Przed dziesiątą zdążyła pojechać do centrum i kupić w księgarni podręcznik francuskiego dla Nataszy, akurat ten, o który siostra prosiła. Po powrocie do domu położyła się na chwilę, żeby pozwolić odpocząć obolałym nogom. Koło wpół do dziesiątej trzasnęły drzwi, wrócił Gieorgij Siergiejewicz.

- Iro, jest pani w domu? - W przedpokoju rozległ się jego

głos.

Ira zwinęła się w kłębek i znieruchomiła. Jeżeli się odezwie, będzie musiała wyjść z pokoju i porozmawiać z lokatorem, a z oczu płyną jej łzy. Georgij Siergiejewicz to oczywiście dobry człowiek, ale zacznie ją wypytywać - co, jak, kto ją skrzywdził, dlaczego płacze, a ona wtedy jeszcze bardziej się rozbeczy. Nie należy okazywać słabości w obecności innych, wystarczy, że puściły jej nerwy przed wujkiem Władikiem i tą kobietą z milicji, nie potrafiła się opanować. Teraz żałuje, nie może sobie tego wybaczyć.

Nie chciała płakać jeszcze z jednego powodu. Cerę i tak ma niezdrową, ogłędnie mówiąc, a słone, żrące jak kwas łzy, wiedziała to z doświadczenia, jeszcze bardziej podrażniały krosty. Cała twarz zaczynała ją swędzieć i piec, co było nie tylko dokuczliwe, ale i wyglądało odrażająco.

Z kuchni dobiegł ją szum lejącej się wody, delikatnie stuknęły drzwi lodówki, Georgij Siergiejewicz szykował kolację. Ira włączyła lampę nad tapczanem, zerknęła na zegarek. Pora zbierać się do pracy w Glorii. Zaciśnęła mocniej zęby, żeby nie płakać, i wstała.

- A więc jest pani w domu? - Lokator zdziwił się, słysząc jej kroki na korytarzu. - Sądziłem, że nikogo nie ma. Wołałem, ale pani się nie odzywała.

- Zdrzemnęłam się - szybko odparła Ira, odwracając się, żeby ukryć twarz. - Jestem zmęczona, miałam ciężki dzień.

- Proszę zjeść ze mną - zaproponował. - Wszystko akurat gotowe.

- Nie, muszę już iść. Jadłam niedawno, niech się pan nie martwi.

Ira narzuciła na ramiona lekką wiatrówkę i udała się na nocną zmianę. Przed domem podbiegł do niej jakiś chłopak z paczką ulotek w rękach.

- Poświęci mi pani chwilkę? Przeprowadzamy badanie socjologiczne przed wyborami. Na kogo będzie pani głosować?

- Odczep się - rzuciła w biegu.

Jednakże chłopak nie miał zamiaru się odczepić. Przeciwnie,

szedł obok Iry, dotrzymując jej kroku, i wymachiwał zaciśniętymi w dłoni ulotkami.

- Czemu robi pani z tego problem? Muszę przepytać sto osób w wieku pomiędzy osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, a pani się akurat nadaje. Na kogo będzie pani głosować w wyborach?

- Odczep się, powiedziałam.

- No na kogo? - jęczącym głosem powtórzył chłopak. - Na Jelcyna czy Ziuganowa?

- A co, jest ich tylko dwóch? - kpiąco zapytała Ira.

Nie interesowała się polityką, ale była przekonana, że objęcie władzy przez komunistów pozbawi ją możliwości zarabiania pieniędzy. Dlatego słuchała informacji o walce przedwyborczej i wiedziała, że kandydatów jest jedenastu, a nie dwóch.

- Ale pozostali się nie liczą - niefrasobliwie odrzekł młody socjolog. - Słabo wypadają w sondażach.

- W czym? - zapytała Ira.

-W sondażach. Nie cieszą się popularnością. Najważniejsi rywale to Jelcyn i Ziuganow. Którego pani woli?

- Żadnego.

Szła szybko, nie odwracając się w stronę nachalnego rozmówcy.

- To znaczy, że będzie pani głosować przeciw wszystkim?

- Coś ty się do mnie przyczepił?! - z irytacją krzyknęła Ira. - Na kogo zagłosuję, na tego zagłosuję. I koniec, odwal się.

Zaraz po przyjściu do restauracji zerknęła ku stolikowi w rogu, przy którym zwykle siedział Oleg. Stolik był pusty. No i dobrze. Nie miała wielkiej ochoty na spotkanie. Znalazł się uwodziciel... To nawet dobrze, że go nie ma. Z taką twarzą jak dzisiaj nie potrzebuje niczyjego towarzystwa.

Tuż przed zamknięciem restauracji Oleg jednak się zjawił. Stał za jej plecami, podobnie jak za pierwszym razem.

- Cześć, Iriszka.

Znowu napłynęły jej łzy do oczu. Tak nazywał ją ojciec, a po jego śmierci ani razu nie słyszała tego zdrobnienia. A właściwie słyszała, ale było adresowane do kogo innego.

- Dzień dobry - odparła niewyraźnie, mrugając gwałtownie, żeby powstrzymać łzy. - Przyszedłeś mnie odprowadzić?

- Owszem - ochoczo przytaknął Oleg. - Masz coś przeciwko temu?

Ira nie odpowiedziała, starannie zeskrobując tłuszcz z dużej patelni, na której serwowano ryby przyrządzane w jakiś specjalny sposób. Czowała na sobie wzrok Olega.

- Lepiej się stąd zabieraj. Na co się gapisz?

- Przeszkadzam ci?

- Skąd, patrz sobie, jeśli chcesz. Nic w tym ciekawego.

- Nieprawda. Gdy byłem mały, godzinami tak stałem i przyglądałem się matce. Zupełnie jak teraz tobie.

- A kim była twoja matka? - od niechcienia zainteresowała się Ira. - Artystką?

- Jaką znowu artystką! - Oleg się roześmiał. - Pomy- waczką. Mieszkaliśmy na wsi, a niedaleko było sanatorium. Rządowe. Matka pracowała w kuchni. W tamtych czasach o zmywarkach nikt nie słyszał, naczynia trzeba było myć ręcznie. Matka zabierała mnie ze sobą do pracy, no i przyglądałem się, jak szoruje brudne talerze, garnki i kotły.

- Więc przyjechałeś tu za pracę?

- Coś w tym rodzaju.

- Wygląda na to, że się wzbogaciłeś na moskiewskim wikcie, bo rozbijasz się po restauracjach. Może jesteś rekieterem?

- Może - wesóło potwierdził Oleg.

- No to wynocha stąd - niespodziewanie imperty- nencko odezwała się Ira. - Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nie potrzebuję kłopotów.

- Nie bój się, żartowałem tylko. Mam normalną pracę, zajmuję się ochroną. To żaden kryminał.

Ira skończyła zmywanie i ruszyła po szmaty i wiadro. Oleg, tak jak ostatnio, usiadł w fotelu przed szatnią i wdał się w pogawędkę z wujkiem Kolą. Z jakiegoś powodu myślał, że chłopak na nią czeka, sprawiała Irze przyjemność, choć nie miała pojęcia, co nim kieruje. Kończyła już myć muszlę w toalecie, gdy zjawiała się kelnerka. Dziwne, Ira była pewna, że wszyscy prócz wujka Koli już wyszli.

- Co wolisz, szaszłyk czy kotlety po kijowsku?

- Daj to, czego ci nie żal - odparła Ira, nie odrywając się od pracy.

- Mnie tam wszystko jedno. - Kelnerka jakoś dziwnie się uśmiechnęła. - Podam, co zechcesz.

- Że niby jak?

Ira wyprostowała się i ze zdumieniem wbiła w nią wzrok. Jak to: podam? Natrzęsa się z niej czy co?

- Co ty pleciesz?

Kelnerka obrzuciła Irę zaciekawionym spojrzeniem.

- Nie wiesz? Twój amant zamówił kolację dla dwóch osób. I zapłacił mi ekstra, żebym was obsłużyła. Trzeba i >rzyznać, że ma gest.

- A idź do diabła! - Ira znowu pochyliła się nad muszlą - Żarty się ciebie trzymają...

- Jakie żarty, zwariowałaś? Przysięgam na Boga. Pospiesz się, kucharze już wyszli i wyłączyli płytę, więc nic nie poradzę, jeżeli danie wystygnie.

Ira nie odpowiedziała. Zawsze czuła się niezręcznie, gdy z niej kpiono, nie wiedziała, jak wówczas powinna zareagować, żeby się nie ośmieszyć. Poczucie humoru miała nienadzwyczajne, zresztą o jakim poczuciu humoru może być mowa, gdy prowadzi się takie życie jak ona.

- Dobrze, podam i jedno, i drugie, sama zdecydujesz. Czego nie zjesz, zabierz do domu, bo wszystko zapłacone. Tylko, Ira... Właściwie już nakryłam do stołu, ułożyłam sztuce, przyniosłam zimne przekąski, alkohol. Ale nie marudźcie z przekąskami, dobrze? Żebym mogła szybko podać dania na gorąco i pobiec do domu. Wy zaś sobie posiedźcie, jak długo chcecie. Umyj tylko później naczynia, bo zaschną do jutra. Wujek Kola zostawi ci klucze, pozamykasz tu wszystko, a rano mu je odniesiesz. Umowa stoi?

Ira dokończyła szorowanie muszli i odwróciła się przodem do kelnerki, zamierzając powiedzieć jej coś do słuchu w odpowiedzi na przedłużające się żarty. Ale nagle zrozumiała, że to nie kpiny.

- Ty... poważnie? - zapytała na wszelki wypadek.

- O Boże! - Kelnerka klasnęła w ręce. - Oczywiście, że poważnie. No dalej, Iro, zwijaj się, bo czeka mnie jeszcze droga do domu.

Nie spiesząc się, Ira umyła ręce i twarz pachnącym mydłem, które leżało na umywalce, i uważnie przejrzała się w lustrze. Kolacja w restauracji. Nigdy w życiu coś takiego jej się nie przydarzyło. Nie wierzyła w bajki o Kopciuszku, który za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zamieniał się w księżniczkę. W miłość od pierwszego wejrzenia również nie wierzyła. O jakiej miłości można mówić, skoro od razu rzucają się w oczy jej łachy i wstrętne, znieawidzone krosty?

Niepewnie ruszyła w stronę holu. Oleg zerwał się na jej widok, a wujek Kola zaczął się zbierać do wyjścia.

- Masz. - Wręczył Irze pęk kluczy. - Dobrze wszystko pozamykaj i włącz alarm. Dasz radę założyć kratę?

- Nie wiem, nigdy nie próbowałam.

- Ja założę - wtrącił się Oleg. - Nie martw się, wujku Kola, wszystko załatwimy.

Ruszyli do pogrążonej w mroku, pustej sali. Górne światło było wyłączone, tylko na stoliku w rogu, gdzie zwykle siedział Oleg, paliła się lampka z kremowym jedwabnym abażurem. Ira usiadła przy ścianie i od razu poczuła ćmiący ból w nogach. Zawahała się przez chwilę, po czym zdjęła pod stołem pantofle i westchnęła z ulgą uradowana.

- Coś ty ni z tego, ni z owego wymyślił? Sądzisz, że jestem aż tak biedna, że nie stać mnie na jedzenie?

- Sądzę, że jesteś niemądra. - Oleg się uśmiechnął. - Nie zaprasza się dziewczyny do restauracji, dlatego że umiera z głodu. Nałóż sobie sałatki, robią tu całkiem niezłą. Pewnie nigdy nie próbowałaś?

- Nie - przyznała Ira. - Rzeczywiście smaczna. Jesteś żonaty?

- Masz ci los! - Oleg parsknął śmiechem. - Co to za różnica, czy jesz kolację z kawalerem, czy z żonatym facetem?

- Żadna. Pytam z ciekawości.

- Jestem żonaty. I co z tego?

- Nic. A żona nie czeka na ciebie w domu?

- Może i czeka. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Szkoda, że

wcześniej nie czekała.

- Pewnie cię zdradza? - wyrozumiale zapytała Ira.

- Coś w tym guście.

- Więc czemu się nie rozwiedziesz?

- Spodziewa się dziecka. Jest w szóstym miesiącu.

- Ahaa - wolno wycedziła Ira, dokładając sobie sałatki, która była wyjątkowo smaczna. Nigdy w życiu takiej nie jadła.

Kelnerka przyniosła im dania na gorąco: trzy ogromne półmiski, na jednym były szaszłyki, na drugim kotlety po kijowsku, a na trzecim młode ziemniaki posypane koperkiem i udekorowane na brzegach plastrami pomidorów i ogórków, a także krążkami czerwonej, żółtej i zielonej słodkiej papryki. Takiej obfitości jedzenia Ira już dawno nie widziała.

- Czemu nic nie pijesz? - zapytał Oleg, pociągając dżin z tonikiem.

- Nie mogę. Mam alergię.

- A co się stanie, jeżeli wypijesz drinka?

- Będzie ze mną krucho. Zacznę się dusić, mogę nawet umrzeć. Kiedyś dziewczyny w internacie mnie poczęstowały, później musiały wzywać pogotowie, ledwie mnie odratowano. W naszej rodzinie to dziedziczne.

- Co to za choroba?

- Licho ją wie. Siostry i brat też chorują. Wszyscy na nią cierpią.

- A rodzice?

- Oni nie - krótko odparła Ira.

Nie miała ochoty rozmawiać o rodzicach. Z każdą chwilą Oleg podobał jej się coraz bardziej. Coś podobnego, zwyczajny chłopak, nie jest miastowy, wychował się na wsi. I nie miał szczęścia do żony. Ależ te baby są głupie i wredne, po prostu brak słów! Że też jego żona jeszcze wybrzydza! Facet jest młody, zdrowy, sympatyczny, a na dodatek chyba ma pieniądze. No i dobre serce.

- Słuchaj, tylko się nie obraż... Twarz też masz taką z powodu choroby?

- Chyba tak. Nie wiem na pewno. Już się przyzwyczaiłam. A co, obrzydzenie bierze na jej widok?

- No co ty.

Oleg uśmiechnął się łagodnie i wziął Irę za rękę, pogłaskał szorstkie palce z popękaną skórą i nieładnymi, zniszczonymi pracą paznokciami.

- Żadne obrzydzenie. Ale chyba można coś zrobić. Czemu nie pójdziesz do lekarza?

- Bo to kosztuje, a ja nie mam pieniędzy - otwarcie wyznała Ira.

- Wujek Kola wspominał, że bardzo ciężko pracujesz. Nie wystarcza ci pieniędzy? Czy cały czas na coś oszczędzasz?

Ira znowu poczuła zdradzieckie szczypanie w nosie. Dzisiejszy atak hysterii ją załamał, nie miała siły kreować się na dumną i niezależną. Gdyby Oleg był inny, pewny siebie, szyderczy, ostentacyjnie bogaty, dołożyłaby starań, żeby sprawiać wrażenie silnej i samodzielnej. On jednak okazał się całkiem inny. Więc i ona się otworzyła. Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat nagle zwierzyła się zupełnie obcemu mężczyźnie. Z nikim nie była szczera, nawet jej lokatorzy nie domyślali się, dlaczego musi wynajmować pokoje. Tylko Stasow wiedział, bo wszystko wydarzyło się dosłownie na jego oczach, kiedy mieszkał w tym samym domu co ona.

Oleg słuchał uważnie, nie przerywał, nawet niczego nie jadł, póki opowiadała, tylko w milczeniu palił jednego papierosa za drugim.

- Chcesz, to spróbuję umówić cię z jednym lekarzem - zaproponował, gdy skończyła swoją gorzką opowieść. - Zbada cię. A nuż będzie mógł ci pomóc?

- Przecież powiedziałam, że liczy się dla mnie każda kopiejka.

- Nie martw się. Biorę to na siebie.

- Czemu miałbyś to robić? Nie masz na co wydawać pieniędzy?

- Nie mam.

- Takie rzeczy się nie zdarzają. Wszystko to kłamstwa. - Ira westchnęła.

- Zdarzają się, Iriszko. Nawet często. Jesteś podobna do mojej matki.

Znowu wziął jej rękę i podniósł do ust. Nigdy przedtem Ira czegoś takiego nie doświadczyła.

- Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, dawno, ze dwa miesiące temu, wszystko mi się w środku ścisnęło. Mama była taka sama, malutka, szczuplutka, od rana do wieczora pracowała, włosy miała w nieładzie, dłonie czerwone i popękane. Ojciec nas porzucił, więc matka musiała zarobić na utrzymanie trójki dzieci. Zawsze marzyłem, że kiedyś znajdzie się ktoś, kto rozwiąże wszystkie nasze problemy. Tak po prostu, nie żądając niczego w zamian. Na poczekaniu. Da od razu mnóstwo pieniędzy, żeby mama nie musiała więcej pracować, tylko siedziała w domu i zajmowała się mną i bratem. Mama była wtedy bardzo ładna. Chociaż harowała jak wół, wszyscy faceci się za nią oglądali. Między innymi naczelnicy, którzy przyjeżdżali na leczenie do sanatorium. Mimo że byłem wówczas smarkaczem, wszystko rozumiałem, bo takie życie sprawia, że dzieci szybko dorostają. Widziałem, jak odwiedzała ich w pokojach, i za każdym razem miałem nadzieję, że facet okaże się szlachetnym księciem, który się z nią ożeni. Ale książę, jak to zwykle bywa, okazywał się łajdakiem, wciskał jej pudełko czekoladek albo żalony bukietik kwiatków i ulatniał się tam, gdzie robił swoją urzędniczą karierę. Wszyscy wiedzieli, jak ciężko nam się żyje, ale żadna kanalia nam nie pomogła. A ja chcę ci pomóc. Tak po prostu, bez powodu, bez ukrytych intencji. Rozumiesz?

Ira ostrożnie wysunęła dłoń i nieśmiało pogłaskała Olega po policzku.

- Co do ukrytych intencji... - Umilkła, zawahała się. - To przez moją twarz, prawda? Brzydzisz się mnie dotykać?

- Co ty mówisz, Iriszko. - Oleg smutno się uśmiechnął. - Raczej nie chcę, żeby spotkał cię los mojej mamy.

- A więc się brzydzisz - skwitowała spokojnie. - Nie myśl, że czuję się urażona, w internacie nie takie rzeczy znosiłam. Teraz się zahartowałam, więc się nie przejmuję. A twój lekarz naprawdę może mi pomóc?

- Nie wiem, nie będę ci z góry niczego obiecywał, ale zapytam. Podobno to jakiś czarodziej, potrafi zdziałać cuda.

Jeśli zgodzi się cię leczyć, zapłacę, nie martw się.

- Dziękuję. No to co, idziemy? Muszę wcześniej wstać.

Szybko zanieśli naczynia do kuchni, Ira wszystko pozmywała, a jedzenie, które zostało, włożyła jak zwykle do woreczków foliowych i wsunęła do torby.

- Nie dojadasz? - zapytał Oleg ze współczuciem.

- Radzę sobie - odparła krótko, czując bolesne ukłucie w sercu. - To dla bezdomnych psów, pełno się ich włóczy wokół naszego domu.

- Aha, rozumiem.

Jej tłumaczenie dotyczące psów to oczywiście wierutne kłamstwo i Oleg to doskonale wie, Ira widziała po jego minie, ale doceniła delikatność chłopaka.

Starannie zamknęli wszystkie drzwi, założyli kratę i włączyli alarm, po czym ruszyli w stronę jej domu.

- O której wstajesz? - zapytał Oleg, gdy zatrzymali się przed wejściem.

- O piątej.

- Już druga. Zostały ci zaledwie trzy godziny snu. Przepraszam, że to wszystko wymyśliłem, nie sądziłem, że tak wcześniej wstajesz. Teraz przeze mnie się nie wyśpisz.

- Głupstwo. - Ira niefrasobliwie machnęła ręką. - Mogę w ogóle nie spać. Dwie godziny na odpoczynek wystarczą mi aż nadto. A jak ty się dostaniesz do domu? Metro już nie kursuje.

- Mam samochód. Zaparkowałem koło Glorii.

- Więc czemu mnie nie podwiozłeś? Moja gębusia nie komponuje się z twoją limuzyną?

- Twój rozum się nie komponuje. - Roześmiał się. - Może chciałem dłużej z tobą pobycć. Samochodem dojechalibyśmy w kilka sekund. A pieszo zajęło nam to całe piętnaście minut. Naprawdę wystarczą ci dwie godziny, żeby się wyspać? Czy to tylko takie gadanie?

- To prawda, nie kłamię.

- Szczęściara z ciebie. Zdązysz wiele zrobić w życiu. No to może zaprosisz mnie na filiżankę kawy? Czy się boisz?

- Czego mam się bać? W pokoju obok mieszka lokator, w

razie czego nie pozwoli mnie skrzywdzić. Tylko nie mam kawy, bo jej nie piję.

- A herbatę masz?

- Mam.

- A cukier?

- Też.

- No to możesz mnie zaprosić.

Wjechali windą i chyłkiem wsunęli się do ciemnego korytarza. Spod drzwi pokoju Georgija Siergiejewicza sączyła się wąska smuga światła, lokator nie spał.

- Iro, wszystko u pani w porządku? - od razu rozległ się za drzwiami jego głos.

Ira znieruchomiała i mocno ścisnęła Olega za rękę.

- Tak, wszystko w porządku - odparła głośno, starając się mówić spokojnym tonem.

- Martwiłem się, czy coś się pani nie stało, bo już prawie trzecia.

- Wszystko w porządku - powtórzyła Ira. - Kelnerka miała dzisiaj urodziny, świętowaliśmy, więc zostałam dłużej.

- No to dobrze - odrzekł uspokojony lokator. - Dobranoc.

Stąpając na palcach, Ira zaprowadziła Olega do swojego pokoju.

- Posiedź tutaj, nastawię wodę na herbatę.

Oleg objął ją za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie.

- Trafił ci się troskliwy lokator. Stoi na straży twojej moralności?

- Skąd, co ci przyszło do głowy?

- To czemu mnie przed nim ukrywasz? Czyżbyś nie miała prawa przyprowadzać przyjaciół? Panują tu u was jakieś szczególne zwyczaje?

- Jakie znowu zwyczaje? - z gniewem odparła Ira. - I wcale cię nie ukrywam. Po prostu nie chcę człowieka niepokoić, i tak przeze mnie nie śpi, a rano musi iść do pracy. Jest przecież normalny, nie taki jak ja, musi się wyspać.

- Innych też przyprowadzałeś po kryjomu?

- Jakich innych? - Ira nie zrozumiała.

Spasowała i wyrwała się z jego rąk.

- Nikogo nie przyprowadzałam. Co ty pleciesz?
- Zupełnie nikogo?
- Zupełnie. A jeśli chodzi o... Nie myśl sobie, spędziłam parę lat w internacie i przeszłam tam taką szkołę życia, że nie potrzebuję żadnych uniwersytetów.
- Iriszko - powiedział Oleg szeptem - nie gniewaj się na mnie. Powiedz tylko szczerze: nie chcesz? To cię nie dotknę, napijemy się herbaty i pojedę do domu.
- Ira umilkła, spoglądając gdzieś w bok, później wbiła wzrok w Olega.
- Boję się.
- Przecież powiedziałem, że cię nie dotknę, jeśli nie chcesz. Czy ja jestem sadystą?
- Nie o tym mówię...
- Zrozumiał. Ostrożnie wyciągnął ręce, pogłaskał ją po ramionach, przyciągnął do siebie i objął.
- Nie bój się - szepnęła ledwie słyszalnie. - Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.
- Chyba rozumiesz, że nie chciałabym znaleźć się w takiej sytuacji... - ciągnęła Ira, jakby się usprawiedliwiając. - Opiekuję się rodzeństwem. I matką.
- Nie bój się - powtórzył Oleg.

Równo godzinę później wyszedł. Ira bezszelestnie wyprowadziła go do przedpokoju i otworzyła drzwi wejściowe. Dobrze, że pokój Gieorgija Siergiejewicza jest na końcu korytarza, jeżeli lokator śpi, to na pewno nie słyszy.

Przed wyjściem Oleg zapytał:

- Nie rozumiem, czemu się ukrywasz. Jesteś komuś coś winna?
- Nic i nikomu. Dmuchać na zimne. Człowiek to zwierzę stadne. Jeżeli jednemu wolno, to znaczy, że inni też mogą. A jeżeli nikomu nie wolno, to nic się nie da zrobić. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby spróbować. Moi lokatorzy przyprowadzają tu Bóg wie kogo. Jeden Szamil przyprowadził mnie o ból głowy, całe szczęście, że się wyprowadził.

Codziennie ktoś u niego bywał. Gdyby wiedział, że odwiedzają mnie mężczyźni, to koniec. Nie obroniłabym się.

- To rozsądne - przyznał. - Sama na to wpadłaś?

- Nie, przyjaciel mi podpowiedział.

Zaraz po wyjściu z domu Oleg szybko skierował się w stronę Glorii, gdzie zostawił samochód - niedrogi, wygodny volkswagena. Oleg mieszkał daleko, ale jazda pustymi nocnymi ulicami nie zajmie dużo czasu. Nie musi nawet specjalnie uważać, pora jest martwa, nie ma żadnych samochodów.

A zatem towarzystwo z Kazania upatrzyło sobie mieszkancko w Sokolnikach. Teraz przebywa tam Ilias - postać dobrze znana. Przed nim był Szamil, Szamila zaś przyprowadził Musa. Wszyscy są pionkami, warto by znaleźć szefa... Jest gdzieś w Moskwie, wstępne rozpoznanie wykazało, że nie pochodzi z Kazania, to Rosjanin. Nikt nie zna jego nazwiska, tylko ksywkę. Jego grupa wymyśliła sobie niezły interes! Udając drobnych przemytników, kręcą się tam i z powrotem, z Rosji do Turcji i do Egiptu, umożliwiając kontakty muzułmańskim wspólnotom przygotowującym się do gazawatu, świętej wojny, i pomagają terrorystom. Nie ufają środkom łączności, uważają, że najlepiej przekazywać informacje osobiście, z ust do ust. Tak jest bezpieczniej i pewniej. Każde połączenie przez radio albo telefon można namierzyć.

Dwa miesiące temu Oleg otrzymał zadanie i wykonując je, wpadł na trop mieszkania w Sokolnikach. Postanowił przyjrzeć się właścicielce, Irinie Tieriochonej, pannie, lat dwadzieścia. Zjawił się więc w Glorii, gdzie dziewczyna pracowała wieczorami. I od tej pory już nie potrafił wybić jej sobie z głowy.

Powiedział jej szczerą prawdę i o wsi, w której się wychował, i o sanatorium dla wysoko postawionych osób, i o matce harującej ponad siły. Współczucie dla Iry wciąż rosło, przygniatało go, nie pozwalało oddychać. Zanim się do niej odezwał, znał całą jej historię, a kiedy ona sama opowiedziała mu, jak żyje, przekonał się, że Ira nie minęła się z prawdą, w niczym nie przesadziła, jednym słowem, nie brała go na litość. W dzieciństwie Oleg przeczytał dużo bajek, innych

książek w domu prawie nie było. Bajki kupowano w nieprzebranych ilościach dla starszego brata, kiedy ten był jeszcze mały i mieszkali razem z ojcem. Później ojciec ich zostawił i nie mieli za co kupować książek. Mogli czytać jedynie grube tomy z obrazkami i historiami napisanymi dużymi literami. Bajki tadżyckie, turkmeńskie, rosyjskie, ukraińskie, bajki narodów Europy... Przez dłuższy czas Oleg spoglądał na życie przez pryzmat bajek, wierzył w księżąt i szczęśliwe przypadki, wierzył, że na świecie są dobrzy i szlachetni rycerze, którzy z pewnością prędzej czy później znajdą jego matkę i jej pomogą.

Jednakże rycerze z jakiegoś powodu się nie zjawiali. A matka się starzała i słabła w oczach. Wtedy Oleg dał sobie słowo, że pewnego dnia dokona jakiegoś małego cudu. Nie po to, żeby przyjść komuś z pomocą, ale po to, żeby się przekonać, że to możliwe. Że to się zdarza. Jego rodzinie się nie poszczęściło. Choć cud nie przypadł im w udziale, tak czy inaczej, cuda muszą jednak istnieć! Bajki wymyślali przecież żywi ludzie, a skoro wymyślali, to znaczy, że te historie kiedyś się wydarzyły. Jeżeli to prawda, że zło rodzi zło, to dobro powinno rodzić dobro. Potrzebny jest jedynie pierwszy impuls, pierwszy bezinteresowny, dobry uczynek, a dalej wszystko potoczy się lawinowo.

Oleg Żesterow wcale nie był fajtłapowatym romantykiem, przeciwnie, życie go nie rozpieszczało i nie skłaniało do sentymentów. Z czasem częściej wyrządzał zło, niż czynił dobro. Chociaż dopuszczał się zła w imię szlachetnych celów, było to jednak zło, ponieważ pozbawiało ludzi wolności, majątku, a niekiedy i życia. Myśl o małym cudzie zakorzeniła się głęboko w świadomości Olega i bardzo rzadko się uzewnętrzniała, ale nigdy go nie opuściła. A po spotkaniu z Irą Tieriochiną, jak powiedzieliby psychologowie, zaktualizowała się.

O żadnej miłości nie mogło być oczywiście mowy. To, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, było częścią jego pracy, jego zadania. Musiał nawiązać kontakt z właścicielką mieszkania, w którym przebywa grupa z Kazania, w miarę możliwości

poznać lokatorów oraz ich licznych gości, zjednać sobie zaufanie grupy i postarać się zdobyć informacje o przywódcy noszącym przydomek Ajaks. Przydomek sugerował, że przywódca jest wielkim miłośnikiem futbolu, ponieważ Ajaks to nazwa znanego klubu piłkarskiego. Wszystko pozostawało jednak w sferze domysłów, bo Ajaks to również bohater mitologiczny, a o czym myślał ten cholerny przywódca, gdy wybierał sobie przydomek, można było jedynie podejrzewać.

Praca pracą, a cud swoją drogą. Oleg musi porozmawiać z żoną o tamtym lekarzu, do którego ona wciąż biega. Nie może się go nachwalić! Prawdziwy cudotwórca i czarodziej. Dobrze by było, gdyby podleczył Irę. Bez względu na koszty.

Rozdział 5

Powierzchnowość tajemniczego „mężczyzny w średnim wieku o miłej twarzy, z ciemnymi, przyprószonymi siwizną włosami” to rzecz nieokreślona i niepewna. Ustalenie szczegółów nie było więc proste.

Kto mógł go w miarę szczegółowo opisać? Po pierwsze, siostra Marfa. Po drugie, pielęgniarki w szpitalu, w którym leżeli Natasza, Olga i Pawlik Tieriochinowie. Po trzecie, same dzieci. Jednakże dzieci należało od razu wykluczyć, bo „wujek Sasza” mógł się pojawić w każdej chwili, a prostolinijni Pawlik, Ola i Natasza od razu by go poinformowali, że interesuje się nim milicja. O ile z siedemnastoletnią Nataszą jeszcze można się było ułożyć, to z opóźnioną w rozwoju Olą i małym Pawlikiem ten numer na pewno nie przejdzie. Od razu się wygadają. W tej sytuacji na pielęgniarki też nie warto liczyć. Kto wie, czy „wujek Sasza” nie płaci komuś za milczenie i za to, żeby go w porę informować.

Docenko mógł za to pracować bez przeszkód z lokatorami domu, w którym zabito Jekatierinę Wieniediktównę Aniskowiec. Poszukiwany mężczyzna raczej się tam nie zjawi. Nawet na pewno się nie zjawi. A jeżeli się zjawi, to znaczy, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem. Kłopot polegał jednak na tym, że tylko dwie osoby widziały go i zapamiętały. A najgorsze, że każda w innym czasie. Staruszka z parteru zapamiętała go jeszcze z tamtego okresu, kiedy w miarę regularnie odwiedzał Jekatierinę Wieniediktównę, lecz było to dość dawno. Krótco przed zabójstwem go nie widziała. Natomiast druga sąsiadka mieszkała w domu niedługo i zauważyła ciemnowłosego mężczyznę koło mieszkania Aniskowiec dwa dni przed zabójstwem, ale nie widziała go nigdy wcześniej.

Misza Docenko wiedział z doświadczenia, że z takimi dwoma świadkami nie dojdzie do ładu. To znaczy nie stworzy z ich

pomocą wiarygodnego portretu pamięciowego poszukiwanego mężczyzny. I tak się właśnie stało.

Ponieważ Docenko poznał już wszystkich lokatorów, postanowił skorzystać z usług artysty mieszkającego nad Aniskowiec. Fiodor dorabiał rysowaniem portretów na poczekaniu przy Centrum Wystawienniczym, sporo pił, ale oko nadal miał bystre, a ręka na razie jeszcze mu nie drżała, nawet gdy był na kacu.

Docenko zaczął od starszej kobiety. Anisja Łukiniczna pewnie dyrygowała pracą Fiodora i była ogromnie przejęta wagą powierzonego jej zadania.

- Wyostrz mocniej, jeszcze mocniej - przykazywała. - O tak. Nie, brwi nie takie, narysuj gęstsze... Teraz usta, po coś je wykrzywił, on miał usta ładne, duże...

Fiodor posłusznie poprawiał rysunek, zdając się na wskazówki kobiety.

- Za stary ci wyszedł - orzekła Anisja Łukiniczna, obrzucając krytycznym spojrzeniem ukończony portret. - Tamten wyglądał zupełnie inaczej.

No i od początku. Owal twarzy. Uczesanie. Nos. Usta. Brwi. Oczy. Podbródek. Zmarszczki.

- No a teraz jak? - z nadzieją zapytał Docenko.

- Teraz dobrze - stwierdziła zadowolona kobieta, która niebawem miała świętować dziewięćdziesiąte czwarte urodziny.

Z gotowym portretem zjawili się u drugiej sąsiadki, tej, która widziała „wujka Saszę” niedługo przed śmiercią Aniskowiec.

- Co też pan! - Kobieta zdziwiła się, ledwie zerknąwszy na rysunek. - To w ogóle nie on.

- Tak. - Docenko westchnął zmęczony. - Pięknie. No to wszystko od początku. Co pani ma na myśli, mówiąc „w ogóle nie on”?

- Jak to co? - Kobieta się zmieszała. - To, że nie jest podobny.

- To nie to samo - cierpliwie wyjaśnił Michaił. - Dobrze pani pamięta aktora Pierre'a Richarda?

- Który to? Ten tajemniczy blondyn w czarnym bucie?

- Zgadza się.

- Oczywiście. - Kobieta uśmiechnęła się. - Ma taką powie-

rzchowność, że trudno go z kimś pomylić.

-Więc proszę popatrzeć. - Docenko wyjął z portfela kilka zdjęć i jedno z nich pokazał kobiecie. - To on?

- A skąd - odparła natychmiast. - Jaki to Richard? To przecież Michaił Uljanow.

- A ten?

Docenko wręczył jej drugie zdjęcie, które przedstawiało mężczyznę starannie i umiejętnie ucharakteryzowanego na Richarda. Było jednak widać, że to nie jest francuski aktor. Pracując ze świadkami, Docenko zawsze nosił ze sobą kilka specjalnie przygotowanych zestawów zdjęć, bo zdążył się przekonać, że poglądowy przykład zawsze lepiej przemawia niż najbardziej szczegółowe ustne wyjaśnienia.

-Ten?

Kobieta się zamyśliła, uważnie przypatrując się twarzy na zdjęciu.

- W sumie podobny do Richarda. Ale moim zdaniem to nie on.

- Świetnie. Teraz niech pani spojrzy na kolejne zdjęcie.

Na trzecim zdjęciu był ten sam mężczyzna, tyle że bez charakteryzacji, za to w peruce doskonale imitującej uczesanie Richarda.

- Nie. - Pokręciła głową. - Ten nie jest podobny.

- Dlaczego? - szybko zapytał Docenko. - Niech się pani przyjrzy, uczesanie jest takie same.

- Ale twarz inna.

- I nos tej samej długości - naciskał Michaił.

- Nos tak, ale twarz jest inna. - Kobieta nie ustępowała.

- Teraz zrozumiała pani różnicę między „w ogóle nie on” a „niepodobny”?

Kobieta roześmiała się.

- Rzeczywiście... Coś takiego, ależ to ciekawe. Nigdy się nie zastanawiałam. Niech pan mi jeszcze raz pokaże rysunek.

Tym razem zaczęła uważniej studiować dzieło Fiodora.

-Tak, ma pan rację, nie da się powiedzieć, że to w ogóle nie on. Ma z nim coś wspólnego. Ale tamten mężczyzna miał węższe, mniej wydatne usta. I nie tak duże oczy...

Fiodor znowu zabrał się do pracy. W końcu spod jego ołówka

wyszła twarz, która nie miała prawie nic wspólnego z twarzą stworzoną pod okiem Anisji Lukiniczny.

Misza przewidywał, że tak właśnie będzie. Anisja Łukniczna widziała mężczyznę wiele razy, ale od tamtej pory minął szmat czasu. Facet nie pojawiał się od sześciu lat. Kiedy go widziała ostatnim razem, dobiegała dziewięćdziesiątki, więc to zupełnie naturalne, że wydawał jej się nieopierzonym młokosem, był przecież ze czterdzieści lat młodszy, jeżeli nie więcej. Natomiast druga sąsiadka widziała go teraz, gdy przybyło mu sześć lat, więc jej, dwudziestosiedmioletniej kobiecie, wydawał się pewnie sędziwym starcem. Stąd właśnie różnice w odbiorze jego twarzy i w opisie rysów. Nie, z tą parą Misza niczego nie wskóra.

Docenko podziękował młodej kobiecie i zaczął się żegnać z Fiodorem na klatce schodowej.

- Może pan wpadnie do mnie? - gościnnie zaproponował artysta. - Strzelimy sobie po pięćdziesiątce, co pan na to?

Na alkohol Misza nie miał ochoty, na dworze panował upał, a on powinien właściwie wrócić do pracy, zebrało się sporo spraw. Twardo przestrzegał jednak przykazania: ze świadkami należy żyć w zgodzie. A zwłaszcza z bezinteresownymi pomocnikami. Fiodor pewnie się nie obrazi, jeżeli Misza nie wstąpi do niego przepłukać gardło, ale następnym razem raczej trudno będzie liczyć na zrozumienie i pomoc z jego strony. A wzmiankowany następny raz może się zdarzyć już jutro. Docenko zawsze zazdrosnym okiem obserwował kolegów, którzy pracowali w wydziale kryminalnym dłużej niż on i nierzadko rzucali konfidencjonalnie: „Mój człowiek mi doniósł...”. Jakby mieli swoich informatorów na każdej ulicy i w każdej instytucji. Natomiast Misza miał ich jak dotąd niewielu. Kto wie, a nuż Fiodor kiedyś mu się przyda...

- Czemu nie? - odparł wesoło. - Dziękuję za zaproszenie. No to skoczę po zakąskę.

- Mam wszystko. - Artysta się ożywił. - Niczego nie trzeba.

Wspięli się dwa piętra wyżej. Mieszkanie, w którym znajdował się pokój Fiodora, zajmowało pięć rodzin.

Długi, wąski korytarz był zastawiony najprzeróżniejszym

sprzętem: obok miednic i wiader stały rowery i narty.

- Wejdz tutaj, tylko ostrożnie, nie pobrudź się - uprzedził artysta. - Drzwi są pomalowane, jeszcze nie wyschły.

Pokój Fiodora był duży i jasny, z wysokim sufitem. Od razu rzucała się w oczy obecność kobiety. Świeżo uprane zasłony na wypucowanych oknach, brak kurzu i eleganckie słoiczki z kremami na stoliku przy kanapie.

- Nie będziemy przeszkadzać twojej pani? - na wszelki wypadek zapytał Michaił. - Jak wróci, to pewnie urządzi awanturę, że sobie popijamy.

- Nie wróci - beztrwosko odrzekł Fiodor. - Dzisiaj ma dwudziestoczworogodzinny dyżur, zjawi się dopiero jutro rano.

- No to w porządku.

Podczas gdy Fiodor nakrywał do stołu, wyjmując jedzenie z lodówki, która stała w kącie pokoju, Docenko oglądał porozwieszane na ścianach rysunki.

- To twoje prace?

- Uhm - mruknął artysta. - Podobają ci się?

- Owszem. Myślałem, że malujesz tylko na ulicy, a rysunki od razu oddajesz klientom.

- Nie, nie zawsze. Bywa, że klient nie chce wziąć, bo mu się nie podoba. Wtedy rysunek zostaje u mnie. No i w ogóle, dla treningu, żeby ręka nie wyszła z wprawy.

- A kogo rysujesz dla treningu?

- Kogokolwiek, sąsiadów, znajomych albo po prostu z głowy. Wiesz, zimą pracy jest mało, późno się rozwidnia, wcześniej robi się ciemno, nikt nie ma ochoty stać na mrozie, ani ja, ani klienci. Więc zimą dorabiam raczej w wydawnictwach, oczywiście nie w dużych, tam mają swoich grafików, zajmują się drobiazgami, a to zrobię okładkę, a to plakat reklamowy. Żeby nie wyjść z wprawy, muszę rysować wszystkich jak leci. Portret ołówkiem wymaga specjalnych umiejętności, zwłaszcza szybki. Ciągłe muszę ćwiczyć, żeby uwydatniać rysy twarzy, które są najbardziej rozpoznawalne, inaczej klient powie, że podobieństwo jest kiepskie. Siadaj, wywiadowco, nalane.

Misza usiadł przy stole, podniósł kieliszek, nieufnie lustrując przygotowaną przez Fiodora zakąskę.

- No to za znajomość - zaproponował.

- Za znajomość. - Fiodor przytaknął skinieniem głowy.

Wypili toast i sięgnęli po zakąskę: szproty w puszcze i pokrojone pomidory. Artysta od razu nappełnił opróżnione kieliszki.

- Gdzie ci tak spieszo? - Docenko próbował stawić opór.

- Tak trzeba. Żeby kula nie zdążyła przelecieć - rzeczowo wyjaśnił Fiodor. - Wypijmy teraz za ciebie, za twoje powodzenie. Bo bez powodzenia nic nie zdziałasz.

- Zgadza się - potwierdził Docenko, z przerażeniem myśląc, że może kula nie zdąży przelecieć w przerwach między toastami, ale efekt takiego picia będzie nie lepszy niż rana postrzałowa. Zaburzenie równowagi i utrata świadomości. Nie, niech już kule sobie latają, można się przed nimi uchylić, a przed alkoholem przenikającym do organizmu nie ma ucieczki.

Znowu wstał i podszedł do wiszących na ścianie rysunków.

- Kto to? - zapytał, pokazując na portret ładnej dziewczyny z obnażonymi ramionami.

- Przyjaciółka faceta z sąsiedniego mieszkania. Dawno go rzuciła, a portret wisi. Ładna, co? Myślałem, że uda mi się wcisnąć sąsiadowi na pamiątkę, ale nie wziął. Nie chcę, mówi, widzieć tej zdiury na oczy.

- Ja bym wziął. - Docenko się roześmiał. - Kocham wszystkie swoje przyjaciółki, nawet te, które mnie rzuciły. Bo rzuciły mnie nie dlatego, że to zdiury, ale dlatego, że nie jestem dostatecznie przystojny. Czemu miałbym je obwiniać?

Alkohol spożyty na pusty żołądek szybko dał o sobie znać, więc Michaił chciał przedłużyć przerwę, żeby nie doszło do nieszczęścia. Wziął ze stołu grubą pajdę Chleba i kawałek kielbasy, po czym ruszył ku drugiej ścianie. Jego uwagę przyciągnął portret mężczyzny, który wydał mu się dziwnie znajomy.

- A to kto?

- Licho go wie! Wymyśliłem z głowy.

- Do kogoś jest podobny...

- Możliwe. - Fiodor wzruszył ramionami, zapalając papierosa.

- Wszyscy ludzie są do siebie podobni, mówię ci to jako artysta.

Wszystkich odmian nosów, ust i oczu jest może z piętnaście, a jeśli chodzi o kształt brwi, to jeszcze mniej. Cała sztuka polega na różnych kombinacjach. O, widzisz ten rysunek między oknami? To mój przyjaciel, kiedyś zarabialiśmy razem na boku przy wystroju muzeum. A teraz spójrz na siebie w lustrze.

Michaił zerknął na rysunek: twarz rzeczywiście była bardzo podobna do jego własnej. Znowu przesunął wzrok na interesujący go portret. Naprawdę ten mężczyzna kogoś mu przypominał.

- Kiedy to malowałeś?

- Dokładnie nie pamiętam. - Fiodor rozłożył ręce. - Niedawno. Zdejmij go i zobacz na odwrocie, zawsze zapisuję datę.

Docenko zdjął rysunek ze ściany i odwrócił. Nakreślona data go zaniepokoiła. Dwudziestego czwartego maja, kilka dni przed zabójstwem Jekatieriny Wieniediktowny. Wymyślił z głowy! Jasne. Michaił szybko wyjął z dyplomatki rysunki zrobione przez Fiodora na podstawie opisów świadków.

- Popatrz no tutaj - zażądał. - Tylko dobrze się przyjrzyj.

Fiodor pochylił się nad rysunkami, później przyłożył do nich portret wymyślonego mężczyzny.

- Ta-ak - wycedził. - Podobny. To znaczy, że przypadkiem wymyśliłem faceta, który odwiedzał nieboszczkę? Słuchaj, a może ja jestem jakimś jasnowidzem, co?

- Żaden z ciebie jasnowidz. Po prostu zobaczyłeś go i zapamiętałeś, ale nie zwróciłeś na to uwagi. Zabrałeś się do rysowania i uznałeś, że sam go wymyśliłeś. No, może w połowie wymyśliłeś, a w drugiej połowie namalowałeś to, co niedawno widziałeś.

- To ci dopiero. - Artysta pokręcił głową. - Nie do wiary.

- A teraz uważaj. Babka Łukicznina mówiła, że facet ma duże usta, a młoda sąsiadka twierdziła, że są węższe, mniej wydatne. Na twoim rysunku są średnie, ale kształt we wszystkich trzech wariantach jest jednakowy. A więc możemy uznać, że jest właściwy. Weźmy nos. Babka mówi, że facet ma nos z garbkiem, natomiast młoda kobieta milczy na ten temat. A zatem mogła go widzieć jedynie en face i dlatego nie zauważyła garb- ka. Mężczyzna na twoim rysunku ma również garbaty

nos. A skąd się wzięło znamię? Rzeczywiście było czy je wymyśliłeś?

- Kto je tam wie. Zupełnie nie pamiętam. Mogłem wymyślić.
- Masz jakichś znajomych ze znamionami na policzku?
- Zaczekaj chwilę, muszę sobie przypomnieć.

Fiodor w zamyśleniu wypił trzeci kieliszek, nie nalegając już, żeby wywiadowca dotrzymał mu towarzystwa.

- Znam takiego faceta. Piętkę Malachowa. A po co ci on?
- Mnie on jest potrzebny jak wrzód na dupie - obcesowo odparł Docenko. - Możesz go szybko narysować? Mniej więcej, z pamięci.

Kilka minut później na czystej kartce papieru pojawił się szkic twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi i znamieniem z lewej strony. Mężczyzna na interesującym Docenkę portrecie miał identyczne kości policzkowe i znamię położone w tym samym miejscu.

- Wygląda na to, że kości policzkowe dla tego wymyślonego mężczyzny pożyczylesz od swojego Małachowa - podsumował Michał. - To znaczy, że on ma inne.

- No zobacz. - Fiodor znowu się zdziwił. - Rzeczywiście dorobiłem mu kości policzkowe Piętki. I nawet nie zauważyłem. Ale ty masz oko!

- Ty też. - Docenko się uśmiechnął. - Teraz poszukaj dołeczka na podbródku.

- Gdzie mam szukać? - Artysta nie zrozumiał.

- U swoich przyjaciół. U sąsiadów. Komu tam jeszcze robisz portrety?

Fiodor długo wpatrywał się we własny rysunek, próbując sobie przypomnieć, u kogo mógł podpatrzeć dołek na podbródku, ale nic mu nie przyszło do głowy.

- No cóż, załóżmy, że facet rzeczywiście ma dołek na podbródku. Dobra, Fiedia, kończ picie i bierz się do pracy. Siadaj i rysuj nowy portret. Usta, nos i podbródek, jak na tym rysunku, owal twarzy, jak powiedzieli świadkowie. Dasz radę? I dobrze się przyjrzyj, jeżeli jakieś rysy twarzy powtarzają się na wszystkich trzech rysunkach, zwróć na nie szczególną uwagę. Od siebie staraj się niczego nie dodawać, twoje pomysły nie są

mi potrzebne. Jak zrobisz ten rysunek, zaczniesz następny.

- Jaki następny?

- Najpierw zrób ten, później powiem, co dalej. Żeby nie sterczeć ci nad głową, skoczę do sklepu i przyniosę parę butelek w ramach podziękowania. Pasuje?

- No pewnie. - Fiodor się rozpromienił.

Perspektywa pracy początkowo nie wzbudziła jego entuzjazmu. Liczył, że czas, w którym jego przyjaciółka miała całodobowy dyżur, spędzi o wiele przyjemniej, w towarzystwie kieliszka, butelki i zakąski, a jeśli mu się poszczęści, to również z miłym kompanem. Jednak obietnica darmowej wypitki zmusiła go do spojrzenia na problem z innej strony.

Pół godziny później Docenko wrócił z dwiema butelkami drogiej wódki w reklamówce.

- Gotowe?

- Gotowe.

Fiodor wręczył mu rysunek. Było w nim coś sztucznego, nienaturalnego, naciąganego, jak bywa, gdy rysuje się nie pod wpływem natchnienia, ale starannie, po szkolnemu, łącząc poszczególne elementy w obawie, żeby czegoś nie pomylić. Mężczyzna na rysunku nie był żywy, przypominał raczej robota. Michaił z satysfakcją odnotował, że pierwszy etap eksperymentu się udał. Właśnie taki rysunek powinien być powstać.

- Co mam dalej robić? - zapytał Fiodor, obrzucając butelki chciwym spojrzeniem.

- Teraz zamkniesz oczy, odpoczniesz z dziesięć minut, później wyrzucisz te wszystkie obrazki do kosza, weźmiesz czystą kartkę papieru i narysujesz mi tego mężczyznę z pamięci. Nie na wpół martwego cyborga, którego przed chwilą stworzyłeś, ale normalnego, żywego faceta koło pięćdziesiątki, z miłą, ujmującą twarzą, a nawet sympatycznego. Zrozumiałeś? Jeżeli ci się uda, zostawię cię w spokoju, i będziesz mógł sobie pić, ile dusza zapagnie.

Godzinę później Misza Docenko opuścił mieszkanie Fiodora, niosąc w dyplomatce pięć rysunków, które nie miały ze sobą prawie nic wspólnego. Był jednak pewien, że przynajmniej dwa

z nich przedstawiają tamtego mężczyznę, który odwiedzał Jekatierinę Wienie- diktownę Aniskowicz niedługo przed jej tragiczną śmiercią. Należało tylko wybrać ten właściwy.

W niedzielę po południu Oleg Żesterow zadzwonił do drzwi mieszkania Iry Tieriochinej. Wcześniej zajrzał na bazar, przeprowadził mały rekonesans i upewnił się, że Ira jest pochłonięta pracą. Kręciła się między ciasno ustawionymi straganami z odzieżą i butami, ciągnąc za sobą torbę na kółkach i wesoło pokrzykując:

- Papierosy! Woda! Mineralna, owocowa, niegazowa- na, sprite, dr pepper, cola!

- Gorące przekąski! Hamburgery, cheeseburgery, świeże bielaszki⁴, szaszłyki!

- Sałatki włoskie, z krabów, z krewetek, z szynką!

- Gorąca herbata! Gorąca kawa, czarna i ze śmietanką!

Handel szedł pełną parą, w niedzielę było tu mrowie klientów, między innymi przyjezdnych, którzy pragną w ciągu jednego dnia ubrać się od stóp do głów, chodzą więc od stoiska do stoiska aż do wieczora i muszą też, oczywiście, coś zjeść i wypić. Upewniwszy się, że w najbliższym czasie Ira raczej się stąd nie wyrwie, Oleg wsiadł do swojego volkswagena i pojechał do jej mieszkania. Właśnie stał teraz przed drzwiami, z napięciem wsłuchując się w ledwie słyszalne szmery. Dom był stary, solidny, murowany, ze świetną izolacją dźwiękoszczelną. Dzisiejsze wielkopłytowe bloki, budowane w pośpiechu, nie mogły się z nim równać. W bloku wystarczy, że ktoś na dole kichnie, a na górze drżą szyby. Czy ktoś otworzy mu drzwi? Jeśli tak, to kto? Iljas, który według danych operacyjnych wrócił już z podróży? Czy nieznany sąsiad Gieorgij Siergiejewicz, z którego tyle pożytku, co kot napłakał? Idealnie byłoby trafić na spotkanie koleśków Iljasa, zrobić zafrasowaną minę, nawinąć im o Irze, z którą się umawiał... Czemu nie? To całkiem prawdopodobne. Irka pracuje zawsze w

⁴ Bielaszki - paszteciki drożdżowe nadziewane mięsem, smażone na oleju (przyp. tłum.).

tym samym czasie, może się zjawić przed piątą jedynie wtedy, gdy bazar zostanie zamknięty, ale przecież bazar jest niedaleko, zawsze można skoczyć i rzucić okiem, czy wszystko w porządku. Jeśli nikt nie wysadził go w powietrze, handlarze nie pakują manatków, to znaczy, że właścicielki w mieszkaniu na pewno nie ma. Zresztą sądząc z opowieści Iry, chłopcy z grupy kazańskiej wcale jej się nie krępowali, spotykali się, kiedy im pasowało, bez względu na porę dnia czy nocy. Co innego drugi lokator, jak mu tam, Georgij Siergiejewicz. Chociaż jeżeli to prawda, co mówiła Ira, członkowie grupy nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Facet jest spokojny, cichy, do niczego się nie wtrąca. A jednak długo nikt nie otwiera. Może w mieszkaniu nikogo nie ma?

W końcu Oleg usłyszał pewne, szybkie kroki.

- Chwileczkę! - rzucił ktoś głośno za drzwiami. - Już idę.

Drzwi otworzyły się szeroko i Oleg zobaczył mężczyznę w sile wieku w krótkim, ciemnym, włochatym szlafroku. Włosy miał mokre, więc Oleg domyślił się, że lokator brał prysznic, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Dlatego tak długo nie otwierał.

- Bardzo przepraszam - zaczął zmieszany Żesterow. - Szukam Iry. Jest u siebie?

- Proszę wejść - przyjaźnie odparł mężczyzna, wpuszczając Olega do przedpokoju.

To oczywiście nie jest Iljas. A więc Georgij Siergiejewicz. No cóż, trudno, nie będę szukał dziury w całym, pomyślał Oleg, trzeba pracować z tym, co jest.

- Iroczi nie ma, poszła do pracy. Ale jeśli ma pan coś pilnego, wytłumaczę, jak ją znaleźć, to niedaleko.

- Właściwie... - Oleg zawahał się. - Tego, czego chciałem, już się dowiedziałem. Skoro jest w pracy, to znaczy, że wszystko w porządku.

- Co pan ma na myśli? - surowo zapytał lokator. - Co w porządku?

-Widzi pan, wczoraj byliśmy razem na kolacji... Odniosłem wrażenie, że Ira nie jest przyzwyczajona do jedzenia w restauracji. Ale pomyślałem o tym dopiero później, kiedy już wróciłem do domu. Niech pan czasem nie sądzi, że wtrącam się

w nie swoje sprawy, ale moim zdaniem Ira chyba nie dojada i po kolacji mogła źle się poczuć, to się dość często zdarza. Więc wpadłem się dowiedzieć, czy wszystko w porządku. Pan jest jej ojcem?

- Nie, młody człowieku. Ojciec Iroczki dawno umarł. Wynajmuję u niej pokój. Jeżeli pan się nie spieszy, to może chwilę porozmawiamy.

- Tak, bardzo chętnie - odparł Oleg z udawanym roz-targnieniem, z trudem ukrywając radość.

Nie da się dwa razy prosić! To nie on narzuca się lokatorowi, nie pcha się z rozmowami i dokuczliwymi pytaniami. Lokator nawiązuje z nim kontakt z własnej inicjatywy.

- Wobec tego chodźmy do mojego pokoju, tam będzie nam wygodniej.

Tak, w porównaniu z pokoikiem, który zostawiła sobie Ira, pokój Gieorgija Siergiejewicza przypominał królewski pałac. Był największy, miał jakieś dwadzieścia pięć metrów. Znajdował się w nim komplet wyściełanych mebli, lampa koło fotela w rogu, kolorowy telewizor i dwa okna wychodzące na park. Pokój jak marzenie.

- Nazywam się Gieorgij Siergiejewicz - przedstawił się lokator, usadzając gościa w fotelu i zajmując miejsce obok niego na kanapie. - A pan?

- Oleg. Albo Alik, jeśli pan woli.

- Dawno zna pan Irę?

- I tak, i nie. - Oleg się uśmiechnął. - Obserwuję ją już od dwóch miesięcy, ale zagadnąłem ją dopiero kilka dni temu.

- Co to znaczy obserwuję? - Lokator zachmurzył się. - Czyżby pan ją śledził?

- Ależ skąd! - Oleg roześmiał się wesoło, czując w środku nieprzyjemny chłodek. Cichy, skromny lokator. A przejrzy człowieka na wylot. - Zobaczyłem Irę w restauracji, w której pracuje, i zwróciłem na nią uwagę, bo jest niezwykle podobna do mojej mamy. Zacząłem specjalnie tam przesiadywać, żeby na nią popatrzeć. I na tym koniec.

- A właściwie, młody człowieku, czym się pan zajmuje? Ma pan jakąś pracę?

- Jestem ochroniarzem w prywatnej firmie. W pańskich oczach to pewnie niezbyt wzniosłe zajęcie, prawda? - Zesterow się uśmiechnął.

- Niech pan posłucha, Oleg - ze smutkiem powiedział Gieorgij Siergiejewicz. - Jestem daleki od tego, żeby oceniać ludzi czy kogokolwiek pouczać. To nie moja specjalność. Jestem zwyczajnym księgowym i nie mam zielonego pojęcia o pracy ochroniarza w prywatnej firmie. Nie wiem, czy to dobre zajęcie, czy złe. Mam dorosłe dzieci i wiem tylko jedno: zupełnie nie rozumiem otaczającego mnie świata. Nie rozumiem swoich dzieci, zupełnie nie rozumiem słów, które wypowiadają, gdy rozmawiają przez telefon ze swoimi przyjaciółmi, nie rozumiem lokatorów Iroczi, wszystkich tych Szamilów i Iljasów. To jakieś inne życie, zupełnie mi obce, do którego już się chyba nie przyzwyczaję. Ale nawet w tym obcym życiu są rzeczy, które się nie zmieniły. Chcę, żeby pan o tym wiedział. Iry nie wolno skrzywdzić. Czy to jasne, Oleg? Niech się pan teraz zastanowi i zdecyduje, czy jest pan pewien, że uda się panu jej nie skrzywdzić. Bo jeśli nie jest pan tego pewien, zamknę za panem drzwi i więcej się pan z Iry nie spotka.

Żesterow uważnie spojrział na lokatora.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - rzekł spokojnie. - Dlaczego miałbym ją skrzywdzić? Czyżby skarżyła się panu na mnie? Mówiła, że ją skrzywdziłem czy obraziłem? Oczekuję od pana wyjaśnień, szanowny Gieorgiju Siergiejewiczu.

- Niech się pan nie gorączkuje, młody człowieku, i wysłucha mnie do końca. Nie wiem, czy Ira opowiadała panu historię swojego życia. Jeżeli opowiadała, to znaczy, że wszystko pan rozumie. Natomiast jeżeli nie, to niech pan po prostu uwierzy mi na słowo: Ira ma bardzo ciężkie życie. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak ciężkie. Tak, ma pan rację, że nie dojada. Śpi po cztery godziny na dobę albo i mniej, pije tylko herbatę bez cukru, je chleb z wstrętą, tanią margaryną. Jest bardzo chora, chociaż chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Widział pan jej twarz? Niech pan mi wierzy, że to nie jest oznaka zdrowia. Ubiera się byle jak, bo oszczędza każdego rubla. To dumna dziewczyna i prawie zawsze odmawia, gdy ją czymś częstuję,

choć ciągle staram się ją podkarmić, podsunąć jej coś smacznego i świeżego. Jestem dla niej nikim, obcą osobą. Gdy tylko moja była żona rozwiąże problem zamiany mieszkania, od razu się stąd wyprowadzę. Chcę jednak pana uprzedzić, że póki tu jestem i zobaczę, że Ira przez pana cierpi, podejmę odpowiednie działania.

- Ciekawe jakie? - kpiąco zapytał Żesterow.

Podobał mu się ten lokator. Przebieg rozmowy zapewnił Olegowi zdobycie minimum informacji, musiał tylko płynnie skierować rozmowę na drugiego lokatora, a tym samym na grupę z Kazania.

- Czy pan wie, kto jeszcze tu mieszka? - Gieorgij Siergiejewicz odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Nie wiem. A kto?

- Typy spod ciemnej gwiazdy. Irocza chyba o tym nie wie, rzadko bywa w domu, za to ja mam uszy i oczy otwarte, zwłaszcza wieczorami, kiedy ona pracuje w Glorii. Aż do tej chwili nasza młoda właścicielka mieszkania jest dla nich osobą nietykalną, ponieważ ani razu nie dała im pretekstu, żeby się do niej zbliżyli... Chyba pan rozumie, co mam na myśli. Oni też mają serce i o dziwo, rozumieją, czym jest dobro, a czym zło. Więc jeżeli pan skrzywdzi Irę, będzie pan miał do czynienia nie ze mną, lecz z nimi. Bo kimże ja jestem? Niemłodym i schorowanym samotnym księgowym, którego nie musi się pan bać. Ale ten Szamil, Tofik, Rafik oraz Iłjas należą do zupełnie innej kategorii ludzi, zapewniam pana. W obronie właścicielki mieszkania, które wynajmują, nie zawahają się skoczyć panu do gardła.

No proszę, mamy już Tofika i Rafika. Wspaniale. Szamil i Iłjas to lokatorzy, dawny i obecny. Tofik to najprawdopodobniej Mamiedow, też niezły ptaszek. A Rafik? Jakiś nowy typek. W materiałach dotyczących rozpracowania grupy nieuchwytnego Ajaksa żaden Rafik do tej pory nie figurował. Trzeba wypytać o niego Gieorgija Siergiejewicza.

- Boże, ilu ich jest! - Oleg uniósł ręce w żartobliwym geście. -

I co, wszyscy tu mieszkają?

- Nie, mieszka tylko jeden, Iłjas. Reszta to jego kumple, ale

bywają tu regularnie. Coś przynoszą, wynoszą, przekazują jakieś dokumenty. Podejrzane towarzystwo, jednym słowem. Nie sądzę, żeby miał pan ochotę poznać ich bliżej.

- Dobrze, Georgiju Siergiejewiczu, zrozumiałem, o co panu chodzi, i ze swojej strony chcę pana zapewnić, że nie zamierzam wyrządzić Irze żadnej krzywdy. Przeciwnie, chciałbym, żeby udzielił mi pan rady.

- Rady? - zdziwił się lokator. - Jakiej?

- Jak mam pomóc Irze, nie urażając jej dumy i ambicji. Zdążyłem już zauważyć, że do każdej propozycji pomocy podchodzi bardzo ostrożnie, a nawet wrogo. Ale pan zna ją lepiej i pewnie potrafi mi podpowiedzieć, w jaki sposób mogę zrobić dla niej coś dobrego i pożytecznego.

- Naprawdę chce pan jej pomóc? - nieufnie zapytał Georgij Siergiejewicz.

- Oczywiście. Wprawdzie nie jestem bogaty, ale jakieś fundusze się znajdują, więc gdyby pan mi podpowiedział...

- Niech pan jej kupi ubranie. Sam pan widział, w czym chodzi. Ma zaledwie dwadzieścia lat i chciałaby wyglądać nie gorzej niż inne dziewczęta.

- A może lepiej dawać jej pieniądze na jedzenie? Sam pan powiedział, że nie dojada.

- To bez sensu. Jeżeli dostanie pieniądze do rąk, od razu pobiegnie kupić coś dla sióstr i brata.

- Więc może po prostu przynosić jej żywność?

- Zapomina pan, Oleg, że Ira odzwyczaiła się od dobrego, pełnowartościowego jedzenia. Jeżeli rzuci się łapczywie na to, co pan jej przyniesie, może wyładować nawet w szpitalu. Wygląda na to, że ma zakłóconą przemianę materii, definitywnie i nieodwracalnie.

- W takim razie nie rozumiem, jak może tyle pracować, skoro nie dojada? Już dawno powinna była paść ze zmęczenia.

- A siła ducha? A wola, dążenie do celu? Nie docenia pan Iroczki. To naprawdę zadziwiająca istota. Ma żelazną wolę zwycięstwa, która dodaje jej sił, nie pozwala się poddać. Powtarzam panu, Oleg, że jedyna przysługa, którą może pan jej oddać, to kupić dobre ubranie. Najważniejsze, żeby rzeczy były

cieple, bo Ira marznie zimą. Dobre buty, ciepłe i nieprzemakalne. Niech pan mi wierzy, że to najlepsze rozwiązanie. Ale jeszcze raz pana uprzedzam: jeżeli zamierza pan pomagać jej przez trzy dni, a później zniknąć, to lepiej niech pan zniknie już teraz. Chcę, żeby uświadomił pan sobie sytuację, młody człowieku. Ani razu, odkąd mieszkam u Iry, nie przyprowadzała tu mężczyzn. Przypuszczam, że nawet się z nimi nie spotykała, przy jej trybie życia nie ma na to ani czasu, ani sił, ani możliwości. Jeżeli teraz wyciągnie pan do niej rękę i ją przygarnie, Ira natychmiast się do pana przywiąże i obdarzy uczuciem. Będzie szczęśliwa. A pan? Po co to panu? Chyba nie zacznie mnie pan zapewniać, że to dziewczyna pańskich marzeń, prawda? Jest biedna, chora i brzydka, obciążona czterema inwalidami, którzy, jakkolwiek obraźliwie to zabrzmie, będą jej kulą u nogi jeszcze przez wiele lat. Jest nieskończenie przyzwoita i uczciwa, lecz zarazem niewykształcona i opryskliwa, źle wychowana, ma trudny charakter. Szybko się panu znudzi. I co potem? Złamie pan jej serce. Oczywiście moi osobliwi sąsiedzi odszukają pana i wytłumaczą, że nie ma pan racji. Nie brak im temperamentu, a ponadto są wrażliwi na punkcie kobiecej i męskiej godności, więc sądzę, że po rozmowie z nimi pożegna się pan z tym światem. I kto na tym zyska? Ira? Pan? Nie. Więc jeszcze raz usilnie pana proszę, Oleg, żeby nie podejmował pan pochopnych kroków, póki może się pan jeszcze wycofać. Mam nadzieję, że to jeszcze możliwe?

Georgij Siergiejewicz spojrział Olegowi prosto w oczy. Pod jego badawczym wzrokiem Żesterow poczuł się nieswojo.

- Oczywiście - wymamrotał. - Zastanowię się nad tym, co pan mi powiedział.

- Mam przekazać Irze, że pan był? Czy nie trzeba?

- Nie trzeba. Przecież obiecałem, że się zastanowię.

- No to świetnie. - Georgij Siergiejewicz uśmiechnął się. - Cieszę się, że pan mnie zrozumiał i znaleźliśmy wspólny język. Odprowadzę pana.

Ciekawy typ z tego Georgija Siergiejewicza. Proszę, jak stanął w obronie właścicielki mieszkania! Nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. Oleg Żesterow był jednak bardzo zadowolony ze

spotkania. Po pierwsze, legalizował swoje pojawienie się w mieszkaniu Iry Tieriochinej. Po drugie, dowiedział się, że w grupie kazańskiej jest jakiś nieznany Rafik, którym należało natychmiast się zainteresować. I po trzecie, Gieorgij Siergiejewicz dostarczył Olegowi pretekstu do zawarcia znajomości z Iljasem. Pretekst był wiarygodny, nie niósł ze sobą żadnego ryzyka i łatwo go było sprawdzić. Wystarczyło przyjść do Iljasa i powiedzieć:

- Słuchaj, zacząłem kombinować z właścicielką mieszkania... Tymczasem... Wasz sąsiad jest jakiś dziwny, zaczął mnie straszyć, że jeżeli coś pójdzie nie tak, to naśle na mnie ciebie i twoich kumpli. Postawmy więc od razu sprawę po męsku, żeby potem nie było niepotrzebnych nieporozumień.

O wpadce w tych okolicznościach nie ma mowy. Gieorgij Siergiejewicz w każdej chwili potwierdzi, że Oleg właśnie o tym z nim rozmawiał. Ira też potwierdzi, że ją odwiedza. Jeżeli umiejętnie pokieruje rozmową, to najdalej za dwa dni będzie kumplem Iljasa. A wtedy znajomość z Tofikiem i Rafikiem to tylko kwestia czasu.

Poniedziałek był szczerze wypełniony różnymi zajęciami naukowymi i organizacyjnymi, więc musiał przenieść wizytę Wiery na wieczór. Kilka razy w ciągu dnia dzwoniła do gabinetu i kapryśnym tonem dopytywała się, kiedy może przyjść. Kłopot polegał na tym, że zabieg należało wykonywać tylko na czczo, więc zazwyczaj starał się przyjmować Wierę przed południem, żeby nie męczyła się bez jedzenia. Jednakże dzisiaj się nie udało. Miał wprowadzić dwugodzinną przerwę między spotkaniami i naradami, ale w tym czasie zgodnie z grafikiem laboratorium było zajęte.

Przed siódmą do gabinetu zajrzał technik.

-Waleriju Wasiljewiczu, wyłączam sprzęt, chyba że będzie panu jeszcze potrzebny?

- Wyłącz. - Mężczyzna skinął głową, nie podnosząc wzroku. - Tylko zostaw mi klucze, jutro rano przyjdę wcześniej.

Dziesięć minut później technik przyniósł klucze do labora-

torium, pożegnał się i wyszedł. Odczekawszy chwilę, Walerij Wasiljewicz wyjął z szafy pancерnej pojemnik, opuścił gabinet, otworzył laboratorium, znowu włączył aparaturę i wsunął pojemnik w specjalny otwór. Nie chciał, żeby wszyscy wiedzieli, że przyjmuje pacjentów po godzinach. Zwierzchnicy tego nie aprobowali.

Wiera wpadła do gabinetu z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- No to jak, możesz w końcu się mną zająć? - niemal krzyczała.
- Zaraz zemdleję z głodu!

- Nie krzycz, proszę - zauważył spokojnie. - Przecież proponowałem, żeby przenieść badanie na jutro rano.

Ja tutaj pracuję, kochanie, nie zabawiam się, więc nie zawsze dysponuję czasem.

- Jak to na jutro? - oburzyła się Wiera. - Przecież sam mówiłeś, że powinnam sumiennie przestrzegać wszystkich zaleceń lekarskich. Jeżeli badanie ma być dzisiaj, to dzisiaj. A nuż nabawiłam się jakiejś choroby? Dzisiaj ją zauważysz, a jutro już będzie za późno. O nie, nie ma mowy. Chodźmy szybko do laboratorium, później wreszcie coś zjem, bo już mi słabo.

- Wieroczko - powiedział łagodnie - doceniam twój stosunek do moich zaleceń, ale we wszystkim należy zachować umiar. Badam cię regularnie i zapewniam, że nie masz żadnych podstaw do niepokoju.

Znajdowali się już w laboratorium, gdzie Wiera pospiesznie się rozbierała. Za chwilę położy się na wózk, który wjedzie do komory.

- A ja słyszałam, że są takie choroby, które rozwijają się... jak to się mówi... aha, już wiem. Lawinowo. W ciągu kilku godzin. A jeśli złapię coś takiego? Dzisiaj dostrzeżesz choróbsko i podejmiesz odpowiednie działania, a jutro może już nie będziesz mógł nic zrobić.

- Uspokój się, proszę. - Jej głupota zaczynała go drażnić. - Jeżeli choroba zacznie się rozwijać w lawinowym tempie, to równie dobrze może do tego dojść nazajutrz po badaniu. Nie panikuj. Rozbierz się i połącz na wózk.

Ona naprawdę będzie zwariowaną mamuszką, myślał, jak

zwykle się przebierając, opuszczając ekran ochronny i włączając aparaturę. - No cóż, to całkiem niezłe, to znaczy, że wychowa dobre dziecko.

Po powrocie do gabinetu Wiera natychmiast sięgnęła do torby, wyjęła kanapkę z serem i duże czerwone jabłko, po czym z rozkoszą wbiła zęby w soczysty owoc.

- Aha, króliczku, chciałam z tobą porozmawiać. Tylko się nie bój.

- Czego miałbym się bać? - Odwrócił się do niej zdziwiony, odrywając się od dziennika, w którym prowadził notatki.

- Oleg, mój mąż, chce, żebyś udzielił konsultacji jego znajomej. Przyjmiesz ją?

- Czyś ty zwariowała? - syknął, ciskając pióro i z trzaskiem zamykając dziennik. - Jak to twój mąż mnie prosi? Dowiedział się o nas?

- Nie szalej - spokojnie odparła Wiera, z apetytem pochłaniając kanapkę. - Doskonale wie, że jestem pod obserwacją lekarza, i to nie byle jakiego, ale najlepszego, u którego leczy się cała moskiewska elita. A coś ty myślał? To też miałam przed nim ukrywać? Przeciwnie, ciągle podkreślam, że bardzo trudno się do ciebie dostać, że niechętnie przyjmujesz nowych pacjentów, więc muszę przychodzić na wizyty w wyznaczonym terminie, nawet jeżeli mnie albo jemu to nie na rękę, bo inaczej skreślisz mnie z listy swoich pacjentów. Jesteś człowiekiem zapracowanym, więc jeżeli wyznaczasz mi wizytę na ósmą albo dziewiątą wieczorem, muszę się podporządkować bez szemrania. Myślisz, że łatwo mi się wyrwać na spotkania z tobą wieczorami?

- Jesteś pewna, że on o nas nie wie? - zapytał już nieco spokojniej.

- Na sto procent. Oleg jest przekonany, że to jego dziecko.

- A może to z jego strony sprytne posunięcie? - Znowu się zaniepokoił.

- Jakie posunięcie? Co ty pleciesz?

- Może zaczął coś podejrzewać albo widział nas razem i teraz szuka pretekstu, żeby poznać rywala?

- Też coś! - Wiera parsknęła śmiechem. - Szuka pretekstu, no

jasne. Gdyby żywił choć cień podejrzenia, już byś tu nie siedział. I to bez żadnego powodu. W jego organizacji panują tak surowe zwyczaje jak za Stalina. W całej Rosji trwa pieriestrojka, a oni tam mają odrębne państwo, coś w rodzaju Watykanu w Rzymie. Do żadnej pieriestrojki u nich nie doszło, możesz mi wierzyć.

- A co to za dziewczyna? Krewna?

- Nie. Zwyczajna znajoma.

- Zdziwiasz mnie, Wieroczko. - Walerij Wasiljewicz na tyle się opanował, że nawet zmusił się do uśmiechu. - Jakie zwyczajne znajome może mieć żonaty facet, któremu za trzy miesiące urodzi się dziecko? Może twój mąż zaczął szukać rozrywki na boku?

- Daj spokój. - Wiera energicznie zawinęła ogryzek jabłka w serwetkę i wsunęła z powrotem do torebki. - Zapisz ją na konsultację, dobrze? Co ci szkodzi? Oleg mówi, że to jakaś nieszczęśliwa, biedna dziewczyna, pracuje jako sprzątaczką. Nie mam pojęcia, skąd ją wytrzasnął, ale na pewno nie będzie się z nią zabawiał.

- Czemu tak sądzisz?

- Bo całą twarz ma w krostach. Okropny widok.

- Aż tak? To znaczy, że ją widziałeś?

- Nie, Oleg mówił. Więc ją przyjmiesz?

- Nie rozumiem, Wiero, czemu tak ci na tym zależy. Mnie na przykład wcale się nie pali do spotkania oko w oko z twoim mężem. Nie wstydzę się powiedzieć, że się tego boję. Jestem tylko ciekaw, czemu ty się nie boisz? A może czerpiesz szczególną przyjemność, obserwując spotkanie męża i kochanka? Wiem, że to cechuje wiele kobiet, czują przy tym dreszczyk emocji. Ale ja, moja droga, nie jestem kobietą i takie rzeczy mnie nie podniecają. Powiedz swojemu Olegowi, że odmówiłem, zasłaniając się brakiem czasu.

Wiera szybko wstała z krzesła, na którym siedziała, i ulokowała się na kolanach Walerija Wasiljewicza. Jedną rękę wsunęła mu we włosy, a drugą zaczęła go głaskać po policzku.

- Jakiś ty głupi, niczego nie rozumiesz - zaszczębio- tała słodko. - Ależ to bardzo dobrze, że on cię pozna. Po pierwsze,

przekona się, że rzeczywiście odwiedzam lekarza, a nie kochanka. Po drugie, będzie cię znał z widzenia jako mojego lekarza, więc jeżeli ktoś nas przypadkiem zobaczy, z ręką na sercu powiem, że spotkałam się z tobą. Co w tym dziwnego, gdy na ulicy albo w metrze kobieta spotyka się ze swoim lekarzem, żeby na przykład odebrać wypisaną receptę? To całkiem normalne. A zresztą nie zapominaj, że z takimi lekarzami pacjenci budują relacje biznesowe. W ramach wdzięczności za leczenie zaczynają załatwiać sprawy swoich lekarzy, więc powody spotkań są związane nie tylko z kuracją. Poza tym będę mogła bez obaw rozmawiać z tobą przez telefon. Wszystko powinno odbywać się legalnie i otwarcie, tak jest najlepiej. Pomyśl tylko, znamy się niecały rok, a jak to ciągle ukrywanie dało nam w kość! Mam nadzieję, że nie rozstaniemy się w ciągu najbliższych lat, przecież będziemy mieli dziecko, więc czy naprawdę chcesz, żebyśmy się tak szarpali przez resztę życia? Zostaniesz oficjalnie moim i dziecka lekarzem i będziesz miał prawo przychodzić do nas o każdej porze, nie szukając lipnych i wydumanych pretekstów.

- No dobrze. - Mężczyzna poddał się. - Założmy, że ją przyjmę. Ale przecież powiedziałaś, że ona jest sprzątaczką. Moje usługi są drogie, doskonale o tym wiesz. A może twój mąż sądzi, że udzieli jej konsultacji po znajomości i będę ją leczył za darmo?

- O to się nie martw. Wszystko zostanie opłacone.

- Nie, kochanie, to mnie nie urządza. Wiesz, że bardzo starannie dobieram pacjentów i staram się trzymać z daleka od podejrzanej klienteli. Co to za młoda sprzątaczką, za której plecami stoją dobrze sytuowani sponsorzy? To mi się nie podoba. Nie życzę sobie, żeby ludzie związani z mafią przekraczali próg mojego gabinetu.

- Ojej, przecież ona nie jest związana z żadną mafią! - krzyknęła poirytowana Wiera. - To zwyczajna nieszczęśliwa dziewczyna, krewna któregoś kolegi Olega z pracy. Oni tam nieźle zarabiają, więc będzie go stać na leczenie. No więc jak, przyjmiesz ją?

- Dobrze - odparł z westchnieniem. - Niech przyjdą.

- Kiedy?

- Zaraz zobaczę, kiedy dysponuję czasem.

Delikatnie odsunął Wierę i sięgnął po notes, w którym starannie zapisywał wszystkie umówione zajęcia, spotkania, konsultacje oraz wizyty pacjentów.

- Niech będzie w piątek o dwunastej trzydzieści. Tylko uprzedź, żeby się nie spóźnili, o pierwszej mam konsylium, więc będę musiał wyjść, nawet jeżeli nie skończę konsultacji. Mogą przyjść nawet trochę wcześniej, w najgorszym razie poczekają na korytarzu.

- Dziękuję ci, króliczku.

Wiera podziękowała mu gorącym pocałunkiem i pobiegła do domu.

Drzwi dawno się za nią zamknęły, a on nadal siedział nieruchomo, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w jeden punkt. Chwilę później poczuł ostry ból w dłoni. Popatrzył zdziwiony na swoje ręce i zorientował się, że jednym gwałtownym ruchem złamał ołówek, który obracał w palcach, a teraz ostre końcówki gorączkowo ściskanego kawałka wbiły mu się w dłoń. Kiedy go złamał? Nawet tego nie zauważył.

Rozdział ó

Obawy Nasti Kamińskiej, że dawni wysoko postawieni urzędnicy oraz znani ludzie z otoczenia Jekatieriny Wieniediktowny Aniskowicz nie zechcą z nią szczerze rozmawiać, całkowicie się potwierdziły. W dodatku wielu z nich wcale nie należało do kategorii „dawnych”, ich kariera znajdowała się dzisiaj w pełnym rozkwicie, więc nie mieli najmniejszego zamiaru czegokolwiek Nasti zdradzać. No bo rzeczywiście, skąd jej przyszło do głowy, że znajomi Aniskowicz, którym umożliwiały intymne schadzki w swoim mieszkaniu, muszą być jej rówieśnikami? Nic z tych rzeczy. Możliwe, że kiedyś oddawała przysługi swoim rówieśnikom, ale w ciągu ostatnich piętnastu, dwudziestu lat grono szczęśliwych kochanków znacznie odmłodziło w porównaniu z właścicielką mieszkania. Lata mijały, Jekatierina Wieniediktowna robiła się coraz starsza, ale w kręgu jej znajomych zawsze było sporo osób młodszych od niej o dziesięć, a nawet dwadzieścia czy czterdzieści lat.

Z im większą liczbą znajomych Aniskowicz Nastia się spotykała, tym wyraźniej wyczuwała pewne niedomówienia, ledwie zauważalną nieszczerłość w ich słowach. Nie żeby otwarcie odmawiali odpowiedzi na pytania, jednak czasami, zanim coś powiedzieli, robili dziwną pauzę, jakby się zastanawiali, czy mogą o tym wspomnieć, czy lepiej zachować powściągliwość. Można to było nazwać starannym dobieraniem słów. Nastia musiała uciekać się do podstępów i zastawiać pułapki, ale im bardziej się starała, tym lepiej rozumiała, że milczenie jej rozmówców nie wiąże się z ich własnymi sercowymi perypetiami. Starannie omijali pytanie, które dotyczyło samej Jekatieriny Wieniediktowny. Jakkolwiek Nastia łamała sobie głowę, nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia. Co takiego mogło się zdarzyć w życiu córki akademika Smagorina, o czym

bliscy jej ludzie nie chcą opowiadać?

A gdyby tak pójść w przeciwnym kierunku i spróbować zasięgnąć języka u tych, którzy nie mieli zbyt dobrego zdania o zmarłej? Innymi słowy, jeżeli przyjaciele nie puszczają pary z ust, warto poszukać wrogów. Zadanie nie należy do łatwych, to fakt. No bo kto przyzna, że nie dogadywał się albo był na noże z osobą, którą znaleziono martwą?

Nastia Kamińska musiała znowu poprosić o pomoc Martę Gienrichównę Szulc, która podobnie jak inni, wyznawała zasadę, że o zmarłych mówi się dobrze albo wcale.

- Dlaczego nie powiedziała pani, że przyjaciółka miała prywatne tajemnice? - bez ogródek zaczęła Nastia. - Tak liczyłam na pani pomoc, Marto Gienrichowno, tymczasem okazało się, że wprowadziła mnie pani w błąd. Bała się pani kogoś zdradzić? Proszę zrozumieć, że chodzi o zabójstwo. W tych sprawach nadmierna delikatność często utrudnia zdemaskowanie przestępcy.

Szulc była kobietą mądrą i doświadczoną; na podstawie pięciu czy sześciu rozmów, które Nastia z nią wcześniej odbyła, zdążyła wysnuć całkiem logiczny wniosek, że major Kamińska jest osobą spokojną i w każdym calu przyzwoitą. Uznała więc, że dalsze skrywanie czegokolwiek nie ma sensu.

- No cóż - rzekła z westchnieniem. - Skoro pani już wie... Nie chcieliśmy oczywiście o tym mówić, zwłaszcza że wszyscy lubiliśmy przecież Katię.

- My to znaczy kto?

- Iwan Jelizarowicz i ja. No i Piotr Wasiljewicz, były mąż Kati, również podzielał nasze zdanie. Po co wracać do tej historii, wydarzyła się tyle lat temu, że... Sama pani rozumie.

Nastia znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Marta Gienrichowna od razu uwierzyła, że milicja już wszystko wie. Tymczasem Nastia nie miała o niczym pojęcia. O co powinna zapytać, żeby oszustwo się nie wydało? Sama pani rozumie. Doprawdy wspaniale! Gdyby tylko było coś do rozumienia. Mimo wszystko jest jakiś punkt zaczepienia do dalszej rozmowy.

- Dlaczego pani powiedziała, że rozmawiała tylko z Byszowem

i byłym mężem Jekatieriny Wieniediktowny? - zapytała. - Czyżby nikt inny nie wiedział o tej historii?

- Oczywiście, że nie - natychmiast odparła Marta Gienrichowna. - Jakim cudem ktokolwiek mógłby się dowiedzieć? Katia umiała strzec tajemnic zarówno swoich, jak i cudzych, więc gdyby mogła, również przed nami wszystko by ukryła.

Z godziny na godzinę robi się coraz ciekawiej! Skąd Nastia ma wiedzieć, o czym mówi Marta Gienrichowna? A musi udawać, że we wszystkim świetnie się orientuje, w przeciwnym razie starsza pani domyśli się, że wywiedziono ją w pole. Ponieważ w sprawę zostali wprowadzeni przyjaciel z dzieciństwa Byszow i były mąż Aniskowiec, chyba chodzi o jakąś rodzinną historię. Martę poinformowano, bo była najbliższą przyjaciółką.

Mimo to coś się nie zgadzało. Zmowa milczenia wśród wielu znajomych Jekatieriny Wieniediktowny była wyraźnie wyczuwalna, a Szulc twierdzi, że prócz samej Aniskowiec tajemnicę znały tylko trzy osoby. Chyba zaszło tu jakieś nieporozumienie. Marta mówi o jednej sprawie, a Nastia ma na myśli zupełnie co innego. Nie może się jednak wycofać, musi dążyć na oślep, zachowując daleko idącą ostrożność.

- Ja natomiast odniosłam wrażenie - powiedziała Nastia w zamyśleniu - że wiele osób wie coś na ten temat.

- Mój Boże, co oni tam wiedzą! - Marta Gienrichow- na klasnęła w ręce. - Mogą wiedzieć tylko jedno: Katia wymówiła mu dom. Zrobiła to publicznie i bez wahania. I na tym koniec.

Świetnie. Katia wymówiła mu dom. Kim jest ów mężczyzna? I dlaczego wymówiła mu dom, w dodatku publicznie i bez wahania? Dlaczego nikt nie chce o tym mówić? Pytań przybywało, a cała konstrukcja groziła, że w każdej chwili runie z ogłuszającym hukiem.

- Ciekawe, jak znajomi Jekatieriny Wieniediktowny przyjęli jej zachowanie? - Nastia kolejny raz zablefo- wała. - Przecież taki gest, przyzna pani, wymagał sporej odwagi.

Strzał został oddany na ślepo, Nastia czekała na wynik, w głębi duszy spodziewając się kolejnego niepowodzenia.

- Ma pani słuszność, kochana - przytaknęła Szulc. - Na

wszystkich padł blady strach. Bo to jest okropny człowiek; znieważony publicznie, mógł zacząć rozgłaszać to, co wiedział. Ale tego nie zrobił, więc powoli emocje zaczęły wygasać. Prawie nikt go nie wspominał, wszyscy jednak o nim pamiętali, mogą panią zapewnić. Co prawda od tamtego czasu minęło już tyle lat, że jego wyznania raczej nikogo teraz nie zainteresują i nie przestraszą. Do skandalu doszło przecież w połowie lat siedemdziesiątych, czyli ze dwadzieścia lat temu. Wtedy tak, niewątpliwie, a teraz bardzo wątpliwe.

- Czemu on tego jednak nie zrobił, jak pani sądzi?

- Ze względu na Katię, to przecież oczywiste. Kochał ją.

- Jekatierina Wieniediktowna odwzajemniała jego uczucie?

- To właśnie jest najbardziej skomplikowane. Widzi pani, kochała go przez wiele lat. Naprawdę długo, całe dziesięciolecie. Poznali się, gdy Katia była żoną biednego Szwajsztejna, tuż po zakończeniu wojny. Od tej pory byli ze sobą związani, chociaż Katia po śmierci pierwszego męża dwukrotnie wychodziła za mąż, poza tym miewała różne romanse. Tak to już bywa: kocha się jednego, a poślubia innego. Albo nawet innych. Kiedy prawda wyszła na jaw, Katia wymówiła mu dom, ale wieloletnie przywiązanie zrobiło swoje. Kilka miesięcy później mu wybaczyła.

- I nikt o tym nie wiedział? - Nastia domyśliła się.

- Nikt oprócz mnie i Wanieczki. Piotr Wasiljewicz dowiedział się o tym znacznie później, Katia sama mu powiedziała, gdy zerwał ze swoją małolată.

- A zatem o kłótni wiedzieli wszyscy, a o pojednaniu tylko wy troje - podsumowała Nastia. - Może nie było sensu tego ukrywać? Sama pani twierdzi, że wszyscy się bali, iż pod wpływem urazy mężczyzna zacznie rozpowiadać o tym, co zaszło, na prawo i lewo. Gdyby wszyscy się dowiedzieli, że Jekatierina Wieniediktowna się z nim pogodziła, odetchnęliby z ulgą. Nie rozsądniej było uwolnić ludzi od nieustannego lęku?

- Nie rozumie pani - ze smutkiem odparła Marta Gienrichowna. - Tu chodziło nie tylko o strach.

- Więc o co jeszcze?

- O honor. O sumienie. Bliscy niemal każdej osoby z tego

pokolenia ucierpieli z powodu represji. Przyjaciele, krewni, sąsiedzi. Moi i Kati rówieśnicy, a nawet ludzie młodszy również przeżyli koszmar nocnych dzwonek do drzwi. Pani tego nie rozumie, jest pani jeszcze bardzo młoda. Najpierw dręczyliśmy się pytaniem: za co? A kiedy zrozumieliśmy, że powód nie istnieje, zrozumieliśmy coś jeszcze: każdy z nas albo z naszych bliskich może być następny. Tym, którzy ponosili winę za te aresztowania, nie wybaczano. Kiedy Katia zupełnym przypadkiem dowiedziała się, z czyjej inicjatywy uwięziono jej męża, przeżyła ogromny wstrząs. I wtedy w porwywie gniewu oznajmiła o tym w obecności sporej grupy osób. A później zrozumiała, że nie może tak po prostu zerwać wieloletnich więzi. Zaczęła więc spotykać się z Siemionem w tajemnicy. Bo widzi pani, było jej wstyd przed ludźmi. Mogę ją zrozumieć, przecież wtedy na fali demaskatorskiego porywu zbyt wiele osób ją poparło. Łajdak, tchórz, wyrzutek, donosiciel i tak dalej. Po tym wszystkim Katia nie mogłaby spojrzeć innym w oczy, gdyby się dowiedzieli, że dalej utrzymuje z nim stosunki. To był najtrudniejszy okres w jej życiu. Wiedziała, że Siemion przyczynił się do aresztowania i praktycznie śmierci jej męża, ale nie znalazła w sobie siły, żeby przekreślić te wspaniałe chwile, które razem przeżyli. Ostatecznie mu wybaczyła, chociaż okropnie się męczyła przez te wszystkie miesiące. Wie pani, Katia bardzo długo nie miała siwych włosów, wszyscy jej zazdrościliśmy, a w ciągu tych miesięcy niemal zupełnie osiwiła.

A więc mężczyzna ma na imię Siemion. To już coś. Jeżeli doktor Szwajstajn rzeczywiście został aresztowany na podstawie donosu tego mężczyzny, znalezienie jego nazwiska i adresu nie będzie trudne, dane powinny znajdować się w aktach spraw karnych. Jeżeli jest tak, jak opowiada Marta Szulc, to nieznanemu na razie Siemion z pewnością jest tą osobą, z którą Jekatierina Wieniediktowna Aniskowicz mogła się dzielić cudzymi sekretami. Marta mimochodem to potwierdziła, mówiąc, że na wszystkich padł blady strach. Skoro zaś oboje ukrywali, co ich naprawdę łączy, tym bardziej Jekatierina Wieniediktowna mogła bez obaw o wszystkim go informować,

ponieważ o żadnych kontaktach z ich wspólnymi znajomymi nie było mowy. Siemion stał się odszczepieńcem w kręgu osób spotykających się z Jekatieriną Wieniediktowną.

Do archiwum KGB Nastia nie zdecydowała się pojechać. Doskonale potrafiła pozbyć się emocji i myśleć tylko o sprawie, były jednak rzeczy, których organicznie nie cierpiała. Na przykład nie potrafiła, a raczej nie lubiła, być w takiej sytuacji, gdy traktowano ją jak petenta i wyświadczano jej wielką łaskę, chociaż tak naprawdę chodziło o pracę, o jej obowiązki służbowe oraz obowiązki służbowe osób, które jej tę łaskę wyświadczały. Jej pierwsza wizyta w archiwum KGB-FSB⁵ dwa lata temu okazała się ostatnia. Nastia nie miała najmniejszej ochoty pojawiać się tam znowu. Oczywiście z punktu widzenia dyscypliny służbowej wyglądało to na niewybaczalny kaprys, do którego oficer milicji nie ma prawa. Ale ponieważ innym kaprysom Anastazja Kamińska nie ulegała, koledzy wybacjali jej tę drobną słabość i brali na swoje barki wszystkie powinności związane z koniecznością proszenia i namawiania, zebrania o upragnioną wizę w paszporcie i wysiadywania godzinami pod drzwiami.

Nazajutrz Jura Korotkow położył przed Nastią karteczkę z nazwiskiem i adresem. Siemion Fiodorowicz Rodczenko żył sobie w dobrym zdrowiu w centrum Moskwy, w wieżowcu na placu Powstania.

- Och, Aśka, te archiwa to prawdziwe szambo - rzekł Korotkow z westchnieniem, jak zwykle siadając okrakiem na krześle w gabinecie Kamińskiej i zabierając jej kubek kawy dosłownie sprzed nosa. - Może nie wszystko w życiu rozumiem, ale nasz Siemion Fiodorowicz to jedna z najszlachetniejszych osób, przysięgam.

- Szlachetny donosiciel? - podejrzliwie mruknęła Nastia. - To coś nowego.

- Uhm. W porównaniu z innymi. Myślisz, że jeden Rodczenko wsadził doktora Szwajsztejna? Nic podobnego. Wielu

⁵ FSB (Fiedieralnaja służba biezopasnosti) - Federalna Służba Bezpieczeństwa (przyp. tłum.).

przyłożyło do tego rękę. Między innymi Iwan Jelizarowicz Byszow. W aktach jest z dziesięć donosów, ich autorami są osoby z otoczenia Jekatieriny Wieniediktowny, ale teksty prezentują się słabiutko, nie mają wystarczającej siły rażenia. Natomiast notatka drogiego Siemiona Fiodorowicza jest akurat tym, czego było trzeba. Chronologicznie jest ostatnia. Wyczuwasz ten smaczek?

- Wygląda na to, że nieszczęsny doktor mocno komuś przeszkadzał i ten ktoś strasznie chciał go pogrążyć. Miał również możliwość, żeby przycisnąć ludzi z otoczenia małżeństwa Szwajsztejnów, zmuszając ich do złożenia zeznań przeciwko niemu. Ale oni okazali się albo nie dosyć źli, albo nie dosyć pojętni, albo nie dosyć strachliwi i dostarczali materiału, który nie nadawał się na poważną sprawę. Natomiast Siemion Fiodorowicz dostarczył materiał pierwszej wody. To całkiem zrozumiałe, pewnie miał w sobie o wiele większe pokłady złości i inteligencji, skoro utrzymywał intymne stosunki z Jekatieriną Wieniediktowną. A może chodziło o co innego. Na przykład Siemion Fiodorowicz był w dużym stopniu zależny od tego osobnika, któremu przeszkadzał doktor Szwajsztejn. Albo bał się tego człowieka. Jednym słowem, nie mógł się nie podporządkować, chociaż nie chciał zaszkodzić mężowi kochanki. Po prostu nie miał wyboru. Wiesz, Jurik, boję się oceniać pod względem moralnym wydarzenia tamtego okresu. Jedni mówią, że nie mieli wyjścia, bo ich zmuszano i szantażowano. Inni publicznie ich piętnują, twierdząc, że przyzwoitego człowieka nie sposób do niczego zmusić albo go zastraszyć. Nie wiem, kto ma rację, kto jest winien. Ale wiem jedno: kiedy ktoś grozi nie tobie osobiście, ale twoim bliskim, twoim dzieciom, zrobisz wszystko, byleby ich nikt nie tknął. Dobrze pamiętam, jak Arsen groził mi przez telefon i jak strasznie się bałam o tatę i o Loszkę. I o córeczkę Wołodi Łarcewa, którą Arsen porwał i którą mnie szantażował. Przecież zrobiłam wszystko, co mi kazał. Zrezygnowałam ze sprawy, przerwałam pracę, rozwiązałam grupę, wzięłam zwolnienie i siedziałam w domu. Inna rzecz, że nawet gdy siedziałam zamknięta w domu z telefonem na podsłuchu, udało

mi się go oszukać. To już jednak zupełnie inna historia. A czemu powiedziałeś, że Rodczenko to szlachetny donosiciel?

- Bo nikogo nie wydał. Przypomnij sobie, co ci powiedziała Marta Szulc. Ponieważ nie byłaś zorientowana, wytłumaczyłaś sobie jej słowa po swojemu.

- No tak, uznałam, że słowa „na wszystkich padł blady strach” dotyczą strachu przed ujawnieniem sercowych przygód i małżeńskich zdrań. Wygląda więc na to, że wszyscy ci ludzie o sobie wiedzieli, tak? Wiedzieli, kto pisał donosy na męża Jekatieriny Wieniediktowny, a po zdemaskowaniu Rodczenki przestraszyli się, że on też ich wszystkich wyda?

- Moim zdaniem tak właśnie było - przytaknął Korotkow. - Ale on ich nie wydał. I dlatego powiedziałem, że jest szlachetny. Skoro został publicznie skompromitowany, byłoby całkiem naturalne, gdyby się odciął, zgodnie z zasadą „a któż ci sędzię?”⁶. Ale tego nie zrobił.

- Albo zrobił - ciągnęła w zamyśleniu Nastia. - Nie wszem wobec, tylko po cichu, na uszko ukochanej Jekatierinie Wieniediktownie. Może dlatego mu wybaczyła. Zrozumiała, że nie jest gorszy od reszty starych przyjaciół i znajomych. I znalazła w sobie siłę, żeby to przemilczeć i nie popsuć z nimi relacji. A Marta Szulc nie pisała przypadkiem donosów na męża najbliższej przyjaciółki?

- Co to, to nie. - Jura się uśmiechnął. - Jej mąż pisał. Był Niemcem, więc łatwo go przycisnęli. Ze strachu o rodzinę produkował donosy, serce rośnie, gdy się je czyta. W gruncie rzeczy powstała banalnie prosta sytuacja. Doktor Szwajstejn był, jak sama wiesz, lekarzem, a wokół Jekatieriny Wieniediktowny stała się literacko-artystyczna elita, więc przy niedużym wysiłku łatwo można było udowodnić, że lekarz szkodnik z premedytacją rujnował zdrowie kwiatu radzieckiej sztuki, wybitnych aktorów, reżyserów, pisarzy i artystów. Wystarczyło tylko, żeby ten „kwiat” poskarżył się na niewłaściwe leczenie.

Nastia zjawiała się u Siemiona Fiodorowicza Rodczenki

⁶ Pytanie zadane przez bohatera powieści A. Gribojedowa *Mądremu biada* (przyp. tłum.).

przekonana, że zobaczy schorowanego, zniedołężniałego i zgorzkniałego mężczyznę. Jej przewidywania sprawdziły się tylko częściowo. Osiemdziesięcioletni Rodczenko nie sprawiał oczywiście wrażenia energicznego młodzieńca, ale zramolałego starca również nie przypominał. To oczywiste, że wiek i choroby zrobiły swoje, umysł miał jednak jasny, a pamięć na razie go nie zawodziła. Rodczenko mieszkał z dużą rodziną: z synem, synową, wnuczką, jej mężem i dwoma prawnukami.

Pierwsze dziesięć minut, które Nastia spędziła w ogromnym mieszkaniu, wystarczyły jej, żeby dojść do wniosku, że patriarcha rodu jest tu uwielbiany. Kolejne pół godziny później zrozumiała, dlaczego swego czasu Siemion Fiodorowicz nie opuścił rodziny, a nawet pozwolił Jekatierinie Wieniediktownie dwukrotnie wyjść za mąż. Nie można porzucić tych, którzy tak szczerze i gorąco cię kochają. Którzy cię potrzebują, w dodatku nie dlatego, że dużo zarabiasz albo zajmujesz odpowiedzialne stanowisko, pozwalające tobie, a przez to i twojej rodzinie, korzystać z ulg i wygod. Potrzebują cię, bo ich rozumiesz, bo czują się z tobą bezpiecznie, bo... Miłość ma wiele twarzy i imion, nie da się jej opisać słowami. Królowała w rodzinie Rodczenków, a skupiała się wokół Siemiona Fiodorowicza, donosiciela, przez wiele lat zdradzającego własną żonę.

- Chce pani porozmawiać o Katierinie? - zapytał Nastię, zaprosiwszy ją do swojego pokoju z dużym oknem i przestronnym balkonem.

Drzwi na balkon były uchylone, w mieście panował upał. Nastia zauważyła leżak z poduszką, na parapecie zaś otwartą książkę, a na niej okulary.

Widocznie przed jej przyjściem Rodczenko czytał na balkonie.

- O panu również. - Nastia uśmiechnęła się. - Chociaż właściwie nawet nie o panu czy o niej, ale o zupełnie innych osobach.

- Jest pani pewna, że zechcę odpowiedzieć na pytania? - sceptycznie zapytał Siemion Fiodorowicz.

- Przeciwnie, wcale nie jestem tego pewna i już się przygotowałam, że będę musiała pana prosić, a nawet namawiać. Niektóre moje pytania mają bezpośredni związek ze

śledztwem w sprawie zabójstwa Jekatieriny Wieniediktowny.

- Tylko niektóre? A pozostałe?

- Pozostałe zadam panu z czystej ciekawości i jeżeli nie zechce pan na nie odpowiadać, nie będę nalegać. A więc jak, umowa stoi?

- No cóż. - Rodczenko cmoknął parę razy. - Zgoda. Wyjdźmy na powietrze, w pokoju zrobiło się duszno, nie ma czym oddychać.

Nastia z przyjemnością przyjęła zaproszenie. Na balkonie mogła bez przeszkód zapalić, nie krępując się i nie pytając o pozwolenie. Rodczenko ulokował się na swoim leżaku, a Nasti podsunął niski składany stołeczek z płóciennym siedzeniem.

- Coś mi się wydaje, że do tej pory nie znaleźliście zabójcy Katieriny? - na wpuł pytająco oznajmił Rodczenko. - Czy tak trudno jest złapać przestępców? W moich czasach nie było z tym problemów. Gdy chodziło o wartościowe przedmioty, których nie dało się pozbyć od ręki, śledztwo w krótkim czasie doprowadzało do ujęcia przestępcy. Co wam stoi na przeszkodzie?

- Motyw - lakonicznie odparła Nastia. - Nie możemy znaleźć motywu. To sprawia, że nie potrafimy namierzyć człowieka, który zabił Jekatierinę Wieniedik- townę.

- Chce pani powiedzieć, że kolekcja nie została zrabowana? - Siemion Fiodorowicz niezmiernie się zdziwił.

- Kolekcja jest cała i nienaruszona.

- Dlaczego w takim razie... A zresztą to jasne. Sama pani powiedziała przed chwilą, że nie wie dlaczego. To dosyć dziwne. A nawet bardzo dziwne.

- A więc pańskim zdaniem Aniskowicz mogła zostać zabita wyłącznie z powodu obrazów i brylantów? - uściśliła Nastia.

- No a z jakiego innego powodu? Tysiące razy powtarzałem Katierinie, żeby nie traktowała zbiorów tak lekkomyślnie. Jeżeli nie chce ich sprzedać, to niech przynajmniej odda za życia muzeum, tam będą bezpieczne. Zgodnie z testamentem i tak wszystko im przypadnie. Ona jednak się upierała, mówiła, że chce dożyć swoich lat wśród rzeczy, które otaczały ją przez całe życie. Nie potrafiłem jej przekonać.

- Sądzi pan, że Jekatierina Wieniediktowna mogła mieć wrogów?

- Czemu nie? - Umilkł, a po chwili dodał: - Ale o ile mi wiadomo, nikt nie żywił do niej urazy. Katierina należała do tego rzadkiego gatunku ludzi, których wszyscy lubią. Nie sposób było jej nie lubić.

- Siemionie Fiodorowiczu, wiedział pan, że Jekatierina Wieniediktowna patronowała romansom znajomych?

- Ma się rozumieć. Z przyjemnością omawiała ze mną owe romanse po tym, jak przestałem się zaliczać do jej oficjalnego towarzystwa. Pewnie zna pani tę smutną historię, skoro mnie pani odwiedziła.

- Z grubsza. - Nastia skinęła głową. - Wielu rzeczy nie rozumiem, ale to akurat są te pytania, na które nie musi pan odpowiadać, jeżeli nie ma pan ochoty.

- Czego pani nie rozumie?

- Na przykład dlaczego Jekatierina Wieniediktowna ukryła przed wszystkimi, że dalej się z panem spotyka. Co w tym wstydlivego? Pańska rola w aresztowaniu i śmierci męża oraz jej stosunek do pana w świetle tego, co pan uczynił, była jej prywatną sprawą. Wybaczyła panu, więc dlaczego miała się z tego powodu na kogoś oglądać? Nie rozumiem tego.

- Postaram się to wytłumaczyć. Rozumiem pani zdziwienie. Wtedy, w czterdziestym dziewiątym roku, miałem trzydzieści dwa lata, mój syn skończył trzy, a córka właśnie się urodziła. Świetnie zdawałem sobie sprawę, co czeka moją rodzinę, jeżeli okażę nieposłuszeństwo. Opierałem się dopóty, dopóki mogłem. Proponowałem usługi innych przyjaciół rodziny Szwajstejnow, podsuwałem ich nazwiska w nadziei, że mąż Kati, jeżeli aresztowanie jest mu sądzone, ucierpi przynajmniej nie przeze mnie. Nie mam pojęcia, dlaczego zeznania innych były niezadowolające, ale dobrze wiedziałem, kto je złożył.

- Skąd pan wiedział?

- Wiedziałem. W czasach nieograniczonej inwigilacji i masowych aresztowań istniało również wzajemne poczucie solidarności. Zawsze można było na nie liczyć, nigdy nie zaniknęło. Miałem w służbach kolegów, którzy mnie

informowali. Najsmutniejsze jest to, że ci wszyscy, którzy napisali donosy na męża Kati, wciąż należeli do kręgu jej znajomych, odwiedzali ją i przez wiele lat uważała ich za swoich przyjaciół. Gdyby pani widziała, jak jej współczuli, kiedy umarł Szwaj- sztejn! Wszyscy byli wówczas młodzi i gdy wybuchł skandal, wciąż jeszcze żyli. Przez nieostrożność rzuciłem kilka zdań, których Katia nie zrozumiała, za to oni świetnie pojęli. Przytoczyłem głośno kilka fragmentów donosów, zaś ich autorzy, świadkowie sceny wypraszania mnie przez Katię z domu, natychmiast się zorientowali, że wiem o wszystkim. Nie jestem zwolennikiem usprawiedliwiania się na zasadzie „nie jesteś lepszy od innych”, więc nie zdemaskowałem ich w odwecie. W końcu moja wina nie stawała się przez to mniejsza, uznałem ją, a wina innych niech obciąża ich sumienie.

- Jekatierina Wieniediktowna wiedziała, że nie tylko pan pisał donosy na jej męża?

- Nawet jeśli wiedziała, to nie ode mnie. Ja jej nie powiedziałem.

- Dlaczego, Siemionie Fiodorowiczu? Czy nie czuł się pan pokrzywdzony, że spośród wszystkich osób, które napisały w swoim czasie donosy na doktora Szwaj- sztejna, tylko pan został ukarany, a reszta pozostawała w zażyłych stosunkach z kobietą, którą pan kochał?

- Pokrzywdzony? - powtórzył Rodczenko w zamyśleniu. - Możliwe. Dziwna ta nasza rozmowa. Kiedyś nie mogłem o tym z nikim porozmawiać, jedynie z Katier- ną, ale ona była młodsza ode mnie zaledwie o pięć lat, a po pięćdziesiątce pięć lat różnicy to tyle co nic. Dlatego nawet z nią nie mogłem być całkiem szczery. A teraz przy pani zdałem sobie sprawę, że starość ma swoje zalety: nie chciałem omawiać tego tematu z rówieśnikami, choć z młodymi, proszę bardzo. Przed panią nie jest mi wstyd. Może dlatego, że dzisiejsze młode pokolenie jest amoralne, a więc bardziej wyrozumiałe wobec cudzych grzechów, bardziej obojętne. Pani nie zacznie mnie przecież obwiniać, prawda?

- Owszem, ale nie dlatego, że jestem wyzuta z zasad. W pewnym sensie ma pan rację, Siemionie Fiodorowiczu, jako

osoba młodsza powinnam się była obrazić za pańskie słowa. A na pana nawet nie potrafię się obrazić.

- A widzi pani. - Rodczenko roześmiał się dobrodusznie. - Wiek to świetna zasłona. Młode czarujące kobiety już się na mnie nie obrażają, choćbym plótł same bzdury. Teraz pani wie, dlaczego Katia ukrywała znajomość ze mną. Przecież nie wiedziała, że wśród jej przyjaciół są osoby zasługujące na takie samo potępienie. A ona, święta kobieta, czuła się nawet niezręcznie, że mi wybaczyła. I nie chciała, żeby inni o tym wiedzieli. Było jej wstyd przed tymi ludźmi. Dostrzega pani ten paradoks? Było jej wstyd przed nimi, że potrafiła mi wybaczyć, że nie potrafiła wyprzeć się naszej miłości.

-Siemionie Fiodorowiczu, czy nigdy nie odczuwał pan pokusy, żeby wyznać Jekatierinie Wieniediktow- nie prawdę o jej przyjaciółkach? Przez tyle lat nie zdradził pan tej tajemnicy, dobrowolnie dźwigając cały ciężar oskarżeń.

- To nie takie proste, Anastazjo Pawłowno. Wiele rzeczy się na to składa... Pewnie, że kiedy Katierina publicznie mnie obraziła i zabroniła przekraczać próg swojego domu, miałem ogromną ochotę, żeby to uczynić. Ale szybko się rozmyśliłem. Zacząłem się zastanawiać, co dzięki temu osiągnę. Katię już straciłem, więcej jej nie zobaczę, a przez to, że wypędzi z domu kogoś jeszcze, nie będzie mi lżej. Kilka miesięcy później wróciła do mnie i byłem tak szczęśliwy, że w ogóle wyleciało mi z głowy, żeby z kimkolwiek wyrównywać rachunki. Zwłaszcza że wobec mnie ci ludzie nie byli właściwie winni, byli winni jedynie wobec Katieriny. Za co miałem się na nich mścić? Tylko za to, że im się bardziej poszczęściło i Katia się o nich nie dowiedziała? Każdy z nich mógł znaleźć się na moim miejscu. A kilka lat później przyszły nowe czasy, gdy już nie ośmieliłbym się otwierać Kati oczu na jej otoczenie, nawet gdybym miał taką ochotę. Starzeliśmy się, jedni umierali, inni ciężko chorowali i już nie wstawali z łóżka, byli też tacy, którzy się wyprowadzali do dzieci, żeby się nimi zaopiekowały. Nas, starych ludzi, którzy znali się czterdzieści czy pięćdziesiąt lat, wciąż ubywało. Pewnie pani opowiadano, że Katierina zawsze była duszą towarzystwa, lubiła spotkania, wciąż kręciła się wokół niej

spora grupa ludzi. Ale zastanawiała się pani, kim byli ci ludzie? Starych przyjaciół i znajomych nie było wśród nich tak wielu. Miałem pozbawić Katię raz na zawsze tych ludzi, pokłócić ją z nimi? Zmusić, żeby się odwróciła od Marty, od Iwana? Zostałaby całkiem sama. Cała dzisiejsza młodzież nie byłaby w stanie ich zastąpić.

- Mogła im przecież wybaczyć, tak jak wybaczyła panu - zauważyła Nastia.

- A gdyby nie potrafiła? Czy mogłem ryzykować? Nie było mi dane dzielić z nią starości. Kierując się małostkową zemstą, doprowadziłbym do tego, że zerwałaby stosunki z bliskimi jej ludźmi. Skazałbym ją na samotność, a sam upajałbym się błogim spokojem w otoczeniu kochającej rodziny. Przepraszam, ale czy nie sądzi pani, że nazbyt odbieglśmy od głównego wątku naszej rozmowy? Mówiła pani, że te pytania nie są konieczne, żeby wyjaśnić okoliczności zabójstwa.

- Owszem - przyznała Nastia. - Wróćmy zatem do sprawy. Czy Jekatierina Wieniediktowna nie wspominała panu, że wśród osób, którym umożliwia schadzki w swoim mieszkaniu, znajdował się pewien lekarz ze dwadzieścia pięć lat młodszy od niej?

- Lekarz? - Rodczenko się uśmiechnął. - Lekarzy było wielu. Katia miała szerokie znajomości w świecie medycznym jeszcze z czasów małżeństwa ze Szwaj- sztejnem.

- Nie interesują mnie wszyscy znajomi lekarze - cierpliwie wyjaśniła Nastia. - Tylko tacy, którzy sześć, może osiem lat temu spotykali się ze swoimi kochankami w jej mieszkaniu. A mówiąc konkretniej, chodzi mi o lekarza, którego kochanka nazywa się Galina Tieriochina.

- Galina Tieriochina? A kto to taki?

- Kobieta, która sześć lat temu wyrzuciła przez okno trójkę swoich dzieci, a potem sama wyskoczyła.

-A tak. - Rodczenko ożywił się. - Pamiętam, pamiętam, Katia mi opowiadała. Co za okropna historia.

- Siemionie Fiodorowiczu, to bardzo ważne, więc niech pan postara się sobie przypomnieć, co tak naprawdę Aniskowicz panu opowiadała.

...W ciągu ostatnich lat spotykali się, żeby pojechać do parku albo za miasto i pospacerować. Bardzo lubili Kołomienskoje i Ostankino, często bywali w Archan-gielskim. Konieczność widywania się w intymnej scenerii z wiekiem minęła, teraz godzinami włóczyli się alejami, przesiadywali na ławkach i długo rozmawiali. Jekatierina Wieniediktowna opowiadała o cudzych romansach, a Siemion Fiodorowicz chętnie słuchał jej historii. Jego ukochana miała ostry i cięty język, więc jej ustne relacje przypominały prozę dobrego satyryka czytaną na głos. Wszystkie opowieści wyróżniało jedno: Jekatierina Wieniediktowna nie wymieniała nazwisk. Nie miało to nic wspólnego z powściągliwością, już od dawna niczego nie próbowała ukryć przed starym przyjacielem, była to raczej wyniesiona z domu kultura słowa. Po co szpikować opowieść nazwiskami, które nic nie mówią rozmówcy, jedynie odwracają uwagę? Co innego, gdy chodziło o znanego artystę lub pisarza. Jednakże w danym wypadku ani lekarz, ani jego przyjaciółka będąca gospodynią domową nie byli znanymi osobistościami, więc pozostali dla Rodzenki bezimienni, chociaż Jektierina Wieniediktowna często o nich wspominała. Romans lekarza i gospodyni domowej ciągnął się tak długo, że Aniskowicz czasami się śmiała:

- Idą naszym śladem, Sienią. Oboje mają rodziny, których nie chcą zniszczyć, ale są już tak długo razem, że z pewnością nie rozstaną się do późnej starości.

Po raz pierwszy nazwisko gospodyni domowej padło krótko przed tragedią. Któregoś dnia Jekatierina Wieniediktowna powiedziała:

- Chyba rzeczywiście spotka ich nasz los. Nie zrozum mnie źle, Sienią, nie chcę ci przypominać, przez co przeszliśmy, mamy to już za sobą, ale lekarz okazał się skończonym łajdakiem, a biedna Galina niczego nie podejrzewa. Ciekawe, czy kiedyś się dowie, co on zrobił? A jeśli się dowie, czy potrafi mu wybaczyć?

- A cóż on takiego straszego zrobił? - smętnie zainteresował się Siemion Fiodorowicz.

Tamtego dnia źle się czuł, już od kilku dni bolało go serce, co chwilę drętwiała mu ręka i ciemniało w oczach. Z wielkim

trudem udało mu się zebrać siły na rutynowy spacer z Jekatieriną. Nie miał ochoty się odzywać, każdy dźwięk, nawet cichy, boleśnie odzywał się w skroniach i z tyłu głowy.

- Na razie jeszcze nie wiem, ale on... Co ci jest, Sienią? Źle się czujesz?

- Trochę mi słabo - przyznał Rodczenko.

- Boże, jakiś ty blady! Po co wybrałeś się na spacer? Czemu nie powiedziałeś, że jesteś chory? Chodźmy, chodźmy. - Jekatierina Wieniediktowna energicznie się zakrzętała. - Zaraz wezwę taksówkę, a ty jedź do domu i się połóż. I koniecznie wezwij lekarza. Oboje nie jesteśmy już młodzi, nie wolno lekceważyć zdrowia.

Siemion Fiodorowicz posłusznie wstał z ławki i powlókł się za Jekatieriną do wyjścia z parku. W domu od razu położył się do łóżka, a wieczorem musiał wezwać pogotowie, które zabrało go do szpitala. Wszedł z niego dopiero po trzech miesiącach. Los nieznanego lekarza i jakiejś Galiny obchodził go w tym czasie tyle co zeszłoroczny śnieg. Do ostatniej rozmowy z Jekatieriną Wieniediktowną w ogóle nie wracał myślami. Kilka tygodni później Siemion Fiodorowicz wznowił niespieszne spacer y z Aniskowicz, ona zaś pewnego dnia powiedziała:

- Wiesz, Sienią, ta historia z lekarzem i jego wieloletnią miłością zakończyła się jednak tragicznie. Nieszczęsna kobieta próbowała odebrać sobie życie i wyrzuciła dzieci przez okno. Pisały o tym nawet gazety. Nie wiem, jak on będzie dalej żył z takim ciężarem na sumieniu. Teraz zaczynam żałować, że tolerowałam tę znajomość. Ja też ponoszę część winy.

- Daj spokój, Katiu - zaproponował Rodczenko. - Jaka tu może być twoja wina?

- W końcu udostępniałam im mieszkanie, u mnie się spotykali.

- Jak nie u ciebie, to spotykaliby się gdzie indziej. Nie bierz sobie tego do serca. - Siemion Fiodorowicz próbował ją uspokoić.

- Nie, Sienią. - Pokręciła głową. - Nie rozumiesz. Jestem winna. Powinna być rozważniejsza.

On jednak nie miał ochoty na rozmowę o cudzych tragediach. Lekarze cudem przywrócili go do życia po śmierci klinicznej,

trzy miesiące spędził w szpitalu, a później dwa w domu, nie wstając z łóżka, i tak się przeraził nadchodzącego końca, że unikał smutnych tematów. Spróbował więc skierować rozmowę na inne tory i zapytał Jekatierinę Wieniediktownę o coś zupełnie innego. Więcej do tego nie wracali...

- Siemionie Fiodorowiczu, muszę znaleźć tego lekarza - zdecydowanie oznajmiła Nastia. - Dlatego proszę, żeby pan się dobrze zastanowił i przypomniał sobie wszystko, co Jekatierina Wieniediktowna o nim mówiła. Nie zna pan jego nazwiska, ale liczy się każda najdrobniejsza informacja. Powiedział pan na przykład, że miał rodzinę, której nie chciał zostawić. To już coś. Może zapamiętał pan coś jeszcze?

- Katia wspominała, że ten lekarz to znajomy jakiegoś innego lekarza, który był jego uczniem czy kimś w tym rodzaju. Aha, przypomniałem sobie. Romanowska. Czy to nazwisko coś pani mówi, Anastazjo Pawłowno?

- Piosenkarka? - ostrożnie zapytała Nastia.

Chodziła jeszcze do szkoły, gdy na radzieckiej estradzie początku lat siedemdziesiątych brylowała Jelena Romanowska, którą krytycy nazywali Cichym Aniołem Pieśni. Zgrabna, delikatna, z grubym, jasnym warkoczem, swobodnie spływającym wzdłuż pleców aż do pośladków, subtelnym, przytłumionym głosem śpiewała liryczne pieśni radzieckich kompozytorów, głównie o Rosji i o prostych rosyjskich kobietach.

- Tak, wzięta piosenkarka - potwierdził Rodczenko. - Oślawiony Cichy Anioł. Gdyby pani wiedziała, co z niej był za anioł! Bez przerwy wskakiwała komuś do łóżka. Proszę mi wybaczyć grubiaństwo, ale to była puszczał- ska pierwszej wody! Skrobanki i choroby weneryczne należały do codzienności. Ale mąż! Mąż pracował w aparacie KC i czekała go świetlana przyszłość w partii. Dlatego, sama pani rozumie, Lenoczka Romanowska musiała być bardzo, ale to bardzo ostrożna, żeby nie zniweczyć wspinaczki męża po szczeblach służbowej kariery. Doskonale zdawała sobie sprawę, że gwiazdą estrady będzie dopóty, dopóki on jest jej mężem i obraca się w kręgach władzy. Jeśli choć jeden z tych warunków zostanie

naruszony, wyleci ze sceny na zbity łeb.

I nie będzie ani nagrań w radiu, ani zdjęć w telewizji, ani wyjazdów na występy, ani nawet marnych koncertów w prowincjonalnych klubach. Zgnije bez grosza przy duszy. Dlatego wszystkie swoje problemy Lenoczka rozwiązywała dyskretnie, działając w ścisłej konspiracji. Miała stałego i zaufanego lekarza robiącego skrobanki, Katierina skontaktowała ją z jednym z kolegów nieżyjącego Schwajsztejna. Później, kiedy Lenie zupełnie puściły hamulce, rozpiła się i przestawała z kim popadnie, zaczęły się choroby weneryczne. Katia znowu jej wtedy pomogła, poznała ją z doświadczonym i sprawdzonym wenerologiem, należącym również do grona kolegów zmarłego męża, z którymi nie zrywała kontaktu przez wszystkie lata. Swego czasu owemu wenerologowi nie spodobał się stan zdrowia Romanowskiej, więc wysłał ją na jakieś dodatkowe badanie. Lena długo się oczywiście opierała, bała się wciągać w swoje sprawy postronne osoby, ale wenerolog zapewnił ją, że jego kolega to człowiek godny zaufania, można na nim polegać, umie trzymać język za zębami, zwłaszcza że niejedno wenerologowi zawdzięcza. Poza tym jest świetnym lekarzem. Lenoczka nie była zachwycona, ale udała się na badanie. Nie mam pojęcia, czym ten młody kolega ją ujął, ale po pewnym czasie Romanowska poprosiła Katierinę o pomoc. Że niby taki mądry człowiek, a jakże nieszczęśliwy. Żonę ma młodą, ale ciężko chorą, jest inwalidką po wypadku samochodowym, więc on w żadnym razie nie może jej rzucić, to byłoby nie w porządku. Widuje się jednak z kobietą, którą kocha, tyle że nie mają gdzie się spotykać. No i tak dalej. Sama pani rozumie. Katierina, rzecz jasna, ulitowała się i wyraziła zgodę.

-Ale przecież Romanowska zniknęła ze sceny dawno temu - zauważyła Nastia. - Świetnie pamiętam, że w osiemdziesiątym drugim, kiedy skończyłam studia, już nie występowała. Więc kiedy to wszystko się wydarzyło?

- O wiele wcześniej. Może w siedemdziesiątym czwartym albo siedemdziesiątym piątym, gdy Lenoczka była u szczytu sławy. Ma pani rację, że na początku lat osiemdziesiątych już nie

występowała, stoczyła się ostatecznie, nie zjawiała się na koncertach, nie przychodziła na nagrania. Początkowo próbowano ją z tego wyciągnąć, tuszowano ekscesy, wymyślano poważne powody, ale po śmierci Breżniewa, gdy zaczęły się zmiany w aparacie, w KC, kariera jej męża się załamała i przestano się z Lenoczką cackać.

Wygląda na to, że tajemniczy lekarz spotykał się z Galiną Tieriochiną co najmniej przez piętnaście lat. Nieźle! To oznacza, że w zasadzie wszystkie dzieci Galiny mogły być jego dziećmi. Cała czwórka, nie tylko Natasza. Jednakże fakt, że mężczyzna wykazuje zainteresowanie tylko nią, przemawia raczej za tym, że pozostałe dzieci Galina miała z mężem. Jak znaleźć tego nieuchwytnego „wujka Saszę”? Ostatnia nadzieja w Jelenie Romanowskiej i jej lekarzu wenerologu. Tylko oni mogą podać jego nazwisko.

Znaleźć lekarza, który leczył kiedyś znaną piosenkarkę Jelenę Romanowską z chorób wenerycznych, można było tylko przez samą Romanowską. Próba wyciągnięcia jego nazwiska od przyjaciół doktora Szwej- sztejna, który zmarł w czterdziestym dziewiątym roku, była rzeczą absolutnie beznadziejną. Po wizycie u Siemiona Fiodorowicza Rodczenki Nastia wróciła do pracy i od razu zajrzała do pokoju, który zajmowali Jura Korotkow i Kola Siełujanow. Jura gdzieś wybył, Kola zaś ze skupieniem wystukiwał coś na maszynie, raz po raz zaglądając do rozłożonych na biurku notesów i pojedynczych kartek z zapiskami.

- Koleńka, pójde się zameldować u Pączka, a ty bądź tak miły i znajdź mi Jelenę Romanowską.

- Ma jakieś imię po ojcu? - sceptycznie zapytał Siełujanow. - Czy może jest owocem niepokalanego poczęcia, jak się przyjęło w przyzwoitych biblijnych rodzinach?

- Ma. - Nastia uśmiechnęła się. - Ale go nie znam. Wiem za to, że ćwierć wieku temu była popularną piosenkarką estradową. Teraz powinna mieć około pięćdziesięciu pięciu, sześćdziesięciu lat. Poszukasz? Aha, jej mąż był w tamtym czasie

pracownikiem aparatu KC.

- Wspaniały atrybut - mruknął Nikołaj. - Aśka, czemu zostałaś detektywem? Powinnaś była zająć się archeologią. Lubisz grzebać w zamierzchłych czasach. Dobrze, poszukam. A co za to dostanę?

- Kupię ci drożdżówkę w bufecie - obiecała Nastia.

Pół godziny później, złożwszy raport Gordiejewowi, znowu wpadła do Siełujanowa. Wywiadowca wciąż stukał coś na maszynie i Nastia odniosła wrażenie, że przez pół godziny w pokoju nic się nie zmieniło, z wyjątkiem czajnika, który trzydzieści minut temu smętnie tkwił na podłodze, a teraz wesoło syczał na szafce.

- A drożdżówka? - Siełujanow pytająco uniósł brwi. - Włączyłem już czajnik.

- A Romanowska? - odparła Nastia, przedrzeźniając go. - Z góry nie dostaniesz.

- Obrażasz mnie, koleżanko. Nigdy o nic z góry nie zebrałem. Nawiasem mówiąc, na co liczyłaś, przystępując do wykopalisk archeologicznych? O ile mi wiadomo, archeolodzy zwykle znajdują szkielety. Więc znalazłem ci zwłoki.

- Kola! - jęknęła Nastia z rozpaczą, bezsilnie osuwając się na krzesło. - Powiedz, że żartujesz. Całą nadzieję pokładałam w Romanowskiej.

- Wybacz. - Nikołaj rozłożył ręce. - Zawiodłem twoje oczekiwania, choć się starałem. Nic na to jednak nie poradzisz, Asiu, Jelena Romanowska spadła ze schodów, będąc w stanie nietrzeźwym, w którym znajdowała się na okrągło od kilku lat, i skręciła sobie kark. A więc pamiętaj, że alkohol szkodzi zdrowiu.

- Kiedy to się stało?

- Wcale nie tak dawno, niewiele się spóźniłaś. Gdybyś się wcześniej zreflektowała, zastałabyś ją przy życiu.

- Kolka, skończysz wreszcie z tymi głupimi żartami czy nie? Mam na głowie sprawę zabójstwa, a ty sobie urządzasz śmichy-chichy.

- Bo to na jednej sprawie świat się kończy? - zauważył. - O ile wiem, takich niedokończonych spraw masz co najmniej trzy.

Podobnie jak każdy z nas. Więc nie drzyj szat. Musimy pracować dalej. Jelena Władimirow- na Romanowska zmarła dwa tygodnie temu. Mieszkała sama, mąż dawno ją rzucił z powodu jej uporczywego pijaństwa, dorosła córka się wyprowadziła.

- Adres córki? - zapytała Nastia ze znużeniem.

- Asiu, ona mieszka nie tylko oddzielnie, ale i daleko. Tak daleko, że do niej nie dotrzesz. Mogę oczywiście się postarać i zdobyć dla ciebie jej adres, ale weź pod uwagę, że ulica znajduje się w Sydney. Musiałabyś się tam tłuc samolotem z szesnaście godzin.

- A to pech. Od dawna jest w Australii?

- Od osiemdziesiątego dziewiątego roku. Wyszła szczęśliwie za mąż i wyjechała jak najdalej od pomyłonej mamusi alkoholiczki. Od tej pory ani razu nie przyjeżdżała do Rosji, sprawdziłem.

- Dziękuję ci, Koleńka, jesteś prawdziwym przyjacielem. Szkoda tylko, że ślad się urywa.

Nastia miała tak przybitą minę, że dobrodusznego wesołka Siełujanowa natychmiast ogarnęło współczucie.

- A czego chciałaś się od niej dowiedzieć? Może jakoś inaczej spróbujemy zdobyć informację?

- Och, Kola, myślałam, że Romanowska poda mi nazwisko lekarza, który badał ją ponad dwadzieścia lat temu.

- No to w czym problem? Są przecież karty medyczne i inne tego rodzaju rzeczy.

-Wszystko odbywało się prywatnie i całkiem poufnie. Społeczeństwo nie mogło się przecież dowiedzieć, że gwiazda estrady regularnie leczy się na rzeżączkę i rzesistkowicę. A do lekarza, którego poszukuję, skierował ją na badanie właśnie wenerolog. Poza tym o żadnych kartach medycznych nie było tam mowy. Zapłata gotówką za usługę według aktualnej ceny rynkowej. Chciałam, żeby Romanowska wymieniła nazwisko tamtego lekarza albo nazwisko wenerologa, który ją do niego skierował.

- No to poszukajmy wenerologa - zaproponował Siełujanow, który nie przepuszczał żadnej okazji, żeby się wykręcić od

ślęczenia nad rutynową papierkową robotą. - Co o nim wiadomo?

- Był przyjacielem doktora Szwajsztejna, który zmarł w czterdziestym dziewiątym roku, i przez długi czas utrzymywał znajomość z wdową, Jekatieriną Wieniediktówną Aniskowicz.

- Która również zmarła - podchwycił Siełujanow. - Wspaniale. Podejrzewam, że twój wenerolog również nie żyje. W naszym wspaniałym kraju faceci nie żyją długo, a on powinien już zbliżać się do osiemdziesiątki, może ją nawet przekroczył. Masz listę znajomych Aniskowicz?

- Mam.

- Założymy się o butelkę dobrego koniaku, że w ciągu dwóch dni ustalę nazwisko wenerologa?

- Sam przecież mówiłeś, że picie szkodzi.

- A kto powiedział, że ją wypiję? Jak wygram, zaniosę do domu i pieczołowicie schowam do szafy. Niech sobie stoi, aż nadarzy się stosowna okazja. Zjawią się goście albo będę musiał zrobić komuś prezent.

- Paskudny szantażysta z ciebie. Ty również zajmujesz się przecież sprawą Aniskowicz, więc wykonywanie moich poleceń to twój święty obowiązek.

- Aśka, jesteś niemożliwa! Potrafisz zniszczyć najszlachetniejsze porywy. Potrzebuję bodźca, a nie przymusowego tyrania. Jeżeli się założymy, będę miał bodziec. Inaczej to wyłącznie nuda.

- Aha, trzeba dbać, żebyś miał rozrywkę. Dobra, przekonałeś mnie, stawiam ci koniak, tylko znajdź, proszę, wenerologa. Ugrzęzłam na amen w tej sprawie, czas mija, a ja w ogóle nie posuwam się do przodu. Pączek już zaczął krzywo na mnie popatrywać, nie może zrozumieć, dlaczego wszystko utknęło. Nie mogę się wyrwać z zaklętego kręgu, nie mam żadnej przyzwoitej hipotezy. Mityczny lekarz pozostaje naszym jedynym punktem zaczepienia.

Potargowali się jeszcze trochę o objętość obiecanej butelki i markę koniaku, po czym Nastia wróciła do siebie. Humor ją opuścił. Nadzieja, która się w niej zrodziła podczas rozmowy z Rodczenką, nikła w oczach. Romanowska zmarła. Lekarz

wenerolog też pewnie umarł. Nastia nie miała cienia wątpliwości, że za dwa dni Kola Siełujanow przekaże jej taką informację. Aniskowiec nie żyje. Zerwane zostały wszystkie nici mogące doprowadzić do mężczyzny, który przez wiele lat spotykał się z Galiną Tieriochiną, a teraz odwiedzał w szpitalu jej dzieci, zapewne pod wymyślonym nazwiskiem. Mężczyzny, który po długiej przerwie znowu zaczął bywać u Jekatieriny Wieniediktowny, w dodatku krótko przed jej zagadkową śmiercią.

Romanowska umarła z przyczyn naturalnych dla kogoś, kto dużo pije. Ale jej śmierć nastąpiła w bardzo odpowiednim momencie. Czy nie jest to przypadkiem sprawka nieuchwytnego lekarza nazywającego siebie „wujkiem Saszą”? Nastia wzdygnęła się, gdy zdała sobie sprawę, że zmundną pracę polegającą na wypytywaniu znajomych i sąsiadów denatki, dopiero co wykonaną w związku z zamordowaniem Aniskowiec, trzeba będzie powtórzyć w sprawie Romanowskiej. Przesłuchania zabiorą mnóstwo czasu i sił. Tymczasem jej brakuje i jednego, i drugiego.

Siostra Marfa popychała wózek Galiny Tieriochinej, wioząc ją przez ogromny park otaczający dom opieki. Spacerowała z Galiną już dość długo, ale godzinę temu świeciło słońce, a teraz napłynęły chmury i powiał silny, chłodny wiatr. Galina zadrżała.

- Zimno - oznajmiła kapryśnie. - Wracajmy.

- Jeszcze za wcześnie. Musisz jak najdłużej przebywać na powietrzu - zaoponowała zakonnica.

- Ale zmarzłam.

- Przyniosę ci coś ciepłego.

- No dobrze, tylko nie marudź, bo się przeziębę.

Siostra Marfa pospieszyła do budynku. Wspięła się na piętro, otworzyła pokój Galiny i zaczęła przeglądać rzeczy w szafie w poszukiwaniu ciepłej bluzki i chustki na głowę. Nagle usłyszała szmer za plecami. Odwróciła się i widząc znajomą twarz, już miała się uśmiechnąć i przywitać, ale mężczyzna szybko do niej

podszedł i po chwili jego silne palce zacisnęły się wokół jej szyi. Rzęząc i chwytając ustami powietrze, kobieta zdążyła tylko pomyśleć, że zaraz umrze.

Nastia lubiła, gdy w domu czekał na nią mąż. Co prawda bywały dni, gdy wracała w tak podłym nastroju, że sama myśl o nieuniknionych rozmowach przy kolacji wydawała jej się nieznośna i powodowała, że krzywiła się z niechęcią. Takie chwile zdarzały się jednak bardzo rzadko. Aleksiej, który znał Nastię od wielu lat, jeszcze ze szkoły, zawsze świetnie wyczuwał jej nastrój i milkł w porę.

Dzisiaj Nastia wprawdzie nie tryskała humorem, ale nie była też na tyle zmęczona, żeby nie cieszyć się ze spotkania z mężem, który po powrocie z delegacji spędził kilka dni u rodziców w Żukowskim i dopiero teraz przyjechał do Moskwy.

Losza powitał ją ostrym kaszlem i przeraźliwym kichaniem. Oczy miał zaczerwienione, nos opuchnięty, a na jego twarzy malował się wyraz cierpienia. W odróżnieniu od Nasti chorował rzadko, stan przeziębienia był dla niego czymś niecodziennym, a przez to irytującym.

- O mój Boże - jęknęła Nastia na widok ukochanego męża. - Gdzie się tak załatwił?

- Chyba w samolocie - wychrypiał Aleksiej z wysiłkiem. - Już czwarty dzień się morduję, dzisiaj jest najgorzej. Czym zwykle się kurujesz, gdy jesteś chora?

- Niczym, wiesz przecież. Czekam, aż organizm sam sobie poradzi, po co mam go rozpieszczać. Ale tobie moje metody nie zdadzą się na nic, naprawdę wymagasz intensywnego leczenia. A ja nie mam niczego na przeziębienie - powiedziała strapiona.

- Czemu nie zadzwoniłeś do mnie do pracy? Gdybyś uprzedził, wpadłabym do apteki. Teraz zrobiło się późno, wszystko pozamykane.

- Dobra, do jutra się przemęcę, a rano sam się wybiorę. Pora na kolację.

Po kolacji Nastia zmusiła męża, żeby wymoczył nogi w wodzie z gorczycą, wsunęła mu do uszu gaziki ze startą cebulą: wypróbowany środek medycyny ludowej na katar, stopy natarła maścią terpentynową, po czym wsunęła na nie ciepłe

skarpety. Sama nigdy nie stosowała takich metod, ale słyszała, że są skuteczne.

- Specjalnie mnie męczysz - boleściwym głosem chry- piał Losza, wymachując nogami, podczas gdy Nastia nacierała mu stopy maścią o drażniącym zapachu. Okropnie bał się laskotek.

- Chcesz, żebym umarł. Żona inkwizytor. Powinnaś była urodzić się w średniowiecznej Hiszpanii.

- Wybacz, pomyliłam się o pięć wieków, ale nie zrobiłam tego umyślnie. Leż spokojnie. Nie chcę twojej śmierci. Kto, jak nie ty, będzie mi gotował?

- Ohydna egoistka - burknął Losza.

Za to kiedy tortury się skończyły, zawiął się w kołdrę i niemal natychmiast zasnął jak kamień. Nastia na palcach poszła do kuchni. Nie miała jeszcze ochoty się kłaść, więc postanowiła najpierw umyć brudne naczynia po kolacji, a później poczytać. W ciągu ostatnich kilku tygodni kupiła z piętnaście książek, które ją zainteresowały, ale nie znalazła czasu, żeby przynajmniej jedną otworzyć. Jednak jej słodkie marzenia o spędzeniu spokojnego wieczoru z książką w ręce szybko się rozwiały. Gdy tylko skończyła zmywać naczynia i wytarła ręce w ściereczkę, cicho zabrzączał telefon, w którym Nastia przezornie ustawiła minimalną głośność.

- Nie obudziłem cię? - W słuchawce rozległ się rzeński głos Korotkova, który tej nocy miał dyżur.

- Jeszcze nie.

- No to posłuchaj bajeczki na noc, żeby ci się lepiej spało.

Niedobre przecucie ścisnęło serce Nasti. Jura nie miał zwyczaju wydzwaniać po nocy z byle głupstwem.

- Siostra Marfa nie żyje. Uduszono ją. W pokoju Galiny Tieriochinej.

Rozdział 7

Ira Tieriochina nigdy nie wnikała w sens powiedzenia, że człowiek szybko i łatwo przyzwyczaja się do dobrego, ale długo i z trudem odzwyczaja. W jej życiu nastąpiła tylko jedna gwałtowna zmiana, kiedy z radosnej dziewczyny otoczonej dużą rodziną stała się sierotą i została w internacie sama jak palec. To jednak wydarzyło się tak dawno, że ból zdążył już nieco przycichnąć. Później życie jej nie rozpieszczało i nie miała okazji, żeby przyzwyczać się do dobrego.

Minął już prawie tydzień, odkąd Oleg codziennie zjawia się w Glorii i cierpliwie czeka, aż Ira skończy pracę, a później odprowadza ją do domu. Dwa razy wspiał się z nią na piętro do mieszkania i przekradł na palcach do jej pokoju, a po jakiejś godzinie tak samo bezszelestnie wyszedł. Ira bardzo się bała, że obudzą niemłodego, przyzwoitego lokatora, a poza tym nie chciała stwarzać precedensu. W piątek, jak oznajmił jej Oleg, mieli pójść do jakiegoś wspianalego lekarza, który zgodził się ją zbadać i ocenić możliwość leczenia. Ale do piątku pozostały jeszcze dwa dni.

Ira nigdy się nie zastanawiała, co by było, gdyby... Dopóki miała rodzinę, nie czuła takiej potrzeby, a zresztą nie dorosła jeszcze do takich myśli. Później zaś, gdy skończyła szkołę i pozostawiono ją samą sobie, raz na zawsze postanowiła, co i w jakiej kolejności zrobi. Najpierw będzie pracowała, żeby zebrać pieniądze na leczenie Pawlika, a potem na nagrobek dla taty. I żadnych „jeżeli” albo „a nuż”. Oleg Żesterow od razu stał się częścią tych planów, ale nie zasadniczą i nie najważniejszą. Uczciwie ją uprzedził, że żona spodziewa się dziecka i że urodzi je za trzy miesiące. Wygląda więc na to, że on będzie dalej przychodził wieczorami do Glorii i czekał, aż Ira skończy myć naczynia i podłogę, później odprowadzi ją do domu, a czasami (ale oczywiście nie codziennie) do niej wpadnie. I tak będzie

zawsze.

Po pracy na bazarze Ira pobiegła do domu, wzięła prysznic, naprędcie coś przegryzła i popędziła do szpitala. Ostatnim razem wydało jej się, że Pawlik, uwielbiany przez nią braciszek, źle wygląda. Malec był smutny i ze łzami w oczach opowiadał o wspaniałych zabawkach, które rodzice przynoszą innym dzieciom. Ira popytała w sklepach, ile kosztują te cuda, i z przygnębieniem stwierdziła, że jej na nie nie stać. Musiała szybko zająć czymś brata, bo nie potrafiła patrzeć na jego łzy. Ponieważ na razie nie mogła mu podarować nowej zabawki, postanowiła kupić trochę owoców i cukierków. Jeżeli Pawlik poczęstuje dzieci leżące z nim na sali, może nie będą samolubne i dadzą mu się pobawić swoimi ślicznymi klockami i elektronicznymi autkami.

Przed bramą szpitala stały dwa milicyjne radiowozy z włączonymi kogutami, ale Ira nie zwróciła na nie uwagi. Szpital był ogromny i należał do najlepszych w mieście, znajdował się w nim znany w całym kraju oddział urazo- wo-ortopedyczny, więc milicja często przywoziła tu rannych. Ale przy wejściu do budynku oddziału dziecięcego zatrzymał ją jakiś mężczyzna z zafrasowaną miną.

- Idź, dziecko, z powrotem. Dzisiaj nie ma odwiedzin.

- Jak to nie ma? - Ira oburzyła się. - Muszę zobaczyć się z bratem. Mój brat i dwie siostry tu leżą. Niech pan mnie wpuści.

- Przecież ci powiedziałem, że nie wolno. Przyjdź jutro.

- Niby czemu jutro? Teraz są godziny odwiedzin, od piątej do ósmej. Zawsze w tym czasie przychodzę. Niech pan mnie przepuści.

Mężczyzna westchnął z rezygnacją i lekko popchnął Irę z powrotem. Dopiero teraz dziewczyna zauważyła, że nieco dalej od wejścia zebrała się spora grupa rodziców, którzy przyszli odwiedzić swoje dzieci i których również nie wpuszczono. Najbardziej przedsiębiorczy kręcili się wokół budynku, próbując określić położenie sali, na której leży ich dziecko, i znaleźć właściwe okno. Reszta stała w zwartej grupie i na coś czekała.

- Nie ty jedna znalazłaś się w takiej sytuacji. Popatrz, ilu was

tam jest - powiedział zafrasowany mężczyzna. - Jeżeli chcesz, możesz czekać. Jak będzie wolno, to was wpuszczą. Ale najlepiej przyjdź jutro, bo dzisiaj nic nie wiadomo.

Ira posłusznie ruszyła w stronę grupy.

- Co tam się wyprawia? - zagała, jak zwykle niezbyt uprzejmie. - Czemu nikogo nie wpuszczają?

- Zamordowano pielęgniarkę - od razu skwapliwie jej wyjaśniono. - Milicjantów zjechało się tylu, że strach. Wyprosili postronne osoby, nikogo nie wpuszczają.

Informacja nie zrobiła na Irze szczególnego wrażenia. Gdyby jej powiedziano, że zginęło dziecko, wówczas oszalałaby ze strachu: a nuż to ktoś z jej młodszego rodzeństwa? Ale skoro chodzi o pielęgniarkę, nie musi się denerwować. Źle się stało, że nie może wejść do Pawlika. Przecież on na nią czeka. Obiecała mu, że dzisiaj przyjdzie.

Pokręciła się wśród tłumu, posłuchała jednym uchem rozmów i postanowiła zaczekać. Ostatecznie dopiero wpół do siódmej, do końca przewidzianego czasu odwiedzin pozostało jeszcze półtorej godziny. Później będzie można się poawanturować, zażądać, żeby przedłużono czas odwiedzin do dziewiątej albo nawet do dziesiątej z uwagi na nieprzewidziane okoliczności. Droga do Glorii zabierze jej stąd pół godziny, jeżeli pobiegnie i zdąży na autobus, to może tu pobycć do wpół do dziesiątej. Do tego czasu milicja na pewno sobie pojedzie, a ona będzie mogła spróbować zobaczyć brata albo przynajmniej przekazać mu paczkę.

Odeszła na bok i znalazła zaciszny zakątek w gęstych krzakach dzikich malin, których z jakiegoś powodu rosło tu całe mnóstwo. Usiadła na pustej ławce, zrzuciła stare, zdeptane pantofle, żeby dać odpocząć nogom, i zaczęła się przyglądać panującemu wokół budynku zamieszaniu, żeby uchwycić właściwy moment, kiedy milicja się wyniesie, i będzie można ruszyć w stronę wejścia. Na razie ze szpitala nikt nie wychodził, raczej tylko ciągle ktoś tam wchodził. Wchodzący chyba znali zafrasowanego mężczyznę pilnującego drzwi, bo zatrzymywali się i wymieniali z nim uścisk dłoni. Uśmiechali się, rzucali jakieś żarty i bez przeszkód wchodziłi do budynku. W końcu

ten i ów zaczął wychodzić. Najpierw wyszli ludzie w białych fartuchach z noszami, na których leżało ciało przykryte prześcieradłem. W tym momencie Ira po raz pierwszy poczuła się nieswojo. Przypomniała sobie, jak wynoszono z mieszkania ciało jej ojca. On również był cały przykryty. Wytłumaczono jej, że tak się robi, jeżeli ktoś umarł. Jeżeli żyje, twarz pozostawia się odsłoniętą. Widok ciała na noszach sprawił, że Ira się wzdrygnęła. Mimo że pielęgniarka nic dla niej nie znaczyła, ogarnął ją strach. Dwie godziny temu kobieta chodziła z pewnością po oddziale, roznosiła termometry, dawała dzieciom lekarstwa. Może nawet podeszła do Pawlika. Ciekawe, o którą pielęgniarkę chodzi? Ira знаła wszystkie pielęgniarki na oddziale i rozróżniała je pod względem ich stosunku do rodzeństwa. Jedna bardzo lubiła chłopców i traktowała ich z czułością, inna była surowa i poważna, trzecia uważała, że dzieci nie wolno rozpieszczać, nawet ciężko chorych, bo będą kaprysiły. Szkoda, jeśli zginęła akurat tamta pielęgniarka, która z czułością traktuje chłopców. Pawlik tak się do niej przywiązał! Tylko ona umie go uspokoić, gdy chłopiec płacze...

Z budynku wyszły jeszcze dwie osoby, barczysty, sympatyczny mężczyzna i wysoka, szczupła, jasnowłosa kobieta, która wydała się Irze znajoma. Dziewczyna przyjrzała się jej uważniej. Tak, to ta Kamińska z milicji, która była u niej z wujkiem Władkiem. Kobieta paliła papierosa oparta o drzewo i rozmawiała o czymś z mężczyzną. Ira zerwała się z ławki i rzuciła w jej stronę.

- Dzień dobry - wypaliła zdyszana. - Jestem Ira Tieriochina. Pamięta mnie pani?

Twarz Kamińskiej przybrała jakiś dziwny wyraz, ale Ira mogłaby dać sobie rękę uciąć, że kobieta się nie zdziwiła.

- Witaj, Iro - odparła spokojnie. - Oczywiście, że cię pamiętam. Przyszłaś odwiedzić rodzeństwo?

- No tak, ale mnie nie wpuszczają. Pawlik tam na mnie czeka, obiecałam mu, że dzisiaj przyjdę - zatraj- kotała Ira. - Nie mogłaby pani pomóc mi wejść? Bardzo proszę.

- Nie wolno, Iroczko. Chętnie bym ci pomogła, ale postronne osoby na razie nie mogą wchodzić na oddział. Pracuje tam

grupa operacyjna, śledczy, eksperci. Postronnych osób nie powinno tam być.

- Ale ja kupiłam owoce i cukierki. - Ira spojrzała na nią żałośnie, pokazując dwie reklamówki, która trzymała w rękach. - Pawlik czeka. Ola z Nataszą też. A ja przed dziesiątą muszę być w pracy. Jeżeli do tego czasu mnie nie wpuszczą, będę musiała zabrać to wszystko z powrotem. No proszę.

- Daj mi reklamówki. - Kamińska skinęła głową. - Zaniosę je. To wszystko dla Pawlika?

- Nie. - Ira ożywiła się. - Dla Pawlika jest reklamówka, w której są czereśnie, banany i jabłka, i jeszcze ta z cukierkami. Tylko niech mu pani powie, żeby sam wszystkiego nie jadł, niech się podzieli z dziećmi na sali. Cukierków mu w ogóle nie wolno, ma alergię na czekoladę, niech odda wszystko dzieciom. A tutaj są owoce dla dziewczynek, dwie jednakowe torby. Nie pomyli się pani? Aha, i jeszcze niech pani powie Nataszy, jest najstarsza, leży w sali numer siedem, że książki Goldmana jeszcze nie znalazłam, ale na pewno znajdę, niech się nie martwi. Już się dowiedziałam, gdzie można kupić stare podręczniki do matematyki, pojedę tam niedługo i kupię.

- Goldman? - Teraz Ira zobaczyła, że Kamińska jest naprawdę zdziwiona, i to bardzo. - Twoja siostra potrzebuje podręcznika do zaawansowanej matematyki?

- No tak, prosiła o niego. Dużo się uczy, jest bardzo zdolna.

- Mam tę książkę. Jeżeli chcesz, to przyniosę.

- Jest droga? - zapytała Ira, której od dziecka wpojono, że za wszystko trzeba płacić, bo darmowy jest tylko ser w pułapce na myszy.

- Nie wiem. - Kamińska wzruszyła ramionami. - Podręcznik jest mój, kiedyś kupiłam go chyba za dwa ruble, ale to było wiele lat temu. Dam ci go w prezencie.

W tym momencie Ira ze wstydem stwierdziła, że nie pamięta, jak nazywa się milicjantka. Pamięta tylko nazwisko, ale imienia i otczestwa zapomniała. Jakoś niezręcznie teraz... Przecież nie będzie się do niej zwracała „towarzyszko Kamińska”.

- Rzykujemy, Asiu. - Do rozmowy włączył się nagle barczysty mężczyzna, który do tej chwili rozglądał się w milczeniu na

boki. - Rodzice nas zauważyli i już ruszyli w naszą stronę z torbami. Trudno będzie nam im wyjaśnić, dlaczego robimy dla Iry wyjątek. Daj mi te reklamówki.

Zgrabnie chwycił torby, prawie wrywając je Irze z rąk, i szybkim krokiem skierował się ku bramie szpitala, tam gdzie stały radiowozy.

- Dokąd on je niesie? - zapytała zdziwiona Ira, odprowadzając go wzrokiem.

- Nie martw się, za chwilę wróci i dostarczy je na oddział. W przeciwnym razie będziemy musieli przyjąć paczki od całego tłumu. Wszyscy widzieli, jak do nas po- deszłaś, więc gdybym wzięła od ciebie torby i zaniósła je na oddział, wyszłoby nieładnie. Zgodzisz się ze mną?

- Chyba tak. - Ira słabo się uśmiechnęła. - Jakoś nie przyszło mi to do głowy. A szybko tam skończycie? Jest sens czekać?

- Szczerze mówiąc: nie. Pracy jest dużo, pewnie zejdzie nam do późnego wieczora. Wracaj lepiej do domu, odpocznij. Od rana jesteś przecież na nogach.

- Skąd pani wie?

- Stasow wspominał, że dużo pracujesz. Znajdujesz w ogóle czas, żeby odpocząć?

- Nie. - Ira pokręciła głową. - Kiedy mam odpoczywać? Codziennie pracuję. Ale niech pani nie myśli, że jest mi ciężko. Nie narzekam. Daję sobie radę. Naprawdę nie uporacie się do dziewiątej?

- Na sto procent.

- No trudno. - Ira westchnęła. - W takim razie nie będę czekać. Ale nie zapomni pani przekazać dzieciom rzeczy?

- Oczywiście, że nie zapomnę, nie denerwuj się. Możesz spokojnie wracać.

-I powie im pani to, o co prosiłam, niczego pani nie popłaczę?

- Nie popłaczę - zapewniła ją Kamińska. - A książkę Goldmana jakoś ci przekażę. Albo jeżeli chcesz, to przyniosę do szpitala i dam twojej siostrze.

- Uhm. - Ira kiwnęła głową. - Tak będzie najlepiej. No to lecę.

Prawie biegiem puściła się w kierunku przystanku autobusowego, ciesząc się z wolnego czasu, który nie-

oczekiwanie się pojawił. Gdy tylko weszła do mieszkania, od razu poczuła aromatyczny zapach dolatujący z kuchni. To znaczy, że w końcu wrócił Iljas, bo na Gieorgija Siergiejewicza jeszcze za wcześnie, przychodzi z pracy znacznie później. Nie pomyliła się. W kuchni zastała nowego lokatora, ale najgorsze było to, że na taborecie przy stole tkwił nie kto inny, jak znieawidzona Tańka pasożytki. Oczywiście znowu pijana. Z gębą wymalowaną jak cyrkówka. Myśli, głupia, że trzy kilo tapety kogoś zwiedzie, dzięki temu odmłodnieje i nikt się nie dowie, ile ma lat. Och, co za wiedźma.

- Coś się tu rozsiadła? - niegrzecznie zapytała Ira. - Ktoś cię zapraszał? Po coś przyszła?

Była pewna, że Tańka, której bezczelność nie zna granic, przyszła poprosić, żeby Ira posprzątała jutro jej rejon. Tak się już zdarzało. Zazwyczaj nie stawiała się po prostu w pracy i koniec, niech inne sprzątaczkę, łącznie z kierownictwem, martwią się, co zrobić. Jednakże czasami, kierując się niewiadomymi pobudkami, Tańka zjawiała się u Iry i próbowała dogadać się po dobroci. Proponowała pieniądze, jęczała, nawet ronila łzy. Ira potrzebuje oczywiście pieniędzy, to nie ulega kwestii, ale ma też swój honor. Nie weźmie pieniędzy od Tańki, bo babsko napawa ją odrazą.

- Och, Irusieczko - zatrajkotała Tańka pasożytki - a my tu z Iljasikiem czekamy na ciebie, szykujemy kolację. Siadaj, częstuj się, wszystko już mamy gotowe.

Patrzcie ją, czekamy! Znalazła sobie kumpla.

- Obejdzie się - ostro odparła Ira.

W milczeniu wyjęła z lodówki torbę z kanapkami, które jeszcze wczoraj przyniosła z Glorii, i niedopitą dwulitrową butelkę pepsi, zostawioną na bazarze przez któregoś handlowca i przezornie zabraną do domu. Czemu nie? Jest prawie pełna. Ma się zmarnować? Ira dobrze wiedziała, że jeżeli ona nie weźmie butelki, kto inny ją sobie przywłaszczy, i to nie z braku pieniędzy, ale po to, żeby oddać komuś, kto sprzedaje napoje rozlewane do kubków.

W swoim pokoju wyjęła z torby kanapkę z wędzoną kielbasą, nalala pepsi do wyszczerbionego kubka i usiadła na kanapie.

Po krótkiej chwili rozległo się ostrożne pukanie do drzwi.

- Mogę wejść, Irusieczko? - dobiegł Irę głos Tańki.

- Nie możesz - półgłosem odburknęła Ira.

Była zresztą pewna, że Tańka nie usłyszała. Dom zbudowano dawno, był murowany, z grubymi ścianami i dębowymi drzwiami. Przepuszczalność dźwięku prawie żadna. Były jednak czasy, kiedy budowano jak się patrzy! Nie to, co dzisiaj.

Tańka znowu zaskrobała do drzwi.

- Iriszeńko! Słyszysz mnie?

- Słyszę - głośno odezwała się Ira. - Czego chcesz?

- Mogę wejść?

- Po co? Czego ode mnie chcesz?

- Chcę tylko chwilę porozmawiać.

Tańka postanowiła nie czekać na pozwolenie i niezgrabnie wtaszczyła do środka swoje masywne, otyłe ciało.

- Czego chcesz? - posępnie burknęła Ira, zdając sobie sprawę, że tak łatwo się Tańki nie pozbędzie. Wyrzucić też jej nie może, przyszła przecież nie do niej, ale chyba do Iljasa, z lokatorami zaś nie wypada się kłócić.

- Czy to prawda - odezwała się konspiracyjnym szeptem Tańka, opadając na jedno ze znajdujących się w pokoju krzesel - że była u ciebie milicja?

- No. - Ira kiwnęła głową, jedząc dalej kanapkę. - A co ci do tego?

- O co pytali?

- Boże, coś się przyczepiła? Byli przecież u mnie, a nie u ciebie. To moja sprawa.

- Ależ, Irusieczko, ja przecież nie mam nic złego na myśli, jestem po prostu ciekawa. O mnie nie pytali?

- A niby czemu! - pogardliwie prychnęła Ira. - Potrzebna im jesteś jak psu piąta noga. Gdyby chcieli, toby przyszli do ciebie.

- Wcale nie - zaoponowała Tańka. - Bo jakby ktoś na mnie naskarżył, że zajmuję lokal, to najpierw wypytaliby wszystkie sprzętaczkę, czy to prawda, że nie zjawiam się w pracy. A o co cię pytali?

- O co pytali, to pytali - ucięła Ira. - Nie chodziło o ciebie.

- Na pewno nie o mnie?

- Daj mi wreszcie spokój, na miłość boską! - krzyknęła Ira ze złością. - Twoje zbiry terroryzują całą dzielnicę. Kto by się ośmielił na ciebie naskarżyć? Każdemu życie miłe. Nic tu po tobie. Nie dosyć, że trzeba za ciebie sprzątać twój rejon, to jeszcze nie dajesz odpocząć.

Wynocha stąd. Idź do swojego Iljasa, podobno przygotowaliście kolację. Tylko naczynia umyjcie po sobie.

- Niepotrzebnie się złościysz, Irinoczko - wyjęczała Tańka. - Tobie to się powodzi, masz prawdziwe pałace, trzy pokoje, i wszystkie są twoje. Myślisz, że inni nie chcą mieć swojego kąta, na dodatek w Moskwie? Wszyscy sobie radzą, jak mogą, tutaj wszystkie chwytaki są dozwolone. Sama wiesz, że człowiek szuka, gdzie by się najlepiej urządzić. Żal ci, że będę miała swoją chatę?

- Udław się swoją chatą. Tylko dlaczego inni muszą za ciebie pracować? Pieniądzy jakoś nie zapominasz brać.

- No wiesz! - Tańka się oburzyła. - Jakie pieniądze? Wszystko co do kopiejki oddają szefowi, REU⁷ i milicji, żeby mnie nie wyrzucili z mieszkania. Nie myśl, że czyham na cudze. Podpisuję się tylko na liście płac, a pieniędzy na oczy nie widzę. Właśnie dlatego się przestraszyłam, gdy się dowiedziałam, że była u ciebie milicja. Pomyślałam, że ktoś mnie podkablował. Powiedział, że odpalam milicjantom działkę, no i wszczęto śledztwo. Wiesz, jak się teraz walczy z korupcją? Co ty! Jak kogoś przydybiają na łapówkach, to koniec, nie darują. No powiedz mi, tylko z ręką na sercu, czy przypadkiem nie o to pytali?

- Wcale nie o to, odczepisz się wreszcie?

- No to o co?

- O nic. Wynoś się, powiedziałam. Daj mi spokojnie odpocząć, zaraz znowu idę do pracy.

Tańka westchnęła i niechętnie wyniosła się z pokoju. Ira jednym łykiem dopiła pepsa z kubka i włożyła nie- dojedzoną kanapkę z powrotem do reklamówki. Rozmowa z Tańką odebrała jej apetyt, nie miała już ochoty na jedzenie.

⁷ REU (*Riemontno-eskpluacionnoje uprawlenije*) - wydział remontowo-eksploatacyjny (przyp. tłum.).

Wyciągnęła się na kanapie, przykryła starą, dużą, puszystą chustą. Wczoraj gwałtownie się ochłodziło i wieczorem w pokoju robiło się zimno i wilgotno. Nie do wiary, skąd biorą się takie bezczelne kreatury jak Tańka pasożytki. Mało tego, że nie przychodzi do pracy, że jej kumple wszystkich zastraszyli, to jeszcze ma tupet się dopytywać, czy nie dobiera się do niej milicja. Irusieczko, Irinoczko! A to zdzira. Inaczej nie da się jej nazwać. Ciekawe, skąd się dowiedziała, że wujek Władik przyprowadził do niej kobietę z milicji? A zresztą co za różnica. Pewnie powiedział jej tamten milicjant, którego opłaca. Może nawet sam ją przysłał, żeby wywahała, o co pytali, czy czasem nie szukają na niego haka.

Chwilę później Ira usłyszała, jak trzasnęły drzwi wejściowe, Tańka sobie poszła. I prawie od razu rozległo się pukanie do drzwi. Czyżby to Iłjas?

- Iro, zje pani ze mną?

To coś nowego! Przecież zamierzał zjeść kolację z Tańką. I w ogóle do stołu zapraszał ją tylko Gieorgij Siergiejewicz. Ani Musa, ani Szamil nigdy tego nie robili. Wszystkim lokatorom postawiła jeden podstawowy warunek: mają się do niej zwracać per „pani” i trzymać z daleka. Żadnej zażyłości. Bo inaczej nawet nie zauważy, jak wsiądą jej na kark i zaczną podsuwać kumpli. Do tej pory udawało jej się trzymać ich na dystans, więc obywało się bez ekscesów. Ira poszukała w pamięci uprzejmych zwrotów, które kiedyś знаła.

- Dziękuję, Iłjas, już jadłam. Proszę się nie martwić - głośno odparła przez drzwi.

Kroki oddaliły się w stronę kuchni. Dobrze, że nowy lokator się nie narzuca. Bo różni się trafiają... Ira przypomniała sobie pierwszego lokatora, Azera Natika. Wiecznie ją czymś częstował. Nie mogę, mówił, jeść sam, u nas nie ma takiego zwyczaju, do stołu zaprasza się wszystkich, którzy są w pobliżu. Raz Ira nie wytrzymała, przyjęła jego zaproszenie, a później ledwie uszła z życiem. Co oni tam dodają do tych swoich dań narodowych? Wszystko jest tłuste, pieprzne i smak jakiś dziwny. Potem Natic nie przestawał się jej naprzykrzać: jesteś teraz moją siostrą, mówił, skoro przełamaliśmy się chlebem.

Jakby o niczym innym nie marzyła, tylko zostać jego siostrą! Dzisiaj siostra, a jutro wymyśli coś innego. O, nie.

Ira zdrząła z zimna. Puszysta chusta już nie wystarczała, musiała napić się gorącej herbaty. Niechętnie wstała z kanapy i powłokła się do kuchni. Ku jej zdziwieniu panował tam porządek, Iljas umył po sobie naczynia i nawet zamiótł podłogę. Na płycie stał duży garnek z aromatycznym mięsem, a obok garnuszek z ugotowanym ryżem. Ira włączyła gaz pod czajnikiem, usiadła na taborecie, oparła się łokciami o stół i podparła dłońmi głowę. Niemal od razu skrzypnęły drzwi, rozległy się ostrożne kroki i ze swojego pokoju wyszedł Iljas.

- Iro, jeżeli jest pani głodna, proszę się poczęstować. Spodziewałem się kolegów, przygotowałem sporo jedzenia, ale oni nie mogą przyjść.

Uprzejmość i jeszcze raz uprzejmość, tylko to ją uratuje.

- Bardzo dziękuję, Iljas, ale nie mam ochoty. Zaraz napiję się herbaty, żeby się ogrzać, i pobiegnę do pracy. Niech pan lepiej poczęstuje Gieorgija Siergiejewicza, gdy wróci.

- Oczywiście. - Iljas skinął głową. - Przepraszam, że tak wyszło z Tanią. Nie zapraszałem jej, sama przyszła i zapytała, czy może na panią zaczekać. Zgodziłem się. Nie wiedziałem, że będzie pani niezadowolona.

- Wszystko w porządku. - Ira uśmiechnęła się.

Ten chłopak jej się podobał, nie przypominał poprzednich lokatorów, hałaśliwych i bezpośrednich, zostawiających po sobie brudne naczynia i mokre ślady na podłodze.

- Bardzo się niepokoiła przyjściem milicji - ciągnął Iljas przeproszającym tonem - więc pomyślałem, że to coś poważnego. Może potrzebuje pani pomocy? Mam znajomych...

- Wszystko w porządku, Iljas, nie mam żadnych kłopotów. Dziękuję za troskę.

Mężczyzna wrócił do siebie. Ira pospiesznie wypila herbatę, z wahaniem zerknęła na niedojedzoną kanapkę, ale nadal nie czuła głodu, więc wsunęła torbę do lodówki.

Za piętnaście dziesiąta wciągnęła ciepły sweter, narzuciła kurtkę i udała się do restauracji. Już zeszła po schodach i szybko ruszyła w stronę skrzyżowania, gdy jej nowy lokator

Iłjas znowu wyszedł z pokoju na korytarz i zdjął słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

- To ja - odezwał się, gdy usłyszał głos po drugiej stronie. - Nic nie powiedziała. Ani mnie, ani tej sprzątacze.

Wszystko przegapiliśmy! - Pułkownik Gordiejew o przydomku Pączek z wściekłością biegał po gabinecie, roztrzaskując wpadające mu w ręce krzesła.

- Przespaliście sprawę! Facet likwiduje wszystkich, którzy mogą go rozpoznać. Zakonnica w domu opieki, gdzie przebywa Galina Tieriochina. Pielęgniarka w szpitalu, gdzie leżą dzieci. I nawet Jelena Romanowska, która zna jego nazwisko. Jak to się mogło stać?

Nastia milczała. Doskonale wiedziała, jak do tego doszło. Ona jest wszystkiemu winna, nikt inny. Kilka dni temu w tym samym gabinecie upierała się, że nie ma sensu urządzać zasadzki w domu opieki i w szpitalu, bo nieuchwytny „wujek Sasza” może się tak szybko nie zjawić. On jednak się zjawił i zaczął zabijać. Popełniła błąd.

W tym momencie pojawiało się również inne pytanie: skąd „wujek Sasza” w ogóle się dowiedział, że szuka go milicja, że ma jego rysopis, a nawet portret pamięciowy? Czyżby doszło do wycieku informacji? Od kogo?

- Można było tego uniknąć, gdyby od samego początku nie pochłonęła nas hipoteza o kolekcji. Mnóstwo czasu zajęło nam jej sprawdzenie, a tymczasem on już zdążył się dostać do Romanowskiej. Gdybyśmy od razu, od pierwszego dnia zaczęli przesłuchiwać znajomych Aniskowicz, znaleźlibyśmy Romanowską o wiele wcześniej i poznalibyśmy jego nazwisko. A przy okazji, Anastazjo, wiesz, jak wytłumaczyć, dlaczego zabił właśnie tę, a nie inną pielęgniarkę? O ile dobrze pamiętam, odwiedzał przecież dzieci w szpitalu przez sześć lat, wiele osób powinno go znać z widzenia. Więc dlaczego właśnie ona?

- Odwiedzał dzieci tylko podczas jej dyżuru. Moja wina, Wiktorze Aleksiejewiczu, popełniłam błąd. Oparłam się na zeznaniach personelu. Wszyscy wiedzieli, że oprócz siostry

odwiedza Tieriochinów jakiś mężczyzna, ni to krewny, ni to przyjaciel ich rodziców. To mi wystarczyło i nie zwróciłam uwagi, że jego rysopis podała mi tylko jedna pielęgniarka. Ta, która została zabita.

- Kiepska sprawa. No dobrze, nie ma co rwać włosów z głowy, bierzmy się do pracy. Kto jeszcze może go rozpoznać?

- Dzieci. I sąsiedzi Aniskowiec. Ale to są bardzo słabe ogniwa. Tak naprawdę tylko Natasza Tieriochina może być dla niego niebezpieczna. Ola i Pawlik są mniej więcej na tym samym poziomie rozwoju intelektualnego, ich zeznania nie są warte funta kłaków, będą je zmieniać dziesięć razy dziennie. Staruszka Darja Łukiniczna może rozpoznać mężczyznę, którego widziała wiele lat temu. Przychodził kiedyś do Aniskowiec, ale co z tego? Jaki ma związek z zabójstwem? Żadnego. Sąsiadka, która zauważyła poszukiwanego mężczyznę krótko przed zabójstwem, nie widziała go wcześniej. Tak więc nie da się udowodnić, że mężczyzna, którego mogłaby rozpoznać, znał Aniskowiec.

- A lekarz, który leczył Jelenę Romanowską z chorób wenerycznych? Nie znaleźliście go?

- Znaleźliśmy. - Do rozmowy włączył się Kola Siełujanow. - Ale umarł parę lat temu. Był już stary.

- No cóż - w zamyśleniu rzekł Gordiejew - zostaje więc tylko Natasza Tieriochina. To nasze najsłabsze ogniwo. Porozumiem się w sprawie jej całodobowej ochrony, ale Bóg mi świadkiem, moi drodzy, że to wszystko, co mogę zrobić. Przed wyborami sytuacja w mieście jest nadzwyczaj złożona, wiele osób potrzebuje ochrony, sami wiecie, że kandydat na wicemera omal nie został zabity. Nie możemy ochraniać dwóch sąsiadek Aniskowiec, nie dadzą nam tylu ludzi, pozostaje mieć tylko nadzieję, że same się obronią. Ale niepełnosprawna dziewczynka to nasze zmartwienie. Jest całkowicie bezbronna, odpowiadamy za jej bezpieczeństwo. W dodatku to ostatnia osoba, z pomocą której będziemy mogli powiązać tego „wujka Saszę” z zabójstwem. Z jednej strony odwiedza ją w szpitalu i okazuje w ten sposób emocjonalny stosunek do rodziny Tieriochinów. Z drugiej strony jest lekarzem, więc jeżeli

pogrzebiemy w jego biografii, może znajdziemy nić łączącą go ze zmarłym lekarzem Romanowskiej, który z kolei dobrze znał Aniskowiec. Inaczej nie ruszymy z miejsca.

- Ale mamy związane ręce, Wiktorze Aleksiejewiczu - zauważył Korotkow. - Cały szpital wpadł w panikę z powodu zabójstwa pielęgniarki, więc jeżeli urządzimy tam zasadzkę, wszyscy bez wyjątku się o tym dowiedzą. Kto wie, czy nie poinformują zabójcy. Wtedy nie uda nam się go schwytać.

- Za to przynajmniej ustrzeżemy dziewczynę - odparł pułkownik. - Masz rację, Jura, nie da się tam zorganizować przyzwoitej zasadzki, zbyt wiele osób się zorientuje. Poza tym leżą tam przecież dzieci a nie dorośli. Dzieci są bardziej ruchliwe i bezpośrednio, zauważą nieznanomych wujków i zaczną trąbić o tym na prawo i lewo. Potrzebujemy kogoś ze świetną pamięcią wzrokową. Kogoś, kto na podstawie sporządzonych przez nas portretów potrafi wypatrzyć przychodzących na oddział mężczyzn, choć trochę przypominających osobnika z rysunków. Kogoś odpowiedzialnego, spostrzegawczego i uważnego. Mamy kogoś takiego na oku?

- Poszukamy, Wiktorze Aleksiejewiczu. - Siełujanow skinął głową, ale raczej niezbyt pewnie. - Ja bym zaproponował Miszę Docenkę. Tak się napracował nad ustaleniem rysopisu zabójcy i nad stworzeniem portretu pamięciowego, że pewnie widzi tego faceta nawet we śnie. Misza najlepiej potrafi go sobie wyobrazić. Prawda, Miszania?

- Nie pytaj Miszani, tylko mnie. - Gordiejew surowo przywołał go do porządku. - Docenko ma roboty nie mniej od was, a ty proponujesz zwolnić go ze wszystkich spraw, którymi się zajmuje, i wysłać do szpitala? Zgadzam się z twoją argumentacją, wydaje mi się rozsądna, rzeczywiście Michaił zna rysopis „wujka Saszy” lepiej niż ktokolwiek inny. Ale kto, powiedz mi łaskawie, przejmie jego sprawy? Ty, Nikołaj, jesteś jak szewc, pilnujesz tylko swojego kopyta.

Było jednak widać, że Pączek Gordiejew upiera się tylko dla zasady. Bo nawet dziecko w tej sytuacji by zrozumiało, że z tym zadaniem nikt nie poradzi sobie lepiej niż Misza Docenko.

Zabójstwo pielęgniarki z oddziału dziecięcego do złudzenia przypominało zabójstwo siostry Marfy, w życiu świeckim Raisy Pietrowny Sielezniowej. Obie kobiety zostały uduszone, oba zabójstwa popełniono w ciągu dnia, gdy oprócz pacjentów i personelu, wszędzie kręci się mnóstwo odwiedzających, którzy nie znają się z widzenia, i dlatego pojawienie się zabójcy w nikim nie wzbudziło najmniejszych podejrzeń. Pielęgniarka Alewtina Myrikowa zginęła w pokoju, w którym przechowuje się ubrania dzieci leżących w szpitalu. Jakiejś dziewczynce zrobiło się zimno, w ciągu ostatnich kilku dni pogoda gwałtownie się zmieniła, więc dzieci osłabione długim upałem zaczęły się jedno po drugim przeziębiać. Alewtina udała się do pokoju, żeby przynieść dziewczynce ciepły sweter, i już stamtąd nie wyszła. Pokój, w którym przechowywano ubrania, znajdował się w suterenie, można było się tam dostać i po schodach, i windą. Nikt nie zwrócił uwagi, którą drogę wybrała pielęgniarka. Wszyscy mieli ręce pełne roboty, od piątej trwały odwiedziny rodziców, więc na oddziale zaroilo się od ludzi. Tak samo było w wypadku zabójstwa siostry Marfy, z tą tylko różnicą, że odwiedziny pensjonariuszy w domu opieki trwały przez cały dzień, a nie w ustalonych godzinach.

Do śledztwa w obu sprawach włączono milicjantów z terenowych komisariatów, mimo to ciągle pojawiało się poczucie, że brakuje ludzi, a także czasu. Ktoś zabija prefektów i ważnych oficjeli, a wy tutaj zawracacie głowę jakimiś zakonnkami, emerytami i pielęgniarkami...

Ordynatorowi domu opieki nie w smak była uciążliwa obecność funkcjonariuszy milicji. Jak każdy szef nie tolerował u siebie obcych wprowadzających nowe porządki. Nastię Kamieńską szczerze ubawił widok podenerwowanego lekarza Galiny Tieriochinej, który nieustannie rozglądał się na boki.

- Niechże pani zrozumie, że jeżeli ordynator zobaczy, ile czasu tracę na rozmowy z panią, to mnie zabije - wyjaśnił z poczuciem winy.

- Ale przecież pan się nie obija - odparła zdziwiona Nastia. - Udzielenie pomocy milicji to pański obowiązek i nikt nie ma

prawa panu tego wypominać.

- Zna pani ten stary dowcip? - Lekarz się uśmiechnął. - „Proszę powiedzieć, chyba mam prawo...?”. „Owszem, ma pan”. „To znaczy, że mogę...?”. „Nie, nie może pan”. Nikt nie może zabronić mi z panią rozmawiać, racja, ale jeżeli jakiś pacjent się poskarży, że przez dłuższy czas nie mógł się dostać na wizytę albo doczekać się mnie w swojej sali, bo zupełnie zapomniałem o pracy i zajmowałem się tylko panią, nie ujdzie mi to na sucho. Przede wszystkim jestem lekarzem, odpowiadam za ciężko chorych oraz dotkniętych paralizem, którzy w każdej chwili mogą potrzebować mojej pomocy. Chciałbym, żeby pani to sobie uświadomiła.

- Dobrze - obiecała Nastia. - Proszę powiedzieć, jak Tieriochina przyjęła wiadomość, że w jej pokoju zabito siostrę Marfę?

- Najpierw była oczywiście w szoku. Ale później pojawiła się pozytywna reakcja. Może to zabrzmiało nieładnie, ale tragiczna śmierć opiekunki miała na Galinę zbawienny wpływ.

- W jakim sensie?

- Zaczęła to i owo sobie przypominać z okresu poprzedzającego uraz czaszki.

- I pan mówi o tym tak spokojnie?! - Nastia niemal krzyknęła. - To przecież bardzo ważne!

- Dlaczego? - Lekarz szczerze się zdziwił. - Jaki to ma związek z zabójstwem?

Tak, słusznie, pomyślała Nastia. Skąd on ma wiedzieć, że zabójstwo sięga korzeniami akurat tamtego okresu, którego nieszczęsna Tieriochina nie może sobie przypomnieć. Nie ma też pojęcia, że zabójstwo siostry Marfy łączy się z Galiną.

- Co dokładnie przypominała sobie Tieriochina? - zapytała Nastia już spokojniej.

- No cóż, nie sformułowałbym tak pytania. - Lekarz uśmiechnął się. - Na razie nic konkretnego sobie nie przypominała, do tego jeszcze bardzo daleko. Zaczęła jedynie dostrzegać jakieś mgliste, nieuchwytnie obrazy niezwiązane z teraźniejszością. Nazywam to jednak pozytywną reakcją, bo przez wszystkie lata, które tu spędziła, nawet tego nie udało nam się

osiągnąć. Jej pamięć była jak czysta kartka, a teraz powiedziałbym, że to kartka, na której widnieją oderwane, nieuporządkowane kreski i plamy. Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby z tych kresek i plam stworzyć coś na kształt obrazka.

- Będzie pan jednak z nią pracował?

-To wszystko nie jest takie proste - odparł z westchnieniem. - Nie znam się na tym, a tu potrzebny jest specjalista. W naszym zakładzie nikogo takiego nie mamy, musimy wynająć, a to wymaga pieniędzy i wielu starań. Powinien się tym zająć ordynator.

- Powiedział mu pan o Tieriochinej?

- Oczywiście, natychmiast.

-I jak zareagował?

- Stwierdził, że zastanowi się, co można zrobić.

- Chyba jest wobec was bardzo zasadniczy? - zapytała Nastia.

- Zależy kiedy. Należy do osób niezwykle chimerycznych. Gdy humor mu dopisuje, można z nim konie kraść. Gdy zaś ma zły dzień, nie pozostaje nic innego, jak tylko brać nogi za pas. Zamierza pani z nim porozmawiać?

- Owszem, ale trochę później. Proszę powiedzieć, czy uważnie obserwował pan Tieriochiną po znalezieniu w jej pokoju ciała zakonnicy?

- Naturalnie. Widzi pani, tak się złożyło, że ciało znalazła sama Galina. Widocznie długo czekała na siostrę Marfę w parku, znudziło jej się czekanie i poprosiła, żeby ją odwieziono do budynku. Galina ma dobry wózek, ale słabe ręce, po złamaniach źle się zrosły i po- bolewiają, ciężko jej przejechać samodzielnie tak długą drogę. Z parku przywiozła ją nasza pielęgniarka. Razem dostały się windą na drugie piętro, gdzie znajduje się pokój Galiny, a potem Tieriochina pojechała już sama, zostało ledwie parę metrów. Wjechała do pokoju, a tam na podłodze leży siostra Marfa. Galina zaczęła przeraźliwie krzyczeć i zemdląła. Od razu mnie wezwano, byłem na miejscu, bo nie skończyłem jeszcze pracy. Póki nie poczuła się lepiej, nie spuszczałem z niej oka.

- Proszę mi opowiedzieć o Tieriochinej - poprosiła Nastia. - Charakter, sposób myślenia, przyzwyczajenia.

- Skąd to zainteresowanie Galiną? Czyżby miała jakiś związek ze śmiercią siostry Marfy?

Nastia pomyślała, że może nie warto kombinować i robić wielkich tajemnic. Jednak z drugiej strony, zabójca był bardzo ostrożny, a przy tym niebezpieczny, więc nie wolno dopuścić do wycieku informacji. Nie wiadomo, komu można powierzyć sekret i poprosić o zachowanie milczenia. Wszystkim nie sposób zajrzeć w głąb duszy...

- Chcę wiedzieć, jaką osobą była siostra Marfa - wymyśliła Nastia na poczekaniu. - Przez tyle lat opiekowała się Galiną, zbliżyła się do niej, więc jeżeli dobrze poznam Galinę, może zacznę wtedy lepiej rozumieć Raisę Pietrownę.

- Raisę Pietrownę? A kto to taki? - Lekarz uniósł brwi.

- Tak nazywała się siostra Marfa, zanim została zakonnica - wyjaśniła Nastia. - Raisa Pietrowna Sielezniowa.

- Coś podobnego. - Mężczyzna pokręcił głową. - Nie wiedziałem. Wszyscy nazywali ją siostrą Marfą, nikt nawet nie wspominał jej świeckiego imienia. A co się tyczy Galiny Tieriochinej, to jest uparta jak osioł. Ma nieznośny charakter. Kapryśna i despotyczna, nie toleruje zdania innych. A przy tym lubi udawać niewiniątko, narzeka na swoje życie. Bardzo często skarży się, że najstarsza córka ją terroryzuje.

- Naprawdę tak mówi? Że ją terroryzuje? - zapytała Nastia z powątpiewaniem.

Nie potrafiła wyobrazić sobie Iry Tieriochinej w roli osoby terroryzującej własną matkę. Pewnie, że nie da się powiedzieć o dziewczynie, że to chodzący anioł, bo bywa gwałtowna i opryskliwa, nie jest jednak jędzą. Bardzo kocha młodsze rodzeństwo.

- Owszem, tak się właśnie wyraża - przytaknął lekarz. - Mało tego, jest przekonana, że córka robi jej wszystko na złość. Przynosi specjalnie nie to, o co matka ją prosi.

- Co pan ma na myśli? - Nastia nie zrozumiała.

- Mydło nie tego gatunku, pastę do zębów nie taką, jak lubi, chustkę nie w tym kolorze. Tieriochiną jest ze wszystkiego wiecznie niezadowolona. Ze mnie również. Uważa, że poświęcam jej za mało czasu i że gdybym traktował ją z większą

uwagą, z powodzeniem postawiłbym ją na nogi. Przypuszczam, że siostra Marfa była nieskończenie cierpliwa i dobra, jeżeli znosiła to tak długo.

Po rozmowie z lekarzem Tieriochinej Nastia udała się na poszukiwanie gabinetu ordynatora. Chyba miała szczęście, w każdym razie ordynator zrobił na niej wrażenie człowieka bardzo miłego. Widocznie trafiła na jego dobry humor. Siergiej Lwowicz Gułanow był rumianym brunetem z wesoło błyszczącymi oczkami i figlarnym uśmiechem, rozmownym i dobrodusznym.

- Proszę, proszę - serdecznie przywitał Nastię, wstając i robiąc zapraszający gest. - Niech pani siada. Domyślam się, że przyszła pani w sprawie siostry Marfy. Zadziwiająca z niej była kobieta, doprawdy zadziwiająca! Ocean dobroci i cierpliwości! Oto co znaczy pobożność. Czy po ateistach można się spodziewać takiego poświęcenia?

Siergiej Lwowicz chętnie opowiadał o zakonnicy, nie przestając jej chwalić i zachwycać się duchowymi przymiotami siostry Marfy. W końcu Nastia udało się skierować rozmowę na Galinę.

- Siergieju Lwowiczu, zamierza pan podjąć jakieś działania, żeby przywrócić Tieriochinej pamięć?

Dobroduszny uśmiech zniknął z jego twarzy. W jednej chwili Gułanow stał się poważny i w niczym nie przypominał niedawnego dowcipnisia. Teraz siedział przed nią profesjonalista, który miał omawiać zawodowe tematy.

- Nie podjąłem jeszcze decyzji, ale przyznam szczerze, że raczej nie podejmę żadnych działań.

- Ale dlaczego? Lekarz prowadzący Galinę powiedział, że teraz, po przeżytym wstrząsie, pojawiła się realna możliwość, żeby jej pomóc. Czemu więc tego nie wykorzystać?

- Rozmawiała pani z doktorem Zamiatinem? Szkoda, że nie przyszła pani do mnie od razu, wyjaśniłbym pani to, czego on nie jest w stanie pojąć. Interesuje go tylko zdrowie fizyczne pacjenta. Powiedziałbym, że reprezentujemy różne szkoły naukowe. Zamiatin jest zimnym materialistą, który przyswoił sobie wszystko, co najgorsze z doktryny walczącego ateizmu.

Dusza nie oddziałuje na materialne obiekty, a ponieważ organizm ludzki jest takim właśnie materialnym obiektem, w swoich metodach leczenia Zamiatin posługuje się ową doktryną. Uważa, że prawidłowe leczenie musi pomóc, niezależnie od tego, co sądzi na ten temat chory. Natomiast ja wyznaję inne poglądy, prawdopodobnie dzięki temu, że wychowałem się na Litwie, skończyłem medycynę w Wilnie, a tam wśród mieszkańców jest spora grupa katolików, więc naukowy ateizm nigdy nie cieszył się poważaniem. A zatem, szanowna Anastazjo Pawłow- no, jestem głęboko przekonany, że człowiek, którego dusza jest chora, nigdy nie będzie czuł się fizycznie zdrowy. Jeżeli jest chory, to nigdy nie wyzdrowieje. Jeżeli jest zdrowy, będzie cierpiał na jakąś przewlekłą chorobę. Wyjaśnię na przykładzie Tieriochinej. To, co kiedyś zrobiła, jest okropne i nie da się tego puścić w niepamięć. Podniosła rękę na własne dzieci. Trudno o straszniejszy i cięższy grzech, chyba się pani z tym zgodzi. Coś jednak musiało ją do tego popchnąć, w jej życiu musiało się wydarzyć coś naprawdę potwornego, że zdecydowała się na taki krok. Teraz tego nie pamięta. Powiedziano jej, że to zrobiła, a ona przyjęła to do wiadomości. Nie pamięta widoku ciał dzieci leżących na chodniku, okaleczonych i zakrwawionych, nie pamięta, jak gonila je po mieszkaniu, jak wyrwały jej się z rąk, jak krzyczały i płakały ze strachu. Nie pamięta tamtych potwornych wydarzeń, które popchnęły ją do zbrodni przeciwko sobie i dzieciom. Ja zaś się zastanawiam: czy powinna sobie przypomnieć? Stan jej zdrowia ustabilizował się, nie może oczywiście sama się poruszać, ma uszkodzony kręgosłup i źle pozrastane kończyny, ale poza tym nic jej nie dolega. Serce, nerki, wątroba są w stosunkowo dobrej kondycji, biorąc pod uwagę jej wiek i przeżyty uraz, a także późniejsze leczenie i kilka operacji. Pewnie pani powiedziano, że Tieriochina ma trudny charakter, jest marudna i szuka dziury w całym, prawda? Słyszała pani o tym? Ale moim zdaniem świadczy to o tym, że żyje ze sobą w zgodzie. Skarży się na córkę tylko dlatego, że nie jest świadoma swojej winy wobec niej. Nie zdaje sobie sprawy, że chciała ją zabić, a teraz dziewczyna musi utrzymywać matkę zabójczynię.

Niech więc sobie pani wyobrazi, co się stanie, gdy odzyska pamięć. Stanie oko w oko z koszmarem. Bezbronna, chora, samotna, z poczuciem winy wobec wszystkich. Zapewniam panią, że od tej pory zaczną ją nękać nieustanne choroby. Człowiek pozostawiony sam sobie z takimi wspomnieniami nie zechce żyć, podświadomie zacznie dążyć do własnej śmierci, autodestrukcji i samozniszczenia. To właśnie stanie się powodem chorób, coraz cięższych i bardziej podstępnych. Proszę się skonsultować z dobrym psychiatrą, on pani powie, że w trudnych przypadkach klinicznych należy natychmiast przebadać psychikę chorego. Człowiek wciąż choruje, nie wiadomo na co, nikt nie potrafi postawić diagnozy, albo też stawia się diagnozę, zaleca terapię, a ona nie pomaga, więc lekarze nie rozumieją, co się dzieje, i rozkładają ręce. A później się okazuje, że chory ma ogromny kompleks winy, zaczyna sam się oskarżać, rodzi się w nim poczucie własnej bezwartościowości i nikczemności, co prowadzi do tego, że nie ma ochoty dłużej żyć. Jego podświadomość niszczy organizm, nie pozwala mu wyzdrowieć. Bardzo się boję, że to samo stanie się z Galiną Tieriochiną, chociaż doktor Zamiatin nie podziela moich obaw. Już pani jednak mówiłem, że reprezentujemy inne szkoły naukowe. Moim zdaniem próba przywrócenia pamięci Galinie to nierozważny krok z punktu widzenia medycyny i niehumanitarny, biorąc pod uwagę czysto ludzkie podejście. Niech wszystko pozostanie jak do tej pory. Proszę pomyśleć o przyszłości, Anastazjo Pawłowno. Najstarsza córka Tieriochinej jest dzisiaj zbyt młoda, więc to całkiem naturalne, że nie może zabrać matki do domu i się nią zaopiekować. Dziewczyna musi pracować, zdobyć wykształcenie, stanąć na nogi. Za jakiś czas będzie mogła jednak wziąć matkę do siebie. Doszły mnie słuchy, że dziewczyna, na imię ma chyba Irina, nie jest serdeczna w stosunku do matki, nierzadko bywa opryskliwa. Chyba pani przyzna, że to zrozumiałe. Jest jeszcze bardzo młoda. Z biegiem czasu zmądrzeje i nauczy się cierpliwości. Całkiem możliwe, że wybaczy Galinie. Zwłaszcza że Galina nie pamięta popełnionego grzechu. To czynnik obiektywny i wszyscy będą musieli go wziąć pod uwagę, nawet

Irina. Dorosła i przyzwoicie zarabiająca córka zapewni nieszczęsnej matce godną starość, będzie z nią mieszkać i opiekować się Galiną. Jeżeli jednak matka wszystko sobie przypomni, to bardzo wątpię, żeby mogły ze sobą przebywać. Galina będzie bez przerwy zdręzczać się winą i prześladowającymi ją koszmarnymi wspomnieniami, a zważywszy na jej władczy i despotyczny charakter, niemal na pewno zacznie zamęczać córkę. Wina przekształci się w agresję, co dość często się zdarza. Ludzie skłonni są nienawidzić tych, wobec których czują się winni, jak pisał wielki La Bruyere. Jeżeli Tieriochiną wszystko sobie przypomni, matka i córka nie wytrzymają ze sobą. A przecież to niedobrze, jeżeli Galina do końca życia pozostanie u nas, mając dorosłą córkę. To nie po ludzku. A nawet, jeśli pani woli, to wbrew prawu boskiemu.

Nastia uważnie słuchała Gułanowa i przyznawała mu rację. Najbardziej na świecie pragnęła teraz, żeby Galina Tieriochiną odzyskała pamięć, ale zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę skorzysta na tym jedynie śledztwo w sprawie zabójstw. Bo nikomu to nie pomoże. Stworzy nawet niebezpieczeństwo. Można się uprzeć i znaleźć specjalistów, którzy zajmą się Galiną. Będzie to wymagało intensywnego wysiłku, ale nie jest wykluczone. Można znaleźć nawet sponsorów, którzy opłacą leczenie. Rekonstrukcja utraconej albo zablokowanej pamięci zainteresuje wiele instytucji, zarówno medycznych, jak i niezwiązanych z medycyną. To nie problem znaleźć specjalistów zainteresowanych opracowaniem metodyki i zebraniem materiału do pracy naukowej. Z chęcią popracują nawet bezpłatnie, jeżeli przypadek jest niecodzienny albo skomplikowany. Ale czy gra jest warta świeczki? Zdemaskować zabójcę i dowiedzieć się, co kryje przeszłość chorej niemłodej kobiety, dręczonej straszliwym poczuciem winy? W końcu zabójcę można znaleźć inaczej, tak, to niesłychanie trudne, ale możliwe. A po tym, jak Galina Tieriochina wszystko sobie przypomni, nikt nie przywróci jej spokoju ani równowagi. To proces nieodwracalny. Więc ona, Nastia Kamińska, nie może wziąć na siebie takiej odpowiedzialności, nawet w imię schwywania okrutnego i niebezpiecznego zabójcy.

Rozdział 8

Wiera jeszcze mocno spała, gdy w mieszkaniu Żestero- wów zadzwonił telefon. Oleg pospiesznie chwycił słuchawkę w obawie, że przenikliwy dzwonek obudzi żonę. Niech sobie pośpi, póki może. Kiedy urodzi się dziecko, spędzi niejedną bezsenną noc, to żadna tajemnica.

- Oleg Wiktorowicz? - W słuchawce rozległ się nieznajomy głos.

- Tak, słucham.

- Mówi Walerij Wasiljewicz, lekarz Wiery Nikołajew- ny. Nie dzwonię za wcześnie? Przepraszam, jeżeli pana obudziłem.

- Nie, nie, wszystko w porządku - szybko odparł Oleg. - Chce pan rozmawiać z Wierą? Zaraz ją obudzę.

- Właściwie chodzi o pana, Olegu Wiktorowiczu. Jutro o dwunastej trzydzieści ma pan przyprowadzić do mnie znajomą na konsultację. Tymczasem jutro nie będę mógł was przyjąć, pojawiły się nieprzewidziane okoliczności. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeżeli przeniosę konsultację na poniedziałek?

- A znajdzie pan czas w poniedziałek? - zapytał Oleg z niedowierzaniem.

Dobrze pamiętał, jak Wiera opowiadała mu, że Walerij Wasiljewicz jest bardzo zajęty i ile wysiłku ją kosztowało, żeby namówić go na wizytę w tym tygodniu, bo wszystkie dni ma zarezerwowane na miesiąc z góry.

- Oczywiście. Chodzi o to, że chory, który miał przyjść w poniedziałek, musi pilnie wyjechać za granicę, ma bilety na sobotę, więc bardzo prosił, żebym go przyjął wcześniej. Pomyślałem, że mógłbym zamienić was miejscami, gdyby pan się zgodził. On przyjdzie w piątek zamiast was, a wy z kolei zjawicie się u mnie w poniedziałek w czasie zarezerwowanym dla niego. Bo jeśli dobrze zrozumiałem, to chyba nic pilnego?

- Owszem - przytaknął Oleg. - Chciałem pana prosić, żeby zbadał pan moją znajomą i ewentualnie podjął się jej leczenia. Ale ona cierpi na swoją przypadłość już od wielu lat, więc dwa czy trzy dni zwłoki nie grają roli. Wobec tego przyjdziemy w poniedziałek. O której?

- O siedemnastej. A przy okazji, co konkretnie dolega pańskiej znajomej?

- Ma alergię.

- Na co?

- Praktycznie na wszystko. Na jedzenie, na lekarstwa.

- Na pyłki drzew i traw również?

- N-nie wiem - odparł Oleg z wahaniem. - Nic na ten temat nie wspominała, a ja nie pomyślałem, żeby zapytać. To ważne?

- Oczywiście, ale sam ją o to zapytam w poniedziałek. Robiła ostatnio jakieś badania? Na przykład krwi albo moczu?

- Nie mam pojęcia.

- Wspominam o tym dlatego, że jeżeli ma wyniki badań, to niech je weźmie ze sobą, to mi ułatwi diagnozę.

- Ale skoro wizyta jest przełożona na poniedziałek, może je jeszcze zrobić.

- Nie warto, Olegu Wiktorowiczu, sam ją skieruję do laboratorium, jeżeli to się okaże konieczne.

W przypadkach poważnych reakcji alergicznych trzeba przeprowadzić specjalistyczne badania, nikt ich nie wykona bez skierowania, bo są dość drogie, wymagają odpowiednich odczynników. Jeżeli znajoma ma wyniki badań, niech je przyniesie, natomiast jeżeli nie ma, nie musimy się spieszyć, zrobimy wszystko po kolei i powoli.

- Dobrze, jak pan sobie życzy. A więc w poniedziałek o siedemnastej?

- Tak, w poniedziałek o siedemnastej.

Oleg odłożył słuchawkę i pospiesznie opuścił mieszkanie. Był już i tak spóźniony do pracy. Zbiegając po schodach, pomyślał, że musi koniecznie zadzwonić do Iry i uprzedzić ją o przełożonej wizycie u lekarza, żeby mogła zaplanować sobie przerwę w pracy. To po prostu zadziwiające, skąd w niej tyle siły! Przecież w ogóle nie odpoczywa, nie bierze urlopu, jako

rekompensatę dostaje pieniądze. Jak jej się to wszystko udaje?

Wieczorem Oleg zjawił się w Glorii, zamówił jak zwykle kolację i czekał na Irę. Tuż po jedenastej wyszedł ostatni klient, a mniej więcej za dwadzieścia dwunasta Ira skończyła zmywać naczynia i zabrzęczała wiadrami, szykując się do mycia podłogi. Oleg odniósł wrażenie, że dziewczynę coś trapi, ale postanowił odłożyć rozmowę na później, nie nękać jej w pracy. Zazwyczaj ucinał sobie pogawędkę z szatniarzem, wujkiem Kołą, i czekał, aż Ira skończy myć podłogę i kafelki na ścianach. Później brał ją pod rękę i odprowadzał do domu. Od pierwszego dnia tak się przyjęło, że nie odwozi jej samochodem, tylko odprowadza pieszo. Obojgu podobał się niespieszny spacer pustymi, ciemnymi ulicami. Oleg wprawdzie za każdym razem pytał, czy Ira nie jest zmęczona i czy nie woli jechać samochodem, ale ona zawsze odmawiała. W tych krótkich, piętnastominutowych spacerach było coś szczególnego, odmiennego od codziennej wyczerpującej pracy na dworze, na klatkach schodowych, na bazarze czy w kuchni.

- Masz jakiś kłopot? - zapytał Oleg po wyjściu z Glorii.

- Nie - krótko odparła Ira, ale w jej głosie dało się wyczuć napięcie.

- A jednak? Coś się stało? - dopytywał się.

- Pawlik płacze. Byłam dzisiaj u niego. Ta historia z pielęgniarką źle na niego podziałała. Wczoraj nie wpuszczono mnie do sali, podałam tylko paczkę, a dzisiaj przychodzę, a on siedzi zalany łzami i cały aż się trzęsie. To była dobra pielęgniarka, bardzo się do niej przywiązał. Przeplakał całą moją wizytę. Nawet nie zajrzałam do Oli i Nataszy, bo wczepił się we mnie i nie chciał puścić. A kiedy wychodziłam, też płakał. Serce mi się kraje.

- To nic. - Oleg próbował ją uspokoić. - Dzieci szybko zapominają złe chwile. Zobaczysz, że jutro już nie będzie płakał, a pojutrze zapomni o pielęgniarce. Dzieci takie są.

- Pewnie tak. - Ira westchnęła. - Jeśli coś mi się stanie, o mnie też szybko zapomni. Popłacze ze trzy dni, a później zapomni. Rany u dzieci szybko się goją.

- Daj spokój, Irisza, skąd te czarne myśli? Co ci się może stać?

- Nie wiem. Cokolwiek. Na przykład umrę.
 - Boże, niby czemu masz umrzeć? Młoda, silna, patrz, ile pracujesz bez odpoczynku, żaden facet by tego nie wytrzymał. Trochę cię jeszcze podleczy my i wszystko będzie w porządku. Wyrzuc z głowy te głupstwa.
 - Oleg, a tobie może się coś przytrafić? Masz niebezpieczną pracę?
 - Gdzie tam. - Mężczyzna wzruszył ramionami. - Normalna męska robota. Nic szczególnego.
 - Naprawdę jesteś prywatnym ochroniarzem?
 - Naprawdę.
 - Coś mi się wydaje, że mnie oszukujesz.
 - Niby czemu? - burknął, czując wewnętrzny niepokój.
 - W ochronie pracują zazwyczaj same mięśniaki. Widzę ich na bazarze i w restauracji. Nie jesteś do nich podobny.
 - Ciekawe czemu?
 - No... Nie wiem. Masz inną twarz. I mówisz jakoś inaczej, nie tak jak oni.
 - To dlatego, że nie jestem z miasta, ale z prowincji.
 - Myślałby kto, że oni są miastowi. Też pewnie przyjechali ze wsi do miasta za chlebem.
- Przez pewien czas szli w milczeniu. Oleg zastanawiał się, jak by tu zręcznie skierować rozmowę na lokatorów Iriny. Podczas ich spotkań dowiedział się od niej wiele ciekawych rzeczy o interesującej go grupie, ale za każdym razem musiał używać wybiegów, żeby dziewczyna nie domyśliła się, o co naprawdę mu chodzi. Słusznie zrobił, że wpadł do niej do domu, podczas gdy ona była w pracy, i poznał Gieorgija Siergiejewicza. Teraz może swobodnie o niego zagadnąć, a później zobaczy, postara się jakoś zahaczyć o Iljasa.
- A przy okazji - zaczął ostrożnie - twój lokator, Gieorgij Siergiejewicz, to prawdziwy światowiec. Mądry, inteligentny. I bardzo taktowny.
 - Skąd go znasz? - Ira zaniepokoiła się. - Poznaliście się?
 - Poznaliśmy. Nic ci nie wspominał?
 - Nie.
 - Niedawno zająrałem do ciebie, ale byłaś w pracy, więc poroz-

mawiałem sobie z lokatorem. Porządny z niego facet, słowo daję.

- To prawda, porządny - przyznała Ira. - Uprzejmy i troskliwy. Zawsze stara się pomóc, jak tylko potrafi. Aż czasem czuję się niezręcznie. Żał mi go, jego żona to prawdziwa jędza. A o czym rozmawialiście?

- O tobie. Opowiadał mi, jaka jesteś miła, i prosił, żebym cię nie skrzywdził.

- Serio? - Ira z jakiegoś powodu się ucieszyła. - Mówił, że jestem miła?

- Owszem - przytaknął Oleg. - Ciekawe, co myśli o tobie twój drugi lokator?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Pewnie sądzi, że jestem jakąś zdzirą.

- Czemu miałby tak myśleć?

- Była u mnie milicja, a później Tańka pasożytką. Wyobraź sobie, przychodzić wczoraj do domu, a w kuchni siedzi ta krowa. Opowiadałam ci o niej, pamiętasz?

- Pamiętam. A po co przyszła?

- Diabli ją wiedzą. Siedzi, gadu-gadu z Iljasem, że niby gotują razem kolację. Później przywlokła się do mojego pokoju i zaczęła mnie ciągnąć za język, po co była u mnie milicja i o co pytali. Przyczepiła się jak rzep do psiego ogona. No to co potem Iljas miał sobie o mnie pomyśleć? Popatrzy! na Tańkę i pewnie uznał, że jestem taka sama. Później jeszcze pytał, jakie mam problemy z milicją, czy nie potrzebuję pomocy. Chyba żał mu się mnie zrobiło.

- Czemu tak sądzisz?

- Zaprosił mnie na kolację. Iro, mówi, niech pani zje ze mną. Chciał nakarmić głodną, nieszczęsną właścicielkę mieszkania.

- Czyżby miał jakieś doświadczenie do milicji na wypadek kłopotów?

- Też coś! - prychnęła Ira. - Jakie oni tam mogą mieć doświadczenie? Pewnie załatwiają sprawy za pomocą łapówek. Nie potrzebuję jego pomocy, sama dam sobie radę.

- Chwileczkę. - Oleg się zaniepokoił. - Co to znaczy „nie potrzebuję jego pomocy, sama dam sobie radę”? Czyżbyś rzeczywiście miała jakieś problemy z milicją? Czemu mi nie

powiedziałaś?

- Nie mam żadnych problemów - odparła Ira z rosnącą irytacją. - Owszem, byli u mnie, pogadali, popytali o rodziców. Historia sprzed stu lat. W ogóle mnie nie dotyczy.

- A o lokatorów nie pytali?

- Nie. Po co im moi lokatorzy?

Olegowi nie spodobało się to, co usłyszał. Milicja nie miała powodu, żeby interesować się Iry Tieriochiną, był tego absolutnie pewien. Jeżeli się pojawili, to pewnie w sprawie grupy kazańskiej, tylko dobrze zakamuflowani, Irka nawet niczego nie wyczuła. A więc znowu nie wie lewica, co czyni prawica? Kładł przecież szefostwu do głowy: po co mamy sami się pchać, lepiej połączmy siły z MWD⁸ albo chociaż z Pietrowką i razem z nimi poszukajmy Ajaksa. Ale oni uparli się jak osły i ani kroku do przodu. Nie będziemy, mówią, z nikim dzielić się informacją i kropka. Sami zajmiemy się rozpracowaniem Ajaksa i jego grupy. W końcu zagraniczne związki z promuzułmańskimi grupami przestępczymi to nie jest sprawa MWD, ale FSB i wywiadu wojskowego. Milicjanci mają dość roboty z zabójstwami, więc niech się nimi zajmują. A jeżeli się okaże, że MWD również dotarło do Ajaksa swoimi kanałami, to nieskoordynowane działania dwóch resortów mogą tylko zaszkodzić sprawie.

Było tu jeszcze coś, czego niewykształcona Irka mogła po prostu nie zauważyć. Wnioskując z pewnych charakterystycznych zachowań członków grupy, o których Olegowi udało się dowiedzieć od Iry, mężczyźni byli prawdziwymi muzułmanami. Mimo że mieszkali czasowo w Rosji, przestrzegali postu podczas ramadanu, nie jedli wieprzowiny i nie pili wina. Jak wynikało ze słów Iry, dziewczyna nigdy nie widziała ich pijanych. A ją, właścicielkę mieszkania, traktowali tak jak prawdziwi wyznawcy islamu, którzy uważają, że kobieta nie ma duszy, nie jest niczym więcej, jak tylko rzeczą ułatwiającą życie. Tymczasem tenże muzułmanin zaprosił ją na posiłek i życzliwie zapytał, czy nie potrzebuje pomocy. To

8 MWD (*Ministerstwo wnutriennich diet*) - Ministerstwo Spraw Zagranicznych (przyp. tłum.).

niemożliwe. Nigdy by tak nie postąpił. Żaden prawdziwy muzułmanin nie potraktowałby tak kobiety. Ale przecież Ira nie kłamie. To znaczy, że wydarzyło się coś bardzo ważnego, skoro Iljas zachował się niezgodnie z szarłatem. Wykonał czyjeś polecenie. Musiał koniecznie się dowiedzieć, po co u Iry była milicja. Ci milicjanci też są nieźli! Zjawili się jak gdyby nigdy nic w mieszkaniu, gdzie przebywa grupa kazańska. Nie zachowali żadnych środków ostrożności, żeby figuranci nie dowiedzieli się o ich wizycie. Skończeni kretyni! Wygląda na to, że Irki też nie uprzedzili, żeby milczała.

- Twoi lokatorzy to jednak podejrzane typy. Nie mam na myśli Gieorgija Siergiejewicza, bo od razu widać, że to przyzwoity gość. Ale jeśli chodzi o tego Iljasa... Sama mówiłaś, że przed nim mieszkał u ciebie ktoś podobny. Nie boisz się, że w końcu napytasz sobie biedy?

- Niby z jakiego powodu? - Ira zdziwiła się. - Kraść u mnie nie ma czego, sam widziałeś, jak mieszkam. Nie chowam w swoim pokoju trefnego towaru, nic złego nie robię, więc co komu do mnie?

- Ty może nie robisz nic złego, ale jeżeli twoi lokatorzy są w coś zamieszani, to pociągną cię za sobą. Będiesz choćby świadkiem. A może i osobą podejrzaną.

Rozumiem, że potrzebujesz pieniędzy, ale wpuszczanie do domu diabli wiedzą kogo może się źle skończyć. Trzeba wymyślić coś bezpieczniejszego. Możesz dać mi słowo, że po wyprowadzce Iljasa nie będziesz już wynajmować pokoiów podejrzanym typom?

- Słowo? - Ira zmrużyła oczy, a jej twarz wykrzywił grymas, taki sam jak w internacie, gdy kłóciła się z dziewczynami. - Mam ci dać słowo? Boże kochany, jaki troskliwy! Boisz się, że jeżeli coś się stanie, ty też dostaniesz po głowie? A pieniądze? Skąd je wziąć? Zjawiłeś się i pewnego dnia znikniesz, dzisiaj jesteś, a jutro cię nie ma, szukaj wiatru w polu. Za trzy miesiące urodzi ci się dziecko, zaczniesz się nim zajmować i o mnie zapomnisz. Ale ja też mam dzieci, choć ich nie urodziłam. I zapamiętaj, że dzieci są dla mnie na pierwszym miejscu, grób ojca na drugim, a ty jesteś szesnasty w kolejności. Nie podobają

ci się moi lokatorzy, to droga wolna, ja ci się nie narzucam, sam przychodzisz co wieczór. Jak nie przyjdiesz, nie będę rozpaczać. Jasne?

Ira przyspieszyła kroku i wysunęła się naprzód, nie oglądając się. Cholera, niezręcznie wyszło. Oleg chciał tylko przedłużyć rozmowę na temat grupy kazańskiej, a tymczasem Ira się obraziła. Trzeba się szybko pogodzić, nie pora teraz skakać sobie do oczu.

- Iro, zaczekaj! Przepraszam, kretyn ze mnie, palnąłem głupstwo bez zastanowienia. Iro! Nie gniewaj się, proszę.

Szybko ją dogonił i chwycił za rękę.

- Iroczo, kochanie, wybacz mi. Sama decydujesz, jak ma wyglądać twoje życie, nie mam prawa się wtrącać. Słowo honoru, że nie będę się więcej pchał z głupimi radami.

Ira poweselała i lekko się uśmiechnęła.

- Dobra, niech cię diabli, wybaczam ci.

Pod domem Oleg się zatrzymał.

- Jak tam dzisiaj u ciebie? Kurnik pełny?

- Chyba tak. Gieorgij Siergiejewicz zawsze tu nocuje, a Iljas raczej nigdzie się dziś nie wybierał. Masz ochotę wstąpić?

- Jeśli nie masz nic przeciwko. Obiecuję, że będę się zachowywał cicho i postaram się nie hałasować.

- No to chodźmy.

Ukradkiem weszli do mieszkania. Cisza była tak głęboka i przejmująca, że można było pomyśleć, iż nikogo nie ma. Puste pokoje. I wszędzie ciemno. Przyzwoity sąsiad śpi pewnie kamiennym snem, pomyślał Oleg, a Iljas gdzieś się włóczy. Tego tylko jeszcze brakowało, żeby na niego wpadł, wychodząc z mieszkania. To dopiero byłby numer.

W pokoju Ira bez zbędnych słów zaczęła jak zwykle ścielić łóżko. Żesterow przyglądał się jej i dziwił, skąd bierze się w nim ta dojmująca litość na widok dziewczyny. Sam dorastał w biedzie i wiedział, jak to jest wyglądać gorzej niż inni, nie dojadać i być wiecznie niewyspanym, bo trzeba wstawać skoro świt i pomagać matce w gospodarstwie. Był jednak chłopcem, więc stare, niemodne ubranie nie przygnębiało go tak, jak zapewne irytuje dwudziestoletnią dziewczynę, która i tak nie

grzeszy urodą.

- Słuchaj, Iriszko - zaczął szeptem - może twoi lokatorzy szmuglerzy sprzedaliby ci jakieś ciuchy po hurtowej cenie? Mogłabyś się u nich zaopatrywać.

- Daj spokój. - Ira machnęła dłonią. - Nie będę ich o nic prosić.

- Dlaczego?

- Dlatego. Bo jak raz poproszę, zrobią mi przysługę, a później będą myśleli, że wyświadczyli mi łaskę, i nie odcepnię się od nich. Nie, Olezka, ich trzeba trzymać na dystans, tylko wtedy wszystko będzie grało. Nie potrzebuję ich ciuchów, mam swoje.

- A co oni przywożą? - zainteresował się Oleg jak gdyby przy okazji. - Skórę, futra? Czy może tanie trykoty?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć - ucieła Ira. - To nie moja sprawa. Póki się do nich nie wtrącam, oni mnie nie ruszają. Od dwóch lat przyjmuję lokatorów i na szczęście nic złego się nie wydarzyło. Dalej też tak będzie. No? Kładziemy się czy będziemy dyskutowali na temat moich lokatorów?

Oleg pojął, że okazał się nazbyt ciekawski, i pospiesznie zaczął się rozbierać.

Może pogoda tego dnia miała na niego niekorzystny wpływ, a może była to wina zmęczenia, w każdym razie strasznie nie chciało mu się wychodzić od Iry. Po seksie ogarnęła go fala słabości, nogi i ręce mu ciążyły i go nie słuchały, więc najbardziej na świecie pragnął zostać tutaj, w tym mieszkaniu, w tym pokoju, na tej kanapie, odwrócić się na bok i zasnąć. I spać ze dwanaście godzin. Czy to normalne, żeby przez dwa tygodnie kłaść się a to o drugiej w nocy, a to o czwartej nad ranem i wstawać jak zwykle o wpół do ósmej, żeby o dziewiątej być już w pracy. Tylko Irka potrafi spać po trzy godziny i czuć się jako tako, ale on, Żesterow, jest tym wykończony.

Nie mógł sobie jednak pofolgować. Chociażby z tego powodu, że Irka twardo obstawała przy swoim: lokatorzy nie powinni wiedzieć o jego wizytach. Nie miał więc prawa jej zawieść. Natomiast jeżeli chodzi o Wierę, to dawno się przyzwyczaiła, że mąż pracuje przez całą dobę na okrągło, nie była zazdrosna i niczemu się nie dziwiła. A ostatnio chyba w ogóle nie zauważa, czy Oleg bywa w domu, pochłonęła ją ciąża, myśli tylko o

dietach, zabiegach, badaniach, spacerach i zdrowym stylu życia. Ale to właściwie dobrze, przyszła matka powinna troszczyć się o dziecko od chwili poczęcia, a nie dopiero wtedy, gdy malec przyjdzie na świat. Starożytni Chińczycy już to odkryli.

Przewyciężając niechęć, wstał i zaczął się ubierać. Czuł przy tym nieprzyjemną słabość i drzenie mięśni w nogach. Taki tryb życia nie prowadzi do niczego dobrego, to pewne. Delikatnie stąpając w samych skarpetkach po podłodze i trzymając w rękach lekkie letnie pantofle, wyszedł w ślad za Irą do przedpokoju i wyslizgnął się przez bezszelestnie uchylone drzwi, zdążywszy pospiesznie musnąć ustami policzek dziewczyny. Drzwi cicho się za nim zamknęły. Oleg odetchnął głęboko, wsunął pantofle i powoli zszedł po schodach. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich dni pożałował, że zostawił samochód pod Glorią. Nagłe zmęczenie było tak silne, że dziesięciominutowy spacer w nocnym chłodzie, sprawiający mu do tej pory przyjemność, teraz wydawał się Olegowi katorżniczym wysiłkiem.

Na ulicy poczuł się jednak o wiele lepiej. Pewnie wszystkiemu jest winna duchota. To dlatego tak się rozkleił. Żesterowowi poprawił się nieco humor, więc już raźniejszym krokiem ruszył w stronę Glorii, nie podejrzewając, że jego długie, muskularne nogi odmierzają ostatnie metry, które sążone mu było przejść na tym grzesznym padole.

Od dawna przyzwyczał się spędzać soboty, a nierzadko również niedziele, w pracy, w swoim gabinecie. Dzisiaj też była sobota, więc jak zwykle siedział przy biurku, rozłożywszy przed sobą dokumenty - sprawozdania, zaświadczenia, analizy, wyniki eksperymentów. Jednak już od dwóch bitych godzin kartki leżały nietknięte.

Walerij Wasiljewicz spogląda! na nie niewidzącym wzrokiem i wciąż nie mógł zebrać myśli.

Dwie godziny temu zadzwoniła Wiera i załamującym się głosem wydukała:

- Oleg nie żyje.

Nie знаła szczegółów. Razem z innymi mieszkańcami bloku obudziła się, gdy koło trzeciej nad ranem rozległ się wybuch pod oknami. Przestraszyła się oczywiście, wstała i wyjrzała na ulicę. I od razu zobaczyła, że pali się ich blaszany garaż. Początkowo nawet nie pomyślała o Olegu, uznała, że jacyś chuligani wysadzili dla zabawy tani blaszak. Dopiero pół godziny później, kiedy przyjechała straż pożarna, milicja i pogotowie, okazało się, że do wybuchu doszło, gdy Oleg wjeżdżał do garażu.

Walerij Wasiljewicz uspokajał Wierę, jak umiał, wypowiadał jednak słowa machinalnie, bo po głowie tłukła mu się tylko jedna myśl: udało się. Najwyższy znowu przyszedł mi z pomocą. Udało się.

Pod żadnym pozorem nie mógł dopuścić, żeby mąż Wiery Żesterowej przyprowadził do niego swoją znajomą na konsultację. Wszystko, tylko nie to. Wyznaczył wizytę na piątek, wierząc, że wpadnie na jakiś pomysł, ale nic sensownego nie przyszło mu do głowy, więc przeniósł po prostu termin konsultacji na poniedziałek. Planował, że do tego czasu albo zachoruje, albo będzie musiał wyjechać w delegację na konsylium do jakiegoś wysoko postawionego pacjenta, który nagle zaniemógł, albo wynajdzie jeszcze inny powód... I nagle takie szczęście! Aż nie mógł w nie uwierzyć.

Co prawda pewne rzeczy nie dają mu jeszcze spokoju. A nuż Żesterow zostawił swojej przyjaciółce numer telefonu lekarza, który ma ją przyjąć w poniedziałek? Oleg już nie żyje, ale w każdej chwili telefon może zadzwonić i miły dziewczęcy głosik przypomni Walerijowi Wasiljewiczowi, że obiecał ją zbadać. Co wtedy? Może oczywiście uprzejmie odmówić. Ale jeśli ona zna Wierę? Jeżeli Wiera wstawi się za nią, nie będzie mógł się wykręcić. Do licha! Niedobrze się wszystko układa...

Mimo wszystko Stwórca nad nim czuwa, grzechem byłoby narzekać.

Nagle jego myśli wróciły do Wiery. Żeby tylko dziecku nic się nie stało. Wiera jest teraz przerażona, nie daj Boże, żeby doszło do przedwczesnego rozwiązania z powodu stresu. Zaczną ją

ciągać do śledczego, później będzie musiała zająć się pogrzebem. I przez te wszystkie niespodziewane historie zacznie opuszczać zabiegi. Nic gorszego nie mogłoby się wydarzyć. Tyle pracy i wszystko na nie! Jest jeszcze oczywiście Zoja. Dziecko, które nosi, ma większą wartość niż dziecko Wiery... Jednakże Wiera, gdy zostanie sama, może uczepić się Walerija Wasiljewicza na amen. Jako mężatka nie mogła na wiele liczyć, ale gdy została wdową, będzie miała prawo żądać pomocy od ojca swojego dziecka. Walerij Wasiljewicz może się oczywiście z nią ożenić, Zoja o niczym się nie dowie, w jej oczach jest żonatym mężczyzną i tak pozostanie. Tyle że nie uśmiechało mu się życie w towarzystwie rozpieszczonej, kipiącej energią ślicznotki. Zoja to całkiem co innego. Cicha, zahukana, typ kury domowej - akurat to, czego mu trzeba. Będzie, podobnie jak Wiera, wspaniałą matką, ale w odróżnieniu od Wiery będzie też cudowną żoną. To głupota żenić się z kobietą, która uciekła od męża. Jeżeli go zdradzała, kto zagwarantuje, że następnemu mężowi również nie przyprawi rogów? Nie, ożenić się można tylko z kobietą, która nie miała wcześniej innego partnera. Z taką jak Zoja. Jeżeli odpowiednio do niej podejść, mąż zawsze będzie dla niej tym jedynym. No bo jeżeli mężczyzna nie jest pierwszy, z pewnością nie będzie też ostatni. To znana życiowa prawda.

A swoją drogą ciekawe, kto zlikwidował Olega? I to w samą porę.

Od dziesiątej wieczorem do ósmej rano milicjanci pilnowali wejść do budynku oddziału dziecięcego. Zadaniem Michaiła Docenki była ochrona Nataszy Tieriochinej w ciągu dnia, zwłaszcza w godzinach odwiedzin, gdy praktycznie każdy mógł dostać się na oddział. Misza miał na sobie biały fartuch lekarski, a na szyi stetoskop. Poinstruowano go, jak i co powinien robić, żeby wszyscy uważali go za nowego lekarza. O pojawieniu się kapitana Docenki w szpitalu zadecydowała jego umiejętność pobudzania pamięci do pracy. Kiedyś rzeczywiście sporo o tym czytał i szkolił się w tej dziedzinie, więc w

określonych warunkach mógł zostać uznany za specjalistę zajmującego się dziećmi, które w wyniku nieszczęśliwego wypadku doznały urazu czaszki. Już pierwszego dnia pobytu w szpitalu Misza zawarł znajomość z trojgiem Tieriochinów - sześciolatkiem Pawlikiem, trzynastoletnią Olą i siedemnastoletnią Nataszą. Po prawie czterdziestominutowej rozmowie z Pawlikiem doszedł do wniosku, że chłopiec rozwija się normalnie, chociaż jego edukacją nikt się specjalnie nie zajmuje. Jak na swoje sześć lat ma dość dużą wiedzę, co było raczej niezwykle, zważywszy na to, że całe świadome życie spędził w szpitalu i niczego prócz szpitalnych ścian i szpitalnego parku w zasadzie nie widział.

- Natka mnie uczy - skwapliwie wyjaśnił Pawlik. - Nauczyła mnie już czytać i liczyć do dwadzieścia siedem.

- Do dwudziestu siedmiu - poprawił z uśmiechem Docenko. - A dlaczego nie do trzydziestu?

- Nie wiem, tak Natka zdecydowała. Zmusza mnie, żebym rozwiązywał na głos przykłady. Do dwadzieścia siedem... do dwudziestu siedmiu się nie pomyliłem. Jutro znowu będzie mnie uczyć, żebym umiał już dodawać do trzydziestu.

- Olę też uczy?

- Nie, bo Olka jest głupia - oznajmił chłopiec. - Nie ma sensu jej uczyć. Natka najpierw chciała, ale później przestała. Nic z tego nie wychodzi. Wujku Misza, przyjdiesz do mnie znowu?

- A chcesz, żebym cię odwiedził?

- Chcę. - Małec z poważną miną skinął głową. - Nie nudzę się z tobą. Tak samo jak z Irką.

- No to zgoda. Tylko pod jednym warunkiem. Olkę będziemy nazywać Olą, a Irkę Irą. Dobrze?

- A Natkę?

- Natka to całkiem trafne imię - wielkodusznie uznał Docenko.

- A o Irze i Oli będziemy mówili ciepło. W końcu to dziewczynki, a na dodatek twoje siostry. Jesteś w rodzinie jedynym mężczyzną, więc musisz je kochać. I nikomu nie możesz mówić, że Ola jest głupia.

- Dlaczego? - zdziwił się Pawlik. - Ona naprawdę jest głupia. Wszyscy tak mówią.

- Niech sobie mówią, a ty nie powinieneś. Ola nie jest temu winna, że przydarzyło wam się nieszczęście. Gdyby nie uderzyła się w głowę, byłaby tak samo mądra jak Natasza. Trzeba jej współczuć, a nie się z niej wyśmiewać.

Ola Tieriochina wywarła na Docence dziwne wrażenie. Na pierwszy rzut oka wydawała się rzeczywiście głupia, ponieważ nie potrafiła wykonać najprostszej czynności umysłowej, z którą jej rówieśnicy radzili sobie bez problemu.

- Zagrajmy w grę - zaproponował Michaił.

- Dobrze - ochoczo przystała Ola.

- Wszyscy Murzyni mają kręcone włosy. Wiedziałaś o tym?

- Nie.

- No to teraz już wiesz: wszyscy Murzyni mają kręcone włosy. Rozumiesz?

-Tak.

-A teraz posłuchaj: ten mężczyzna jest Murzynem. Więc jakie ma włosy?

- Nie wiem. - Dziewczynka podniosła na niego zdziwiony wzrok. - Skąd mam wiedzieć, o jakim mężczyźnie pan mówi?

- O Murzynie.

- O jakim Murzynie?

- No ogólnie o Murzynie. Jakimkolwiek. Więc jakie on ma włosy?

- Nie wiem.

Zdolność abstrakcyjnego myślenia była jej zupełnie obca. Podobnie jak umiejętność rozumowania od ogółu do szczegółu. Jednakże po pewnym czasie Docenko ze zdumieniem odkrył, że Ola ma fenomenalną pamięć. Z łatwością zapamiętywała to, co słyszała, i mogła następnie odtworzyć w dowolnej kolejności i w dowolnym czasie. Jej zdolności dotyczyły wyłącznie tego, co dziewczynka słyszy, nie obejmowały tego, co widzi. Misza prawie cały dzień eksperymentował z Olą i zauważył, że chociaż umie czytać, nie jest w stanie zapamiętać przeczytanego tekstu. Natomiast wszystko, co odbierała za pomocą słuchu, trwale i na długo zapisywało się w jej pamięci. Liczby, długie zdania, niezrozumiałe terminy, nawet obcojęzyczne słowa, Ola wszystko zapamiętywała i odtwarzała z niewymuszonym

uśmiechem.

Jednakże najbardziej zdumiała Michaiła najstarsza siostra, Natasza. Z niezwykle pięknej twarzy patrzyły na niego ogromne, uduchowione oczy, w których skrywało się cierpienie i jakiś niedziecięcy upór. Pamięć miała całkiem zwyczajną, dobrze rozwiniętą i wyćwiczoną dzięki ciągłej nauce, ale niewychodzącą poza granice normy statystycznej. Za to uzdolnienia naukowe Nataszy Tieriochinej wyraźnie przekraczały średnią.

- Jak pan sądzi, Michaiile Aleksandrowiczu, czy mam szansę dostać się na studia, choćby zaoczne? Przebywać mogę oczywiście tylko tutaj, w szpitalu, lekarze ciągle mnie pilnują, ale przecież mogę się uczyć. I chcę się uczyć. Bardzo.

- Myślę, że można to zorganizować - odparł Docenko. - W każdym razie wiem, że niektórym osobom, chorym tak jak ty, a może nawet bardziej, udawało się nie tylko skończyć studia, ale i obronić pracę doktorską. Kiedy człowiek chce się uczyć i poświęcić nauce, zawsze idzie mu się na rękę, jeżeli ma zdolności. A ty je masz bez wątpienia. Musisz tylko zrobić maturę.

- A jak się do tego zabrać?

- Musisz poprosić w Departamencie Edukacji, żeby ci pozwolono zaliczyć eksternistycznie szkołę średnią. Albo zawiozą cię tam, gdzie urzęduje komisja egzaminacyjna, albo sami członkowie komisji przyjadą do szpitala. To całkiem realne, bylebyś tylko wyraziła chęć. Jesteś pewna, że znasz cały materiał szkolny?

- Oczywiście. Mogę choćby zaraz zdawać dowolny przedmiot.

Książki, które leżały na szafce przy łóżku Nataszy, dowodziły, że dziewczyna przerabia program szkoły średniej.

- A kim chciałabyś zostać? - zapytał Michaił. - Na jakiej uczelni studiować?

- Chcę studiować informatykę i zostać programistką. - Natasza nieśmiało się uśmiechnęła. - Tylko nie wiem, która uczelnia kształci programistów.

- Dlaczego akurat programistką? - zdziwił się Docenko.

- Ponieważ nigdy nie wyzdrowieję - spokojnie i poważnie

odparła dziewczyna. - Zawsze będę przykuta do łóżka albo wózka i nigdy nie będę mogła prowadzić normalnego życia poza szpitalem. Mam ataki dwa razy w tygodniu i jeżeli lekarz nie zdąży na czas, wszystko bardzo szybko się skończy. Siostra mówiła mi, że teraz pogotowie przyjeżdża po jakichś dwóch godzinach, a czasem w ogóle. Więc nie dam sobie rady sama. A programista to taki zawód, który można wykonywać nawet w szpitalu. Nikt przecież nie będzie żądał, żebym przychodziła codziennie do pracy, będę musiała tylko oddać gotowy produkt.

- Ale do tego potrzebny jest komputer, a tutaj go nie ma.

- Jeżeli będę potrzebowała komputera, to go dostanę - zapewniła Natasza.

- Skąd go weźmiesz w szpitalu?

- Ira go zdobędzie. Ira to moja starsza siostra - wyjaśniła.

Michaił zdrętwiał. Starał się jednak nie zdradzić tego, co myśli. Starsza siostra jest dla Nataszy niczym wróżka, o co ją poprosi, natychmiast dostaje. Pewnie nie wie, jakim katorżniczym wysiłkiem okupiona jest każda zarobiona przez Irę kopiejka, jak dziewczyna haruje dniami i nocami, byle tylko jej siostrze i braciškowi niczego nie brakowało. Natasza nie domyśla się, że Ira biega po całym mieście w poszukiwaniu podręczników i książek, których zażąda siostra, zamiast spokojnie odpocząć po sprzątaniu ulic, myciu schodów i uwijaniu się na bazarze, gdy czeka ją jeszcze wieczorne szorowanie podłóg i mycie naczyń w restauracji. Ira, grubiańska i niewychowana, dumna i niezależna, nie chce, żeby jej rodzeństwo wiedziało, jaką krwawicą zdobywa pieniądze, za które kupuje im regularnie owoce, książki i ubrania.

Docenko bardzo się niepokoił, gdy Nataszę umieszczano na wózku inwalidzkim i zabierano na spacer do szpitalnego parku. W parku sytuacja całkiem wymykała się spod kontroli, z każdego kierunku mógł paść strzał, a Michaił nie potrafił temu zapobiec. Dzisiaj siostra nie odwiedzi Nataszy, była wczoraj, więc pielęgniarka pojechała z dziewczyną na spacer akurat w godzinach odwiedzin. Pielęgniarka popychała wózek, a Misza ze znudzoną miną kroczył nieco z tyłu, bacznie lustrując ludzi

pojawiających się w polu jego widzenia. Tak uporczywie wyobrażał sobie tamtego mężczyznę, na które go czekał w szpitalu, że aż zaczął o nim śnić. W każdym razie facet jawił mu się dosłownie w każdym przechodniu.

Nagle Michaił zeszywniał. Boczna aleją od strony bramy wejściowej zbliżał się mężczyzna. Był zadziwiająco podobny do osobnika z portretu. Oczywiście nie kubek w kubek, ale to całkiem zrozumiałe, pełne podobieństwo w takich przypadkach zdarza się chyba raz na sto lat, gdy świadków jest wielu i wszyscy mieli możliwość dobrze się przyjrzeć przestępcy. Zazwyczaj podobieństwo bywa bardzo, ale to bardzo względne, dlatego na podstawie naszkicowanych portretów niezbyt często udaje się znaleźć poszukiwaną osobę. Jednakże tutaj podobieństwo było uderzające i tylko wielki głupiec i sceptyk mógłby je nazwać względnym. W końcu Michaił bardzo starannie i z dużą znajomością rzeczy pracował nad stworzeniem portretu.

A więc się doczekał! Nie na darmo tak się męczył, prawie przez tydzień strugał wariata, odgrywał wielkiego specjalistę w dziedzinie przywracania pamięci u kontuzjowanych dzieci, popijał herbatkę z pielęgniarkami, opowiadał im różne ciekawe historyjki o mnemo- technice i uczył najprostszych metod zapamiętywania. Po powrocie do domu widok okaleczonych malców, ich pełnych udręki oczu, nie dawał mu spokoju. Rano wstawał z ciężkim sercem i gotów był oddać wszystko, co miał, byle tylko nie iść tam znowu i nie widzieć dzieci leżących w gorsetach, w gipsie, pod kroplówkami. Mimo to ubierał się i szedł. Ponieważ była szansa, wprawdzie niewielka, ale była, że mężczyzna, który zabił Jekatierinę Wieniediktownę Aniskowiec, zakonnice Marfę, pielęgniarkę Alę Myrikową, a niewykluczone, że i wykolejoną ekspiosenkarke Jelenę Romanowską, może się zjawić w szpitalu, gdzie leżą Tieriochinowie. Odwiedzał dzieci przez całe sześć lat, które minęły od tragedii w ich rodzinie. I doskonale wie, że ani sześciolatek Pawlik, ani Ola nie potrafią ani o nim sensownie opowiedzieć, ani podać jego rysopisu. Ale Natasza... Natasza Tieriochina stanowi dla niego poważne zagrożenie.

Starając się nie poruszyć głową, Docenko wbił wzrok w nieznajomego. Mężczyzna pewnym krokiem podążał w kierunku alei, na której widać było Nataszę. W pewnym momencie odwrócił się i pochwycił spojrzenie Michaiła. I chociaż Misza bardzo się starał wyglądać na zwyczajnego młodego lekarza, przecinającego park w drodze z jednego oddziału na drugi, mężczyzna najwyraźniej coś wyczuł. Zatrzymał się dosłownie na chwilę, później zawrócił i minął Docenkę, kierując się w stronę oddziału dziecięcego. Na podjęcie decyzji pozostawały sekundy. Co robić? Iść za nim na oddział i zostawić Nataszę bez opieki? Po co jej jednak pilnować, skoro przestępca znajduje się tuż przed nim, Misza może bez przeszkód i do woli kontemplować jego plecy.

A jeśli ma jakichś współników? Dokonać trzech, a może i czterech zabójstw samemu, bez żadnej pomocy, to wcale nie takie proste, jak czyta się w książkach. Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem... Guzik prawda! Żeby raz przybyć, zobaczyć i zwyciężyć (czytaj: zabić), trzeba przybyć przynajmniej z dziesięć razy wcześniej, zobaczyć co i jak, poznać rozkład dnia delikwenta: o której godzinie wstaje, kiedy i dokąd wychodzi, o której wraca, kto go odwiedza, kto z nim mieszka. Pokombinować, jak i czym najlepiej go zabić. I dopóki zabójca będzie krążył wokół swojej ofiary jak wilk koło owczarni i jej się przyglądał, ofiara, nie jest przecież głupia, sama go zauważy i zapamięta. Jeżeli ma łagodny charakter, podejdzie niby przypadkiem i zapyta: czy to nie dziwne, mój kochany, że tak na siebie ciągle wpadamy? Może jest pan nowym lokatorem? Ach, nie? Więc pewnie ogląda pan sobie mieszkancko, żeby je później okraść? Wymyślić wtedy jakieś kłamstwo to żaden problem, można ciekawskiej ofierze nawinąć makaron na uszy, ale ona już zapamiętała zabójcę, a za pół godziny opowie o nim sąsiadom. No a jeśli charakter ma, by tak rzec, bardziej wredny, to bez żadnych wstępnych rozmów podniesie słuchawkę i powiadomi milicyjną brać. Zabójstwa popełnione przez „wujka Saszę” były tak schludne, eleganckie i nienaganne, że na pewno poprzedziły je staranne przygotowania. Nikt nie może mieć szczęścia cztery razy z

rzędu. To jest stanowczo wykluczone. Nawet jeżeli urodził się pod szczęśliwą gwiazdą i zawsze spada na cztery łapy, nie jest w stanie popełnić czterech zabójstw w ciągu trzech tygodni bez uprzedniego przygotowania i ani razu nie zostać zauważonym, nie wpaść, nie zostawić najmniejszych śladów. „Wujek Sasza” musi mieć pomocnika, przynajmniej jednego, ale pomocnik musi istnieć, więc jeżeli Michał ruszy teraz jego śladem, Natasza zostanie sama, ponieważ na pielęgniarkę nie ma co liczyć, raczej nie zdoła obronić dziewczyny w razie jakiegoś niebezpieczeństwa.

Upewniwszy się, że mężczyzna podąża w stronę oddziału, Docenko, nie obracając się, niedbałym gestem dotknął stetoskopu i kilka razy pokręcił słuchawką. Fachowcy z Pietrowki zaopatrzyli go w proste urządzenie, za pomocą którego Misza mógł przekazać sygnał, nawet jeżeli nie miał sposobności odezwać się do wbudowanego mikrofonu. Sygnał oznaczał, że poszukiwany mężczyzna się zjawiał, idzie na oddział do dzieci. Teraz siedzący w samochodzie detektyw będzie zorientowany w sytuacji, a Misza może spokojnie ochraniać Nataszę.

Docenko szybko dogonił pielęgniarkę popychającą przed sobą wózek z dziewczyną. Ponieważ robi się niebezpiecznie, będzie najlepiej, jeżeli natychmiast ją stąd odprawi. Na szczęście powodu nie musiał długo szukać. Obiecał Nataszy, że zasięgnie informacji na temat eksternistycznych egzaminów maturalnych, więc teraz nadeszła odpowiednia pora, żeby z nią porozmawiać na ten temat.

Kilka minut później pielęgniarka z ulgą ustąpiła miejsca sympatycznemu czarnookiemu lekarzowi Michałowi Aleksandrowiczowi, który zaproponował, że pospaceruje z Nataszą Tieriochiną, ponieważ jest już po pracy, ale przyjaciel ma po niego przyjechać dopiero za godzinę, i wróciła na oddział.

- Nataszo, musi pani napisać podanie do dyrektora Departamentu Edukacji i poświadczyć je u dyrektora szpitala i ordynatora oddziału. Do podania należy dołączyć wypis z historii choroby potwierdzający, że przez sześć lat nie

uczęszczała pani do państwowej instytucji oświatowej z ważnego powodu. Następnie pani siostra musi przynieść ze szkoły, w której się pani uczyła, zaświadczenie, że skończyła pani piątą klasę. W ten sposób można rozwiązać pani problem, ale jeżeli chce pani usłyszeć moją radę, to sugerowałbym poddać się najpierw testom nieoficjalnie. Bo musi pani wiedzieć, że jest takie prawo, które mówi, że jeżeli nie zaliczy pani egzaminów, do poprawki będzie pani mogła podejść dopiero po upływie roku. Natomiast komisję egzaminacyjną można powołać w każdej chwili, niekoniecznie latem. Jeżeli znajdzie pani osobę, która przepytą panią z materiału szkoły średniej i stwierdzi, że nie jest pani należycie przygotowana, nauczy się pani jeszcze trochę, zanim stanie przed komisją. Zajmie to pani dodatkowe dwa, trzy miesiące. Jeżeli zaś pani zaryzykuje i nie zda, sprawa przedłuży się o cały rok. Rozumie pani?

- Ale gdzie ja znajdę osobę, która sprawdzi moją wiedzę? Wujek Sasza jest oczywiście bardzo wykształcony, dużo wie, ale może nie znać wymagań szkolnego programu. Założmy, że chemię, fizykę i matematykę z nim przećwiczę, ale co z rosyjskim? Z francuskim? Z historią?

- Ma pani krewnego, który może pani pomóc w nauce? - Docenko udał zdziwienie. - Myślałem, że ma pani tylko siostrę, tak przynajmniej powiedział lekarz, który panią prowadzi.

- Wujek Sasza to nie krewny, ale przyjaciel taty. Ale ciągle nas odwiedza.

Rozmowa rozwijała się w pożądanym kierunku, dziewczyna sama napomknęła o „wujku Saszy”, więc teraz Docenko mógł zacząć powoli wypytywać ją o szczegóły. Jednakże w tej samej chwili zbliżył się do nich zabawny okrągły człowieczek z błyszczącymi oczkami i lśniącą od potu twarzą.

- Najmocniej państwa przepraszam - odezwał się błagalnym tonem. - Chyba zabłądziłem. Którędy do budynku archiwum? Powiedziano mi, że przy bramie mam skręcić od razu w lewo i iść aż do zakrętu, ale idę, idę i wciąż niczego nie widzę. Pewnie ze czterdzieści minut błąkam się po tym parku. Najgorsze jest to, że już za kwadrans siódma, a o siódmej, jak mnie

uprzedzono, archiwum kończy pracę.

- Minął pan zakręt i zaszedł za daleko. - Docenko się uśmiechnął. - Dlatego teraz znalazł się pan już niemal po prawej stronie.

Zaczął tłumaczyć spoconemu grubasowi, jak dojść do archiwum, ale okazało się, że to wcale nie jest proste. Mężczyzna był tutaj po raz pierwszy i takie punkty orientacyjne jak drugi oddział, neurochirurgia albo wieżyczka nic mu nie mówiły.

- Michaille Aleksandrowiczu - odezwała się nagle Natasza - można pójść jeszcze krótszą drogą. Wiem którądy, ale nie potrafię dobrze wytłumaczyć.

W oczach grubasa malowała się czarna rozpacz, z trudem zapamiętywał te wszystkie „na prawo”, „na lewo do czwartej krzyżówki”, „ominąć budynek, ale nie skręcać”. Miszy zrobiło się go raptem żal.

- Może lepiej pana zaprowadzimy - zaproponował - bo na pewno pan zabłądzi, i to na amen. Nataszo, niech pani pokaże tę krótszą drogę.

Spocony grubas westchnął z ulgą i pospiesznie podreptał obok Docenki. Miszę ogarnęło złe przeczucie, gdy Natasza poleciła skrócić w wąską ścieżkę prowadzącą wzdłuż wysokiego żeliwnego ogrodzenia. Z jednej strony znajdowało się ogrodzenie, za nim chodnik, a z drugiej strony krzewy i drzewa.

Docenko już miał otworzyć usta, żeby powiedzieć zdecydowanie:

-Nie, Nataszo, tędy nie przejedziemy, od wczoraj trwają tam prace remontowe, musimy wrócić i pójść aleją.

Jednakże w tej samej chwili wszystko rozplynęło mu się przed oczami.

Rozdział 9

Po otrzymaniu sygnału od Docenki dwaj wywiadowcy dyżurujący w samochodzie popędzili do budynku, w którym mieścił się oddział dziecięcy. Otrzymałe instrukcje były bardzo wyraźne: sygnał oznacza, że poszukiwany mężczyzna kieruje się w stronę oddziału, gdzie leżą Tieriochinowie. Idealnie byłoby faceta zatrzymać, ale zadanie minimum to ochrona dzieci. Kto wie, co takiemu typowi strzeli do głowy.

Milicjanci jedynie z grubsza znali wygląd mężczyzny, więc nikogo nie omijali wzrokiem, nawet osób mało podobnych do otrzymanego opisu. Nadrabiając minami, weszli uśmiechnięci do budynku i wspięli się na piętro, na którym znajdował się pokój Nataszy. Pamiętali słowa kapitana Docenki, że dziewczyna stanowi dla przestępcy wielkie zagrożenie. W pokoju nie zastali Nataszy, dyżurna pielęgniarka powiedziała, że zabrano ją na spacer. Przeskakując po dwa stopnie, milicjanci popędzili na czwarte piętro, gdzie leżeli Ola i Pawlik. Ale mężczyzna jakby zapadł się pod ziemię. Nikogo podobnego nie było ani w pokoju, ani na korytarzach, ani wokół budynku.

- Może Docenko się pomylił? - zasugerował jeden z funkcjonariuszy.

- Może. Też bym tak pomyślał, gdybyśmy znaleźli tego faceta, a on okazał się nie tym, kogo szukaliśmy. Ale przecież go nie znaleźliśmy. Więc gdzie się podział? - rozsądnie zaoponował jego towarzysz. - Docenko miał puścić sygnał, jeżeli facet pojawi się na oddziale dziecięcym albo w jego pobliżu. No i gdzie on jest?

- A diabli go wiedzą! Dobra, najważniejsze, że dzieciom nic się nie stało. Chodźmy poszukać Docenki, pokażemy mu się, żeby wiedział, że przegapiliśmy faceta.

W pokoju lekarskim powiedziano im, że Michaił Aleksandrowicz jest gdzieś tutaj, nigdzie nie wychodził, bo nie ma

jego fartucha na wieszaku, zaś wiatrówka nadal wisi.

- Gdzie możemy go znaleźć? - uprzejmie zapytali milicjanci. - Gdzie najczęściej bywa?

- Niech panowie zobaczą na drugim piętrze, w sali numer siedem, tam leży pewna dziewczyna, Natasza Tieriochina, pewnie jest u niej.

Znowu zeszli na drugie piętro, chociaż już wiedzieli, że Nataszy nie ma w pokoju.

- Michaił Aleksandrowicz? Spaceruje z Nataszą - wyjaśniła jedna z pielęgniarek. - Powiedział, że ma po niego przyjechać kolega, do tego czasu ma wolne, więc mnie odprawił.

Milicjanci opuścili budynek i ruszyli wolnym krokiem przez ogromny park w poszukiwaniu Docenki i Nataszy Tieriochinej. Czas mijał, aleje pustoszały, pacjenci wracali do swoich pokoi, a wysokiego czarnookiego mężczyzny w białym fartuchu lekarskim i ładnej, bladej dziewczyny na wózku inwalidzkim nie było widać.

- Chyba się rozminęliśmy - uznali milicjanci, spiesząc z powrotem do budynku. - Coś podobnego, mamy dzisiaj pecha, przeoczyliśmy wszystkich, których szukaliśmy.

Jednakże na oddziale okazało się, że Natasza i Michaił Aleksandrowicz do tej pory nie wrócili ze spaceru. Z kamiennymi twarzami, jakby nic szczególnego się nie wydarzyło, milicjanci znowu wyszli na zewnątrz i od razu przystąpili do działania.

- Szukać, szybko - polecił jeden z nich, ten niższy. - Coś się stało. Nikt nie pokona Docenki bez użycia broni, facet jest wyszkolony, nie mógł zostać uprowadzony po cichu, tak żeby nikt nie zauważył.

Pół godziny później natknęli się na leżącego w krzakach Miszę. Był nieprzytomny. Natasza Tieriochiną zniknęła.

Wyprowadzono ich w pole jak nowicjuszy, teraz to było zupełnie oczywiste. Podsunęto im męzczyzną odpowiadającego opisowi i podobnego do wykonanego portretu pamięciowego, to żadna sztuka, ściągnięto na niego

uwagę, bo było wiadomo, że wywiadowcy zareagują na jego widok. Nie mogli nie zareagować. Facet miał pewnie prawdziwe papiery i wiarygodny życiorys, bez żadnej lipy. Miał też niewątpliwie w zanadrzu ważny i przekonujący powód, żeby pojawić się w szpitalu. Gdy Docenko zobaczył go koło oddziału dziecięcego, powinien był zostawić wszystko i zainteresować się nim bliżej, spróbować zatrzymać, sprawdzić dokumenty, może nawet odstawić go na komisariat i zatrzymać do chwili potwierdzenia tożsamości. Później przeprosić i puścić wolno. Dzieci w tym czasie zostałyby bez ochrony.

Chociaż wyszło nieco inaczej, procedura jednak zadziałała. Docenko rzeczywiście zareagował na widok nieznanego, niesłychanie podobnego do osobnika z portretu, ale zamiast próbować go schwytać i zostawić Nataszę bez nadzoru, pod opieką głupiutkiej pielęgniarki, postąpił odwrotnie, odprawił pielęgniarkę, a sam został z dziewczyną. To jednak nie uratowało sytuacji, ponieważ wyreżyserowane przedstawienie, zorientowane na łatwowierną pielęgniarkę, zostało odegrane z wielkim profesjonalizmem. Misza dał się nabrać. Nabrać się tylko dlatego, że już widział „wujka Saszę”, widział pięć minut wcześniej, i w tym czasie zastanawiał się, czego mężczyzna szuka na oddziale i czy wezwani przezeń milicjanci zdążą go zgarnąć. Chwył psychologiczny był bardzo zręczny.

Porywacz pozbył się Miszy, używając jakiegoś silnie działającego gazu w aerozolu, po czym spokojnie wytoczył wózek Nataszy na ulicę. Najprawdopodobniej ją również uraczył tym samym świństwem, żeby nie podniosła krzyku. Zdrowego człowieka, oszołomionego gazem, trzeba nieść na rękach albo wlec po ziemi, co oczywiście nie pozostanie niezauważone. Osoba na wózku inwalidzkim, pozbawiona przytomności, wygląda tak samo jak zwykle: siedzi nieruchomo, a jeżeli głowę przechyliła lekko na bok, zrobiła to pewnie z przyzwyczajenia albo zdrzemnęła się na świeżym powietrzu, w końcu jest przecież chora. Natomiast to, że wywozi się kogoś ze szpitala samochodem, nie jest niczym nadzwyczajnym. Trafiają tu przecież ludzie z takimi urazami, że nie daj Boże. Niektórzy wychodzą o własnych siłach po

operacjach i leczeniu, ale wielu opuszcza szpital właśnie w ten sposób: na wózku inwalidzkim. I porusza się na nim do końca życia. Docenko zaś niechcący sam pomógł porywaczowi, wzywając na pomoc milicjantów i zostawiając ulicę bez nadzoru.

- Nie przypominam sobie takiej wpadki - z przygnębieniem oznajmiła Nastia pułkownikowi Gordiejewowi. - Na przykładzie tej sprawy można uczyć młodych wywiadowców, jak nie należy pracować. Błąd za błędem. Najgorsze jest jednak to, że nie mam pojęcia, gdzie popełniamy błąd. Wyszliśmy przecież z założenia, że ten mityczny lekarz, zwany „wujkiem Saszą”, zabił Aniskowicz z jakichś ważnych pobudek osobistych, po czym zaczął likwidować tych, którzy mogli go rozpoznać i dowieść jego związku z rodziną Tieriochinów. Dlaczego on ten związek ukrywa, to inna para kaloszy, byłam jednak pewna, że i tu kieruje nim wyłącznie osobista motywacja. Ale gdyby tak było, powinien, a nawet musiał działać sam. W sprawach osobistych nie ma pomagierów ani współników. A co się teraz okazało? Że wszystko jest na odwrót.

- No tak - sarkastycznie przytaknął Wiktor Alek-siejewicz. - A co twoim skromnym zdaniem jest na odwrót?

- To, że facet ma pomagiera. I to niejednego. Całą grupę. I co ta grupa robi? Pomaga swojemu szefowi rozwiązać jego problem? Wykluczone.

- Sam wiem, że to niemożliwe - burknął Pączek. - Nie potrzebuję twojego biadolenia, tylko wniosków i propozycji.

- Z propozycjami u mnie krucho. - Nastia słabo się uśmiechnęła. - Brakuje mi wyobraźni.

- A wnioski?

- Są trzy. Co jeden, to wymyślniejszy. Wniosek pierwszy: popełniając te wszystkie zabójstwa, mężczyzna nie rozwiązuje swojego problemu osobistego, ale inny. Na razie nie mam pomysłu, co by to mogło być. Ale coś wymyślę, Wiktorze Aleksiejewiczu, może pan być pewien, prześpię się tylko trochę, bo głowa mi nie pracuje. Wniosek drugi: Natasza Tieriochiną przez pewien czas będzie bezpieczna, więc możemy się na razie nie martwić. To oczywiście nie oznacza, że nie powinniśmy jej

szukać, ale porywacze jej nie ruszą. Jest im do czegoś potrzebna. Inaczej zabiliby ją w tych krzakach, w których zostawili naszego Miszanię. No właśnie, wciąż się zastanawiałam, czemu porywacz nie zabił Miszy. Tfu, tfu, odpukać. - Nastia zastukała kostkami palców w blat biurka. - Niech mu zdrowie służy przez długie lata. Sytuacja była przecież bardzo korzystna, gęste zarośla, nikt ich nie widział, co za różnica: gaz w aerozolu czy kula z pistoletu z tłumikiem? Kula jest pewniejsza. Więc dlaczego facet zostawił Miszę przy życiu?

- Pewnie bał się podnieść rękę na milicjanta - podsunął pułkownik. - Wie, że za swojego możemy mu przegryźć gardło, nie darujemy.

- Nie pasuje. Po pierwsze, wszyscy uważali Miszę za lekarza, a nie za milicjanta. Po drugie, nawet jeżeli porywacz wiedział o zasadzce, nie mógł podejrzewać, że dziewczynę na wózku będzie musiał dosłownie wyrwać milicjantowi z rąk. Zdecydował się na porwanie, wychodząc z założenia, że dziewczynie na spacerze będzie towarzyszyła pielęgniarka. Przedstawienie z podstawionym „wujkiem Saszą” było obliczone właśnie na to, żeby odciągnąć milicjanta jak najdalej od Nataszy, jeżeli będzie się kręcił w pobliżu. Porywacz zupełnie się nie spodziewał, że stanie oko w oko z milicjantem. Więc dlaczego od początku nie planował zabójstwa? Nie powinien mieć z tym problemu, przecież wykończył już tyle osób. No, może nie on osobiście, ale jego kumple.

- Więc dlaczego? - powtórzył za nią Gordiejew. - Pytasz, to odpowiadaj. Mamy tu samoobsługę.

- Sądzę, że nie chciał przestraszyć dziewczyny. Obawiał się, że Natasza dozna szoku. Co innego odurzyć ją gazem, a kiedy się ocknie, spokojnie wszystko wytłumaczyć, a zupełnie co innego zabić Docenkę na jej oczach. A musiał go wyeliminować wcześniej niż dziewczynę. Towarzysząca jej osoba musiała być pierwszą ofiarą, w przeciwnym razie, widząc, co porywacz robi z Nataszą, mogła zdążyć krzyknąć, uciec, stawić opór albo coś jeszcze. Chcąc nie chcąc, porywacz musiał najpierw obezwładnić tego, kto wiozł Nataszę. Bardzo jestem ciekawa, skąd ten niespodziewany humanitaryzm. Dowiódł przecież

wcześniej, że nie jest skłonny do sentymentów. Niech pan spojrzy, kim są jego ofiary: siedemdziesięcioletnia Aniskowicz, nieszczęsna alkoholiczka Romanowska, skromna, nieszkodliwa zakonnica, z dobrego serca opiekująca się beznadziejnie chorymi, pielęgniarka z oddziału dziecięcego Ala My- rikowa. Wszystkie ofiary to kobiety. Wszystkie są bezbronne i nie mogą stawić oporu. Nie miał dla nich litości. Ręka mu nie drgnęła. Zadbał jednak o to, żeby nie zabijać kolejnej ofiary na oczach siedemnastoletniej niepełnosprawnej dziewczyny. Z jakiego powodu?

- O ile pamiętam, według jednej hipotezy roboczej Natasza Tieriochiną jest córką „wujka Saszy”. Nie przypadkiem tak ją wyróżniał spośród wszystkich Tierio- chinów. To jasne, że martwi się o swoje dziecko. Nie rozumiem, dlaczego się dziwisz. - Gordiejew wzruszył ramionami. - To zupełnie naturalne.

- A dlaczego ją porwał? Po co? Dziewczyna leżała sobie spokojnie w szpitalu pod nadzorem lekarzy, od czasu do czasu ją odwiedzał, co prawda niezbyt często, i przez sześć lat wszystko mu odpowiadało. Nawet jeżeli założymy, że Natasza jest jego córką, po co zabrał ją ze szpitala, w dodatku zadając sobie tyle trudu? Niech pan mi tylko nie opowiada sentymentalnych historyjek, jak tatuś męczył się przez te wszystkie lata z dala od swojej ukochanej jedynaczki, a teraz znalazł się u kresu wytrzymałości i postanowił ją porwać. To bzdury, nawet nie chcę ich słuchać. Dzieci są naprawdę sierotami, ich ojciec zmarł, Galinę Tieriochinę można nazwać matką jedynie umownie, powinna zostać ubezwłasnowolniona, ponieważ nie pamięta ani swojej przeszłości, ani przeszłości dzieci, a więc nie może się nimi opiekować, zwłaszcza że ją samą dotknęło ciężkie kalectwo. Natasza nie skończyła jeszcze osiemnastu lat, można ją całkiem legalnie i bez większego zachodu adoptować albo otrzymać prawo do opieki i zabrać do siebie zgodnie z prawem, bez kłopotu i zawracania sobie głowy zabójstwami oraz porwaniem.

- Ależ to u ciebie proste - burknął pułkownik. - A najstarsza siostra, Irina? Może nie zgadza się, żeby jakiś mężczyzna

adoptował Nataszę?

- Ciekawe, skąd by o tym wiedział, skoro nie kontaktuje się z Iriną? Dziewczyna nigdy go na oczy nie widziała.

- Słusznie. A więc odrzucasz sentymentalne historyjki. Wobec tego przedstaw mi swoją hipotezę.

- Nie wiem. - Nastia westchnęła z goryczą. - Niczego już nie wiem, Wiktorze Aleksiejewiczu. W głowie mam pustkę, tylko wiatr w niej hula.

- Mówiłaś coś o trzech wnioskach - przypomniał jej Pączek. - Do tej pory usłyszałem dwa. Co z trzecim?

- Tylko niech się pan nie śmieje - poprosiła Nastia żałośnie. - Wpadła mi do głowy bardzo śmiała myśl.

- No pewnie, nie mam nic innego do roboty, tylko się śmiać, podczas gdy zabójstwa zwalają mi się na głowę jedno za drugim. Powinienem raczej płakać. Więc o co chodzi?

- Tak się zastanawiam, może „wujek Sasza” w ogóle nie ma z tym nic wspólnego?

- To znaczy? - Pułkownik się zachmurzył. - Co właściwie masz na myśli?

- Wiele lat temu rzeczywiście spotykał się z Galiną Tieriochiną w mieszkaniu Aniskowiec, Galina miała z nim jedno dziecko, a może nawet nie jedno, tylko dwoje czy troje. Oczywiście nie Irinę, bo Iriną w ogóle się nie interesuje. Ów „wujek Sasza” rzeczywiście odwiedza dzieci w szpitalu i zjawia się czasem w domu opieki, żeby zapytać o zdrowie swojej dawnej kochanki. Odwiedzi! również Aniskowiec krótko przed jej śmiercią, ale w tym nie ma przecież nic dziwnego, prawda? Od dawna się znają. I na tym kończy się jego udział w sprawie. Niczego więcej nie zrobił. Wszystkie te zabójstwa i porwanie Nataszy Tieriochinej to robota zupełnie kogo innego.

- A więc chcesz powiedzieć - głos Gordiejewa stał się twardy i oschły - że przez trzy tygodnie szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba? Hipoteza pierwsza, masz rację, była najbardziej oczywista. Gdy zostaje zabita właścicielka mieszkania wypchanego po brzegi cennymi rzeczami, należy przede wszystkim sprawdzić możliwości kradzieży. To, że straciliśmy na weryfikację tej hipotezy dużo czasu, da się usprawiedliwić,

nikt nie może nam niczego zarzucić. Ale później uczepiliśmy się hipotezy o lekarzu, który odwiedza Tieriochinów i który znał Aniskowiec. Ta praca zabrała nam mnóstwo czasu i sił, omal nie straciliśmy Docenki. I co? Chcesz powiedzieć, że wszystko na próżno? Że zaczynamy wszystko od początku?

Nastia milczała, nie знаła odpowiedzi. Szef miał rację. Po tysiąckroć. Jednakże coś przeszkadzało jej przytaknąć, potwierdzić jego słowa. Nikt nie rozwiązuje swoich problemów z pomocą dobrze zorganizowanej grupy. To zaś, że grupa jest dobrze zorganizowana, nie ulega kwestii, wszystkie zabójstwa zostały starannie zaplanowane. Czy to możliwe, że na czele dobrze zorganizowanej grupy stoi ten sam lekarz? Teoretycznie to możliwe. A praktycznie? Przywódca grupy przestępczej powinien być osobą zamożną, nawet bardzo, bo musi opłacić najemników, zwłaszcza jeżeli popełniają zabójstwa. Czy skromny, czarujący wujaszek, odwiedzający w szpitalu dzieci, a w domu opieki Galinę, przypomina herszta szajki? Mało prawdopodobne. Tacy ludzie nie poruszają się bez ochrony. A przecież ani zakonnica Marfa, ani Alewtina Myrikowa słowem nie wspomniały, że dziwnemu mężczyźnie ktoś towarzyszył. Ani razu nie widziano też, żeby przyjechał samochodem. Taki groźny mafioso i chodzi pieszo? Jak w powieści fantastycznej okresu zastoju. Jakkolwiek jednak było, wujek Sasza ma niewątpliwie związek z Tieriochinami, a jedno dziecko zostało porwane. Więc tylko on może odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? Dlaczego zniknęła Natasza? Nie Pawlik, nie Ola, ale właśnie Natasza? Tylko dlatego, że może go z łatwością rozpoznać? Wobec tego lepiej było ją zabić. Więc dlaczego?

- Nie, Wiktorze Aleksiejewiczu - z namysłem powiedziała Nastia. - Nic nie jest na próżno. „Wujek Sasza” to najważniejsze ogniwo w całej historii. Trzeba go koniecznie znaleźć, nawet jeżeli nikogo nie zabił. Jest zamieszany w tę sprawę po uszy.

- No cóż - oschle odparł Gordiejew - szukajcie. Jutro rano chcę mieć na biurku plan najpilniejszych działań.

Oleg nie pojawiał się już od paru dni i początkowo Ira przyjęła to jako coś zupełnie naturalnego. Facet pracuje, ma również

żonę w ciąży, która mogła zachorować i wymaga opieki. Niczego nie jest jej winien, niczego nie obiecywał. Jak będzie mógł, to się zjawi. Co prawda nadszedł poniedziałek, kiedy mieli iść do tego znakomitego lekarza na konsultację, a Olega nadal nie było. Ira nawet się trochę zirytowała, ale szybko jej przeszło. Zwłaszcza że minął wtorek, a później środa i czwartek. Oleg nie przyszedł, a Ira się z tym pogodziła. W końcu kim takim ona jest? Nieładną, brzydko ubraną dziewczyną, ani pieniędzy, ani wykształcenia, ani znajomości. Do czego jest mu potrzebna? Zabawił się i koniec. Może naprawdę miał chęć zrobić coś dobrego przez pamięć o matce i własnym ciężkim dzieciństwie, ale takie chęci szybko mijają, nikną, ledwie pokażą się na horyzoncie. Ira zaś nie była przyzwyczajona, żeby liczyć na cudzą pomoc, nigdy jej nie doświadczyła, więc niczego się nawet nie spodziewała. Sama sobie poradzi. Byłoby oczywiście niezłe, gdyby z jej twarzy zniknęły te ohydne pryszcze, z powodu których sama nie może na siebie patrzeć, ale jak nie, to nie. Obejdzie się. Poradzi sobie. Do tej pory sobie radziła, to i dalej nie zginie.

W piątek wstała jak zwykle o wpół do piątej, wypila herbatę i pobiegła sprzątać ulicę. Już skończyła pracę i chowała swój niewyszukany sprzęt do schowka, gdy obok niej stanął sympatyczny barczysty mężczyzna.

- To pani jest Ira? - zapytał.

- Uhm - burknęła, zamykając drzwiczki. - Czego pan chce?

- Musimy porozmawiać.

- O czym?

- O pani siostrze.

Ira gwałtownie się odwróciła i wbiła wzrok w gładko ogoloną twarz.

- Ola? Natka? Co z nimi? Niechże pan mówi!

- Niech się pani nie denerwuje, Iro - powiedział łagodnie. - Odejdźmy na bok i gdzieś usiądźmy.

- Nigdzie nie pójdę - odparowała. - Co z dziewczętami?

- No cóż. - Mężczyzna westchnął. - Jeżeli nie chce pani iść, porozmawiamy tutaj. Po pierwsze, poznamy się. Nazywam się Jurij Wiktorowicz Korotkow, jestem majorem milicji, pracuję

na Pietrowce, w wydziale kryminalnym. Pokazać pani legitymację?

- Co z dziewczętami? - z uporem powtarzała Ira, czując nagle słabość w nogach i drętwienie rąk.

Milicjant z wydziału kryminalnego przyszedł, żeby porozmawiać o siostrze? O Oli? O Nataszy? Co się stało, dlaczego przyszedł o siódmej rano, żeby z nią porozmawiać? Coś strasznego?

- Iro, pani siostrę porwano.

- Co?! - omal nie krzyknęła. - Co pan powiedział?

- Niech się pani uspokoi, Iro, muszę rzeczowo z panią porozmawiać, więc jeżeli wpadnie pani w panikę, niczego sensownego mi pani nie powie. Proszę się wziąć w garść.

- Dobrze - powiedziała cicho, dygocząc. - Dobrze. Zaraz.

Korotkow spoglądał na trzęsącą się sinoblada dziewczynę i z wdzięcznością pomyślał o Nasti. To właśnie ona podpowiedziała mu wczoraj wieczorem, żeby zadzwonił do Włada Stasowa i poradził się, jaką taktykę przyjąć w stosunku do Iry Tieriochinej, żeby uzyskać pożądany efekt. Dziewczyna jest zamknięta w sobie, uparta, los ją skrzywdził, trudno do niej dotrzeć, jeśli nie zna się jej charakteru. Stasow zaś po chwili zastanowienia odparł, że najważniejsza cecha Iry to praktycyzm. Dziewczyna ma cel, do którego zmierza, podporządkowując mu całe swoje życie, więc zawsze na pierwszym miejscu stawia interes, emocje zaś w ogóle nie mają dla niej znaczenia. Żeby dziewczyna nie rozklejała się podczas rozmowy, należy ciągle naprowadzać ją na cel, na efekt końcowy i konkretne działania zmierzające do jego osiągnięcia. Myślenie w tych kategoriach jest jej bliskie i zrozumiałe, więc właśnie nimi należy się posługiwać.

- Przede wszystkim muszę panią uspokoić. Pani siostra jest bezpieczna.

- Skąd pan wie?

- Niech pani pomyśli razem ze mną - niespiesznie i spokojnie powiedział Korotkow, dając jej czas, żeby mogła się uspokoić. -

Przestępca mógł zabić pani siostrę, jeżeli komuś zawadza. Nie zabił jej jednak, lecz wywiózł ze szpitala. Nie chodzi tu o porwanie dla okupu, bo pani nic nie ma, wszyscy to wiedzą. Pani siostra nie zna żadnych tajemnic ani nie posiada poufnych informacji, to też wiadomo. A więc nikt nie będzie jej męczył i torturował. Musimy odgadnąć, dlaczego porywacze się nią zainteresowali. Pani musi mi w tym pomóc. Jeżeli zrozumiemy, jaką wartość przedstawia dla nich Natasza, będziemy mogli ich namierzyć. Znajdziemy ich, a więc znajdziemy również miejsce, gdzie ukrywają Nataszę. I ją uratujemy. Plan jest jasny?

Ira nie przestawała dygotać i wydawało się, że lada chwila zemdleje, ale jej spojrzenie stało się przytomniejsze.

- Nic jej się nie stanie? - zapytała.

- Głęboko w to wierzę. Ale jak to się mówi, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Musimy razem zrobić, co tylko możliwe, żeby jak najszybciej odnaleźć pani siostrę. Dlatego chcę, żeby wzięła się pani w garść i zaczęła odpowiadać na moje pytania. Biermy się do roboty, szkoda czasu się mazgać.

- Dobrze. - Ira znowu skinęła głową. - Dobrze. Zaraz. Niech pan pyta, już kontaktuję. Chodźmy o, tam. - Ira pokazała ręką w stronę sąsiedniego domu. - Usiądziemy na ławce. Nogi mam jak z waty.

Ulokowali się na ławce w cieniu wysokiego, rozłożystego drzewa.

- Niech pani sobie przypomni, Iro, czy ktoś kiedyś interesował się pani siostrami i bratem? Niekoniecznie ostatnio, ale w ciągu tych sześciu lat, które minęły od tragedii.

- Nie, nikt. Oni nikogo nie obchodzą.

- A tamten mężczyzna, który odwiedza ich w szpitalu?

- Nie mam pojęcia, po co przychodzi. Ze mną się nie spotkał i o nic nie pytał. Mówiłam już tamtej milicjantce z Pietrowki.

Tamtej milicjantce. Ira ma oczywiście na myśli Kamińską. Ciekawe, czy naprawdę nie pamięta Korotkowa? Przecież to on, Korotkow, był wtedy z Anastazją w szpitalu, gdy zabito pielęgniarkę Alewтинę Myrikową. Ira do nich podeszła, poprosiła, żeby przekazali dzieciom owoce i cukierki. Czyżby nie pamiętała? Wygląda na to, że nie.

- Iro, czy pani mnie poznaje? - zapytał nagle.

- Nie. - Dziewczyna pokręciła głową. - A my się znamy?

- Wziąłem od pani torby z owocami, kiedy zabito pielęgniarkę i na oddział nikogo nie wpuszczano. Przypomina sobie pani?

Ira uważnie na niego popatrzyła i znowu pokręciła głową.

- Nie, nie poznaję pana. Milicjantkę pamiętam, była u mnie wcześniej z wujkiem Władikiem, a pana nie poznaję.

- Czyżbym aż tak się zmienił? - zażartował Korotkow. - Minał ledwie tydzień, a pani nie pamięta.

- Nie pamiętam. Pamiętam oczywiście, że był tam mężczyzna, ale twarzy nie poznaję. To naprawdę był pan?

- Naprawdę.

Tak, ciekawa dziewczyna. Wszystko, co niepotrzebne, usuwa z pamięci. Żywe uosobienie praktycyzmu. Facet wziął torbę z rzeczami, obiecał oddać dzieciom i koniec, można o nim zapomnieć, zrobił swoje i jest wolny. A może szok spowodowany wiadomością o zniknięciu siostry tak na nią podziałał?

- Iro, niech się pani postara odpowiedzieć jak najdokładniej: czym Natasza różni się od was wszystkich? Od pani, od Oli, od Pawlika? Nie chodzi mi o wiek.

- Natka jest najmądrzejsza - natychmiast odparła Ira. - Wszyscy mówią, że ma wrodzone zdolności.

- Wszyscy, to znaczy kto? - Korotkow zrobił się czujny.

- Lekarze, pielęgniarki. Uczy się sama, przerabia program szkolny, przynoszę jej różne podręczniki, o które prosi. Czasami nabiegam się po całym mieście, zanim je znajdzie.

- No dobrze, a może coś jeszcze?

- Jeszcze...

Ira się zamyśliła, po chwili na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Natka jest ładna. Nie mam pojęcia, w kogo się wdała, bo ja, sam pan widzi, jak wyglądam, a Oleńka też nie grzeszy urodą. Ale Nataszeńka jest jak z obrazka.

- Iroczo - łagodnie powiedział Jura - chyba ma pani świadomość, że dzisiaj dziewczyny nie porywa się z powodu ładnej buzi, średniowiecze dawno minęło. Proszę się

zastanović, co takiego jest w pani siostrze, że ją porwano. Nie panią, nie Olę ani nie Pawlika, ale właśnie ją.

- Nie wiem - niemal wyszeptala Ira. - Niech się pan na mnie nie gniewa, nic mądrego panu nie powiedziałam. Nawet nie rozumiem, co pan chce ode mnie usłyszeć. Gdyby pan zapytał Natkę, ona od razu by wiedziała, co odpowiedzieć.

- Dobrze, Iro, zostawmy to na razie. Chciałbym panią o coś poprosić. Po pierwsze, niech pani z nikim nie rozmawia na temat zniknięcia siostry. Nie powinno to sprawić pani kłopotu, sama pani mówi, że dziećmi nikt oprócz pani się nie interesuje. A więc nikt nie będzie pani o nic pytał, a pani sama niech o tym nie opowiada. Zgoda?

- Oczywiście, skoro to konieczne.

-Teraz druga sprawa. Oto moja wizytówka, są na niej wszystkie telefony, pod którymi może pani znaleźć mnie albo Anastazję Pawłównę Kamieńską. Pamięta ją pani, odwiedziła panią. Gdy tylko zechce mi pani coś powiedzieć, zakomunikować albo o coś zapytać, proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy i wcale się nie krępować. I jeszcze trzecia rzecz, najważniejsza. Jeżeli ktoś nagle zainteresuje się panią albo młodszymi dziećmi, może nawet pani mamą, niech pani natychmiast mnie powiadomi. I proszę się postarać jak najlepiej zapamiętać tę osobę oraz to wszystko, co powie. W ogóle każda nowa osoba, która w najbliższym czasie zacznie się koło pani kręcić, powinna zwrócić pani uwagę. Zrozumiała pani, Iro? Bezpieczeństwo i wolność pani siostry leżą w naszych rękach, wszystko będzie zależało od tego, jak się zachowamy. Oboje musimy być bardzo uważni, skoncentrowani, ostrożni i nie możemy popełniać błędów. Mogę na panią liczyć?

Ira podniosła na niego oczy, zwyczajne, małe, szare, osłonięte gęstymi, krótkimi rzęsami. Jura dostrzegł w nich jednak zacieklą determinację, a nawet spokój. Wład miał rację, ta dziewczyna nieustannie potrzebuje praktycznego bodźca, prostego i zrozumiałego, który nie pozwoli jej się poddać i załamać. Musi mieć Cel. A także Sprawę, Której Służy. Wtedy wszystko wróci na swoje miejsce.

Mężczyzna o dziwnym przydomku Ajaks patrzył na śpiącą Nataszę Tieriochinę niemal z rozczuleniem.

Przez tyle lat obserwował tę dziewczynę, ten skarb, snując plany, jeden sprytniejszy od drugiego. Jego plany nie wymagały stosowania żadnych radykalnych środków, ponieważ sięgały daleko w przeszłość. Trzeba poczekać, aż dziewczyna dojrzeje, zobaczyć, co z niej wyrośnie. A jednocześnie przyglądać się innym dzieciom poczętym przez Ojca. Ajaks, ma się rozumieć, świetnie znał tożsamość ojca Nataszy, podobnie jak dane wszystkich kobiet, które miały z nim dzieci, a także samych dzieci. Każde dziecko było inne, na swój sposób interesujące, ale Natasza wyraźnie się wyróżniała. A Ira to już w ogóle... Ze wszystkich dzieci Ojca, a było ich niemal tuzin, te dwie dziewczyny są najbardziej udane. Szkoda oczywiście, że to nie chłopcy, bo lepiej by się nadawali do prezentacji towaru, ale jak to się mówi, trzeba pracować z tym, co jest. Zresztą dziewczęta czy chłopcy, na razie to nie ma znaczenia, najważniejsze to odkryć metodę opracowaną przez Ojca, a wtedy można będzie płodzić dowolną liczbę cyborgów. Cyborgi to oczywiście tylko umowne określenie, piękne słówko. Dzieci nie są wcale cybernetyczne, to żywe istoty, urodziły je kobiety i wykarmiły matczynym mlekiem. Jednakże Ojciec robi z nimi coś takiego, dzięki czemu dzieci są niezwykle. Pierwsza córka, Ira, odznacza się fenomenalną wytrzymałością fizyczną i zdumiewającą zdolnością do całkowitego regenerowania sił w ciągu dwóch, trzech godzin. Idealny żołnierz. Natasza ma genialny umysł. Oleńka, trzecia dziewczynka, pamięć. Naprodukować takich jak Ola i zero problemów z przekazywaniem poufnych informacji. Wystarczy raz jej przeczytać na głos arcytrudny tekst i można ją wysłać choćby na koniec świata. Po drodze, na lotniskach, w urzędach celnych i na komisariatach można ją sto razy rewidować w poszukiwaniu dokumentów albo mikrofilmów i niczego się nie znajdzie. Bo wszystko ma zapisane w główce. Co do Pawlika, to na razie nie wiadomo, czy jego intelektualny rozwój jest na

poziomie sześciolatka, ale w tym wieku jeszcze za wcześnie prognozować, jaki chłopiec będzie, gdy dorośnie. Ojciec zastosował w jego przypadku chyba inną metodę, mówiąc obrazowo, skonstruował mu nie głowę, lecz ciało. Zdaniem lekarzy Pawlik jako jedyny z czwórki, która wypadła przez okno z tak straszliwej wysokości, ma realną szansę powrotu do zdrowia. Potrzebne są kosztowne operacje, które wykonuje się tylko za granicą, w specjalistycznych klinikach. Natomiast całej reszcie - dziewczętom i matce - takie operacje nie pomogą, bo po prostu ich nie przeżyją. A w przypadku chłopca, jak to się mówi, rokowania są pomyślne.

Ta czwórka to pierwsze dzieci Ojca. Pozostałe są jeszcze małe, mają od kilku miesięcy do pięciu lat. A dwójka jest jeszcze w drodze. Ciekawe, jakie będą? Można by było spokojnie czekać, obserwując z boku, gdyby nie głupi przypadek. Ojciec spotkał starą Aniskowic. Nic dobrego z tego spotkania nie wyniknęło. Starsza pani zobaczyła Ojca, kiedy ten przechadzał się ze swoim kolejnym malcem i jego mamą. Usilnie go do siebie zapraszała, napomykała o konieczności przeprowadzenia poważnej rozmowy. Ojciec się zgodził. Oczywiście ludzie Ajaksa nie spuszczała z niego oczu, razem z nim przyszli do domu Aniskowic, podłożyli pluskwę gdzie trzeba i podsłuchali całą rozmowę. A rozmowa nie spodobała się Ajaksowi, oj, nie spodobała. Starsza pani przypomniała Ojcu o Galinie Tieriochinej, twierdziła, że złamała jej życie, zawrócił w głowie, namówił do urodzenia nieślubnych dzieci, a kiedy wydarzyło się nieszczęście, nie pomógł sierotom i ich nieszczęsnej matce...

-Widzę, że znowu zabrał się pan do roboty, Wale- riju Wasiljewiczu. Chyba ma pan, kochany, jakiś patologiczny pociąg do reprodukcji. Nadal jest pan z pierwszą żoną? Czy już z dwunastą?

- Z pierwszą. Nie rozumiem pani sarkazmu, Jekatie- rino Wieniediktowno. Od tamtej pory w moim życiu nic się nie zmieniło, żona nadal jest ciężko chora, praktycznie nie wstaje z łóżka, więc to chyba oczywiste, że nie mogę jej zostawić. Jestem jednak normalnym mężczyzną z krwi i kości i nie może mi pani zarzucać, że pokochałem inną kobietę. Piętnaście lat byłem

wierny Galinie, musi to pani przyznać. Ale od tamtego czasu minęło już sześć lat. Kto podniesie rękę i rzuci we mnie kamieniem, bo spotkałem i pokochałem jeszcze jedną kobietę? Co w tym złego, że mam z nią dziecko? Nie zamierzam zostawić jej na pastwę losu, będę ją wspierał w miarę sił i możliwości.

- Niech pan mi nie opowiada bajeczek, kochany. Skoro jest pan tak szlachetny, to dlaczego nie pomaga pan czwórce swoich dzieci, które urodziła nieszczęsna Gala? Od początku nie podobały mi się wasze relacje, całkowicie pan ją ujarzmił, zawładnął nią, podsuwał jakiś dziwaczne myśli, że wasze wspólne dzieci są wybrańcami Boga. I proszę nie myśleć, że nie wiem, czym naprawdę pan się zajmował.

- Nie rozumiem pani...

- Ach tak? Za to ja pana rozumiem. Poddawał pan Galinę jakimś dziwnym eksperymentom, nie mam pojęcia, po co pan to robił. Kiedy się o tym dowiedziałam, uprzedziłam Galę, żeby była w stosunku do pana ostrożniejsza i nie wierzyła w pańską szczerłość i oddanie.

- Czego mogła się pani dowiedzieć, Jekatierino Wieniediktowno? Co za głupstwa pani plecie? Kochaliśmy się z Galą przez piętnaście lat, a pani...

- Niech pan przestanie! Po tym, co Gałoczka zrobiła sobie i dzieciom, postanowiłam nie nagłaśniać pańskich ciemnych sprawek w nadziei, że po tej strasznej tragedii pójdzie pan po rozum do głowy. Jednak kilka miesięcy temu przypadkiem zobaczyłam pana na ulicy w towarzystwie młodej mamy z czarującą dziewczynką i zrozumiałam, że pan nie zrezygnował. Śledziłam pana, tak, tak, niech się pan nie śmieje, chociaż domyślałam się, że pewnie pan boki zrywa, wyobrażając sobie kobietę w moim wieku w roli detektywa. No cóż, po- śmiejmy się razem, Waleriju Wasiljewiczu, z listy, którą sporządziłam, obserwując pańskie poczynania w ciągu czterech miesięcy. Lista zawiera dziewięć adresów i dziewięć nazwisk kobiet, które uszczęśliwił pan swoją miłością i gotowością do wychowywania waszych wspólnych dzieci. Z tych dziewięciu kobiet siedem już uczyniło pana ojcem, a dwie szykują się, żeby zostać matkami. Czy teraz nadal będzie mi pan opowiadał, że spotkał pan je i

pokochał, że jest pan normalnym mężczyzną z krwi i kości? Jest pan potworem, Waleriju Wasiljewiczu, potworem, dla którego nie ma miejsca wśród ludzi.

-Plecie pani same głupstwa... Jakie eksperymenty? Skąd pani to przyszło do głowy? Tak, nie jestem wzorem moralności, ma pani rację, i skoro już mnie pani wytropiła, sędziwa agentko, nie będę się wypierał. Kocham kobiety, ubóstwiam je, jestem zawodowym donżuanem. A także, jak zdążyła pani zauważyć, zawodowym ojcem. Lubię, gdy moje kobiety rodzą mi dzieci. Co w tym złego, że nie potrafię porzucić żony, która została inwalidką w wyniku wypadku? Dlaczego prawi mi pani kazanie? Jestem szanowanym lekarzem, doktorem nauk, pacjenci zapisują się do mnie na wizyty z trzymiesięcznym wyprzedzeniem, więc może pani sobie wyobrazić, jakie pieniądze zarabiam. Żadne z moich dzieci nie żyje w biedzie, słyszy pani? A matki tych dzieci są szczęśliwe, zapewniam panią. Niczego nie może mi pani zarzucić.

- A dzieci Galiny? Zostawił je pan na łasce losu. Dlaczego? Przecież one najbardziej potrzebują pańskiej pomocy i uwagi. I pańskich pieniędzy, nawiasem mówiąc. Przez te cztery miesiące dwukrotnie odwiedził je pan w szpitalu i szedł pan do nich, kochany, z pustymi rękami. Widziałam na własne oczy. Nawet kilograma jabłek im pan nie kupił. Skąd ta oszczędność?

- Nic pani nie wie. Regularnie daję personelowi pieniądze na kupno niezbędnych rzeczy dla dzieci.

- Przypuśćmy. Chociaż skłonna jestem sądzić inaczej. Nie troszczy się pan o nie, bo nie są już panu potrzebne. Były częścią pańskich wstrętnych eksperymentów, ten etap ma pan już za sobą. Teraz bardziej interesują pana nowe dzieci, ale porzuci je pan tak samo bezlitośnie, gdy tylko przestaną być intrygujące z naukowego punktu widzenia. Waleriju Wasiljewiczu, apeluję do pańskiego rozumu: niech pan z tym skończy. To, co pan robi, przeczy wszystkim prawom: i boskim, i ludzkim. Nie jestem zwolenniczką radykalnych środków, przecież pan wie, więc jeżeli da mi pan słowo, że z tym koniec, nikomu o niczym nie powiem.

- Niby co może pani powiedzieć? Znalazł się Nat Pinkerton w

spódnicy! Czym pani mi grozi? Myśli pani, że się przestraszę? Co chce pani osiągnąć swoimi bajeczkami? Zniszczy pani szczęście kilku kobiet, które się dowiedzą, że nie są jedyne. I to wszystko. Tego pani chce? Każda z nich wychowuje moje dziecko i jest szczęśliwa. Drażni to panią? Zależy pani na tym, żeby wszystkie cierpiały? Inaczej się pani nie uspokoi?

- Powiem im, że są królikami doświadczalnymi. Powinny wiedzieć, jakie dzieci wychowują.

- Po co? One i tak pani nie uwierzą. I słusznie zrobią, bo to nieprawda. Chce pani, żeby przestały kochać swoje dzieci? Nie podejrzewałem, że jest w pani tyle okrucieństwa, droga Jekaterino Wieniediktowno.

- Doskonale pan wie, że mówię prawdę. W pewnym stopniu ma pan rację, pańskim kochankom rzeczywiście nic nie powiem, wystarczy mi ten błąd, który popełniłam z niešťęsną Gałoczką, gdy jej wyjawiałam, czego się dowiedziałam. Uwierzyła mi od razu i bez zastrzeżeń. I do tej pory wyrzucam sobie, że to zrobiłam. Gala nie zniosła strasźliwej prawdy i pomieszało jej się w głowie. Ale zawiadomię o tym kogoś innego. Jeźeli nie da mi pan słowa, że z tym skończy. Niech pan obieca, że nie będzie produkował więcej cudownych dzieci, a będę milczeć.

- Niech pani posłucha, znudziły mi się pani bezpodstawne oskarżenia i czcze groźby. Po raz kolejny powtarzam: za tym wszystkim nie kryje się nic poza czysto męskim, chociaź nieokiełznanym, pociągim do kobiet. I tyle. A skoro namówiła mnie pani do odwiedzenia jej, to może zaproponuje mi pani przynajmniej kawę.

- Dobrze, zaproponuję. Ale radzę panu dobrze się zastanowić nad moimi słowami...

Po przesłuchaniu nagrania zrobionego w połowie maja Ajaks zrozumiał, że sprawa się komplikuje. Nie wiadomo, skąd się wzięła ta nazbyt roźgarnięta i cwana baba. Ciekawe, gdzie się dowiedziała? Zresztą teraz nie miało to już znaczenia, poniewaź dowiedziała się o tym nie teraz, ale dawno temu, kiedy Tieriochinowie byli jeszcze cali i zdrowi. Nic nie szkodzi, sama powie, jeźeli ją umiejętnie podpytać. Powie i zamilknie na

wieki. Trzeba też poszukać u niej kartki z adresami. Kartka to nie byle co. Jakiś sprytny śledczy odszuka dziewięć adresów i dziewięć mieszkających pod nimi kobiet, po czym odkryje, że wszystkie mają tego samego kochanka. Wspólnego, by tak rzec. W ten sposób milicja dotrze do Ojca. A Jego nie wolno ruszać. Potrzebny jest w dobrym zdrowiu, najlepiej w swoim miejscu pracy. Nic nie powinno mu się przytrafić. Genialny Tata, jak piekarz wypiekający bułeczki, tworzy dzieci o niezwykłych fizycznych i intelektualnych właściwościach. Teraz zbliża się do końca swoich eksperymentów i badań naukowych, więc trzeba zapewnić mu nietykalność, żeby później zgarnąć grubą forszę za jego odkrycie. Klient już jest, czeka cierpliwie i przygotował już pieniądze, gotów w każdej chwili zapłacić. A zatem sprawę z wścibską babą należy rozwiązać radykalnie.

I Ajaks ją rozwiązał. Radykalnie. Później jego chłopcy pokręcili się wokół domu starszej pani, wywęszyli, jakim tropem idzie milicja, i już było wiadomo, że pętla wokół Ojca się zacieśnia. Ci wywiadowcy to piekielnie uparte towarzystwo! Dobrze, że Ajaks ma do dyspozycji nowoczesny sprzęt, nawet w FSB takiego nie używają. Dowiedzieć się, o czym rozmawiają wywiadowcy, gdy nie są w budynku na Pietrowce, ale na wolnym wybiegu, to dla niego drobiazg. O Lenoczce Romanowskiej dowiedział się od samej Aniskowiec i postanowił zawczasu się ubezpieczyć. Jego chłopcy odwiedzili piosenkarkę alkoholicką już w następnym tygodniu po zabójstwie starszej pani. Okazało się, że Ajaks podjął działania w samą porę. Milicjanci również dotarli do Romanowskiej, co prawda dwa tygodnie później niż on, ale dotarli, gnojki zafajdane. Jak mówił niezapomniany Arkadij Isaakowicz Rajkin, „warto by tę energię wykorzystać w celach pokojowych, pompować wodę do słabo rozwiniętych regionów”. Jednakże w sprawie zakonnicy i pielęgniarki w szpitalu ludzie Ajaksa omal nie zaliczyli wpadki, nie sądzili, że gliniarze tak szybko ich namierzą.

Tak więc rysopis Taty znalazł się na Pietrowce, zanim Ajaks się zorientował. Kiedy dowiedział się, że wykonano już nawet portret pamięciowy Ojca, zrozumiał, że należy jak najprędzej

wyeliminować osoby, które widywały go w ostatnich latach i mogą bez trudu rozpoznać. A tym samym połączyć Tatusia z małymi Tieriochinami. Na to w żadnym wypadku nie mógł pozwolić.

Tymczasem Ojciec żyje sobie jak u Pana Boga za piecem, udaje Greka, codziennie, nawet w weekendy, chodzi do pracy i nie wie, dlaczego nachalna Jekatierina Wieniediktowna przestała mu prawić kazania. Nawet chyba o niej zapomniał. Pogderiała sobie stara wiedźma i się uspokoiła. I całe szczęście. A jemu, niestrudzonemu naukowcowi, nawet nie przyjdzie do głowy, ile osób posłano do piachu, byle tylko uchronić go przed milicją i porachunkami. Już choćby za to powinien zapłacić Ajaksowi. Za kłopoty, by tak rzec. Za zapewnienie bezpieczeństwa. Ale to nic, zapłaci i tak. Za wszystko zapłaci.

Źle się tylko stało, że musieli zabrać dziewczynę ze szpitala. Jest jednak ostatnią osobą, która może rozpoznać Ojca, a zabić jej pod żadnym pozorem nie wolno. To żywa reklama towaru, trzeba ją będzie pokazywać klientowi jako namacalny dowód stworzonej przez Ojca metody. Ją oraz Irę. A jeśli okaże się, że to nie wystarczy, będą musieli sprowadzić klienta do szpitala i zademonstrować mu Olę. To jednak żaden problem, łatwo da się wszystko zorganizować. Najważniejsze to zmusić Ojca, żeby przekazał im dokumentację. To może być największy problem. A nuż odmówi? Ajaks przestudiował całe jego życie, jeszcze od czasów szkolnych. Im więcej dowiadywał się o Waleriju Wasiljewiczu, tym większe miał wątpliwości, czy nie sprzeda komuś swojego wspaniałego wynalazku za grube pieniądze. To znaczy, że już teraz trzeba przystąpić do opracowania rozwiązań awaryjnych. W tym celu potrzebna jest Natasza. Jutro przyjeżdża z Iranu specjalista, który dzień i noc będzie ją obserwował w świetnie wyposażonej klinice, próbując odkryć, jak Ojcu udaje się stworzyć tak wyjątkowe dzieci.

Rozdział 10

Mimo że śmierć Olega Żesterowa nie była dla jego kolegów zaskoczeniem, nie mogli się z nią do końca pogodzić. Trzeba być wielkim optymistą, żeby wierzyć, że dożyje się spokojnej starości, rozpracowując grupę, która działa na rzecz proislamskich terrorystów, a właśnie tym Oleg się zajmował.

Pracownicy FSB przyjechali na miejsce wybuchu jako ostatni, pewnie dlatego, że tożsamość zabitego zidentyfikowano nie od razu, ale dopiero po jakichś czterdziestu minutach, kiedy ugaszono pożar i ostatecznie ustalono, do kogo należy blaszany garaż. W tym czasie wokół miejsca zdarzenia zebrała się dość liczna grupa funkcjonariuszy milicji, strażaków i lekarzy, zdążyli się nawet pojawić jacyś namolni dziennikarze. Niektórzy ludzie chyba cierpią na bezsenność!

Po zidentyfikowaniu ofiary milicjanci zawiadomili oczywiście dyżurnego w FSB, ten wysłał grupę operacyjną i po krótkiej przepychance koledzy Żesterowa przejęli sprawę. Zresztą przepychanka była czysto formalna, milicja pozbyła się ciała chętnie i z widoczną ulgą.

Major Aleksander Taszkow ani przez chwilę nie wątpił, że śmierć Olega Żesterowa to robota grupy kazańskiej, działającej pod przywództwem nieuchwytnego i niewidzialnego Ajaksa. Pewne nazwiska już wypłynęły, ale to było za mało, żeby kogokolwiek aresztować i wszcząć sprawę. Znajomość nazwisk dzisiaj nie wystarcza. Czasy się zmieniły, potrzebne są mocne i jednoznaczne dowody, sama intuicyjna wiedza nikogo już nie zadowala. Dlatego wykonywanie gwałtownych ruchów, póki nie namierzono Ajaksa, jest szkodliwe. Złapać płótkę każdy głupi potrafi, tymczasem szef zapadnie się pod ziemię. I szukaj wiatru w polu.

Na pierwszy ogień poszli mieszkańcy i jak to zwykle bywa, okazało się, że nikt nie widział, jak ktoś majstrował przy garażu

i podłożył ładunek. Była przecież pierwsza w nocy, przyzwoici ludzie dawno już spali. W tej sytuacji major Taszkow zadał sobie bardzo słuszne pytanie: dlaczego akurat teraz? Nie trzy dni wcześniej ani za tydzień, ale właśnie teraz zabito starszego lejtnanta Żesterowa? Prawdopodobieństwo, że zabójstwo zostało sprowokowane jakimś wydarzeniem, jakimś posunięciem Olega, wynosiło pięćdziesiąt procent. Należy więc przestudiować wszystkie działania, które podjął w celu rozpracowania grupy Ajaksa w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Kłopot polegał jednak na tym, że starszy lejtnant Żesterow nigdy nie grzeszył posłuszeństwem, za co bywał wielokrotnie karany przez kierownictwo. Odznaczał się samowolą i uporem, a najgorsze, że regularnie „zapominał” meldować o różnych „nieistotnych szczegółach”. Zapominalstwo Żesterowa było wynikiem zarówno samowoli i uporu (im więcej upomnień i poleceń, tym większa chęć ich zignorowania), jak i ambicji, sprawiającej, że Oleg marzył o przeprowadzeniu błyskotliwej operacji na własną rękę. Zajmując się grupą Ajaksa, sumiennie przekazywał informacje, które zdobywał o członkach grupy, ale z uporem wykręcał się od odpowiedzi na pytanie o źródło informacji. Może jeszcze zażądasz, żebym policzył ci swoich agentów na palcach, kpiąco odpowiadał Taszkowowi, który kierował operacją rozpracowania grupy. Dlatego nikt nie wiedział ani o tym, że Żesterow nawiązał kontakt z Iriną Tieriochiną, ani tym bardziej o tym, że członkowie grupy wynajmują u niej pokój.

To sprawiło, że Taszkow zmitrężył sporo czasu, zanim udało mu się wreszcie dotrzeć do restauracji Gloria, gdzie ostatnio Żesterow codziennie jadał kolację. Szatniarz dobrze pamiętał Olega i od razu powiedział, że zjawiał się tu nie tyle, żeby zjeść kolację, ile dla Iroczi, pomywaczki i sprzątaczk. Gdzie znaleźć Iroczkę? Przyjdzie jak zwykle przed dziesiątą.

Ira rzeczywiście przyszła. Na jej widok Aleksander zwątpił, czy idzie dobrym tropem. Szczupła, niewysoka, rozpaczliwie brzydka, nędznie ubrana, w dodatku sprzątaczk. Co Oleg mógł w niej zobaczyć? Dla takich jak ona nie ma miejsca w przestępczym świecie, nikt jej tam nie wpuści. Może starszy

lejtnant wdał się w przelotny romans? Nie, to też niemożliwe. Taszkow znał żonę Żesterowa Wieroczkę i doszedł do wniosku, że biedna pomywaczka nie ma żadnych szans przy wyzywającej ślicznotce. Czyżby pomyłka? Szatniarz jednak potwierdził, że Oleg zjawiał się tutaj co wieczór i wychodził razem z tym kocmołuchem. A może dziadek coś poplątał i to był jakiś inny Oleg?

Taszkow odczekał chwilę i wszedł do pomieszczenia, w którym brzydula myła podłogę. Nawet nie podejrzewał, że scena, która miała się zaraz rozegrać, będzie przypominała jota w jotę scenę zawarcia znajomości Olega z dziewczyną.

- Dzień dobry - grzecznie odezwał się Taszkow do stojącej tyłem Iry.

- Dobry - burknęła pomywaczka, nie odwracając się. - Czego pan chce?

- Nazywa się pani Ira? Ira Tieriochina?

- No i co z tego?

- Muszę z panią porozmawiać.

Dziewczyna odwróciła się i skierowała na Taszkowa zadziwiająco uważne i bystre spojrzenie.

- O czym?

- O pani.

- Obejdzcie się - rzuciła pogardliwie i znowu zabrała się do szorowania garnka.

- Nie jest pani zainteresowana rozmową? - Taszkow udał zdziwienie. - Nie jest pani nawet ciekawa, co chcę powiedzieć?

- Niczego interesującego się od pana nie dowiem - odparła Ira.

- Wiem o sobie wszystko. Niech pan wraca, skąd przyszedł, i już. Nie widać, ile mam pracy?

- Chciałem porozmawiać również o Olegu.

Dziewczyna znieruchomiała, a Taszkow zauważył, że nagle zeszytniały jej plecy. Mimo to się nie odwróciła. To dopiero opanowanie!

- A po co o nim rozmawiać? - powiedziała w końcu spokojnie.

- Dawno go pani widziała?

- A co panu do tego? Kim on jest dla pana?

- Pracuje u mnie.

- To znaczy, że jest pana ochroniarzem?

Taszkow się zawahał. Wygląda na to, że Tieriochina nie wie, gdzie pracował Oleg. Co on jej naopowiadał?

I najważniejsze, po co? Czy Taszkow może zdradzić jej prawdę, czy raczej powinien się wykręcić, żeby niczego nie podejrzewała?

- Nie moim, ale mi podlega - odparł wymijająco. - Więc odpowie pani na moje pytanie?

- A po co? - tak samo obojętnie powiedziała Ira. - Niby czemu miałabym odpowiadać na pana pytania?

- Zaraz pani wyjaśnię. Oleg zaginął, już od tygodnia nie możemy go znaleźć, więc próbuję się dowiedzieć, kto, gdzie i kiedy widział go po raz ostatni. Czy teraz to jasne?

Tieriochiną zostawiła swoje garnki i patelnie i odwróciła się do niego przodem, trzymając w górze mokre po łokcie ręce.

- Jak to zaginął? - powtórzyła bezradnie. - Kiedy?

- Gdybym wiedział kiedy, nie przyszedłbym do pani. - Taszkow uśmiechnął się.

- Był tutaj w ubiegły piątek i więcej go nie widziałam. Sądziłam, że jest zajęty pracą albo zachorował. Nawet się nie martwiłam.

- Co to znaczy: był w ubiegły piątek? A konkretnie?

O której przyszedł, o której wyszedł, w jakim kierunku się udał.

- Przyszedł jak zwykle po dziesiątej, wyszedł razem ze mną koło wpół do pierwszej.

- I dokąd poszliście?

- Do mnie.

- Zawsze odprowadzał panią po pracy i wstępował do pani?

- Nie, nie zawsze. Tylko czasami. Najczęściej odprowadzał mnie pod dom i tam się rozstawaliśmy.

- Jak długo to trwało?

- Niedługo.

- A konkretnie? - znowu zapytał Taszkow.

- Co się pan czepia! - Ira nagle się zirytowała. - Jeżeli zaginął, to niech go pan szuka, a nie wypytuje, jak długo się znamy.

- To bardzo ważne, Irino, więc proszę odpowiedzieć -

łagodnie, ale uparcie odparł Taszkow.

- Niech pan mi nie mydli oczu! - Dziewczyna podniosła głos. - Niby że jeżeli znamy się rok, to wychodząc ode mnie, skreślił w prawo, a jeżeli pół roku, to w lewo. Wyszedł ode mnie i poszedł do domu, rozumie pan? A ja wiedziałam, przeczuwałam, że w coś się wpakuje. Dobre sobie, prywatny ochroniarz. Jakby uczciwi ludzie potrzebowali ochrony. Uczciwi ludzie zawsze mają mało pieniędzy, radzą sobie bez ochrony, no a ci, których trzeba ochraniać, to sami przestępcy, bandyci i kanalie. Dosyć, łaskawy panie, rozmowa skończona. Nie mam pojęcia, gdzie ten pański Oleg się podział. A teraz fora ze dwora. A jak go pan znajdzie, niech mu pan przekaże, żeby się nie ważył do mnie zbliżać.

Taszkow widział, że Ira jest bliska płaczu, ale trzyma fason. No proszę, co za dziewczyna! Istne чудо. Skąd w naszych niewesołych czasach takie się biorą? Żeby się nie ważył zbliżać! Patrzcie ją! Prawdziwa proleta- riuszka, która nie ma nic do stracenia prócz swoich kajdan, dlatego niczego i nikogo się nie boi. Wie, że niczego nie można jej odebrać, pewnie nie dojada, bo buzię ma całkiem bladą.

Taszkow nie zareagował, wyszedł cicho na korytarz, zamienił jeszcze parę słów z szatniarzem i wsiadł do samochodu zaparkowanego na ulicy, tuż przed wejściem do restauracji. Niech dziewczyna ochłonie, zastanowi się, nawymyśla w duchu Olegowi, który pracuje w prywatnej ochronie, wdepnął w jakąś kryminalną aferę i musi się teraz gdzieś ukrywać przed sprawiedliwym gniewem. Niech przekona samą siebie, że Oleg to facet nieodpowiedzialny i niewart współczucia. A później Taszkow do niej podejdzie i powie, że Oleg zginął i że tak naprawdę pracował w FSB. Aleksander wiedział z doświadczenia, że ten, kto niesłusznie obrzuci kogoś błotem, odczuwa później palący wstyd i pragnie natychmiast odpokutować swoją winę. W tym stanie nierzadko opowiada wiele interesujących rzeczy, starając się zadowolić rozmówcę i nie kontrolując swojej wypowiedzi.

Chociaż plan był dobry, z jakiegoś powodu nie zadziałał. O wpół do pierwszej w nocy Tieriochiną wyszła z Glorii i ruszyła

w stronę skrzyżowania. Taszkow uruchomił silnik, wyprzedził dziewczynę, po czym zahamował, wysiadł z samochodu i zaczął, aż podejdzie bliżej.

- Iro, muszę pani powiedzieć prawdę - zaczął cichym głosem. - Najpierw nie chciałem tego robić, ale później pomyślałem, że postępuję niewłaściwie, i wróciłem. Nie powinna pani źle myśleć o Olegu. Nie był prywatnym ochroniarzem.

- To znaczy, że kłamał? - Ira uśmiechnęła się.

- Nie, ukrywał prawdę w interesie służby. Rozumie pani?

- Chce pan powiedzieć, że pracuje w milicji?

Właściwie Taszkow spodziewał się, że dziewczyna bardziej zdecydowanie zdziwi się i zareaguje na jego słowa. Ale nic z tych rzeczy. Przyciszony głos, spokojna intonacja.

- Niezupełnie. Pracowaliśmy razem w FSB. Sama pani rozumie, że nie rozpowiada się o tym na prawo i lewo, w naszym środowisku to naturalne, że mówimy o sobie nieprawdę. Ja też mówię znajomym dziewczynom, że pracuję w prywatnej ochronie. Tak to już u nas jest. Ale nie o to teraz chodzi. Iro, Oleg nie żyje.

- Oleg... co? - Tierochina nie zrozumiała. - Co pan powiedział?

- Zginął. Akurat wtedy, gdy wyszedł od pani i wracał do domu. Dlatego przyszedłem do pani, żeby zapytać, co Oleg robił kilka godzin przed śmiercią, o czym z panią rozmawiał, o czym myślał? Jest pani ostatnią osobą, która widziała go żywego. Musi mi pani pomóc.

- Nic nie wiem - odparła Tieriochina beznamiętnym głosem. - Dobrze, że pan mi powiedział, bobym na niego czekała...

Dziewczyna zawróciła i ruszyła przed siebie. Taszkow zupełnie się nie spodziewał takiego zakończenia rozmowy. Żadnych krzyków, żadnej awantury, łez, bicia się w piersi, pospiesznej opowieści o ostatnich godzinach życia ukochanego, nawet żadnych pytań, zupełnie naturalnych w tej sytuacji. Nic. Po prostu odwróciła się i sobie poszła.

Aleksander uznał, że jej zachowanie jest spowodowane szokiem po usłyszeniu wiadomości. Dobrze, że rana da kobiecie spokój, na razie wróci do pracy, skontaktuje się z działającymi przez całą dobę służbami informacyjnymi i

postara się dowiedzieć czegoś o dziewczynie. A rano znowu do niej przyjedzie, żeby porozmawiać. Miejmy nadzieję, że rano, kiedy Ira trochę oprzytomnieje, a on zdobędzie przynajmniej wyrwykowe informacje, rozmowa okaże się bardziej rzeczowa i owocna.

Sasza Taszkow jeszcze we wczesnym dzieciństwie zrozumiał, czym są pieniądze. Nie w dosłownym sensie - że to okrągłe, metalowe przedmioty i szeleszczące, różnokolorowe papierki, za które można kupić lody, zabawkę albo bilet do kina. Poznał ich najbardziej nikczemny i odrażający, zwłaszcza dla dziecka, aspekt. Gdy matka zostawiła ich obu z ojcem i wyprowadziła się do Leningradu do nowego męża, znanego pisarza, którego książki wydawano i wznawiano w ogromnych nakładach, chłopiec szybko pojął, że dla dużych pieniędzy można zdradzić najbliższą osobę - własnego syna.

Po rozwodzie ojciec musiał zmienić pracę. Był trenerem w jednym z moskiewskich klubów sportowych, ale po odejściu żony o wyjazdach na zgrupowania i zawody nie było już mowy. Nie miał z kim zostawić syna. Jako trener ojciec zarabiał całkiem nieźle, a jeżeli wziąć pod uwagę, że w jego drużynie znalazło się sporo tryumfatorów międzynarodowych zawodów, łatwo sobie wyobrazić, że przed rozwodem rodzina właściwie nie zaznała biedy. Za każdy sukces trenerom wypłacano wysokie nagrody albo zachęcano ich do pracy w inny sposób, bądź to przydziałem mieszkania (na przykład za wyszkolenie mistrza olimpijskiego), bądź to możliwością otrzymania samochodu bez kolejki (za zwycięstwo na mistrzostwach świata). Z tym wszystkim trzeba się było pożegnać, żeby Sasza nie dorastał bez opieki. Ojciec miał fachowe, lecz bardzo szczególne wykształcenie. Skończył instytut wychowania fizycznego, bo zawsze chciał być trenerem i już w młodości szykował się do wykonywania tego zawodu. Teraz nie miał pojęcia, co począć ze swoim dyplomem. Nie pozostało mu nic innego, jak zatrudnić się w szkole i zostać nauczycielem wuefu. Pieniądze co prawda były niewielkie, odpadły za to wyjazdy z

Moskwy. No a poza tym Saszeńka uczył się w tej samej szkole pod skrzydłami troskliwego tatusia.

Ojciec, Nikołaj Wasiljewicz, był mężczyzną niezwykle przystojnym. Przyciągał kobiety nie tylko atletyczną sylwetką i twarzą o regularnych rysach, ale i wewnętrznym urokiem, więc na brak zainteresowania ze strony dam nie mógł narzekać. W gronie pedagogicznym o wybitnie żeńskim charakterze, bo oprócz niego był tylko jeszcze jeden mężczyzna - starszy nauczyciel fizyki, Nikołaj Wasiljewicz od razu znalazł się w centrum uwagi, ponieważ był nie tylko przystojny, ale i stosunkowo młody (w chwili rozwodu miał zaledwie trzydzieści cztery lata), a co najważniejsze, wolny. A zatem wymarzony do celów matrymonialnych. Wybór miał duży, bo młodych, niezamężnych nauczycielek było w szkole sporo. Dość rychło nawiązał więc bliższą znajomość z nauczycielką języka angielskiego. Mimo że przez całe życie Nikołaj Taszkow uprawiał sport i był trenerem, co raczej nie skłania do sentymentów, w duszy pozostał niepoprawnym romantykiem i widział już oczami wyobraźni, jak żeni się z ładną, młodą „Anielką” i wprowadza ją do swego domu, jak rano wszyscy troje wstają i idą razem do szkoły, a później razem wracają do domu. Oboje z przyszłą żoną są pedagogami, pracują w tej samej szkole, więc będą mieli wspólne zainteresowania i sprawy, wspólnych znajomych i przyjaciół. Nigdy nie wyczerpią się tematy rozmów, a co za tym idzie, nigdy nie będą się ze sobą nudzili. Stworzą idealną, wzorową rodzinę i razem wychowają syna. Jednakże jego plany pozostały w sferze marzeń, ponieważ „Anielka” szybko się odsloniła, na szczęście w porę, to znaczy nie po ślubie, ale na długo przed nim. Sądziła, że gdy Kola się z nią ożeni, natychmiast wróci do pracy trenera i zacznie znowu zarabiać pieniądze, które utracił po przejściu do szkoły. Przygotuje jeszcze paru mistrzów olimpijskich i dostanie nowe, duże mieszkanie, później kupią nowy samochód, bo na ten aż przykro patrzeć, to istny gruchot... Mimo romantycznej natury Nikołaj Wasiljewicz rozumiał takie rzeczy w pół słowa, więc dalekowzrocza „Anielka” nie zdążyła dokończyć swojego monologu, wygłaszanego przymilnym tonem i połączonego z

czułym głaskaniem obnażonych muskularnych pleców narzeczonego. Taszkow starszy przerwał leżając w łóżku lady w środku zdania, ubrał się w milczeniu i wyszedł. A następnego dnia położył przed dyrektorem podanie o zwolnienie. Znalazł sobie pracę w innej szkole, w pobliżu domu, i przeniósł tam Saszę. Chłopiec ma dopiero dziesięć lat, jest jeszcze za mały, żeby mógł kilka razy dziennie przechodzić sam przez ruchliwą ulicę. Powód był całkiem wiarygodny, chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, dlaczego młody, przystojny wuefista odchodzi z pracy.

Nikołaj Wasiljewicz niczego przed dziesięcioletnim Saszą nie ukrywał. Nie poniżył się do kłamstwa, uznając, że chłopiec bez trudu zrozumie nieskomplikowane w gruncie rzeczy sprawy.

- Myślałem, że Ała Siergiejewna kocha nas obu i dlatego chce zostać moją żoną i zastąpić ci mamę. Okazało się jednak, że marzy tylko o tym, żebym znowu został trenerem i zarabiał dużo pieniędzy, które ona będzie mogła wydawać na przyjemności. Nie potrafię szanować, a tym bardziej kochać kobiety, która gotowa jest sprzedać się dla pieniędzy. Rozumiesz mnie, synu?

- Rozumiem. - Sasza poważnie skinął głową. - Ała Siergiejewna jest taka sama jak mama, prawda?

- Mniej więcej. - Ojciec uśmiechnął się.

Było to ulubione powiedzonko Taszkowa starszego, więc uwielbiający go Taszkow młodszy obok wielu cech charakteru i przyzwyczajzeń przejął od niego również jego „mniej więcej”.

Kiedy Sasza podrosł, Nikołaj Wasiljewicz często mu powtarzał:

- Transakcje towarowo-pieniężne nazywają się towarowo-pieniężnymi, bo za pieniądze trzeba i można kupować towar, to znaczy rzeczy będące wytworem czyjejś pracy. Natomiast wykorzystywanie pieniędzy, żeby kupować za nie uczucia, jest niegodne i haniebne. Ale jeszcze bardziej niegodne i haniebne jest sprzedawanie swoich uczuć za pieniądze.

Sasza dobrze przyswoił sobie lekcje ojca. A później wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Na obu zwały się pieniądze. I to nie zwyczajne, ale ogromne. Najpierw otrzymali informację, że

matka oraz jej nowy mąż pisarz zginęli w wypadku kolejowym. A kilka miesięcy później zjawił się u nich notariusz i oznajmił, że Aleksander Nikołajewicz Taszkow jest jedynym spadkobiercą znanego literata Michaiła Fiodorowicza Bogatowa i przez najbliższe pięćdziesiąt lat (zgodnie z prawem autorskim) będzie właścicielem wyłącznych praw do jego utworów. Nikołaj Wasiljewicz próbował protestować i wyjaśnić notariuszowi, że nastąpiła przykra pomyłka, że Taszkow młodszy, który w tym czasie skończył już dziewiętnaście lat, nie jest krewnym zmarłego pisarza i że pisarz ma pewnie innych krewnych, w tym dzieci z pierwszego małżeństwa. Notariuszowi nawet nie drgnęła powieka i w odpowiedzi stwierdził, że taka była wola spadkodawcy. Z pierwszego małżeństwa ma rzeczywiście córkę, ale wyrzekł się jej z powodów politycznych, zdaje się, że była zamieszana w jakąś dysydencką działalność. Natomiast drugą żonę, matkę Aleksandra Nikołajewicza Tazskowa, bardzo kochał i przez wszystkie lata nękały go wyrzuty sumienia, że skrzywdził dziecko, pozbawiając je macierzyńskiej opieki. Wszystko to było oczywiście kompletną bzdurą i obaj Tazskowie świetnie rozumieli, że gdyby mistrz pióra tak się zadreślał, nie ożeniłby się z matką, która zostawiła swojego ośmioletniego syna pod opieką męża. Jeżeli ktoś miał wyrzuty sumienia, to najpewniej matka, która nie wiadomo jakim cudem namówiła bogatego męża, żeby sporządził testament na korzyść porzuconego syna.

- No cóż, wola zmarłego jest święta. - Nikołaj Wasiljewicz westchnął. - Musimy ją uszanować.

Ojciec i syn przyjęli spadek. Zaczekali, aż Sasza będzie miał wakacje, a Nikołaj Wasiljewicz urlop, i pojechali razem do Leningradu. Zapoznali się z wartością majątku i wkładów oszczędnościowych, przestudiowali umowy wydawnicze pisarza. I od razu pojęli, że spadek, który otrzymali, jest więcej niż przyzwoity. Książki pisarza były bez przerwy wydawane i wznawiane, a w ciągu swojego długiego życia zdążył napisać ich sporo. Jednym słowem, współczesny klasyk. A ponieważ w tamtych czasach istniał jeszcze obóz socjalistyczny i każdy kraj,

który był jego członkiem, uważał za swój obowiązek wydawać klasykę literatury „starszego radzieckiego brata” w swoim języku, to liczba wydań okazała się wręcz nieprzebrana. Po załatwieniu formalności Taszkowie wrócili do Moskwy i przez parę dni chodzili pogrążeni w zadumie, po czym odbyli pierwszą, jedyną i ostatnią rozmowę na temat pieniędzy pisarza.

- Nie mamy do nich prawa - rzekł twardo Nikołaj Wasiljewicz.

- Ale skoro zmarły chciał, żeby należały do ciebie, musimy się podporządkować jego woli. Konsultowałem się z notariuszem w sprawie ewentualnej odmowy przyjęcia spadku. Powiedział, że możesz to zrobić, ale wtedy zaczną się swary i kłótnie między tymi, którzy uważają, że mają prawo pretendować do schedy. Więc pomyślałem, że nie powinniśmy swoimi poczynaniami wywoływać kłótni ani awantur. Mam rację, synu?

- Tak, tato - przyznał Aleksander.

- Wtedy pomyślałem, że przyjmujemy spadek, ale nie weźmiemy dla siebie ani kopiejki. Obaj jesteśmy dorosłymi, silnymi mężczyznami. Bóg obdarzył nas zdrowiem i rozsądkiem, więc sami powinniśmy zapewnić sobie byt, inaczej stracimy do siebie szacunek. Będziemy strzegli majątku pisarza, niech się pomnaża, niech jego książki nadal się ukazują w dowolnych nakładach, no i wszędzie. Przeznaczmy pieniądze na coś ważnego i potrzebnego, ale powtarzam, nie na własne potrzeby.

- Na domy dziecka i szpitale? - podsunął Sasza.

- Mniej więcej.

Od tamtej pory minęło piętnaście lat. Obecnie Aleksander Nikołajewicz Taszkow miał trzydzieści cztery lata, tyle, ile jego ojciec, gdy zostali sami. Nikołaj Wasiljewicz nie wrócił jednak do pracy trenera. Przerwa dała o sobie znać. Przez niemal dziesięć lat, które spędził w szkole, został daleko w tyle, nie znał nowych metod treningu, zresztą nikt o nim już nie pamiętał. Teraz miał sześćdziesiąt jeden lat, ale wciąż jeszcze był wysportowany i szczupły. Nadal pracował w instytucji wychowania fizycznego, który kiedyś skończył. Jedyną oznaką wieku był niemal zupełny brak włosów, ale wczesna łysina u

Taszkowów była dziedziczna. Powierzchnia wolna od włosów na głowie Aleksandra znacznie przewyższała powierzchnię pokrytą włosami.

Co się zaś tyczy majątku pisarza, to w ciągu pierwszych ośmiu lat, gdzieś tak do roku osiemdziesiątego dziewiątego, prawie bez przerwy spływały na konta pieniądze z różnych wydawnictw, rosły też odpowiednio odsetki. Jednakże później, w trakcie pieriestrojki, o klasyku socrealizmu nagle zapomniano, przestał być komukolwiek potrzebny, więc źródółko wpływów gwałtownie wyschło. Ponieważ Aleksander pracował już wówczas w FSB, rodzina Taszkowów zawczasu dowiedziała się o nadchodzącym krachu finansowym, zdążyła się przygotować i zabezpieczyć spadek po pisarzu. Chociaż ojcu i synowi spadek nie był do niczego potrzebny, obaj pozostali uczciwi i jeżeli czegoś się podejmowali, robili to solidnie, a nie byle jak. Opróżnili wszystkie konta, a pieniądze zainwestowali w złoto. Kilka lat później, gdy sytuacja na rynku walutowym i bankowym jako tako się unormowała, wymienili złoto na dolary i wpłacili na konto walutowe do banku, któremu nie groziła plajta. Chociaż dawał mniejsze odsetki, wydawał się solidniejszy.

Parę razy Aleksander próbował znaleźć godny cel, na który można by było przeznaczyć pieniądze pisarza. Proponował wpłacić je na jakąś fundację dobroczynną albo przekazać na potrzeby niepełnosprawnych, ale reakcja ojca go dziwiła:

- Jesteś pewien, że pieniądze pójdą na to, na co je przekazałeś? Masz gwarancję, że po drodze nikt ich nie rozkradnie?

Taszkow młodszy nie miał oczywiście takiej gwarancji. Jako kadrowy oficer KGB-FSB orientował się lepiej niż inni, w jaki prosty, a zarazem skomplikowany sposób pieniądze wyciekają nawet z najbardziej pewnych i zaufanych kont.

Czasami Aleksander słyszał w telewizji prośby o pomoc, o pieniądze na leczenie tej czy innej osoby, ale ojciec również i te próby ulokowania spadku dusił w zarodku.

- Znasz osobiście tę osobę? - pytał surowo. - Możesz dać sobie rękę uciąć, że jest naprawdę chora i potrzebuje pieniędzy na leczenie, że nie jest to sprytna i nieetyczna forma szanta-

zowania łatwowiernych i współczujących współobywateli?

Tak, nieprzyjemne doświadczenie z żoną, a później przedsiębiorczą „Anielką” Alją Siergiejewną sprawiło, że Nikołaj Wasiljewicz stał się patologicznie podejrzliwy.

- Zaczekaj, aż ściśnie ci się serce, aż zrozumiesz, że nie zaznasz spokoju, póki nie załatwisz jakiejś sprawy. Kiedy poczujesz dojmujący ból duszy, to znaczy, że znalazłeś tę sprawę, na którą powinieneś przeznaczyć pieniądze. Nie wiadomo z jakiego powodu rozboli cię serce, z litości dla bezdomnych kotów i psów albo ze strachu przed rozszerzeniem się epidemii nowego wirusa. W pierwszym przypadku zbudujesz schronisko dla bezdomnych zwierząt, a w drugim dasz pieniądze na opracowanie nowej szczepionki albo na jej kupno. Jakkolwiek jednak się stanie, poczujesz, że nie możesz tego nie zrobić. To właśnie będzie ta sytuacja, której potrzebujesz. Szukanie zaś, gdzie by ulokować pieniądze, to głupota. Nikomu nie przyniesie radości.

W wieku trzydziestu czterech lat Aleksander nadal nie był żonaty, ponieważ gorzkie doświadczenie wymiany miłości na pieniądze pozostawiło w nim zbyt głęboki ślad. Miał dużo dziewcząt i kobiet, wczesna łysina była jedynym defektem jego wyglądu, ale przyjaciółki, które jego zdaniem nadawały się do roli żony, sprawdzał, kusząc spadkiem, i za każdym razem widział błysk pożądania w oczach. Wiadomość o spadku sprawiała, że ich pieczyoty stawały się bardziej gorące i wyszukane, a szeptane do ucha słowa bardziej namiętne i szczerze. Od razu czuł nudę i wstręt. Dlaczego ludzie tak kochają pieniądze, których sami nie zarobili? Aleksander dobrze rozumiał tych, którzy trzęśli się nad każdą kopiejką zdobytą w wyniku codziennej, wieloletniej harówki, i nie denerwowały go nawet najbardziej odrażające przejawy skąpstwa i chciwości z ich strony, chociaż sam wcale nie był skąpcem, lubił robić prezenty i łatwo rozstawał się z pieniędzmi. Jednak zupełnie nie rozumiał, jak można zapomnieć o wszystkim na świecie, o sobie i swoich bliskich, o honorze i sumieniu, i rzucać się na pieniądze, które zaoszczędził albo zarobił kto inny. Nawet gdy skończył trzydzieści cztery lata, został naczelnikiem wydziału i

dosłużył się stopnia majora, wciąż się temu dziwił. To znaczy teoretycznie wiedział, że takich ludzi spotyka się na każdym kroku, niemal co trzeci człowiek jest właśnie taki, ale nie potrafił znaleźć się na ich miejscu, wejść w cudzą skórę i zrozumieć, dlaczego tak się zachowują. Nie potrafił i już.

Tej nocy w ogóle nie mogła zasnąć. Leżała oczywiście w łóżku, pozwalając odpocząć zmęczonemu ciału, ale umysł nie dawał jej spokoju i zmuszał, by wciąż od nowa wracała myślami do siostry i do Olega. Dlaczego tak nagle? Dlaczego dwie osoby opuściły ją w tym samym czasie? Żadna nie zawiniła, Nataszę porwano, a Olega zabito, ale dlaczego los nie szczeni jej ciosów, nie pozwala się pozbierać i ochłonąć? To niesprawiedliwe. Tak nie wolno. Jest przecież żywym człowiekiem i ma serce. A może Bozia patrzy na nią z góry i myśli, że skoro jest takim niestrudzonym tytanem pracy, to nie ma w środku niczego prócz mięśni i ścięgien? Ira nie wierzyła w Boga, ale nie miała też pewności, że go wcale nie ma. Coś oczywiście jest, tylko mało kto wie, co to właściwie jest.

Ira nie kochała Olega, nawet nie była zakochana, czuła jedynie wdzięczność za dobroć, za to, że przychodzi co wieczór i sprawia, że w oczach pracowników Glorii niczym nie różni się od innych dziewcząt, które umawiają się z facetami. Za to, że odwiedzając ją czasem w mieszkaniu, pozwala zapomnieć o nędznym ubraniu i ohydnych krostach na twarzy. Za to, że zamierzał zaprowadzić ją do lekarza i nawet opłacić leczenie, jeżeli okaże się konieczne. Za zwyczajne rozmowy podczas krótkich spacerów nocnymi ulicami. Za to, że jej nie pocieszał i niczego nie obiecywał, ale po prostu był przy niej, wprawdzie niedługo, ale każdego wieczoru. Ira nie mogła przeboleć śmierci Olega. No dlaczego, dlaczego? Taki miody, przystojny, dobry. W dodatku niebawem urodzi mu się dziecko... Było jej żal żony Olega, chociaż nawet nie wiedziała, jak jej na imię.

Nagle poraziła ją niespodziewana myśl. Kim jest ten typ, który był u niej dzisiaj w Glorii? Przecież nawet nie podał nazwiska. A nuż wszystko, co od niego usłyszała, to stek kłamstw? Może

Oleg żyje? Facet chce ją wybadać w jakiejś sprawie i dlatego wspomniał o Olegu. Może jest jednym z tych, którzy porwali Nataszę? Uprzedzał ją przecież tamten... no, jak mu tam... no ten, który przyszedł do niej rano, że mogą zjawić się nieznanym osobom i zaczną ją wypytywać. Boże, jak ten facet się nazywa?!

Ze złości Ira omal się nie rozpląkała, później sobie przypomniała, że gość dał jej wizytówkę z telefonami. Gdzie ona ją wsunęła? Pewnie do kieszeni, gdzie by indziej, przecież nie bierze ze sobą żadnej torby, gdy idzie zamiatać ulicę. Dziewczyna wyslizgnęła się spod cienkiego, starego koca (kiedyś, gdy była jeszcze mała, mama używała go do prasowania, a teraz, gdy Ira oddała lokatorom przyzwoite kocy, sama używa go jako przykrycia), włączyła światło i chwyciła wiatrówkę, którą rano miała na sobie. Na szczęście wizytówka się znalazła. Jest, Jurij Wiktorowicz Korotkow, Anastazja Pawłowna Kamieńska. I telefony, aż pięć numerów. Ciekawe, pod który można dzwonić w nocy? Bo mimo wszystko to nie wypada, dzwonek telefonu obudzi całą rodzinę. Co prawda facet sam powiedział, żeby dzwoniła o dowolnej porze dnia i nocy, nie krępować się. Łatwo się jednak mówi... W dodatku to wcale nie takie proste. Telefon wisi na korytarzu, nie można go zabrać do pokoju, a rozmawiać, żeby lokatorzy słyszeli, Ira nie miała ochoty. Z wielu powodów. Lokatorzy cenią sobie jej mieszkanie, bo zawsze panuje w nim cisza. Nikt nie będzie też zachwycony, słysząc, jak właścicielka wydzwania w nocy na milicję. Poza tym ten Korotkow podkreślał, żeby nie rozpowiadała, co się przydarzyło Nataszy. A jak będzie musiała powiedzieć przez telefon coś takiego... Może lepiej wyjść z domu i zadzwonić z automatu? Nic z tego, do automatu potrzebny jest żeton, a skąd go weźmie w nocy, w dodatku kosztuje półtora tysiąca, tyle co cały bochenek chleba z otrębami.

Będzie musiała poczekać do rana. Jeszcze przez jakąś godzinę przewracała się w łóżku, a później znowu włączyła światło. Nie, nie będzie dłużej czekać. Korotkow powiedział przecież, że ma dzwonić natychmiast, o każdej porze dnia i nocy. To jego praca,

wie, co mówi, więc jeżeli powiedział, żeby tak zrobiła, to znaczy, że tak trzeba. Najważniejsza jest Natasza. Facet sam powiedział: bezpieczeństwo Nataszy jest w naszych rękach, od pani i ode mnie zależy, jak szybko ją znajdziemy i uratujemy. Więc ona gwizdże na to, co wypada, a co nie, po prostu musi do niego zadzwonić.

Na palcach wyszła do przedpokoju. Była czwarta rano, wszyscy spali jak zabici. Nie zapalając światła, potarła zapałkę, żeby podświetlić numery telefonów na wizytówce, zdjęła słuchawkę i po omacku wybrała pierwszy numer. Niemal natychmiast ktoś odebrał, w słuchawce rozległ się zaspany męski głos.

- Jurij Wiktorowicz? - ledwie słyszalnie odezwała się Ira, zasłaniając słuchawkę dłonią, żeby głos nie rozchodził się zbyt daleko.

Korotkow nie usłyszał.

- Halo! - powtórzył już z gniewem.

-Juriju Wiktorowiczu - powiedziała Ira trochę głośniej.

- Tak, słucham - odparł spokojniej. Widocznie usłyszał.

- Tu Ira. Tieriochiną.

- Co się stało? Nie może pani rozmawiać? - Korotkow od razu się domyślił.

- Tak - szepnęła.

- Dzwoni pani z domu?

-Tak.

- Ktoś panią odwiedził?

-Tak.

- Kiedy? Dzisiaj?

-Tak.

- W ciągu dnia czy wieczorem?

- Wieczorem.

- Idzie pani o piątej do pracy?

-Tak.

- Za piętnaście piąta będę czekał na najwyższym piętrze pani kamienicy, przy drzwiach na strych. Wszystko mi pani powie. Zrozumiała pani?

- Tak - z ulgą odparła Ira.

Wróciła do pokoju i znowu się położyła, ale nie gasiła już światła, i tak za pół godziny musi wstać, o żadnym śnie nie ma więc mowy. No i proszę, mężczyzna w ogóle się na nią nie gniewał, że zadzwoniła o czwartej rano. To znaczy, że postąpiła słusznie. Przyjedzie do niej za czterdzieści pięć minut, ona o wszystkim mu opowie, a on jej poradzi, jak się ma zachować. Bo Irze nie wolno improwizować, chodzi przecież o Natkę, Nataszeńkę, jej siostrzyczkę, która jest zupełnie bezradna i nie może sama się bronić. Ira bardzo dobrze zna swoje miejsce, wykształcenie ma kiepskie, siedem klas w normalnej szkole jakoś ujdzie, ale lata w internacie w ogóle się nie liczą, bo jaka nauka może być w internacie? Śmiech na sali!! Nieustanne pijatyki, wszędzie ruja i porubstwo i ciągłe okradanie współlokatorów i personelu. Nawet pracy domowej nie miała gdzie odrobić! Nauczyciele też byli do niczego, pewnie praca w internacie nie cieszy się renomą, idą tam sami nieudacznicy, sądzą, że skoro dzieci są sierotami, nie jest im potrzebne porządne wykształcenie. Tak więc ona, Ira Tieriochina, wie doskonale, że nie ma prawa uważać się za mądrzejszą od innych. Milicjanci znają się na swojej robocie, mają odpowiednie kwalifikacje, uczyli się, zdobywali doświadczenie, więc jeżeli mówią, co powinna robić, a czego nie, musi im się podporządkować. Żle jej nie doradzą.

Równy za piętnaście piąta Ira pędem wbiegła na ostatnie piętro. Przy drzwiach prowadzących na strych stał Korotkow i palił papierosa. Płacząc się ze zdenerwowania, Ira poinformowała go o wczorajszej wizycie nieznanego mężczyzny w Glorii.

- Kto to jest Oleg? - Korotkow natychmiast jej przerwał.
- Znajomy.
- Dawno się znacie?
- Nie, jakieś dwa tygodnie.
- Kim jest, czym się zajmuje?
- Powiedział, że pracuje w prywatnej ochronie, ale ten wczorajszy typ sugerował, że niby w służbach specjalnych. Kłamał, tak?
- A nazwisko Olega?

- Nie znam. - Ira stropiła się.

Po raz pierwszy przez cały ten czas zdała sobie sprawę, że rzeczywiście nie zna jego nazwiska. On jej nie powiedział, a ona nie pytała, nie przyszło jej jakoś do głowy, żeby zapytać. Zresztą po co jej jego nazwisko? Nie będzie z nim przecież brać ślubu.

- A może wie pani przynajmniej, jaki miał samochód?

- Nie. - Ira znowu pokręciła głową. - Taki czerwony, zagraniczny. Nie znam się na samochodach.

Oleg jeżdżący czerwonym zagranicznym wozem. Pracuje w służbach specjalnych, ale to nic pewnego. Wyśmienite znaki szczególne, pasują do co piątego faceta.

- A wie pani chociaż, ile ma lat?

- Chyba... ze trzydzieści. Może trochę mniej. Aha, mówił jeszcze, że jego żona jest w ciąży, w szóstym miesiącu.

Zgadza się. Oleg Żesterow, starszy lejtnant w FSB. Czerwony Volkswagen. Dwadzieścia dziewięć lat. Żona w ciąży. Teraz jasne, dlaczego wczorajszy gość złożył Irze wizytę. Prowadzą śledztwo w sprawie zabójstwa. No dobrze, to nic strasznego. Chociaż oczywiście nie zaszkodzi się ubezpieczyć.

- Iro, on pani nie oszukał. Pani Oleg rzeczywiście nie żyje. Bardzo mi przykro. Ktoś podłożył ładunek wybuchowy w jego garażu. W nocy z piątku na sobotę, tydzień temu. Prawdopodobnie pani wczorajszy gość zjawi się znowu, i to niebawem. Niech się go pani nie obawia, próbują znaleźć zabójcę Olega, więc chcą się dowiedzieć, co robił w ostatnich dniach, a zwłaszcza tuż przed śmiercią. To normalne, my też tak zawsze robimy, gdy prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa. Ale na wszelki wypadek udzielę pani kilku rad. Po pierwsze, niech go pani poprosi, żeby się wylegitymował, i postara się zapamiętać jego dane. Niech się pani nie krępuje, spokojnie przeczyta, co jest napisane w jego legitymacji służbowej, i nie spieszy się, żeby od razu mu ją zwrócić. Niech pani poświęci na to tyle czasu, ile będzie trzeba. Jeżeli facet nie będzie zachwycony, to jego problem, nie pani. Po drugie, niech go pani nie oszukuje. Jeżeli chce pani coś przemilczeć, proszę to zrobić, tylko, na miłość boską, niech się pani nie mija z prawdą. Bardzo łatwo przyłapać człowieka na kłamstwie i w

rezultacie nawet ci, którzy nie są niczemu winni, raz tylko skłamałi, zazwyczaj mają później nieprzyjemności. Lepiej niczego nie utrudniać, jeżeli rozmowa nie zejdzie na temat pani siostry. W historii z Olegiem nie ma pani nic do ukrycia. Przyszedł, posiedział u pani i sobie poszedł. Niech pani powie prawdę. A po rozmowie z nim niech pani od razu znajdzie mnie albo Kamieńską, telefony ma pani na wizytówce.

- A jeżeli znowu będę musiała zadzwonić w nocy? Przykro mi, że pana obudziłam, zerwałam przed świtem...

- Niech pani dzwoni. Słusznie pani postąpiła. Wie pani, co w naszej pracy bywa najbardziej przykre? Gdy zgwałcona i pobita dziewczyna siedzi przed nami i płacze, a my nie możemy znaleźć przestępcy. To jest najbardziej przykre, a nawet więcej niż przykre. Reszta to żaden problem.

Korotkow zerknął na zegarek i lekko popchnął Irę w kierunku schodów prowadzących na dół.

- To wszystko, niech pani biegnie, bo spóźni się pani do pracy.

Wczorajszy nieznajomy zjawił się akurat wtedy, gdy Ira wkładała miotłę do schowka. W pierwszej chwili dziewczyna pomyślała, że ma halucynacje. Jakby los się z niej natrząsał, zmuszał, żeby dwa razy przeżywała to samo. Straciła Nataszę, a zaraz potem zniknął Oleg. Wczoraj pojawił się ten mężczyzna i zagadnął ją tak jak jeszcze niedawno Oleg. Dzisiaj podszedł do niej w tym samym momencie jak Korotkow dwa dni temu. Wszystko się powtarza. A może po prostu pomieszało jej się w głowie?

- Dzień dobry - przywitał się wesoło. - To znowu ja.

- Widzę - pośepnie odparła Ira. - Czego tym razem pan chce?

- Tego samego. Porozmawiać.

- Nie mam czasu.

- Ale przecież skończyła pani pracę. Obserwuję panią, odkąd zaczęła pani sprzątać. Wszystko zrobione, więc najwyższy czas porozmawiać.

- Muszę jeszcze umyć schody o, w tamtym domu - z uporem odrzekła Ira, nie podnosząc oczu.

- Schody zaczekają. Irino Leonidowno, mamy poważny problem.

- No proszę, już Irino Leonidowno! - Jej twarz wykrzywił pogardliwy grymas. - A do łaskawego pana jak mam się zwracać?

- Aleksandrze Nikołajewiczu. Albo po prostu Sasza.

- A dokumenty pan jakieś ma, Aleksandrze Nikołajewiczu?

- Wiadomo. - Mężczyzna uśmiechnął się, ale nie sięgnął do kieszeni, żeby je wyjąć i pokazać Irze.

- Muszę je zobaczyć. Wiadomo - powtórzyła, przedrzeźniając go. - Inaczej nie będzie żadnej rozmowy.

W milczeniu podał jej swoją legitymację, a Ira starannie, tak jak ją uczył Korotkow, przeczytała wszystko od a do zet. Aleksander Nikołajewicz Taszkow. Major. Naczelnik sekcji. Ira przeczytała wszystko jeszcze raz i zwróciła legitymację właścicielowi.

- No to rozmawiamy, skoro tak pana przypiliło - zgodziła się łaskawie. - Tylko krótko, mam pełne ręce roboty.

- Proszę sobie przypomnieć, czy Oleg mówił pani, gdzie spędził dzień, czym się zajmował, z kim spotykał?

- Nie zdawał mi sprawozdania.

Ira postanowiła wypowiadać się sucho i lakonicznie. Ten Taszkow na razie nie zrobił jej nic złego, niczym nie uraził, a jednak już jej się nie podobał. Ira nawet nie potrafiłaby powiedzieć czemu. Może dlatego, że żyje, a Oleg jest martwy.

- A o czym rozmawialiście, gdy się spotykaliście?

- Co to pana obchodzi? - odparowała beznamyślnie, myśląc raczej o Nataszy, a nie o Olegu. Jemu i tak już nikt nie pomoże. A Natka...

- Irino Leonidowno, proszę, żeby mi pani pomogła. Oleg to mój kolega, pracowaliśmy razem. Robię, co w mojej mocy, żeby znaleźć jego zabójców. A pani rozmawia ze mną tak, jakbym był osobistym wrogiem albo pożyczył od pani pieniądze i nie chciał ich oddać.

Ira poczuła wyrzuty sumienia, które jednak błyskawicznie zniknęły.

-No dobrze, przepraszam - powiedziała pojednawczo.

- Więc o czym rozmawialiście?

Właściwie o czym rozmawiali? Przecież po drodze z Glorii do domu nie milczeli. Nawet jeżeli Oleg do niej nie wchodził, stali jeszcze przed wejściem z dziesięć minut. Tam również rozmawiali. Ale gdyby miała powiedzieć o czym, to w zasadzie o niczym. Albo... Jakkolwiek to dziwne, tak naprawdę rozmawiali głównie o niej, o Irze. O jej siostrach i bracie, o matce, o lokatorach.

O niczym więcej. W tym momencie Ira przypomniała sobie polecenie Korotkowa: starać się, żeby rozmowa nie zeszła na Nataszę. Odparła więc krótko i w miarę szczerze (biorąc pod uwagę wyżej wspomniane zalecenie Korotkowa):

- Rozmawialiśmy o mnie. O moich lokatorach.

- O lokatorach? - Taszkow uniósł brwi ze zdziwieniem.

- No tak. Wynajmuję pokoje. A co, nie wolno? - wyzywająco zapytała Ira.

- Skąd znowu, wolno. A jacy są ci lokatorzy?

- Jacy mają być? Zwyczajni.

- I co pani opowiadała o nich Olegowi?

Początkowo Ira nawet się nie zorientowała, co się święci. W dobrej wierze relacjonowała Taszkowowi, o co pytał Oleg i co ona mu odpowiadała. Z każdą minutą wzrok Taszkowa stawał się coraz bardziej surowy, na twarzy malowało się coraz większe napięcie, głos brzmiał coraz ostrzej, gdy przerywał jej od czasu do czasu, zadając dodatkowe pytania. Nagle Irę przeszła przerażająca myśl. Jakby ktoś wbijał jej nóż w serce. Oleg i ten Taszkow interesują się lokatorami. Ale nie Gieorgijem Siergiejewiczem, spokojnym księgowym, tylko Musą, Szamilem, Iljasem i ich kumplami. Czyli że Olegowi chodziło o nich, a nie o nią, Irę? Udawał, szedł z nią do łóżka, mówił, że jej pokryta krostami twarz nie budzi w nim wstrętu, a sam... Pracował. Zbierał informacje. Co za ohyda! A ona, głupia, uwierzyła i straciła czujność. Przypomina mu mamę, patrzcie państwo. Chce zrobić dobry uczynek. Zapisał ją do lekarza. Kawał drania.

- Co pani jest, Irino Leonidowno? - zapytał zaniepokojony Taszkow. - Złe się pani czuje?

- Czuję się wspaniale - odparła bezbarwnym głosem. - W każdym razie lepiej niż Oleg. Czy wam się nigdy nie znudzi wykorzystywać do swoich celów takie łatwowierne idiotki jak ja? No dalej, niech pan powie, że szaleńczo mnie kocha, że chciałby złożyć mi wizytę i poznać lokatorów. Bo przecież potrzebuje pan moich lokatorów, prawda? Boże, no dlaczego wszyscy mnie wykorzystują? Komu tylko przyjdzie na to ochota. Przecież ja jestem człowiekiem, niechże pan to zrozumie, człowiekiem, żywą istotą, a nie martwym przedmiotem, którym można się pobawić i wyrzucić na śmietnik. No dlaczego pan milczy?! - Ira nie zauważyła, że zaczęła krzyczeć. - Mam rację, prawda? Oleg przychodził do mnie tylko z powodu Iljasa i jego kolesiów? Nic więcej panu nie powiem! Nie pomogę panu szukać jego zabójcy. Zabójca zrobił dobrą robotę, wybawił świat od jeszcze jednego obłudnego drania. No bo jakże, Oleg to prawdziwy bohater, zabrał z ulicy nieszczęsną nędzarkę, przygarnął, nakarmił, a ona się do niego przywiązała. Parszywa dziwka! Wywłoka!

- Ciszej, Iro, ciszej.

Taszkow objął ją delikatnie za ramiona i wyjął z kieszeni czystą chusteczkę, żeby wytrzeć łzy, które płynęły jej z oczu.

- Niech pani sobie trochę popłacze, to przyniesie ulgę. A później porozmawiamy.

Ira załkała, próbując wziąć się w garść, ale puściły jej nerwy i rozpaczliwie się rozszołała, wtulając głowę w jego szerokie ramię.

Rozdział 11

Już drugi dzień nie przestawało padać, a dobiegający zza okna równomierny szmer siąpiących kropel przynosił ukojenie. Walerij Wasiljewicz otworzył nawet okno, żeby lepiej słyszeć dźwięk deszczu i wdychać wilgotne, chłodne powietrze. Tutaj, w tym mieszkaniu, czuł się spokojnie i pewnie. Wiedział, że nikt tu nigdy nie przyjdzie. Oczywiście z wyjątkiem jego samego i kobiet, z którymi się spotykał. Jego krwiodawców. Jego królików doświadczalnych. Cenił swoje kobiety, jak cenił się ulubione pióro, którego stale się używa, jak ulubiony fotel, w którym siadał się wieczorami z książką albo przed telewizorem, jak ulubiony kubek, z którego kawa wydaje się smaczniejsza. Ale nie dlatego, że się do nich przyzwyczajał. Dlatego że były mu potrzebne, niezbędne. Musiały rodzić mu dzieci, a ponieważ nikt oprócz nich nie mógł tego zrobić, musiał je cenić. A nawet w pewnym sensie kochać. Na swój sposób, oczywiście, na miarę swoich możliwości i wyobrażeń.

Cicha, uległa Zoja już się ubrała i siedziała w milczeniu na brzegu kanapy, cierpliwie czekając na jego dyspozycje. Ma zbierać się do wyjścia? Zaparzyć kawę? Poszukać czegoś do jedzenia i przygotować lekką kolację?

Co pan rozkaże? Nie, to postanowione, jeżeli miałby się kiedyś ożenić, to tylko z nią. Przynajmniej nie zatruje mu życia, nie będzie przeszkadzać, zmuszać do głupich rozmów, wykazywać się niepotrzebną inicjatywą. Tak, Zoja to nie Wieroczką.

- Idź się umyć - powiedział łagodnie. - Tusz ci się rozmazał pod oczami.

Zoja posłusznie wstała i poszła do łazienki. Dobiegł go szum lejącej się wody, później Zoja znowu pojawiła się w pokoju. Twarz miała dokładnie umytą, ale z jakiegoś powodu malowało się na niej zakłopotanie.

- Waleriju Wasiljewiczu, niech pan mi wybaczy, proszę...

- Co się stało, Zojeńko?

- Pewnie jestem głupia i mam marny gust. Chyba nie spodobała się panu woda kolońska, którą panu podarowałam?

- Skąd to przypuszczenie? To wspaniały prezent, jestem ci bardzo wdzięczny.

- A dlaczego nie zabrał jej pan do domu? Zauważyłam, że buteleczka stoi w łazience, w szafce. Oddał ją pan przyjacielowi?

Walerij Wasiljewicz drgnął. Kretyn z niego! Powinien był zerwać z pudełka tę idiotyczną nalepkę, którą Zoja przykleiła, pisząc na niej noworoczne życzenia. Bez nalepki byłoby to zwyczajne pudełko ze zwyczajną wodą kolońską w środku. Można taką kupić w każdym sklepie i kto później udowodni, że to ta sama, podarowana przez nią, a nie po prostu identyczna. I po co ona otwierała tę szafkę! Czego tam szukała?

- Zoju, tyle razy ci mówiłem, żebyś przestała zwracać się do mnie tak oficjalnie! - odparł z rozdrażnieniem, podejmując rozpaczliwą próbę uratowania sytuacji i skierowania rozmowy na inne tory. - Jestem ojcem twojego dziecka, a ty mówisz do mnie per „pan”, jak dziewczynka.

- Przepraszam - szepnęła - nie sądziłam, że to pana drażni.

- Owszem, drażni. I nie zapominaj, moja droga, że mimo wszystko jestem człowiekiem żonatym. Jak mogłem zabrać twój prezent do domu, zastanów się. Gdybym to zrobił, musiałbym zerwać z pudełka nalepkę, na której umieściłaś cudowne i ciepłe słowa. A przecież one są dla mnie najważniejsze. Tak, zostawiłem prezent tutaj, bo mogę go przynajmniej czasem wziąć do rąk i ponownie przeczytać to, co napisałaś. Rozumiesz?

- Przepraszam - powtórzyła znowu Zoja. - Nie pomyślałam.

- No dobrze, zostawmy to. - Odetchnął z ulgą. - I nie waż się więcej urządzać mi scen. Chodźmy do kuchni, zaparzysz kawę.

Manewr się udał, Zoja nie wspominała więcej o prezencie.

- A kiedy wróci pański przyjaciel? - zapytała, nalewając do filiżanek mocny, parujący napar.

- Jeszcze nie wiadomo. Wyjechał na trzy lata, ale wiesz przecież, jakie teraz są czasy. Wszystko wyjaśni się po

wyborach. Jeżeli władza się zmieni, całkiem możliwe, że będzie musiał wrócić. Nowy prezydent sformuje nowy rząd, a to pociągnie za sobą zmiany w korpusie dyplomatycznym. Tak więc...

Rozłożył ręce, całym swoim wyglądem pokazując, że nie może stwierdzić z całą pewnością, jak długo będzie dysponował tym mieszkaniem.

- Ale to nie powinno cię martwić. Kiedy urodzi się dziecko, i tak utkniesz w domu, więc będziemy musieli zrezygnować z naszych spotkań. Będziemy się oczywiście widywali, i to bardzo często, ale już – uśmiechnął się chytrze - nie w tak intymnych okolicznościach. A przy okazji, jak się czują twoi rodzice?

- Źle. - Zoja westchnęła. - Ciągle chorują. Są już starzy, jestem ich późnym dzieckiem. Macierzyństwo koło czterdziestki to chyba nasza rodzinna tradycja. Mama urodziła mnie, gdy miała czterdzieści dwa lata. A tata jest starszy od niej. Nalać panu jeszcze kawy?

- Nalej.

Podsunał jej filiżankę, z przyjemnością patrząc na wypielęgnowane dłonie Zoi, która nigdy nie zapominała o starannym manikiurze. To po prostu zadziwiające, skąd w niej tyle strachu i pokory? Przecież to ładna kobieta, zadbana, gust też ma doskonały, nie to co Wiera. Wiera wpadła na pomysł, żeby malować paznokcie nie tylko na zielono, ale nawet na czarno, a biżuterii nosiła tyle, że aż w oczach ćmiło. Jak noworoczna choinka. Jest co prawda oryginalna i atrakcyjna, we wszystkim jej do twarzy, ale jej wygląd jest jednak w złym tonie. Zoja nigdy by sobie na coś takiego nie pozwoliła. Lakier na paznokciach w ciemnocelistym matowym kolorze, żadnego perłowego odcienia, nic jaskrawego. Z biżuterii tylko elegancki złoty łańcuszek na szyi, nawet bez zawieszki. Dziwne, jak jej się udało w wieku trzydziestu sześciu lat pozostać starą panną. Gdzie ci faceci mają oczy? A może jej zahukanie i nieśmiałość wszystko przysłaniają, nawet jej powierzchowność? On zresztą jest taki sam. Początkowo traktował Zoję jak nieszczęśliwą, nieładną, samotną kobietę, która zrezygnowała z marzeń o udanym życiu osobistym, dopiero po pewnym czasie zauważył,

że nie było w niej niczego brzydkiego. Nie jest oczywiście supermodelką, ale ma klasę.

Ciekawe, jakie dziecko im się urodzi? Chyba będzie najlepsze. Ponieważ udoskonalił metodę do perfekcji.

Intelekt, pamięć, wytrzymałość fizyczna - wszystko będzie w dziecku najwyższej jakości. Pierwsze doświadczenia nie były do końca udane, dzieci rodziły się chore, ze słabym sercem, z silnym uczuleniem na wiele alergenów. To przez niewłaściwy skład krwi. Kombinacja cech również pozostawiała wiele do życzenia. Pierwsze dziecko, Ira, posiadało jedną cechę, Natasza drugą, Olga trzecią... Nie potrafił ich połączyć. Teraz powinno się powieść, jest tego pewien. Dobrze by było, gdyby urodził się chłopiec.

- Kogo byś wolała, chłopca czy dziewczynkę? - zapytał Zoję.

- Chłopca. - Zoja uśmiechnęła się nieśmiało. - Na pana cześć. Jeżeli będzie chłopiec, dam mu na imię Walerik.

- A jeżeli dziewczynka?

- Dziewczynka będzie się nazywała... Nie, nie wiem. Nie wybrałam jeszcze imienia dla dziewczynki. Pewnie Waleria, żeby przypominało pańskie imię.

- Dziękuję - rzekł z uśmiechem. - No dobrze, moja kochana, zbierajmy się, pora wracać do domu.

Zaczekał, aż Zoja umyje filiżanki oraz tygielek i schowa naczynia na miejsce, po czym wyszedł razem z nią i odprowadził do metra. Oboje jechali w innych kierunkach.

Nastia niespodziewanie złapała gdzieś grypę, co wprawilo ją w niemałe zdziwienie. Mimo słabych naczyń krwionośnych i wiecznych problemów z bolącymi plecami była zdumiewająco odporna na różne infekcje wirusowe. Gdy cały kraj kładł się jak jeden mąż do łóżka podczas kolejnej epidemii, ona spokojnie chodziła do pracy i nawet nie stosowała żadnych środków profilaktycznych. Zauważyła, że wirus, który potrafi zwalić ją z nóg, pojawia się raz na osiem lat i jest niezwykle przebiegły. Pozostałe odmiany infekcji jej nie atakują.

Obecna grypa dotknęła ją akurat po ośmiu latach od ostatniej.

Właśnie osiem lat temu Nastia leżała plackiem z niemal czterdziestostopniową gorączką i paskudnym łamaniem w nogach.

Dlatego na spotkanie z Taszkowem Jura Korotkow pojechał sam. Nastię dręczyła myśl, że nie będzie mogła porozmawiać z funkcjonariuszem FSB i usłyszeć wszystkiego na własne uszy, ale wiedziała, że nie może wyjść z domu.

- Wpadnij do mnie przynajmniej w drodze powrotnej - poprosiła Korotkova. - Opowiesz, jak było.

- Dobra, przyjadę - obiecał Jura.

Po tym, jak Ira Tieriochina znowu do niego zadzwoniła i podała nazwisko mężczyzny, który przyszedł do niej porozmawiać o Olegu, pułkownik Gordiejew został powiadomiony o nieprzyjemnym fakcie: siostrę porwanej Nataszy Tieriochinej z jakiegoś powodu objęto rozpracowaniem operacyjnym prowadzonym przez FSB, co stwarza pewne trudności zarówno dla milicjantów, jak i dla pracowników kontrwywiadu. Ira nie może nie kontaktować się z milicją z uwagi na zaistniałą sytuację, ponieważ zaginęła jej siostra i należy jej szukać, tyle że kontakty z milicjantami zagrażają robocie Taszkowa, ponieważ mogą zaniepokoić lokatorów Tieriochinej i unicestwić starannie przygotowywaną operację. Później Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, jak zwykle w takich sytuacjach, podporządkował się dyscyplinie służbowej. Odbyły się spotkania szefów obu resortów, później przełożonych niższego szczebla, następnie jeszcze niższego, aż w końcu sprawa oparła się o konkretnych wykonawców. Ze strony FSB major Aleksander Nikołajewicz Taszkow. Ze strony MWD major Jurij Wiktorowicz Korotkow. Zaproponowano, żeby się spotkali i opracowali plan działań, jeżeli nie wspólnych, to przynajmniej takich, które by ze sobą nie kolidowały.

Korotkow jechał na spotkanie z kolegami z bratniego resortu, a Nastia snuła się bez celu po mieszkaniu, walcząc z trudnym do opanowania pragnieniem, żeby się położyć.

- Czemu się tak kręcisz? - zapytał ją zdziwiony mąż. - Lepiej się połóż.

Sam dawno już uporał się z zapaleniem oskrzeli i teraz tylko

od czasu do czasu pokasływał. Chorobie oddawał się z przyjemnością i wyrefinowaniem, prawie nie wstając z kanapy i co pewien czas smacznie zasypiając. Pozwalał sobie nawet na drobne kaprysy, ale raczej dla porządku niż dla wygody. W końcu choremu wszystko wolno. Byle z umiarem. Teraz, gdy zachorowała Nastia, szczerze pragnął, żeby żona przynajmniej trochę odpoczęła, wyspała się i poleżała w łóżku. A jednocześnie odżywiała się normalnie, jak przyzwoici ludzie, trzy razy dziennie. Pobiegł więc rano na bazar po owoce, żywiąc słabą nadzieję, że choroba Nastii pozwoli mu wepchnąć w nią jakieś witaminy. Zdecydowana niechęć żony do tego, żeby się położyć i uspokoić, wprawiała Aleksieja w zdumienie graniczące z oburzeniem.

- Weź lekarstwo i się połóż - zażądał.

- Nie chcę. - Nastia z uporem pokręciła głową. - Jeżeli się położę, zasnę. A nie mogę.

- Dlaczego nie możesz?

- Muszę pomyśleć.

- Myśli zaczekają, nigdzie nie uciekną. Wyśpij się, później będziesz myśleć. Wypoczęta głowa lepiej pracuje.

- Nie. Nie chcę. Lepiej posiedzę z tobą w kuchni.

- Bardzo mi się tu przydasz - burknął Aleksiej. - Może liczysz na to, że ja będę smażył kotlety, a ty będziesz je podkradać z patelni, gdy się odwrócę? Zapomnij o tym. Zajmę się czytaniem kolejnego genialnego dzieła mojego kolejnego doktoranta.

- A kotlety? - ze smutkiem zapytała Nastia.

Kotlety cielęce były jednym z pokazowych dań Loszy. Z okazji pobytu ukochanej małżonki w dzień powszedni w domu postanowił sprawić jej przyjemność. Nastia na własne oczy widziała, jak wyjmował z torby cielęcinę, gdy wrócił z bazaru.

- Na kolację. Zdaje się, że zaprosiłaś Korotkowa? No to razem sobie zjemy.

- Jesteś okropny. - Nastia westchnęła, ciężko opadając na taboret. Pod wpływem gorączki kręciło jej się w głowie i czuła okropną słabość w całym ciele, nie mówiąc już o bolących nogach. - Moi przyjaciele są dla ciebie ważniejsi ode mnie. Umrę z głodu i wtedy zobaczysz, co to znaczy nie dawać mi

jeść.

- Litości! - oburzył się Losza. - Przed tobą stoi cała miska brzoskwiń i moreli, w lodówce są czereśnie, jedz, ile dusza zapagnie. A w ogóle, kochanie, lepiej byś się położyła, rozsiewasz tylko bakterie w kuchni. No dalej, zabieraj się stąd, nie odrywaj mnie od pracy. Chłopak ma obronę za dwa dni, muszę doprowadzić do ładu jego wprowadzenie.

Nastia powlokła się przygnębiona do pokoju. Loszka ma rację, warto by się położyć. Wiedziała jednak z doświadczenia, że jeżeli to zrobi, za bardzo się odpręży, zaśnie i już nie będzie mogła, jak zwykle mówiła, zebrać myśli do kupy. Ukradkiem się rozglądając, wślizgnęła się do łazienki, wyjęła z kieszeni opakowanie amerykańskich tabletek na obniżenie gorączki, rozpuściła jedną w wodzie, którą naląła do kubka do zębów, po czym wypila duszkiem. Loszka ją zabije, gdy się dowie, że znowu bierze tabletki. Powinno się je zażywać nie więcej niż dwa razy dziennie, rano i wieczorem, inaczej możliwe są powikłania. Zgodnie z koncepcją twórcy tego cudownie działającego leku gorączka powinna obniżać się na osiem do dziesięciu godzin. Ale czy to Nasti wina, że na nią działa znacznie słabiej. Gorączka rzeczywiście spadała, w dodatku praktycznie od razu i bardzo wyraźnie, przez następne trzy godziny Nastia czuła się wręcz znakomicie, a później znowu zaczynały się dreszcze, łamanie w nogach, a termometr pokazywał coś niewyobrażalnego i zupełnie nieprzyzwoitego.

Nastia znowu zajrzała do kuchni. Mąż siedział przy stole, pochylony nad zadrukowanymi kartkami i poprawiał tekst czarnym długopisem. Na jego twarzy malował się wyraz niezadowolenia i wstrętu.

- Loszyk - szeptem zawołała Nastia - mogę sobie zrobić kawę? Po cichutku, nie będę ci przeszkadzać.

Czistiakow podniósł głowę i uśmiechnął się kpiąco. Jego twarz znowu przybrała wyraz pobłażliwości, a zarazem troskliwej czułości, który Nastia знаła od dwudziestu lat.

- Nie powinnaś, ale i tak zrobisz po swojemu. Asiu, jak możesz pić kawę z gorączką trzydziestu dziewięciu stopni? Zlituj się nad swoim sercem, jeżeli mojego ci nie żal. Niby jesteś mądrą

kobietą, a tak naprawdę w ogóle nie zastanawiasz się nad tym, co robisz.

- Zastanawiam się - odezwała się urażona Nastia. - Proszę cię, Losza, zrobię sobie słabiutką, przysięgam. Nie bocz się.

- A rób sobie, co chcesz - odparł Aleksiej z gniewem. - Nie ma sensu z tobą rozmawiać. Jeżeli sądzisz, że nie zauważyłem, jak przed chwilą zniknęłaś w łazience, to grubo się mylisz. Oddaj mi tabletki, sam będę ci je wydzielał, zgodnie z zaleceniami.

Nastia posłusznie wyjęła z kieszeni szlafroka opakowanie tabletek i podała mężowi.

- Czemu jesteś taki poirytowany, Losza? Stało się coś? W życiu nie uwierzę, że z mojego powodu jesteś taki zły.

- A niech to, Aśka, aż brak mi słów, krew się we mnie burzy! Że też można było napisać takie bzdury. Właściwie trzeba by usiąść i zacząć wszystko od nowa. Na dobrą sprawę powinienem się z nim spotkać, wytknąć mu każdą głupotę, którą tu głosi, i zmusić, żeby wszystko poprawił. Raz, drugi, trzeci, aż wyjdzie to, co trzeba. Tylko w ten sposób można doktorantów czegoś nauczyć. Ale do obrony pozostały dwa dni, nie ma mowy o przeróbkach. Pozostaje tylko samemu ułożyć wprowadzenie. A najważniejsze, to po prostu nie mieści się w głowie, on przecież napisał wcześniej auto-referat, a ja mu go poprawiłem. Każde słowo jest tam sprawdzone, każdy wzór umieszczony na właściwym miejscu. Nie mógł po prostu przerobić autoreferatu na dziesięciominutowe wystąpienie? Skąd wzięły się te brednie?

- Loszeńka, słoneczko, przestań się denerwować, słyszysz? Jeżeli zostały rzeczywiście tylko dwa dni, to nie masz innego wyjścia, jak tylko usiąść i napisać ten tekst. No to go napisz. Później policzysz się z doktorantem, już po obronie. Zachowujesz się jak dziecko, doprawdy! Nie wiesz, jak robi się takie rzeczy?

- Nie wiem - odparł Aleksiej z irytacją. - I nie chcę wiedzieć.

- A powinieneś. - Nastia roześmiała się.

Tabletka już zaczęła działać. Nastia z każdą sekundą czuła się coraz lepiej, nawet zrobiło jej się gorąco, jak zwykle bywa, gdy gorączka gwałtownie spada.

Wykorzystując nieuwagę Loszy, pochłoniętego swoją gniewną tyradą, Nastia włączyła stojący na stole czajnik elektryczny i nasypała do kubka kawy rozpuszczalnej.

- Skoro regularnie pełnisz opiekę naukową nad doktorantami, powinieneś wiedzieć, skąd biorą się ich prymitywne teksty. Kiedy on przywiózł ci materiały?

- W poniedziałek, siedemnastego.

- A kiedy powinien był?

- Prosiłem, żeby przed dziesiątym, ale nie zdążył, bo był zajęty.

- Czym?

- Skąd mam wiedzieć, Asiu? Tyle jest rzeczy, którymi człowiek może być zajęty. W zasadzie nie miałbym nic przeciwko siedemnastemu, gdyby to był normalny tekst, a nie pseudonaukowy bełkot.

- Losza, czy twój doktorant ma żonę?

- Nie pamiętam. Chyba ma. - Aleksiej wzruszył ramionami. - Myślisz, że spędzali miesiąc miodowy, więc stracił głowę z zachwytu i resztki rozumu w łóżku?

- No co ty, daleka jestem od takich romantycznych sugestii.

Woda się zagotowała i czajnik automatycznie się wyłączył. Nastia zalała kawę, starannie zamieszała cukier łyżeczką.

- Założę się, że jeżeli ma żonę, to taką, która zna się na matematyce, chociaż studiowała ją dawno temu i kiepsko pamięta. A twój doktorant, zamiast działać na rzecz nauki, zajął się agitacją polityczną.

- Skąd te wnioski?

- Z wyborów, słoneczko. Twój doktorant zajmował się przedwyborczą agitacją dla swojego kandydata, zasiadał w sztabie, miał mnóstwo zajęć, nie wiem, czy robił to za pieniądze, czy z pobudek ideologicznych. W każdym razie do siedemnastego rano nie miał wolnej chwili, żeby usiąść, zastanowić się i napisać wprowadzenie na obronę. Zwlekał, zwlekał, a później, gdy pojął, że czas nagli, dał żonie pracę i autoreferat i poprosił, żeby napisała tekst. Więc napisała, ze swojego punktu widzenia. A nawet pewnie przepisała na maszynie. Założę się, że to nie on sam przywiózł ci te kartki, ale przysłał przez okazję. Zgadza się?

- Jak się domyśliłaś? - Aleksiej nie krył zdumienia.

- Facet nawet nie miał czasu zobaczyć, co żona spłodziła. Był pewien, że jeżeli ma pod ręką znakomity autoreferat, to niczego nie będzie już w stanie zepsuć. Chyba rozumiesz, że w nocy z szesnastego na siedemnastego nie zmrużył oka, a gdy ogłoszono przybliżone wyniki, padł na łóżko i zasnął. Ot i cała historia. Chcesz, to sprawdzaj.

- Wizjonerka z ciebie - burknął Aleksiej. - Logiki nie można ci jednak odmówić. Sprawdzę z czystej ciekawości.

Sięgnął po telefon, ale Nastia zręcznie wyjęła mu z rąk słuchawkę.

- O nie, kochany, tak się nie wymigasz. Zakładaliśmy się?

- Ja osobiście nie. Po co miałbym się zakładać z taką głuptaską?

- No i nie trzeba. Ale ja się z tobą zakładałam. A wygrana? Co dostanę, jeżeli mam rację?

- Chyba tylko pstryczka w nos. No a co byś chciała?

- Kotleta. I nie na kolację, tylko zaraz.

- Zlituj się, Asieńko. - Mąż spojrzał na nią błagalnie. - A kto napisze tekst?

- No dobrze, rezygnuję z kotleta. Wytrzymam. No więc jeżeli wygrałam, dasz mi dodatkową tabletkę.

- Teraz już przesadziłaś, moja interesowna żono. Wyobraźni starcza ci tylko na jedzenie i narkotyki? Najeść się, naćpać i zapomnieć o całym świecie? - odparował Losza. - Zróbmy tak. Jeżeli nie masz racji, wylewasz kawę do zlewu i idziesz do łóżka. A jeżeli masz rację, pozwolę ci dopić kawę i nie będę żądał, żebyś leżała pod kołdrą. Znaj moje dobre serce.

- Aha, znalazł się łaskawca. - Nastia westchnęła. - No to dzwoń. I tak nie wytarguję u ciebie niczego sensownego.

Kilka minut później, skończywszy rozmowę ze znajomym z instytutu, Aleksiej Czistiakow spojrzał z aprobatą na żonę siedzącą naprzeciwko niego przy stole.

- Brawo, kochanie, główka pracuje ci nawet wtedy, gdy masz wysoką gorączkę. Daleko zajdziesz. Uważaj tylko, żebyś nie zabłądziła.

Nastia dopiła kawę, umyła kubek i powlokła się do pokoju. Jej

myśli znowu zaprzątnęły niewyjaśnione zabójstwa i porwana dziewczyna. Po co zabrano ją ze szpitala? Jeżeli wzięcie zakładnika jest środkiem do osiągnięcia jakiegoś celu, to porywacze powinni byli już się skontaktować. Zażądać na przykład pieniędzy albo zrobienia czegoś konkretnego. Faktem jest, że w Rosji wszystko odbywa się na wariackich papierach. W innych krajach, gdy dochodzi na przykład do aktu terroru, od razu jakieś ugrupowanie terrorystyczne o charakterze politycznym bierze na siebie odpowiedzialność. Zrobiliśmy to, mówią, z takiego i takiego powodu, i żądamy od władz tego i tego, w przeciwnym razie, jeżeli nasze żądania nie zostaną spełnione, zabijemy zakładników i wysadzimy metro. Do eksplozji w metrze doszło, ale nikt jakoś nie zadeklarował, że jest za to odpowiedzialny. Po co w takim razie dokonano zamachu, okaleczono pasażerów? Z czystego, złośliwego chuligaństwa? I dlaczego porwano Nataszę Tieriochinę? W dodatku zadbawszy o to, żeby nikt nie zginął na jej oczach, chociaż okoliczności temu sprzyjały. A więc Natasza nie jest zakładniczką, na razie nikt niczego nie żąda i nie grozi jej śmiercią. To już nieźle. Porywaczom potrzebna jest żywa Natasza, inaczej zabiliby ją w zaroślach, tam gdzie załatwili Miszanię. To również rodzi pewną nadzieję. Ale jaki z tego wniosek? Powinno znaleźć się przecież jakieś wyjaśnienie. Cztery zabójstwa, co prawda Romanowska pozostaje pod znakiem zapytania, no ale trzy zabójstwa to też, nawiasem mówiąc, nie są żarty, w dodatku zginęły osoby, które mogły rozpoznać mężczyznę odwiedzającego Nataszę w szpitalu. A później zniknięcie Nataszy, i to zorganizowane po mistrzowsku! Choć uprowadzenie bezbronnej niepełnosprawnej dziewczyny wołało o pomstę do nieba, Nastia nie mogła nie docenić genialnej prostoty, z którą dokonano porwania.

Korotkow zjawił się w porze kolacji, gdy zapach podsmażonych zgodnie z recepturą profesora Czistiakowa kotletów cielejących rozchodził się po malutkiej kawalerce Nasti, doprowadzając niemal do szaleństwa chorą na grypę, głodną właścicielkę.

- Mogłabyś, koleżanko, chorować częściej - entuzjastycznie

oznajmił Jura jeszcze w drzwiach. - Wtedy Czistiakow codziennie gotowały dla ciebie coś smacznego, a ja wpadałbym każdego dnia niby w sprawach służbowych.

- Marzenie ściętej głowy - mruknął Aleksiej, ściskając mu dłoń. - Twoja zwariowana koleżanka nawet trzy dni nie może poleżeć, szkoda jej czasu.

- To prawda - przyznał wywiadowca. - Koleżankę mam naprawdę zwariowaną, za to ty, profesorze, masz mądrą żonę. Więc właściwie trudno powiedzieć, który z nas dwóch ma gorzej.

Z pokoju wysunęła się Nastia. Z okazji wizyty Korotkowa zmieniła puszysty szlafrok na dzinsy i koszulę w drobną, czerwono-brązową kratkę. Cmoknęła Korotkowa w policzek i powiedziała z wyrzutem:

- Faceci zrobili się teraz gorsi od bab, słowo daję. Wystarczy, że nieszczęsna Nastienka zachoruje i straci czujność, a oni już zaczynają obgadywać ją za plecami. Dżentelmeni!

Kolacja była smaczna, jak zresztą zawsze, gdy w kuchni królował Aleksiej. Nie siedzieli długo, bo Losza musiał napisać wystąpienie dla swojego doktoranta, a Nastia pilnie chciała porozmawiać z Korotkowem.

- No więc tak, kochana - zaczął Jura, gdy wyszli do pokoju, zostawiając Czistiakowa samego w kuchni. - Będziemy pracować z bardzo przyzwoitym facetem, nazywa się Aleksander Taszkow. Sprawa polega na tym, że oni rozpracowują grupę specjalizującą się w pośrednictwie dla różnych muzułmańskich ugrupowań, głównie terrorystycznych. Grupa składa się praktycznie wyłącznie z muzułmanów, ale są wyjątki. Jednym z nich jest szef grupy, według ich informacji to jakiś Rosjanin. Mieszkanie Tieriochinej stanowi miejsce, w którym poszczególne członkowie grupy wynajmują kąt do spania i regularnie się spotykają. Takich mieszkań mają w całej Moskwie z dziesięć, ale wykryto na razie tylko trzy, między innymi to, które należy do Iry. Oleg Żesterow wdał się w znajomość z Tieriochiną, prawdopodobnie chodziło mu o nawiązanie kontaktu z jej lokatorami. Ale nie zdążył. Taszkow mówił, że dziewczyna jakoś się trzyma, ale czuje się dotknięta.

Nic dziwnego, też nie byłbym zachwycony, gdybym się dowiedział, że partnerka idzie ze mną do łóżka, bo tego wymaga praca. Podczas rozmowy z Taszkowem Ira powiedziała jedną ciekawą rzecz. Że niby Oleg obiecał zaprowadzić ją do jakiegoś bardzo dobrego lekarza, wizyta była umówiona na poniedziałek. Coś ci to może mówi?

- Mówi, Jura, ale boję się, że uznasz to za majaczenie. Gdy słyszę o lekarzu, od razu dostaję dreszczy.

- Wygląda na to, że trzeba znaleźć tego lekarza, sprawdzić go i uspokoić się, żeby nic nam się nie zwidywało. Jestem pewien, że nie kryje się za tym nic szczególnego... Chociaż jest pewna rzecz. Co prawda z nas dwojga ty masz gorączkę, ja niby nie mam powodu, żeby majaczyć, ale sama zdecyduj. Tieriochiną powiedziała, że początkowo wizyta u lekarza była wyznaczona na piątek, ale w czwartek rano lekarz uprzedził, że musi ją przenieść na poniedziałek, bo coś mu wypadło. A między piątkiem a poniedziałkiem ginie Oleg. I nie ma kto zaprowadzić Iry do tej sławy.

- Chcesz więc powiedzieć, że lekarzowi z jakiegoś powodu bardzo zależało, żeby Żesterow nie przyszedł razem z Iry Tieriochiną?

- Zgadza się, kochana koleżanko, to właśnie miałem na myśli. Dotknij mojego czoła i sprawdź, czy przypadkiem nie zachorowałem. Sprawa Aniskowiec spowodowała u mnie intelektualną deformację, za dużo tu medycyny. Lekarze, inwalidzi, szpitale. Boże, Aśka, a tak dobrze wszystko się zaczynało, co? Przypomnij sobie. Zabójstwo staruchy lichwiarki. Zabójstwo na tle rabunkowym. Zabójstwo z podmianą przedmiotów kolekcjonerskich na falsyfikaty. Jedna hipoteza piękniejsza od drugiej, aż miło pracować. A teraz co mamy? Jakiegoś nieuchwytnego lekarza, koło pięćdziesiątki, o miłym wyglądzie, z ciemnymi, przyprószonymi siwizną włosami, który odwiedza w szpitalu kalekie dzieci oraz ich matkę inwalidkę, a przy okazji zabija personel medyczny. Co ma piernik do wiatraka? Wszystko w tej sprawie rozłazi nam się w rękach.

- Aleś się rozkleił. - Nastia delikatnie potargała go za włosy. -

Może przyjmijmy, że oboje trochę się pogubiliśmy w tej pokręconej sprawie, ale to nie powód, żeby iść na emeryturę. Skoro wśród przywódców naszego kraju trafiają się kompletni idioci, to i my jeszcze popracujemy. Jak się umówiłeś z Taszkowem?

- Spróbuję dowiedzieć się od wdowy po Żesterowie, do jakiego lekarza Oleg zamierzał zaprowadzić Tierio- chinę. Może to jakiś ich wspólny znajomy.

- Jak ci się spodobał ten Taszkow? Można mu ufać?

- Zdecydowanie. Wiem, co cię martwi. Myślisz o dziewczynie, tak?

- Zgadłeś. Żal mi jej, Jurik. Strasznie żal. To dopiero tragedia: najpierw stracić ukochanego, a później dowiedzieć się, że interesował się nią z czysto zawodowego punktu widzenia. Niechby to trafiło na kogo innego, kogoś, kto nie ma problemów w życiu osobistym i w wyborze partnera. Ale ona i tak prowadzi życie pozbawione nadziei, pojawiło się jedno jedyne światełko i masz ci los. Co za poniżenie i rozczarowanie. Tylko że ja, Jura, dobrze znam życie. Jeżeli pracownikom FSB potrzebne jest mieszkanie Tieriochonej i jej lokatorzy, nie cofną się przed niczym. Nawet przed tym, żeby powtórzyć operację, której Żesterow nie doprowadził do końca. Pytam więc: jesteś pewien, że Taszkow nie zdecyduje się na ten banalny, ale skuteczny, niestety, sposób? Jesteś pewien, że nie skrzywdzi dziewczyny?

- Niczego nie jestem pewien. Ale jemu też jest żal Iry. To nie ulega wątpliwości. Nie sprawia również wrażenia osoby bezdusznej i zimnej. Wydaje mi się, że to normalny facet. Zresztą pożyjemy, zobaczymy.

Przegadali jeszcze prawie godzinę, po czym Korotkow się pożegnał. Czas działania cudownej tabletki minął. Nastę znowu chwyciły dreszcze, głowa zaczęła ciążyć, jakby była z ołowiu, jaskrawe światło raziło w oczy. Weszła cicho do kuchni i żałośnie wyjęczała:

- Losza, daj mi tabletkę tej zachodniej trucizny, dobrze?

Taszków spotykał się z Wierą Żesterową prawie codziennie po śmierci jej męża, najpierw jako funkcjonariusz operacyjny, zadając pytania, później pomagał organizować pogrzeb i stypę. Nie mógł się nadziwić, jak dzielnie trzymała się ta rozpieszczona, kapryśna, a bywało, że i histeryczna młoda kobieta. Nie mdlała, nie przerywała w połowie zdania, zalewając się łzami, nie rzucała się w rozpacz na wieko trumny ze szczątkami Olega. Później Taszkowowi przyszło do głowy, że Wiera Żesterowa pewnie przez cały czas myśli o przyszłym dziecku i dzięki temu może się w pewnym stopniu zdystansować od niespodziewanego nieszczęścia, które nagle się na nią zważyło.

Po spotkaniu z Korotkowem Aleksander znowu udał się do wdowy po swoim koledze. Wiera była spokojna, jakby od dnia śmierci minęło kilka miesięcy, a nie dni.

- Cześć, Sasza. - Uśmiechnęła się blade. - Wejdz. Dobrze, że wpadłeś.

W mieszkaniu było pusto i w pierwszej chwili Taszkow poczuł się nieswojo. Przed śmiercią Olega był tutaj trzy czy cztery razy, kiedy zbierało się duże towarzystwo z okazji urodzin Olega, a także kiedy świętował awans na starszego lejtnanta. Ostatnio, gdy Taszkow tu zaglądał, stale ktoś kręcił się po mieszkaniu - krewni, przyjaciele, nawet sąsiedzi, którzy znali Olega i uważali za swój obowiązek towarzyszyć wdowie w trudnych chwilach. A teraz mieszkanie opustoszało. I to najbardziej wymownie świadczyło o tym, że wydarzyło się nieszczęście i nigdy więcej nie będzie tak jak przedtem.

- Masz do mnie sprawę czy przyszedłeś tak po prostu, zapytać, co słyhać?

Z jakiegoś powodu Taszkow nie miał ochoty kłamać. Nie był najbliższym przyjacielem Olega Żesterowa i jego żony, utrzymywali luźną koleżeńską znajomość, więc nie musiał się martwić o Wierę. Miała wielu innych znajomych, którzy mogli ją odwiedzić i udzielić potrzebnej pomocy.

-I jedno, i drugie...

W tym momencie zauważył, że Wiera chyba spodziewa się czyjejś wizyty. Szykowny kostium ukrywający zaokrągloną

figurę, jaskrawy makijaż, na nogach pantofle na obcasach. I zapach perfum. To był najbardziej charakterystyczny szczegół. Są kobiety, które w domu się nie zaniedbują i starają się wyglądać elegancko, nawet jeżeli nikt ich nie widzi. Taszkow nigdy jednak nie spotkał kobiet, które używają perfum, gdy wiedzą, że nie będzie miał kto wdychać ich zapachu.

- Czekasz na kogoś? - zapytał domyślnie.

- Nie, ale niebawem będę musiała wyjść.

- Nie zajmę ci dużo czasu. Mam tylko parę pytań.

- Chodzi o Olega?

- Tak. Próbuję ustalić, z kim się kontaktował w ostatnich dniach przed śmiercią. I odkryłem pewien szczegół. Okazuje się, że umawiał się z jakimś lekarzem na konsultację dla swojej znajomej. Nie orientujesz się czasem, co to za znajoma?

- Siostra kogoś od was - odparła Wiera ze zdziwieniem. - Czyżbyś nie wiedział?

- Masz na myśli siostrę któregoś z pracowników naszego wydziału? - uściślił Taszkow, starając się ukryć zaskoczenie.

Wygląda na to, że Żesterow podał Irę za siostrę jakiegoś kolegi. Pięknie. Zresztą to całkiem zrozumiałe, jeżeli wziąć pod uwagę, że Wiera jest w końcu jego żoną, a nie obcą panią z ulicy.

Nie wiem, czy akurat z waszego wydziału. Oleg tak powiedział.

Ale ona może być siostrą kogokolwiek. W naszej organizacji pracują tysiące osób. A ja muszę wiedzieć na pewno. Czy Oleg nie mówił, na co ona choruje?

Nie. Po prostu...

Wiera zająknęła się i wbiła wzrok w okno. Aleksander odniósł wrażenie, że ze wszystkich sił stara się nie popłakać, i poczuł się niezręcznie. Delikatnie odczekał i liwilę, po czym ostrożnie zapytał:

- Co chciałaś powiedzieć?

Kiedy? - Odwróciła się i obojętnie spojrzała mu prosto w oczy.

- Gdy zaczęliśmy mówić o siostrze naszego pracownika. Zaczęłaś, ale nie dokończyłaś.

- Naprawdę?

-Wieroczko, przypomnij sobie, proszę, co mówił ci Oleg na ten

temat. Liczy się każdy szczegół.

- Nic takiego nie mówił.

- A o jakiego lekarza chodziło?

- Skąd mam wiedzieć?

- Wiero, stawiasz się w niezręcznej sytuacji. Wiem, że mówisz nieprawdę. Nie wypieraj się.

- No dobrze. To lekarz, który się mną opiekuje. Oleg poprosił, żebym umówiła jego znajomą na wizytę.

- Spełniłaś jego prośbę?

- Oczywiście.

- I konsultacja się odbyła?

- Nie. Walerij Wasiljewicz wyznaczył im termin, później musieli przenieść wizytę na inny dzień, ale Oleg nie zdążył.

- Walerij Wasiljewicz ma chyba jakieś nazwisko? - zapytał Taszkow, nie potrafiąc ukryć ironii.

- Ma. Wołochow.

Wiera zaczęła niecierpliwie postukiwać obcasem w dywan na parkiecie i Taszkow pojął, że się denerwuje. Może dlatego, że się spieszy, a on ją zatrzymuje. A może z jakiegoś innego powodu...

- Gdzie mogę znaleźć twojego lekarza?

- W pracy - z niespodziewaną gwałtownością odparła Wiera. - W domu też pewnie możesz go znaleźć, ale niestety nie znam adresu.

- Wiero, czemu ci się nie podoba ta rozmowa? Dlaczego nie powiedziałaś, że chodzi o doktora Wołochowa?

- Nic nie rozumiesz! - krzyknęła wzburzona. - Walerij Wasiljewicz nie jest zwyczajnym lekarzem. Jego pacjenci to największe znakomitości Moskwy. A wy będziecie mu się naprzykrzać ze swoimi kretyńskimi pytaniami i oczywiście okaże się, że to wszystko przeze mnie. Z takim trudem udało mi się go namówić, żeby przyjął tę dziewczynę. Długo nie chciał się zgodzić, jest przecież bardzo zajęty, a ja, głupia, nalegałam, prosiłam. Teraz widzę, że to on miał rację, a nie ja. Gdyby nie ustąpił, nie zawracalibyście mu teraz głowy. Wykreśli mnie z listy swoich pacjentów. Po co mu taka pacjentka, która sprowadza do niego milicję?

- Wieroczko - Taszkow próbował ją uspokoić - pleciesz bzdury. Nikt nie zamierza zawracać głowy twojemu doktorowi. Zabierzemy mu jedynie chwilę. Musimy się tylko dowiedzieć, czy rozmawiał z Olegiem, a jeżeli rozmawiał, to kiedy i o czym. I to wszystko.

Wybuch gniewu minął. Wiera znowu była spokojna, a jej twarz przybrała poprzedni, obojętny wyraz. Taszkow porozmawiał z nią jeszcze chwilę i wyszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Wiera Żesterowa rzuciła się do telefonu.

- To ja - pospiesznie powiedziała do słuchawki.

To ja - usłyszał w słuchawce zdenerwowany głos Wiery. - Wydarzyło się coś strasznego. Oni niedługo do ciebie przyjdą.

-Kto?

- No, ci kagiebowcy i milicjanci.

- Co, wszyscy naraz? - odparł nieporuszony. - Nie za dużo na jednego?

- Wybacz mi - zatrajkotała Wiera. - To moja wina. Pamiętasz, jak cię prosiłam, żebyś przyjął pewną dziewczynę?

- Tak, oczywiście, twój zmarły mąż miał ją przyprowadzić tydzień temu.

- Pytali mnie, kim była ta dziewczyna i do jakiego lekarza Oleg zamierzał ją zabrać. Nie chciałam wspominać im o tobie, przysięgam, ale okazuje się, że Oleg powiedział dziewczynie, że pójdą do lekarza, u którego leczy się jego żona. Nie było sensu się wypierać, musiałam powiedzieć. Teraz przyjdą do ciebie. To okropne! Wszystko przeze mnie! Wybacz mi.

- Daj spokój, Wieroczko. - Mężczyzna uśmiechnął się pobłaźliwie. - Nie panikuj. Ci ludzie wykonują swoją pracę, chcą znaleźć zabójców twojego męża. Niech przychodzą, z przyjemnością odpowiem na ich pytania. Zwłaszcza że nie mam nic szczególnego do powiedzenia. Twojego męża nie widziałem, jego protegowanej również. Nawet nie wiem, kim jest i co jej dolega. Tak więc korzyści ze mnie będzie tyle co kot napłakał. Ale na miłość boską, niech przychodzą. Nie wolno ci się tak denerwować, dziecko. To ci może zaszkodzić. Musisz dbać o siebie.

- Ty... - Odniósł wrażenie, że Wiera załkała. - Naprawdę się nie

gniewasz?

- Boże kochany, no oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym się gniewać? Szkoda tylko, że ci ludzie zmarnują czas. Ale to w końcu ich problem. Nie zapomniałaś, że pojutrze masz przyjść do mnie na badanie?

- No skąd, jak mogłabym zapomnieć. Powtórz jeszcze raz, że się nie gniewasz, i biegnę, bo już i tak jestem spóźniona.

- Nie gniewam się. Nie zwracaj sobie pięknej główki tymi głupstwami, Wieroczko, i myśl tylko o naszym malcu. Całuję cię.

- Ja ciebie też - zagruchała do słuchawki.

Walerij Wasiljewicz powiedział najszczerzą prawdę. Rzeczywiście nie bał się wizyty funkcjonariuszy ani milicji, ani FSB. Niczego nie musi ukrywać. Ze śmiercią męża swojej kochanki nie ma nic wspólnego. Niech przychodzą, niech zadają swoje pytania. Niech spróbują na czymkolwiek go przyłapać. Będzie czuł niemalą satysfakcję, obserwując ich bezowocne wysiłki. Proszę, jest gotów do rozmowy. W każdej chwili.

Rozdział 12

Już trzeci dzień poranek zaczynał się dla Nataszy zupełnie inaczej niż przez sześć lat w szpitalu. Nie było obchodu lekarskiego poprzedzonego niesmacznym, ale dobrze znanym śniadaniem składającym się z wodnistej kaszy i herbaty. Trzeci dzień z rzędu dziewczyna budziła się w przestronnym pokoju przypominającym salę szpitalną i od razu przynoszono jej śniadanie, a później zaczynały się zajęcia. Jedzenie było dobre, ale nowe, nieznanne. Natasza nawet nie zawsze wiedziała, jak nazywa się to, co dostaje.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała z poprzedniego życia, był spacer po parku szpitalnym z Michałem Aleksandrowiczem, nowym lekarzem. Pokazywali drogę do archiwum jakiemuś śmiesznemu grubasowi, bo spieszył się i bał, że zabłądzi. A później od razu zaczęło się TO życie, które podobało się Nataszy o wiele bardziej niż TAMTO. Gdyby nie jedno „ale”. Siostra Ira. Przecież ona odchodzi od zmysłów, zastanawiając się, gdzie się podziała Natasza. Rodzeństwo też pewnie za nią tęskni. A tak poza tym TO życie całkowicie dziewczynie odpowiadało.

Za pierwszym razem ocknęła się w jakimś samochodzie i domyśliła się, że leży na noszach. Siedzący przy niej mężczyzna od razu zauważył, że otworzyła oczy, i powiedział coś miłego i uspokajającego, a następnie zrobił jej zastrzyk, po którym Natasza znowu pogrążyła się we śnie. Za drugim razem odzyskała przytomność w samolocie. Obok niej był ten sam mężczyzna, który znowu wyjął strzykawkę. A później przez cały czas był ten pokój i uprzejmy milczący personel, który się nią zajmował. Z jakiegoś powodu nikt z obsługi z nią nie rozmawiał. Z wyjątkiem dwóch osób: tamtego mężczyzny, który towarzyszył jej w samochodzie i samolocie, oraz Mirona. Jednakże to, co jej mówili, w żaden sposób nie mogło

zadowolić siedemnastoletniej Nataszy Tieriochinej.

- Teraz wszystko jest w twoich rękach, dziewczyno. Pokaż nam, na co cię stać, a obiecuję, że zapewnimy ci rajskie życie w twojej chorobie.

- Co mam wam pokazać? Na co mnie stać? Jestem przecież niepełnosprawna.

- Jesteś cudownym dzieckiem, chociaż mało kto o tym wie. Otoczenie w szpitalu nie było w stanie docenić twoich zdolności. Nie mogę i nie chcę wdawać się w szczegóły, ale im lepiej się zaprezentujesz, tym wygodniejsze będzie twoje dalsze życie. Zapamiętaj to sobie.

- Porwaliście mnie?

- Ma się rozumieć. Ale po co używać brutalnych słów, Nataszeńko? Po prostu wywieźliśmy cię i umieściliśmy w bardziej komfortowych i odpowiednich dla twojej niezwykłej główki warunkach. W jednym się nie mylisz: nikogo o tym nie powiadomiliśmy i nie pytaliśmy o pozwolenie.

- Po co mnie porwaliście? Chcecie wymusić okup?

- Chyba upadłaś na głowę! - Mężczyzna parsknął śmiechem. Natasza Tieriochina już wiedziała, że ma na imię Wasilij. - Jaki okup, co ty? Czego niby mielibyśmy zażądać od twojej siostrzyczki? Starej miotły albo łopaty?

- Ktoś jednak będzie mnie chyba szukał? - Natasza Hnę stropiła.

- To również zależy tylko od ciebie. Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Teraz wszyscy cię oczywiście szukają, ale w każdej chwili mogą zrezygnować z poszukiwań, jeżeli tego zapragniesz. Zresztą mnie osobiście jest wszystko jedno. Niech szukają. I tak nikt cię tutaj nie /najdzie.

- Ale gdzie ja jestem? - zapytała Natasza ledwie słyszalnie. - Dokąd mnie przywieźliście?

- Masz babo placek. - Wasilij westchnął z rezygnacją. - A mówiono mi, że rozsądna z ciebie dziewczyna. Jaki jest sens zadawać pytania, na które i tak nikt nie odpowie? Nie ma sensu - podsumował. - A więc nie pytaj. Zastanów się i zdecyduj, co dla ciebie jest lepsze: żeby cię szukano czy nie. Od razu uprzedzam, że wynik będzie ten sam. Nikt cię nie znajdzie.

Mozna jednak sprawić, żeby twoja siostra się nie denerwowała i nie wyobrażała sobie strasznych rzeczy. Bo przecież martwisz się o nią, prawda?

Natasza w milczeniu skinęła głową. Na razie jeszcze się nie bała, ponieważ nie miała pojęcia, po co, w imię czego i z jakiego powodu ktoś chciałby wyrządzić jej krzywdę. Wasilij przed chwilą stwierdził, że Ira nie ma niczego prócz starej miotły, a więc o żadnym okupie ani o żadnych pieniądzach nie może być mowy, czyli że nikt jej nie zabije, nie obetnie palców ani uszu, żeby posłać siostrze jako ostrzeżenie. Z programów telewizyjnych, rozmów w szpitalu i książek Natasza wiedziała, że czasami dziewczęta są porywane i sprzedawane za granicę do domów publicznych, ale ona się do tego nie nadaje. Zabicie jej w celu zdobycia organów wewnętrznych do transplantacji też nie wchodzi w grę, w jej ciele właściwie nie ma zdrowej tkanki. Rozważywszy w myślach wszystkie możliwe powody, które mogłyby spowodować chęć wyrządzenia jej krzywdy fizycznej albo nawet uśmiercenia, siedemnastoletnia Natasza Tieriochina doszła do wniosku, że nic strasznego jej nie grozi. Po sześciu latach spędzonych w tym samym szpitalu zmiana otoczenia wydawała jej się nawet interesująca. Przynajmniej coś się dzieje w monotonnym życiu zakutej w gorset inwalidki. Jednakże dwie sprawy nadal ją niepokoiły. Siostra Ira. Jak sobie radzi? Pewnie odchodzi od zmysłów. I druga rzecz: co Natasza robi, jeżeli będzie potrzebowała pomocy lekarskiej? W szpitalu wszyscy lekarze i pielęgniarki świetnie wiedzieli, jakie leki można i trzeba jej podać w razie silnego bólu albo ataku serca, a jakie specyfiki są kategorycznie zabronione. A tutaj? Czy ktoś o tym wie? Może się zdarzyć, że na skutek podanych leków Natasza dostanie alergii, zacznie się dusić i po prostu umrze.

Dlatego też pierwsza decyzja, którą podjęła po porwaniu, dotyczyła nieprzyjmowania żadnych leków. Bez względu na wszystko. Zniesie każdy ból. W ciągu ostatnich sześciu lat zrozumiała, że żaden ból, nawet najbardziej dojmujący, nie trwa wiecznie. Każdy ból prędzej czy później ustępuje, trzeba go tylko znieść. Jest co prawda niebezpieczeństwo, że serce

może nie wytrzymać. Mimo to musi wziąć się w garść, ponieważ od tej chwili od tego zależy jej życie.

Już pierwszego dnia mężczyzna o imieniu Wasilij przyprowadził do pokoju Nataszy szczupłą, nieładną, smagłą kobietę.

- To Nadia. Będzie się tobą opiekować. Jest doświadczoną pielęgniarką, więc wszystko będzie w porządku.

Nadia nie spodobała się Nataszy od pierwszego wejrzenia. Tego, które skierowała na siedzącą w łóżku dziewczynę. W jej wzroku było coś takiego, co spowodowało, że Natasza zeszywniała. Jakby pogarda, niechęć, a może coś jeszcze...

Co prawda nie było powodu, żeby skarżyć się na Nadię. Okazała się rzeczywiście doświadczoną pielęgniarką, robiła wszystko szybko i zręcznie, lecz jednocześnie jej mocno zaciśnięte usta i złośliwe ciemne oczy wyrażały taką nieżyczliwość, że Natasza czuła się nieswojo. Próbowwała porozmawiać z Nadią, żeby przychylnie ją do siebie nastawić i może przynajmniej czegoś się dowiedzieć, ale próba skończyła się fiaskiem. Pielęgniarka burknęła coś pod nosem w odpowiedzi, a Natasza prawie niczego nie zrozumiała.

- Szczo za pytania... Zaboronione...

Jak ona dziwnie mówi, pomyślała dziewczyna. Chyba nie po rosyjsku? Gdzie więc mnie przywieziono?

Pod koniec pierwszego dnia Wasilij przedstawił jej młodego mężczyznę, którego wygląd wywarł na Nataszy piorunujące wrażenie. To był on, piękny książę z jej snów. Przystojny, czarnowłosy, ciemnooki, ze starannie przystrzyżonym wąsikiem nad pełnymi wargami. Takiego właśnie mężczyznę chciała kochać przez całe życie, choć wiedziała, że los nie pozwoli jej z nim być.

Jego pojawienie się tak wstrząsnęło Nataszą, że nie usłyszała pierwszych słów Wasilija.

- Poznaj, Nataszeńko, Mirona. Będzie cię uczył matematyki.

- Dzień dobry, Nataszo - powiedział Miron, a jego łagodny, przyjemny głos zabrzmiał jak najwspanialsza muzyka na świecie.

Natasza nawet nie znalazła w sobie siły, żeby odpowiedzieć na

powitanie, w milczeniu skinęła tylko głową, gorączkowo oblizując wargi.

- Teraz nadszedł czas, żeby ci wyjaśnić, co się dzieje - ciągnął tymczasem Wasilij. - Jak już wspomniałem, jesteś cudownym dzieckiem, nieprzeciętnie uzdolnionym matematycznie. Są ludzie, którym bardzo zależy, żeby zatrudnić utalentowanego matematyka. Wkrótce przyjedzie tu jeden z nich i oceni twoje zdolności i możliwości, a jeżeli wyniki prób go zadowolą, twoje życie diametralnie się zmieni. Będziesz żyła w bardzo dobrych warunkach i zarabiała dużo pieniędzy. Będziesz nawet mogła pomagać starszej siostrze. Jest jednak druga strona medalu. Ci ludzie wiedzą, że jesteś bardzo chora, więc chcą mieć pewność, że będziesz mogła długo pracować i przynosić im pożytek. Jakkolwiek nieładnie to zabrzmie, nie chcą płacić dużych pieniędzy za wspaniały umysł, jeżeli ten umysł nie przeżyje nawet trzech miesięcy. Zanim więc przeegzaminują cię z matematyki, zbada cię przysłany przez nich lekarz, który wyda opinię o stanie twojego zdrowia. Przeprowadzi analizy i specjalistyczne badania. Nie powinno cię to niepokoić, po prostu rób, co ci każe. Wszystko rozumiałaś?

- Nie. - Natasza już doszła do siebie po doznanym wstrząsie. Za nic nie chciała przed tym przystojnym chłopcem wyjść na pokorne ciele, któremu wszyscy mogą rozkazywać, wykorzystując jego bezbronność.

- A czego nie rozumiałaś? - z pobłażliwą wyrozumiałością zapytał Wasilij.

- A jeżeli nie chcę? Nie chcę, żeby mnie kupowali jacyś obcy ludzie, nie chcę tutaj mieszkać, nie chcę, żeby mnie badał lekarz. Chcę do domu.

Wasilij ciężko westchnął i usiadł w fotelu stojącym w rogu pokoju.

- Dokąd? Do domu? - zapytał ze znużeniem. - A gdzie on jest, ten twój dom? Masz na myśli ten wstrętny szpital, w którym pościel zmieniają raz w tygodniu, a nie codziennie, w którym karmią cię byle czym, z którego nie wyściubiasz nosa i w którym nic cię nie czeka? Jesteś przecież dorosła, nie możesz nie rozumieć nedorzeczności tego, co mówisz. Wisisz swojej

nieszczęsnej siostrze kamieniem u szyi, ty i reszta rodzeństwa, Olga i Paweł. I jeszcze wasza matka. Myślisz, że Irze jest łatwo wszystkich utrzymać? Zastanawiałaś się kiedyś, jakie życie prowadzi, żeby przywozić wam dwa razy w tygodniu owoce, jedzenie, ubrania i książki? Masz pojęcie, skąd na to bierze pieniądze? A może sądzisz, że dostaje wszystko za darmo? Nic podobnego. Twoja siostra haruje dniem i nocą, wykonując najgorsze i najbrudniejsze prace, jakie można sobie tylko wyobrazić. Więc mówię ci: masz możliwość, żeby jej ulżyć. Nie będzie cię dłużej utrzymywać, co więcej, będziesz mogła dawać jej pieniądze. A co ty mi odpowiadasz? A może chcesz, żeby wszyscy, w tym również twoja siostra, uważali cię za niewdzięcznicę?

Natasza odwróciła wzrok. Rzeczywiście, jakoś jej to wszystko nie przyszło na myśl. Uważała za rzecz naturalną, że Ira przyjeżdża dwa razy w tygodniu z pełnymi torbami i zdobywa każdą książkę i podręcznik, o które Natasza poprosi. Rumieniec wstydu oblał jej twarz. Tak czy inaczej, Wasilij ma rację: jest już dorosła i nie powinna być ciężarem dla biednej Irki. Ma się zachowywać jak mała dziewczynka? Nie, w oczach tego czarnookiego księcia z bajki Natasza Tieriochiną za nic nie chciałaby wyglądać na małą i głupią.

- Zrobię wszystko co trzeba - wybałała cicho, nie podnosząc oczu.

- No to wspaniale. - Wasilij się ożywił. - Wobec tego pójdę już, a Miron zostanie. Dzisiaj będziecie mieli pierwszą lekcję. Aha, kiedy cię... - zająknął się w poszukiwaniu odpowiedniego słowa - zabieraliśmy, trzymałaś w rękach książkę. Nie martw się, nie zginęła. Jutro dostaniesz ją z powrotem.

Coś podobnego, przez te wszystkie przejścia zapomniała o książce! A przecież tak się trzęsła nad tym podręcznikiem Goldmana! Ira zjeżdżała całą Moskwę, ale go nie znalazła, bo podręcznik został wydany bardzo dawno temu, teraz nie ma go nawet w antykwariatach. Bezcenną książkę przyniosła jej tamta kobieta z milicji, która zjawiała się na oddziale, gdy zabito pielęgniarkę Alę. Od tamtej chwili Natasza nie rozstawiała się z podręcznikiem, zabierała go ze sobą nawet na spacer.

Otwierała na dowolnej stronie i rozwiązywała w myślach zadania. A zadania Goldmana były wspaniałe! Naprawdę znakomite. W żadnym innym podręczniku takich się nie znajdzie. Niezbyt długie, zwarte, eleganckie. Natasza ceniła je ze względu na jakość, bo łatwo je zapamiętywała i rozwiązywała bez pomocy długopisu i kartki.

Drzwi za Wasilijem się zamknęły, a Natasza poczuła nagle z niezwykłą ostrością, że została sam na sam z księciem ze swoich marzeń. Nie wiedziała, co powiedzieć i w ogóle jak się zachować w tej sytuacji. Czy powinna sama zacząć rozmowę, czy poczekać, aż on się odezwie?

- Jak się czujesz? - niespodziewanie zapytał Miron.

- Dobrze, dziękuję - odparła uprzejmie.

- Możemy zacząć zajęcia czy odłożymy je do jutra?

- Nie, nie - pospiesznie powiedziała Natasza, bojąc się, że księżę zaraz zniknie i nigdy więcej się nie pojawi. - Wszystko w porządku. A co będziemy robili?

- Najpierw muszę ocenić poziom twojej wiedzy. Może wcale nie jesteś cudownym dzieckiem, ale najwykleszą dziewczyną.

W tym momencie Nataszę ogarnął prawdziwy strach. No właśnie, na jakiej podstawie sądzą, że ona ma jakieś nadzwyczajne zdolności? Owszem, lubiła matematykę od wczesnego dzieciństwa i mama nalegała, żeby oprócz obowiązkowych zajęć w szkole pobierała również prywatne lekcje. W szkole miała oczywiście same piątki, ale to nie dowód, bo uczyła się tylko do piątej klasy. Później znalazła się w szpitalu. Piątki w piątej klasie to żaden wyczyn, bo to jeszcze nie matematyka, tylko doskonała zabawa. W szpitalu Natasza zaczęła pilnie się uczyć swojego ulubionego przedmiotu, a wujek Sasa, przyjaciel taty, zawsze sprawdzał rozwiązania zadań i wciąż ją chwalił. Chwalił i mówił, że jest bardzo bystra i powinna koniecznie dalej się uczyć, bo ma po temu wszelkie dane.

Jednakże jeśli już za pierwszym razem okaże się, że jej zdolności są zaledwie przeciętne, Miron więcej nie przyjdzie. A zatem powinna się bardzo postarać. Ponieważ jeżeli porywacze się pomylili i ona nie ma żadnych niezwykłych zdolności,

przestanie być im potrzebna.

I co wtedy zrobią? Odwiozą ją do domu? A może nie odwiozą? Zostawią tu na zawsze. Ależ skąd, po co by mieli ją utrzymywać, karmić, obsługiwać. Albo płacić za jej przejazd do Moskwy. Natasza świetnie wiedziała, co robi się z ludźmi, którzy przestają być potrzebni. Nie z własnego doświadczenia, oczywiście, ale z książek, które przeczytała, i z filmów, które obejrzała w szpitalu.

A jednak to ciekawe, dokąd ją zabrano. Ta kobieta, Nadia, tak dziwnie mówi. Imię Miron też jest dziwne. Jakieś takie staromodne.

- A dlaczego masz na imię Miron? - nagle zapytała Natasza.

- Jak to dlaczego? Po prostu. Takie imię i już. A co w nim dziwnego?

- Nigdy go nie słyszałam. Jest stare?

- Skąd, całkiem zwyczajne. U nas cieszy się dużą popularnością.

- U was, to znaczy gdzie?

- U nas - twardo powtórzył Miron. - A gdzie konkretnie, nie musisz wiedzieć. Uczymy się czy będziemy dyskutować o moim imieniu?

Natasza nie upierała się. Przecież Miron mógł w każdej chwili odwrócić się i wyjść, jeżeli nie będzie posłuszna. A więc będzie posłuszna i uległa, byle tylko z nią został. Byle tylko mogła z nim jeszcze pobyc.

No i jak?

Wasilij wstał z kanapy, na której wylegiwał się z gazetą w rękach.

- Co o niej powiesz?

- Dziewczyna jest genialna - z zachwytem odparł Miron. - Prawdziwy brylant. Nie mam pojęcia, jak można zdobyć taką wiedzę, leżąc w szpitalnym łóżku, bez nauczycieli. Wymaga oczywiście szlifowania, ale dane wyjściowe są szokujące.

- No to szlifuj - powiedział zadowolony Wasilij - żeby nie było nam wstyd zaprezentować towar. Czasu mamy dosyć, lekarz przyleci dopiero za cztery dni i spędzi tu przynajmniej dwa tygodnie, albo i więcej. Zamieszkaś na piętrze. I żadnych

głupstw, Asłan, ochronę mamy niezawodną, mysz się nie prześlizgnie. Więc nawet nie próbuj.

- Jak pan może tak mówić, Wasiliju Ignatjewiczu? A przy okazji, dziewczyna bardzo chce wiedzieć, gdzie się znajduje. Mogę jej powiedzieć?

- Chyba ci rozum odjęło! - burknął Wasilij. - Nawet o tym nie myśl.

- Ale ona zwróciła uwagę na moje imię.

- I co z tego?

- Ma rację, w Rosji od dawna się go nie używa, występuje jedynie w książkach. A u nas spotyka się je na każdym kroku.

- Do licha z nim. - Wasilij machnął ręką. - No to niech się domyśli, że nie znajduje się w Rosji. Najważniejsze, żeby nie wiedziała, gdzie jest. Mimo wszystko pokpili-śmy sprawę. Trzeba było do razu podać jej twoje prawdziwe imię. Wy, ludzie z Kaukazu, jesteście porzrucani po całym WNP, w każdej śmierdzącej dziurze można was znaleźć. Gdzie masz rozum? Mogłeś na to wpaść.

- Nieprawda - obruszył się Miron. - Moja działka to matematyka, konspiracja to pańska sprawa. Przyzwyczaiłem się do swojego imienia, tutaj ono nikogo nie dziwi.

- Dobra, nie gorączkuj się - rzekł pojednawczo Wasilij. - Nic strasznego się jeszcze nie stało i miejmy nadzieję, że się nie stanie. Powiedz mi lepiej, czy dziewczyna ma wyjątkowe zdolności tylko do matematyki, czy w ogóle do wszystkiego, co wymaga wysiłku umysłowego?

- Nie wiem. - Miron wzruszył ramionami. - Niczego więcej nie sprawdzałem.

- No to sprawdź. I przestań się zachowywać, jakbyś był obcy. Wiesz, już starożytni zauważyli, że nie ma nic bardziej nieproduktywnego niż praca niewolnicza. Niewolnik nie uczestniczy w podziale dochodu, więc nie dba o majątek swojego pana. Ty jednak nie jesteś niewolnikiem i powinieneś rozumieć, że im lepiej będziesz pracował, tym drożej sprzedamy nasz towar, a co za tym idzie, tym większa będzie twoja dola. Czy to jasne, Asłan-bek?

- Tak jest, Wasiliju Ignatjewiczu. Jasne.

Miron poszedł do pokoju, w którym miał spędzić najbliższe tygodnie. Wszystko mu się tu nie podobało: i budynek, i Wasilij, i pokój, i liczni milczący ochroniarze, i w ogóle cała ta historia. Porwać niepełnosprawną dziewczynę! Chyba trzeba nie mieć serca, żeby się do tego posunąć. Przecież to jeszcze dziecko, zupełnie bezradne, nie potrafi się bronić. Miron jednak nie mógł sprzeciwić się woli ojca. Nie mógł też oprzeć się pieniądзом, które obiecano mu za tę pracę. Chociaż gdyby ojciec kazał mu wykonać ją za darmo, i tak by ją wykonał. Ponieważ przez całe życie podporządkowywał się ojcu i się go bał.

Jego rodzice byli Inguszami, ale on urodził się tutaj, w Zachodniej Ukrainie, niedaleko przygranicznego Użhorodu. Ojciec był oficerem i służył w Karpackim Okręgu Wojskowym. Antyrosyjskie nastroje panowały tu zawsze, kacapów nienawidzono i pogardzono nimi, więc inguski oficer, którego rodzice zostali przymusowo przesiedleni przez stalinowskie władze, szybko znalazł tutaj swoją psychologiczną, etniczną niszę. Synowi dał na imię Asłan-bek mimo sprzeciwu żony, która uważała, że skoro chłopiec będzie chodził do miejscowej szkoły i przyjaźnił się z tutejszymi dziećmi, nie powinien nazbyt się wyróżniać. Matka sądziła, że skoro zamieszkali na Ukrainie na stałe, mogą dać dziecku słowiańskie imię, ale ojciec był nieprzejednany. Jednakże sytuacja rozwiązała się sama, bo zarówno w przedszkolu, jak i w szkole nikt nie używał pełnego imienia Asłan-beka, wymyślano mu różne przydomki pochodzące od imienia, nazwiska, oraz takie, które nie wiadomo skąd się brały. Najpierw skrócono Asłan-beka do Asłana, później zastąpiono go zwyczajnym Sławą, a jeszcze później w sposób naturalny zrodziło się pytanie: a Sława to skrót od czego? Do wyboru były imiona: Wiaczesław, Stanisław, Władisław, Jarosław, Bronisław i Mirosław. Chłopiec wybrał ostatni wariant, który z jakiegoś powodu spodobał mu się bardziej niż pozostałe. I od razu pojawił się Sławko, Mirko, Mircza i inne. W końcu Asłan-bek zaczął wszystkim mówić, że ma na imię Miron, a ponieważ ukraińskim posługiwał się swobodnie, to znajomość języka w

połączeniu z typowo ukraińskim imieniem błyskawicznie wyeliminowała wszystkie pytania. Dzieci przestały drażnić Asłana i przekreślać jego prawdziwe imię. Z Ingusza Asłan-beka stał się Ukraińcem Mironem, a o jego narodowości przypominano sobie tylko wtedy, gdy zagłądano do jego dowodu osobistego. Chłopiec niemal nie różnił się wyglądem od prawdziwego Ukraińca, czarno- brewi i czarnoocy mężczyźni, jeśli wierzyć folklorowi, zawsze byli tutaj wzorcami urody.

O wybór zawodu musiał stoczyć z ojcem prawdziwy bój. Ojciec naciskał bowiem, żeby syn został wojskowym i wstąpił na uczelnię gdzieś na Kaukazie.

- Musisz zostać inguskim oficerem i służyć naszej ojczyźnie. Jeżeli zaczniesz studiować w Kijowie, Ukraińcy wcielą cię do swojej armii.

Jednakże Asłan-Miron nie chciał być oficerem, zamierzał zdawać do Instytutu Fizyczno-Technicznego. Matka stała po jego stronie, nie podzielała poglądów nadmiernie upolitycznionego męża islamisty i jak każda matka nie chciała, żeby jej syn brał udział w działaniach wojennych. Ale ojciec nie ustąpił. Asłan pojechał więc do Władykaukazu, żeby wstąpić tam na uczelnię wojskową. Miał szczęście. Z pomocą przyszło mu dążenie do samookreślenia narodowego. Egzaminy wstępne należało zdawać w języku ojczystym, a nie w rosyjskim ani tym bardziej w ukraińskim. Ojciec zacisnął zęby i pozwolił synowi wstąpić do akademii wojskowej w Kijowie, ale i tu nie było to tak proste, jak sądził oficer kadrowy, który całą karierę wojskową odbył w Zachodniej Ukrainie. Okazało się, że wykorzystywanie wiedzy, zdrowia i sił wojskowego będącego Inguszem jest całkiem naturalne i nie ma w tym nic haniebnego. Zupełnie czym innym jest jednak pozwolić jego synowi, w którego żyłach nie płynie ukraińska krew, żeby zdobył wyższe wykształcenie, w dodatku na prestiżowej uczelni. To zasadniczo zmieniało postać rzeczy. Potrzebne było ukraińskie obywatelstwo, o co Asłan-bek nie zatroszczył się w swoim czasie. Nie pomogły nawet znajomości ojca w Ministerstwie Obrony, co szczerze mówiąc, Asłana-Mirona

niewymownie ucieszyło. Należało szybko znaleźć wyjście z sytuacji, w przeciwnym razie wiosną czekało Asłana powołanie do ukraińskiego wojska, na co jego ojciec kategorycznie nie chciał się zgodzić. Syn miał służyć sprawie islamu, a nie prawosławnej Cerkwi. Dlatego jeszcze raz zacisnąwszy zęby, ojciec pozwolił Asłanowi rozpocząć studia na dowolnej uczelni, która posiadała katedrę wojskowości i której studenci byli zwolnieni ze służby wojskowej. W tym czasie wybór pozostawał już niewielki, obie próby dostania się na dwie uczelnie wojskowe zabrały prawie półtora miesiąca, więc trzeba było szukać szkoły, w której egzaminy przeprowadzano w sierpniu. Traf sprawił, że Asłan-bek, a raczej Miron, został studentem akurat tej uczelni, o której marzył - Instytutu Fizyczno-Technicznego.

Przez długi czas Miron przymykał oczy na działalność ojca niezwiązaną z jego służbą. Nie zauważał jej, przepędzał niepokojące myśli, starał się nad tym nie zastanawiać, przekonując samego siebie, że wszystko mu się tylko wydaje, że jest nazbyt podejrzliwy. Nie podzielał nienawiści ojca do Rosjan i go nie rozumiał, chociaż znał na pamięć smutną historię przymusowo przesiedlonej rodziny. Ojciec bardzo często ją opowiadał. Dawno temu przeprowadzili się z Użhorodu do Lwowa, gdzie Asłan skończył szkołę. W domu często zjawiali się zarośnięci, brodaci mężczyźni, mówiący językiem, którego Asłan nie rozumiał. Schodzili razem z ojcem do piwnicy, gdzie lokatorzy każdego mieszkania mieli własną, zamykaną na klucz komórkę. Później znowu wracali na górę i długo o czymś rozmawiali. Od czasu do czasu w skrzynce na listy pojawiały się ogromne, wielotysięczne rachunki za międzymiastowe rozmowy telefoniczne. Na podstawie kodów miast figurujących na rachunkach Asłan bez trudu odkrył, że ojciec najczęściej dzwonił do Moskwy, do Groźnego, Nalczyka i Machaczkały. Najgorsze było to, że Asłan ani razu nie widział, żeby ojciec zamawiał rozmowy międzymiastowe. To oznaczało, że dzwonił, kiedy syna nie było w domu. A więc się z tym ukrywał. A skoro się ukrywał, to znaczy, że robił coś niezgodnego z prawem. Jednakże Asłan nie miał ochoty się nad

tym zastanawiać.

Zaliczył już czwarty rok i zamierzał spędzić trochę czasu z przyjaciółmi na Krymie, pod Symferopolem, gdy ojciec niespodziewanie oznajmił:

- Aslan-bek, musisz odwołać wyjazd. Jesteś potrzebny tutaj.

Okazało się, że trzeba pojechać w Karpaty, gdzieś w rejonie Kut i Kosowa, żeby uczyć jakąś dziewczynę matematyki. Aslan uznał, że ojciec polecił go jako korepetytora, że ma przygotować dziewczynę do egzaminów wstępnych na uczelnię, a jednocześnie zarobić trochę pieniędzy na własne wydatki. Nie wzbudziło to w nim negatywnych emocji, wręcz przeciwnie, lubił Karpaty, często bywał tam z przyjaciółmi, zimą jeździli na nartach, latem zbierali grzyby, których rosło w tamtych lasach bez liku. Co prawda na Krym miał jechać ze swoją dziewczyną, ale nie ośmielił się nawet wspomnieć o tym ojcu. Odmawiać pracy i pieniędzy ze względu na kobietę? To hańba dla mężczyzny. Żadna kobieta nie może być powodem, dla którego mężczyzna zmienia swoje plany

Aslan-bek pojechał w Karpaty. Na małym lotnisku w Kołomyi czekał na niego wysoki, postawny mężczyzna z kędzierzawą czupryną i uśmiechniętą twarzą, który przedstawił się jako Wasilij Ignatjewicz.

- Wiesz, co będziesz musiał robić? - zapytał Wasilij, gdy wsiedli do samochodu i ruszyli w stronę gór.

- Ojciec powiedział, że mam pomagać jakiejś dziewczynie w matematyce - niepewnie odparł Aslan.

- No niezupełnie. - Wasilij się roześmiał. - Chociaż mniej więcej o to chodzi. O matematykę i o dziewczynę. Ale to nie są korepetycje. A dziewczyna nie jest zwyczajną uczennicą. Od sześciu lat leży ciężko chora w szpitalu. A właściwie leżała, póki jej stamtąd nie zabraliśmy. Podobno ma wybitne zdolności matematyczne, ale ci, którzy tak twierdzą, nie są, że tak powiem, ekspertami w wymaganej dziedzinie. Musisz więc sprawdzić poziom jej wiedzy i przygotowania. Wyjaśnię od razu: nieważne, jak dobrze zna matematykę, o wiele ważniejsze są jej potencjalne zdolności. Jej rozum, intelekt. Twardo stąpam po ziemi, więc zdaję sobie sprawę, że leżąc w szpitalu,

bez nauczycieli i lekcji, nie mogła wiele się nauczyć. Toteż nie mam żadnych złudzeń co do zakresu jej wiedzy. Muszę tylko być absolutnie pewien, czy posiada wyjątkowe zdolności, czy to po prostu czysty bluff, wymysł, iluzja. Rozumiesz różnicę między wiedzą a zdolnościami?

- Tak, oczywiście. - Asłan skinął głową z roztargnieniem, patrząc na przesuwane się za oknem domki, które tonęły w powodzi jabłoni i gruszy.

Ależ on kochał ten krajobraz! I Ukrainę, która była jego prawdziwą ojczyzną... Nigdy nie rozumiał emocjonalnych wywodów ojca o historycznej ojczyźnie Inguszetii - Alanii, o nękanym cierpieniami Iczkerii - Czeczenii - o zielonym sztandarze islamu i o świętej wojnie przeciwko niewiernym - gazawacie. Wszystko to było dla niego tak odległe, obce, niepotrzebne. Tutaj, na zachodniej Ukrainie, miał przyjaciół, dom, tutaj rozmawiano w języku, który dobrze znał, tutaj śpiewano piosenki, które słyszał od wczesnego dzieciństwa, a ich smutne tony sprawiały, że stawały mu lzy w oczach. Gdy zaś słuchał czasem w radiu albo w telewizji muzyki narodów Kaukazu, niczego nie czuł, muzyka mu się nie podobała, nie rozumiał jej, nie potrafił w niej odnaleźć melodyjności i harmonii, do której był przyzwyczajony.

Samochód zahamował przed wysoką żeliwną bramą. Wasilij nacisnął klakson i od razu otworzyły się niewielkie drzwi obok bramy, a do samochodu podszedł uzbrojony ochroniarz w mundurze moro. Na widok Wasilija skinął przyjaźnie głową, po czym zatrzymał pytający wzrok na Asłanie.

- To...

Wasilij zająknął się, widocznie zapomniał trudnego dla Słowian imienia Asłanbek.

- Miron - odpowiedział Asłan. - Nazywam się Miron. Tak będzie prościej.

- Masz rację. - Wasilij zgodnie skinął głową. - To Miron. Będzie tu mieszkał przez pewien czas. Jest naszym człowiekiem.

Brama się otworzyła, samochód bez przeszkód wjechał do środka i zatrzymał się przed wejściem do dużego

dwupiętrowego budynku. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie krokami paru ochroniarzy, którzy przechadzali się wokół budynku oraz przemierzali tam i z powrotem długie, puste korytarze.

- To czyjaś dacza? - zapytał Miron.

- No, prawie - odparł Wasilij. - Powiedzmy, że centrum rehabilitacyjne. Miejsce, w którym odzyskuje się zdrowie.

- To znaczy, że są tutaj również lekarze?

- Ma się rozumieć. Nie przez cały czas, oczywiście, ale zjawiają się, kiedy trzeba. Dowolnej specjalności. I najlepsi.

Jasne, pomyślał Miron-Aślan, leczą się tu pewnie jakieś grube ryby i cwaniacy, a kiedy ich nie ma, personel medyczny również jest nieobecny. Wasilij powiedział, że dysponują najlepszymi lekarzami dowolnych specjalności. Pewnie ich wzywają w zależności od tego, na co pacjent choruje. I odpowiednio im płacą.

Z jakiegoś powodu poczuł się nieswojo. Dziwne, jak w takim miejscu mogła się znaleźć młodziutka dziewczyna, i to ciężko chora. Co ona tutaj robi? Ona jedna i cały oddział uzbrojonych po zęby ochroniarzy.

Teraz, późnym wieczorem, kiedy już leżał w łóżku w swoim nowym, tymczasowym lokum, Miron po raz pierwszy pomyślał, że wpakował się w jakąś nieciekawą historię. Dlaczego dziewczyna nie wie, gdzie się znajduje? Przecież chyba przywieziono ją tutaj na leczenie? I dlaczego nie może jej powiedzieć, że są w Karpatach? Z jej rozmowy z Wasilijem wynika, że znalazła się tutaj wbrew swojej woli. Krótko mówiąc, porwano ją. A zresztą, nie ma sensu snuć domysłów, może ją przecież zapytać. Tak, właśnie tak zrobi. Jutro, podczas porannych zajęć.

Do instytutu radiologii medycznej Taszkow pojechał razem z Jurą Korotkowem. Uznali, że nie ma potrzeby umawiać się wcześniej na spotkanie z Walerijem Wasiljewiczem Wołochowem, bo Wiera na pewno go uprzedziła. Gabinet Wołochowa był zamknięty i musieli bitą godzinę tkwić na

korytarzu przed drzwiami, póki nie zjawił się jego gospodarz. Jeden rzut oka na miłą i pogodną twarz Walerija Wasiljewicza pozwolił Korotkowowi domyślić się, że to nie koniec niespodzianek. Portret pamięciowy sporządzony pod baczным nadzorem Miszy Docenki okazał się niemal wiernym odbiciem oryginału. Praktyka wywiadowcza podpowiadała Korotkowowi, że po niespodziewanym sukcesie powinny przyjść niepowodzenia, a im bardziej spektakularny i większy był sukces, tym potężniejsze i dotkliwsze będzie fiasko.

Wołochow minął wywiadowców, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi, otworzył gabinet i skrył się za drzwiami. Aleksander i Jurij spojrzeli po sobie, odczekali chwilę i weszli do środka.

- Dzień dobry, Waleriju Wasiljewiczu - przywitali się uprzejmie.

Wołochow podniósł na nich oczy i zmrużył je ze zdziwieniem.

- Dzień dobry. Słucham panów.

Wywiadowcy przedstawili się i krótko poinformowali o celu wizyty. Wołochow był absolutnie spokojny.

- Przykro mi, ale wątpię, czy na coś się panom przydam. Nigdy nie widziałem męża Wiery Nikołajewny i praktycznie nic o nim nie wiem, z wyjątkiem tego, że był mężem mojej pacjentki.

- Widzi pan, znacznie bardziej interesuje nas tamta jego znajoma, którą zamierzał do pana przyprowadzić. - Korotkow kłamał jak z nut. - Musimy koniecznie się dowiedzieć, kim ona jest. Możliwe, że ma coś wspólnego z jego śmiercią albo wie coś ważnego.

- Ale ja tym bardziej nie wiem, o kim była mowa. - Wołochow wzruszył ramionami. - Powołując się na męża, Wiera Nikołajewna mówiła, że to siostra któregoś z jego kolegów. I to jest właściwie wszystko, co mi o niej wiadomo.

- Może przypomni pan sobie jakieś szczegóły? - poprosił żałośnie Korotkow. - Chyba pan rozumie, że zmarłemu nie brakowało kolegów, a połowa z nich ma siostry. Na jakie schorzenie cierpiała dziewczyna?

- Skąd mam wiedzieć? - Wołochow rozłożył ręce. - Nie widziałem tej pacjentki. O ile dobrze zrozumiałem, chodziło

właśnie o to, żeby stwierdzić, co jej dolega.

- Wiera Nikołajewna powiedziała, że początkowo wizyta była wyznaczona na konkretny dzień, ale później coś panu wypadło, więc przeniósł ją pan na inny termin. Czy to prawda?

- Owszem.

- Uprzedził pan o tym męża Wiery Nikołajewny?

- Oczywiście. Zrobiłem to wcześniej, dzień przed wyznaczonym terminem.

- Jak pan to zrobił? Przez Wierę Nikołajewną?

- Nie, sam do niego zadzwoniłem.

- Kiedy?

- Rano, gdy tylko przyszedłem do pracy. A jakie to ma znaczenie?

- Widzi pan, musimy prześledzić ruchy Olega w ostatnich dniach przed śmiercią, więc liczy się dla nas każda informacja, kiedy i gdzie przebywał. Dzwonił pan do niego do domu?

- Oczywiście. Żadnego innego numeru nie znam.

- O której?

- Jakoś tak... Koło ósmej. A dokładniej między ósmą a ósmą piętnaście.

- Długo rozmawialiście?

- Ależ skąd. Przeprosiłem za kłopot i poprosiłem o przeniesienie konsultacji z piątku na poniedziałek. Zgodził się. I to była cała rozmowa.

- Proszę powiedzieć, czy długo zna pan Wierę Nikołajewną? - Do rozmowy włączył się Taszkow, który do tej pory dyskretnie obserwował Wołochowa.

- Od chwili gdy do mnie trafiła - odparł Wołochow. - Nasza znajomość to znajomość lekarza i pacjentki.

- A konkretnie?

- Około roku.

- To dość długo - zauważył Taszkow. - Czy Wiera Nikołajewna nigdy nie dzieliła się z panem swoimi problemami rodzinnymi? Nie wspominała, że mąż ma wrogów?

- Myli pan dwie różne rzeczy, kochany. - Walerij Wasiljewicz uśmiechnął się pobłaźliwie. - To nie są wcale problemy rodzinne, ale jego osobiste i służbowe. Co się tyczy spraw

rodziny, to regularnie wypytuję o nie Wierę Nikołajewę, ponieważ medycyna od dawna stoi na stanowisku, że przeważająca większość chorób, zwłaszcza u kobiet, pojawia się jako reakcja na niepowodzenia rodzinne. Można latami leczyć pacjentkę na przykład z egzemy i zachodzić w głowę, dlaczego nie pomagają jej najlepsze leki, a tak naprawdę kobieta od rana do wieczora jest cała w nerwach, bo w domu ma mnóstwo kłopotów. Egzema, rzecz jasna, nie ustąpi przy takim stylu życia, jakkolwiek by ją leczyć.

- A więc na temat jej męża nie potrafi pan nic ciekawego powiedzieć?

- Niestety. - Wołochow westchnął. - Przykro mi, że zmarnowali panowie czas.

- No cóż, przepraszamy za kłopot. - Wywiadowcy wstali. - Miłego dnia.

W milczeniu, nie odzywając się do siebie słowem, przemierzili korytarz i ruszyli schodami w dół. Na podeście między pierwszym a drugim piętrem stała popielniczka na wysokiej nóżce, nad którą wisiała wymowna wywieszka: „Palenie zabronione”. Popielniczka, nawiasem mówiąc, była pełna niedopałków. Korotkow zatrzymał się i wyciągnął papierosy.

-I co na to powiesz? - zapytał Taszkowa.

- Nic. Co ci się w tym lekarzu nie spodobało?

- Wszystko. Nie spodobało mi się to, że jest podobny jak dwie krople wody do mężczyzny, którego podejrzewamy o cztery zabójstwa i uprowadzenie dziecka.

- Chyba żartujesz! - Sasza wytrzeszczył na niego oczy. - Serio?

- Oczywiście. Wstępne rozpoznanie wykazało, że nasz figurant jest również lekarzem.

- Więc dlaczego...

- A co, twoim zdaniem, miałem zrobić? Założyć mu kajdanki i zawlec na Pietrowkę? Nakazu aresztowania nie mam, a żeby zatrzymać go z paragrafu sto dwudziestego drugiego, brak mi wystarczających podstaw. Złapałem go na miejscu przestępstwa? Schwytałem za rękę? Lekarzy w Moskwie jest zatręśnienie! I pewnie co dziesiąty pasuje do naszego opisu. Facet teraz nigdzie nie ucieknie. Mamy jego nazwisko, adres

też ustalimy. I będziemy powoli pracowali, sprawdzali, czy ma alibi na czas zabójstw.

Na dole rozległy się kroki, ktoś wchodził po schodach, więc Jura umilkł. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby pracownicy instytutu usłyszeli, jak snuje na głos plany w stosunku do szanowanego doktora nauk. Kroki się zbliżały, najpierw zza zakrętu wyłoniła się damska głowa, a później zobaczyli plecy w eleganckiej kremowej marynarce z jedwabiu. Kobieta odwróciła się i ruszyła w ich stronę. W tym momencie Taszkow pospieszenie rzucił niedopalonego papierosa do popielniczki, a na jego twarzy odmalował się wyraz nieklamane go zdziwienia.

- Boże! Zoja? To ty?

Kobieta znieruchomiała, później jej usta rozchyliły się w nieśmiałym, niepewnym uśmiechu.

- Sasza! Taszkow! Co za spotkanie!

- Nie wierzę własnym oczom. Pracujesz tutaj?

- Ja? A gdzie tam. Leczę się.

- To coś poważnego? - zapytał Taszkow z niepokojem.

- Skąd, raczej profilaktyka...

Rozdział 13

Sasza zakochał się w Zoi Smirniaginej jeszcze w szkole. Była o trzy lata starsza i w ogóle nie zwracała uwagi na śmiesznego piątoklasistę, ponieważ chodziła już do ósmej klasy i uważana była za szkolną piękność. Mimo że nie miała większych problemów z nauką i nie naruszała regulaminu, nauczyciele krzywo na nią patrzyli. Właściwie jej nienawidzili. Cała szkoła o tym wiedziała. Uczennica Smirniagina obok zalet miała jedną ogromną wadę: doskonale znała reguły językowe. Gdyby ta wada wyrażała się jedynie w nienagannej ortografii, jakoś można by to było znieść. Jednakże Zoja ośmielała spierać się z pedagogami i wytykać im błędy gramatyczne, które popełniali niestety częściej, niż nakazywałyby przyzwoitość. Po raz pierwszy doszło do takiej sytuacji w szóstej klasie. Zoja otrzymała poprawioną pracę pisemną z rosyjskiego, w której w słowie „książę” litera „ę” została przekreślona nauczycielskim długopisem na czerwono, a nad nią pojawiła się tak samo rażąco czerwona litera „e”. Dziewczynka osłupiała, sięgnęła po podręcznik, później po słownik, ale nigdzie nie znalazła dziwnego słowa „książę”. Z dziecięcą bezpośredniością oznajmiła o tym na lekcji w obecności całej klasy. Nauczycielka nie przyznała się oczywiście do błędu i z wyższością poradziła Zoi, żeby lepiej opanowała zasady pisowni. Zoja znała zasady. Poza tym potrafiła wyłapać błąd wzrokowo, nawet jeżeli nie pamiętała dobrze, co na ten temat mówi podręcznik. Jeżeli napisane słowo raziło ją w oczy, to znaczy, że było napisane niepoprawnie. Takie podejście nigdy jej nie zawiodło. Nawet w malignie i w stanie hipnozy Zoja Smirniagina nie mogłaby zrobić błędu ortograficznego albo postawić znaku interpunkcyjnego w niewłaściwym miejscu.

Napaść nauczycielki nie wprawiła jej zatem w zakłopotanie i nie zdeorientowała. Wzięła swój zeszyt z poprawionym

„błędem”, parę podręczników oraz słowników i udała się prosto do pokoju nauczycielskiego, gdzie poprosiła o rozstrzygnięcie sporu obecne tam ciała pedagogiczne. Stary fizyk, trzymając się za boki ze śmiechu, przyznał, że Zoja ma rację, jednak reakcja pozostałych pedagogów nie była już tak jednoznaczna. Poprosili Zoję o opuszczenie pokoju, nie udzielając żadnej konkretnej odpowiedzi, pod pretekstem, że muszą do końca przerwy omówić jakieś kwestie zawodowe. Gdy za dziewczynką zamknęły się drzwi, panie nauczycielki rzuciły się hurmem na fizyka:

- Czy pan zwariował, Aleksandrze Naumowiczu?! Jak można pozwalać dziecku krytykować nauczyciela? Nina Stiepanowna jest doświadczonym pedagogiem, a pan pozwala szóstoklasistce podważać jej autorytet. Jak panu nie wstyd!

- A czy to moja wina, że Nina Stiepanowna nie zna rosyjskiego? To ona powinna się wstydzić, a nie ja, a tym bardziej Zoja. Muszę was zasmucić, koleżanki, ale nienaganna znajomość języka ojczystego zdarza się teraz wyjątkowo rzadko. Wszystkie piszecie z błędami. Co prawda ich liczba nie jest katastrofalna, ale błędy wam się zdarzają. Bądźcie więc przygotowane, że takie rzeczy mogą się powtórzyć. Potraktujcie to jak przestrozę.

Nauczyciele nie mogli jednak pogodzić się z tym, że Zoja Smirniagina miała piętnować ich braki językowe i być dla nich autorytetem. Po krótkiej naradzie postanowili udzielić dziewczynce lekcji pokory.

Tego samego dnia Zoja została wezwana do tablicy na lekcji geografii i otrzymała wielce wymowną pałę, chociaż odpowiadała całkiem przyzwoicie, zgodnie z tym, co było w podręczniku, i ani razu się nie pomyliła, pokazując różne miejsca na mapie. Nauczycielka geografii nie miała żadnych oporów, żeby zadać jej kilka pytań spoza programu szkolnego. Ponieważ na żadne z nich Zoja nie potrafiła odpowiedzieć, dziennik lekcyjny przyozdobiła pierwsza w jej życiu dwója.

- Wstydź się, Smirniagina - powiedziała geografka. - Twoje prace domowe są poniżej krytyki. Zauważyłam to już wcześniej, ale byłam wyrozumiała. Dłużej nie mogę tego tolerować. Będę

cię pytać na każdej lekcji, więc się przyłóż.

Do końca tygodnia Zoja otrzymała takie same oceny ze wszystkich przedmiotów prócz fizyki, angielskiego i wychowania fizycznego. Stary fizyk nie sprzeniewierzył się swoim zasadom, zwłaszcza że o ortografię był spokojny - stara szkoła. Angielka Ała Siergiejewna uznała problem za nieaktualny, ponieważ uczyła wyłącznie angielskiej ortografii. Co się zaś tyczy Nikołaja Wasiljewicza Taszkowa, nauczyciela wychowania fizycznego, który pracował w szkole od niedawna, to nie mógłby postawić Zoi pały, nawet gdyby bardzo chciał. Dziewczynka miała świetne przygotowanie sportowe, od pierwszej klasy trenowała lekką atletykę. Oddając sprawiedliwość nauczycielowi Taszkowowi, należy zaznaczyć, że nie miał ochoty brać udziału w kolektywnej nagonce na szóstoklasistkę Smirniaginę.

Panie nauczycielki starały się za to, jak mogły. Dwójki i trójki sypały się na Zoję ze wszystkich stron przy akompaniamencie pogardliwych uwag dotyczących źle odrobionych przez nią zadań domowych i jej ogólnej tępoty. Ale pod koniec roku szkolnego nauczycielki musiały przystopować. Na podstawie wystawionych ocen Zoja mogła nie otrzymać promocji do następnej klasy i powtarzać rok, a drugoroczność w tamtych czasach uważano za wynik nieudolności zawodowej nauczycieli. Trzeba było ratować sytuację. Dwójki zastąpiły więc trójki, a nierzadko czwórki. Dzięki temu Zoja przeszła do siódmej klasy.

Podczas letnich wakacji wszyscy nieco ochłonęli i pierwszego września nauczyciele byli gotowi stawiać Zoi oceny jak dawniej za wiedzę, a nie za karę. Nie minął jednak miesiąc, a krnąbrna dziewczynka znowu pokazała, co potrafi. Tym razem jej ofiarą została nauczycielka historii, która postanowiła wykorzystać na lekcji specjalną metodę dydaktyczną i zaproponowała uczniom dyskusję na temat reformy Piotra 1 Wielkiego.

- Będziecie wysuwać argumenty na korzyść jego reform i przeciwko nim - wyjaśniła nauczycielka - a ja będę zapisywać na tablicy wasze wnioski. Później dokonamy podsumowania.

To mówiąc, podzieliła tablicę kredą na pół i napisała z jednej

strony „Zwolennicy”, a z drugiej „Oponent”. Właśnie tak, przez „ę”.

Dzieci zaczęły podnosić ręce. W tym również Zoja.

- No, Smirniagina, słuchamy, co masz do powiedzenia.

- Słowo „oponent” pisze się przez „e-n” - spokojnie oznajmiła Zoja.

Nauczycielka odwróciła się i zerknęła na tablicę.

- Tak właśnie napisałam. Czyżbyś miała kłopoty ze wzrokiem? Może powinnaś nosić okulary, zamiast zwracać uwagę nauczycielom.

- Nie mam na myśli czwartej litery, ale piątą. Zamiast „ę” powinno być „en” - cicho, ale twardo powiedziała Zoja.

Nauczycielka spłoszyła i oczywiście wyrzuciła impertynentkę z klasy. Po tym zdarzeniu nagonka zaczęła się od nowa, tym razem o wiele ostrzejsza. Wszystko, co robiła uczennica Smirniagina, było złe, nawet jeżeli zostało wykonane bez zarzutu. Aż do dziesiątej klasy we wszystkich jej wypracowaniach, nienaganych pod względem ortografii, temat nie był rozwinięty, a ustne odpowiedzi z każdego przedmiotu niezadowalające, bo Zoja nie potrafiła odpowiedzieć na żadne dodatkowe pytanie. Nikt już nie wspominał, że Zoja to ładna i nie- głupia dziewczynka, w dodatku świetna sportsmenka. Z jej twarzy nie schodził wyraz lęku i niepewności, a wezwanie do tablicy stawało się koszmarem, który coraz trudniej było jej przeżyć. Nauczyciele z premedytacją robili z niej trójkową uczennicę i w końcu osiągnęli swój cel. Na koniec szkoły średniej Zoja Smirniagina miała tylko dwie czwórki - z fizyki i z angielskiego. Niestety wychowanie fizyczne na świadectwie maturalnym nie figurowało.

Kiedy zaczęły się perypetie Zoi, Sasza Taszkow, syn nauczyciela wychowania fizycznego, był w trzeciej klasie i przez dwa lata, póki ojciec nie odszedł do innej szkoły i nie zabrał go ze sobą, chłopiec wielbił Zoję w milczeniu. Po lekcjach Sasza przychodził do sali gimnastycznej i cierpliwie czekał, aż skończą się zajęcia, po cichu odrabiał pracę domową w małym pokoiku na tyłach sali, stanowiącym gabinet Nikołaja

Wasiljewicza, w którym ojciec się przebierał i przechowywał sprzęt sportowy Często widział zgrabną, ładną dziewczynkę z szóstej (później siódmej i ósmej) klasy, która wydawała mu się bóstwem, nieosiągalnym i doskonałym. Zwłaszcza że Zoja trenowała lekką atletykę pod okiem Taszkowa trzy razy w tygodniu po lekcjach i Sasza nieraz słyszał, jak ojciec ją wychwalał.

- Co za wspaniała dziewczynka - mawiał Taszkow starszy. - Świetne warunki fizyczne plus upór w dążeniu do wyznaczonego celu. Brakuje jej tylko pewności siebie. Zrobiłbym z Zoi mistrzynię, gdyby mi pozwolono.

Przeniesienie do innej szkoły stało się dla Saszy niemal tragedią. Nie zobaczy już swojego bóstwa, swojej idolki. Jakaż była jego radość, gdy w nowej szkole niespodziewanie dostrzegł Zoję w sali gimnastycznej. Okazało się, że ojciec zorganizował tutaj sekcję lekkoatletyczną i zaprosił Zoję na treningi. Sasza odebrał to jako dobry znak. Los mu sprzyja. Skąd miał wiedzieć, że jedynie uprawiając sport, dziewczynka mogła się nie bać ordynarnych docinków i pogardliwych uwag na temat własnej mierności. Jakkolwiek było, aż do siódmej klasy Sasza miał możliwość trzy razy w tygodniu widywać Zoję, a nawet z nią rozmawiać. O niczym innym nie marzył.

Zoja nie poszła na studia, chociaż złożyła dokumenty na uczelnię, a nawet zjawiała się na egzaminie wstępnym. Nie dotarła jednak do stołu, przy którym zasiadała komisja egzaminacyjna. Zemdląca ze strachu, podejrzewając, że zaraz znowu trafi do tego koszmaru, z którego dopiero się wyrwała. Będzie najgorszą, najbardziej tępą i najsłabszą studentką, obiektem ciągłych szyderstw i kpín. Nawet po skończeniu szkoły Zoja nie odkryła, co tak naprawdę się tam wydarzyło. Nie miała pojęcia, że stała się ofiarą umyślnej nagonki za poprawianie błędów gramatycznych nauczycieli i w celach profilaktycznych. Była pewna, że rzeczywiście nic nie umie. Chyba jedynie poprawnie pisać.

Z takimi predyspozycjami Zoja Smirniagina miała tylko jedno wyjście - zostać korektorką. Tak właśnie uczyniła. Wyższe wykształcenie nie jest do tego potrzebne, wystarczy po prostu

dobrze znać język, a ona go znała, jak wiadomo, wyśmieniecie. Już od dwudziestu lat zajmowała się korektą, najpierw w dużym moskiewskim wydawnictwie, a później w poważnym czasopiśmie naukowym, gdzie ceniono ją zwłaszcza za umiejętność szybkiego zapamiętywania pisowni specjalistycznych terminów. Kiedy poważne czasopismo naukowe zostało zamknięte, zatrudniła się w popularnym tygodniku. Z uprawiania sportu zrezygnowała zaraz po szkole, ponieważ nie zamierzała zostać mistrzynią, a potrzeba odreagowania psychicznego zwyczajnie zniknęła. W wydawnictwie traktowano ją bowiem wspaniale i wciąż chwalono, wysoko oceniając jakość i wydajność jej pracy. Jednakże uraz, którego Zoja doznała w szkole, a raczej doznawała nieprzerwanie przez cztery i pół roku, zrobił swoje. Młodziutka i śliczna sportsmenka stała się smutną, cichą, zahukaną i nieśmiałą kobietą, która każde dobre słowo pod swoim adresem odbierała jako niezasłużoną litość otoczenia.

Mężczyźni nawet nie próbowali z nią flirtować, bo sama Zoja ich do tego nie skłaniała. Bała się spojrzeć komukolwiek w oczy i uśmiechnąć się więcej niż raz, a o tym, żeby podtrzymać rozmowę albo zażartować, po prostu nie było mowy. Postawiła na sobie krzyżyk. I żyłaby tak do późnej starości, gdyby pewnego pięknego dnia nie pojawił się Walerij Wasiljewicz Wołochow. Jego artykuł o zastosowaniu terapii laserowej w leczeniu chorób krwi miał się ukazać w tym samym poważnym czasopiśmie, w którym pracowała wtedy Zoja.

Jednakże Aleksander Taszkow nie widział ani onieśmienia, ani smutku. Widział tamtą Zoję, w której był zakochany jako chłopiec: zgrabną, ładną, wrażliwą. Rysy twarzy pozostały przecież takie, jakie znał niegdyś. Teraz wydawały mu się jeszcze bardziej doskonale, dojrzałe i wyraziste. Gdy Taszkow spotkał Zoję na schodach w instytucie, w którym pracował Wołochow, zapisał jej telefon i umówił się z nią na wieczór. Wiedział już oczywiście, że Zoja przyszła akurat do Wołochowa, i łudził się, że ich spotkanie, z pozoru przyjacielskie, w gruncie rzeczy nosi wyłącznie zawodowy charakter. Jednakże w głębi duszy podejrzewał co innego. Może to nie przypadek, że

Taszkow do tej pory się nie ożenił. I nie chodziło tu o chciwość kobiet żądnych cudzych pieniędzy, a raczej nie tylko o to. Stało się tak dlatego, że podświadomie szukał takiej kobiety jak Zoja.

Idąc o ósmej wieczorem na stację metra Cwietnoj Bulwar, kupił ogromny bukiet okazałych, elegancko zapakowanych kwiatów, których nazwy nie znał. Kupił je, bo wyglądały pięknie i efektownie. Zoja zjawiała się punktualnie co do minuty, co z jakiegoś powodu rozczuliło Taszkowa. Wziął Zoję pod rękę i powiódł ją bulwarem.

- Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę, że znowu się spotkaliśmy - wyznał szczerze, ukradkiem wdychając zapach jej perfum. Od razu poznał, że były dobrej, drogiej marki.

- Ja również - cicho odparła Zoja. - Opowiedz o sobie. Jak żyjesz, co porabiasz?

- Prowadzę nudne życie, Zojeńko, bo przeważnie pracuję, a na resztę nie starcza mi czasu.

- Założyłeś rodzinę?

- Niestety nie. - Rozłożył ręce w żartobliwym geście. - Nie dostałem tego zaszczytu. A ty z kolei? Jesteś mężatką?

- Mnie również nie spotkał ten zaszczyt. Jak Nikołaj Wasiljewicz?

- Wspaniale, żeby nie zapeszyć. Jest zdrowy, pełen energii, pogodny, nie stroni od romansów z młodymi uwodzicielkami. Słuchaj, a może was wyswatam, co? Moim zdaniem to świetny pomysł.

- Coś ty, Sasza, jestem dla twojego taty za stara. Nie pasuję do roli młodej uwodzicielki. A gdzie pracujesz? Czego szukałeś w instytucie?

- Och, Zojeńko, pracę mam paskudną i nieciekawą. Jestem kimś w rodzaju wywiadowcy, tylko w sąsiednim resorcie.

- W kontrwywiadzie? - Zoja się domyśliła.

- Mniej więcej. A ty? Gdzie pracujesz? Jako kto?

- Jestem korektorką. Nic innego nie potrafię. Już od dwudziestu lat tylko tym się zajmuję. Sasza, wspomniałeś, że przyszlście do Wołochowa...

- Owszem. To cię niepokoi?

- No... Jakoś... W końcu to mój lekarz.

Zająknęła się, a Taszkow wyraźnie widział, że czegoś nie dopowiada. A może chce ukryć?

- Skoro jest twoim lekarzem, opowiedz mi o nim coś więcej - powiedział, siląc się na niefrasobliwość. - Na razie jeszcze niczego nie nawywijał, możesz się nie martwić, ale chcę wiedzieć, czy mogę wierzyć temu, co mówi. Innymi słowy, czy jako świadek jest wiarygodny.

- Oj, Sasza, Wołochow jest cudowny - gorąco zapewniła Zoja. - Musisz mu wierzyć. To wspaiały człowiek, dobry i mądry...

Mówiła coś jeszcze, ale Taszkow słuchał z roztargnieniem. W środku coś mu się ścisnęło. Mój Boże, ona jest przecież zakochana w Wołochowie! I to jak! Po same uszy. To takie banalne: lekarz i pacjentka. A on, głupiec, się rozmarzył.

Przez pewien czas rozmawiali o różnych błahych sprawach, ale Taszkow wciąż starał się skierować rozmowę na Wołochowa, a Zoja chętnie na to przystawała. Było widać, że każda wzmianka o Waleriju Wasiljewiczu sprawia jej przyjemność.

- Masz z nim romans? - zapytał nagle.

Zoja oblała się rumieńcem i spuściła głowę, nie odpowiadając.

- Czemu milczysz? Jeżeli tak, to powiedz, nie krępuj się. Co w tym złego? Jesteś wolną kobietą.

- Ale on nie jest wolny. - Zoja pokręciła głową.

- A co, czyżby zlikwidowano u nas rozwody? - ironicznie zapytał Taszkow. - Czy może wasz romans nie jest na tyle poważny?

Sam nie wierzył w to, o co pytał. Zoja nie mogła mieć niepoważnego, przelotnego romansu. Był tego pewien.

- Nie mów tak, Sasza. Walerij Wasiljewicz to bardzo dobry człowiek, szlachetny. Jego żona od wielu lat jest inwalidką przykutą do łóżka, nie może jej zostawić.

- Skoro tak, to w porządku - przyznał Aleksander. - Często się z nim spotykasz?

- Często. Po pierwsze, co tydzień chodzę na kontrolę.

- A po drugie?

- No... Spotykamy się. Poza instytutem.

- A gdzie?

- Sasza - powiedziała z wyrzutem - jak ci nie wstyd?

- Zojeńko, jestem daleki od tego, żeby wypytywać o intymne szczegóły waszych spotkań. Ale ponieważ Walerij Wasiljewicz interesuje mnie jako świadek, chcę wiedzieć, czy mógł rzeczywiście być w pewnych miejscach i widzieć pewne rzeczy. Na przykład niedaleko stacji metra Kropotkinskaja, na Ostożence.

- Nie wiem. - Zoja wzruszyła ramionami.

- A na Baumanskiej?

-Też nie wiem. Ale bywa w pobliżu Elektrozawodskiej, to pewne. Właśnie to miejsce cię interesuje?

- Mniej więcej - przytaknął Taszkow. - A co robi na Elektrozawodskiej? Mieszka tam?

- Nie. Nie wiem, gdzie mieszka, ale na Elektrozawodskiej jest mieszkanie jego przyjaciela, dyplomaty. Wyjechał na trzy lata za granicę, a klucze zostawił Walerijowi Wasiljewiczowi.

-Aha, i właśnie tam się spotykacie? - domyślił się Taszkow.

- No wiesz, Sasza...

- Boże kochany, czego się wstydzisz, Zojeńko? To normalna sprawa, oboje jesteście dorośli. Przestań się przejmować. Powiedz lepiej, czy bywaliście tam w pierwszej dekadzie czerwca?

- Czyli do dziesiątego? Nie.

- No to kiedy?

- W ubiegłym tygodniu.

- A konkretnie?

- W piątek...

Zoja znowu się zająknęła.

- No dalej, Zojeńko, wal, nie wstydz się - zachęcił ją Taszkow. - Niepotrzebnie się przejmujesz.

- I w sobotę również.

- Oho! Lady Julia dwa dni z rzędu biega na randki ze swoim Romeo.

- Nocowaliśmy w tym mieszkaniu.

- Aha, teraz rozumiem. A co na to chora żona?

- Daj spokój, Sasza. Nie pytam o takie rzeczy, to nie wypada. Jeżeli Walerij Wasiljewicz mówi, że może zostać na noc, cieszę się i tyle. Kim ja jestem, żeby zadawać mu pytania?

- Jesteś, Zoju, młodą, piękną kobietą, która ma prawo pragnąć normalnej rodziny i legalnego męża. Wolno ci zadawać mu dowolne pytania i pytać o wszystko, co cię interesuje.

- A jeżeli nie mam ochoty pytać?

- Wtedy to co innego. - Taszkow westchnął.

Przynajmniej jedno już wiadomo: tej nocy, gdy zginął

Oleg Żesterow, doktor Wołochow był z Zoją w mieszkaniu swojego przyjaciela. To raczej wątpliwe, żeby ładunek wybuchowy podłożono w ciągu dnia, gdy wszędzie kręcą się ludzie, w dodatku okna mieszkania Żesterowów wychodzą akurat na garaż. Korotkow podał Taszkowowi daty popełnienia innych zabójstw. Aleksander zapamiętał otrzymane informacje i zamierzał teraz pokierować rozmową z Zoją tak, żeby się dowiedzieć, czy Wołochow ma również alibi na czas popełnienia pozostałych zbrodni.

Przecucie prawie nigdy Korotkowa nie zawodziło. Wszystko potoczyło się mniej więcej tak, jak oczekiwał, co wprawiło w przygnębienie nie tylko jego, ale i Nastię Kamińską, a nawet Miszę Docenkę, który nie opuszczał łóżka przez parę dni po tym, jak nawdychał się jakiegoś trującego gazu, ale już wrócił do pracy.

Pierwszą rzeczą, którą zrobili, było ustalenie adresu doktora Walerija Wołochowa. Jak się wkrótce okazało, mieszkał w rejonie Elektrozawodskiej, na ulicy Małaja Siemionowskaja.

- No proszę - burknął Korotkow z zawiścią - niektórym się powodzi. Nieźle się urządził nasz doktorek, ma przyjaciela z wolną chatą niedaleko własnego domu. Tu mieszka, a tam przyprawia baby i praktycznie nie marnuje czasu na przejazdy. Szkoda, że jak tak nie potrafie.

- Zaczekaj, Jurik - powiedziała zachmurzona Nastia - to jeszcze nie jest najgorsze. Bo ja ciągle się zastanawiam, po co naszemu doktorowi Wołochowowi chatka przyjaciela.

- Jak to po co? To oczywiste.

- O to właśnie chodzi, że nie jest oczywiste. Według danych biura ewidencji ludności i REU nasz doktor nie jest żonaty. To

kawaler.

- Co ty pleciesz! - Korotkow aż się zachłysnął z oburzenia. - Jak może nie być żonaty, skoro ma żonę inwalidkę, i to od wielu lat. Czyżby kobieta umarła?

- Twoja łatwowność kiedyś cię zgubi - zauważyła Nastia. - Mnie zresztą też. Na jakiej podstawie uznaliśmy, że Wołochow ma żonę? Na tej, że podobno Romanowska mówiła o tym Aniskowicz, a ta z kolei swojemu staremu przyjacielowi i kochankowi Rodczence? Wiadomość rozeszła się pocztą pantoflową, więc możesz sobie wyobrazić, jak została przekreślona.

- No dobrze, a Zoja Smirniagina? Przecież to samo powiedziała Taszkowowi.

- Wiesz, Jura, rozczulasz mnie czasem do łez. Od razu widać, że wcześniej się ożeniłeś. Zagorzali kawalerowie bardzo często oszukują swoje przyjaciółki, opowiadając im o żonach. Robią to po to, żeby dziewczyny nie naprzykrzały im się ze ślubem. Masz pojęcie, jak dobrze jest wymyślić sobie żonę inwalidkę? Żadnych pretensji, a jednocześnie zyskuje się oblicze szlachetnego męczennika.

- Nie, Asiu, nie chce mi się wierzyć. - Korotkow pokręcił głową. - Może Wołochow nie poślubił żony? Spotkali się kiedyś, zamieszkali razem, a ślubu nie zdążyli wziąć, kobieta miała wypadek, więc nadal mieszkają razem w tym samym mieszkaniu, a on się nią opiekuje. I nie może zostawić. Albo nie chce. Ona może nie być u niego zameldowana, dlatego w milicji i REU nic na ten temat nie wiedzą.

- Dobrze, sprawdzimy. - Nastia ustąpiła. - Poślemy do nich naszego czarującego Misanę, niech zobaczy, co tam się dzieje. A z alibi udało się coś ustalić?

- Na razie niewiele. Smirniagina twierdzi, że tamtej nocy, kiedy w garażu Żesterowa podłożono ładunek wybuchowy, Walerij Wasiljewicz był z nią w mieszkaniu przyjaciela, od siódmej wieczorem do dziesiątej rano. Pozostałe daty jeszcze sprawdzamy. Nawiasem mówiąc, doktor Wołochow to niezwykle uprzejmy człowiek. Wystarczyło jedno słowo, a od razu pokazał nam swój notes, w którym figurują wszystkie

spotkania, wizyty i tak dalej. To bardzo poukładany facet, wszystko ma zapisane, oznaczone i zaplanowane niemal na miesiąc z góry. Wczoraj ślęczałem nad tym notesem, a dzisiaj posłałem Siełujanowa, żeby pogadał z ludźmi. Mam kupę zaległości, chcę za jednym zamachem uporać się z całą papierkową robotą, więc zamieniłem się z Kolką.

W zamyśleniu dopił herbatę z wysokiego, wyszczerbionego kubka, a później z uporem pokręcił głową.

- Mimo wszystko mylisz się, koleżanko - oznajmił Jurij. - Jeżeli Wołochow nie ma żony inwalidki, to po co spotyka się ze swoimi przyjaciółkami w obcych chatach? Mógłby je zapraszać do siebie. Przypomnij sobie, przez wiele lat spotykał się z Galiną Tieriochiną w mieszkaniu Aniskowiec. Dlaczego?

- Mogło być kilka powodów. Może jego rodzice żyją, a w rodzinie panują surowe zwyczaje. Przecież on nie jest jeszcze stary, ma zaledwie pięćdziesiąt jeden lat, więc całkiem możliwe, że tata i mama chodzą jeszcze po świecie. Co prawda nie są zameldowani pod jego adresem, ale to, jak sam rozumiesz, o niczym nie świadczy. Mogą u niego mieszkać. Dziwny z niego facet. Nie podoba mi się ten Wołochow.

Reszta dnia upłynęła na bieżącej pracy. Kiedy Nastia się zreflektowała, było już po ósmej. Podczas gdy się zastanawiała, czy powinna już jechać do domu, czy raczej dokończyć notatkę, rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

Na progu stanął Misza Docenko.

- Co tam, Miszeńka? Odkrył pan coś ciekawego? - zapytała Nastia.

- Nie wiem, czy to panią ucieszy, ale Walerij Wasiljewicz Wołochow mieszka zupełnie sam. Bez współlokatorki i bez rodziców. Sąsiedzi dają głowę, od wielu lat przychodzą do niego ze swoimi problemami, taka jest dola każdego lekarza. Przedtem rodzice Wołochowa rzeczywiście z nim mieszkali, ale z dziesięć lat temu przeprowadzili się do innego miasta, bliżej młodszej córki, która ma rodzinę i troje dzieci, więc staruszkowie kręcą się przy wnukach.

- A może jednak miał kiedyś żonę? - z nadzieją zapytała Nastia.

Bardzo pragnęła, żeby dziwne zachowanie Wołochowa znalazło proste i logiczne wytłumaczenie, ale im więcej informacji o nim napływało, tym mniej rozumiała stawały się jego posunięcia.

- Sąsiedzi twierdzą, że nigdy nie miał żony. Nawet współlokatorki. Co prawda widzieli, jak od czasu do czasu Walerija Wasiljewicza odwiedzały kobiety, ale żadna nigdy u niego nie zamieszkała. Zostać na noc to wszystko, na co im pozwalał.

- Czy słowa sąsiadów możemy uznać za wiarygodne? - uściśliła Nastia.

Wychowała się w dużym mieście i przez całe życie mieszkała w blokach, więc zawsze rodziły się w niej podejrzenia, gdy mieszkańcy zbyt dużo wiedzieli o swoich sąsiadach. Moskwanie dawno stali się wobec siebie obojętni i najczęściej nie znają nawet nazwisk osób mieszkających z nimi na tej samej klatce schodowej.

- Nie docenia mnie pani, Anastazjo Pawłowno. - Docenko uśmiechnął się. - Nie rozmawiałem przecież z przypadkowymi osobami, znalazłem kobietę, którą Wołochow wynajął do sprzątnia i prania.

- A ona oczywiście jeszcze dzisiaj mu powie, że zjawił się ktoś z milicji i pytał, jak mu się układa z paniami?

- Nie sądzę. Jestem przecież dziennikarzem, przygotowuję materiał o samotnych ludziach, a ponieważ kobieta jest samotna, więc chciałem z nią porozmawiać, że tak powiem, przeprowadzić z nią wywiad. A sprowadzić rozmowę na samotnych mężczyzn nie było wcale trudno. Sama mi wszystko opowiedziała. W dodatku ani razu nie padło nazwisko Wołochowa. Po prostu jej sąsiad, taki sympatyczny, doktor nauk medycznych, a proszę, jak mu się ułożyło... I tak dalej. Zostawię pani dyktafon, sama pani posłucha.

Nastia schowała dokumenty do sejfów i już miała iść do domu, gdy nagle stwierdziła, że najwyraźniej przeceniła swoje siły. Zbyt wcześnie wyrwała się do pracy, ucieszona, że wczoraj przez cały dzień gorączka oscylowała w granicach trzydziestu siedmiu stopni. Póki siedziała przy biurku, czuła się znośnie,

ale wystarczyło, że wstała i przeszła dwadzieścia metrów korytarzem, a ogarnęła ją paskudna słabość, nogi zrobiły się jak z waty, w oczach pociemniało. W takim stanie chyba nie dojadę do domu, pomyślała ze smutkiem, wracając do pokoju.

I właśnie w tej chwili, jak na złość, na korytarzu pojawił się Gordiejew.

- Co to ma znaczyć? - zapytał zdziwiony. - Dlaczego idziesz z powrotem?

- Zapomniałam czegoś. - Nastia spróbowała się wykić.

- Tak? No to spójrz na mnie - zażądał pułkownik.

Nastia posłusznie odwróciła się w jego stronę i zrobiła niewinną minę.

- Niezła z ciebie kłamczucha, Nastazjo - skonstatował Wiktor Aleksiejewicz. - Innych może potrafisz oszukać. Ale nie mnie. Wyglądasz przecież jak z krzyża zdjęta.

- Skąd, wszystko w porządku.

- Aha. No to otwórz swój pokój, zastanowimy się, co z tobą zrobić. Otwieraj, otwieraj, nie marudź.

Nastia otworzyła drzwi, a Gordiejew wszedł za nią do środka.

- Usiądź - polecił. - I posiedź chwilę. Znajdę tymczasem kogoś z samochodem. A jeżeli jeszcze raz, pasku- do, ośmielisz się przyjść do pracy z gorączką, przepędzę cię na cztery wiatry, szukaj sobie innego szefa. I bez ciebie mam dość kłopotów, które przyprawiają mnie o ból głowy. Nie umiesz chorować w pracy, to leż i nie denerwuj innych.

- Umiem. - Nastia zaczęła się usprawiedliwiać. - Zawsze choruję przecież w pracy. Mówi pan tak, jakby o tym nie wiedział. Po prostu tym razem jakoś nie wyszło... Ten wirus jest jakiś inny, wyjątkowo złośliwy.

- Wirus, wirus - burknął Gordiejew. - Złej tanecznicy, dalej sobie sama dośpiewaj...

Podniósł słuchawkę, zadzwonił do kogoś i umówił się, że mniej więcej za pół godziny Nastia zostanie odwieziona do domu.

-Zrobiłaś dzisiaj przynajmniej coś pożytecznego? - zapytał pułkownik. - Czy tylko stwarzałaś pozory, że walczysz z przestępczością?

- Chyba raczej stwarzałam pozory. - Nastia się uśmiechnęła. - W sprawie zabójstwa Aniskowiec zrobiliśmy ogromne postępy, byliśmy o krok od rozwiązania i schwytania sprawcy.

- Co to znaczy byliśmy? - Gordiejew zachmurzył się. - Czemu więc nie zrobiliście tego kroku?

- Musieliśmy się wycofać. Znaleźliśmy, w dodatku zupełnie przypadkowo, figuranta, ale wygląda na to, że ma żelazne alibi na każdą ewentualność. Dzisiaj przesłuchiwał go Olszański, na razie oczywiście jako świadka. Nie wypiera się znajomości z Aniskowiec i nawiasem mówiąc, był wyraźnie zdziwiony, gdy się dowiedział, że została zabita. Uduje, że w ogóle o tym nie wiedział. Pozostawił do dyspozycji śledztwa swój notes z codziennymi zapiskami, że niby sprawdzajcie mnie od stóp do głów, póki wam się nie znudzi. Umówiłam się z Olszańskim, że tymczasem nie będziemy go pytać o rodzinę Tieriochinów. Najpierw sprawdzimy, gdzie i z kim był w chwili zabójstwa zakonnicy Marfy i pielęgniarki Myrikowej, a jednocześnie przymierzmy go do alkoholiczki Romanowskiej, dopiero potem zapytamy o dzieci i Galinę. Jeszcze nie widziałam tego lekarza, ale Korotkow i Olszański zgodnie mnie zapewniają, że jest absolutnie spokojny i na wszystko, co się dzieje, reaguje bardzo naturalnie. Jakby był niewinny i nie wiedział, o co chodzi. Rosyjski Laurence Olivier, jednym słowem.

- Odpuść sobie, Nastazjo, taktykę operacyjną. Rozumiem, że chcesz zrobić wszystko z aptekarską dokładnością, żeby ładnie i za jednym zamachem dopaść tego lekarza. Ale nie zapominaj o porwanej dziewczynie.

Jeżeli do tej pory porywacze się nie skontaktowali, to znaczy, że nie jest zakładniczką. Tylko ten lekarz może nam powiedzieć, kto i dlaczego ją uprowadził.

- Rozumiem, Wiktorze Aleksiejewiczu, ale przecież jeżeli go nie przyciśniemy, nic nie powie. Na pierwszy rzut oka jest czysty jak łąka, i jeżeli się pospieszymy, zaprzepaścimy sprawę. Wywinie się bez problemu. Tak naprawdę nic na niego nie mamy. A zresztą, pamięta pan, jak mówiłam, że wszystkie zabójstwa i porwanie to była czysta robota. Wołochow ma pomocników, przynajmniej tamtego faceta, który tak sprytnie

oszukał naszego Miszanię. Przy okazji chciałam panu powiedzieć, że Misza przyjrzał się z daleka Wołochowowi i zapewnia, że mężczyzna, którego widział na terenie szpitala i którego wziął za „wujka Saszę”, to na pewno nie Wołochow. Ten sam typ, ogromne podobieństwo do portretu, ale to nie on. A Miszka ma sokoli wzrok, nie myli się w takich sprawach. Jeżeli więc przestępcą jest doktor Wołochow, to ma co najmniej dwóch wspólników. A to już grupa. Jeżeli spłoszymy teraz Wołochowa nieostrożnym ruchem, grupa gdzieś się zadekuje i zniknie, a później będziemy musieli wypuścić również lekarza. Z braku dowodów.

- Masz słuszność, Nastazjo. Nie mogę zaprzeczyć. Jest jednak jeden argument, dzisiaj najważniejszy: dziewczyna, Natasza Tieriochina. Nie możemy zwlekać. Dosyć, dziecko, już pora, schodź powoli na dół. Niebieskie żiguli, za kierownicą będzie siedział twój kolega Zubow. I nie krzyw się tak, bo dzisiaj jest w dobrym humorze.

Ekspert kryminalistyki Zubow słynął z ciągłego narzekania na stan zdrowia i niewłaściwe postępowanie kierownictwa, a także na politykę państwa w dziedzinie cen i prywatyzacji. Był specjalistą wysokiej klasy, ale kontakty z nim wymagały od otoczenia wiele cierpliwości i opanowania. Mógł wpędzić w depresję największego optymistę. Trudno, Zubow to Zubow, pomyślała Nastia.

Rozdział 14

Pomimo nieprzyjemnego wrażenia, które pozostawił wczorajszy dzień, Miron spał jak zwykle mocno i obudził się wypoczęty, w świetnym nastroju. Czyste, przepojone leśnym zapachem powietrze Karpat działało na niego upajająco. Chłopak wziął prysznic, ogolił się, po czym wyrzwał na korytarz. Od razu natknął się na paradującego ochroniarza. Usłyszawszy skrzypienie drzwi, ochroniarz gwałtownie odwrócił się w stronę Mirona, ale nic nie powiedział, spojrzał tylko pytająco.

- Co ze śniadaniem? - wesoło zapytał Miron.

Ochroniarz podszedł w milczeniu do wiszącego na ścianie telefonu i zdjął słuchawkę. Kilka minut później Miron usłyszał pukanie do drzwi. Ten sam ochroniarz wtoczył do pokoju stolik na kółkach, na którym znajdował się dzbanek z kawą, pleciony koszyk ze świeżymi bułeczkami, masło, dżem, ser i szynka. Oprócz tego Miron dostrzegł na dolnej półce nieduże talerzyki przykryte błyszczącymi pokrywkami. Na jednym był czarny kawior, na drugim czerwony, a na trzecim cienkie plasterki ryby wędzonej na gorąco. Miron nie przywykł do takiego śniadania. Rano matka zwykle podawała obfity i ciepły posiłek, wychodząc z założenia, że jeżeli ma możliwość nakarmić mężczyzn jak należy, musi to zrobić, bo przecież nie wiadomo, gdzie dzisiaj będą przebywali i czy zjedzą porządny obiad. Bułeczki okazały się smaczne, a masło świeże i miękkie. Po dwóch kanapkach z kawiozem i dwóch z dżemem życie wydało się Mironowi o wiele znośniejsze. Jeśli chodzi o zaspokojenie głodu, śniadanie nie ustępowało domowemu, przygotowanemu przez matkę.

Miron znowu otworzył drzwi, wytoczył stolik na korytarz i zapytał głośno: - Kiedy mam zacząć zajęcia?

Ochroniarz wykonał dłonią zapraszający gest i zaprowadził Mirona do pokoju Nataszy, który znajdował się piętro wyżej.

Miron delikatnie zapukał do drzwi i zdążył zauważyć, że stojący obok ochroniarz obrzucił go nieprzychylnym spojrzeniem. No tak, jeżeli to towarzystwo ojca, to uważają, że kobieta nie jest człowiekiem, tylko czymś w rodzaju mebla, tak więc nie ma potrzeby pukać do pokoju, w którym się znajduje. Też coś, co za brednie!

- Dzień dobry - pogodnie powiedział Miron, wchodząc do pokoju dziewczyny. - Jak spałaś?

- Wspaniale. - Natasza uśmiechnęła się. - A ty?

- Ja również. No jak, zaczynamy?

- Zaczynamy - odparła ochoczo.

Miron otworzył jeden ze zbiorów, które przyniósł ze sobą, i wybrał zadanie. Dziewczyna szybko zapisywała na kartce wzory, a on uważnie ją obserwował. Wczoraj nawet nie zauważył, że jest bardzo ładna. Co za niesprawiedliwość losu! Taka piękność, a pozostanie kaleką do końca życia. Bzdura, nie powinien tak myśleć, każdy człowiek jest wart tego, żeby cieszyć się życiem, piękna twarz nie ma tu nic do rzeczy.

- Na co chorujesz? - zapytał nagle.

- Na wszystko - odparła Natasza, nie odrywając się od zadania.

- Nie widzisz?

- Chodzi mi o to, jak to się stało, że jesteś tak ciężko chora?

- Mama się postarała. Wyrzuciła mnie przez okno z ósmego piętra.

- Żartujesz?

Natasza podniosła głowę i wręczyła mu kartkę z gotowym rozwiązaniem.

- Nie żartuję. Tak było. Wyrzuciła mnie, a także siostrę i brata. Miałam jedenaście lat, siostrzyczka siedem, a brat zaledwie pół roku. Mama zresztą też rzuciła się z okna. Wszyscy przeżyliśmy. Masz pojęcie? Wszyscy. Ale zostaliśmy okaleczeni. A mama straciła pamięć. No i nikt nie wie, dlaczego to zrobiła. Niczego nie pamięta.

- A Wasilij mówił wczoraj o siostrze, która was utrzymuje...

- No tak, to Ira, jest najstarsza. Miała wtedy czternaście lat, udało jej się wyrwać i uciec. Schowała się u sąsiadów. Sprawdź rozwiązanie. Jest poprawne?

- Zaczekaj - odparł Miron z niezadowoleniem. - Zdamę je sprawdzić. Lepiej porozmawiajmy.

Widział, jak dziewczyna się ucieszyła, i już miał zadać następne pytanie, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Wasilij.

- Przerwa! - oznajmił głośno. - Odpocznij, Nataszeńko, a ja zabiorę Mirona na parę minut.

Chwycił Mirona za rękę i dosłownie siłą wyciągnął na korytarz.

- Wyjdźmy na zewnątrz - rzucił w biegu tonem nieznoszącym sprzeciwu.

W milczeniu zeszli na parter i opuścili budynek.

- A więc tak, mój drogi - oschle oświadczył Wasilij. - O tych głupstwach zapomnij raz na zawsze. Wynajęliśmy cię, żebyś zajął się jej umysłem, a nie biografią. Pokój jest na podsłuchu, i dziwię się, że nie przyszło ci to do głowy. Jesteśmy poważnymi ludźmi i nie bawimy się tutaj lalkami. Twój ojciec cię rekomendował, a to znaczy, że ty również jesteś poważnym człowiekiem. Masz jeszcze mleko pod nosem, mój drogi, więc nie chciałbym, żebyś umarł, niewiele widząc i doświadczając w tym życiu. Dlatego zachowuj się, proszę, tak, żebym nie musiał zastosować radykalnych środków. Jestem gotów to zrobić, gdy tylko się przekonam, że nie zasługujesz na miano poważnego człowieka. Są pytania?

Miron już chciał odpowiedzieć, że są, ale ugryzł się w język. Poważny człowiek powinien wszystko rozumieć.

- Nie ma - powiedział twardo.

- No to świetnie. - Głos Wasilija złagodniał i stał się nieco cieplejszy. - Uznajmy, że było to małe nieporozumienie, które w przyszłości się nie powtórzy. Bo się nie powtórzy, prawda?

- Prawda.

- To dobrze. Wracaj do dziewczyny i kontynuuj zajęcia. I nie zapominaj, o co cię prosiłem wczoraj, sprawdź, czy ma zdolności do innych dyscyplin naukowych.

Miron wrócił do pokoju Nataszy, z trudem opanowując narastającą w nim złość. W co go ojciec wpakował? Dlaczego ktoś rozporządza nim, jakby był rzeczą? Ojciec go zarekomendował, też coś. Poważny człowiek. Niech licho

porwie wielką sprawę islamu! I od razu zawstydził się swoich myśli. Nie powinien tak myśleć o ojcu, to grzech. Ojciec lepiej wie, co jest słuszne i potrzebne. A jego, Mirona, obowiązkiem jest bycie posłusznym synem.

Natasza chyba nie zauważyła zmiany jego nastroju i przyjaźnie uśmiechnęła się do Mirona, gdy ten znowu pojawił się w pokoju. Chłopak wziął inny zbiór zadań, przez chwilę go kartkował, szukając trudniejszego przykładu.

- Proszę, rozwiąż to zadanie trzema różnymi sposobami.

- Przecież chciałeś porozmawiać - nieśmiało zauważyła dziewczyna.

- Odechciało mi się - uciął krótko. - Powinniśmy się uczyć, a nie rozmawiać.

Do migdałowych oczu Nataszy napłynęły łzy, usta jej zadrżały, ale nic nie powiedziała, wzięła w milczeniu otwartą książkę i zabrała się do rozwiązywania zadania. Miron poczuł się podle. Czemu sprawia dziewczynie przykrość? Życie i tak ciągle ją rani. Tylko patrzeć, jak się rozplacze. Ale przecież nie będzie jej powtarzał tego, co mu powiedział Wasilij. Pokój jest na podsłuchu. A może powinien napisać? Już sięgał po długopis i kartkę, ale w porę zrezygnował. Skoro w pokoju znajduje się podsłuch, całkiem możliwe, że jest w nim również kamera. Nawet na pewno. Wasilij powiedział przecież, że są poważnymi ludźmi. A zresztą gwizdże na wszystko. Zrobi, co do niego należy, jak sobie życzy Wasilij Ignatjewicz, jak oczekuje ojciec. Co znaczy dla niego ta dziewczyna? Kim jest? Rodzoną siostrą? To nieważne, co przeżyła w dzieciństwie. Tego tylko jeszcze brakowało, żeby przez własną ciekawość i współczucie zarobił kulkę.

Pracowali do samego obiadu i przez cały ten czas Miron rozmawiał z Nataszą, cedząc słowa, i starał się unikać jej wzroku. Początkowo zdumiewała go oryginalnymi i pomysłowymi rozwiązaniami, później szło jej coraz gorzej, z minuty na minutę traciła formę.

- Zmęczyłaś się? - chłodno zapytał Miron.

Pokręciła głową przecząco i przygryzła wargę.

- Więc dlaczego tak słabo ci idzie? Twoje rozwiązania nie

wytrzymują krytyki, są nieudolne. Wybierasz najdłuższy sposób, chociaż można znaleźć rozwiązanie trzy razy krótsze i bardziej finezyjne.

Natasza opuściła głowę i ku swojemu przerażeniu Miron zobaczył, jak na leżący na jej kolanach zbiór zadań zaczęły kapać łzy.

- Uspokój się i weź się w garść - powiedział nieco łagodniej, ale wciąż dość surowo. - Po obiedzie znowu zabierzemy się do pracy.

Obiad, podobnie jak śniadanie, podano Mironowi w pokoju, ale teraz już mu się to nie podobało. Z pewnością jest tu przecież pomieszczenie, na przykład jadalnia albo kuchnia, gdzie zbierają się wszyscy ochroniarze i obsługa. Dlaczego nie miałyby do nich dołączyć? Byłoby weselej. Przy najbliższej okazji musi porozmawiać o tym z Wasilijem. Miron do reszty stracił humor. To, że pokój Nataszy był na podsłuchu, mówiło samo za siebie: nikomu tu się nie ufa i w ogóle w budynku dzieje się coś nielegalnego. Co łączy ojca z tymi ludźmi? Co mają ze sobą wspólnego? Wojskowy, oficer i jacyś wątpliwi bojownicy, którzy próbują sprzedać intelekt nieuleczalnie chorej dziewczyny. Co za koszmar. Żał mu Nataszy. Jednakże własne życie jest cenniejsze, nie będzie zaprzeczał. To jasne, że Wasilij bez wahania skręci mu kark. Miron wyczytał to z jego oczu, gdy ten wygłaszał swoje mało przyjemne obietnice dotyczące radykalnych środków. Wygląda na to, że ojciec jest u tego Wasilija na posyłki, skoro Wasilij nie boi się grozić Mironowi.

Po obiedzie znowu poszedł do Nataszy, ale nikt mu nie towarzyszył. Ochroniarz odprowadził go tylko wzrokiem. Tym razem dziewczyna radziła sobie tak kiepsko, że Miron zaczął nawet powątpiewać, czy nie zwidziały mu się tamte błyskotliwe rozwiązania, które zachwyciły go wczoraj i dzisiaj rano.

- Co ci jest? - zapytał troskliwie. - Źle się czujesz? Może wystarczy na dzisiaj?

Widział, że dziewczyna z trudem powstrzymuje się od płaczu.

A niech ich wszystkich diabli porwą!, pomyślał Miron z niespodziewaną irytacją. Nie mogą dręczyć dziewczyny. Przecież niczemu nie jest winna.

Podszedł do niej i delikatnie pogłaskał ją po głowie. Włosy Nataszy były sztywne, dawno niemyte.

- Niepotrzebnie się denerwujesz, Nataszeńko - powiedział półgłosem. - Przecież mądra z ciebie dziewczyna, świetnie sobie radzisz, nie możesz się tylko skoncentrować. Masz niezwykle zdolności, aż trudno uwierzyć, że bez nauczycieli, wyłącznie na podstawie podręczników, opanowałaś matematykę wyższą, i to bez problemu. Jesteś naprawdę cudownym dzieckiem, a gdy cię strofuję, to wcale nie znaczy, że jesteś głupia, ale że się nie starasz. A teraz podnieś głowę i spójrz na mnie.

Natasza posłusznie uniosła głowę, a Miron zapatrzył się w jej ogromne, jasne oczy.

- Jesteś nie tylko mądra - ciągnął - ale i piękna. A piękne dziewczyny nie powinny płakać, bo od tego się brzydnie. Nie będziesz?

Słaby uśmiech przemknął jej po twarzy.

- Naprawdę uważasz, że jestem piękna?

- Naprawdę. Jesteś bardzo piękna.

- A czemu nie chcesz już ze mną rozmawiać?

Miron się zmieszał. Co miał jej odpowiedzieć? Że Wasilij podsłuchał ich rano i zabronił mu prowadzić z nią rozmowy niezwiązane z matematyką?

- Bardzo chciałbym z tobą porozmawiać, ale musimy pracować, i to ciężko. Słyszałaś przecież, co powiedział Wasilij Ignatjewicz? Jeżeli zrobisz dobre wrażenie, dostaniesz ciekawą i doskonale płatną pracę i będziesz mogła pomóc starszej siostrze utrzymać młodsze rodzeństwo oraz matkę. Dlatego to jest dzisiaj najważniejsze, cała reszta może poczekać. Prawda?

-A później, gdy wszystko się wyjaśni, będziesz ze mną rozmawiał?

- Oczywiście.

- Miron...

-Tak?

- A jeżeli im się nie spodobam? Jeżeli nie zechcą dać mi pracy? Co się wtedy stanie?

- Nie wiem. Chyba odeślą cię do domu.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Jak mogłoby być inaczej? Na pewno cię odeślą.

Wcale nie był tego pewien. Podejrzewał nawet zupełnie co innego. Bajeczki o pracodawcy, który chce zatrudnić utalentowanego matematyka, są dobre dla siedemnastoletniej dziewczyny, która wiele lat spędziła w oderwaniu od rzeczywistości, więc ufnością oraz łatwo wiernością przypomina dziesięcioletnie dziecko. On, Miron, nie da się nabrać. Tu chodzi o co innego. Tylko o co? Co oni planują? Po co uprowadzili tę nieszczęsną dziewczynę? I najważniejsza sprawa: co będzie, jeżeli ona nie spełni ich oczekiwań? Jaki los ją czeka?

Pograżony w myślach, nie usłyszał, jak za jego plecami otworzyły się drzwi, i drgnął zaskoczony, gdy tuż nad uchem rozległ się głos Wasilija.

- Przerwa, moje dzieci. Nataszo, weź tę kartkę i napisz na niej to, co ci podyktuję.

Miron zobaczył, że Wasilij podał jej standardowy blankiet telegramu.

- Na górze napisz dane adresata: Irina Leonidowna Tieriochiną. Teraz swój adres domowy, dokładnie, najpierw kod, później miasto, ulicę i tak dalej. A teraz tekst. Pisz bez znaków interpunkcyjnych. Powiem, gdzie postawić kropki i przecinki. Kochana Iroczo wybacz mi bardzo go kocham kropka Chciałam cię uprzedzić przecinek że z nim wyjeżdżam przecinek ale nie zdążyłam kropka Nie martw się o mnie przecinek mam dobrą opiekę kropka Całuję ciebie Olę Pawlika. Niżej się podpisz: Natasza. Teraz napisz u dołu dane nadawcy: N.L. Tieriochiną. Adres: Murmańsk, ulica Polarna, dom numer dwadzieścia c, mieszkanie numer dziewięć.

Natasza ze zdziwieniem podniosła oczy na Wasilija.

- To znaczy, że jesteśmy w Murmańsku?

- Oczywiście, że nie - odparł z rozdrażnieniem. - Bądź tak miła i nie zadawaj głupich pytań. Twoja siostra dostanie telegram i przestanie się o ciebie martwić. Uzna, że uciekaś z ukochanym. A później, gdy zaczniesz przysyłać jej pieniądze, przestanie się na ciebie gniewać, że wyjechałaś bez uprzedzenia. I wszystko

się ułoży.

Miron z niepokojem zauważył, że Natasza wierzy Wasilijowi. Facet bezczelnie kłamie, patrząc jej prosto w oczy, a ona mu wierzy. Boże, to przecież jeszcze dziecko! Malutki książkowo-telewizyjny ludzik, który zna życie tylko z romansów. Uwierzy we wszystko, co nie będzie się zbytnio różniło od fabularnej fikcji. A łajdak Wasilij to wykorzystuje. I Miron nic jej nie może powiedzieć z uwagi na podsłuch. Musi jednak spróbować się dowiedzieć, czy w pokoju jest ukryta kamera. Może uda się napisać Nataszy karteczkę? Chociaż po co? Po co ryzykować i narażać się na nieprzyjemności? Właściwie w imię czego? Przede wszystkim powinien dbać o własną skórę.

Ira nigdy nie sądziła, że może jej być tak ciężko na duszy. Poruszała się jak automat, wykonując te same codzienne czynności, które zaprzętały ją w ciągu ostatnich lat. Zamiatała, myła, sprzątała, roznosiła jedzenie i napoje, biegła między straganami po bazarze, szorowała patelnie i rondle. A jednocześnie nie przestawała myśleć o Nataszy. Gdzie ona jest? Jak się czuje? Dlaczego ją porwano? Kiedy wróci? I czy w ogóle wróci...

Korotkow prosił, żeby z nikim nie rozmawiała na temat uprowadzenia siostry. Jedynie z milicjantami, którzy zajmowali się sprawą. Dlatego tym, którzy zauważali, że z Irą coś się dzieje, musiała odpowiadać z obojętną miną:

- Wszystko w porządku. Po prostu kiepsko się dzisiaj czuję, chyba złapałam przeziębienie.

Georgij Siergiejewicz, lokator, niczego nie zauważył, przystąpił bowiem do kolejnego etapu negocjacji z żoną na temat zamiany ich wspólnego lokum. Ira codziennie słyszała, jak rozmawiał z nią przez telefon, a w jego głosie pobrzmiwał smutek i gniew. Wydawało się, że pochłonięty własnymi problemami, nie widzi przygnębienia i zdenerwowania właścicielki mieszkania. Natomiast Iljas, przeciwnie, okazał się wrażliwy, co rusz próbował podsunąć jej coś do jedzenia, wciąż pytał, co i jak, dlaczego jest taka zmęczona, może coś ją boli. Znalazł się pocieszyciel...

Czasami Irę ogarniało tak silne pragnienie, żeby podzielić się z

kimś swoim smutkiem, opowiedzieć o śmierci Olega i porwaniu siostry, że musiała się powstrzymać. Skoro nie wolno, to nie wolno. Nawet nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby nie posłuchać Korotkowa. On wie, co jest dla Nataszeńki najlepsze. Ira może przecież zaszkodzić siostrze jakimś nieostrożnym działaniem. Nigdy by sobie tego później nie wybaczyła.

Dzisiaj Ira miała jechać do matki. Odsuwała tę chwilę, bo wizyty w domu opieki sporo ją kosztowały. Nie rozumiała, dlaczego matka zrobiła to, co zrobiła. Nie mogła jej wybaczyć, bo matka, zdaniem Iry, wiodła teraz wygodne życie. Nie było w nim wspomnień koszmaru, nie było problemów, z którymi jej dwudziestoletnia córka zmagala się już cztery lata od rana do wieczora. Ira musiała jednak jechać. Zrobiła więc drobne sprawunki, spełniając wszystkie życzenia kapryśnej matki, i udała się z wizytą. Nie zastała Galiny w pokoju. Gdy stała zamknięta przed zamkniętymi drzwiami, minął ją staruszek zajmujący sąsiedni pokój.

- Twoja mama jest w sadzie - wychrypiął, drepcząc uparcie i walcząc z zadyszka.

Matka rzeczywiście siedziała na swoim wózku inwalidzkim pod rozłożystym dębem. Ira zdziwiła się, nie widząc przy niej zakonnicy, siostry Marfy, która zawsze spacerowała z Galiną.

- A gdzie jest siostra Marfa? - zapytała zamiast powitania, które zwykle pomijała w kontaktach z matką.

Reakcja Galiny ją zaskoczyła. Twarz matki drgnęła, z oczu popłynęły jej łzy, z ust wydobyło się niewyraźne mamrotanie.

- Potwór... Bestia... Monstrum...

Niczego więcej Ira nie potrafiła zrozumieć.

- Co ty pleciesz? - zapytała spokojnie. - Kto jest potworem? Siostra Marfa?

W odpowiedzi z matką zaczęło dziać się coś zupełnie niepojętego. Zasłoniła twarz trzęsącymi się dłońmi i zaczęła się kołysać z boku na bok. Ira przestraszyła się nie na żarty. Po tragedii sprzed sześciu lat ani razu nie widziała, żeby matka dostała ataku hysterii. Przeciwnie, gdy wykreśliła z pamięci swoje poprzednie życie, stała się nad podziw spokojna,

obojętna na wszystko i w ogóle nie przypominała tamtej mamy, którą Ira знаła i kochała w dzieciństwie. Tamta Galina była kochającą i troskliwą matką, czułą, serdeczną wobec dzieci, nigdy nie podnosiła głosu. Natomiast obecna Galina była złośliwa, kapryśna i wymagająca. Oczywiście w obecności Iry często popłakiwała, ale była to zawsze reakcja na opryskliwość córki, a nie przejaw współczucia wobec niej i pozostałych dzieci. Ale żeby aż tak...

- Co się stało, mamó?

Matka jednak nie odpowiadała, kołysząc się coraz mocniej. Chwytyły ją silne drgawki. Irę ogarnął strach. Szybko pobiegła w kierunku budynku, wypatrując jakiegoś lekarza albo chociaż pielęgniarki. Dostrzegła postać w białym fartuchu.

- Na pomoc! - zawołała na cały głos.

Mężczyzna w fartuchu odwrócił się i ruszył ku niej.

- Co się stało?

- Moja mama tam... - z trudem wykrztusiła Ira, pokazując ręką w kierunku alejki, na której zostawiła matkę. - Źle się czuje. Proszę jej pomóc.

Lekarz pospieszył za nią. Na widok Galiny westchnął z ulgą.

-Tieriochina... Jest pani córką Galiny, tak? To nic strasznego, ostatnio jej się zdarza. Za chwilę sama się uspokoi.

- Ale co jej jest, panie doktorze? Przedtem tego nie było. Coś ją boli?

- Niech się pani nie martwi, pani mama nie czuje bólu. To na tle nerwowym.

- A niby czemu miałyby się denerwować? - już spokojniej zapytała Ira.

- Nie wie pani? - Lekarz się zdziwił. - Nie słyszała pani o tym okropnym wypadku z naszą siostrą Marfą?

- Nie. A co się stało?

- Ktoś zabił siostrę Marfę w pokoju pani mamy, a ona ją znalazła. To był dla niej oczywiście ogromny wstrząs, więc teraz, gdy tylko sobie o tym przypomni, zaczyna płakać. Nie powinna się pani niepokoić.

- Może przydałby się jej jakiś zastrzyk?

-Już powiedziałem, że sama się uspokoi. Zobacz pani, że to

raz, dwa minie. A zastrzyki nie są jej potrzebne, i tak zażywa sporo leków.

- Ale ona wciąż się trzęsie... - Ira rzuciła na matkę spojrzenie pełne współczucia pomieszanego ze wstrętem.

- Nic na to nie poradzimy, kochana. - Lekarz wzruszył ramionami. - Będzie pani musiała się do tego przyzwyczać. Pani mama to ciężko chora osoba. Na razie jest jeszcze stosunkowo młoda, ale z wiekiem objawy choroby staną się coraz bardziej odpychające, to naturalny porządek rzeczy, trzeba być na to przygotowanym. Choroba, tym bardziej taka, nie bywa ładna. Zresztą żadna choroba nie jest ładna.

- Więc co mam robić? Czekać, aż przestanie płakać?

- Jeżeli się pani nigdzie nie spieszy, proszę pospacerować sobie po parku. Ale radziłbym wracać do domu. Co to za torby? Należą do pani?

- Tak, przyniosłam trochę jedzenia i parę drobiazgów, o które matka prosiła.

- Niech pani powiesi je z tyłu na wózku. Proszę się nie bać, nikt ich nie zabierze. Kradzieże się u nas nie zdarzają. Chodźmy, odprowadzę panią do wyjścia.

Ira powiesiła torby, obrzuciła matkę szybkim spojrzeniem i złapała się na tym, że poczuła niespodziewaną ulgę, iż wizyta okazała się krótka, a ona nie zdążyła pokłócić się z matką po raz kolejny i popsuć sobie humoru. Sympatyczny, rumiany lekarz towarzyszył jej do wyjścia z parku otaczającego dom opieki.

- A co się stało z zakonnica? - zapytała Ira. - Kto ją zabił?

- Któż to może wiedzieć, kochana. - Lekarz rozłożył ręce. - Milicja szuka zabójcy, ale na razie bezskutecznie.

- Coś podobnego. - Ira westchnęła. - To była taka porządna kobieta. Moim zdaniem tylko z nią matka żyła w zgodzie. A właściwie kto mógł żyć w zgodzie z moją mamą? Taka łagodna, cierpliwa. Ja bym już ze sto razy nawrzeszczała na matkę, a siostra Marfa wszystko zносиła z uśmiechem. Niech pan mi powie, czy ludzie zawsze robią się tacy nieznośnie kapryśni podczas choroby?

- Prawie zawsze. - Lekarz skinął głową. - Im cięższa choroba, tym trudniejszy staje się charakter. Trzeba się z tym pogodzić

jak z czymś nieuchronnym i tyle. Pewnie nieczęsto zdarza się pani odwiedzać mamę?

- Mniej więcej raz w miesiącu. Jak pan się domyślił?

- Gdyby przychodziła pani częściej, na pewno poznalibyśmy się wcześniej. Pani mama przebywa tutaj już od kilku lat...

- Od sześciu - uściśliła Ira, która nagle poczuła wstyd z powodu rzadkich odwiedzin u matki.

- Tak, od sześciu - przytaknął mężczyzna. - A z panią rozmawiam po raz pierwszy. Zazwyczaj dobrze znam krewnych pacjentów, którzy są u nas od dawna. Zawsze do mnie przychodzą. Pani natomiast jakoś nie raczyła się zjawić.

- A kim pan jest? - bez ogródek zapytała Ira.

- Ordynatorem. Nazywam się Siergiej Lwowicz Gułanow - przedstawił się lekarz. - A pani to chyba Ira?

- Tak. Skąd pan wie?

- No, kochana. - Siergiej Lwowicz się roześmiał. - Niech pani nie zapomina, jak tutaj żyjemy. Dla pani świat stoi otworem, a my tutaj mamy zamknięty światek.

Nasi inwalidzi przebywają z dala od zgiełku życia, zdani są na swoje towarzystwo i oczywiście wszystko o wszystkich wiedzą. Choć muszę przyznać, że akurat o pani rodzinie wiemy niezbyt wiele, bo pani mama straciła pamięć. Wiemy jednak, że ma pani dwie siostry oraz brata i oni również są w szpitalu. Niestety nie udało nam się ustalić, co przydarzyło się pani mamie i dlaczego popełniła ten okropny czyn. Gdyby lekarze to wiedzieli, może udałoby nam się pomóc jej odzyskać pamięć.

- Ja też nie wiem - wyznała Ira.

-A inni? Może jest osoba, którą mogłaby pani zapytać?

- Nie. - Ira pokręciła głową. - Nie ma takiej osoby. Nikt nie wie, co w nią nagle wstąpiło. Tata pewnie wiedział, ale zmarł następnego dnia po wypadku.

- Więc została pani całkiem sama? - ze współczuciem zapytał Gułanow.

- Całkiem. Ale poradzę sobie, niech się pan nie martwi.

- Nie wątpię. - Uśmiechnął się. - Moje pytanie podyktowane jest czym innym. Pewnie pani wiadomo, że nasz zakład finansowany jest z budżetu, mówiąc prościej, z kieszeni

państwa. A ona ostatnio robi się coraz bardziej dziurawa. Pieniądze długo w niej nie leżą, wyciekają nie wiadomo gdzie. Sama pani widzi, czym musimy karmić naszych chorych. Pieniądzy dostajemy niewiele, a najważniejsze są leki, dlatego nabywamy je w pierwszej kolejności. Mamy tylko nadzieję, że krewni dożywiają naszych pacjentów. Ale już niedługo będziemy musieli wprowadzić opłaty za pobyt w naszym domu. Jest pani na to przygotowana?

- Ja? - Ira się przestraszyła. - A czy to wyjdzie bardzo drogo?

Tego jeszcze brakowało. Czyżby z tych groszy, które udaje jej się zaoszczędzić dla Pawlika, będzie musiała płacić za matkę?

- Na razie nie wiem, ale przypuszczam, że co najmniej pięćset tysięcy miesięcznie.

- Ile?! - zapytała przerażona Ira. - Pięćset tysięcy? Boże, skąd ja tyle wezmę!

- Niech pani nie panikuje z góry, kochana. Po pierwsze, jeszcze do tego nie doszło. Po drugie, całkiem możliwe, że opłata nie będzie tak wysoka. A po trzecie, są różne ulgi dla osób z niskimi dochodami. Biorąc pod uwagę pani sytuację materialną, opłata za pobyt pani mamy będzie znacznie niższa. Może nawet Galina trafi do kategorii osób, które mieszkają tu za darmo. Ale dotarliśmy już na miejsce. Niech pani biegnie, akurat nadjeżdża autobus.

Gułanow uśmiechnął się pokrzepiająco do Iry i lekko dotknął jej ramienia, jakby chciał ją popchnąć w stronę zbliżającego się autobusu. Ira kiwnęła głową w milczeniu i pobiegła na przystanek, jak zwykle zapominając się pożegnać.

Negocjacje szły jak po grudzie. Ajaks wiedział, że popełnił błąd, jego grupa wykonała robotę niezbyt czysto, ale był zdania, że za poprzednie akcje, przeprowadzone bez zarzutu, druga strona powinna mu wybaczyć i nie zgłaszać pretensji.

Wszystko przez Iljasa. Ajaks tyle razy sobie powtarzał, żeby nie zatrudniać osób słabo przygotowanych, które nie przeszły pełnej procedury weryfikacji. Weryfikacja polegała zwykle na tym, że kandydata wysyłano na pustynię do Azji Środkowej,

żeby się upewnić, że potrafi znieść upał, głód, pragnienie i długie oczekiwanie w milczeniu. Jeżeli wyniki pierwszej weryfikacji okazywały się słabe, ale kandydat wykazywał upór i chęć do pracy, pozwalano mu szkolić się do czasu, aż zaczynał czuć się na pustyni jak we własnym domu. Iljas źle zniósł pustynię, ale bardzo chciał pracować dla Ajaksa, więc zwolniono go z dodatkowego szkolenia, zwłaszcza że chłopak obiecał popracować nad sobą oraz osiągnąć pożądaną kondycję fizyczną i psychiczną, zanim otrzyma pierwsze zadanie. Uwierzono mu. A okazało się...

Pierwszą część operacji przeprowadzono po mistrzowsku, udało się bowiem kupić za ogromne pieniądze tajne dokumenty dotyczące technologii jądrowej. Zadanie Iljasa polegało na dostarczeniu ich do Libii. Jak wszyscy ludzie Ajaksa w takich wypadkach wykupił indywidualną wycieczkę do Egiptu, wynajął tam samochód, oznajmił przedstawicielowi biura turystycznego, że przewodnik będzie mu potrzebny dopiero za trzy albo cztery dni, na razie chce pobyc sam, pospacerować, poopalać się i popływać. Następnie wyruszył w kierunku granicy z Libią. Granice są tam czysto formalne, przebiegają przez pustynię, nikt ich nie kontroluje. Iljas spotkał się w umówionym miejscu z pośrednikiem i udał się razem z nim w kierunku oazy, gdzie było wyznaczone spotkanie ze stroną libijską. I chociaż Iljasa uprzedzono, że pustynia to nie róg Twerskiej i Ogariewa, gdzie ludzie spotykają się przy budynku Centralnego Telegrafu o ściśle ustalonej godzinie, na pustyni czeka się na wyznaczone spotkanie nawet całymi dniami, mimo to czekanie przerosło jego siły. Szybko stracił zimną krew, zaczął się denerwować, niecierpliwie, krzyżeć na przewodnika, który nie mógł się ani z nim rozmówić, ani go wesprzeć czy dodać mu otuchy. Był bowiem Arabem i posługiwał się tylko ojczystym dialektem i klasycznym arabskim, a po angielsku znał ledwie parę zdań koniecznych do wykonania zadania: „Idź za mną”, „Czekaj tutaj”.

Zanim pojawił się Libijczyk, Iljas był już na skraju załamania nerwowego, a możliwe, że przekroczył tę granicę, ponieważ rzucił się na niego z gniewnym krzykiem. Libijczyk, który

również słabo mówił po angielsku, prawie niczego nie rozumiał, wziął dokumenty i odjechał. Zameldował jednak swoim szefom, że człowiek, któremu powierzono dostarczenie ważnych i tajnych dokumentów, okazał się niewiarygodny i niezrównoważony. Za to właśnie Ajaks odbierał teraz to, co mu się należało. Mężczyzna, z którym prowadził negocjacje, był zaufaną osobą Kaddafiego. Świetnie wykształcony, znał dobrze kilka języków europejskich i należał do grupy, której powierzono wyposażenie „kraju islamskiego socjalizmu” w potencjał naukowy. Ajaks nie znał jego prawdziwego imienia, tylko pseudonim, Kastor.

- Pana kraj nas zdradził - powiedział Kastor, pogardliwie wykrzywiając usta. - Zawiedliście się na idei socjalizmu i pozostawiliście na pastwę losu tych, których niegdyś zaraziliście tą ideą. Karmiliście nas obietnicami, mamiliście perspektywą podzielenia się bronią jądrową, a teraz uciekliście gdzie pieprz rośnie. Ale wielka idea islamskiego socjalizmu wciąż żyje, każdy Libijczyk zna *Zieloną Książkę* przywódcy Kaddafiego. Cały świat, który nie podziela naszych przekonań, będzie musiał się przed nami ukorzyć. Wielkość naszej idei nie zna granic, a pan, Ajaks, ośmielił się wystawić naszą misję na niebezpieczeństwo, wysyłając kiepskiego i nierozważnego bojownika z dokumentami.

- Przyznaję panu rację - powiedział Ajaks, pokornie schylając głowę - i mogę dać słowo, że to się więcej nie powtórzy. Zdwoję wysiłki podczas szkolenia ludzi. Proponuję omówić warunki naszej następnej operacji.

Następna operacja nie dotyczyła już tajnej technologii, chodziło o zdobycie dokumentów i biografii dla terrorystów, których szkolono w libijskich obozach. Kandydatów wybierano w Libanie, w ośrodkach dla uchodźców, a po przejściu przyspieszonego szkolenia rozsyłano po całym świecie. Nowo upieczeni terroryści potrzebowali dokumentów, a także biografii, które miały im pomóc w uniknięciu nieprzyjemności w razie kontroli. Ajaks ze swoją grupą był bardzo pomocny. Podczas spotkania na pustyni człowiek Ajaksa otrzymywał zdjęcia terrorystów, którzy kończyli szkolenie przygotowawcze.

Zdjęcia były przemywane niby przez drobnych szmuglerów - do Turcji, Włoch albo na Cypr, po czym przekazywano je odpowiednim osobom, które w krótkim czasie przygotowywały dokumenty. Następnie procedurę powtarzano. Człowiek Ajaksa odbierał podrobione dokumenty, jechał do Egiptu, udawał się na pustynię i czekał w oazie na przedstawiciela Libijczyków, któremu je przekazywał. Dzięki temu terroryści po odbyciu szkolenia w obozie udawali się w wielki świat, mając całkiem przyzwoite pisemne potwierdzenie tożsamości i rodzaju wykonywanych zajęć. Jedna osoba otrzymywała zwykle kilka kompletów dokumentów, w których figurowały oczywiście różne nazwiska. Praktyka dowiodła, że tego rodzaju wstępne przygotowanie znacznie zwiększało mobilność i bezpieczeństwo, pozwalając grupie działać nie tylko skuteczniej, ale i dłużej.

Ajaks miał już na koncie cztery takie operacje, a teraz czekało go omówienie warunków piątej. Jednakże Kastor się nie spieszył, głośno roztrząsając, czy Ajaksowi i jego ludziom można całkowicie zaufać, czy nie zaliczą takiej wpadki jak Iłjas. Ajaks wiedział, że Kastor nie ma wyjścia, tylko Ajaks może przeprowadzić operację, ponieważ poszukiwania innego wykonawcy zabiorą sporo czasu, więc zlecenie i tak dostanie. Kastor gra na zwłokę, podkreśla ryzyko niepowodzenia grupy Ajaksa, bo kieruje nim jeden cel - zabicie stawki. Skoro nie jesteście tak wiarygodni, jak sądziliśmy, wasze usługi powinny być tańsze. Ajaks nie mógł tego kwestionować, pewność i bezpieczeństwo zawsze były w cenie, a skoro stanęły pod znakiem zapytania, wynagrodzenie automatycznie ulegało obniżeniu. W końcu udało im się uzgodnić warunki, po czym Ajaks przeszedł do następnej kwestii, która teraz najbardziej go interesowała.

- Jesteśmy gotowi przystąpić do prac nad opracowaniem dla was metody, która pozwoli waszemu krajowi nie tylko podwyższyć potencjał naukowy, ale i stworzyć idealnych żołnierzy, w ogóle idealnych wykonawców. Rozmawialiśmy już o tym wstępnie z pana kolegą Polluksem, nasza propozycja bardzo go zainteresowała i jest skłonny ją sfinansować.

Kastor w milczeniu czekał na dalszy ciąg, nie zadając pytań ani nie przerywając. Ajaks domyślał się, że bajecznie bogaty mężczyzna, mający irańskie obywatelstwo i pseudonim Polluks, jest albo bratem Kastora, albo jego krewnym. To nie przypadek, że na swoje pseudonimy wybrali imiona braci bliźniaków z greckiej mitologii. Kastor był bardziej wykształcony niż jego brat miliarder, widocznie uczył się swego czasu w Europie albo Ameryce, tam też poznał kulturę starożytnej Grecji. To on zaproponował również pseudonim Ajaksa. Polluks, swobodnie przemieszczający się po całym świecie i mający dostęp do każdego banku, opłacał pracę, którą Ajaks wykonywał dla jego brata. Pewnie walczy też o islamski socjalizm. Ajaks podejrzewał, że tak naprawdę z jego usług korzysta nie tylko Libia, ale i Iran, w każdym razie w części dotyczącej technologii jądrowej i uzbrojenia. Iran również straszy światową społeczność, że niebawem będzie miał broń jądrową, jednak do tego kraju jest dojście, można go jako tako kontrolować. A do Libii praktycznie nikt nie ma dostępu. Wiele się tam nie da skontrolować, bo dookoła jest wyłącznie pustynia. A na pustyni, jak wiadomo, można ukryć, co się żywnie podoba. Nawet obóz przygotowawczy dla terrorystów albo centrum jądrowe. I nikt ich nie znajdzie. Więc o ile na groźby Iranu światowa społeczność patrzy przez palce, o tyle słów Libii nie może ignorować. Z jednej strony niby nic nie mają. A z drugiej kto wie. Całkiem możliwe, że dokumenty, które zdobywa Ajaks, otrzymuje nie tylko Kaddafi, równie dobrze mogą być przekazywane Iranowi. Oczywiście za niezłe pieniądze. Iran to przecież bogaty kraj, nie to co Libia. I wszyscy czerpią z tego korzyść.

Zorganizowanie spotkań z Polluksem było łatwiejsze, więc sporą część kwestii handlowych Ajaks omawiał właśnie z nim, a nie z Libijczykiem Kastorem. O metodzie doktora Wołochowa rozmawiał wstępnie z Polluksem, który od razu się do niej zapalił i obiecał wyłożyć okrągłą sumkę. Przesłał nawet swojego lekarza, żeby obejrzał towar.

- Pan Polluks przysłał do nas swojego eksperta, który zapozna się z wzorami eksperymentalnymi i wyda opinię. Chciałbym

jednak wiedzieć, czy pański kraj jest zainteresowany tą metodą. Ponieważ od wzoru eksperymentalnego do produktu wyjściowego droga jest niestety daleka, a przebycie tej drogi wymaga znacznych nakładów. Muszę wiedzieć, czy mam je ponieść, czy może metoda nie jest panu potrzebna.

- Ufam panu Polluksowi - odparł Kastor bez wahania, wpatrując się w Ajaksa błyszczącymi, wypukłymi oczami. - Jeżeli uzna, że sprawa jest warta pieniędzy, które chce zapłacić, tak właśnie będzie. Oczywiście musi pan wziąć pod uwagę, że jeżeli przekazana przez pana metoda nie sprawdzi się w naszych warunkach, będzie pan musiał zwrócić część wpłaconej sumy.

Sprytny chwyt. Ajaks się tego nie spodziewał. Klient zawsze poniekąd ryzykuje, nabywając towar, i nigdy nie zdarzyło się, żeby za ryzyko i nieopatrność klienta płacił sprzedawca. Nabyty towar nie podlega zamianie ani zwrotowi, obowiązują twarde prawa rynku. Nieuczciwego sprzedawcę można zabić za oszustwo albo ukarać w inny sposób, to nie jest zabronione, ale klient nie ma prawa żądać swoich pieniędzy z powrotem. To znaczy oczywiście ma, ale nikt tego nie praktykuje. Do tej pory Kastor tak się nie zachowywał. Ajaks przekazał mu wiele poufnych i bezcennych dokumentów zdobytych sprytem, łapówkami i szantażem, ale ani razu nie było mowy, że będzie musiał zwrócić pieniądze, jeżeli libijskim specjalistom nie uda się zbudować rakiety albo innej aparatury w oparciu o dokumenty. Nie dali rady, to ich problem, widocznie kiepsko znają fizykę, brakuje im wiedzy. Jednakże Kastor nigdy nie podważał uczciwości Ajaksa i nie podejrzewał, że ten wciska mu lipę. A może podejrzewał, tylko z jakiegoś powodu milczał? A teraz wyszło sztydło z worka...

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że w waszych warunkach metoda może się nie sprawdzić? Chyba chce pan powiedzieć, że w nieudolnych rękach? - ironicznie zapytał Ajaks.

- Chcę powiedzieć, że w moim kraju zarówno klimat, jak i pula genowa poważnie różnią się od tych, w których została opracowana pańska metoda. Jeżeli oczywiście doszło do jej opracowania. - Kastor nie powstrzymał się od złośliwości. -

Dlatego dla nas może się okazać bezużyteczna. Czy nie przyszło to panu do głowy?

- Metoda opiera się na radioaktywnym naświetlaniu płodu, gdy ten znajduje się jeszcze w łonie matki - wyjaśnił Ajaks. - O ile mi wiadomo, oddziaływanie promieniowania jest takie samo w różnych strefach klimatycznych i z pewnością nie zależy od rasowej, a tym bardziej narodowościowej przynależności naświetlanego obiektu.

- No cóż, zobaczymy - obojętnie odparł Kastor. - Zaczekamy, co powie Polluks.

Ajaksowi nie udało się wyczytać z nieprzeniknionej twarzy Libijczyka, czy jest zainteresowany propozycją. Zresztą Kastor zawsze tak się zachowywał, niewzruszenie, spokojnie, niemal pogardliwie, jakby robił Ajaksowi wielką łaskę, że korzysta z jego usług. Ajaks nie irytował się z tego powodu i nie obrażał. Od dawna współpracował z różnymi organizacjami muzułmańskimi. Właściwie odziedziczył współpracę po ojcu, który będąc z pochodzenia Rosjaninem, przeszedł na islam w geście protestu przeciwko znieprawdzonej rzeczywistości radzieckiej. Przez wiele lat pracował w Azji Środkowej i w okresie kampanii afgańskiej zajmował się przemytem broni dla krajów Bliskiego Wschodu. Swoje bogate i szerokie kontakty przekazał ukochanemu synowi, udzielając mu zarazem rady: „Pamiętaj, synku, że dopóki istnieje islamski terroryzm, zawsze można zarobić duże pieniądze. Głupio by było tego nie wykorzystać”.

Pod koniec czerwca w Rzymie panował nieznośny upał. Siedzieli w ogródku baru Colombo przy Piazza Navona, gdzie zawsze jest pełno turystów i gdzie można się spotkać bez obawy zwrócenia na siebie uwagi. Ajaks przyleciał do Rzymu na dwa dni, tylko po to, żeby się spotkać z Kastorem. Dzisiaj wieczorem miał zarezerwowany lot do domu. Nigdy nie lubił się tu zatrzymywać, z jakiegoś powodu Rzym mu się nie podobał i ani razu nie miał ochoty, żeby obejrzeć miasto. W gruncie rzeczy Ajaks nie był miłośnikiem podróży.

Negocjacje dobiegły końca, Ajaks zaczął się zbierać do wyjścia. Bez pośpiechu sięgnął po portfel, wyjął kilka banknotów i

wsunął je pod okrągłą kartonową tackę, na której kelner przyniósł mu kawę i rachunek. Każdy płacił za siebie, tak było przyjęte wśród turystów, więc nie należało się wyróżniać.

Im dłużej wywiadowcy sprawdzali doktora Wołochowa, tym bardziej niezrozumiała stawała się jego postać. Jeżeli wierzyć zapiskom w jego notesie, w czasie gdy zginęły Jekatierina Wieniediktowna Aniskowicz, siostra Marfa i pielęgniarka oddziału dziecięcego Alewtina Myrikowa, Wasilij Wasiljewicz zajmował się wszystkim, tylko nie zabójstwami. Natomiast w dniu, w którym ekspiosenkarka Jelena Romanowa tak nieszczęśliwie spadła ze schodów, był na konferencji w obwodzie kałuskim, w Obninsku, gdzie jak wiadomo znajduje się jeden z największych w Rosji instytutów specjalizujących się w problemach radiologii medycznej. I nawet wygłosił referat. Wszystkie zapiski zostały skrupulatnie sprawdzone i wyglądało na to, że Wołochow miał niewątpliwe i niepodważalne alibi we wszystkich czterech przypadkach.

- To znaczy, że ma współników, tak jak przypuszczaliśmy - skwitowała Nastia Kamińska. - Nie wolno nam odstępować go ani na chwilę, póki się z którymś nie spotka.

Jednakże pułkownik Gordiejew nie poparł tej propozycji. W Moskwie po wybuchu w metrze znaleziono kilka nowych ładunków wybuchowych w miejscach dużych skupisk ludzi, więc zasadnicza część składu osobowego została skierowana do wzmocnienia ochrony. Milicjanci w mundurach ostentacyjnie sprawdzali wagony metra, trolejbusy, autobusy i tramwaje, a także kolejkę podmiejską, a wywiadowcy ubrani po cywilnemu pracowali w ukryciu, obserwując pasażerów i przechodniów, kontaktując się z agentami i próbując wysledzić terrorystów, zanim zdarzy się kolejne nieszczęście. Znalezienie ludzi do prowadzenia obserwacji Wołochowa było sprawą wyjątkowo skomplikowaną, w takiej sytuacji można by przydzielić anioła stróża bardzo niebezpiecznemu przestępcy, terrorysty albo na przykład seryjnemu mordercy, ale w żadnym razie nie sympatycznemu doktorowi nauk medycznych. Gdyby w

przededniu drugiej tury wyborów planował zamach na kandydata na prezydenta, wtedy co innego.

A tak...

- W takim razie musimy załatwić to sami, moje dzieci - powiedział Wiktor Aleksiejewicz. - Zrobimy tyle, ile zdołamy.

- A co my możemy zrobić! - zawołał oburzony Siełu- janow. - Korotkow był u niego w instytucie, więc jedna osoba już odpada, doktor go rozpozna. Aśka nie jest mobilna, pracuje głową, a nie nogami. Zostajemy tylko my z Miszanią. Jeżeli będziemy na okrągło deptać mu po piętach, za dwa dni nas skojarzy. I co później zrobimy?

- A więc nie musicie na okrągło - odparł Gordiejew. - Jesteście wywiadowcami, powinniście wiedzieć, kiedy warto go śledzić, a kiedy nic interesującego raczej się nie zdarzy. Kierujcie się swoim wywiadowczym nosem oraz doświadczeniem. Aha, ustalcie dokładny adres tamtego mieszkania, do którego przyprowadza swoje damy. Niewykluczone, że właśnie tam spotyka się ze współnikami. A za parę dni, jeżeli nic się nie wydarzy, poprosimy Olszańskiego, żeby porozmawiał z doktorem. Niech powie, czym podyktowane jest jego zainteresowanie rodziną Tieriochinów.

- Sądzi pan, że już pora? - z powątpiewaniem zapytała Nastia.

- Nie sądzę - gwałtownie odparował Pączek Gordiejew. - Ale nie mamy wyjścia. Dziewczyna została uprowadzona i na razie nie nadeszły żadne wiadomości ani od niej, ani od porywaczy. Musimy przyspieszyć pracę, bo za chwilę będzie za późno.

Wróciwszy do swojego pokoju, Nastia już miała zabrać się do kolejnej porcji informacji, które musiała posegregować i przeanalizować, gdy wpadł poruszony Korotkow.

- Ira Tieriochina dostała telegram od siostry!

-Co?!

- Telegram. Przeczytała mi go przez telefon. Że niby wybacz, kocham, on mnie zabrał i się mną opiekuje. Chciałam uprzedzić, ale nie zdążyłam.

- Brednie! - gniewnie rzuciła Nastia.

- Oczywiście - już spokojniej przyznał Korotkow. - To zupełnie nieprawdopodobne. Ale fakt pozostaje faktem! Telegram

przyszedł podobno z Murmańska. Już tam dzwoniłem, mają znaleźć pocztę, odszukać oryginał telegramu i sprawdzić adres. Ale to na pewno jakaś lipa.

- Może i lipa. Dobrze, Jurik, bądźmy przezorni i zacznijmy szykować materiał do ekspertyzy. Jeżeli pojawi się oryginał, Olszański z pewnością go sobie zażyczy, więc będziemy potrzebowali próbek do porównania. W szpitalu są pewnie zeszyty Nataszy, trzeba je natychmiast zarekwirować.

- Domyślam się, że wolałabyś, abym ja to zrobił - uściślił Korotkow. - Sama oczywiście nie ruszysz się z za biurka.

- Masz rację - szczerze wyznała Nastia. - Wybacz, mój drogi.

Jura pojechał, a Nastia zaczęła się zastanawiać nad dziwnym telegramem. Po co go wysłano? To przecież oczywiste, że nikt nie uwierzy w takie bzdury. Z drugiej strony, różne rzeczy dzieją się na świecie. A może to sposób poinformowania, że dziewczyna jest cała i zdrowa, że nic złego na razie jej się nie stało? Że niby przestańcie szukać, bo nikt nie tknie jej nawet palcem. Nie, nie pasuje. Ten, kto ułożył telegram, nie mógł liczyć na głupotę i łatwowierność milicjantów. Na co więc liczył?

Teraz wszystko mniej więcej wiadomo. Dowcipny autor telegramu, najprawdopodobniej porywacz, nieźle orientuje się w sytuacji. Milicja dwoi się i troi, zwłaszcza teraz, w okresie wyborów, gdy dochodzi do zamachów na polityków i urzędników, a w środkach komunikacji wybuchają bomby. A zatem nikt nie będzie się szarpał i wychodził ze skóry, żeby znaleźć dziewczynę. Dotychczasowe działania nie przyniosły rezultatu, więc sprawa powoli odchodzi w zapomnienie. Najważniejsze, żeby krewni zaginionej nie naprzykrzali się milicjantom. Dopóki nie zostanie znalezione ciało, nikt nie będzie się wysilał. Telegram wysłano wcale nie po to, żeby wywiadowcy i śledczy weń uwierzyli. Jest potrzebny, żeby Nataszy nie szukali, jeżeli nie chcą jej szukać. A zdaniem porywacza nie powinni tego chcieć. Mało mają innej roboty?

Kalkulacja była zatem następująca. Po otrzymaniu telegramu od siostry Ira dojdzie do wniosku, że taki układ oznacza jedną gębę mniej do wykarmienia. To już nieźle. A jeżeli Ira ma dość harówki na utrzymanie czworga inwalidów, wiadomość od

siostry przyjmie za dobrą monetę, ponieważ dzięki temu złapie oddech. W tej sytuacji nie będzie się naprzykrzać milicji. Wszystko się ułożyło, wyjaśniło, Natasza jest urządzona, no i chwała Bogu. Nawet jeżeli wątpliwości do końca jej nie opuszczą, wieloletnie zmęczenie, sytuacja bez wyjścia i nieustanny brak pieniędzy szybko sprawią, że odsunie je na bok albo nawet o nich zapomni.

Jest jeszcze drugi aspekt sprawy. Całkiem możliwe, że telegram był obliczony nie tylko na Irę Tieriochinę, ale również na jej uprowadzoną siostrę. To pasowało do faktu, że porwanie przygotowano bardzo starannie, oszczędzając siedemnastoletniej dziewczynie widoku brutalnej przemocy. Ta troskliwość w stosunku do Nataszy od razu zwróciła uwagę i Nasti, i Korotkowa. A teraz znowu chcą uspokoić Nataszę, to znaczy pozwolić jej, żeby zawiadomiła siostrę, że wszystko w porządku i nie powinna się denerwować. W tym wypadku telegram, a raczej jego oryginał, z pewnością został napisany ręką Nataszy. Po co składać dziewczynie obietnice, lepiej wysłać telegram do jej siostry w Moskwie i pozwolić, żeby własnoręcznie go napisała. I upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: uspokoić Nataszę, a gdyby Stróże porządku chcieli się przypadkiem zabawić w sprawdzanie, dostarczyć im kolejnego dowodu, że dziewczyny nie trzeba szukać, bo sama przecież napisała, że u niej wszystko w porządku. Nic w tym również dziwnego, że podała niewłaściwy adres. Przecież nie chce, żeby siostra się zjawiała i zabrała ją z domu, w którym mieszka razem z ukochanym.

Tak więc z ekspertyzą nie ma pośpiechu, i tak pewnie się okaże, że telegram rzeczywiście napisała Natasza Tieriochiną. Jedyne, co w tej sytuacji warto zrobić, to spróbować ustalić, kto go przyniósł na pocztę w Murmańsku. Mało prawdopodobne, żeby to była Natasza. Porywacz nie zaryzykowałby przywożenia jej na pocztę, dziewczyna porusza się przecież na wózku inwalidzkim, a to rzuca się w oczy. W dodatku jest ładna. Nie da się jej nie zauważyć. Był to raczej ktoś inny. Tyle że pracownicy poczty codziennie obsługują tylu klientów... Ech, gdyby tak uruchomić Miszę Docenkę!

Rozdział 15

Po kolacji Miron zszedł na dół i skierował się do lasu okalającego budynek.

- Gdzie jest Wasilij Ignatjewicz? - zapytał stojącego przed drzwiami ochroniarza.

Ten nie raczył odpowiedzieć, obrzucił tylko Mirona uważnym spojrzeniem.

- Przekaż mu, że muszę z nim porozmawiać.

Niespiesznym krokiem ruszył wokół budynku. Ogródzony teren był właściwie nie tak duży, betonowy płot widać było z każdego miejsca. Wszędzie rzucali się w oczy milczący ochroniarze. Tak, stąd nie da się uciec. Wystarczy, że się człowiek podrapie po głowie, a zaraz ktoś zauważy. Sto par oczu i sto par uszu prowadzi obserwację. Ale po co to? Jakich tajemnic madryckiego dworu tu strzegą? I jaki związek z nimi ma siedemnastoletnia niepełnosprawna dziewczyna?

Miron znowu nie usłyszał kroków Wasilija. Albo zamyślił się zbyt głęboko, albo ów postawny mężczyzna poruszał się nad wyraz lekko i bezszelestnie.

- Chciałeś się ze mną widzieć? Co się stało?

- Chciałem porozmawiać o Nataszy. Wie pan, zauważyłem coś ciekawego. Nie powinna denerwować się i martwić, bo wtedy jej umysł od razu się wyłączy.

- Tak? To interesujące. Powiedz coś bliżej.

- Po naszej porannej rozmowie stałem się bardziej surowy i powściągliwy, a dziewczynę tak to wyprowadziło z równowagi, że zaczęła pracować zdecydowanie gorzej. Gdy zaś po obiedzie pochwaliłem ją i powiedziałem, że jest piękna, znowu wykazała się błyskotliwością. Nie będę przed panem ukrywał, że Natasza rozwiązuje nawet te zadania, z którymi ja sobie nie radzę, a przecież jestem najlepszym studentem na roku. Nie chcę się chwalić, ale gdy wiosną oddałem swoją pracę roczną, mój opiekun naukowy stwierdził, że napisałem ją na poziomie dobrej rozprawy doktorskiej.

- Chcesz powiedzieć, że dziewczyna ma taką samą wiedzę? - nieufnie zapytał Wasilij.

- Nawet większą. Ale tylko wtedy, gdy jest spokojna i ze wszystkiego zadowolona. Wystarczy, że się zdenerwuje, rozgniewa albo zirytuje, a nic jej nie wychodzi. Wiedział pan o tej osobliwości?

- Nie wiedziałem. Ale dobrze, że mi powiedziałeś, teraz będę wiedział. To bardzo ważne. Czy to wszystko, co chciałeś mi przekazać?

- Właściwie... - Miron się zmieszał, nie spodziewał się, że Wasilij tak szybko zakończy rozmowę. - Chciałem, żeby pan pomyślał, jak jej nie denerwować, jeżeli pan chce, żeby osiągała dobre wyniki. Nie wolno jej obrażać ani złościć.

- A czy ja ją obrażam? Z nas dwóch ty jesteś prawdziwym specjalistą w tej dziedzinie. - Wasilij uśmiechnął się krzywo. - Masz coś konkretnego na myśli?

- Tak - twardo odparł Miron, podejmując decyzję. - Musi pan wymienić pielęgniarkę.

- Mówisz o Nadi?

- O niej. Jest niezycliwa, a dziewczyna to wyczuwa. Za każdym razem, gdy pańska Nadia wchodzi do pokoju, Natasza sztywnieje i zaczyna się denerwować. Zresztą ja też, szczerze mówiąc. To bardzo nieprzyjemna osoba, wyjątkowo nieprzyjemna. Gdy Natasza potrzebuje jej pomocy, stara się poradzić sobie sama i zwleka, ile tylko może, byle tylko nie

wzywać Nadi. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Na przykład dzisiaj Natasza niezręcznie się poruszyła i wylała na siebie kubek gorącej herbaty. Musiała zmienić ubranie, ale nie mogła pozwolić, żebym ja to zrobił, przecież to już dorosła dziewczyna, a nie małe dziecko. Nie chciała jednak wzywać Nadi. Męczyła się więc w mokrych spodniach, czekała, aż skończymy zajęcia i wyjdę. Do kitu z taką robotą, Wasiliju Ignatjewiczu, tak nie powinno być. To wyprowadza Nataszę z równowagi. A poza tym mogła się oparzyć, przecież wylała na siebie wrzątek, oparzenie należało posmarować jakąś maścią, a ona się męczyła.

- Bzdury - uciał Wasilij. - Bzdury i fanaberie. Może dziewczyna będzie jeszcze decydować, jaki personel mam wybrać. Nadia to dobra, doświadczona pielęgniarka, a najważniejsze, że jest absolutnie pewna. Nie mam nikogo, kto by ją zastąpił. To już twoje zadanie, żeby przekonać dziewczynę, że nie powinna zawracać sobie głowy głupstwami. Zadaniem pielęgniarki jest dbanie o zdrowie fizyczne pacjenta, a nie o jego stan emocjonalny. Nadieżda świetnie sobie radzi ze swoimi podstawowymi obowiązkami, niczego więcej nie mamy prawa od niej żądać. Nikt nie ma prawa. W tym również Natasza, bez względu na to, jakie z niej cudowne dziecko. Nikomu się nie podoba, gdy inni go nie lubią, każdy oczywiście woli mieć do czynienia z osobami życzliwymi, które dobrze go traktują, ale w życiu, niestety, nie zawsze ma się możliwość wyboru towarzystwa. Jeżeli nasza dziewczyna tego nie rozumie, trzeba jej to skutecznie wyjaśnić. Niech uczy się żyć w świecie dorosłych.

W świecie dorosłych. No cóż, chyba nadszedł odpowiedni moment, żeby zacząć rozmowę o świecie dorosłych, do którego ma trafić Natasza.

- Wasiliju Ignatjewiczu, czy to prawda, że ktoś chce zatrudnić Nataszę?

Wasilij stanął jak wryty i gwałtownie odwrócił się w stronę Mirona.

- Miałeś kiedyś do czynienia z milicją?

- Nie - odparł Miron ze zdziwieniem. - Tylko przy wydawaniu

dowodu osobistego. A czemu?

- Wiesz, jakie jest ulubione powiedzenie milicjantów?

-Nie.

- Tutaj my zadajemy pytania. A pan tylko na nie odpowiada. Nigdy tego nie słyszałeś?

- Chyba że w kinie. - Miron zmusił się do uśmiechu, uświadamiając sobie, że Wasilij raz na zawsze przywołał go do porządku.

- Teraz usłyszałeś na żywo. I zapamiętaj, Miron, czy jak tam naprawdę się nazywasz: jedyna rzecz, którą masz tu do zrobienia, to uczyć dziewczynę. Jeden krok w bok i jesteś martwy. Jedno niepotrzebne słowo, jeden niepotrzebny gest albo niewinne pytanie wychodzące poza ramy twojej pracy, to właśnie będzie ten krok w bok. Żebyś lepiej zrozumiał, powiem ci coś jeszcze. Twój ojciec wiele mi zawdzięcza. Nie chodzi o pieniądze, ale o naszą sprawę i jego życie. Jeżeli więc nie będę zadowolony z twojego postępowania, twój ojciec pierwszy pośle ci kulkę, uzna to za sprawę honoru. Więc nie rób sobie nadziei, że cię ochroni. Koniec, dosyć tej rozmowy, wracajmy.

W tej chwili Aslan-Miron rozumiał, że jest już martwy. Nie miał niezbitych i logicznych argumentów, zupełnie nie rozumiał, co się tutaj dzieje, ale intuicja podpowiadała mu, że będzie mógł stąpać po grzesznym padole dopóty, dopóki będzie uczył Nataszę. Bo nikt go stąd nie wypuści. Nie jest swój, nie należy do organizacji, więc jeżeli poznał tajemnicę pobytu Nataszy, nikt mu nie pozwoli jej później zdradzić. Zrobić to można tylko w jeden sposób. A ojciec, jak się okazało, mu nie pomoże. Bez względu na to, czy Miron będzie posłuszny, czy nie, czeka go jeden koniec, prędzej albo później, to jedyna różnica. Jego jedyną nadzieją jest nieuleczalnie chora dziewczyna Natasza Tieriochina. Tylko ona może go uratować. Miron musi więc zrobić wszystko, żeby ją znalaziono, zanim skończą się zajęcia i przestanie być potrzebny szajce Wasilija.

Aslan-Miron trafnie scharakteryzował sposób myślenia dziewczyny. Intelkt o potężnym potencjale łączył się z

całkowitym brakiem doświadczenia życiowego i niezwykłą ufnością, co pozwalało Nataszy wierzyć w najbardziej absurdalne kłamstwo. Leżąc na łóżku szpitalnym, w wolnym czasie przeczytała tyle romansów, że życie wyobrażała sobie właśnie tak, jak opisywano w powieściach. Na świecie można spotkać Kopciuszka i dobrą wróżkę, a także księcia z bajki. Istnieją niezwykle zbiegi okoliczności i szlachetni, bezinteresowni bogacze. Nie oznaczało to oczywiście, że Natasza wierzyła w czarodziejską zamianę dyni w karete, a szczura w woźnicę, zbyt dobrze знаła fizykę i chemię, wierzyła jednak w możliwość czarodziejskich przemian w życiu. Upór, z którym zdobywała szkolną wiedzę, był podyktowany ową ślepą wiarą w możliwość cudu. Cud z pewnością się zdarzy, ale nie może nań liczyć ten, kto siedzi z założonymi rękami i nic nie robi. Liczne historie o Kopciuszkach dwudziestego wieku dobitnie dowodziły, że szczęście i sukces osiągają tylko ci, którzy z uporem pracują, pracują przez całe dni i noce, nie szczczędząc wysiłków, nie pozwalając sobie na chwilę wytchnienia. Natasza Tieriochiną pracowała. Dlatego to, co się teraz wydarzyło, nie wydawało jej się absolutnie nierealne. Ktoś zauważył jej zdolności, więc chce ją zatrudnić mimo choroby i kalectwa. No cóż, właśnie do tego dążyła, czytając podręczniki i książki naukowe, rozwiązując zadania z fizyki, chemii i matematyki, pokonując ból w plecach i nogach, walcząc z atakami rozpaczy, myśląc, że nigdy nie będzie żyła jak inni. W wieku trzynastu lat opanowała matematykę na poziomie szkoły podstawowej, kolejne półtora roku zajęło jej pogłębianie wiedzy z matematyki elementarnej, a gdy miała piętnaście lat, poświęciła się matematyce wyższej, wiedząc, że choroba dyktuje swoje warunki. Właściwie chemia albo na przykład biologia podobały się Nataszy o wiele bardziej, ale dziewczyna zdawała sobie sprawę, że zarówno chemik, jak i fizyk czy biolog nie może pracować poza laboratorium, bez aparatury i odczynników, leżąc w szpitalu. A matematyk sobie poradzi, w niektórych wypadkach obejdzie się nawet bez komputera.

Porwanie nie przestraszyło nazbyt Nataszy, tym bardziej że

nikt jej tutaj nie krzywdził i niczym nie groził. Przeciwnie, Wasilij był delikatny i zatroszczył się, żeby Ira się nie martwiła i nie drżała ze strachu o zaginioną siostrę. A o Mironie nawet nie ma co mówić. Na drugi dzień doprowadził wprawdzie Nataszę do łez oschłością i chłodem, ale później to minęło i więcej się nie powtórzyło. Wokół przystojnego korepetytora skoncentrowały się wszystkie myśli dziewczyny. Był żywym uosobieniem tego, o czym czytała w książkach. A ponieważ w powieściach młodzi, bogaci i piękni mężczyźni zakochiwali się w ciężko chorych dziewczynach, doceniając ich rozum, charakter i walory duchowe, to codzienne wielogodzinne obcowanie z Mironem wypełnione było radosnym podnieceniem i marzeniami, które wcale nie wydawały się Nataszy jałowe czy nieuzasadnione.

Podczas zajęć często łapała na sobie spojrzenie Mirona i miała wrażenie, że chłopak chce jej coś powiedzieć, ale nie ma odwagi. Dziewczyna znajdowała tylko jedno wyjaśnienie, więc jej serduszko zaczynało bić szybko i radośnie. Nie chciała rozczarować Mirona, toteż usiłowała pokazać się w jak najlepszym świetle, z pasją ucząc się z nim matematyki i fizyki i nie skarżąc się ani na ból, ani na zmęczenie. Każda jego pochwała brzmiała dla niej jak nieziemska muzyka, a gdy wspominał o jej urodzie, Natasza dostawała skrzydeł.

Piątego dnia do jej pokoju przyniesiono komputer. Miron powiedział, że czas przejść do programowania. Natasza błyskawicznie zapamiętała wstępne wyjaśnienia i poprosiła Mirona, żeby dał jej samodzielne zadanie. Poradziła sobie z nim z zadziwiającą łatwością. Odniosła nawet wrażenie, że Miron specjalnie dał jej bardzo proste zadanie.

- Wybierz coś trudniejszego - poprosiła.

- Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

- Jestem pewna. - Natasza skinęła głową. - Przecież zrozumiałam wszystko, co mi mówiłeś.

I rzeczywiście dała sobie radę, w dodatku szybko i bez problemu. Mironowi stworzenie takiego programu zajęłoby co najmniej dwie godziny, a Natasza potrzebowała niecałych dwudziestu minut.

- Zajmowałaś się kiedyś programowaniem? - zapytał podejrzliwie.

- Tak naprawdę to nie. Czytałam książki, uczyłam się, próbowałam sama coś stworzyć, ale nigdy nie miałam komputera.

- Jesteś nadzwyczajna - powiedział zachwycony Miron. - Nawet nie przypuszczałem, że są na świecie osoby takie jak ty. Gdyby mi ktoś o tobie opowiedział, tobym nie uwierzył.

- Naprawdę?

Natasza ożywiła się, ogromne oczy zaczęły jej błyszczeć, a blada, anemiczna twarz pokryła się rumieńcem.

- Przysięgam - z przejęciem odparł Miron. - Nie uwierzysz, ale teraz to nie ja ciebie uczę, ale ty mnie.

- Co też ci przyszło do głowy, Miron...

- Wiem, co mówię. Myślę, że twoi pracodawcy nie będą rozczarowani.

- Sądzisz, że mam szansę dostać tę pracę?

- Oczywiście, i to bardzo dużą. Ale Wasilij mówił, że musi cię jeszcze zbadać lekarz.

- No tak. - Natasza od razu się zachmurzyła. - O tym nie pomyślałam. Może odrzucą mnie ze względu na stan zdrowia. Miron, czy nie mógłbyś się dowiedzieć, jakie mają wymagania?

- Porozmawiam z Wasilijem - obiecał.

Teraz Natasza najbardziej na świecie pragnęła spodobać się tym, którzy zadecydują o jej przyszłości, ponieważ przyszłość w jej przekonaniu nierozzerwalnie wiązała się z Mironem. Miron pracuje dla Wasilija, to zrozumiałe, ale przecież Miron jest taki wspaniały i mądry, czuły i troskliwy, bardzo dobry, a to oznacza, że Wasilij również nie może być złym człowiekiem. Bo przecież taka osoba jak Miron nie może pracować dla przestępców. To, że przemocą zabrano ją ze szpitala, w dodatku w tajemnicy przed rodziną i lekarzami, przestało już Nataszę niepokoić. Ci ludzie chcą jej dobra, a lekarze i siostra Ira nie pozwoliliby jej odejść ze szpitala i zacząć pracować. Skoro Miron jest związany z Wasilijem, a Wasilij z tymi, którzy chcą ją zatrudnić, jest rzeczą wielce prawdopodobną, że Natasza będzie pracować razem z Mironem. Albo przynajmniej obok niego. Będą spędzali dużo czasu razem i kto wie... W każdym

razie w książkach wyglądało to bardzo przekonująco i wiarygodnie.

Natasza prawie w ogóle nie myślała o młodszej siostrze i braciszku, nie tęskniła za nimi. W jej życiu nagle pojawił się sens. To, co było dla niej najważniejsze, skoncentrowało się wokół Mirona. Gdy zdrowa Natasza chodziła do szkoły, była jeszcze zbyt młoda, żeby się w kimś zakochać. Później, przykuta do łóżka, nie znajdowała w swoim otoczeniu nikogo, kto by sprawił, żeby budziła się w środku nocy z mocno walącym sercem. I w końcu to nastąpiło.

Pierwsza miłość całkowicie ją pochłonęła, nie zostawiając miejsca na niepokój i usuwając wszelkie wątpliwości.

Nocą Mirona obudził warkot samochodu. Usłyszał kroki na schodach przed wejściem i przytłumione głosy, nie mógł jednak zrozumieć ani słowa. Nie rozmawiano po rosyjsku, a także nie w języku, którym zwykle posługiwali się odwiedzający ojca brodaci nieznajomi. Dobiegająca mowa była gardłowa i jakaś lekka, bez twardo wymawianych spółgłosek, do których przywykło ucho.

Miron wyrzwał przez okno i zdążył tylko zobaczyć tylne światła wyjeżdżającego na drogę auta i usłyszeć ciche skrzypienie zamykającej się bramy. Ktoś przyjechał, pomyślał. Przyjechał, a nie wyjechał, bo nieznajome głosy słyhać było już po tym, jak samochód ruszył sprzed wejścia. Chłopak poczuł niepokój i lęk, chociaż doskonale wiedział, że mężczyzna, który przyjechał, nie ma z nim żadnego związku.

Sen już nie wrócił, więc Miron do świtu przewracał się na łóżku, bezskutecznie próbując wymyślić, jak wybrnąć z tej patowej sytuacji. Jak nawiązać kontakt z osobami poszukującymi Nataszy. Przecież to niemożliwe, żeby jej nie szukano. I ten głupi telegram... Czemu miał służyć? Może starsza siostra Nataszy to kompletna idiotka i uwierzy w te brednie o namiętnej miłości, ale w milicji nie pracują sami idioci. Może siostra przestanie się martwić o Nataszę, jednakże milicja nie przestanie jej szukać. A jeśli przestanie? Na co liczył

Wasilij, zmuszając dziewczynę, żeby napisała telegram? Założmy, że Ira go dostanie, zaniesie na komisariat, milicja skieruje zapytanie do Murmańska i w ciągu dwóch godzin okaże się, że w mieszkaniu numer dziewięć, znajdującym się w domu numer dwadzieścia na ulicy Polarnej, nie ma Nataszy Tieriochinej i nigdy nie było. Co dalej? Miron wyteńczył pamięć, przypominając sobie przeczytane niegdyś kryminały. Co robi milicja w takich wypadkach? No tak, szukają na telegramie numeru poczty, z której został nadany, i konfiskują tam wypełniony ręcznie przez nadawcę blankiet. Porównują charakter pisma. Wezmą blankiet i przekonają się, że tekst został napisany przez Nataszę. Chyba jeszcze zdejmują odciski palców. Na blankiecie są odciski paluszków Nataszy, co będzie stanowiło dodatkowe potwierdzenie, że to ona rzeczywiście napisała telegram. Wszystko zabierze trochę czasu... Później zaczną sobie łamać głowę, co to znaczy. Skoro Natasza napisała telegram, to znaczy, że żyje. Skoro uspokaja siostrę, to znaczy, że nie chce, żeby jej szukano. Skoro podała fałszywy adres, to znaczy, że nie chce, żeby ją znaleziono. Może więc rzeczywiście milicjanci się uspokoją i przestaną szukać dziewczyny. Nikt przecież nie żąda za nią okupu, niczym jej nie grozi. Wyjechała z ukochanym.

Żeby tak skontaktować się z siostrą Nataszy. W tej samej chwili Mironowi przyszła do głowy wyjątkowo nieprzyjemna myśl, że starsza siostra Nataszy może być w zмовie z szajką Wasilija. Telegram jest potrzebny tylko po to, żeby Ira mogła się nim zasłonić i tłumaczyć wszystkim, dlaczego się nie martwi i nie nagabuje milicji. A jednocześnie odsunie od niej podejrzenia, że wiedziała o przygotowywanym uprowadzeniu. To bardzo prawdopodobne. Tylko że wtedy nie ma sensu szukać z nią kontaktu, to nic nie da, a Wasilij natychmiast się dowie, co Miron kombinuje.

Trzeba by to jakoś wyjaśnić. Żeby chociaż się dowiedzieć, jakim człowiekiem jest starsza siostra Nataszy.

Dzień zaczął się od niespodzianek. Ochroniarz, który przyniósł Mironowi śniadanie, oznajmił, że przed południem nie będzie zajęć z Nataszą. Miron pił jeszcze kawę, gdy zjawił się Wasilij.

- Dzisiaj masz wolne - oznajmił.
- Dlaczego? To już koniec nauki?
- Nie, ale dzisiaj pauzujemy. Przyjechał lekarz, musi przeprowadzić wstępne badanie.
- Trudno. - Miron wzruszył ramionami, starając się wypaść beznamiętnie. - I co mam robić przez cały dzień? Może przejdę się do wsi?

Wasilij uniósł lekko brwi, jakby się zdziwił.

- Do jakiej wsi? Dookoła las.

- Niech pan da spokój. - Miron uśmiechnął się. - Przecież pamiętam drogę, którą mnie wieziono. Piętnaście kilometrów stąd jest wieś. Samochód też pan ma. Dlaczego nie miałbym pojechać? Co panu szkodzi?

- Zapomnij o tym - oschle odparł Wasilij. - Nie wyjdiesz za bramę, póki wszystko się nie skończy. Co miałbyś robić we wsi?

- Kupiłbym to i owo.

- Na przykład?

- Piankę do golenia, coś do jedzenia, książki. Umrę tu z nudów, przecież z nikim oprócz dziewczyny się nie kontaktuję, a z nią nie pozwala pan pogadać po ludzku, wolno tylko o nauce.

- A czemu jedzenie ci nie odpowiada? - zapytał zaniepokojony Wasilij. - Za mało? Jesteś głodny?

- Skąd znowu, wystarczy, ale jestem przyzwyczajony do czego innego. Barszcz, kluski, bliny, pierogi - moja mama wspaniale to wszystko gotuje. A tu u was karmią człowieka nie wiadomo czym.

- Nie wymyślaj - surowo odparł Wasilij. - Jedz, co ci dają. Jedzenie jest dobrej jakości i kaloryczne. Jeżeli potrzebujesz książek, zrób listę, pošlę kogoś, żeby kupił. Chociaż muszę cię od razu uprzedzić, że w tutejszych sklepach wybór jest kiepski. Wątpię, żeby mieli to, czego ci potrzeba.

Miron postanowił się wycofać. Zdążył już zauważyć, że Wasilij nie lubi, gdy się przy czymś upiera. Musi być grzeczny i posłuszny, jak dobry syn wychowany w muzułmańskiej rodzinie. No cóż, poszuka sobie zajęcia na dzisiaj.

Przede wszystkim postanowił przejść się po budynku, żeby

zobaczyć, gdzie co się znajduje. Ale już na wstępie jego plan wziął w łeb. Wystarczyło, że zrobił parę kroków korytarzem na drugim piętrze, gdzie znajdował się pokój Nataszy, a ochroniarz zastąpił mu drogę. Miron do tej pory nie nauczył się ich rozróżniać, wszyscy wydawali mu się bliźniaczo podobni.

- Dzisiaj zajęć nie będzie.

- Wiem - spokojnie odparł Miron. - Nie zamierzam wchodzić do pokoju dziewczyny.

- W takim razie dokąd się wybierasz?

- No... Tu i tam. Chcę się rozejrzeć.

- Nie wolno.

- Dlaczego?

- To zabronione - lakonicznie odparł ochroniarz, a z jego miny Miron wywnioskował, że na tym wyjaśnienia skończone.

- Zabronione tylko na tym piętrze? - zainteresował się całkiem ugodowo. - Na innych można spacerować?

- Spacerować można wokół domu - tak samo ugodowo odrzekł ochroniarz, ale wyraz jego oczu powiedział Mironowi, że powinien zawrócić. Za chwilę facet straci cierpliwość.

- No trudno.

Lekceważąco machnął dłonią i szybko zbiegł na dół po schodach. Pogoda była wspaniała, słoneczna, ale nie upalna, z temperaturą dwudziestu dwóch, dwudziestu trzech stopni. Powietrze w górach zawsze było chłodne i świeże, więc przez jakieś piętnaście minut Miron po prostu rozkoszował się niespiesznym spacerem wokół willi wzdłuż wysokiego ogrodzenia. Jednakże zadowolenie szybko go opuściło. Zbyt często dostrzegał ledwie zauważalny ruch wśród drzew i domyślił się, że niewidzialni ochroniarze nie spuszczają go z oczu. Ciekawe, czego można tak pilnie strzec? Przecież oprócz Wasilija, Nataszy i Mirona nikogo tutaj nie ma. No jest jeszcze ta złośliwa pielęgniarzka Nadia. A może ktoś jednak jest i właśnie dlatego Mironowi zabroniono swobodnie przechadzać się po domu?

Już piąty albo szósty raz zataczał koło, idąc wzdłuż ogrodzenia, gdy nagle zastanowiła go znaczna długość bocznej ściany domu. Podniósł głowę i przekonał się, że okno jego

pokoju wychodzi akurat na tę stronę. Rozpoznał stare drzewo o rozłożystej koronie, którego gałęzie dotykają szyby okiennej. Gdy jednak Miron idzie do swojego pokoju, droga wydaje mu się o wiele krótsza, a przecież pokój znajduje się na końcu korytarza. Czyżby złudzenie optyczne? Skąd, to nie złudzenie, tam jest jego okno, a za nim jeszcze dwa, mimo że gdy idzie się korytarzem, za drzwiami do jego pokoju zaczyna się ślepa, prostopadła ściana. To znaczy, że budynek jest podzielony na dwie niepołączone ze sobą części. W takim razie gdzieś musi być wejście do drugiej części. Tylko gdzie?

Miron ruszył dalej, zbliżając się nieco do domu. Tym razem nie rozglądał się jednak na boki, ale uważnie wpatrywał się w mur. Dwa razy okrążył budynek, ale nie odkrył żadnego dodatkowego wejścia. Albo drzwi są dobrze zamaskowane, albo wejścia naprawdę nie ma. Przejść do drugiej części można równie dobrze przez drzwi wewnętrzne. Może ściana jest ślepa jedynie na pierwszym piętrze, gdzie Miron tymczasowo mieszka, a przejścia są na parterze albo na drugim piętrze. Ale po co? Po co podzielono całe piętro? Pewnie coś albo kogoś tam ukrywają i właśnie w celu ochrony tego czegoś lub kogoś ściągnięto tu tylu milczących, surowych facetów o nieprzeniknionych twarzach i zimnych oczach. Z tego wynika, że to coś musi być bardzo cenne. Niech to diabli wezmą, w co go ojciec wpakował? Co oni tutaj ukrywają, złoża diamentów? Broń strategiczną? Przetrzynują zakładników? Co się tu, u licha, dzieje?

Miron całkiem stracił humor, znudziło mu się spacerowanie, więc wrócił do domu. Mijając ochroniarza na korytarzu po drodze do swojego pokoju, uważnie wpatrywał się w ślepa ścianę, ale nie odkrył w niej najmniejszego śladu drzwi. Ściana była gładka, obita polakierowaną boazerią. Chłopak usiadł przy oknie i zaczął się tępo wpatrywać w rozłożyste gałęzie dużego drzewa.

Początkowo wszystko wydawało mu się niepozabawioną przyjemnością przygodą, później przymusową, ale w gruncie rzeczy całkiem interesującą pracą, a teraz miał wrażenie, że wplątał się w coś wyjątkowo niebezpiecznego i bez wątpienia

nielegalnego. Czyżby ojciec nie wiedział, dokąd wysła swojego jedynaka? A jeżeli wiedział i mimo to wysłał?

W dowodzie osobistym Mirona figurowało imię Asłan- -bek i chłopak świetnie zdawał sobie sprawę, że islamski bojownik czasami lekceważy to, czego nigdy nie lekceważą ludzie wychowani w tradycjach etyki europejskiej. Chrześcijanie bardzo rzadko przedkładają nielegalne interesy ponad interesy własnych dzieci. Jego ojciec nie jest widocznie taki. Jeżeli okaże się, że z woli i rekomendacji ojca Miron uwikłał się w przestępstwo, będzie to oznaczało tylko jedno: jego ojciec jest prawdziwym islamskim bojownikiem i w swojej walce nikogo nie oszczędzi i z niczym nie będzie się liczył.

Ale z drugiej strony, co ma do tego nieuleczalnie chora dziewczyna? Jaki może mieć związek z wojną religijną? Po co ją tutaj trzymają i dlaczego grożą Mironowi wszelkimi karami niebios za próby dowiedzenia się czegoś? Nonsens. Wymyśli chorej wyobraźni.

Nie, tak czy inaczej, za wszelką cenę trzeba znaleźć sposób, żeby porozmawiać z Nataszą bez uciążliwej obecności Wasilija i jego fagasów. Głośno rozmawiać nie wolno, to już wiadomo. Kwestia kamery jeszcze nie została wyjaśniona, więc nie warto ryzykować. Co zatem począć?

Pozostał tylko jeden sposób, ale Miron będzie musiał wykazać się nietuzinkową pomysłowością, żeby nie wzbudzić podejrzeń strażników. Tfu, co za okropne słowo! Jak w więzieniu. Chociaż właściwie czemu nie, nie należy zamykać oczu na to, co jest oczywiste. Miła wakacyjna przygoda połączona z niewymagającą dużego wysiłku pracą, zapewniającą pieniądze na drobne wydatki, szybko się skończyła. Pozostała naga i bardzo nieprzyjemna prawda: Miron znajduje się w więzieniu i nie ma szans się z niego wydostać.

Miron odniósł wrażenie, że Natasza wygląda dzisiaj gorzej niż przedwczoraj, gdy widział ją po raz ostatni. Widocznie wczorajsze badanie, które zajęło cały dzień, mocno ją wyczerpało.

- Co słyhać? - z przesadną werwą zapytał Miron, wchodząc do pokoju.

Natasza podniosła na niego ogromne jasne oczy, w których malowało się nieznośne cierpienie.

- W porządku - cicho odparła dziewczyna, ale Miron zauważył, że mówi z dużym wysiłkiem.

- Coś cię boli?

- Nie, nie, nic mnie nie boli. Bierzmy się do pracy.

- No cóż, dobrze, skoro nic cię nie boli. Przeczytałaś ten rozdział w książce, którą ci zostawiłem?

-Tak.

- Zrozumiałaś wszystko?

- Oczywiście, przecież to proste.

Proste! Dla niego to wcale nie było proste. W swoim czasie męczył się z tym rozdziałem prawie dwa miesiące, zanim opanował wszystkie terminy, pojęcia i twierdzenia. A jej wystarczyła doba, i to niecała, bo praktycznie cały wczorajszy dzień zajmował się nią lekarz.

- Nie wyglądasz za dobrze - zdecydowanie oznajmił Miron. - Pewnie jesteś przemęczona. Zajmijmy się dzisiaj czymś łatwiejszym.

- Nie. - Natasza z uporem pokręciła głową. - Pracujmy jak zwykle. Muszę być w dobrej formie, gdy przyjadą tamci ludzie, którzy chcą mnie zatrudnić.

- Ale to, czego chcę cię dzisiaj nauczyć, jest również bardzo ważne. We współczesnym świecie wszyscy się tym posługują. Jeżeli twój pracodawca zobaczy, że potrafisz również i to, należycie ocenią twoje umiejętności.

Miron zamierzał nauczyć Nataszę posługiwania się edytorem tekstowym. Ale wcale nie dlatego, że uważał tę sprawność za niezbędną w jej sytuacji. Nie wierzył w piękną bajeczkę o dobrych pracodawcach, którzy przypadkiem dowiedzieli się o utalentowanej dziewczynie. W tę ładną, ckliwą historyjkę nie wpisywali się milczący ochroniarze o zimnych oczach. Miron miał zupełnie inny cel. Pozostawała tylko nadzieja, że jeżeli w pokoju jest ukryta kamera, nie widać w niej ekranu monitora.

Edytor tekstowy zainteresował Nataszę i już piętnaście minut później z łatwością wykonywała wszelkie niezbędne operacje, otwierała i zamykała okna, określała ich położenie i rozmiar,

formatowała tekst, dzieliła go na strony. Musiała pracować z tekstem znajdującym się w komputerze. Nie umiała pisać na klawiaturze i z trudem przyzwyczajała się do położenia liter.

- Musisz koniecznie nauczyć się pisać. To konieczne przy każdej pracy. Poćwiczmy razem. Zaraz ustalę rozmiary okna...

Miron położył ręce na klawiaturze, jego palce szybko pobiegły po klawiszach.

„Nie czytaj na głos tego, co piszę. Twój pokój jest na podsłuchu”.

- Tak, a teraz pisz to, co ci podyktuję. Będę czytał wolno, a ty uważnie patrz na klawiaturę i staraj się zapamiętać położenie liter. „Formułując fundamentalną zasadę statystyki, Lagrange zastąpił dowolny układ sił odpowiednim schematem blokowym...”. No, o co chodzi? - gniewnie zapytał Miron, widząc, że dziewczyna nie położyła nawet rąk na klawiaturze. - Dlaczego nie piszesz?

Siedziała nieruchomo, utkwivszy w Mironie osłupiały wzrok.

- Nie rozumiałaś, o co cię proszę? - nieco łagodniej zwrócił się do niej chłopak. - Ja dyktuję ci tekst, a ty go piszesz. I starasz się zapamiętać położenie liter. Spróbujmy jeszcze raz od początku. „Formułując fundamentalną zasadę statystyki, Lagrange...”.

Miron dyktował zdania wolniej niż za pierwszym razem i z satysfakcją zauważył, że Natasza go rozumiała. Na ekranie jedna za drugą pojawiały się litery:

„Skąd wiesz?”.

- Bardzo dobrze, brawo - pochwalił Miron. - Kontynuujmy. Teraz pokażę ci, jak rozmieścić tekst, żeby ładnie wyglądał.

„Jesteśmy w kłopotach. Musimy pomyśleć, jak z nich wybrnąć. Postaraj się zachować spokój. Będę zadawał ci pytania, a ty odpowiadaj”.

- Zrozumiałaś?

- Tak - niepewnie odparła Natasza, a Miron usłyszał w jej głosie wyraźny strach.

- Teraz pokażę ci jeszcze jedną ważną rzecz.

Szybko napisał krótkie zdanie i zademonstrował jej sposób usunięcia tekstu.

- Musisz nauczyć się robić to szybko, automatycznie. Jasne?

-Tak.

- No to jeszcze raz. Napiszę parę zdań, a ty je usuniesz.

„Musimy pomyśleć, jak skontaktować się z osobami, które mogą nam pomóc. Zastanów się nad tym do jutra. Czy możesz polegać na kimś ze swoich znajomych albo krewnych? Jak ich powiadomić, że tutaj jesteśmy? Przemyśl to i napisz. A teraz będziesz ćwiczyć”.

Natasza przebiegła wzrokiem tekst, przesunęła myszką po gładkim blacie biurka, ustawiła kursor w odpowiednim miejscu. Lekko kliknęła i ekran znowu stał się nieskalanie czysty.

- Brawo. Teraz pisz pod moje dyktando, ćwicz palce, nabieraj szybkości. „Żeby zilustrować funkcję przypadkowego zjawiska masowego, przeanalizujemy prędkość reakcji chemicznych. Wystarczy przeprowadzić stosunkowo proste obserwacje, żeby dojść do wniosku, że szybkość reakcji chemicznej zależy od stężenia substratów...”

Miron wolno i miarowo dyktował fragmenty z otwartego na chybił trafił podręcznika do matematyki, kątem oka śledząc, jak Natasza radzi sobie z zadaniem. Na razie miała jeszcze kłopoty z szybkością, palce jej nie słuchały, co rusz naciskała niewłaściwy klawisz i musiała się zatrzymać, żeby poprawić błąd. Widział, że dziewczyna stara się, jak może, chociaż dużo ją to kosztuje. Widocznie coś ją boli, ale wstydzi się powiedzieć.

- Może wezwę Nadię? - zaproponował Miron, odkładając książkę.

- Po co? Nie trzeba.

- Wydaje mi się, że coś cię boli.

- Nic mnie nie boli. Dyktuj dalej.

- Jak chcesz.

Mniej więcej godzinę później Miron wyraźnie ochrypl. Zamknął książkę, wstał od biurka i z przyjemnością się przeciągnął.

- Przerwa. Odpocznij trochę. A przy okazji, co ci wczoraj powiedział lekarz?

- Nic takiego. Przeprowadzał różne badania.

- Jakie badania?

- No, robił encefalogram, kardiogram, pobrał krew do analizy. Ośluchał mnie i opukał. Nic nowego. Zrobił jakiś zastrzyk, po którym niewyraźnie się czuję. Nie wiem, co mi zaaplikował.

- A kiedy będą wyniki?

- Nie tak szybko. Powiedział, że trzeba będzie jeszcze powtórzyć badanie, bo mój przypadek jest bardzo skomplikowany. Miron, nie mógłbyś porozmawiać z Wasilijem Ignatjewiczem, żeby nie robiono mi więcej zastrzyków? Boję się.

- Boisz się? - Miron roześmiał się zdziwiony. - Nigdy bym nie pomyślał. Chorujesz od tak dawna, że powinnaś się była do nich przyzwyczaić.

- Nie rozumiesz. Mam alergię na mnóstwo leków. W moim szpitalu lekarze wiedzieli, co można mi podawać, a czego nie. A tutaj nikt tego nie wie. I ten zamorski lekarz też nie ma pojęcia.

- Zamorski? Dlaczego?

- Nie mówi po rosyjsku.

- Więc jak się z nim porozumiewałaś?

- Wasilij Ignatjewicz tłumaczył.

- Dlaczego od razu im nie powiedziałaś, że nie powinni robić ci zastrzyków?

- Wstydziłam się - wyznała Natasza. - Proszę, Miron, porozmawiaj z nim, dobrze?

- Oczywiście, skoro sobie tego życzysz.

Miron bardzo liczył na to, że Wasilij sam zacznie rozmowę o lekach, których nie wolno podawać Nataszy. Dał przecież jasno do zrozumienia, że wszystkie rozmowy prowadzone w pokoju dziewczyny są podsłuchiwane. Jednak Wasilij się nie pojawiał i nie wzywał do siebie Mirona.

Następnego ranka Miron ledwie mógł się doczekać, aż będzie mógł pójść do Nataszy. Był ciekaw, czy go zrozumiała. A jeżeli zrozumiała, czy dała radę zrobić wszystko, co powinna? A nawet jeżeli dała radę, czy będzie to coś warte? Trzeba się stąd wynosić, ratować skórę, póki nie jest za późno. Cała nadzieja w

Nataszy. Bo jego nikt nie będzie szukał. Ojciec wie, gdzie jest, więc jeżeli coś pójdzie nie tak, nie podniesie rabanu, Wasilij przecież uprzedził.

Dzisiaj Natasza wyglądała jeszcze gorzej. Błada twarzyczka zrobiła się całkiem przezroczysta i wydawało się, że żyją w niej tylko oczy. Ale żyły! I to jak. Błyszczały jakimś zadziwiającym szarobłękitnym światłem. Ten widok ucieszył Mirona.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział, siadając obok niej przy komputerze. - Żle spałaś?

- W ogóle nie spałam - odparła. - Przez całą noc ćwiczyłam, jak kazałeś.

- Przez całą noc? - z powątpiewaniem zapytał Miron. - Przez całą noc uczyłaś się pisać na klawiaturze?

- Oczywiście. Palce nie chcą mnie słuchać, są niena- wykle do klawiatury, muszę je wyćwiczyć. Przepisałam dziesięć stron z twojej książki. Nie pokazałeś mi tylko, jak się tworzy wzory. Do tego potrzebne są przecież specjalne znaki.

- No to sprawdźmy, co napisałaś. Pokaż swoją pracę.

Szybko klikając myszką, Natasza otworzyła tekst. Był to rzeczywiście rozdział z książki do matematyki. Nie mówiąc ani słowa, otworzyła jednocześnie drugie okno i Miron zobaczył zupełnie inny tekst.

„Starsza siostra Irina. Adres... Telefon... Ma złote serce i jest bardzo uczynna. Zrobi wszystko co trzeba.

Aleksander Iwanowicz Nikołajew, przyjaciel naszego ojca. Adresu nie znam. Jest dla nas bardzo dobry, przez całe sześć lat odwiedzał nas w szpitalu, uczył mnie chemii, fizyki i matematyki. Sądzę, że pomoże, gdy się o mnie dowie.

Michaił Aleksandrowicz, lekarz w naszym szpitalu. Specjalista w zakresie odzyskiwania pamięci po urazach czaszkowo-mózgowych u dzieci. Był ze mną, gdy mnie porwano. Nazwiska niestety nie znam. Przystojny wysoki brunet. Pytałam M.A., jak zrobić maturę. Gdyby mu to przypomnieć, z pewnością domyśli się, że chodzi o mnie. Nie wiem tylko, czy żyje. Porywacze coś mu zrobili, gdy mnie zabierali.

Niedawno na naszym oddziale ktoś zabił pielęgniarkę Alę Myrikową. Milicja prowadziła śledztwo. Jeżeli nie znaleźli

jeszcze przestępcy, może do tej pory przychodzą na oddział”.

Miron nacisnął klawisz i szybko usunął tekst. Teraz ekran był podzielony na dwie części, na jednej znajdował się tekst z matematyki, druga zaś była pusta. Miron zamierzał prowadzić na niej „rozmowy” z Nataszą. To wspaniała dziewczyna, doskonale sobie radzi, nie tylko w naukach ścisłych.

Lekarz Michaił Aleksandrowicz. To bardzo ciekawe, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wczorajsze słowa Nataszy, że ma alergię na większość leków i tylko w szpitalu wiedzą dokładnie, co można jej podawać, a czego nie wolno. Boże, jak to dobrze, że nie rozmawiał o tym wczoraj z Wasilijem! A przecież miał taki zamiar... Widocznie Bóg nad nim czuwa. Los mu sprzyja. Trzeba się postarać wycisnąć z tego, co się da, i żeby wypadło to w miarę naturalnie.

„Powiedziałem Wasilijowi, że nie wolno cię martwić ani denerwować, bo wtedy nie możesz normalnie myśleć. Pewnie w twojej karcie medycznej jest wszystko na temat leków. Chyba wiesz, co masz robić?”.

- Nauczymy się wstawiać symbole matematyczne - mówił tymczasem. - Patrz uważnie i zapamiętuj, jak to się robi. W tym celu otwieramy specjalną zakładkę i korzystamy z klawisza Alt...

Przez pewien czas rzeczywiście się uczyli, ale później Natasza zaczęła coraz częściej się mylić i zapominać to, co jej Miron pokazywał.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał niezadowolony. - Czemu jesteś dzisiaj tak rozkojarzona? To wina bezsennej nocy?

Usta Nataszy zadrżały, dziewczyna odwróciła wzrok.

Ach, ty idioto, zbeształ się w myślach Miron. Dlaczego tak ją traktuję? Dziewczyna znajduje się w niezwykle trudnej sytuacji, a ja żądam od niej Bóg wie czego. Inna na jej miejscu w ogóle przestałaby myśleć ze strachu, a ona się trzyma, i to wspaniale.

- Boję się - ledwie słyszalnie powiedziała Natasza.

- Czego się boisz? - zapytał z udawaną obojętnością.

W środku poczuł chłód. No tak, dziewczyna się załamała, zapomniała o wszystkim i zaraz zacznie omawiać z nim na głos to, co jest przeznaczone tylko dla milczącego i bezgłosego

monitora komputera. Wszystko przepadło. A taki miał świetny plan!

- Boję się, że tutaj umrę. Rozmawiałeś z Wasilijem Ignatjewiczem na temat leków?

- Nie, nie rozmawiałem.

- Przecież obiecałeś! A ja na ciebie tak liczyłam. Dzisiaj znowu przyszedł ten zamorski lekarz i zrobił mi zastrzyk. Przyszedł sam, bez Wasilija Ignatjewicza, więc nawet nie mogłam niczego mu wyjaśnić, przecież nie rozumie po rosyjsku. A jeżeli źle się pocuję? Tutaj nikt nie wie, jak mi pomóc. Nie potrafię o niczym innym myśleć, rozumiesz? Gniewasz się, że jestem rozkojarzona, a jak mogę uważać, skoro przez cały czas wsłuchuję się w swój organizm, czy nie ma oznak opuchlizny, dreszczy, swędzenia. Nie masz pojęcia, czym jest alergia! Nie rozumiesz, jaki strach człowieka ogarnia, gdy nagle czuje, że coraz trudniej jest mu oddychać, w gardle coś mu rośnie, wypełnia całą przestrzeń, aż nie może przełykać, a później zaczyna się dusić!

Natasza już nie szeptała, lecz niemal krzyczała. Po jej twarzy płynęły ogromne, przezroczyste łzy, wargi się trzęsły. Miron patrzył na nią i z trudem się powstrzymywał, żeby nie uśmiechnąć się tryumfalnie. Natasza wszystko zrozumiała. Robi to, co powinna.

- Dobrze - odparł oschle. - Zaraz porozmawiam z Wasilijem, skoro nalegasz. Tylko na miłość boską przestań płakać, drażnią mnie kobiece łzy.

Chłopak gwałtownie wstał i wyszedł z pokoju. I natychmiast napotkał zdziwiony wzrok ochroniarza: dlaczego Miron wyszedł od dziewczyny bez pozwolenia? Powinien uczyć ją aż do czasu, gdy przywiozą obiad. Tylko wtedy wolno mu wrócić do siebie.

- Pilnie potrzebuję Wasilija - twardo oznajmił Miron. - Bardzo pilnie. Nie wróć do dziewczyny, zanim z nim nie porozmawiam.

Ochroniarz bez słowa podniósł słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu. Parę minut później Miron już siedział w pokoju Wasilija.

- Słyszałem, słyszałem - powiedział zaniepokojony mężczyzna.
- I co proponujesz?
- Moim obowiązkiem jest uprzedzić. Dziewczyna jest tak przestraszona, że nie może pracować. Jeżeli to prawda, że mają przyjechać jacyś ludzie, żeby ocenić poziom jej inteligencji i znajomość matematyki, mogę pana zapewnić, że będą głęboko rozczarowani. Wcześniej zwracałem panu uwagę, że Natasza pracuje bardzo nierówno, raz osiąga wyniki imponujące, a raz fatalne, ale nie potrafiłem zrozumieć, z czym to się wiąże. Teraz domyślam się, że widocznie ma ataki bólu albo po prostu źle się czuje. Musi jednak cierpieć, ponieważ boi się, że podacie jej niewłaściwy lek. Sądzę, że powinien pan o tym wiedzieć. Będąc w stanie stresu, a tym bardziej pod wpływem bólu, nie może pracować. Jeżeli jednak będziecie jej podawać leki, skutki mogą być oplakane. Czyżby nie wiedział pan o tym, gdy ją tutaj przywieźliście?
- Nie twoja sprawa - burknął zachmurzony Wasilij. - A ona sama wie, czego nie wolno jej podawać?
- Właśnie o to chodzi, że nie. Lekarze w szpitalu wiedzieli i to wystarczało. Sam wiem z doświadczenia, że lekarze z jakiegoś powodu nie mówią tego chorym, zapisują tylko w karcie. Mnie również przydarzyło się kiedyś coś takiego. Wycięto mi wyrostek, a po operacji lekarz powiedział, że mój organizm zareagował alergicznie na jeden lek. Tak właśnie powiedział: na jeden lek. Na jaki konkretnie, nie raczył dodać. Wie pan przecież, jak lekarze traktują chorych. Jak króliki doświadczalne, które nie muszą wiedzieć, co z nimi wyprawiają.
- Mówisz, że zapisują w karcie? - powtórzył w zamyśleniu Wasilij. - Dobrze, zobaczę, co da się zrobić. Wracaj do dziewczyny i zajmij się pracą. A właśnie, coś ty tam wymyślił z edytorem tekstu? Lepiej byś ćwiczył z nią chemię.
- Nie ma pan racji - gorąco zaoponował Miron. - Dzisiaj nikt nie pracuje bez komputera. Umiejętność korzystania z edytora zawsze jest mile widziana. Jeżeli jednak czegoś pan nie dopowiada i nie chodzi o to, żeby Natasza dostała jakąś pracę...
- O to, o to - niecierpliwie przerwał mu Wasilij. - Bardzo jesteś

troskliwy, jak rodzony brat.

-To z nudów. - Miron się uśmiechnął. - Muszę się przecież czymś zająć, skoro nie wypuszcza mnie pan na wolność. Gdybym poszedł do wsi, poderwałbym tam sobie jakąś pannę.

- Obejdzcie się. Panny mu się zachciało... Wracaj do pracy.

Miron wrócił do pokoju Nataszy. Twarz dziewczyny była zapłakana, ale w oczach czaiło się nieme pytanie. Miron w milczeniu usiadł koło niej przy komputerze. Na ekranie znajdowały się rzędy symboli matematycznych, a pod nimi pytanie:

„Dobrze zrobiłam?”.

Chłopak udał, że uważnie przygląda się napisanym przez nią wzorom. Później kiwnął głową z aprobatą.

- Mądrała z ciebie, wszystko zrobiłaś jak należy. A jednak potrafisz, gdy się skoncentrujesz. Pod żadnym pozorem nie wolno ci się denerwować i martwić.

- Tak, wiem - przytaknęła Natasza.

Teraz w jej oczach malował się tryumf.

Rozdział 16

Nikołaj Wasiljewicz Taszkow świetnie pamiętał swoją uczennicę Smirniaginę.

- Szkoda, że całkowicie zrezygnowała z uprawiania sportu - oświadczył, gdy Aleksander opowiedział mu o swoim spotkaniu z Zoją. - To była bardzo zdolna dziewczyna. Jak jej się ułożyło życie?

- Nienadzwyczajnie. Mieszka z rodzicami, pracuje jako korektorka. Ma romans z facetem, który mąci jej w głowie obecnością nieistniejącej żony. Że niby nie może jej porzucić. A ona, głupia, mu wierzy.

- Dziwne. - Nikołaj Wasiljewicz pokręcił głową. - Była z niej przecież ładna dziewczyna. Zbrzydła?

- Coś ty, tato, raczej wyładniała.

- A ty chyba się w niej kochałeś? Nie odwracaj oczu. - Taszkow starszy uśmiechnął się. - Nie myśl, że tego nie widziałem.

- Zaprosiłem ją do nas. - Aleksander wykręcił się od odpowiedzi. - Nie masz nic przeciwko temu?

Nikołaj Wasiljewicz, rzecz jasna, nie zgłosił sprzeciwu. Upór, z którym jego syn prowadził kawalerskie życie, niepokoił, a nawet w pewnym stopniu budził strach Taszkowa. Dlatego zawsze kibicował nowej znajomości syna z kobietą, wierząc, że tym razem „test na spadek” zakończy się pomyślnie. Ojciec pragnął, żeby w domu pojawiła się gospodyni i żeby po pokojach zaczęły w końcu biegać długo oczekiwane wnuki. Jednakże on sam drugi raz się nie ożenił. Gdy był jeszcze stosunkowo młody, nic z tego nie wyszło. A kiedy stuknęła mu pięćdziesiątka, zrozumiał, że nie potrafi już przyzwyczaić się do życia u boku innej osoby. Wiek już nie ten, żeby zmieniać nawyki. Prowadził dość urozmaicone życie osobiste, ale kategorycznie odmawiał nadania mu statusu rodzinnego.

- Nie powtarzaj moich błędów, Sania - nieraz powtarzał

synowi. - Nie zwlekaj z ożenkiem. Bo osiągniesz taki wiek, gdy w zasadzie nie będziesz już mógł tego zrobić.

- Nie potrzebuję kobiety, która wychodzi za mąż dla pieniędzy.

- Daj sobie spokój z pieniędzmi - radził Nikołaj Wasiljewicz. - Zapomnij o nich. Jakby ich w ogóle nie było. Gdybym wiedział, że przez tę przeklętą forszę pisarza nie doczekam się wnuków, z miejsca odmówiłbym przyjęcia spadku.

Pojawienie się w ich domu Zoi Smirniaginej, nawet w roli gościa, Taszkow starszy przyjął z zapałem. Jeżeli dziewczyna nie zmieniła się przez te lata na gorsze, kto jak kto, ale ona na pewno zda test celująco. Dawniej nie było w niej ani śladu cwaniactwa czy interesowności.

Spędzili razem cudowny wieczór. Mężczyźni obskakiwali Zoję jeden przez drugiego, nakładając jej na talerz przygotowane smakołyki i oddając się wspomnieniom o tamtych latach, gdy Sasza i Zoja chodzili do szkoły. Mimo to wyraz zahukania i pokory nie opuścił twarzy Zoi, jakkolwiek ojciec z synem starali się ją zabawić i sprawić, żeby poczuła się swobodnie. Po kolacji Aleksander odprowadził gościa do domu.

- Nie spieszysz się? - zapytał Taszkow, gdy zeszli do metra.

- Skąd, gdzie miałabym się spieszyć. Jutro sobota, nie idę do pracy, więc mogę pospać dłużej.

- Więc miałbym do ciebie prośbę. Pojedźmy na ulicę, na której bywasz z Wołochowem.

- Po co? - Zoja się zdziwiła.

- Sama mówiłaś, że Walerij Wasiljewicz jest bardzo zajęty. Nie chciałbym zabierać mu czasu głupstwami. Pokażesz mi dom, w którym znajduje się mieszkanie jego przyjaciela dyplomaty, a ja oszacuję, czy Walerij Wasiljewicz mógł być świadkiem wydarzeń, które mnie interesują. Może dom jest tak położony, że Wołochow naprawdę mógł niczego nie widzieć. Wtedy nie będę się naprzykrzał twojemu doktorowi.

- Oczywiście. - Zoja od razu się zgodziła. - Jedźmy, pokażę ci.

Musieli jeszcze dwa razy się przesiąść, żeby dostać się na Arbacko-Pokrowską linię metra, i wysiedli na stacji Elektrozawodskaja. Zoja bez wahania zaprowadziła Taszkowa

na róg ulicy Elektrozawodskiej i Małej Siemionowskiej.

- Jesteśmy już prawie na miejscu. To trzeci dom od skrzyżowania.

- Podejźmy trochę bliżej - poprosił Sasza.

Gdy szli ulicą, Taszkow udał, że szacuje odległość domu, który wskazała Zoja, od jemu tylko znanego punktu.

- Na którym piętrze znajduje się mieszkanie dyplomaty?

- Na czwartym.

- Gdzie wychodzą okna?

- Tutaj, na ulicę.

Nie spiesząc się, wrócili do metra. Taszkow odwiózł Zoję do domu. Nie miał ochoty się z nią rozstawać, więc gorączkowo próbował wymyślić pretekst, żeby zatrzymać ją przy sobie.

- Jaki ciepły wieczór. Przespacerujmy się jeszcze trochę - zaproponował.

- Sasza...

Zoja nieśmiało dotknęła jego ręki.

- Pewnie nie powinnam tego mówić, to głupota z mojej strony... I zarozumiałość... Nawet nie wiem, jak to powiedzieć.

- Mów, Zojeńko - zachęcił ją Taszkow. - Nie krępuj się, przyjaźnimy się przecież od dzieciństwa.

Aleksander już wiedział, co Zoja chce mu powiedzieć. Ale nie chciał tego słuchać. Ponieważ zdawał sobie sprawę, że jeżeli Wołochow sprytnie mydli jej oczy, nie żywi do Zoi żadnych poważnych uczuć. A ona niepotrzebnie ma nadzieję, niepotrzebnie czeka. Facet rzuci ją przy pierwszej okazji, gdy tylko stanie się niewygodna.

Zoja milczała, Taszkow zaś rozumiał, że krępuje się tym, co chce powiedzieć, a jednocześnie próbuje być w stosunku do niego uczciwa i nie robić mu fałszywych nadziei.

- Chcesz powiedzieć, że bardzo kochasz swojego doktora i że nie mam na co liczyć? - zapytał ze smutkiem.

- A chciałbyś na coś liczyć?

- Chciałbym.

- Bardzo mi przykro, Sasza...

- No cóż, Zojeńko, nie musisz przeproszać. To ja powinienem cię przeprosić, że postawiłem cię w niezręcznej sytuacji i

zmusiłem, żebyś się przede mną, głupcem, tłumaczyła. Dobrze, zostawmy ten smutny temat, lepiej się przejdźmy.

Pospacerowali jeszcze pół godziny, po czym Taszkow pojechał do domu. Gdy wrócił, było już całkiem późno, ale ojciec jeszcze się nie położył, czekał na niego.

- Aleksandrze - zagadnął Nikołaj Wasiljewicz zdecydowanym tonem, gdy tylko syn przekroczył próg pokoju - stanowczo ci radzę, żebyś pomyślał o Zoi. Jest wspaniałą kobietą, to widać na pierwszy rzut oka. I świetnie do ciebie pasuje. Wydaje mi się, że powinienes skończyć z gadaniem o pieniądzach i zrobić wszystko, żeby została twoją żoną.

- Ona spodziewa się dziecka, tato - cicho odparł Taszkow. - I jak sam się domyślasz, nie mojego.

- Tamtego faceta, który zawrócił jej w głowie?

-Tak.

-I co? Zamierzasz tak to zostawić? Nie poznaję cię, synu. Przestałeś być bojownikiem? Zoja jest kobietą, której potrzebujesz. Widziałem dużo pańienek i damu- lek, z którymi się spotykałeś. Żadna z nich nie dorasta jej do pięt. I oto znalazła się kobieta, którą natura przeznaczyła wyłącznie tobie. Nie przypadkiem kochałeś się w niej jako chłopiec, już wtedy czułeś, że jest twoja, że należy tylko do ciebie. A teraz chcesz się wycofać?

- Nie wiem, tato - jeszcze ciszej odparł Aleksander. - Niczego już nie wiem. Wierz mi, że nie podjąłem jeszcze decyzji. Wydaje mi się, że nie jestem jej potrzebny. Bardzo kocha tamtego mężczyznę.

- Jak sobie chcesz - gniewnie odparł Nikołaj Wasiljewicz i poszedł do swojego pokoju.

Aleksander długo przewracał się w łóżku, przypominał sobie Zoję, jej głos, oczy, włosy, usta rozchylone w nieśmiałym uśmiechu. Boże, jakim trzeba być gnojkiem, żeby mącić w głowie takiej ufnej i delikatnej istocie! Przyprowadza ją do siebie do domu, do własnego kawalerskiego mieszkania, a przy tym bezczelnie kłamie, że mieszkanie należy do jego przyjaciela, który wyjechał w delegację za granicę, i że sam ma niepełnosprawną żonę. A ona we wszystko ślepo wierzy. I go

kocha. Mało tego, ubóstwia.

W tym momencie Sasza Taszkow z całą jasnością zdał sobie sprawę, że powinien za wszelką cenę ożenić się z Zoją Smirniaginą.

Nastia już prawie zasnęła, gdy tuż nad jej głową rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu, który stał przy kanapie. Postanowiła poczekać, aż Losza podniesie słuchawkę, ale nagle ocknęła się z drzemki i przypomniała sobie, że męża nie ma. I nie będzie przez najbliższe dwa dni. Wyjechał do Żukowskiego, do rodziców, ponieważ znajdował się tam instytut, w którym pracował i w którym powinien się bronić jego zaangażowany politycznie doktorant.

-Aśka, ile można wisieć na telefonie! - rozległ się w słuchawce pełen oburzenia głos Jury Korotkowa. - Od dwóch godzin nie mogę się do ciebie dodzwonić.

- Z nikim nie rozmawiałam. Pewnie jakaś awaria na linii. A co, pali się?

- Pali? - głośno fuknął Korotkow. - To niewłaściwe słowo. Mamy potop i trzęsienie ziemi jednocześnie. Ze szpitala zniknęła karta Nataszy Tieriochinej.

- Jak to: zniknęła? - głupio zapytała Nastia, otrząsając się z resztek drzemki.

- A bo ja wiem? - odpowiedział Korotkow pytaniem na pytanie. - Zniknęła jak wszystko na tym świecie. Przypuszczalnie drogą kradzieży. Ale trzeba jeszcze tu i tam sprawdzić. Może ktoś przyjął za nią godziwą gratyfikację. Tak czy inaczej, koleżanko, lecę z nóg. Porozmawiamy jutro, a ty się tymczasem zastanów.

Od dawna tak się utarło. Po otrzymaniu nowej informacji w sprawie albo ujawnieniu jakiejś dodatkowej okoliczności, nawet mało znaczącej, pracownicy sekcji Gordiejewa od razu powiadamiali o tym Nastię, stanowczo, choć uprzejmie, proponując jej, by wszystko przeanalizowała, a następnie podzieliła się z nimi gotowymi wnioskami. Nastia nie kwestionowała takiego podejścia, ponieważ wiedziała, że na tym właśnie polega jej praca w sekcji. Analityka, praca z informacjami, opracowanie danych, zaczynając od ogromnych

statystycznych tablic, a kończąc na konkretnych maciupieńkich faktach.

Koniec próżnowania, powiedziała sobie Nastia, zawijając się w długi, puszysty szlafrok i idąc do kuchni, gdzie z jakiegoś powodu lepiej jej się myślało i w ogóle było przytulniej i wygodniej. Trzeba się zabrać do doktora Wołochowa. Niech wyjaśni, co go łączy z rodziną Tieriochinów, a zarazem powie, do czego porywaczom mogła się przydać karta medyczna Nataszy. Może dzięki temu trafimy na ślad porywaczy. Niech to diabli, co za pech! Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, gdybyśmy chociaż przypuszczali, że może im się przydać karta, nie spuszczałibyśmy jej z oczu i urządzilibyśmy zasadzkę. Nawet gdybyśmy musieli walić pięścią w ścianę i tupać nogami, znaleźlibyśmy do tego ludzi. I schwytalibyśmy tych, co polowali na kartę, na gorącym uczynku.

Nastia wiedziała, że rano czeka ją wyjątkowo nieprzyjemna rozmowa z szefem. W końcu to ona nalegała, żeby nie robić gwałtownych ruchów i nie spłoszyć Walerija Wasiljewicza Wołochowa, ale przyjrzeć mu się uważniej w nadziei, że skontaktuje się z kimś, kto pomagał mu popełnić cztery zabójstwa (możliwe, że pięć). Gdyby się nie upierała i nie obstawała przy swoim, wzięto by go w obroty, i niewykluczone, że wywiadowcy przygotowaliby się zawczasu do próby wykradzenia karty. Wołochow jest przecież lekarzem i musi wiedzieć, jakie zapisy w karcie mogły zainteresować porywaczy.

Ona, Anastazja Kamieńska, popełniła kolejny błąd, i może mieć tylko nadzieję, że nikt inny prócz niej nie będzie musiał za to zapłacić.

Zapraszając do siebie doktora nauk medycznych Wołochowa, śledczy Olszański był niezwykle uprzejmy i z satysfakcją odnotował, że wezwany na przesłuchanie w charakterze świadka Walerij Wasiljewicz nie wykazywał najmniejszego niezadowolenia czy irytacji.

- To z powodu śmierci męża mojej pacjentki? - zapytał jeszcze na progu.

- Z tego również - wymijająco odparł Konstantin Michajłowicz Olszański. - Przede wszystkim chciałbym ustalić,

gdzie pan był w nocy z czternastego na piętnastego czerwca.

- Pańscy koledzy już mnie o to pytali. - Wołochow wzruszył ramionami ze zdziwieniem. - Oddałem im do dyspozycji notes, w którym zapisuję harmonogram codziennych zajęć. Bez notesu niczego sobie nie przypomnę, jestem zawałony pracą.

- Czyżby nie zwrócono panu notesu?

- Jeszcze nie.

- Dobrze, wrócimy do tego później. Teraz o wiele bardziej interesuje mnie pańska znajomość z Jekatieriną Wieniediktowną Aniskowiec, zabitą pod koniec maja. Kiedy się poznaliście?

- Wiele lat temu.

- Proszę o konkrety.

- Bardzo dawno... Mniej więcej dwadzieścia lat temu.

- Niech pan będzie uprzejmy sprecyzować jeszcze dokładniej.

W jakich okolicznościach doszło do znajomości?

- Miałem pacjentkę, popularną piosenkarkę. Nie chciałbym podawać jej nazwiska, jest bardzo znana. To znaczy była bardzo znana. To właśnie ona poznała mnie z Jekatieriną Wieniediktowną.

- W związku z czym?

- Słucham?

- Po co was ze sobą poznała? W jakim celu? Może chodziło o protekcję dla Jekatieriny Wieniediktowny, która liczyła, że udzieli jej pan konsultacji albo podejmie się leczenia?

- Ależ skąd! Jekatierina cieszyła się doskonałym zdrowiem, nie potrzebowała konsultacji.

- Więc po co was ze sobą poznała?

- Widzi pan... W tamtym czasie miałem problemy związane z pewną kobietą. Nie mieliśmy się gdzie spotykać. Nie mogłem wynająć mieszkania, nie było mnie na to stać, bo jako całkiem młody lekarz zarabiałem niewiele, a prywatna praktyka była zabroniona. Gdy pacjentka dowiedziała się o mojej sytuacji, porozmawiała z Jekatieriną, a ta zgodziła się udostępnić mi swoje mieszkanie na te rzadkie spotkania, na które mogliśmy sobie pozwolić. I to wszystko.

- Zabawne. - Śledczy się uśmiechnął. - A po co było panu

potrzebne mieszkanie Aniskowiec, skoro miał pan własne? Był pan żonaty?

Wołochow posłał Olszańskiemu druzgocące spojrzenie, ale odparł całkiem spokojnie:

- Nie, nie byłem żonaty. Ale nie byłem też wolny. Mieszkałem z kobietą, którą w zasadzie traktowałem jak żonę. Z różnych powodów nie mogłem się z nią rozstać.

- Dobrze. Proszę zatem podać imię i nazwisko kobiety, z którą spotykał się pan w mieszkaniu Jekatieriny Aniskowiec.

- Wolałbym tego nie robić.

- Dlaczego?

- Niech pan posłucha, Konstantinie Michajłowiczu. Jest w końcu coś takiego jak męski honor - powiedział Wołochow ze wzburzeniem.

- Czy ta dama jest mężatką?

Wołochow zająknął się.

- T-tak... Była.

- A teraz jest wolna? Więc dlaczego ukrywa pan jej nazwisko?

- Niechże pan zrozumie, że nie ma sensu wymieniać jej nazwiska. Dotknęło ją okropne nieszczęście, jest teraz sparaliżowana i straciła pamięć. I tak nie pamięta tego, o co pan mnie pyta, więc nawet nie będzie pan mógł zweryfikować moich słów.

- Czy nie sądzi pan, Waleriju Wasiljewiczu, że to bardzo wygodna sytuacja? Wymienia pan osobę, o której z góry wiadomo, że z przyczyn obiektywnych nie może potwierdzić pańskich zeznań. Zaczynam podejrzewać, że chyba nie mówi pan całej prawdy.

- Jakie ma pan podstawy, żeby mnie podejrzewać? - Wołochowowi puściły nerwy. - I w ogóle o czym my tutaj dyskutujemy? Czyżby miłość do mężatki była przestępstwem? Od kiedy?

Rozmowa odbiegła od głównego tematu, co Olszańskiemu bardzo odpowiadało. Jeszcze jakieś piętnaście minut temu umiejętnie podtrzymywał bezsensowną wymianę zdań dotyczącą dawnego romansu Wołochowa z kobietą, z którą spotykał się w mieszkaniu Jekatieriny Wieniediktowny

Aniskowiec. A gdy uznał, że doktor wystarczająco się zaangażował i zirytował, rzekł:

- Waleriju Wasiljewiczu, pańska córka została uprowadzona.

Oczy Wołochowa zaczęły biegać niespokojnie po pokoju, jakby szukając odpowiedzi na pytanie, którego nie mógł zadać śledczemu. Olszański milczał i cierpliwie czekał, aż jego rozmówca przetrawi informację. Wołochow się nie odzywał, choć wyraz jego twarzy świadczył o tym, że słowa śledczego go poruszyły.

- Zrozumiał pan, co powiedziałem? - zapytał w końcu Konstantin Michajłowicz. - Pańska córka została uprowadzona.

- Jaka córka? - wydukał Wołochow.

- Jak to jaka? - Olszański uniósł brwi z udawanym zdziwieniem. - Ile pan ich ma? Dziesięć? Dwadzieścia? Pańska córka Natasza.

I znowu po twarzy Wołochowa przemknął wyraz przerażenia spowodowanego niezrozumieniem i niemożnością zadania pytania. Co to za pytanie, które tak nurtuje doktora i którego nie ośmiela się zadać śledczemu?

- Nie rozumiem, o kim pan mówi.

- Przepraszam, Waleriju Wasiljewiczu, ile ma pan córek o takim imieniu? Czy może chce pan powiedzieć, że w ogóle nie ma pan dzieci?

- Niech pan posłucha... Zaskoczył mnie pan... Niełatwo jest mi o tym mówić, ale mam nadzieję, że pan jako mężczyzna mnie zrozumie. Nigdy nie byłem żonaty. Ale miałem kobiety, które kochałem i które mnie kochały. Z niektórymi miałem dzieci. Żadnego dziecka nie zostawiłem na pastwę losu, pomagałem, jak mogłem, nawet jeżeli zrywałem związek z matką. Ale nie miałem wpływu na wybór imion dla dzieci. Rozumie pan?

- Chce pan powiedzieć, że ma pan dwie córki o imieniu Natasza?

- Trzy. Chcę wiedzieć, która została uprowadzona.

- Natasza Tieriochiną.

- O Boże, nie!

Teraz twarz Wołochowa przybrała wyraz prawdziwego przerażenia i rozpacz.

- Ta dziewczyna jest panu szczególnie bliska? - niewinnie zapytał Olszański.

- Wszystkie dzieci traktuję jednakowo - odparł Wołochow już spokojniej, ale Olszański widział, że wcale się nie uspokoił. Był ogarnięty paniką.

- Kto ją porwał? Dlaczego?

- Waleriju Wasiljewiczu, gdybym znał odpowiedzi na te pytania, nie zapraszałbym pana do siebie. Porywacz nie żąda okupu i w ogóle się nie kontaktuje. Chcę więc zapytać pana jako ojca Nataszy: kto i dlaczego mógł ją porwać? Tylko pan może udzielić mi odpowiedzi. I udzieli jej pan.

- Nie wiem.

- Nie wierzę panu.

- Ale ja naprawdę nie wiem. Natasza Tieriochina jest najzwyczajszą dziewczyną pod słońcem, w dodatku ciężko chorą, do końca życia przykutą do wózka inwalidzkiego.

- Czy to z jej matką spotykał się pan u Aniskowicz?

- T-tak. Jak się dowiedzieliście, że Natasza jest moją córką?

- Odwiedzał ją pan w szpitalu. Zgadza się?

- Odwiedzałem. Jak się o tym dowiedzieliście?

- Mamy swoje sposoby. Podawał się pan za przyjaciela rodziny, ale interesował tylko Nataszą. To sprawiło, że uznaliśmy, iż dziewczyna różni się czymś od reszty Tieriochinów. Nie chodzi przy tym o różnicę obiektywną, ale istotną z pańskiego punktu widzenia. Gdyby chciał pan pomóc rodzinie zmarłego przyjaciela Leonida Tieriochina, przede wszystkim pomagałby pan ich najstarszej córce Irinie, która dźwiga na swoich barkach ciężar utrzymania czworga inwalidów. Ale Irina nie otrzymała od pana żadnej pomocy i w ogóle nie widziała pana na oczy. Do młodszych dzieci również pan prawie nigdy nie zaglądał. Ponadto posługiwał się pan wymyślonym nazwiskiem, co stanowiło kolejny dowód, że nie był pan przyjacielem rodziny Tieriochinów. A zatem wszystko jest proste, jak pan widzi.

- Tak, wszystko jest proste... - z roztargnieniem powtórzył Wołochow. - Ale Natasza... Co z nią? Szukacie jej?

- Tak, robimy wszystko, żeby ją znaleźć. Ale na razie niestety

bez powodzenia. Niedawno ktoś wykradł ze szpitala jej kartę medyczną. Może pan to jakoś wytłumaczyć?

- Córka ma silną alergię na leki, karta musi zawierać szczegółowe informacje, co można jej podawać, a czego nie wolno. Widocznie to zainteresowało porywaczy. Ale to przecież świadczy o tym, że potrzebują jej żywej! Troszczą się o nią? Prawda?

Wołochow spojrzał błagalnie na śledczego, jakby oczekiwał od niego wsparcia i pocieszenia. Przez jakąś chwilę Olszańskiemu nawet zrobiło się żal tego wielodzietnego ojca.

Przez kilka następnych dni zajęcia odbywały się tylko po południu. Rano Natasza pozostawała w rękach zagranicznego lekarza. Mironowi ani razu nie udało się go zobaczyć. Czujni ochroniarze surowo strzegli, żeby drogi Mirona oraz innych mieszkańców dwupiętrowej willi się nie przecinały. Nie pozwalano mu również spacerować po zmroku. Miron domyślił się, czym to jest podyktowane. Wieczorem w pokojach pali się światło i na podstawie liczby oświetlonych okien można wysnuć wniosek dotyczący liczby przebywających tutaj osób. To znaczy, że oprócz ochroniarzy, Wasilija, zagranicznego lekarza i pielęgniarki Nadi jest ktoś jeszcze. Ciekawe, kto znajduje się w tamtej części domu, którą oddziela ślepa ściana? I dlaczego ściana jest ślepa? Kogo tam ukrywają?

Miron postanowił jednak się nie rozpraszać i nie zawracać sobie głowy sprawami, które nie mają bezpośredniego związku z jego głównym zadaniem: wydostaniem się stąd. Musi myśleć tylko o tym, ponieważ nie ma i nie może być nic ważniejszego od własnego życia.

Każda minuta w ciągu tych dni wydawała się Mironowi wiecznością. Zrobił wszystko, co od niego zależało, żeby naprowadzić Wasilija na myśl o konieczności zdobycia karty Nataszy Tieriochinej. Jeżeli Natasza niczego nie pomyliła, jeżeli to prawda, że na oddziale, na którym leżała, niedawno zabito pielęgniarkę, milicja stale tam bywa. Musi przesłuchać a to tego, a to tamte go, musi poszukać też jakichś śladów. Jak

Wasilij zdobędzie kartę Nataszy? Spróbuje ją kupić albo ukraść. Istnieje bardzo duża szansa, że wysłany w tym celu człowiek wpadnie na milicjantów. Na to Miron właśnie liczy. W tym pokłada całą nadzieję.

Im dłużej nie przywożono karty, tym większa była nadzieja, że wszystko się udało. Posłańca zatrzymano, przesłuchano, zmuszono do mówienia, więc lada chwila pojawią się tutaj wybawiciele. Może przyjadą samochodami albo przylecą helikopterami. Może będzie to grupa specnazu, która dotrze pieszo przez góry i lasy do legowiska, podkradnie się bezgłośnie i zniemacka zaskoczy mieszkańców.

Miron ciągle się przyłapywał, że mimowolnie uważnie nasłuchuje, czy nie jadą samochody, nie huczy helikopter, nie trzeszczą gałęzie pod butami specnazowców. Jednakże nigdzie nie szumiało, nie huczało i nie trzeszczało. Panowała całkowita cisza, słychać było tylko szelest liści.

Nadzieja rosła z każdą minutą, więc gdy Miron zobaczył Wasilija z kartą medyczną Nataszy w dłoniach, omal nie jęknął z rozpaczy i złości.

- Proszę, wszystko w porządku - wesoło powiedział Wasilij. - Możesz przekazać dziewczynie, że zdobyliśmy jej kartę. Rzeczywiście jest tu napisane, co jej wolno podawać, a czego nie, więc niech się teraz nie denerwuje, że dostanie coś, co mogłoby jej zaszkodzić.

Spokojnie, powtarzał w myślach Miron, nie wpadaj w panikę, może tego, kto zabrał kartę ze szpitala, namierzono i śledzono aż tutaj. On zaś niczego nie zauważył. Oczywiście, tak się to właśnie odbyło. Specjalnie pozwolono mu uciec, żeby zobaczyć, dokąd zawiezie kartę. Teraz jeszcze przez pewien czas będzie cicho, póki nie zostanie opracowany plan. Niczego nie robi się natychmiast i bez namysłu. Cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość. Cierpliwość i opanowanie. Wszystko powinno się udać.

Jednakże minęły jeszcze dwa dni i nic się nie wydarzyło. Miron zrozumiał, że dłużej nie ma na co liczyć. Jego rachuby zawiodły.

Mimo wszystko chłopak nie tracił nadziei. Rozpacz, w którą wpadł, gdy w rękach Wasilija znalazła się karta Nataszy, szybko minęła, i Miron zaczął szukać innego wyjścia. Po głębszym zastanowieniu zrozumiał, na czym polegał jego błąd. Głupotą było liczenie na to, że milicja znajdzie się w tym samym czasie w tym samym miejscu co człowiek wysłany po kartę. To oczywiste, że się rozminęli. Niewykluczone, że milicja do tej pory nie wie o zaginięciu karty. Czyż można było działać tak prymitywnie, zdając się na przypadek? Należało uprzedzić milicję, że po kartę ktoś się zjawi, wtedy wszystko by się udało.

Miron opracował nowy plan. Dłuższy i bardziej skomplikowany, ale jak mu się wydawało, pewniejszy. Byleby tylko wszystko się nie skończyło, zanim wprowadzi swój plan w życie.

Dzisiaj znowu wymyślił pod całkiem przyzwoitym pretekstem jakąś zupełnie niepotrzebną pracę na komputerze dla Nataszy.

„Skąd masz książkę Goldmana? Wydano ją przecież bardzo dawno, teraz ze świecą jej szukać”.

„Przyniosła mi ją kobieta z milicji. Zajmowała się zabójstwem pielęgniarki na naszym oddziale”.

„Kobieta cię pamięta?”

„Nie wiem”.

„Kiedy twoja rodzina obchodzi urodziny?”

„Ira - wrzesień, Ola - maj, Pawlik - styczeń, mama - listopad”.

„Nigdy nie zapominasz o ich urodzinach?”

„Nie! Nie!”.

Dwukrotnie powtórzone „nie!” było tak wymowne, że Miron mimowolnie się uśmiechnął.

„Jeżeli złożysz życzenia innego dnia, bardzo się zdziwią?”

„Tak! Tak! Tak!”.

„Wiesz, co masz robić?”

„Tak”.

„Jakich języków obcych się uczyłaś?”

„Francuskiego i niemieckiego”.

„Nie zapomnij o złotym człowieku. Wiesz, co mam na myśli?”

„Tak”.

Mniej więcej pół godziny później Miron poirytowanym i rozdrażnionym tonem powiedział głośno:

- Co się dzisiaj z tobą dzieje, Natalio? Jesteś jakaś nieswoja, nie potrafisz wykonać najprostszego zadania.

Przywieziono twoją kartę, więc nie masz się już czego bać, te zadania powinny być dla ciebie dziecinną igraszką. Jeżeli coś cię boli, wezwij Nadię.

- Serce mnie boli - ze smutkiem odparła dziewczyna. - Niedługo Pawlik będzie miał urodziny, a ja nie mogę złożyć mu życzeń.

- Nonsens - ostro odparł Miron. - Robisz z igły widły. Jak raz nie złożysz mu życzeń, nic straszego się nie stanie. Twój Pawlik jakoś to znieśie.

- Nie, nie znieśie! - Jej głos zadrżał, słysząc w nim było łyż. - Jak możesz tak mówić? Pewnie nie masz młodszego braciszka, więc tego nie rozumiesz. I ja, i Oleczka przynajmniej przez pewien czas mieszkaliśmy z rodzicami i rodzeństwem, prowadziłyśmy normalne życie. A Pawlik trafił do szpitala, gdy miał pół roku, oprócz sali szpitalnej niczego w życiu nie widział. Jakie chłopiec ma przyjemności? Dwa razy w tygodniu odwiedza go Irka, przynosi mu słodycze. I na tym koniec. Raz w roku Pawlik obchodzi urodziny. Tylko raz w roku, rozumiesz? Zawsze staramy się przygotować mu niespodziankę. Irka wysupłuje ostatnie pieniądze, żeby kupić mu prezent i urządzić przyjęcie dla dzieci, ja układam jakieś śmieszne wierszyki, Oleczka uczy się ich na pamięć, maluje mu ładną kartkę z życzeniami. Zbieramy się wszyscy razem, wręczamy prezent, Ola deklamuje wiersze. Cała sala bawi się i cieszy razem z nim. Jak można pozbawić dziecko tej przyjemności?

- Czemu na mnie wrzeszczysz? - niespodziewanie opryskliwie przerwał jej Miron. - Czy to ja pozbawiłem go tej radości? Jeśli chodzi o mnie, to składaj mu życzenia, jak cię tak przypiliło, tyle że nie ja tutaj decyduję, sama wiesz.

- Wiem - powiedziała już ciszej - wybac, że się na tobie wyżyłam. To rzeczywiście nie twoja wina. Jestem po prostu okropnie zdenerwowana. Jak pomyślę, że w dniu urodzin

Pawłuszeńka niczego ode mnie nie dostanie, serce mi się kraje. On tego nie zrozumie, jest przecież mały, ma zaledwie sześć lat. Będzie czekał na życzenia ode mnie, a później, gdy się ich nie doczeka, na pewno się rozplacze... Nie mogę przestać o tym myśleć.

- Dobrze. - Miron nagle złagodniał. - Powiem Wasilijowi Ignatjewiczowi. Może pozwoli ci wysłać telegram do brata. Na wszelki wypadek ułóż wierszyk.

- Bardzo ci dziękuję - zawołała Natasza.

- Na podziękowania przyjdzie czas. Na razie jeszcze nie wiadomo. Może Wasilij Ignatjewicz nie pozwoli.

Jednak Wasilij się nie sprzeciwił. W dodatku ku zdumieniu Mirona nawet nie trzeba go było przekonywać. Albo naprawdę się przestraszył, że zdenerwowana i zaaferowana Natasza nie będzie mogła się dobrze zaprezentować, albo kierowały nim inne motywy, tak czy inaczej, zgodę na wysłanie życzeń braciszkowi wyraził bez oporów i nawet wydawał się zadowolony. Oczywiście, raptem olśniło Mirona, jeżeli Natasza nie zapomniała o urodzinach brata i nawet napisała mu jak zwykle wierszyk, to znaczy, że z nią naprawdę wszystko w porządku i nie ma powodu do niepokoju. Wszystko się zgadza, Wasilij powinien był połączyć haczyk.

Nazajutrz przyniesiono Nataszy czysty blankiet foto-telegramu, na którym starannym, drobnym pismem napisała długi wiersz i narysowała z boku śmiesznego pieska z dużą kokardą na szyi. Dziewczyna wyraźnie się odprężyła, gdy zabrano blankiet. Można było nawet odnieść wrażenie, że nie zwróciła uwagi, iż tym razem podyktowano jej zupełnie inny adres nadawcy. Telegram zostanie wysłany nie z Murmańska, lecz z Orenburga.

Wieczorem Mirona czekała niemiła niespodzianka. Gdy po zajęciach z Nataszą wrócił do pokoju, zastał w nim ojca.

- Witaj, Asłan-bek - rzekł surowo.

- Dobry wieczór, ojcze. - Miron przywitał się ostrożnie, nie mając pojęcia, czego się spodziewać po spotkaniu.

- Chyba nie cieszysz się na mój widok.

- Ależ skąd, ojcze, po prostu nie myślałem, że cię tutaj

spotkam, więc jestem trochę zaskoczony. Co cię sprowadza?

- Przyjechałem w interesach, a przy okazji postanowiłem się dowiedzieć, jak mój syn spełnia prośbę ojca.

- No i co? - zapytał Miron z udawaną obojętnością. - Wasilij się na mnie skarży?

- Tak, i to mnie bardzo smuci.

- Czym mu się naraziłem? Jestem posłuszny, wykonuję wszystkie polecenia i nawet przestrzegam głupich zakazów, które wydaje. Dokąd mnie wysłałeś, ojcze? Na wakacje czy na katorgę? Nie dają mi tu przecież zrobić kroku bez pozwolenia. Do wsi nie wolno. Za bramę nie wolno. Na spacer wieczorem nie wolno. Przejść się po budynku nie wolno. Z nikim poza dziewczyną nie pozwalają mi się kontaktować. Za co spotyka mnie taka kara? Czym wobec ciebie zawiniłem, że wysłałeś mnie do tego więzienia?

- Zasmucasz mnie, synu. Pragnąłem wierzyć, że Wasilij nie we wszystkim ma rację, ale teraz widzę, że nie przesadzał. Jesteś nieposłuszny i krnąbrny, słowo ojca nic dla ciebie nie znaczy. To źle. To wbrew obyczajowi. Być nieposłusznym synem to wielki grzech, ogromny. Ale jeszcze większym grzechem, jeszcze większym naruszeniem obyczaju jest okazywanie litości kobiecie. Zostałeś przyłapany na tym grzechu, i to wielokrotnie.

- Ojcze, ale to przecież dziecko, dziewczynka, w dodatku nieuleczalnie chora. Czyżbym nie miał prawa po ludzku jej współczuć?

- Nie - uciął ojciec. - Musisz robić to, co ci każe Wasilij. Musisz służyć sprawie, której i ja służę. Nie możesz pozwalać sobie na współczucie. Taka jest moja wola. Jeżeli w twojej grzesznej duszy pojawi się zwątpienie, pamiętaj, że w twoich żyłach płynie moja krew, a nie krew tej dziewczyny. Ona jest dla nas obca. A to znaczy, że i dla ciebie jest obca. Twoja matka bardzo się zmartwi, gdy się dowie, że naruszasz obyczaj i okazujesz nieposłuszeństwo ojcu. O tym też powinieneś pamiętać. Jesteś Inguszem. I muzulmaninem, Aslan-bek. Chociaż od dłuższego czasu udaję, że nie zauważam twoich niemuzulmańskich czynów, chociaż przestałem oponować przeciwko temu, że nie posługujesz się imieniem, które otrzymałeś przy urodzeniu, nie

oznacza to jednak, że się z tym pogodziłem i jestem gotów oddać cię prawosławnej cywilizacji. Urodziłeś się muzułmaninem i umrzesz jako muzułmanin. Taka jest moja wola.

To mówiąc, wstał i wyszedł z pokoju. Chwilę później Miron usłyszał głosy ojca i Wasilija dobiegające z zewnątrz, ale nie mógł zrozumieć, o czym rozmawiają. Poczł niespodziewaną złość na Wasilija, który okazał się o wiele bardziej przenikliwy i czujny, niż chłopak przypuszczał. No proszę, zauważył, że Miron tylko udaje obojętnego, a tak naprawdę współczuje Nataszy. Cwany drań. Parszywy donosiciel. Naskarżył ojcu.

Jednakże władza ojca była bardzo silna. Przez dwadzieścia dwa lata był jedynym panem Mirona-Asłan-beka, przez dwadzieścia dwa lata żądał bezwzględного posłuszeństwa i wmawiał mu, że synowskie nieposłuszeństwo i brak szacunku wobec ojca to wielki grzech. Miron mu wierzył. Wierzył do tej pory. Mimo że ojciec najwyraźniej zajmował się czymś nielegalnym. Mimo tamtych słów, które powtórzył mu Wasilij, że ojciec pierwszy podniesie na niego rękę, uzna to nawet za sprawę honoru, jeśli Miron go nie posłucha. Ojciec zawsze miał rację. To nie podlegało dyskusji.

Tego dnia Miron położył się spać, czując się najpodlejszym grzesznikiem. Jeżeli z woli ojca jest mu sądzone zginąć, musi to przyjąć jak dar losu, nie sprzeciwiać się i nie szukać dróg ratunku. Jeżeli ojciec postanowił, że ma umrzeć, to znaczy, że umrze. Nie ma tu nad czym dyskutować. Musi poddać się woli ojca. Tak nakazuje obyczaj.

Miron obudził się z tymi samymi myślami, z którymi zasnął. Ale od razu przypomniał sobie o Nataszy. Dobrze, musi być posłusznym synem i przyjąć śmierć, jeżeli taka jest wola ojca. Ojciec ma prawo rozporządzać synem według własnego uznania, ale kto dał mu prawo rozporządzać życiem rosyjskiej dziewczyny? Natasza zaufała Mironowi, liczy na niego, oczekuje ratunku. Czyż może więc rzucić ją na pastwę losu tylko dlatego, że ojciec zmusił go, by przyznał się do błędu i grzechu? Do diabła z nim, jest gotów umrzeć, jeżeli tak trzeba,

ale powinien spróbować uratować dziewczynę. Nie ma prawa się wycofać. Ojciec sądzi, że to grzech litować się nad rosyjską dziewczyną, niemuzułmanką, córką niewiernych. Zgoda, może to prawda. On, Aślan-bek, jest grzesznikiem. Ale jest też mężczyzną! Ma obowiązek bronić dziecka, nawet jeżeli to dziecko niewiernych.

Skoro tak, musi zrobić następny krok. Ciekawe, kiedy telegram Nataszy dotrze do Moskwy? Orenburg leży daleko od Karpat, więc jeżeli posłaniec z telegramem poleci samolotem ze Lwowa, to nie prędzej niż nazajutrz. Do Lwowa też musi się jakoś dostać. Najpierw samochodem na lotnisko miejscowych linii lotniczych, później ze czterdzieści minut starym, małym kukuruźnikiem. W dodatku rejsy do Orenburga nie odbywają się pewnie codziennie. Przypuśćmy, że telegram znajdzie się w Moskwie pojutrze. To znaczy, że Miron może powoli przystąpić do realizacji kolejnego etapu planu. Po tym, jak telegram dotrze do Moskwy, minie parę dni, zanim ci, którzy szukają Nataszy, się zorientują. Jeżeli ktoś w ogóle jej szuka. I jeżeli domyśli się, co Miron ukartował. Jeżeli... Jeżeli...

Rozdział 17

Walerij Wasiljewicz Wołochow zawsze uważał się za osobę zdrową zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Za podstawową oznakę zdrowia psychicznego uważał niezwykle silną zdolność do wypierania ze świadomości nieprzyjemnych i trwożliwych myśli. Umiał nie myśleć o tym, co mu się nie podobało i o czym nie chciał myśleć. Umiał zmusić się również do tego, żeby nie martwić się tym, czym nie chciał się martwić. W ciągu dwudziestu lat ciągłych eksperymentów z kobietami i ich dziećmi własny brak etyki i potworność tego, co robił, ani razu go nie przerażyły. Miał cel i tylko to go interesowało. Zbyt dobrze pamiętał dotkliwą zniewagę, która go spotkała, gdy zaproponowana przezeń teoria wywołała kpiny i została odrzucona przez kolegów jako nieperspektywiczna i nienaukowa. Wołochow chciał sobie udowodnić, że się nie pomylił, nawet gdyby nikt nie miał się o tym dowiedzieć. On będzie wiedział i to wystarczało. Nigdy przez dwadzieścia lat nie przyszło mu do głowy, że jeżeli jego teoria się potwierdzi, będzie mógł na tym zrobić pieniądze. Pieniądzy miał dosyć, cieszył się opinią świetnego diagnosty i wybitnego specjalisty posługującego się radiologią w leczeniu chorób krwi. To przynosiło mu popularność i dochody. Nie zamierzał więc czerpać zysków ze swoich nielegalnych prywatnych eksperymentów. To była dla niego czysta nauka dla nauki i potwierdzenie własnej tezy.

Spotkanie z Aniskowicz w połowie maja było przykrą niespodzianką. Jeszcze bardziej przykre okazało się to, że spotkanie było nieprzypadkowe. Starsza pani śledziła go przez parę miesięcy i teraz szukała sposobności, żeby palnąć mu kazanie. Do rozmowy z Jekatieriną Wieniediktowną Wołochow podszedł spokojnie, nie zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, a to, że Aniskowicz przestała go nagabywać i nie stawiała mu

więcej na drodze, ocenił jako coś zupełnie naturalnego. Staruszka postraszyła go, wygadała się, udzieliła reprimendy, po czym zapomniała i zajęła się własnymi sprawami. Jednakże wkrótce po spotkaniu z Jekatieriną Wieniediktowną Wołochow odebrał telefon. Nieznajomy głos oznajmił:

- Waleriju Wasiljewiczu, wiemy o pańskich eksperymentach. Jesteśmy nimi zainteresowani. Niech się pan zastanowi nad warunkami i zaproponuje cenę. Zadzwonimy jeszcze do pana.

W tamtej chwili Wołochow tak się przeraził i stropił, że nawet nie odpowiedział. Telefonujący zaś do niego mężczyzna nawet nie czekał na odpowiedź, po prostu powiedział, co miał do powiedzenia, i odłożył słuchawkę. Wołochow kilkakrotnie wracał w myślach do tamtej rozmowy, próbując zawczasu przygotować to, co powie, gdyby telefon się powtórzył.

Nie rozumiem, o czym pan mówi...

Nie prowadzę żadnych eksperymentów...

Później zrozumiał, że to nie jest właściwa reakcja. Skoro do niego zadzwoniono, to znaczy, że ktoś wie. Nie ma więc sensu się wypierać.

Wyniki moich eksperymentów naukowych nie są na sprzedaż...

Nie potrzebuję waszych pieniędzy...

Nie handluję wiedzą naukową...

Wszystkie odpowiedzi wydawały mu się głupie i nieporadne, nieprzekonujące i pełne niepotrzebnego patosu. Domyślał się, że będą go straszyć nagłośnieniem sprawy, ale nie drżał ze strachu. Wy tłumaczy się, potrafi udowodnić, że to puste domniemania. Kobiety? Owszem, były. A co, czy to zabronione? Dzieci? Tak, kobiety rodziły mu dzieci. Czy to przestępstwo? Eksperymenty z ciężarnymi? O czym pan mówi? Jestem diagnostą, stosowałem radiologię do badania stanu zdrowia ciężarnych i płodu, to są opatentowane i dozwolone metody. Niczego innego nie robiłem. Jeżeli kobieta potrzebowała leczenia zgodnego z moją specjalnością, leczyłem ją, czyż mogłem postąpić inaczej? Tak, korzystałem z laboratorium instytutu, żeby badać własne kochanki, przyznaję się, moja wina. Ale nie działałem na szkodę państwa. Nie

kradłem. Niczego nie zniszczyłem. Dzieci rodziły się chore i często chorowały? Co robić, po pierwsze, teraz prawie wszystkie dzieci są takie, środowisko naturalne jest wyjątkowe niesprzyjające. Po drugie, wiąże się to ze stanem mojego własnego zdrowia, które pozostawia niestety wiele do życzenia, natomiast praw dziedziczności na razie jeszcze nikt nie zmienił. Mimo wszystko to moje dzieci, a nie kogoś innego.

Jednym słowem, nie bał się zdemaskowania. W końcu nikt nie jest w stanie doliczyć się wszystkich jego kobiet i dzieci. Chyba tylko Jekatierina, która twierdziła, że go wysłodziła i zrobiła listę. Wnioskując z nazwisk, które wymieniała, lista była rzeczywiście kompletna. Jednakże Katierina umarła, i to w samą porę. Doktor Wołochow nie zamierzał przekazywać swojego wynalazku w cudze ręce. Doskonale zdawał sobie sprawę, komu i do czego może się przydać. Teraz, gdy praca zbliża się do końca i trzeba tylko poczekać na dzieci Wiery i Zoi, jest pewien, że mu się udało. Nauczył się tworzyć ludzi o potężnym intelekcie i wspaniałych cechach fizycznych w zakresie wytrzymałości i odporności na przeciążenie pracą, a przy tym absolutnie posłusznych i zdyscyplinowanych. Idealnych wykonawców, którzy w nieuczciwych rękach mogą stać się zarówno absolutnie niezawodnymi ochroniarzami i nieznającymi porażek żołnierzami, jak i sprytnymi przestępcami oraz nieuchwytnymi najemnymi zabójcami.

Wołochow nie zamierzał nikomu oddawać swojego wynalazku, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę z możliwych skutków jego wykorzystania na masową skalę. Kiedy więc rozległ się po raz drugi telefon od nieznajomego, Walerij Wasiljewicz odparł bez wahania:

- Nie. Nie rozumiem, o czym pan mówi, i nie zamierzam niczego panu sprzedawać.

- No cóż - odpowiedziano mu - pożałuje pan tego. Sami zabierzemy panu wynalazek.

Przez kilka dni po tej rozmowie Wołochow chodził spięty i zaniepokojony, spodziewając się, że w każdej chwili ktoś go napadnie, zwiąże, wywiezie gdzieś i będzie torturował. Albo wyłamie drzwi do mieszkania i ukradnie notatki. Albo coś w

tym rodzaju.

Jednakże nic się nie wydarzyło. Nie napadnięto go i nie ukradziono mu dokumentacji. Powoli zaczął się więc uspokajać. Zmusił się, żeby o tym nie myśleć. Tak samo jak w wypadku Aniskowicz mówił sobie: To nic strasznego. Po prostu mnie postraszyli. Gdy jednak zobaczyli, że się nie boję, to się wycofali. Takie myślenie było łatwe i wygodne. Mechanizm wyparcia nieprzyjemnych i trwożliwych myśli doktora Wołochowa pracował bez zarzutu.

A dzisiaj śledczy w prokuraturze powiedział mu, że ktoś uprowadził Nataszę Tieriochinę. Nataszę, jedyne z jego starszych dzieci, które posiadało wybitny intelekt. Ola również byłaby taka sama, gdyby nie uraz czaszki. Ale u Oli rozwój intelektualny się zatrzymał, pozostała tylko fenomenalna pamięć. Pozostałe dzieci, przy których stosował tę część metody, były jeszcze zbyt małe. Natasza zaś ma już siedemnaście lat. A więc telefoniczne groźby nie były gołosłowne. Dziewczynę porwano, żeby starannie ją przebadać i spróbować odkryć, co uczynił z nią Wołochow. Poddadzą ją różnym badaniom oraz męczącym zabiegom łącznie z punkcją mózgowo-rdzeniową. Wszystko po to, żeby dotrzeć do sedna wynalazku Wołochowa.

A później dobiorą się do Iry. Trudniej ją oczywiście porwać, nie jest tak bezradna jak jej na wpół sparaliżowana siostra. Ire można jednak oszukać i zmusić, żeby wyjechała z własnej woli i bez awantury, tak że nikt nie zacznie jej nawet szukać. Ira jest im również potrzebna, ponieważ zdążyła już zademonstrować swoją zdolność do nieprzerwanej pracy bez dłuższego odpoczynku, a jeżeli trzeba, to nawet bez snu. Z samą Nataszą nic nie osiągną, zamęczą ją tylko badaniami i zabiegami. Natomiast jeżeli przebadają jednocześnie Ire, mogą uzyskać wynik, który będą mogli wykorzystać.

Do tego nie wolno dopuścić.

Funkcjonariusze wydziału kryminalnego w Murmańsku zanadto się nie spieszyli, żeby wykonać polecenia śledczego

moskiewskiej prokuratury miejskiej, swoją pracę jednak wykonali, mimo że zajęła im ponad dobę.

Zgodnie ze wskazanym w telegramie adresem zwrotnym na ulicy Polarnej numer dwadzieścia znajdował się dom, ale mieściła się tam administracja dużego przedsiębiorstwa. I żadnego wejścia numer trzy. A tym bardziej mieszkania numer dziewięć. Oryginał telegramu znaleziono, skonfiskowano i wysłano do Moskwy. Pozostawało czekać, co powiedzą eksperci, którym obok blankietu telegramu dostarczono do porównania zeszyty Nataszy Tieriochinej. Na pierwszy rzut oka charakter pisma we wszystkich próbkach był jednakowy, ale nie można było wykluczyć możliwości sprytnego fałszerstwa.

Gdy wpłynęło zawiadomienie od Miszy Docenki, że doktor Wołochow po pracy w instytucie udał się do dzielnicy Sokolniki, Jura Korotkow natychmiast zajrzał do sąsiedniego pokoju, w którym urzędowała Nastia.

- Słuchaj, nasz doktor chyba postanowił w końcu poznać Irę Tieriochinę. Co on knuje?

- No jasne - wolno oznajmiła Natia, podniósłszy na Jurę oczy, które w jednej chwili się rozjaśniły. - Teraz rozumiem. Ależ ze mnie fujara, Jurik! Że też od razu się nie domyśliłam. Jedziemy.

- Dokąd? - Korotkow zdumiał się.

- Do Tieriochinej. Jedziemy, Jura, jedziemy, po drodze ci wyjaśnię.

Samochód Korotkowa był tak stary, że huczał i dzwonił, gdy prędkość przekraczała pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, więc musieli wybierać między możliwością szybszej jazdy a możliwością rozmowy. Zdaniem Nasti obecna sytuacja pozwalała zrezygnować z szybkości.

- Jeżeli nie mam racji, to i tak nie zdążymy. A jeżeli mam rację, to nie ma się gdzie spieszyć.

- Skończ z tymi zagadkami. - Korotkow się oburzył. - Wyjaśnij, jak obiecałaś.

- Pamiętasz, jak nie mogliśmy się nadziwić, dlaczego nieuchwytny wujek Sasza Nikolajew wykazuje zainteresowanie głównie Nataszą, do młodszych dzieci Tieriochinów zagląda od

przypadku do przypadku, Irze zaś w ogóle nie poświęca uwagi, chociaż to ona przede wszystkim potrzebuje pomocy. Później, gdy stało się jasne, że wujek Sasza to doktor Wołochow, właściwie zapomnieliśmy o swoim zdumieniu. Jednak od razu wysunęliśmy hipotezę, że mityczny Nikołajew jest ojcem Nataszy, a może i młodszych dzieci. Dlatego Kostia Olszański tak śmiało oznajmił Wołochowowi, że jego córka Natasza została porwana. I trafił w dziesiątkę. A teraz zobacz, co się dzieje. Wołochow zwodzi swoją kochankę Smirniaginę i przyprowadza ją do siebie do domu, zapewniając przy tym, że to mieszkanie jego przyjaciela, który wyjechał w delegację za granicę. Na razie zostawmy pytanie, dlaczego to robi. Wiadomo, że skoro nie chce się żenić i wymyślił w tym celu nieuleczalnie chorą żonę, musi również kłamać na temat mieszkania. Ale nasz przyjaciel Taszkow twierdzi, że Zoja Smirniagina wcale nie jest głupia. Cicha, posłuszna, zahukana, ale nie głupia. Kojarzysz już?

- Na razie nie, to wszystko jest dla mnie zbyt zawile. Co niby powinienem kojarzyć?

- To, że mieszkanie, w którym stale się przebywa, i mieszkanie, do którego przychodzi się od czasu do czasu, nie są do siebie podobne. Różnią się, rozumiesz? Zapach, obecność kurzu na podłodze i meblach, żywność w kuchni. Istnieje mnóstwo oznak, na podstawie których można określić, jak często korzysta się z mieszkania. Wierz mi, Jurik, że nie urodziła się jeszcze taka kobieta, która nie wyczułaby tej różnicy. Kobieta ma nosa do takich spraw jak prowadzenie mieszkania czy sprzątanie. Jeden facet na dwustu zauważa te rzeczy, ale kobiety zawsze. Więc powiedz mi, czy Smirniagina mogła tego nie zauważyć?

- Wygląda na to, że nie mogła.

- Więc czemu nie zauważyła?

- A niech cię, Aśka! - Korotkow się rozgniewał. - Czemu mnie dręczysz? Sama zadajesz pytania, to sama na nie odpowiadaj. Czy ja jestem królikiem doświadczalnym?

- Aleś się wkurzył. - Nastia zaśmiała się. - Wyluzuj. Wyjaśniam. Smirniagina nie zauważyła różnicy, ponieważ jej nie

ma.

- Jak to nie ma? Sama przecież powiedziałaś, że Wołochow przyprowdza ją do siebie do domu. Taszkow dokładnie to ustalił. Masz jakieś wątpliwości?

- Nie, Jurik, nie mam wątpliwości. Mieszkanie na Małej Siemionowskiej, gdzie jest zameldowany Wołochow, i mieszkanie jego przyjaciela dyplomaty to jedno i to samo mieszkanie. Tyle że Wołochow tam nie mieszka.

- No to pięknie. A gdzie twoim zdaniem mieszka?

- U Iry Tieriochinej.

Zbliżała się dziewiąta wieczorem, Ira była w domu, bo do pracy w Glorii szła na dziesiątą.

- Ojej - powiedziała przestraszona na widok Nasti i Korotkowa. - Wy do mnie?

- Niezupełnie. Twój lokator jest w domu?

- Który? Iljas? Nie ma go, wraca późno.

- A drugi? Nazywa się chyba Gieorgij Siergiejewicz.

- Jest u siebie. Zawołać go?

- Nie trzeba, zajrzemy do niego. Gdzie jest jego pokój?

- To ten. - Ira wskazała drzwi. - A czego od niego chcecie?

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Olegu? - włączył się Korotkow. - Powiedziałaś mi wtedy, że pewnego dnia Oleg wstąpił do ciebie, gdy byłaś w pracy, i rozmawiał z twoim lokatorem.

- Pamiętam. Ale nie wiem, o czym rozmawiali.

- Właśnie o to chcemy zapytać Gieorgija Siergiejewicza.

Zapukali do pokoju, który pokazała im Ira.

- Proszę! - rozległ się głos za drzwiami.

Nastia zerknęła na Korotkowa i zobaczyła, jak wargi zacisnęły mu się w wąską kreskę. Rozpoznał ten głos.

Na widok Korotkowa Wołochow nawet nie wstał z miejsca. Wyglądał tak, jakby przyrósł do kanapy, na której siedział z książką w rękach. Jura wszedł pierwszy, a za nim Nastia, która starannie zamknęła drzwi.

- Dobry wieczór, Waleriju Wasiljewiczu - powiedziała półgłosem, mając nadzieję, że Ira tego nie słyszy. - Jeszcze się panu nie znudziło mącić ludziom w głowach? Może

porozmawiamy w końcu normalnie?

- Czego ode mnie chcecie? Już powiedziałem wszystko śledczemu w prokuraturze. Tak, Ira również jest moją córką i chcę być blisko niej. Co w tym nagannego? Waszym zdaniem miałem jej powiedzieć, że matka urodziła nieślubne dzieci i to ja jestem jej prawdziwym ojcem? Nie rozumiem, dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju.

- Niech pan przestanie, Waleriju Wasiljewiczu. Proszę zaproponować mi, żebym usiadła, i wysilić się na uprzejmość, której z jakiegoś powodu nie raczył pan wpoić swojej córce. Zresztą nie można jej za to winić, prowadzi takie życie, że nie ma głowy do etykiety. Jednak pańskie życie ułożyło się szczęśliwie, więc co panu szkodzi być dżentelmenem.

Wołochow wstał i ostentacyjnie odłożył książkę na półkę.

- Proszę siadać - oznajmił oschle. - Zanim jednak zaczniemy rozmowę, musicie mi obiecać...

- Pan stawia nam warunki? - przerwał mu Korotkow, sceptycznie się uśmiechając. - Waleriju Wasiljewiczu, chyba pan czegoś nie zrozumiał.

- Nalegam, żeby Ira o niczym się nie dowiedziała. - Wołochow z uporem dokończył zdanie. - W przeciwnym razie nie będę z wami rozmawiał.

- Ostro. - Nastia uśmiechnęła się. - Źle pan ocenia sytuację, Waleriju Wasiljewiczu. Może pan się z nami targować długo i niez mordowanie, ponieważ nie jesteśmy stroną procesową, jeżeli rozumie pan, o czym mówię. Przyszliśmy z panem porozmawiać, pan odmawia rozmowy, narzucając nam swoje warunki, my zaś nie zgadzamy się na nie i spokojnie opuszczamy pański pokój. Wie pan, co następnie robimy? Idziemy do pańskiej starszej córki Iriny i opowiadamy jej to, co tak usilnie próbuje pan przed nią zataić. A jutro wzywa pana śledczy, który w odróżnieniu ode mnie i Jurija Wiktorowicza jest stroną procesową i ma prawo zażądać od pana zeznań, nie pytając, czy ma pan na to ochotę, a tym bardziej nie zwracając uwagi na pańskie niezręczne próby narzucenia mu jakichś śmiesznych warunków. Jeżeli taki rozwój wypadków panu odpowiada, nie będziemy zabierać panu dłużej czasu i

marnować swojego. Decyzja należy do pana.

- Proszę was, nie mówcie Irze - powiedział Wołochow, spuszczać z tonu.

- Oczywiście. - Nastia łatwo ustąpiła. - Jeżeli to nie przyniesie szkody sprawie, niczego jej nie powiemy. A więc, Waleriju Wasiljewiczu, przedstawię w ogólnym zarysie sytuację, żeby pan ją lepiej zrozumiał. Wiele lat temu pańska pacjentka Jelena Romanowska przedstawiła pana Jekatierinie Wieniediktownie Aniskowiec. Przez długi, bardzo długi czas spotykał się pan u Aniskowiec z Galiną Tieriochiną. Przynajmniej dwoje z czworga dzieci Tieriochinej to pańskie dzieci. Później z jakiegoś powodu Tieriochina doznaje szoku i popełnia straszliwy czyn, próbując odebrać sobie i dzieciom życie. Na szczęście wszyscy przeżyli. Przez następne sześć lat regularnie, choć niezbyt często, odwiedza pan w szpitalu dzieci: Nataszę, Olę i Pawlika. Udaje pan przyjaciela rodziny, wujka Saszę Nikołajewa, i przychodzi pan na oddział tylko wtedy, gdy dyżur pełni pielęgniarka Alew- tina Myrikowa. Oprócz tego od czasu do czasu bywa pan w domu opieki, w którym przebywa Galina Tieriochina, ale kontaktuje się pan jedynie z siostrą zakonną Marfą, która opiekuje się Galiną i szczegółowo informuje pana o stanie jej zdrowia. Następnego roku wynajmuje pan pokój u swojej córki Iriny pod wymyślonym nazwiskiem. Na razie wszystko się zgadza?

Wołochow skinął głową w milczeniu.

- Dalej. W maju tego roku po dłuższej przerwie spotyka się pan z Jekatieriną Wieniediktowną Aniskowiec. Po tym spotkaniu zaczyna się pasmo dziwnych zgonów. Umiera Aniskowiec. Następnie Jelena Romanowska. Później siostra Marfa i pielęgniarka Myrikowa. Giną ludzie, którzy znają pana osobiście i wiedzą, że coś pana łączy z rodziną Tieriochinów. Oprócz tych, którzy zginęli, tylko Natasza mogła jednoznacznie stwierdzić, że to pan jest tym przyjacielem rodziny, wujkiem Saszą, który odwiedza ją w szpitalu. Natasza zostaje porwana. Mam nadzieję, że jeszcze żyje. Patrzy pan ze zdziwieniem, Waleriju Wasiljewiczu? Chce pan powiedzieć, że po raz pierwszy słyszy pan o tych zgonach?

- Boże, oczywiście... Skąd miałem wiedzieć? O Aniskowicz już mi mówiono, ale o całej reszcie nie wiedziałem. Kto ich zabił?

- Ciekawe pytanie - mruknął Korotkow. - Dobrze byłoby usłyszeć na nie odpowiedź. Od pana - dodał od razu.

- Ode mnie? Dlaczego ode mnie? Czyżbyście sądzili...?

- Właśnie, Waleriju Wasiljewiczu. Pańska patologiczna chęć ukrycia nazwiska i miejsca zamieszkania, pańskie nieustanne kłamstwa na temat chorej żony i małych dzieci, pańskie sztuczki z mieszkaniem przyjaciela dyplomaty skłaniają nas do wniosku, że jest pan na bakier z prawem. Zbyt wiele jest oszustwa wokół pana, żebyśmy mogli uważać pana za uczciwą osobę.

- Ale ja nie mam nic wspólnego z tymi zabójstwami. Na jakiej podstawie wysnułicie taki wniosek? To jakieś bzdury!

- Niech się pan nie spieszy z ocenami - spokojnie zauważyła Nastia. - Nie powiedziałam panu jeszcze wszystkiego. Jakiś czas temu pańska pacjentka Wiera Nikołajewna Żesterowa przekazała panu prośbę męża Olega, żeby udzielił pan konsultacji jego znajomej. Wyraził pan zgodę, wyznaczył termin wizyty, później ją pan odwołał i przeniósł na inny termin, za trzy dni. W ciągu tych trzech dni Oleg Żesterow zdążył zginąć. Wiedział pan, że Oleg chciał przyjechać na konsultację Irę?

- Nie. Skąd miałem wiedzieć, że mąż mojej pacjentki ją zna? Nie miałem pojęcia, o kogo chodzi.

- Co by się stało, gdyby w pańskim gabinecie zjawiała się córka? Jak pan sobie wyobraża rozwój wydarzeń?

- No... - Wołochow wzruszył ramionami. - Nie wiem. Trudno mi sobie wyobrazić, co by się wydarzyło. Pewnie nie byłaby to przyjemna sytuacja.

- Ira wie, gdzie pan pracuje i kim pan jest?

- Nie. Dla niej jestem skromnym pracownikiem finansowym, księgowym w przedsiębiorstwie.

- Co by pomyślała, rozpoznając skromnego księgowego w osobie doktora nauk, luminarza medycyny?

- Niech pani nie prawi mi morałów. Przyszliście, żeby mi powiedzieć, że nieładnie jest kłamać? Przerabiałem to w szkole.

Jestem dorosły, mam pięćdziesiąt jeden lat, więc jeżeli mówię nieprawdę, to znaczy, że mam ku temu ważne powody, które są dla mnie o wiele istotniejsze niż naiwne kazania na temat naganności kłamstwa.

- A nie sądzi pan, że Oleg zginął w samą porę? Akurat wtedy, gdy powinien był zniknąć, żeby pańskie śliczne małe oszustwo nie wyszło na jaw. Waleriju Wasiljewiczu, przestudiowaliśmy dokładnie zapiski w pańskim notesie i nie znaleźliśmy w nich niczego, co by świadczyło o bezwzględnej konieczności przełożenia wizyty Olega i jego protegowanej. Pan jednak przełożył konsultację. Tym samym zyskał pan całe trzy doby. W tym czasie Oleg został usunięty. Niech pan spróbuje to podważyć.

- Ale wasi koledzy sprawdzali moje alibi! Juriju Wiktorowiczu, przecież pan sam...

- Zgadza się. - Korotkow znowu się włączył. - Sprawdziliśmy również pańskie alibi na czas popełnienia wszystkich zabójstw, o których właśnie pan usłyszał. I doszliśmy do wniosku, że nie popełnił ich pan osobiście.

- Sami widzicie. - Wołochow westchnął z ulgą. - W takim razie co mi tu...

- Zaraz wyjaśnię. - Nastia przejęła inicjatywę. - Jeżeli nie bierze pan osobistego udziału w popełnieniu przestępstwa, to nie oznacza, że nie może pan mieć współników.

- Co pani opowiada?! Jakich współników?! - Wołochow się oburzył. - Nikogo nie zabiłem i nie mam nic wspólnego z tymi zabójstwami. Zupełnie nic. Niech pani przestanie wymyślać niestworzone historie.

- Dobrze, przestanę. Skończmy fantazjować i przejdźmy do brutalnych faktów. Waleriju Wasiljewiczu, pańskie wzruszające męskie wyznania o kobietach, które pan kochał i które rodziły pańskie dzieci, nie wyjaśniają tych zgonów i ich nie usprawiedliwiają. Pańskie sercowe perypetie nie są warte tych zabójstw, rozumie pan?

- Mój Boże, próbuję wam to wytłumaczyć już bitą godzinę! Oczywiście, że nie są warte. Dlatego nie macie żadnych podstaw, żeby podejrzewać mnie o zabójstwa. Co mam do

ukrycia? Jestem człowiekiem wolnym i nagłośnienie moich, jak się pani raczyła wyrazić, sercowych perypetii nie wyrządzi mi żadnej szkody. Więc nawet nie ma o czym mówić.

- Jest o czym mówić, i to z całą pewnością. Ponieważ zabójstwa dotyczą pana, Waleriju Wasiljewiczu. Może zrobił pan to razem z kimś, kto panu pomógł. Może rzeczywiście pan tego nie zrobił i nie ma pan z zabójstwami nic wspólnego. Ale to, że zabójstwa mają z panem związek, nie ulega wątpliwości. Jest pan człowiekiem rozsądnym i nieobce jest panu myślenie analityczne, skoro obronił pan dwie dysertacje. Nie może pan nie przyznać mi racji. Więc niech pan mi powie, co to za tajemnica, której tak pieczołowicie strzegą ofiary? Dlaczego zabito tych wszystkich ludzi? Jeżeli się dowiem, dlaczego zginęli, dowiem się, kto ich zabił. Pytanie, czy pan to zrobił, ma drugorzędne znaczenie. Znajdę jakoś na nie odpowiedź.

- Nie rozumiem pani - wyniośle odparł Wołochow. - Nie mam tajemnic, w imię których musiałbym kogoś zabijać.

- Pan może nie musi - przyznała Nastia. - Ale kto inny tak. Nie może pan zaprzeczać oczywistym faktom. Waleriju Wasiljewiczu, mamy tylko dwa wyjścia. Pierwsze: pan wszystkiemu zaprzecza i wtedy zaczynamy bardzo mocno podejrzewać pana o popełnienie pięciu zabójstw. Mamy zeznania świadków, którzy widzieli, jak odwiedzał pan Aniskowiec w maju tego roku. W jej mieszkaniu znaleziono pańskie odciski palców. Mamy zeznania siostry Marfy, że bywał pan w domu opieki. Mamy dowody, że wybierał pan czas odwiedzin w szpitalu tak, żeby jak najmniej osób z personelu mogło pana zobaczyć. Zabito jedyną pielęgniarkę, która dobrze pana pamiętała. Wszystkie pozostałe pielęgniarki i lekarze znają pana tylko ze słyszenia, z opowieści Myriko- wej. Zeznania młodszych dzieci się nie liczą, Ola jest intelektualnie ułomna, a Pawlik zbyt mały. Natomiast Natasza, która również dobrze pana zna, znika w samą porę. Tak więc podstaw, żeby pana podejrzewać, a nawet oskarżyć, jest sporo. Drugie wyjście: jeżeli pan chce, żebyśmy nie uważali pana za zabójcę, niech pan opowie nam wszystko, co panu wiadomo. Trzeciego wyjścia nie ma, musi pan to zrozumieć.

- Niestety nie potrafię wam pomóc. Nie wiem, o jakiej tajemnicy pani mówi. Moim zdaniem to wytwór pani wyobraźni.

Nastia już miała odpowiedzieć, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

- To pana sąsiad? - zapytał Korotkow.

-Wątpię - odparł Wołochow. - Ma klucz. To ktoś inny.

Jura zerwał się z miejsca i bezgłośnie uchylił drzwi na korytarz. Rozległy się pospieszne kroki Iriny, szczęknął zamek. Korotkow ostrożnie wyślizgnął się na korytarz, starając się, żeby go nie zauważono. Nastia w milczeniu przypatrywała się Wołochowowi, próbując wykorzystać niespodziewaną przerwę i zmienić taktykę, ponieważ plan, który opracowała, siedząc w samochodzie Korotkowa, nie przyniósł pożądanych rezultatów. Wołochow niczego się nie boi, w każdym razie nie tego, co Nastia mu wyłuszczyła. Widocznie rzeczywiście nie ma nic wspólnego z zabójstwami. Musi jednak czegoś się bać! Nie może przecież nie wiedzieć, dlaczego zabito pięć osób. Trzeba tylko znaleźć właściwy klucz, żeby zmusić go do mówienia.

Drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju wpadł Korotkow. Bez słowa podał Nasti jakąś kartkę. Był to fototele- gram. Życzenia dla Pawlika Tieriochiną od jego starszej siostry Nataszy.

- Niech pan rzuci okiem, Waleriju Wasiljewiczu. - Nastia wręczyła telegram Wołochowowi. - Czy to pismo pańskiej córki?

Mężczyzna ze strachem zerknął na telegram, jakby bał się go dotknąć.

- Co to jest?

- Proszę się nie bać, nie gryzie. - Nastia się uśmiechnęła. - Niech pan przeczyta.

Wołochow ostrożnie wziął telegram i szybko przebiegł wzrokiem równe, zapisane drobnym pismem wiersze.

- Tak, to jej pismo. Na szczęście nie czuje się gorzej.

- Skąd ten wniosek?

- Wiersze są równe, a litery wyraźne. To oznacza, że Natasza nie przyjmuje silnych leków. Gdy ma bóle, dostaje takie środki, które działają podobnie jak narkotyki. Wtedy zostałyby

zakłócona koordynacja i nie mogłaby napisać tak równo i wyraźnie. Poza tym tekst świadczy o tym, że ma jasny umysł. Chwileczkę, ale dlaczego?

- Co dlaczego? - Nastia się zaniepokoiła.

- Dlaczego życzenia dla Pawlika? Przecież on ma urodziny w styczniu. Boże, a jednak zrobili jej krzywdę. Zaczęła mylić daty. To oznaka zaburzenia pamięci.

- Jest pan pewien? Skąd pan wie, kiedy chłopiec ma urodziny? Pawlik Tieriochin jest także pańskim synem?

- Tak, tak, tak! Jest pani zadowolona? Owszem, to mój syn. I on, i Ola, i Ira z Nataszą, każde z nich to moje dziecko. Całą czwórkę Galina ma ze mną. Dzieci urodziły się, gdy była zamężna z Leonidem. Chce mnie pani teraz rozstrzelać za to, że się kochaliśmy?

- Niech pan będzie tak uprzejmy i się opanuje - zimno powiedziała Nastia. - Pańska córka ma kłopoty i musimy myśleć tylko o tym, a pan pozwala sobie na głupie i podłe wykręty. Czyżby pan nie rozumiał, że nikt nie skrzywdził Nataszy? Przeciwnie, dziewczyna rozumie, że znalazła się w tarapatkach, i próbuje nas powiadomić, próbuje się z nami skontaktować. Jeżeli jest pan jej ojcem, a nie obcym wujkiem Saszą, musi pan pomóc i jej, i nam. Powiedział pan śledczemu Olszańskiemu, że żadnego dziecka nie zostawił pan na pastwę losu. Czyżby Natasza nie zasłużyła na pańską troskę? To ona potrzebuje teraz największej pomocy, a pan chce dać drapakę? Niech pan nam udowodni, że jest pan prawdziwym mężczyzną, który nie porzuca swoich dzieci w nieszczęściu. W przeciwnym razie jutro rano zostanie wydany nakaz pańskiego aresztowania i niech pan nie żywi próżnych nadziei, że do tego czasu uda się panu gdzieś ukryć. Razem z Jurijem Wiktorowiczem spędzimy noc na schodach pod drzwiami tego mieszkania, więc nigdzie pan stąd nie wyjdzie, póki nie zostanie pan aresztowany. Więc jak, Waleriju Wasiljewiczu, porozmawiamy czy poczekamy na poranne aresztowanie, z kajdankami i innymi tego rodzaju przyjemnościami?

Wołochow podszedł do okna i przez dłuższą chwilę milczał, mocno zacisnąwszy usta. Później odwrócił się wolno ku Nastii.

- Porozmawiamy.

Ajaks właśnie otrzymał wiadomość od Iljasa: milicja znalazła doktora Wołochowa. Jak to się mogło stać? Przecież Ajaks zrobił wszystko, żeby do tego nie doszło. Celowo sprzątnął tych, którzy mogli naprowadzić milicjantów na ślad doktora i połączyć go z rodziną Tieriochinów. Zrobił wszystko. Stara Aniskowicz, alkoholiczka Romanowska, pielęgniarka w szpitalu, zakonnica. A nawet ten chłopak, który z dobroci serca chciał załatwić Irze konsultację u Wołochowa. Nikt nie pozostał przy życiu. Oni jednak znaleźli doktora. Jak to możliwe?

Mówi się trudno, trzeba się pożegnać z myślą o kupieniu wynalazku Wołochowa. Nie można się z nim teraz kontaktować, skoro milicja siedzi mu na ogonie. Wasilij codziennie dzwoni, ale nie ma dobrych wieści. Ten irański lekarz nie może się w niczym połapać. Czegoś tam się niby doszukał, ale nie udaje mu się stworzyć pełnego obrazu. Mówi, że jedna osoba to za mało, potrzeba jeszcze przynajmniej jednego modelu, a najlepiej dwóch albo trzech. Dwa czy trzy to już przesada, ale jeden warto zdobyć. Najprościej najstarszą dziewczynę Irę. Dwoje dzieci znajduje się w szpitalu, ale po kradzieży karty Nataszy jest tam pewnie pełno milicji, więc nikt się nie wślizgnie do środka. Reszta to takie maluchy, że mamusie nie odstępują ich na krok. Nawet gdyby porwanie się udało, matki będą przyciskać milicjantów do muru. Natomiast Ira ma dwadzieścia lat, może wyjechać gdzieś sama, nikomu się nie tłumacząc. Zwłaszcza że nie ma komu się tłumaczyć. Trzeba się zastanowić, jak ją wywabić. Tak, Irę też chyba warto przechwytać, nawet jeżeli nie jest potrzebna irańskiemu lekarzowi. Eksperci przyjadą za jakieś dziesięć dni i jeżeli pokazać im tylko Nataszę, może to nie zrobić na nich wielkiego wrażenia. Jak udowodnić, że nie urodziła się jako cudowne dziecko, ale stała się nim w wyniku specjalnego oddziaływania. Razem z Irą, która jest zupełnie inna, efekt będzie o wiele lepszy. Proszę popatrzeć, rodzone siostry, mają tę samą matkę i tego samego ojca, ale poddawano je różnym oddziaływaniom. To pierwotzory, które powstały, gdy metoda nie została jeszcze dopracowana. A teraz można robić ludzi łączących w sobie

cechy obu sióstr. Zresztą na życzenie klienta cech można nie łączyć, ale produkować osobno intelektualistów i roboty. Do wyboru. Karta medyczna też się przyda, jest niezbitym dowodem, że Natasza przez sześć lat leżała w szpitalu i nie chodziła do szkoły, a wszystko, co wie i umie, jest zasługą jej umysłu, bo pedagodzy jej nie uczyli. Nawet ciągle ataki bólu i systematycznie zaostrzające się kłopoty z sercem nie przytępiły jej wybitnego intelektu. A kim mogłaby zostać, gdyby była zdrowa, miała rodzinę i dostęp do doświadczonych nauczycieli oraz dobrych bibliotek! I od razu obok niej Ira. Malutka, szczuplutka, blada, chorowita, a jak sobie radzi z obciążeniem fizycznym. Tam, w willi ukrytej w karpackich lasach, jest wspaniała siłownia. Można w niej znakomicie zaprezentować dziewczynę. A gdyby była zdrowsza i normalnie się odżywiła, wyobrażacie sobie efekt?

Tak, prezentacja Iry razem z siostrą jest bardzo kusząca. Ale... Nie, jednak trzeba będzie zrezygnować z tego pomysłu. Nie wolno jej ruszać. Znała zabitego chłopaka, Olega. A jej siostra została porwana. To znaczy, że milicja prowadzi dwie sprawy, w które jest zamieszana. Jej wyjazd, nawet dobrowolny, wzbudzi podejrzenia. Jeden model będzie musiał wystarczyć. Niech ten irański specjalista przebadą Nataszę jak należy, niech wyciśnie z niej wszystko, co się da. W tym cała nadzieja. Ach, jak nie w porę stara Aniskowicz stanęła im na drodze! Gdyby nie ona, można by było spokojnie czekać na ostatnie dzieła doktora Wołochowa, najdoskonalsze, najbardziej udane, a później starannie przygotować i przeprowadzić operację, w której wyniku krnąbrny Ojciec sam oddałby wynalazek. I to niedrogo. Ajaks już zaczął sobie z grubsza wszystko planować...

Jednakże plany trzeba było zmienić i do tego jeszcze działać w pośpiechu przez wstrętą, kutą na cztery nogi staruchę.

Już drugi dzień z rzędu Miron na wszelkie sposoby okazywał niezadowolenie z Nataszy. Jego główny zarzut polegał na tym, że dziewczyna, jak się wyjaśniło, nie przyswoiła sobie całego działu analizy matematycznej.

- Bez tego nie możemy ruszyć dalej - powtarzał Miron z gniewem. - To przecież alfabet, podstawy, dopóki tego nie zrozumiesz, nie zdołasz nic zrobić.

- Ale przecież rozwiązuję wszystkie zadania, i to poprawnie - tłumaczyła się Natasza. - Co ci się znowu nie podoba?

- Wykułaś to bezmyślnie na pamięć. A ja chcę, żebyś wszystko rozumiała.

Natasza co chwilę zaczynała płakać ze zdenerwowania i z bezsilności, ale próby Mirona, żeby jej cierpliwie wyjaśnić źle opanowany dział, spełzły na niczym. Pod koniec drugiego dnia Miron poprosił ochroniarza, żeby wezwał Wasilija.

- Wasiliju Ignatjewiczu, utknęliśmy w martwym punkcie - powiedział przygnębiony. - Ile czasu zostało do przyjazdu pańskich specjalistów?

- Mniej więcej dziesięć dni. A czemu pytasz?

- Jeżeli dobrze zrozumiałem, mamy pokazać im Nataszę w pełnym blasku jako utalentowanego matematyka, cudowne dziecko. Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie.

- A niby czemu? - zapytał Wasilij z niepokojem. - Przecież sam mówiłeś pierwszego dnia, że dziewczyna jest genialna. Mówiłeś czy nie?

- Mówiłem - przytaknął Miron. - Ale mówiłem też, jeżeli pan pamięta, że podstawy ma znakomite, natomiast jej wiedza wymaga starannego wyszlifowania. Przez cały czas tym właśnie się zajmowałem. A teraz okazało się, że Natasza ma ogromną lukę w podstawach. Nauczyła się wszystkich twierdzeń, ale ich nie rozumie. To może nam wszystko zepsuć.

- Więc co robić? Masz jakieś propozycje?

- Mam, ale... Właściwie nie wiem.

- Mów, mów - zachęcił go Wasilij. - Jeżeli można coś jeszcze naprawić, musimy to zrobić. Nie wolno dopuścić, żeby taki wysiłek poszedł na marne. Może potrzebujesz dodatkowego czasu, żeby z nią popracować? Mogę się umówić, żeby eksperci przyjechali później, nie za dziesięć dni, ale powiedzmy: za trzy tygodnie. Tyle ci wystarczy?

- Nie chodzi o czas, Wasiliju Ignatjewiczu, ale o mój brak umiejętności, żeby wytłumaczyć ten dział Nataszy. Jestem

przecież zwyczajnym studentem, co prawda zdolnym, ale daleko mi do genialnego matematyka. A wyjaśnić tak skomplikowane rzeczy dziecku, nawet utalentowanemu, na dodatek w ciągu kilku dni, może tylko geniusz, który umie znaleźć nietradycyjne podejście, spojrzeć na problem po nowatorsku, wykorzystać inną logikę, zrozumiała i prostą.

- Chcesz powiedzieć, że trzeba znaleźć takiego geniusza i przywieźć go tutaj? Teraz już przeholowałeś. To niemożliwe. Szukaj innego rozwiązania.

- Rozwiązanie jest, owszem, i to o wiele prostsze. Trzeba tylko znaleźć pewną książkę, napisaną przez takiego geniusza.

- Nie ma problemu - od razu z widoczną ulgą odparł Wasilij. - Napisz tytuł, zdobędziemy tę cholerną książkę, jeżeli bez niej się nie da.

- Nie da się, może pan mi wierzyć - gorąco zapewnił Miron. - Natasza wyłoży się na tym dziale, jeżeli pańscy eksperci będą sprawdzali jej zdolności z zakresu matematyki wyższej. Z chemią i fizyką radzi sobie świetnie, ale z tym...

Miron westchnął gorzko i wzruszył ramionami.

Wiersz napisany przez Nataszę Tieriochinę dla jej małego brata z okazji urodzin został powielony w kilku egzemplarzach i leżał na biurku pułkownika Gordiejewa, śledczego Olszańskiego, Nasti Kamieńskiej i Jury Korotkowa. Co pewien czas wszyscy się zbierali, po czym rozchodzili do swoich pokoi albo wracali do domów i wczytywali się w wersy, słowa, litery, próbując odkryć, co porwana dziewczyna chce zakomunikować. Ich uwagę od razu przyciągnęło wyrażenie „złoty człowiek”, ponieważ występowało w wierszu trzykrotnie, ale ani dla małego Pawlika, ani dla Oli, ani dla Iriny nic nie znaczyło. Rodzeństwo nie potrafiło sobie przypomnieć, żeby Natasza opowiadała im kiedyś o „złotym człowieku” czy choćby o nim wspominała. A zatem określenie było przeznaczone dla nich, funkcjonariuszy milicji. Tylko co oznaczało?

- Może chodzi o pomnik z brązu? - zasugerował Gordiejew. - Ukrywają ją w domu, obok którego stoi taki pomnik.

- Aha, popiersie z brązu w ojczyźnie bohatera - podchwycił Korotkow. - To nie jest wcale trudne, można znaleźć listę popiersi i miast, w których je ustawiono.

- No to znajdź - zarządził Gordiejew. - A my tymczasem będziemy dalej myśleli. Co jeszcze?

- Czytałam kiedyś powieść *Złoty człowiek* - przypomniała sobie Nastia. - Autorem jest Mór Jókai.

- O czym opowiada?

- Węgry, dziewiętnasty wiek.

- To wątpliwe. Ale powieść trzeba znaleźć i szybko przejrzeć, może wskazówka kryje się w tekście. Coś jeszcze?

- Miasto, którego herb przedstawia człowieka...

- Kopalnie złota... Poszukiwacze złota...

- Bohater jakiejś bajki dla dzieci...

- Złoty człowiek... złoty człowiek...

Hipotez było dużo, ale żadna nie wydawała się wiarygodna. Wszystkie były tak samo skomplikowane i dyskusyjne. Żeby sprawdzić każdą, potrzeba było czasu. Jednak Gordiejew i jego podwładni nie mieli pewności, czy go mają. Korotkow zdobył listę popiersi z brązu, ustawionych kiedyś w miastach, w których urodzili się Bohaterowie Związku Radzieckiego. Do wszystkich miast natychmiast wysłano specjalne komunikaty o konieczności przekazania informacji operacyjnej na temat budowli znajdujących się w pobliżu wskazanych cudów architektury. Nastia przez jedną noc przeczytała powieść *Złoty człowiek*, Misza Docenko zajmował się heraldyką i studiował herby miast Rosji i WNP. Jednakże ani razu wywiadowców nie ogarnęło znajome uczucie, zatykające przez chwilę dech w piersiach: „Ach, tak!”.

Nastia wróciła do domu późno. Gdy tylko wyszła z windy, poczuła aromatyczny zapach pieczeni. Bez wątpienia dolatywał z jej mieszkania, dobitnie świadcząc o tym, że Aleksiej wrócił z Żukowskiego do Moskwy. Nastia wpadła do mieszkania uradowana i zawisła mężowi na szyi.

- Loszyk, słoneczko, tak się cieszę!

- Niby z czego? - rzucił ze zdziwieniem Aleksiej, któremu rzadko udawało się obserwować tak gwałtowne przejawy emocji u żony.

- Stęskniłam się.

- Nie kłam. Narozrabiałaś, a teraz się podlizujesz.

- No wiesz? - Nastia się obraziła. - Wcale nie narozrabiałam. Mieszkania nie spaliłam, wazonu nie rozbiłam, łazienki nie zalałam. Zostaw swoje insynuacje. Opowiedz lepiej, jak się obronił twój upolityczniony doktorant.

-Obronił się - krótko odparł Losza. - Z biedą. Ze wszystkich moich studentów okazał się najgorszy. Wstyd mi było za niego przed członkami Rady Naukowej.

- Aż tak słabo? - zapytała Nastia ze współczuciem.

- Bardzo. Ale zostawmy ten smutny temat. Co u ciebie nowego?

- Ojej, Losza, a co u mnie może być nowego? Zabójstwa i nieprzyjemności. A przy okazji, masz świeże spojrzenie, więc powiedz, proszę, z czym ci się kojarzy wyrażenie „złoty człowiek”?

- Dobry, uczynny, hojny. Przez analogię do złotego serca.

- Nie, nie pasuje. Nie chodzi o charakterystykę, ale o wskazanie czegoś konkretnego.

- W takim razie nie wiem. Żadnych skojarzeń.

- Pomyśl jeszcze.

- Aha, a mogę przy tym coś przekąsić? Nawiasem mówiąc, jesteś w domu, a nie w pracy. Cały dzień siedzę głodny, nie jem kolacji, czekam na ciebie.

- Wybacz. Zaraz, umyję tylko ręce.

Nastia szybko się przebrała, umyła ręce i usiadła przy stole. „Złoty człowiek” nadal zaprzętał jej myśli, odruchowo dopasowywała zagadkowe słowa do wszystkiego, na czym spoczywał jej wzrok. Eleganckie opakowanie angielskiej herbaty przedstawiające karetę z pasażerami na tle równinnego krajobrazu. Jaskrawe kwiaty na dużym chińskim termosie. Białe czajniki elektryczny firmy Tefal. Czerwona plastikowa butelka keczupu. Szare i różowe kwiaty na zasłonie okiennej. Rudowłosa mężczyzna siedzący naprzeciwko przy stole, jej

ukochany mąż Loszka. A właśnie, czy nie chodzi czasem o rudego mężczyznę? Nastia zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy wśród figurantów zamieszanych w sprawę pięciu zabójstw i porwania jest przynajmniej jeden rudy mężczyzna. Pamięć niczego jej nie podsunęła, nikogo rudego nie mogła sobie przy przypomnieć.

Krojąc pieczeń cielęcą na małe kawałki, próbowała postawić się na miejscu Nataszy Tieriochinej. Przy tym trybie życia, który prowadziła dziewczyna, jej pole widzenia powinno być bardzo wąskie i charakterystyczne. Jeżeli wspomniała o „złotym człowieku”, trzeba szukać sensu nie w tak szerokim zakresie jak herby miast i kopalnie złota. Trzeba szukać w miejscach, do których Natasza miała dostęp przez sześć lat.

A do czego miała dostęp? Nastia spróbowała sobie przypomnieć, jakie książki widziała na szafce przy łóżku Nataszy. Z pewnością były wśród nich romanse. I to sporo. Poza tym podręczniki. Na poziomie szkoły średniej - geografia, historia, literatura rosyjska i biologia. Wśród trudniejszych, na poziomie uniwersyteckim - fizyka, chemia, matematyka. Z matematyki miała nie tylko podręczniki i repetytoria, ale również monografie. Nastia zwróciła na to uwagę, ponieważ sama uczyła się kiedyś w szkole o profilu matematyczno-fizycznym. Teraz z całego kursu matematyki dobrze pamiętała tylko programowanie, i to dlatego, że ciągle opracowywała dane w komputerze. Cała reszta zupełnie uleciała jej z pamięci.

- ...Asiu! - dobiegło do niej.

Nastia drgnęła i zorientowała się, że mąż coś do niej mówi, a ona nie słyszy. Ciekawe, jak długo tak siedzi?

- Przepraszam, kochanie. - Uśmiechnęła się ze skruchą. - Mówiłeś coś?

- Palnąłem całą mowę jak głupiec, ale na darmo. Nad czym się tak zamyśliłaś?

- Nad „złotym człowiekiem”. Próbuję zrozumieć, co oznacza to określenie.

- Właśnie, przypomniałem sobie coś jeszcze. Wprawdzie o złotym chłopcu. Przyda się?

- A o co chodzi z tym chłopcem?

- Pamiętasz, gdy chodziliśmy do szkoły, wszystkie dzieci miały *Encyklopedię dziecięcą*. My również.

- Pamiętam.

- W tomie z biologii i anatomii było opowiadanie o złotym chłopcu. Jakiś bogaty władca kupił sobie chłopca niewolnika i pomalował go od stóp do głów złotą farbą. Chłopiec wkrótce jednak umarł, bo farba nie przepuszczała tlenu. To była swego rodzaju ilustracja wymiany gazowej w tkankach.

- Tak, przypominam sobie. - Nastia kiwnęła głową. - Coś podobnego, a ja na to nie wpadłam.

Niestety, chłopiec pomalowany złotą farbą był najwyraźniej z innej bajki. Jednakże pod wpływem nowego bodźca myśl Nasti pobiegła w tym kierunku, Ian Fleming napisał powieść sensacyjną o człowieku, którego nazywano Złotym Palcem. W niektórych wydaniach książka była zatytułowana *Złoty palec*. A w innych wydaniach jej tytuł brzmiał inaczej: *Goldfinger*. Wszystko zależy od tłumacza. *Gold finger* oznacza po angielsku „złoty palec”. A złoty człowiek to *gold man*. Goldman. Goldman...

O Boże, no oczywiście, książka Goldmana *Zadania i twierdzenia z analizy*. Sama przyniosła tę książkę Nataszy Tieriochinej. Po porwaniu nie było jej wśród rzeczy Nataszy. To znaczy, że dziewczynie udało się zabrać ją ze sobą. A zatem ta książka stanowi klucz.

- Losza, potrzebuję koniecznie książki *Zadania i twierdzenia z analizy*.

- Zaraz przyniosę. - Losza ze zdziwieniem wzruszył ramionami i wyszedł z kuchni.

Kilka minut później wrócił.

- A gdzie ona się podziała? Przecież stała na półce, przez cały czas miałem ją przed oczami. A teraz zniknęła. Przetawiałaś ją?

- Tak... To znaczy nie... Podarowałam ją.

- Co ci jest, Asiu? - z niepokojem zapytał mąż. - Źle się czujesz?

- Skąd to pytanie? Nic mi nie jest.

- Rozumiesz chociaż, co mówisz? Po co prosisz, żebym ci przyniósł z pokoju książkę, którą już komuś podarowałaś? I w

ogóle, komu mogłaś podarować Goldmana? Komu on się przyda?

Nastia pokręciła głową, próbując otrząsnąć się z odrętwienia.

- Nie rozumiałaś, Loszyk. Rzeczywiście podarowałam książkę Goldmana pewnej dziewczynce, która zawzięcie uczy się matematyki. A teraz potrzebuję tej książki, i to na gwałt. Możesz ją zdobyć?

- To bardzo pilne?

- Uznaj, że mi się pali.

- Asieńko, wszystko rozumiem, ale jest już wpół do dwunastej. Goldmana mam w Żukowskim. Chcesz, żebym zaraz się ubrał, wsiadł do samochodu i pojechał po niego?

- Chcę. Przepraszam, Loszeńka. Wiem, że zachowuję się jak wariatka i każdy inny mąż już dawno by mnie przepędził na cztery wiatry z moimi kaprysami i nocnymi zachciankami. Ale innego męża nie mogłam mieć, mogłam poślubić tylko ciebie, nikogo innego. Rozumiesz?

Aleksiej Czistiakow rozumiał. Zbyt długo i dobrze znał swoją żonę, żeby nie wiedzieć, że kiedy chodzi o czyjeś życie, nic nie powstrzyma Nasti. Nie interesuje jej ani przyzwoitość, ani wygoda, zarówno własna, jak i cudza, nie powstrzyma jej późna pora i dni wolne od pracy, choroby, brak czasu i inne przeszkody. Te rzeczy po prostu przestają dla niej istnieć. Ponieważ dla jego żony, Anastazji Kamieńskiej, nie było i nie ma nic droższego i ważniejszego niż ludzkie życie, niezależnie od tego, czy chodzi o wielkiego polityka i znanego aktora, czy o nikomu niepotrzebną niepełnosprawną dziewczynę. Tak, jego żona miała trudny charakter, przekorny, obraźliwy, niezależny i gwałtowny, ale kochał ją razem z tym okropnym charakterem, patologicznym lenistwem do wszystkiego, co wiązało się z gospodarstwem domowym, z oddaniem pracy i nieakceptowaniem tego, że jedni ludzie mogą dla kaprysu pozbawiać życia innych. Nastia rzeczywiście nie mogła mieć żadnego innego męża prócz Czistiakowa, ponieważ żaden inny mężczyzna nie zniósłby tego zniewalającego zbioru cech.

Losza westchnął ciężko i zaczął się ubierać. Ku jego zdziwieniu Nastia również zrzuciła szlafrok, po czym wciągnęła dżinsy i

koszulkę.

- Dokąd się wybierasz?

- Pojadę z tobą.

- Po co? Kładź się spać. Rano idziesz przecież do pracy.

- Losza, nie mogę nie pojechać. Nie widzieliśmy się przez tydzień, to chociaż porozmawiamy po drodze.

- Jasne. - Aleksiej uśmiechnął się. - Twoja delikatność jest godna podziwu. Przyznaj uczciwie, że umierasz z niecierpliwości i chcesz jak najprędzej zajrzeć do książki. Nie rozumiem tylko, co chcesz tam ciekawego wyczytać w związku ze swoimi tajemniczymi zabójstwami.

- Sama nie wiem - przyznała Nastia, wsuwając koszulkę do dżinsów. - Lepiej już jedźmy.

Jazda do Żukowskiego pustymi nocnymi ulicami nie zabrała zbyt dużo czasu. Rodzice Aleksieja byli na dacy, więc nikomu nie przeszkodzili późnym przyjazdem. Losza szybko znalazł książkę, a Nastia dosłownie wyrwała ją z rąk męża.

- Masz latarkę? - zapytała.

- Jaką latarkę?

- Zwyczajną, kieszonkową.

- Znajdę, jeżeli trzeba. A trzeba?

- Znajdź, proszę.

Losza popatrzył na nią sceptycznie.

- Zamierzasz czytać w samochodzie? Zwariowana fanatyczka. Nie wytrzymasz do Moskwy?

- Nie wytrzymam. Gdzieś tutaj jest klucz.

- No cóż, kochanie, klucz to poważna sprawa. Na klucz nie ma rady. Masz, trzymaj swoją latarkę. Jedźmy do domu.

Nazajutrz Nastia popędziła do pracy jeszcze przed ósmą. Liczyła na to, że zastanie szefa na miejscu. Gordiejew rzeczywiście tkwił w swoim gabinecie, porządkując dokumenty.

- Wiktorze Aleksiejewiczu, chyba znalazłam. To bardzo skomplikowane, ale jestem pewna niemal na sto procent, że znalazłam. I jeżeli mam rację, to Natasza Tieriochiną nie jest zwyczajną dziewczyną. Ma nietuzinkowy umysł. Wołochow nie kłamał.

Rozdział 18

Wszystkie monografie, podręczniki, prace naukowe, zbiory zadań i inne pozycje, do których znajdowały się odnośniki w książce Goldmana *Zadania i twierdzenia z analizy*, zostały spisane na oddzielnych karteczkach. Stosik okazał się imponujący. Nastia już dawno nie zajmowała się matematyką, więc musiała uciec się do pomocy Aleksieja.

- Wybierz, proszę, z tego stosiku karteczki z popularnymi podręcznikami.

- Co masz na myśli, mówiąc „popularne”? - uściślił Losza.

- Chodzi mi o książki, które są w każdej bibliotece albo które można łatwo kupić.

- Aha.

Jakieś dwadzieścia minut później stosik zmniejszył się o połowę.

- Co dalej?

- Teraz zobaczymy, co zostało. - Nastia westchnęła. - Muszę wybrać z tej kupki najrzadszą książkę. Taką, którą można wypożyczyć w dwóch, trzech miejscach, nie więcej.

- W takim razie musisz wybierać stare wydania - poradził Losza. - Książki do matematyki zwykle nie są wznawiane, zwłaszcza te, które zostały napisane w latach czterdziestych albo pięćdziesiątych.

Jednakże takich książek w *Zadaniach i twierdzeniach z analizy* znalazło się również sporo. Którą z nich miała na myśli Natasza Tieriochina? Prawdopodobnie dziewczyna doskonale wie, że jedna jest naprawdę bardzo rzadka, tylko która? A zresztą skąd ona może to wiedzieć? Leżała przecież w szpitalu, nie pracowała w bibliotekach. To znaczy, że musi to być książka, której metryka zawiera dane o nakładzie.

Nastia rozłożyła przed sobą karteczki i zaczęła je uważnie studiować. Autor... Tytuł... Wydawnictwo... Rok wydania... Nie,

niczego nie ma, nawet najmniejszej sugestii. A to co takiego?

- Losza, co to jest WCP?

- Wszechzwiązkowe Centrum Przekładów. Była taka organizacja w czasach radzieckich.

- Czyżby coś wydawali?

- Nie, tłumaczyli. Głównie na zamówienie instytucji i organizacji.

- A co później robiono z tłumaczeniami?

- Odsyłano do klientów. Ale w jednym masz rację, w Centrum Przekładów materiały wydawano w postaci broszur. Przepisywano je na maszynie, ponieważ wtedy jeszcze nie było komputerów, robiono parę kserokopii, zszywano kartki i umieszczano w specjalnej firmowej okładce. Zaczekaj, zaraz ci pokażę, chyba mam gdzieś taki przekład.

Aleksiej poszedł do pokoju i kilka minut później wrócił z przekładem.

- Proszę, tak to wyglądało.

Nastia przekartkowała broszurę i zajrzała na ostatnią stronę. Tak, zgadza się. Loszka miał rację, u dołu ostatniej strony znajduje się metryka zawierająca datę, numer zamówienia, nakład. Nakład jest malutki, łącznie pięć egzemplarzy. A więc tytuł pracy, obok którego znajduje się skrót WCP, to chyba akurat to, czego szukała. A w całej książce Goldmana jest tylko jedna praca oznaczona bezcennym skrótem. Ducroix, *Podstawy logiczne współczesnej analizy*. Tej właśnie broszury trzeba szukać.

Przetrzęsnięcie archiwów organizacji, która kiedyś nosiła miano Wszechzwiązkowego Centrum Przekładów, zabrało mnóstwo czasu. Nastia denerwowała się, obawiając się zwłoki, ale nie była w stanie przyspieszyć biegu wydarzeń. W końcu dostała kartkę, na której było napisane: „Ducroix G.F., *Podstawy logiczne współczesnej analizy*. Jęz. franc. Zam.: Akademia Nauk ZSRR. Zamówienie przyjęto do druku 12.05.1967, ukończono 26.09.1967. Objętość oryginału 26,5 ark. druk., objętość przekładu 27,3 ark. druk. Nakład 5 egz.: 2

egz. - na adres zamawiającego, 1 egz. - GBL⁹, 1 egz. - MGU¹⁰, 1 egz. - WCP”.

Wygląda więc na to, że z pięciu znajdujących się w obiegu egzemplarzy tłumaczenia w zasadzie trzy mogą się okazać dostępne. Do Leninówki¹¹ tak po prostu nie wpuszczają, trzeba mieć kartę. Można ją oczywiście wyrobić, ale to zajmie dużo czasu, a jeżeli na prośbę Nataszy porywacze będą szukali przekładu w Moskwie, raczej nie zajmą się wyrabianiem karty. A więc Leninówkę na razie odrzucamy. W archiwum WCP też nie będą szukali, po pierwsze, to bardzo skomplikowane, po drugie, trzeba się jeszcze domyślić, że tłumaczenie akurat tam się znajduje. Pozostają dwa egzemplarze w którymś instytucie Akademii Nauk i jeden egzemplarz w MGU, w bibliotece Wydziału Matematyczno-Fizycznego. To już łatwiejsza sprawa.

Kolejne dwa dni zajęło ustalenie, w którym instytucie Akademii Nauk znajduje się przekład. Ku przerażeniu Nasti okazało się, że są jednak dwa takie instytuty. A ona miała nadzieję, że oba egzemplarze znajdują się w tej samej bibliotece! Należało więc obstarwić jednocześnie trzy miejsca - dwa instytuty i uniwersytet. Kłopot polegał również na tym, że do wszystkich trzech bibliotek pracownicy naukowcy i studenci mieli wolny dostęp, przy wejściu do budynków nikogo nie legitymowano, a więc przedostanie się do nich nie stanowiło żadnego problemu. Na posłańca Nataszy Tieriochinej trzeba było czatować we wszystkich trzech miejscach.

Wypożyczyć książkę w bibliotekach można było tylko za okazaniem legitymacji czytelnika. Zdobyć zaś legitymację mógł albo pracownik danego instytutu, albo pracownik innej instytucji, posiadający podanie swojego kierownictwa z potwierdzeniem szefów instytutu zarządzającego biblioteką. Otrzymanie takiego podania przez osobę niezwiązaną z instytucjami naukowymi było dość trudne. Dlatego

9 GBL (*Gosudarstwiennaja biblioteka imieni Lenina*) - Biblioteka Państwowa im. Lenina (przyp. tłum.).

10 MGU (*Moskowskij gosudarstwiennyj uniwersitet*) - Moskiewski Uniwersytet Państwowy (przyp. tłum.).

11 Leninówka - popularna nazwa Biblioteki im. Lenina (przyp. tłum.).

spodziewano się, że osoba, która zjawi się po tłumaczenie, będzie działać inaczej. Sposób pierwszy: ukradnie tłumaczenie. Sposób drugi: poprosi jakiegoś studenta albo pracownika naukowego, żeby wypożyczył na swoją legitymację. Za odpowiednią gratyfikacją, ma się rozumieć.

Oba sposoby zakładały, że posłaniec może się zjawić nie tylko w ciągu dnia, w godzinach pracy, ale i nocą. Wejść do budynku w ciągu dnia i zostać tam, nie będąc zauważonym, to żadna sztuka. Schować się i zaczekać, aż wszyscy wyjdą, to też błahostka. Otworzyć w nocy drzwi biblioteki i spokojnie poszukać potrzebnej książki to dziecinnie proste zadanie. Zwłaszcza jeżeli wcześniej przeprowadzić prościutką operację i ustalić, gdzie leży potrzebna broszura. Skąd zostanie przyniesiona i gdzie później odłożona. Posłaniec może na przykład odegrać komedię i poprosić jakąś litościwą studentkę, żeby wypożyczyła broszurę dosłownie na pięć minut, bo on chce tylko zerknąć na parę wzorów czy definicji. Powie jej, że jest niepoprawnym dłużnikiem, że ma na koncie mnóstwo książek i bibliotekarze niczego już mu nie dadzą, póki nie odda tego, co wcześniej wypożyczył. A zerknąć na przekład koniecznie musi. Czy litościwa studentka odmówi? Nigdy w życiu. Zwłaszcza że nie chodzi o to, żeby wypożyczyła broszurę i dała ją nieszczęsnemu dłużnikowi, który później przepadnie z nią jak kamień w wodę. Nie, chodzi tylko o to, żeby wypożyczyła przekład, a on tutaj, przy niej, poszuka tego, czego potrzebuje, po czym ona zwróci książkę. I to wszystko.

Nastia z doświadczenia wiedziała, że książki, o które czytelnicy proszą bardzo rzadko, zwykle nie stoją na półkach, lecz leżą w magazynie. Osobie postronnej trudno byłoby je tam znaleźć. Jeżeli broszura Ducroix należy do rzadko poszukiwanych, ten prosty sposób sprawi, że zostanie przyniesiona z magazynu do wypożyczalni. Z powrotem zabiorą ją nie od razu, ale po dwóch, trzech dniach, albo i po tygodniu, gdy przyniesionych z magazynu książek, które należy odnieść, zbierze się dość dużo. Wszystkie razem wróćą do magazynu. A w ciągu tych paru dni przekład można łatwo ukraść.

Wywiadowcy się rozdzielili. Misza Docenko udał się na

uniwersytet. Kola Siełujanow wziął na siebie jeden z instytutów Akademii, drugi przypadł Nastii. Dyrektor instytutu, znany akademik, długo nie mógł pojąć, czego od niego żądają i dlaczego nieznana funkcjonariuszka wydziału kryminalnego zamierza sterczeć w bibliotece.

- Jeżeli pani podejrzewa, że jakiś złoczyńca zamierza dopuścić się kradzieży w naszej placówce - powiedział - wydam polecenie, żeby woźni wzmocnili drzwi i zamontowali lepsze zamki. Mogę też kazać nocnemu portierowi sprawdzać bibliotekę co pół godziny. Nie rozumiem, po co pani ma tam pracować. To przecież takie proste.

- To wcale nie jest proste - cierpliwie wyjaśniała Nastia. - Nie chcę zapobiec kradzieży. Chcę namierzyć złodzieja, rozumie pan? Muszę zobaczyć, dokąd zabierze książkę Ducroix.

- Ciekawy tok rozumowania - gniewnie odparł dyrektor. - Chce pani powiedzieć, że w celu schwytania jakiegoś złodziejaska nasza biblioteka ma pozbyć się cennej i rzadkiej książki? Nigdy się na to nie zgodzę.

-Wiktorze Iwanowiczu, pańska biblioteka i tak pozbędzie się tej książki, jeżeli przestępca postanowił zabrać ją akurat z pańskiego instytutu. Wzmocni pan drzwi i zamki, wynajmie dziesięciu nocnych portierów zamiast jednego, a książkę wypożyczy jakiś pracownik na swoje konto. Za pieniądze albo tak po prostu, ze współczucia dla potrzebującego. Niech mi pan wierzy, że wymyślenie ckliwej i wiarygodnej historyjki to kwestia paru minut.

- Uprzedzę bibliotekarzy, żeby nikomu nie wydawali tej książki. Niech mówią, że jest wypożyczona.

- Po co? Jeżeli pan to robi, nie uda nam się schwytać przestępcy.

- Nie będzie pani rozwiązywała swoich problemów kosztem mojego instytutu. Pani zadanie to łapanie przestępców, więc niech ich pani sobie łapie na zdrowie.

Moje zadanie zaś polega na zapewnieniu normalnej pracy instytutu, w tym stworzeniu warunków do działalności naukowej pracowników. A jednym z elementów jest wzbogacenie i ochrona zbiorów bibliotecznych. Niech pani

szuka innych możliwości schwywania złodzieja. Wie pani, co mówi jedno z rosyjskich porzekadeł ludowych? Nie szukaj siekiery pod cudzym siedzeniem.

- Szkoda, że ma pan takie nastawienie. Niech pan przynajmniej pomyśli, że siekiera może jutro spaść na pańską głowę, jeżeli dzisiaj nie znajdziemy jej pod pańskim siedzeniem. Czy moja alegoria jest czytelna?

- Pani milicyjny humor jest tak wyrafinowany, że nie potrafię go zrozumieć - wyniośle odparł akademik.

- Szkoda - powtórzyła Nastia. - A profesor Czistia- kow mówił mi, że jest pan inteligentnym człowiekiem z ogromnym poczuciem humoru. Widocznie się mylił.

- Zna pani profesora Czistiakowa? - Dyrektor ożywił się. - Mogę wiedzieć skąd?

- Jestem jego żoną - arogancko oznajmiła Nastia, patrząc na akademika jasnymi, surowymi oczami.

- Pani jest żoną Aleksieja Michajłowicza Czistiakowa? - powtórzył dyrektor.

Cierpliwość Nasti się wyczerpała, więc milicjantka dała upust złości, która się w niej nagromadziła. Już wiedziała, że dyrektor wykona wszystkie jej polecenia i prośby, teraz jej nie odmówi, mimo to nie mogła się powstrzymać. Zawsze wyprowadzali ją z równowagi zwierzchnicy, którzy lubili czuć się panami na swoich włościach, w dodatku owo zdrowe poczucie gospodarności przejawiało się głównie w tym, że pracujących na tychże włościach ludzi, podobnie jak majątek, traktowali jak prywatną własność. Pewnie akademik nie umarłby z rozpaczy, gdyby z jego biblioteki zginął przekład książki Ducroix, ale oburza go sam fakt, że jakaś tam milicjantka chce zaryzykować jego własność. W dodatku taki zwierzchnik może patrzeć przez palce na to, że zbiory biblioteczne są bezwstydnie rozkradane przez pracowników instytutu. Zgodnie z zasadą „tyś w zakładzie gospodarz, a nie gość, gwoździ i młotków w domu nigdy dość”. Jednak jeżeli gwoździe czy młotek ośmieli się zabrać ktoś obcy, to rozpęta się awantura na dwadzieścia cztery fajerki. No bo jakże to tak, toż to istny zamach!

- A pan sądzi, że kobiety milicjantki powinny mieć mężów

posterunkowych? - zapytała Nastia z ledwie skrywaną irytacją. - A profesorowie matematyki z kolei nie powinni mieć żon takich jak ja? Czemu tak bardzo się pan zdziwił, Wiktorze Iwanowiczu? Wpajano panu, że w milicji pracują sami bezmyślni idioci, bezczelni łapówkarze i tępe nieuki, dla których nie ma miejsca wśród naukowców? Siedzę w pańskim gabinecie już od czterdziestu minut i w żaden sposób nie potrafię sprawić, żeby zrozumiał pan to, co rozumieją nawet dzieci. Tak, istnieje ryzyko, i to duże, że przekład książki Ducroix zniknie z pańskiej biblioteki raz na zawsze. I w pańskiej bibliotece nie będzie tej wspaniałej książki. No i co z tego? Czy to koniec świata? Ten przekład jest na uniwersytecie oraz w instytucie, którym kieruje pański kolega akademik Winnikow, jest również w Leni- nówce i w archiwum WCP, gdzie został wydany, więc przy pewnym wysiłku, zapewniam pana, że niewielkim, uzupełni pan tę stratę. Tymczasem w rękach przestępców, którzy dzisiaj na gwałt potrzebują tej książki, jest ludzkie życie, możliwe, że niejedno. Jeżeli zginą niewinne osoby, kto i jak będzie mógł zrekompensować stratę? Miałam już do czynienia z uczonymi, którzy do tego stopnia są oddani swojej pracy, że zapominają o żywych ludziach. Oddanie nauce to wspaniała sprawa, godna szacunku, ponieważ człowiek jest śmiertelny, a odkrycia naukowe żyją przez wieki i przynoszą ludzkości pożytek. Ale ludzkość, dla której tak się pan stara, składa się z jednostek, które ma pan w nosie. Słyszał pan pewnie smutną historię o profesorze Borozdinie, który opracował przyrząd do stymulowania agresywnych zachowań w wojsku i testował go na mieszkańcach Moskwy. Niech pan nie zmusza mnie, żebym myślała, że jest pan do niego podobny.

- Obiło mi się o uszy, że żona profesora Czistiakowa to wielce ekscentryczna osoba - oschle stwierdził dyrektor. - Teraz przekonałem się na własne oczy. Co mam powiedzieć pracownikom biblioteki? Nie ma tam wakatów, wszystkie stanowiska są zajęte. W jakim charakterze pani się tam pojawi?

- Niech pan powie, że przydzielono mi jakieś proste stanowisko, na przykład laborantki, ale przez pewien czas

popracuję w bibliotece, ponieważ jest lato i wiele osób chce skorzystać z urlopu. Proszę udzielić urlopu jakiejś pracownicy biblioteki, żeby sprawa wyglądała wiarygodnie.

- No dobrze, wyślę jedną osobę na urlop, a jutro pani skończy swoją pracę i odejdzie. Z czym wtedy zostaniemy? Pani sobie pójdzie, a pracownica nie wróci tak szybko z urlopu. O tym, oczywiście, pani nie pomyślała.

- Oczywiście - przyznała Nastia - o tym nie pomyślałam. To pański kłopot, ponieważ jest pan dyrektorem. A ja milicjantką, która musi myśleć o tym, że człowiek, który może przyjdzie do pańskiej biblioteki po książkę Ducroix, uprowadził bezbronną siedemnastoletnią dziewczynę i trzyma ją nie wiadomo gdzie. Chcę tę dziewczynę znaleźć i uwolnić. Mamy różne profesje i różne zadania. Zamierza pan dyskutować, czyje zadanie jest ważniejsze?

Z jakiegoś powodu dyrektor nie miał ochoty wdawać się w dyskusję.

Biblioteka była ogromna i panował w niej pewien chaos. Na wstępie Nastia przekonała się, że przekład książki Ducroix rzeczywiście się tu znajduje, jednak nie w magazynie, tylko w czytelni.

- Czytelnicy często pytają o ten przekład - wyjaśniła Ninoczka, pracownica biblioteki odpowiedzialna za no- wicjuszkę. - Dlatego nie wypożyczamy go do domu, mamy przecież tylko jeden egzemplarz.

Żeby otrzymać książkę w czytelni, należało nie tylko okazać legitymację pracownika instytutu, ale i zostawić ją bibliotekarzowi.

- A co z tymi, którzy korzystają z waszych zbiorów na podstawie podania z innych instytucji? - zainteresowała się Nastia.

- Przynoszą nam pismo, zakładamy im kartę i wypożyczamy książki pod zastaw dowodu osobistego.

-I wszyscy, którzy wypożyczają książki w czytelni, właśnie tam je czytają?

- A skąd. - Nina machnęła ręką. - W czytelni siedzą tylko osoby spoza instytutu. Pracownicy wypożyczają książki, ale ślęczą nad nimi w swoich gabinetach. A niektórzy są tak

sprytni, że wynoszą je do domu. Przychodzą wcześniej rano, wypożyczają unikatowe egzemplarze i idą do domu. A wieczorem odnoszą. Albo za jakieś dwa dni.

- A co z dowodem osobistym?

- A do czego on im jest potrzebny? Portier i tak wszystkich wpuszcza. Inna sprawa, że bez dowodu nigdzie niczego nie dostaną, nie mogą korzystać z aparatury w żadnym laboratorium, ale jeżeli ktoś, powiedzmy, przez trzy dni nie potrzebuje bazy laboratoryjnej, to zabiera książki z czytelnia na całe trzy dni. Wciąż z tym walczymy, ale to walka z wiatrakami.

- Mogę się zająć wydawaniem książek w czytelnia? - poprosiła Nastia.

- Świetnie. - Nina od razu się zgodziła. - Ty będziesz w czytelnia, a ja w wypożyczalni. W razie potrzeby pytaj, nie krępuj się. I jeszcze coś. Od razu podzielę się z tobą doświadczeniem. Gdy na początku pracowałam w czytelnia, zależało mi, żeby jak najszybciej znaleźć każdą książkę. Miotalam się między półkami, starałam się od razu zapamiętać, gdzie co stoi, i byłam nieprzytomna ze zmęczenia. Wydawało mi się, że pracownicy naukowci to poważni ludzie, będą mnie cenić za to, że obsługuję ich błyskawicznie. Nic z tych rzeczy. Nawet nie zauważają, ile czasu trwa szukanie książki, pół minuty czy pół godziny. Stoją i sobie plotkują. Albo siadają o, przy tym stole i przeglądają gazety. Więc się nie wysilaj i nie biegaj niepotrzebnie, rozumiesz? Poczekają, nic im się nie stanie. Są w pracy, podobnie jak ty i ja. A przy okazji, czemu zapytałaś o przekład Ducroix?

- Byłam ciekawa - powściągliwie odparła Nastia. - Kiedyś poważnie zajmowałam się matematyką. Pamiętam, że nauczyciel radził nam znaleźć tę książkę. Mówił, że trudne rzeczy są tam wyłożone w sposób prosty i zrozumiały. Ale wtedy nie udało nam się jej znaleźć. Teraz sobie przypominałam, więc zapytałam.

- Uczyłaś się matematyki? - zdziwiła się Nina. - No a co potem? Rzuciłaś ją?

- Tak się złożyło. Nie przyjęto mnie do instytutu, więc zajmowałam się tym i owym, później wyszłam za mąż.

- A dzieci masz?

- Nie, jeszcze nie.

- Nic nie szkodzi. - Nina dodała jej otuchy. - Jesteś jeszcze młoda, zdążysz się nimi nacieszyć.

- No pewnie - przytaknęła Nastia.

To był ten rzadki wypadek, gdy wygląd działał na jej korzyść. Szczupła, drobna, z długimi blond włosami, ściągniętymi z tyłu w koński ogon, bez grama makijażu na bladej, niepozornej twarzyczce, Nastia zawsze wyglądała na młodszą niż w rzeczywistości. W tym miesiącu kończyła trzydzieści sześć lat, ale nikt nie dawał jej więcej niż dwadzieścia pięć, góra dwadzieścia siedem. Gdyby Ninoczka wiedziała, ile naprawdę ma lat, raczej nie byłaby tak optymistyczna w swoich prognozach dotyczących przyszłego macierzyństwa Nasti. A zresztą gdy dziewczyna ma dwadzieścia siedem lat i opowiada, jak nie zdała na uczelnię, a później wyszła za męża, wszyscy jej wierzą i nie pytają, czym do tej pory się zajmowała. Natomiast w wieku trzydziestu sześciu lat rozmowa jest już całkiem inna. Potrzebna jest logiczna historyjka obejmująca co najmniej piętnaście lat. Gdzie była, co robiła, jaki ma zawód. I chociaż Nastia Kamieńska nigdy nie wstydziła się swojego wieku i go nie ukrywała, teraz musiała przyznać, że czasami o wiele wygodniej i korzystniej jest być (czytaj: wydawać się) młodą.

Pierwszy dzień pracy w bibliotece minął niepostrzeżenie i jakoś gorączkowo. Nastia miło się uśmiechała, wydawała książki i czasopisma, krótko i życzliwie odpowiadała na uwagi typu: „O, mamy nową pracownicę” albo „Proszę mnie zapamiętać, zawsze wypożyczam tę książkę, niech pani nikomu jej nie daje”. Na razie nikt nie pytał o przekład Ducroix. Po południu Nastia poczuła niepokój. Nocą również miała tu zostać, przecież hipoteza kradzieży, choć mało prawdopodobna, nie jest jednak wykluczona. Na szczęście wypożyczalnia była otwarta tylko do piątej, a czytelnia do szóstej, toteż wesoła Ninoczka popędziła do swoich spraw, polecając Nasti wszystko pozamykać i opieczętować, a klucze oddać w portierni. Nastia oddała oczywiście klucze, ponieważ dyrektor na jej prośbę znalazł zapasowy komplet, którym się posłużyła, żeby zamknąć

się w bibliotece od środka i cierpliwie czekać, co nastąpi wcześniej: pojawi się złodziej czy nadejdzie świt.

Noc minęła spokojnie, nie zaniepokoiły jej żadne obce dźwięki. Nastia udało się nawet przespać na ustawionych rzędem krzesłach. Rano zaś, gdy sprzątaczką zabrzęczała wiadrami, szczęśliwie się z nią rozminęła i udała, że wcześniej przyszła do pracy.

Drugi dzień minął tak samo gorączkowo, chociaż praca szła jej o wiele lepiej, ponieważ zdążyła już zapamiętać, gdzie i w jakim porządku są ułożone poszczególne książki i czasopisma. W przerwie obiadowej pobiegła do najbliższego sklepu po jogurty i ser, chociaż bez kubka kawy, który wypijała co dwie godziny, nie było jej łatwo, w dodatku spała też niewiele. Czajnik elektryczny znajdował się na miejscu, więc Nastia zaopatrzyła się przezornie w kawę rozpuszczalną, ale wciąż nie miała czasu jej wypić. Pod koniec dnia oczy zaczęły jej się same zamykać, więc przestraszyła się, że nocą zapadnie w kamienny sen i wszystko prześpi. Zerknęła na zegarek i podeszła do telefonu.

- Potrzebuję twojej pomocy - oznajmiła Irze Tieriochinej. - Możesz dzisiaj nie iść do pracy w restauracji?

- Jak to? - zapytała zbita z tropu Ira. - W ogóle nie iść?

- W ogóle.

- Nie wiem... Muszę tam wpaść i uprzedzić. Jak dotąd nie opuściłam żadnego dnia. A czego pani ode mnie chce?

- Żebyś spędziła noc razem ze mną w pewnym miejscu. Przysięgam, Iroczo, że nie poradzę sobie bez ciebie.

- Całą noc? Aż do rana?

- Tak, mniej więcej do siódmej. Albo nawet do szóstej.

- Ojej, a co z ulicami? Dobrze, ulice mogą posprzątać o szóstej, nie będzie jeszcze za późno. Pobiegnę teraz do Glorii, uprzedzę, że przyjdę rano, umówię się w sprawie kluczy. Dokąd mam przyjechać?

Nastia wyjaśniła, gdzie znajduje się instytut i jak dotrzeć do biblioteki.

- Postaraj się przyjechać przed siódmą. Po siódmej nikt już nie przychodzi, wszyscy raczej opuszczają budynek. Zdązysz?

- Zdążę. Będę raz, dwa.

I rzeczywiście zdążyła. Było zaledwie wpół do siódmej, gdy Ira Tieriochiną pojawiła się w czytelni instytutu.

- Rozejrzyj się, proszę, i przygotuj - powiedziała Nastia. - Spędzimy tu noc.

- A po co jestem pani potrzebna?

- Boję się, że zasnę - szczerze wyznała Nastia. - Poprzednią noc tkwiłam tu sama, trochę się przespałam, ale bez snu nie daję rady.

- Słusznie, że mnie pani wezwała - rzeczowo stwierdziła Ira. - Mogę wytrzymać bez snu nawet tydzień.

I cały czas czuję się normalnie. Ani trochę nie jestem zmęczona.

Razem zrobiły porządek w czytelni, odłożyły książki i czasopisma na półki. Nastia odniosła klucze na portiernię, po czym udała, że wychodzi, i szybko wspięła się innymi schodami na drugie piętro, gdzie mieściła się biblioteka.

- Kiedy znajdziecie Nataszę? - zapytała Ira.

Zagotowały już wodę, Nastia zrobiła sobie w końcu kawę, a Irze zaparzyła herbatę.

- Nie wiem, nie chcę cię oszukiwać. Ale robimy wszystko, żeby znaleźć ją jak najprędzej. Widzisz, twoja siostra dała nam wskazówkę, ale nie jestem pewna, czy dobrze ją zrozumiałam. Musimy tutaj siedzieć i czekać, aż ktoś przyjdzie po pewną książkę. Ten człowiek powinien doprowadzić nas do Nataszy. Jeżeli to się nie powiedzie, wtedy nie wiem, co dalej robić. Ale nie trać nadziei, Iriszko, będziemy walczyć o twoją siostrzyczkę do końca. To niezwykła dziewczyna, ma niepospolity umysł, skoro udało jej się zrobić to, co zrobiła. Wierzę, że i tak coś wymyśli, żeby nas powiadomić, gdzie jest i jak ją znaleźć. Możesz być dumna ze swojej siostry.

- Naprawdę? Serio pani tak myśli?

- Absolutnie serio. Z siebie też możesz być dumna. Nie każda dziewczyna jest w stanie podołać takiemu nawałowi pracy. Iro, muszę z tobą bardzo poważnie porozmawiać. Czasu nam nie brakuje, nie musimy się nigdzie spieszyć, więc pomyślałam, że lepiej porozmawiać tu i teraz niż później, w pośpiechu i w oficjalnych okolicznościach.

W oczach Iry pojawił się strach, krew odpłynęła jej z twarzy, przez co krosty zrobiły się jeszcze bardziej czerwone i widoczne. Zbyt dużo złych wiadomości zważyło się na nią w ciągu ostatnich tygodni, więc po poważnej rozmowie z funkcjonariuszką wydziału kryminalnego niczego dobrego się nie spodziewała.

Nastia zrobiło się żal dziewczyny, tak samotnej w wielkim świecie samowystarczalnych i szczęśliwych dorosłych, ale nie mogła ukrywać przed nią prawdy, którą wyznał Wołochow. Ira ma prawo wiedzieć, kim jest jej ojciec i co zrobił z jej matką, siostrami, bratem i z nią samą.

Nastia opowiadała bez pośpiechu, starannie dobierając słowa, żeby nie przestraszyć Iry jeszcze bardziej i nie wzbudzić w niej wstrętu do samej siebie i swojej rodziny. Tak właśnie stało się z jej matką, która dowiedziała się o eksperymentach Wołochowa i uznała, że urodziła i wychowuje nie dzieci, lecz potwory, dziwolągi, sztucznych ludzi. W gruncie rzeczy wcale tak nie było, to były wspaniałe, żywe dzieci, co prawda chorowite, bo poddawane oddziaływaniu promieniowania, ale nie potwory i nie dziwolągi. Jediną rzeczą, którą Nastia postanowiła na razie zataić, było to, że Ira już prawie od roku mieszka ze swoim ojcem.

Ira słuchała jej w napięciu, z otwartymi ustami, ale Nastia nie zauważyła przerażenia na chorowitej twarzyczce, raczej dziwny wyraz ni to zrozumienia, ni to objawienia.

- A więc to wszystko dzięki niemu? - zapytała, kiedy Nastia skończyła swoją opowieść.

- Co masz na myśli, mówiąc wszystko?

- To, że mogę tak ciężko pracować i utrzymywać rodzinę. Gdyby nie jego eksperymenty, nie dałabym rady, tak?

- Iroczko, gdyby nie on, nie musiałabyś tak ciężko pracować. Twoja mama, siostry i brat byliby zdrowi, twój ojciec by nie umarł, a ty żyłabyś zupełnie inaczej.

- Nie wiadomo. - Dziewczyna pokręciła głową. - Kto wie, jak ułożyłoby się życie. To znaczy, że mama wcale nie jest winna?

- Oczywiście, że nie jest winna. Po prostu pomieszało jej się w głowie ze strachu i smutku, gdy się dowiedziała, co się z wami

stało.

- Mimo wszystko - Ira znowu z uporem pokręciła głową - on przecież chciał jak najlepiej. Chciał, żebyśmy z Pawlikiem byli silni i wytrzymali, a Natka i Oleczka zdolne i utalentowane. Życzył nam dobrze. A mama tego nłe doceniła. I wszystko popsowała. Powinna była mu wierzyć, skoro go kochała i miała z nim dzieci. Ja na jej miejscu tak bym nie postąpiła. Mogę go poznać?

- Po co?

- Jest przecież moim ojcem. To znaczy naszym ojcem.

- Iro, przez sześć lat ani razu wam nie pomógł. Przykro to mówić, ale pewnie was nie potrzebuje.

- Nie, wiem, że nas potrzebuje. Po prostu miał ogromne poczucie winy, że tak wyszło, dlatego się nie przyznawał. Odwiedzał przecież dzieci w szpitalu, a mamę w domu opieki, sama pani mówiła. To znaczy, że nie jesteśmy mu obojętni. Muszę koniecznie się z nim spotkać i powiedzieć mu, że go nie obwiniam, że nie może odpowiadać za zachowanie mamy.

Takiego obrotu sprawy Nastia się nie spodziewała. Ira jest oczywiście zmęczona uczuciem nienawiści do matki, które nie opuszczało jej przez sześć lat, nie chce więcej nienawidzić, chce wszystkim wybaczyć i wszystkim kochać. Brakuje jej miłości. Nie rozumie rzeczywistej rzeczy, ponieważ nie chce jej rozumieć, i gotowa jest wymyślać usprawiedliwienia dla Wołochowa, przymykając oczy na wszystko, co je podważa. Jest zmęczona prowadzeniem samotnej walki, nikomu niepotrzebna, z wyjątkiem swojej niepełnosprawnej rodziny, zostawiona przez wszystkich bez pomocy i wsparcia. Tak naprawdę jedyną osobą, od której słyszała jakiegokolwiek słowa troski i uwagi, był właśnie jej ojciec, lokator Georgij Siergiejewicz. Tak jej się spodobał od pierwszego wejrzenia, że Ira zlekceważyła nawet surowe polecenie Sta- sowa. W milicji sprawdzano wszystkich jej lokatorów. Wszystkich oprócz Georgija Siergiejewicza, którego nawet nie poprosiła o dowód osobisty, tak wielkim zaufaniem go obdarzyła. Cichy, skromny księgowy, dzielący mieszkanie z żoną wiedźmą. Czyż mogła spodziewać się z jego strony nieprzyjemności?

A zatem może nie trzeba jej przekonywać, że Wołochow, jej ojciec, to łajdak? Już jest gotowa jeżeli nie kochać go, to przynajmniej oczekiwać od niego troski i ciepła. Ale jeżeli się nie doczeka, spotka ją bolesne rozczarowanie.

- Iro, to pewnie będzie dla ciebie przykre, ale muszę ci powiedzieć, że twoja mama nie była jedyną kobietą w życiu Wołochowa. On ma również inne dzieci. Wątpię, czy będzie mógł poświęcić ci dużo uwagi, jesteś przecież jego najstarszą córką, pozostałe dzieci są jeszcze zupełnie małe. Nie powinnaś wiele się po nim spodziewać - ostrożnie powiedziała Nastia.

Ira zachmurzyła się, ale na krótko.

- Niczego od niego nie potrzebuję. Do tej pory sobie radziłam, więc dalej też sobie poradzę. Sądzi pani, że on nie będzie mi pomagał? No to nie trzeba. Niech nie pomaga. Wystarczy, że po prostu będzie. Mam rację?

Nastia nie wiedziała, co jej odpowiedzieć. Obowiązujący kodeks karny nie przewiduje odpowiedzialności za to, co zrobił Wołochow. Nielegalne prowadzenie praktyki lekarskiej? Odpada, mężczyzna ma dyplom lekarza, a o nielegalne prowadzenie praktyki można oskarżyć tylko osoby bez odpowiedniego wykształcenia. Uszkodzenia ciała, które doprowadziły do rozstroju zdrowia? Bardzo trudno tego dowieść. Promieniowaniu poddawane były tylko matki, a u nich nie zauważa się rozstroju zdrowia. Nawet jeżeli uda się dowieść, że problemy ze zdrowiem dzieci pojawiły się właśnie na skutek eksperymentów, które Wołochow przeprowadzał na kobietach w ciąży, to jednak z prawnego punktu widzenia raczej nic nie da się zrobić. Nienarodzone dziecko według naszego prawa nie jest istotą ludzką, przecież aborcje nie są uznawane za zabójstwo. Tymczasem uszkodzenia ciała skutkujące rozstrojem zdrowia odnoszą się tylko do istot ludzkich. Tak więc odpowiedzialność karna raczej doktorowi nie grozi. Hańba, pogarda kolegów, skandal w prasie, oburzenie świata medycznego - najprawdopodobniej na tym się skończy. Kto wie, czy jego najstarsza córka Ira Tieriochina nie okaże się później jedyną osobą, która nie wzgardzi odrzuconym przez wszystkich Walerijem Wasiljewiczem

Wołochowem. To raczej wątpliwe, żeby matki jego dzieci, dawne i obecne kochanki mu wybaczyły. Ira zaś wybaczy, już wybaczyła.

Rozmowa się przeciągnęła. Grubo po północy Nastia nie potrafiła już opanować snu, oczy jej się zamykały, więc położyła się na ustawionych rzędem krzesłach.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że się zdrzemnę? - zapytała ze skruchą.

- Oczywiście, oczywiście. - Ira pokiwała głową. - Niech pani śpi. Ja posiedzę. Niech się pani nie martwi, nie zasną i niczego nie przeoczę. Jeżeli usłyszę coś podejrzanego, od razu panią obudzę. Niech się pani nie denerwuje.

Nastia obudziła się, gdy już świtało. Wstała, z trudem rozprostowując ręce i nogi zdrętwiałe od niewygodnej pozycji na wąskim, twardym pościaniu.

Ira siedziała przy stole oświetlonym lampką i coś czytała.

- Co czytasz? - zainteresowała się Nastia.

- Wzięłam książkę z półki. Nie powinnam? - zapytała Ira ze strachem.

-Wszystko w porządku. Czytaj sobie na zdrowie. A co to jest?

Ira zamknęła książkę i pokazała Nasti okładkę. Wykłady z analizy matematycznej.

- Boże, co ty z tego możesz rozumieć? - Nastia się zdumiała.

- Niczego nie rozumiem, ani słowa. Dziwna rzecz. Słowa są niby znajome, proste, a nie mogę niczego zrozumieć. Czyżby Natka to wszystko pojmowała?

- Nawet więcej. Z relacji Wołochowa wynika, że całkiem nieźle orientowała się w matematyce, o ile to w ogóle możliwe w jej sytuacji. Twoja siostra jest rzeczywiście niezwykle zdolna.

- A... ten... no, Wołochow, pomagał jej?

- Tak twierdzi.

- Widzi pani, to znaczy, że jednak się o nią troszczył. Nie, to niemożliwe, żebyśmy byli mu obojętni. Anastazjo Pawłowno, dlaczego on nie chce mnie widzieć? Młodsze dzieci odwiedza w szpitalu, a do mnie ani razu nie przyszedł. Czy to dlatego, że jestem taka okropna?

- Boże, Iriszo, co ty pleciesz? - zawołała oburzona Nastia. - Kto

ci powiedział, że jesteś okropna? Co za bzdury!

- To prawda, całą twarz mam w krostach, plecy też. Pewnie uznał, że to nieprzyjemny widok, tak?

Do diabła z nim, pomyślała Nastia. Jeżeli dziewczyna chce usłyszeć bajkę, to ją usłyszy. Tak czy inaczej, zasłużyła na nią całym swoim nieszczęsnym życiem.

- Posłuchaj, Iroczko, wczoraj nie wszystko ci powiedziałam. Nawet nie wiem, dlaczego postanowiłam zataić przed tobą prawdę, ale teraz myślę, że powinnam ci powiedzieć. Wołochow zna cię bardzo dobrze.

- Skąd?

- Mieszka obok ciebie.

- W naszym domu? - Ira się poderwała.

-Tak.

- A w którym mieszkaniu?

- W twoim.

Zapadła cisza. Ira w napięciu zastanawiała się nad tym, co usłyszała, wpatrując się w Nastię badawczym wzrokiem. Później powiedziała cicho:

- Georgij Siergiejewicz. Od razu mi się spodobał. Od pierwszego dnia. Jakbym coś czuła... Jakbym czuła... Zawsze się o mnie troszczył, podsuwał mi jedzenie, pomagał, jak tylko mógł. Teraz wiem na pewno, że jesteśmy mu potrzebni. Po prostu bał się, że mu nie wybaczymy. Jak to dobrze, że pani mi powiedziała.

Nastia nie zdobyła się na to, żeby wyjaśnić Irze, że Wołochow mieszkał obok niej nie dlatego, że próbował jej pomóc, ale wyłącznie dlatego, że musiał obserwować jeden z najbardziej udanych obiektów swoich dziwacznych eksperymentów. A to, czy jego dzieci i ich matki mu wybaczą, ma dla doktora Wołochowa drugorzędne znaczenie. Jeżeli w ogóle ma.

Za oknem zrobiło się zupełnie jasno, teraz złodziej już się nie pojawi, działać może tylko w ciemności. Nastia zwolniła Irę do pracy, wypila drugi kubek kawy i zaczęła przygotowywać się do kolejnego dnia w bibliotece.

Wesoła Ninoczka pojawiła się w czytelnicy zaraz po południu. Nastia początkowo nie zwróciła na nią uwagi, zajęta

wyszukiwaniem zamówionych przez czytelników pozycji i ustawiając na półkach książki, które zostały już zwrócone.

- Nastiu - zawołała Ninoczka - komu wypożyczyłaś przekład Ducroix?

- Nikomu - machinalnie odparła Nastia, a później się zreflektowała: - A o co chodzi?

- Nie mogę go znaleźć. Nigdzie go nie przełożyłaś?

Ach tak. Nie ukraść i nie poprosić kogoś o wypożyczenie na swoje konto. Po prostu podejść bibliotekarkę.

Młoda sympatyczna kobieta z niepokładanym życiem osobistym, bez większej szansy na złapanie męża, łatwo da się wciągnąć w rozmowę, zwłaszcza jeśli mężczyzna okaże się czarujący i nie będzie szczędził jej komplementów. Ten sposób umknął Nasti. Miała gotowy algorytm działania w sytuacji, gdy któryś z pracowników instytutu poprosi o przekład. W tym wypadku odparłaby, że książka jest wypożyczona, ale obiecano ją zwrócić przed piątą, i przyrzekłaby, że na pewno zostawi ją dla czytelnika, niech wpadnie koło piątej. W tym czasie zdążyłaby skontaktować się telefonicznie z Gordiejewem, a później chłopcy przejęliby pechowego dobroczyńcę. Wariant z pracownicą biblioteki wymagał innego rozwiązania, przecież jeżeli Nastia powie Ninie, że książka jest wypożyczona, dziewczyna weźmie rewery i zobaczy, kto ją wypożyczył, żeby osobiście poprosić o wcześniejszy zwrot. Całe szczęście, że Nastia, kierując się intuicją, zabrała Ducroix z tamtej półki, na której leżał, i przełożyła w inne miejsce. Miałyby się z pyszna, gdyby teraz Nina, nie mówiąc ani słowa, podeszła do półki i spokojnie wzięła książkę, a Nastia by niczego nie zauważyła, zajęta wydawaniem zamówionych pozycji i przeglądaniem rewersów.

- Nino, to moja wina... Wybacz mi, proszę - wymamrotała Nastia. - Zabrałam książkę do domu. Chciałam poczytać, a rano zapomniałam włożyć do torby. Jutro przyniosę.

- Chyba zwariowałaś! - zachnęła się Nina. - Jakie jutro? Książka jest potrzebna dzisiaj. Kto ci pozwolił brać przekład do domu? Przecież cię uprzedzałam, że czytelnicy często o niego proszą, a mamy tylko jeden egzemplarz. I co ja teraz zrobię? Co

powiem czytelnikowi? Że nowa pracownica nie przestrzega regulaminu?

Nastia postanowiła nie zaogniać sytuacji, pytając, dlaczego właściwie Nina chce wypożyczyć książkę, którą udostępnia się jedynie w czytelni. To przecież również naruszenie regulaminu. Odpowiedź była z góry wiadoma, a dodatkowe pytania mogłyby zaniepokoić bibliotekarkę.

- Ninoczko, moja kochana - błagalnym tonem odezwała się Nastia - nie krzycz na mnie, proszę. Jutro na pewno odniosę.

- Książka jest potrzebna dzisiaj - zimno stwierdziła Nina.

- No dobrze, chcesz, to zaraz pojedę do domu i ją przywiozę. Tylko trzeba będzie zamknąć czytelnię.

Nina zerknęła na zegarek i skinęła głową.

- Jedź, tylko szybko. Zamknę wypożyczalnię niby z przyczyn technicznych, a sama posiedzę w czytelni. Ile czasu potrzebujesz, żeby przywieźć przekład?

- Póltorej godziny.

- No to dalej, leć.

Nastia poszła w najdalszy róg sali, gdzie leżała jej sportowa torba, szybko się rozejrzała, niepostrzeżenie wsunęła do niej schowany przekład i popędziła do wyjścia. Pojechała oczywiście do domu, chociaż nie miała tam zupełnie nic do roboty. Lepiej byłoby wymknąć się do pracy, porozmawiać z Pączkiem, zasięgnąć rady. Jednakże nie mogła tego zrobić. Kto wie, co właściwie powiedziała miła Ninoczka osobie, która poprosiła o książkę Ducroix. Może powiedziała prawdę: że nowa pracownica na bezczelnego zabrała książkę do domu i zapomniała przynieść z powrotem, teraz po nią pojedzie i niebawem przywiezie, trzeba tylko poczekać ze dwie godziny. Całkiem możliwe, że wtedy miłośnik rzadkich książek z matematyki podąży śladem niedbalej nowej pracownicy, albo z ciekawości, albo żeby się ubezpieczyć i na wszelki wypadek trzymać rękę na pulsie, albo z innym niedobrym zamiarem, na przykład odebrania jej książki w drodze powrotnej przy użyciu lekkiej przemocy fizycznej. Dlatego nie mogła jechać na Pietrowkę.

Nastia dotarła do domu, niezmiernie zadziwiając męża swoim

pojawieniem się w środku dnia, i od razu rzuciła się do telefonu.

- Wiktorze Aleksiejewiczu, posłaniec się pojawił. Działa przez bibliotekarkę Ninę Kamyszową. Za pięćdziesiąt minut dostanie książkę.

- Zrozumiałem - krótko odparł Gordiejew. - Nie martw się, wszystko zrobimy jak należy.

- Nie martwię się, skąd ten pomysł?

- Myślisz, że nie słyszę. - Pułkownik uśmiechnął się do słuchawki.

Czterdzieści pięć minut później Nastia pędem wpadła do czytelnii.

- Proszę - powiedziała zdyszana, w biegu otwierając torbę i wyjmując z niej przekład - trzymaj. Przepraszam, że tak wyszło.

Położyła na ladzie przed Niną trzy grube zeszyty w firmowej okładce Wszechzwiązkowego Centrum Przekładów. Nina w milczeniu wzięła przekład i udała się do wypożyczalni naukowej, która znajdowała się w przeciwległym końcu korytarza na tym samym piętrze. Nastia umierała z ciekawości, ale cierpliwie przesiedziała w czytelnii do końca dnia. Na szczęście wcale nie trzeba było długo czekać.

Ninę Kamyszową prowadził Korotkow. Zdążył przyjechać do instytutu, zanim Nastia wróciła z przekładem, i zajął pozycję pozwalającą mu widzieć Ninę i wszystkich, z którymi rozmawiała. Do chwili zamknięcia wypożyczalni naukowej Kamyszowa nikomu nie dała przekładu, o piątej zamknęła pomieszczenie i opuściła instytut. Jura ostrożnie odprowadził Ninę do mieszkania, wspiał się piętro wyżej i zaczął czekać. O wpół do ósmej Kamyszowa wyszła. Wnioskując z ubrania i biżuterii, wybierała się na randkę. Przez ramię miała przewieszoną małą torebkę na długim łańcuszku i niosła plastikową reklamówkę, przez którą wyraźnie prześwitywały trzy zeszyty standardowego formatu A4.

Nina w towarzystwie idącego w przyzwoitej odległości wywiadowcy dotarła do metra i pojechała do centrum. Wysiadła na Arbackiej. Na ulicy, przy wyjściu z metra, podszedł do niej mężczyzna z dużym bukietem kwiatów, zgrabnie

chwycił ją pod rękę i powiodł Nowym Arbatem w kierunku drogiej restauracji. Upewniwszy się, że para ulokowała się przy stoliku i złożyła zamówienie, Jura znalazł telefon i poprosił o wsparcie na wypadek, gdyby dalsza obserwacja szarmanckiego kawalera się skomplikowała. Gordiejew już odwołał z uniwersytetu Miszę Docenkę, a z instytutu Akademii Kołę Siełujanowa, więc obaj zjawili się koło restauracji, podczas gdy Nina i jej przyjaciel raczyli się wykwinną kolacją.

- Wolałbym nie patrzeć, jak się opychają - wymamrotał wiecznie głodny Siełujanow.

- To nie patrz - łagodnie poradził Korotkow. - Nikt ci nie każe. Czyżby lady Walentina przestała cię karmić? Skąd nagle ta zdecydowana niechęć do uczujących osób?

- Mama Wałuszki jest chora, więc dziewczyna musi się nią opiekować. Już drugi tydzień wracam do pustego mieszkania. Powiedz, Jurik, czemu ludzie tak szybko przyzwyczajają się do dobrych rzeczy, co? Przez cztery lata po rozwodzie wracałem do pustego mieszkania i nic. Tęskniłem, oczywiście, ale przecież nie umarłem.

A Wałuszkę znam raptem trzy miesiące, no i popatrz, wystarczy, że jej nie ma, a ja już nie mogę znaleźć sobie miejsca. Może rzeczywiście najwyższy czas się z nią ożenić?

Była to dyżurna rozmowa dwóch przyjaciół, która powtarzała się z regularnością mniej więcej dwóch razy w tygodniu. Przeważnie Korotkow radził stanowczo Nikołajowi, żeby nie przeciągał struny i ożenił się z Wa- leczką jak najprędzej, motywując to tym, że długie życie bez małżeństwa nie wychodzi mężczyźnie na dobre, jeżeli chce pozostać zdrowym facetem o normalnej psychice i bez dolegliwości żołądkowo-jelitowych. Nikołaj z kolei zachowywał ostrożność i próbował uniknąć pochopnej decyzji, pamiętając o wyjątkowo nieudanym, jego zdaniem, pierwszym doświadczeniu małżeńskim, a także powołując się na przykład Nasti Kamińskiej, która była zamężna zaledwie od roku, chociaż znali się z Loszką niemal dwadzieścia lat.

Waleczka była lejtnantem milicji i pracowała w biurze ewidencji ludności znajdującym się w jednym z miejskich

wydziałów. Nie była ani odpychająco wyniosła, ani wyrafinowanie elegancka. Była całkiem zwyczajna, miła, ustępliwa i gospodarna, miała przeciętną, raczej nieładną twarz i zdumiewająco zgrabną figurę. Ponadto jako córka instruktora jazdy od wczesnego dzieciństwa świetnie prowadziła samochód i radziła sobie nie gorzej niż wytrawny kierowca rajdowy, co w ogóle nie wypadło światowej damie. Jednakże Jura Korotkow z uporem nazywał ją lady Walentiną, ponieważ dzięki znajomości z nią Siełujanow zdecydowanie zerwał z nałogiem samotnego popijania wieczorami, nie zapominał każdego ranka umyć głowy i w ogóle jakoś wyszlachetniał.

W końcu Nina Kamyszowa i jej hojny wielbiciel skończyli kolację z tańcami i orzeźwiającymi drinkami.

W tym czasie Korotkow, Siełujanow i Docenko zdążyli kolejno skoczyć za róg po gorącą pizzę, a po posiłku od razu poczuli paskudny ciężar w żołądku. Nie mogli nic na to poradzić, bowiem funkcjonariusze wydziału kryminalnego rzadko mają możliwość wyboru, gdzie, kiedy i co będą jedli.

Wywiadowcy się rozdzielili. Na wszelki wypadek postanowili, że Ninę Kamyszową również należy obserwować, bo niewykluczone, że jest członkiem grupy. Za Niną wysłali Miszę Docenkę jako najmłodszego i najprzystojniejszego z całej trójki. Nie wiadomo, jaki obrót przybierze sprawa, a nuż trzeba będzie nawiązać kontakt z sympatyczną bibliotekarką, a Miszania swoimi czarnymi cygańskimi oczami i olśniewającym uśmiechem może ją do siebie szybko zjednać. Korotkow i Siełujanow ruszyli za mężczyznę, któremu Nina przekazała reklamówkę z przekładem. Początkowo podążali wszyscy razem, ponieważ adorator podjął jednak próbę odprowadzenia Niny do domu, nie zostawił jej zaraz po wyjściu z restauracji. Co prawda oboje rozstali się w połowie drogi, ale z ich min podczas ożywionego sporu w wagonie metra można było wywnioskować, że kawaler chciałby Ninę odprowadzić, a ona odmawia. W końcu wielbiciel ustąpił, grzecznie cmoknął damę w rączkę i pożegnał się z nią na stacji przesiadkowej z linii Arbacko-Pokrowskiej na linię Kolcewaja.

Dalej wydarzenia potoczyły się szybko i w sposób zupełnie

niepojęty. Misza Docenko ruszył za Kamyszową, Korotkow i Siełujanow za szczęśliwym właścicielem przekładu książki Ducroix *Podstawy logiczne współczesnej analizy*. Obiekt - przystojny, ujmujący mężczyzna lat dwudziestu ośmiu - trzydziestu w markowym garniturze - wyszedł z metra i zatrzymał przejeżdżający samochód. Miejsce było ruchliwe, złapanie łebka nie stanowiło problemu, więc wywiadowcom udało się nie zgubić figuranta. Mężczyzna z przekładem pojechał za miasto, gdzie śledzenie go stało się o wiele trudniejsze, ponieważ droga była pusta i dobrze widoczna. Wywiadowcy musieli pozwolić mu się od nich oddalić i orientowali się na podstawie tylnych świateł i dźwięku silnika. Samochód zatrzymał się przy dużej daczce. Milicjanci musieli przyhamować w odległości jakichś dwustu metrów od posesji. Jura wysiadł z samochodu i podkradł się bliżej. Jednakże nie odważył się wejść na daczę, bo ochryple, basowe szczekanie psa, które rozległo się przy pojawieniu się figuranta, niedwuznacznie świadczyło zarówno o rozmiarach psiska, jak i o jego nieżyczliwym stosunku do obcych.

Wizyta nie trwała długo. Młody mężczyzna w garniturze wyszedł niebawem z domu i ruszył w stronę furtki, nadal dzierżąc w rękach torbę z przekładem. A więc nie przyjechał tutaj po to, żeby przekazać komuś zeszyty.

- Ja zostaję - szepnął Korotkow do Nikołaja. - Spróbuję się dowiedzieć, do kogo facet przyjechał. A ty ruszaj za nim z powrotem do miasta czy gdzie tam jeszcze po- jedzie.

Zrobiło się już dość późno, więc spoglądając na tylne światła oddalających się samochodów, Jura Korotkow ze smutkiem pomyślał, że niełatwo mu będzie dotrzeć do Moskwy. Łebka tutaj nie złapie, a na miejscową milicję raczej nie ma co liczyć.

Aleksander Taszkow przejął obiekt od Siełujanowa późną nocą. Kola pojechał się przespać, a Taszkow cierpliwie czekał w bramie koło domu, gdzie pojawił się młody mężczyzna z reklamówką po powrocie do miasta. Czekać musiał do rana.

O wpół do siódmej pod dom podjechało niebieskie vol- vo, za którego kierownicą siedział znany już Taszkowowi Iljas, lokator Iry Tieriochinej. Robiło się coraz ciekawiej. Czyżby ludzie

Ajaksy byli zamieszani w porwanie Nataszy Tieriochinej? A może Iljas pracuje w kilku miejscach albo mówiąc prościej: dla paru szefów?

Figurant wyszedł z domu i wszedł do samochodu Iljas. Taszkow dojechał w ślad za nimi na lotnisko i przekonał się, że ani figurant, ani Iljas nigdzie nie lecą. Leciał zupełnie inny mężczyzna, któremu figurant przekazał torbę z trzema zeszytami. Była to wciąż ta sama torba, w której Nina Kamyszowa przyniosła wczoraj zeszyty na spotkanie z figurantem. Mężczyzna z torbą stanął w kolejce do odprawy na lot do Lwowa. Iljas i figurant stali koło niego i z ożywieniem o czymś dyskutowali. Taszkow nie chciał stracić z oczu pary z niebieskiego volvo, więc wstąpił do kolegów pracujących na lotnisku i skontaktował się z przyjacielem z odpowiedniego resortu na Ukrainie. Przyjaciel obiecał pomóc i zrobić wszystko, co trzeba.

Organizacyjna część operacji zajęła trochę czasu, więc kiedy Taszkow znowu znalazł się w hali odpraw, interesujący go mężczyźni zniknęli. Mężczyzna, któremu przekazano torbę, nadal stał w kolejce, ale już sam. Aleksander popędził na parking, wskoczył do swojego samochodu i pomknął szosą w kierunku Moskwy, ale niebieskiego volvo nie udało mu się dogonić. Nie był to oczywiście koniec świata, Taszkow wiedział przecież, kim jest Iljas i gdzie go można znaleźć, szkoda mu było jednak zgubić figuranta. Teraz go nie odszuka, a gdyby zapytał Iljasa, naraziłby całą operację, bo przecież grupa Ajaksy chyba nawet nie podejrzewa, że jest poważnie rozpracowywana. Dobrze byłoby utrzymać ich w stanie niewiedzy jak najdłużej.

Zdenerwowany Sasza wrócił do Moskwy, pocieszając się tym, że ukraińscy koledzy nie zgubią pasażera rejsu do Lwowa. Koło dziesiątej rano stawił się w pracy i od razu na jego biurku rozdzwonił się telefon wewnętrzny.

- Taszkow - rozległ się głos naczelnika wydziału - połącz się z MUR-em¹², mają jakąś pilną sprawę.

¹² MUR (*Moskowskij ugołownyj rozysk*)-Moskiewski Wydział Kryminalny (przyp. tłum.).

Aleksander gorzko westchnął, podniósł słuchawkę i zadzwonił do pułkownika Gordiejewa. Wiktor Aleksiejewicz podyktował mu dane mężczyzny będącego właścicielem daczy, na której poprzedniego dnia figurant złożył wizytę.

- To dane z miejscowej milicji - skomentował na koniec Gordiejew. - Jak pan się domyśla, mogą okazać się dawno nieaktualne. Pańskie zadanie to szybko przeprowadzić rozpoznanie mieszkańców, a także właścicieli, jeżeli to różne osoby. Wieczorem czekam na wyniki.

Sasza uważnie spojrział na kartkę z notatkami, które zrobił pod dyktando Gordiejewa. Dacza jest w posiadaniu mężczyzny prawie czterdzieści lat, więc facet musi być już w podeszłym wieku. Może zresztą dawno umarł, na dacy mieszkają teraz jego dzieci i wnuki, a w miejscowej milicji wciąż jeszcze figuruje jako aktualny właściciel. Diabli wiedzą, co się teraz wyrabia z informacjami! Nikt się nie troszczy, żeby dane były pełne i wiarygodne.

Przed ósmą wieczorem Aleksander Taszkow zjawił się na Pietrowce z meldunkiem o wynikach rozpoznania operacyjnego.

- To dopiero numer - wycedził wolno pułkownik Gordiejew, wysłuchawszy go. - Nigdy bym nie pomyślał. Wszystko, tylko nie to. Może to przypadkowy zbieg okoliczności?

- Nie, Wiktorze Aleksiejewiczu - wtrąciła się Nastia, które również siedziała w gabinecie Gordiejewa - to nie zbieg okoliczności. To oczywiście zupełna niespodzianka, ale wiele wyjaśnia. A właściwie praktycznie wszystko.

Rozdział 19

Lwowscy koledzy Taszkowa wykonali pracę sumiennie, ale to, co udało im się wyświecić, zbijało nieco z tropu. Pasażera, który przyleciał z Moskwy do Lwowa, przejęto na lotnisku i odprowadzono na miejsce, które okazało się willą domu dziecka położoną w Karpatach. W związku z brakiem środków budżetowych dom dziecka przez dłuższy czas popadał w ruinę i w końcu w ubiegłym roku go zamknięto, dzieci umieszczono w innych ośrodkach, natomiast willę ktoś wydzierżawił. Nikt nie wiedział, co się tam teraz znajduje. A raczej ktoś pewnie wiedział, ale milczał.

W wyniku obserwacji posesji ukraińscy wywiadowcy odkryli solidną ochronę i stwierdzili, że przedostanie się za bramę drogą pokojową jest niemożliwe. O czym powiadomili Aleksandra Taszkowa.

- Saszko, tu potrzeba interwencji z góry - oznajmili. - Sami niczego nie zdołamy. Ten, kto wydzierżawił posesję, musiał dać ogromne łapówki, więc urzędnicy, którzy je wzięli, niczego nam nie powiedzą na ładne oczy. A jeżeli nawet powiedzą, to po pierwsze, skłamią, a po drugie, informacja od razu trafi do dzierżawców. Tego chcesz?

Taszkow tego nie chciał. Postanowił zatem, że poleci do Lwowa i na miejscu zobaczy, co da się zrobić. Jednakże przed wyjazdem spotkał się z Zoją Smirniaginą i opowiedział jej o doktorze Wołochowie. Każde wypowiedziane słowo sprawiało mu niemal fizyczny ból. Widział, jak ciężko jest Zoi, ale uważał, że nie ma prawa ukrywać przed nią prawdy.

- To znaczy, że dziecko, które urodzę, nie będzie człowiekiem?
- cicho zapytała Zoja, gdy Taszkow umilkł.

- Skąd znowu, Zojeńko, będzie człowiekiem, ale...
Prawdopodobnie niezupełnie zwyczajnym.

- Nie chcę. - Zoja pokręciła głową. - Nie chcę go urodzić.

- Nie mów głupstw, przecież już za późno na aborcję. Żaden lekarz się tego nie podejmie.

- Można wywołać poronienie. Wymyślę coś, porozmawiam z lekarzami. Nie urodzę tego dziecka. Boże, no dlaczego właśnie mnie to się przytrafiło! Rodzice nie posiadali się z radości, że wreszcie będą mieli wnuka, przynajmniej pod koniec życia chcieli się nim nacieszyć. Co ja im teraz powiem? Że niepotrzebnie czekali? Że ich córka związała się z obłudnikiem i draniem? To będzie dla nich cios. Jaka ja jestem głupia, Sasza, jaka głupia, że uwierzyłam. Wygląda na to, że Walerij Wasiljewicz w ogóle mnie nie kochał, tak?

- Zaczekaj, Zoju, nie tak ostro - łagodnie powiedział Taszkow.

- Doktor Wołochow to jedno, a twoje dziecko to zupełnie co innego, nie wolno ci tego łączyć. Tak, Wołochow jest draniem, ale co ma do tego dziecko? Powinnaś je urodzić i wychować, jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Nie dam rady, Sasza, wciąż będę myślała, że ono nie jest prawdziwe. Sztuczne. To grzech robić sztucznych ludzi, wielki grzech.

- Co ty pleciesz, nie ma tu żadnego grzechu. To wszystko iluzja. Pamiętaj, Zoju, że pewna kobieta pomyliła się tak samo jak ty, poddała się iluzji grzechu i skrzywdziła swoje dzieci i siebie, a męża zwyczajnie zabiła. To rzeczywiście jest grzech. Nie powtarzaj jej błędu. Bardzo cię proszę, nic nie rób, zostaw wszystko, jak jest.

- On mnie oszukał - głucho powiedziała Zoja, patrząc gdzieś w bok. - Ale nie mogę go za to winić. Sama jestem sobie winna, że pozwoliłam się oszukać. Powinnam była wiedzieć, że taki człowiek jak Walerij Wasiljewicz nie może się mną zainteresować. Kim przy nim jestem? Nie pasuję do niego. Przymykałam jednak na wszystko oczy, byłam szczęśliwa, miałam nadzieję...

- Przestań! - Taszkow podniósł głos i gwałtownie wstał od stołu.

Siedzieli w ulicznej kawiarni przy jednej ze stacji metra na obrzeżach Moskwy. Było tu cicho i bezludnie, a w kawiarni byli jedynymi klientami, więc mogli rozmawiać, nie krępując się

obcych uszu.

- Kto wbił ci do głowy te głupstwa? Dlaczego sądzisz, że taki człowiek jak Wołochow nie może poważnie się tobą zainteresować? Tak, Wołochow cię nie kocha i nigdy nie kochał, ale nie dlatego, że jesteś niegodna jego miłości, tylko dlatego, że w ogóle nigdy nikogo nie kochał. Tak już z nim jest, rozumiesz? Nie ma w organizmie tego czegoś, co pozwala kochać inną osobę. Jesteś młodą, piękną kobietą, a chcesz się pogrzebać za życia. Do czego to podobne? Powinnaś chodzić z wysoko podniesioną głową, nosić krótkie spódniczki, żeby wszyscy widzieli twoje długie nogi, powinnaś się uśmiechać, żeby wszystkim pokazywać wspaniałe zęby. A co ze sobą zrobiłaś? Skurczyłaś się, skuliłaś i boisz się cokolwiek powiedzieć. Gdyby to ode mnie zależało...

Taszkow zająknął się, szukając odpowiedniego słowa. Gdyby to od niego zależało, ubrałby Zoję w najlepsze sukienki i futra, zrobiłby wszystko, żeby była wesola i zaczęła się uśmiechać. Kochałby ją, chuchał na nią i dmuchał, obsypywał prezentami, pomagał jej w domu i razem z nią wychowywał dzieci. Ale czy teraz mógł jej o tym powiedzieć?

- Zojeńko, dzisiaj wieczorem wyjeżdżam w delegację. Mam nadzieję, że nie na długo. Możesz mi obiecać, że nie narobisz głupstw, gdy mnie nie będzie? Nie mam oczywiście wpływu na decyzje, które podejmujesz, jesteś dorosła, sama o sobie stanowisz, sama kierujesz swoim życiem, ale proszę cię tylko o jedno: jakąkolwiek decyzję podejmiesz, nie rób nic, póki nie wrócę. Obiecujesz?

- Dobrze, Sasza, zaczekam, aż wrócisz. Chociaż Bóg widzi, że nie rozumiem, co może się przez ten czas zmienić. To, o czym mi powiedziałaś, pozostanie prawdą i za tydzień, i za miesiąc. Nic już nie da się zrobić.

- Masz rację, fakty pozostaną takie same, ale może zmieni się twój stosunek do nich. Chcę, żebyś coś zrobiła. Tutaj masz adres. - Podał Zoi skrawek papieru. - Pod tym adresem mieszka najstarsza córka Wołochowa, Ira Tieriochina. Poznaj ją i zobacz, jak żyje. Zobacz, jakim jest człowiekiem. Zobacz, jak jest jej ciężko i jak dzielnie walczy. Zgodnie z twoją wadliwą

logiką ona również jest sztuczną istotą, która nie ma prawa do życia. Przyjrzyj się jej uważnie. Jeżeli w twoim sercu nie pojawi się litość i współczucie, Zojeńko, to znaczy, że zupełnie nie mam racji. Jeżeli patrząc na Irę, nie zrozumiesz, że jest takim samym człowiekiem jak ty, jak ja, jak my wszyscy, to znaczy, że rzeczywiście nie powinnaś urodzić tego dziecka. Więcej nie będę cię przekonywał i nalegał, żebyś uratowała mu życie. Zrobisz to, o co cię proszę?

- Dobrze, Sasza - powtórzyła posłusznie Zoja. - Poznam ją, jeżeli tego chcesz. Tylko nie gniewaj się na mnie, proszę, bo i tak czuję się winna.

Taszkow podszedł do niej i objął ją, ostrożnie dotykając wargami jej włosów, przyjemnie pachnących szamponem i perfumami.

- Daj spokój, Zoju, dlaczego tak mówisz? Niczemu nie jesteś winna, po prostu tak wyszło. I pamiętaj: cokolwiek się stanie, zawsze możesz na mnie liczyć. Zawsze.

I we wszystkim. Rozumiesz?

- Dziękuję, Sasza - odparła, połykając łzy.

Do Lwowa Taszkow nie przyleciał sam. Ponieważ chodziło o grupę, która najprawdopodobniej była związana z tajemniczym Ajaksem, razem z Saszą na Ukrainę udały się jeszcze dwie osoby. Lwowscy wywiadowcy pokazali im plan okolicy, w której znajdowała się willa należąca do dawnego domu dziecka.

- Albo oficjalna droga z mnóstwem perturbacji, stratą czasu i gwarancją wycieku informacji, albo operacja przejęcia willi ze stratami osobowymi - orzekli wywiadowcy po trzygodzinnej naradzie.

Wniosek nie był oczywiście pocieszający.

- Jest jeszcze jedna okoliczność - powiedział Taszkow. - Jeżeli nawet wymyślimy taki plan przejęcia, przy którym straty będą minimalne, osiągniemy niewiele. Uwolnimy dziewczynę, aresztujemy mieszkańców posiadłości i co dalej? Ajaksa wśród nich pewnie nie ma.

I nigdy go nie znajdziemy, podobnie jak pozostałych członków grupy. Byłoby naiwnością sądzić, że aresztowani wydadzą pozostałych. Człowiek wychowany w islamie umie zapanować

nad strachem i mężnie przyjąć śmierć. Wątpię, żeby udało nam się tak ich nastraszyć, że pójdą na to, by zdradzić swoich. Wiem, że wśród członków grupy są ludzie, którzy pracują po prostu za pieniądze, ale jest ich niewielu. Większość walczy o idee i powinniśmy się z tym liczyć. Natomiast jeżeli wykurzymy mieszkańców willi w sposób pokojowy i legalny, na pewno doprowadzą nas do Ajaksa i do innych, których może jeszcze nie znamy.

Taszkow oczywiście zmyślał. Był już niemal pewien, że wie, kim jest Ajaks. Na naradzie u pułkownika Gordiejewa jego pracownica Kamieńska przedstawiała fakty bardzo przekonująco i logicznie. Teraz jednak Taszkow miał co innego w głowie. Myślał o chłopcach ze specnazu, którzy zostaną wysłani w góry, żeby przejąć posiadłość. Jeżeli rzeczywiście jest tam solidna ochrona, to straty będą niewąskie. W imię czego? Dlaczego ci chłopcy mają się poświęcić? Aleksander wystarczająco długo zajmował się pracą operacyjną, żeby wiedzieć, że nikt nie dba o życie specnazowców, wszystko to tylko piękne słówka. Wystarczy byle pretekst, a już są stawiani na nogi i wysyłani na zadanie bez wstępnego rozpoznania. Nikt nawet nie zada sobie trudu, żeby się zastanowić, jak można by się bez nich obejść. Są traktowani jak mięso armatnie, którego nikomu nie żal. No bo właściwie dlaczego się nad nimi litować? Taką mają pracę. Podejmowanie ryzyka to ich podstawowy obowiązek, za to im płacą. Tylko w ciągu dwóch ostatnich lat Taszkow pochował pięciu swoich kolegów, którzy służyli w specnazie. Dlatego dzisiaj uważał, że jeżeli może coś zrobić, żeby ocalić przynajmniej jedno życie, powinien to zrobić. Nikt się nie martwi o chłopców, nikt nie ceni ich życia i nie ma kto się za nimi wstawić.

- Co proponujesz? - zapytał go naczelnik lwowskiego wydziału.
- Masz jakiś plan?
- Muszę się zastanowić.
- Byle niedługo - uprzedził Taszkowa podpułkownik Fietisow, który przyjechał razem z nim z Moskwy. - Czasu mamy jak na lekarstwo. Sam mówiłeś, że przetrzymują tam dziewczynę. Nie daj Boże, żeby coś jej się stało.

- Nie powinno. Jeżeli Wołochow powiedział prawdę, dziewczyna jest im potrzebna do badań i do czegoś jeszcze. Nie wiem, do czego konkretnie, ale to coś istnieje. Nie na darmo wysłali człowieka do Moskwy najpierw po kartę medyczną, a później po książkę. Natasza jest im potrzebna żywa, przynajmniej na razie. Nie wyłaziliby tak ze skóry, żeby zdobyć dla niej unikatową książkę, gdyby spisali ją już na straty.

- Może masz rację - powiedział w zamyśleniu miejscowy naczelnik - ale i tak lepiej nie zwlekać.

Resztę dnia Taszkow spędził, spacerując po mieście. Raz po raz zatrzymywał się na bulwarach przed tablicami z rozklejonymi gazetami i próbował je czytać. Aleksander nie znał ukraińskiego, ale to i owo udawało mu się zrozumieć. Przedarłszy się z trudem przez częściowo zrozumiałe, a częściowo niezrozumiałe słowa, przekonał się, że potrafi uchwycić sens tekstu, więc zaczął uważniej studiować miejscową prasę. W końcu znalazł to, czego szukał: artykuł o fundacji dobroczynnej Szczęśliwe Dzieciństwo, co w tłumaczeniu oznaczało „Szczęśliwe Dzieciństwo”. W artykule był podany adres fundacji i jej rachunek bankowy.

Fundacja mieściła się w malutkiej, uroczej willi na ulicy Iwana Franki. Taszkow przygotował się na to, że będzie musiał długo i z uporem przedzierać się do dyrektora fundacji, tymczasem ku jego zdziwieniu wszystko poszło bez najmniejszego problemu. Nie zauważył tu żadnego mężczyzny, wokół były same kobiety, którymi nie kierował psychologiczny mechanizm obronny „trzymać i nie puszczać”. Wszystkie mówiły po ukraińsku, ale Taszkow je rozumiał.

Dyrektorem fundacji była również kobieta. Jej twarz wydała się Taszkowowi dziwnie znajoma. Był pewien, że widział już wcześniej te wyraźnie zarysowane brwi nad lekko skośnymi, kocimi oczami, to gładkie uczesanie i pełne, kształtne usta. Czyżby się znali? To byłoby niesłychane zrządzenie losu.

- Mam wrażenie, że już się gdzieś spotkaliśmy. - Taszkow uśmiechnął się czarująco. - Nie pamięta mnie pani?

- Myli się pan - surowo odparła dyrektorka fundacji.

- Pani twarz wydaje mi się jednak znajoma.

- Nic w tym dziwnego. - Kobieta lekko się uśmiechnęła. - Miło mi, że wszyscy mnie jeszcze poznają, chociaż już od dawna nie występuję.

Nie występuję. Niech to diabli, to była Żanna Doroszenko, niegdyś bardzo znana aktorka, która zyskała sławę dzięki roli w głośnym historycznym serialu telewizyjnym.

- Nie spodziewałem się, że panią tutaj zobaczę - wyznał Taszkow. - Gdyby mi ktoś powiedział, że Żanna Doroszenko zajęła się działalnością dobroczynną, pomyślałbym raczej, że założyła pani fundację w celu wspierania artystów czy teatrów albo coś w tym rodzaju.

- Nie wspieram artystów i teatrów, tylko pokrzywdzone dzieci. Nie powinno to pana dziwić. Dla większości ludzi jestem aktorką, którą znają z filmów w telewizji, a przecież przez całe życie pracowałam w teatrze dla dzieci tutaj, we Lwowie. Często dawaliśmy dobroczynne przedstawienia dla sierot, dzieci z domów dziecka i internatów, dla niepełnosprawnych. Bardzo dobrze znam więc problemy nieszczęśliwego dzieciństwa. - Doroszenko smutno się uśmiechnęła. - A gdy zaczęliśmy dawać coraz mniej dobroczynnych przedstawień, gdy coraz rzadziej zapraszano nas na występy w szpitalach i domach dziecka, zadałam sobie pytanie: czy pokrzywdzonych dzieci jest u nas coraz mniej? Czy nie ma już dzieci, które potrzebują naszej sztuki, ale które nie mogą zapłacić za bilety na przedstawienie? Pewnie domyśla się pan odpowiedzi. Okazało się, że dzieci jest nadal dużo, tylko nagle stały się nikomu niepotrzebne. Państwu nie wystarcza pieniędzy na ich utrzymanie. I to wszystko. Ale to sentymenty. Z czym właściwie pan do mnie przychodzi?

- Chciałem porozmawiać z panią o domu dziecka w Karpatach, niedaleko Kosowa.

- Wiem. - Doroszenko skinęła głową. - Jest taki dom dziecka, a raczej był. Dzieci rozparcelowano gdzie popadnie, a wszyscy mieszkańcy osady zostali bez pracy. Przecież pracownicy domu dziecka mieszkali przeważnie w osadzie - wychowawcy, lekarze, kucharki, sprzątaczk i cała reszta. Nie wyobrażam sobie, z czego teraz żyją, nie ma tam żadnego przemysłu i

trudno o jakikolwiek zarobek. Handlują owocami z własnych sadów albo zajmują się przemysłem, ponieważ mieszkają w pobliżu granicy. Więc co chciał pan powiedzieć o domu dziecka?

- W pełni podzielałam pani troskę - bardzo poważnie odrzekł Taszkow - i chcę sprawić, żeby dom dziecka został na nowo otwarty.

- I jak pan zamierza to zrobić? - Doroszenko uniosła ładne brwi. - Samym entuzjazmem?

- Niezupełnie. Udało mi się dowiedzieć, że posiadłość wydzierżawiono na okres trzech lat. Minął dopiero rok. Pierwsza rzecz, którą należy zrobić, to wykupić posiadłość.

- Co to znaczy wykupić? Przecież sam pan powiedział, że została wydzierżawiona. A więc zawarto umowę i przed upływem trzech lat nie da się jej rozwiązać.

- Da się, Żanno Pietrowno. Każdą umowę można rozwiązać. Inna rzecz, że przedterminowe rozwiązanie umowy łączy się z koniecznością zapłacenia wysokiej kary umownej. Ale to już kwestia pieniędzy, a nie możliwości.

- Fundacja nie dysponuje takimi pieniędzmi. - Doroszenko westchnęła. - Jesteśmy niestety biedni, chociaż coś oczywiście próbujemy zrobić. Pański pomysł nie ma więc racji bytu.

- Pieniądze są. Wystarczy, żeby zapłacić karę umowną. Co więcej, wystarczy nawet na to, żeby zainwestować w rentowne przedsiębiorstwo i czerpać pokaźny dochód, który pozwoli utrzymać dzieci w domu dziecku i opłacić personel.

- Skąd te pieniądze? Z jakiegoś nieczystego interesu?

- To moje pieniądze.

- Jest pan filantropem? Cichym milionerem?

- Niechże się pani zlituje, Żanno Pietrowno, jestem zwyczajnym rosyjskim milionerem, wcale nie cichym. Moje pieniądze są absolutnie uczciwe, mogę zdać pani sprawozdanie z każdego rubla. Skoro to panią interesuje, wyjaśniam: pieniądze pochodzą ze spadku, który kiedyś otrzymałem i którego przez te wszystkie lata nie ruszyłem. Mam na myśli to, że nie wydałem ani kopiejki. Zrobiłem jednak wszystko, żeby się pomnażał. Chyba pani słyszała o pisarzu Michaile Bogatowie?

- Oczywiście. - Doroszenko wzruszyła ramionami. - To klasyk literatury radzieckiej, przerabialiśmy jego utwory w szkole. Zresztą prawie wszystkie zostały przeniesione na ekran. Grałam nawet w dwóch ekranizacjach jego powieści w telewizji ukraińskiej. Dlaczego pan wspominał o Bogatowie? Przecież dawno umarł. Chyba zginął w wypadku, jeżeli się nie myłę.

- Ponieważ jestem jego spadkobiercą. W chwili śmierci Michaił Fiodorowicz był mężem mojej matki i niesłychanie zamożnym człowiekiem. Odziedziczyłem wszystkie jego pieniądze. Później zaczęły napływać honoraria za liczne wznowienia w naszym kraju i za granicą, więc może pani sobie wyobrazić, jakie kwoty wchodzą w grę. Powinno wystarczyć, żeby otworzyć na nowo dom dziecka i postawić go na nogi, jeżeli będzie pani umiała właściwie gospodarować pieniędzmi.

- Kuszące. I co pan chce w zamian?

- W zamian? Nic. Zupełnie nic. Proszę to uważać za wpłatę na rzecz działalności dobroczynnej.

- Aleksandrze Iwanowiczu, oboje jesteśmy dorośli i wiemy, że bezinteresowna dobroczynność nie istnieje. Zmieniły się czasy i ludzie. Co pan na tym zyska? Niech pan weźmie pod uwagę, że póki nie zrozumie pańskich intencji, nie przyjmę propozycji. Jest pan obywatelem Rosji, więc dlaczego postanowił pan uszczęśliwić swoim szerokim gestem akurat ukraińskie dzieci? Czyżby w Rosji nie było ani jednego pokrzywdzonego dziecka?

- Mam wrażenie, że szuka pani jedynie pretekstu do odmowy. Nie myłę się?

- Myli się pan - surowo odparła Doroszenko. - Nie pragnę odrzucić pańskiego daru, bo co tu ukrywać, jest nam bardzo potrzebny. Poza tym problem domów dziecka jest rzeczywiście palący. Nie mogę jednak ryzykować dobrego imienia fundacji. Jeżeli okaże się, że jest pan jakimś aferzystą...

- Żanno Pietrowno, niech mi pani wierzy, że w tym, co proponuję, nie ma niczego niezgodnego z prawem i noszącego przestępczy charakter. Proponuję pani czyste, uczciwe pieniądze. Chcę, żeby w posiadłości jak najszybciej pojawili się oficjalni przedstawiciele fundacji razem z władzami Zakarpacia i rozwiązali problem przedterminowego rozwiązania umowy.

Tak, nie myli się pani, mam pewne warunki, na których przekażę pani pieniądze, ale to tylko warunki, a nie korzystny interes.

- Jakie warunki ma pan na myśli?

- Należy zrobić wszystko, żeby najemcy jak najszybciej opuścili posiadłość. Jak pani słusznie zauważyła, jesteśmy oboje dorośli i nie możemy udawać, że nie wiemy, iż za wykwaterowanie dzieci z posiadłości i zawarcie umowy dzierżawy zapłacono olbrzymie łapówki i w Kijowie, i we Lwowie, i na Zakarpaciu. Ludzie, którzy je przyjęli, będą walczyć do upadłego, żeby nie dopuścić do rozwiązania umowy, zwłaszcza że dzierżawcy zaczną ich naciskać. To bardzo poważna sprawa, Żanno Piet- rowno, która mi się nie podoba. Nie podoba mi się, gdy jacyś bandyci i łapówkarze rozwiązują swoje problemy kosztem osieroconych dzieci. Proszę uznać, że taki mam kaprys. Nie wydałem ani kopiejki ze spadku po pisarzu Bogatowie, ponieważ chciałem zainwestować pieniądze w taki sposób, który nie przyniósłby mi wstydu przed Michałem Fiodorowiczem. Czytała pani jego książki i nawet występowała pani w filmach nakręconych na podstawie jego powieści, więc powinna pani się orientować, że Bogatow postąpiłby podobnie. Miał ponadprzeciętne poczucie sprawiedliwości i ogromnie kochał dzieci.

Taszkow kłamał jak najęty i sam się sobie dziwił, skąd bierze argumenty. On również przerabiał w szkole wiekopomne utwory klasyka literatury radzieckiej i po lekturze jego powieści pozostało mu wrażenie nudy i socrealistycznej pozłoty. Nie widział w nich żadnego szczególnego poczucia sprawiedliwości ani miłości do dzieci. W dodatku ten „głosiciel sprawiedliwości i szczęśliwego dzieciństwa” nie cofnął się przed tym, żeby ożenić się z kobietą, która porzuciła swoje dziecko. Ale to było nieważne. Ważne było to, że zrozumiał Żannę Piet- rownę Doroszenko, wyczuł ją, jej sposób myślenia, i teraz dokładnie wiedział, jakich słów użyć, żeby osiągnąć swój cel.

- Chciałbym, żeby pani nie podawała mojego nazwiska do publicznej wiadomości. Nie wiem, jak u was, ale u nas w Rosji ujawnienie własnego stanu majątkowego bywa niebezpieczne.

Gdy opinia publiczna dowie się, że przekazałem tak wielkie pieniądze na cele dobroczynne, różnego rodzaju kanale i szantażyści nie dadzą mi spokoju, sądząc, że oddałem na dom dziecka zaledwie niewielką część, a resztę ukryłem. Nie dam rady udowodnić, że oddałem wszystko co do kopiejki. Nikt mi po prostu nie uwierzy.

- Oczywiście. - Doroszenko potakująco skinęła głową. - Jeżeli takie jest pańskie życzenie...

Taszkow domyślił się, że złamał opór wynikający z całkiem zrozumiałej podejrzliwości wobec filantropa. Teraz sprawa nabierze rozpędu.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył Miron, gdy wszedł rano do pokoju Nataszy, były trzy grube zeszyty z przekładem książki Ducroix. Był to cios poniżej pasa. Czyżby znowu fiasko? Znowu im się nie udało, książkę znaleziono i przywieziono tutaj, a milicja przegapiła posłańca.

Natasza próbowała nad sobą panować, ale Miron widział, że z trudem powstrzymuje się od płaczu. Widocznie również zrozumiała, że ich sprytny plan wziął w łeb.

- O, widzę, że dostarczono ci *Podstawy logiczne współczesnej analizy* - powiedział Miron głośno i radośnie, chociaż ścisnęło go w gardle. - To bardzo dobrze. Zaczęłaś już czytać?

- Jeszcze nie - ledwie słyszalnie odparła Natasza. - Przyniesiono ją przed chwilą, z dziesięć minut temu.

- Najpierw musisz wszystko uważnie przeczytać. Najważniejsze, żebyś rozumiała czytany tekst. Jeżeli poczujesz, że czegoś nie rozumiesz, od razu mnie pytaj, pod żadnym pozorem nie przechodź do następnego twierdzenia, jeżeli nie opanujesz poprzedniego. No to zaczynaj, a ja tymczasem porozwiązuję zadania na komputerze.

- Miron, czy ja naprawdę jestem tak tępa? Wydawało mi się, że wszystko dobrze rozumiem, a ty mówisz, że sobie nie radzę.

- Nie przesadzaj, Nataszo - odparł oschle. - Nie powiedziałem, że sobie nie radzisz, Zwróciłem tylko uwagę, że wielu twierdzeń po prostu się nauczyłaś, ale nie wnikałaś w ich istotę. To podejście szkolne i gdybyś miała zdawać egzamin z matematyki na poziomie trzeciego roku studiów, byłoby to zupełnie

normalne. My jednak nie zajmujemy się matematyką szkolną, ale prawdziwą nauką, wielką nauką, rozumiesz? Twoje zdolności pozwalają ci na to. W wielkiej nauce podejście szkolne jest niedopuszczalne. Po przeczytaniu dowodu twierdzenia powinnaś się zdziwić i powiedzieć sobie: „Słusznie, czyż może być inaczej?”. Dopóki jednak mówisz: „Dobrze, zapamiętam to i będę mieć na uwadze”, niczego nie osiągniesz. Z tą właśnie myślą została napisana książka Ducroix. Ma pomóc w spojrzeniu na skomplikowane rzeczy z innego punktu widzenia, podsunąć nową logikę i ułatwić przyswojenie materiału.

W pokoju zaległa cisza, przerywana tylko szelestem przewracanych kartek i delikatnym stukaniem klawiszy. Po chwili Natasza podniosła głowę:

- Miron...

- Tak? Nie rozumiesz czegoś?

- Nie, źle widzę, tekst jest bardzo wyblakły. Przysuń mnie, proszę, bliżej okna.

Miron z trudem powściągnął uśmiech. Książka Ducroix to oczywiście pożyteczna rzecz, ale zupełnie niepotrzebna Nataszy Tieriochinej. Dziewczyna już dawno wszystko opanowała, i to znakomicie. Ale trzeba robić dobrą minę do złej gry, skoro tak usilnie wbijał Wasilijowi do głowy bajeczkę o konieczności szybkiego zdobycia książki. Oni ją zdobyli, więc teraz bądź łaskaw wykorzystać ją dla dobra wspólnej sprawy mającej na celu zademonstrowanie niezwykłych zdolności dziewczyny. Natasza cierpliwie czyta, ale pamięta również o sprawie. Przesunięcie wózka bliżej okna oznacza ulokowanie jej koło Mirona i komputera. Tego dziewczyna się domaga. Brawo.

Miron przesunął wózek i umieścił Nataszę koło siebie, po czym zaczął szybko stukać w klawisze.

„Nie denerwuj się, jeszcze nie wszystko stracone. Musimy trochę poczekać. Może wszystko się udało”.

Natasza wyglądała na całkowicie pogrążoną w lekturze książki.

- Nie rozumiem - powiedziała nagle - ile iteracji trzeba zrobić?

Miron zerknął do książki i przebiegł wzrokiem akapit, który wskazała. O iteracjach nie było tam ani słowa. On jednak

zrozumiał jej pytanie: „Ile trzeba czekać?”. I szybko wystukał odpowiedź na klawiaturze:

„Sądzę, że ze trzy, cztery dni. W tym czasie musimy wymyślić następne posunięcie, jeżeli się okaże, że nie udało się. Tylko się nie załamuj. Wydostaniemy się stąd, obiecuję ci”.

Natomiast głośno powiedział:

- Przeczytaj uważnie poprzednie twierdzenie, tam znajdziesz wytłumaczenie.

Kilka minut później Natasza zamknęła zeszyt z przekładem.

- Przeegzaminuj mnie, proszę. Wydaje mi się, że teraz wszystko rozumiem. Miałaś jednak rację, że po tej książce wszystkie dowody wyglądają zupełnie inaczej.

- Ile przeczytałaś?

- Cały pierwszy rozdział.

Miron otworzył zbiór zadań.

- Rozwiąż zadanie trzysta sześćdziesiąte i trzysta siedemdziesiąte ósme.

Przesunął się nieco, żeby Nataszy było wygodniej posługiwać się klawiaturą. Dziewczyna ćwiczyła pisanie w każdej wolnej chwili, więc teraz słowa pojawiały się na ekranie o wiele szybciej i prawie nie było w nich błędów.

„Chyba mnie pocieszasz. Dzieje się coś strasznego. Będę musiała umrzeć, tak? A ty? Nie myśl, że się boję. Najstraszniejszy jest ból, a ja zniosłam tyle bólu w ciągu ostatnich lat, że się już nie boję. Bardziej nie będzie bolało. A jeżeli nie boli, to się nie boję”.

- Nie - ostro powiedział Miron, któremu zrobiło się zimno na widok słów na ekranie komputera. - Pomyliłaś się. Rozwiązanie nie jest poprawne. Wybrałaś niewłaściwy sposób. Zacznij od początku.

Kliknął myszką i usunął wiersze, które tak go przestraszyły. Natasza odwróciła się do okna i pograżyła w zadumie. Jeżeli w pokoju jest kamera, obserwator może odnieść wrażenie, że dziewczyna zastanawia się nad innym sposobem rozwiązania zadania. Miron zerknął na swoje ręce. Drżały, a właściwie trzęsły się jak pijakowi na kacu. Wsunął dłonie między kolana, pochylił się i zrobił zamyśloną minę. Natasza ma oczywiście

rację. Będzie musiała umrzeć, podobnie jak on, Miron. Tak łatwo ich stąd nie wypuszczą. Ochrona jest zbyt solidna, żeby sądzić, że to tylko niewinna zabawa. Dobrzy pracodawcy. Myślałby kto. Przyjadą, obejrzą utalentowaną dziewczynę, porozmawiają z lekarzem... I co później? Odwiozą ją z powrotem do Moskwy, do szpitala, w którym czekają na nią milicjanci z pytaniami, gdzie była, u kogo, po co? To wykluczone. Albo zabiorą Nataszę zupełnie gdzie indziej, nie żywiąc wobec niej dobrych zamiarów, albo będzie musiała umrzeć. Natomiast los Mirona jest o wiele prostszy, to jasne.

Natasza znowu odwróciła się do komputera, położyła ręce na klawiaturze i zastukała w klawisze.

„Nie musisz mnie pocieszać, wszystko rozumiem. Nie bój się, nie wpadnę w panikę. Dziękuję ci za troskę i za to, że próbowałeś mnie stąd wyciągnąć. To nie twoja wina, że nic z tego nie wyszło. Kocham cię. Chcę, żebyś o tym wiedział”.

Serce ścisnęło mu się ze współczucia dla bezbronnej dziewczyny, która tak niewiele zdążyła przeżyć, a lata, które przeżyła, nie były zbyt radosne. Pewnie ma rację, że mu się nie udało. Trzeba się z tym pogodzić i niepotrzebnie nie łudzić. Muzułmanie są okrutni, więc kto wie, jaką męczeńską śmierć im zafundują, jeżeli postanowią ukarać ich za nieposłuszeństwo i żalosne próby ocalenia życia. Natomiast gdyby udawać, że się niczego nie rozumie, jest nadzieja, że śmierć będzie szybka. Strzał w tył głowy i po wszystkim. No cóż, skoro dziewczynie nie zostało wiele życia, niech będzie szczęśliwa przynajmniej przez ostatnie dni.

„Ja też cię kocham”.

- O, tak będzie lepiej - powiedział, udając, że poprawia jakieś miejsca w jej rozwiązaniu.

„A więc mam rację, będę musiała umrzeć. Inaczej byś mnie nie okłamywał. Nie możesz mnie kochać, przecież jestem przykuta do wózka i nigdy nie wyzdrowieję. Nie musisz się nade mną litować. Kocham cię i to wszystko”.

- Jestem pewna, że teraz wszystko jest dobrze - nieoczekiwanie głośno oznajmiła Natasza. - Mogę przejść do drugiego rozdziału?

- Tak. - Mironowi zadrżał głos. - Teraz wszystko jest dobrze.

Natasza znowu otworzyła przekład i Miron z przerażeniem zobaczył, że na kartki książki kapią łzy. Natasza siedziała cicho, nie szlochała i nic nie mówiła, a przezroczyście łzy spływały ciurkiem po jej bladych, bezkrwistych policzkach. Nagle Mirona zalała fala ogromnej, bezbrzeżnej litości, która zmyła wszelkie wątpliwości i trzeźwe sądy. Owa gorąca fala zalała wielką przepaść, która dzieliła dwudziestodwuletniego zdrowego muzułmanina i nieuleczalnie chorą siedemnastoletnią rosyjską dziewczynę. Nie porzuci jej, nie może porzucić. Albo oboje się uratują, albo umrą. Ale będą razem .do końca.

Nazajutrz po rozmowie z Taszkowem Zoja Smirniagina udała się pod adres, który jej zostawił. Drzwi otworzył jej młody, sympatyczny chłopak.

- Pani do kogo?

- Do Iriny.

- Jest w pracy.

- W pracy? Przecież dzisiaj niedziela. - Zoja się stropiła.

- Ira pracuje codziennie, nie ma wolnego.

- Powie mi pan, gdzie mogę ją znaleźć?

- Jest na sąsiedniej ulicy, w piętnastopiętrowym wieżowcu, moje schody.

- Dziękuję - wybąkała Zoja.

Bez problemu znalazła piętnastopiętrowy wieżowiec na sąsiedniej ulicy, pozostałe bloki było ośmio- i jedenastopiętrowe. Stojąc przed wejściem, Zoja zajrzała do środka przez duże okno i zobaczyła szczupłą, nieładną dziewczynę, która myła podłogę w przestronnym holu. Tuż przy oknie stała ławka. Zoja usiadła na niej tak, żeby widzieć Irę. Raz po raz do budynku wchodzili ludzie, zostawiając brudne ślady na dopiero co wymytej podłodze, a Ira od razu przecierała miejsce, które jeszcze przed chwilą lśniło czystością. Od czasu do czasu prostowała się i zgięta w łokciu ręką wycierała twarz. Początkowo Zoja sądziła, że Ira ociera pot, ale później domyśliła się, że to nie pot, tylko łzy.

Ira skończyła mycie schodów i holu, odniosła gdzieś wiadro i szmaty, po czym wyszła z budynku. Zoja już miała ją zawołać,

ale się rozmyśliła i ruszyła za nią. Dziewczyna dotarła do tego samego domu, w którym Zoja już była, i zniknęła w środku. Pewnie zostanie teraz w mieszkaniu, uznała Zoja, i za jakiś czas będzie ją można odwiedzić. Ira jest czymś zdenerwowana, wciąż popłakuje, więc Zoja nie powinna jej niepokoić od razu po powrocie z pracy. Niech trochę odpocznie, napije się herbaty, uspokoi. Jednakże niebawem Ira znowu pojawiła się na ulicy i skierowała w stronę bazaru. Zoja, sama nie wiedząc po co, ruszyła jej śladem. Pół godziny później zrozumiała, czym Ira Tieriochiną zajmuje się na bazarze. Znalazła ławkę niedaleko budki z gorącymi przekąskami, skąd Ira roznosiła jedzenie i napoje, i postanowiła zaczekać. Czekać musiała długo, aż do czwartej, póki bazar nie zaczął powoli pustoszeć. Wreszcie Zoja zobaczyła, że Ira skierowała się do wyjścia.

- Przepraszam, pani nazywa się Ira? - zapytała, podchodząc do niej.

- Tak, Ira - niezbyt uprzejmie odparła dziewczyna. - Czego pani chce?

- Porozmawiać.

- O czym?

- O pani. I o mnie. I o Waleriju Wasiljewiczu Wołochowie.

Ira momentalnie zmieniła się na twarzy, wyraz niepokoju i wrogości ustąpił miejsca współczuciu.

- Jest pani jego żoną, tak?

- Nie. Może odejźmy stąd, tutaj jest za dużo ludzi.

- Chodźmy - zarządziła Ira, zręcznie lawirując w tłumie, który wciąż jeszcze był dość liczny. - Znam tu jedno miejsce, gdzie można posiedzieć.

Zaprowadziła Zoję na stację kolejki podmiejskiej. Na peronie rzeczywiście znajdowało się sporo ławek, ale wszystkie zajmowali ludzie z torbami i plecakami, czekający na pociąg.

- Niech się pani nie martwi, zaraz wszyscy sobie pojedą. Pociągi kursują często, co dziesięć, piętnaście minut.

Ira miała rację. Najpierw rozległ się gwizd za zakrętem, a później ukazał się pociąg. Ludzie na peronie ożywili się, chwycili swoje torby i tobołki i rzucili się do środka, gdy tylko drzwi wagonów się rozsunęły. Ławki opustoszały, teraz można

było wybrać dowolne miejsce.

- Chodźmy tam, gdzie jest cień - powiedziała Ira, pokazując ławkę, przy której znajdowało się drzewo. Właściwie rosło za peronem, ale było tak wysokie i krzywe, że jego gałęzie zwisały nad ławką, chroniąc ją przed palącym słońcem.

Gdy usiadły, Zoi nagle zabrakło odwagi i nie wiedziała, jak zacząć rozmowę i czy ona w ogóle ma sens. Co może powiedzieć tej dziewczynie i o co ją zapytać? Ale Ira pierwsza przerwała niezręczne milczenie.

- Już pani wszystko wie o Wołochowie?

- Tak - krótko odparła Zoja.

- Wie pani, że jest moim ojcem?

- Tak, słyszałam. Iro...

-Co?

- Ciężko się pani żyje?

- Bardzo. Ale nie narzekam, to normalna sprawa. Dam sobie radę. A dlaczego pani pyta?

- Sama nie wiem. Przepraszam, pewnie wydaję się pani głupia. Bo widzi pani, spodziewam się dziecka.

- Jego?

- Tak. I nie wiem, co robić.

Ira odwróciła się ku niej i spojrzała zdziwiona.

- A co może pani zrobić? Urodzić.

- No ale jak... Przecież teraz znam prawdę. I się boję.

- Boi się pani? Czego? Ach tak, rozumiem, jest pani taka sama jak moja mama, też pani myśli, że jego dzieci to potwory. Nigdy jej nie wybaczę tego, co zrobiła. Słyszała pani o nas?

- Tak, wiem o wszystkim.

- Pani dziecko również nie wybaczy, jeżeli je pani zabije - bardzo poważnie oznajmiła Ira. - Niech pani nie popełnia grzechu. Jak pani na imię?

- Zoja.

- Od dawna go pani zna?

- Niecałe dwa lata.

- Żal mi pani, bardzo żal.

Ira ostrożnie chwyciła jej dłoń i niezręcznie pogłaskała.

- Niech się pani niczego nie boi, Zoju. Niech pani urodzi

dziecko. Ja pani pomogę.

- Jak może mi pani pomóc? - Zoja gorzko się uśmiechnęła. -- Sama potrzebuje pani pomocy.

- Niczego nie potrzebuję - nagle burknęła dziewczyna. - Ani nikogo. Sama sobie poradzę. A jeżeli będzie pani ciężko z dzieckiem, pomogę. Może będzie chorowało na to samo co ja i moje młodsze rodzeństwo, więc podpowiem pani co i jak. Niech pani na mnie nie patrzy, wyglądam okropnie i jestem niewykształcona, ale pani dziecko będzie inne. Gdyby pani widziała moją Natkę! Jest śliczna jak jakaś gwiazda filmowa. W dodatku mądra i bardzo zdolna. Pani również będzie dumna ze swojego dziecka. Niech pani nie myśli o złych rzeczach.

- Czemu mnie pani namawia? - zapytała Zoja ze znużeniem. - Co pani z tego przyjdzie?

- Proszę. - Ira błagalnie spojrzała jej w oczy. - Niech pani urodzi dziecko. Przecież ja zupełnie nikogo nie mam.

Nagle Zoja ją zrozumiała. Dziewczyna jest ogromnie samotna, więc próbuje, wprawdzie niezręcznie, stworzyć choćby namiastkę rodziny. Dlatego proponuje Zoi swoją pomoc. Ira i przyszłe dziecko mają wspólnego ojca, są więc niejako spokrewnieni. A Zoja, matka dziecka, to prawie jak krewna. Ira pragnie, żeby jej rodzina składała się nie tylko z bezradnych inwalidów, którymi ciągle trzeba się opiekować. Pragnie normalnego życia; pragnie, żeby ktoś do niej dzwonił i ją odwiedzał i żeby ona też miała dokąd pójść w święta albo na urodziny Nie do szpitala, ale do zwyczajnego domu. Żeby mogła przynieść prezent i usiąść przy odświętnie nakrytym stole. Taszkow opowiadał, że jego kolega, wykonując jakieś swoje zadania, poznał Ire, uwiódł ją iluzją ciepłych ludzkich relacji, a później zginął. Ale nawet gdyby nie zginął, i tak nic by z tego nie wyszło, bo dla niego to była tylko praca. Związek wynikający z konieczności służbowej. Biedna dziewczyna.

Zoja zdecydowanie podniosła się z ławki.

- Dziękuję pani, Iro.

- Za co?

- Za pocieszenie i za to, że zaproponowała mi pani pomoc. Jest pani wspaniałym człowiekiem. Życzę pani dużo szczęścia.

-To znaczy, że nie rozmyśliła się pani w sprawie dziecka? Nie urodzi go pani?

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Proszę mi wybaczyć. Do widzenia.

Odwróciła się i szybko ruszyła w stronę wyjścia.

Rozdział 20

Ajaks lubił, żeby mieszkanie było urządzone wygodnie i ze smakiem. Dawno już zrozumiał, że nie ma sensu irytować się i złościć, gdy coś się nie podoba albo nie przypada do gustu, skoro istnieje tak wspaniała rzecz jak pieniądze. Pieniądze mogą rozwiązać każdy problem i usunąć każdą przeszkodę. Dlatego swoje moskiewskie mieszkanie urządzał cierpliwie i z pasją, projektując wszystko według własnego upodobania. Później zabrał się do daczki. Teraz i mieszkanie, i daczka całkowicie odpowiadały jego wysokim wymaganiom, więc Ajaks spędzał czas w komfortowych warunkach zarówno w Moskwie, jak i za miastem. Był miłośnikiem życia rodzinnego, gorąco kochał żonę i syna, a także ubóstwiał matkę mieszkającą na ciepłej i świetnie wyposażonej daczce, którą odwiedzał z wielką przyjemnością. Matka nie miała pojęcia, czym zajmował się jej zmarły mąż, a także jedyny syn, a dobrobyt traktowała jako dowód, że jej chłopcu udało się szczęśliwie zaadaptować w nowych warunkach ekonomicznych.

Gdyby pominąć proislamskie przestępcze rzemiosło Ajaksa, był on człowiekiem, ogólnie rzecz biorąc, miłym pod każdym względem i miał mnóstwo przyjaciół. Byli też tacy, którym wyświadczył wiele przysług i którzy uważali się za jego dłużników. Patrząc na uśmiechniętą twarz i w pogodne oczy Ajaksa, nikomu nie przyszłoby do głowy, że beznamiętnie zleca on zabójstwa, a dwie młode dziewczyny, obdarzone niezwykłymi zdolnościami, traktuje cynicznie, jak towar, który należy dobrze zaprezentować, żeby na nim zarobić.

Ajaks wysłał żonę i syna na trzy tygodnie do Francji, na Lazurowe Wybrzeże, a sam w tym czasie przyjeżdżał codziennie do matki na daczę, gdzie czekała na niego gorąca, smaczna kolacja, długi, ciepły wieczór z niespiesznymi rozmowami na odkrytej werandzie i herbata z konfiturami wiśniowymi, które

Ajaks lubił od dziecka. Dzisiaj również był tutaj i przystąpił już razem z matką do tradycyjnego picia herbaty, gdy olbrzymi owczarek, do tej pory leżący posłusznie przy nogach pana, nagle się podniósł i nerwowo zastrzygł uszami.

- Greta się niepokoi - zauważyła matka. - Pewnie znowu ktoś się kręci przy furcie.

- Zobaczą. - Ajaks wstał i narzucił kurtkę na ramiona. - Chodźmy, Greto, sprawdzimy, kto się tam włóczy.

Podszedł do furki w towarzystwie owczarka i od razu zobaczył gościa, który rozglądał się po okolicy z obojętną miną.

- Szuka pan kogoś? - dobrodusznie zapytał Ajaks, nie wychodząc za ogrodzenie.

Pytanie zostało zadane dla zachowania pozorów, ponieważ znał gościa z widzenia. Mężczyzna nieraz był łącznikiem między Ajaksem i Czeczeńcami.

- Mam panu przekazać, że za trzy dni zaczną się działania bojowe, tak więc schronienie w górach może się przydać.

- Dobrze, zrozumiałem. Coś jeszcze?

- To wszystko.

Ajaks bez pośpiechu zawrócił ku domowi. Greta truchtała obok niego, co chwila oglądając się z niezadowolaniem w tamtą stronę, gdzie stał obcy.

A więc za trzy dni w Czeczenii rozpoczną się intensywne walki. I jeżeli któryś z przywódców opozycji albo wpływowych dowódców zostanie ranny, trafi do willi w Karpatach, gdzie ludzie Ajaksa zapewnią mu wysoko kwalifikowaną pomoc medyczną i należytą opiekę w warunkach pełnego bezpieczeństwa. Właściwie w tym celu rok temu wydzierżawiono willę. W Karpatach jest pełno małych lotnisk, na których może wylądować samolot z rannymi, a wszystkie kwestie organizacyjne znajdują się pod kontrolą pułkownika Ucijewa, które całe życie służył w Karpackim Okręgu Wojskowym i miał tam pewne, skorumpowane kontakty. Do willi dostarczono najnowszą aparaturę, jest tam wspaniała sala operacyjna i naszpikowana elektroniką sala intensywnej terapii. W tych warunkach lekarze postawią na nogi osobę z najcięższymi urazami, byle tylko dotarła do nich żywa.

Niezwłoczny przerzut lekarzy również został przygotowany, lekarze byli zawczasu wybrani i gotowi w każdej chwili jechać na lotnisko. Wiele razy bywało, że podawano oficjalny komunikat o śmierci jakiegoś bojownika podczas działań wojennych w Czeczenii, a pół roku później delikwent wracał na arenę cały i zdrowy. I nikt nie potrafił odgadnąć, gdzie był przez te pół roku i dlaczego poinformowano o jego śmierci, natomiast sam zmartwychwstały tylko uśmiechał się znacząco i bąkał coś o woli Allaha.

Za trzy dni. To znaczy, że za trzy dni w willi nie powinno być nikogo obcego. Ani Nataszy, ani Asłan-beka Ucijewa, syna pułkownika, ani lekarza z Iranu. Tylko Wasilij i pielęgniarka Nadia. No i ochrona, ma się rozumieć. Sprawa musi zostać załatwiona w ciągu tych trzech dni.

- Kto to był, synku? - niespokojnie zapytała matka, gdy Ajaks wspiął się na werandę.

- Jakiś facet zablądził, pytał o drogę na stację. Mamo, zrobmy sobie jeszcze herbatki, bo ta już wystygła.

- Zaraz podgrzeję wodę. - Kobieta ochoczo wstała.

- Siedź, siedź. - Ajaks uśmiechnął się ciepło. - Sam to zrobię. Od razu nakarmię też Gretę. Chodź, kochanie. - Poklepał owczarka po głowie, a ten błogo zmrużył oczy.

- Idziemy do miski.

Gdy tylko Ajaks znalazł się w kuchni, szczelnie zamknął za sobą drzwi, nalał wody do czajnika i postawił go na kuchence, po czym wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

- Niech pan się połączy z Polluksem - powiedział półgłosem - i przekaże mu, że eksperci mogą przyjechać w ciągu trzech dni. Czy to jasne? W ciągu trzech dni, nie później. Później niech nie przyjeżdżają. Za trzy dni eksponat kontrolny zostanie zniszczony.

Greta ze zdziwieniem i przykrością spoglądała na pana, który wypowiedział bezcenne słowo „miska”, ale nie kwapił się, żeby do niej czegoś nasypać. Po co ją wołał? Stoi na środku kuchni, mówi do tajemniczego czarnego pudełka jakieś niezrozumiałe słowa i nawet nie spojrzy w tamtą stronę, gdzie znajduje się jaskrawa torba, z której zwykle wysypują się takie smaczne,

słonawe kawałki karmy. Szkoda, że Greta nie została ze starą panią. Choć nie kocha jej tak jak pana, zawsze dostaje od niej smaczne kąski.

Greta usiadła przy nogach pana i utkwiała w nim wzrok, ale Ajaks jakby o niej zapomniał. Znowu naciskał guziki czarnego pudełka.

- Jeżeli w ciągu trzech dni eksperci nie przyjadą, pozbadźcie się towaru, nie możemy go dłużej przechowywać. Za trzy dni zaczną zjeżdżać się goście, trzeba zwolnić dla nich miejsce i zapewnić prywatność. Co? Wszystko jedno, to nie moja sprawa. Oczywiście, tylko się przyłóżcie. Syn? Z nim nie będzie problemów, pułkownik wszystko zrozumie. Tak, oczywiście, jego też. Do zobaczenia.

Ajaks się rozłączył, wsunął telefon do kieszeni i sięgnął po jaskrawą torbę z karmą dla psów.

- No co, kochanie - mówił, podczas gdy kawałki chappi z przyjemnym szelestem sypały się z torby do miski - zgłodniałaś? Pan cię nie karmi? Ach, co za drań, ach, co za niegodziwiec z niego, zupełnie zapomniał o swoim piesku, ciągle zajęty jakimiś sprawami. No nie gniewaj się, moja kochana. Jedz na zdrowie.

Greta dobrze wyczuła intonację i zrozumiała, że pan nie karmił jej nie dlatego, że zrobiła coś niewłaściwego i zawiniła. To było najważniejsze. Prawa psiej wierności nakazywały nie przeciwstawiać się woli pana. Greta posłała Ajaksowi spojrzenie pełne niemego uwielbienia i polizała go w rękę.

Aleksander Taszkow rozumiał siłę pieniędzy, jak wiadomo, już dawno, chociaż samego mechanizmu nie opanował, po prostu przyjął fakt jako pewnik. Wiedział, że bardzo wiele przestępstw popełnia się dla pieniędzy, nawet jeżeli ryzyko zdemaskowania ze wszystkimi nieprzyjemnymi konsekwencjami jest niezmiernie wysokie. Z jakiegoś powodu w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto pragnienie zdobycia pieniędzy pokonywało każdy strach.

Aleksander trzeźwo oceniał sytuację dotyczącą rozwiązania umowy dzierżawy i wiedział, że jeżeli załatwiono ją, płacąc wysokie łapówki, osoby, od których zależy cała ta papierkowa

mitręga, nie wycofają się tak łatwo ze swoich powinności wobec dzierżawców. Gdyby nie brakowało czasu, można by było z pomocą fundacji Szczęśliwe Dzieciństwo zorganizować w miejscowej prasie potężną kampanię, podkreślić nastroje, zmobilizować opinię publiczną, po czym potrząsnąć pięścią i zażądać przedterminowego rozwiązania umowy, wyrażając gotowość zapłacenia każdej kary, ponieważ interesy sierot są ważniejsze. Można by nawet spróbować udowodnić, że umowa jest nieważna. W obliczu takiego zagrożenia urzędnicy, od których zależy los umowy, nie byłiby w stanie długo się sprzeciwiać, nie mieliby argumentów w obronie dzierżawcy. Jednakże na to potrzeba trzech, czterech miesięcy. Taszkow nie miał aż tyle czasu.

Jedynym sposobem wywarcia nacisku na tych, od których zależało szybkie załatwienie sprawy, była łapówka nie mniejsza od tej, którą już otrzymali od najemców. Wręczanie łapówek to oczywiście brzydka rzecz. Taszkow tego nie kwestionował, po prostu dał łapówkę, dał z pieniędzy otrzymanych w spadku po klasyku literatury radzieckiej Michaił Fiodorowicz Bogatowie. Zrobił to, ma się rozumieć, nie sam i nie wprost. Operację przeprowadzono zgrabnie, a nawet w pewnym sensie inteligentnie, lecz zarazem dość stanowczo, żeby łapówkarzom nie przyszło do głowy się wykręcić i grać jednocześnie na obie strony. Urzędnicy byli pewni, że trafili w łapy jeszcze potężniejszej grupy mafijnej, która wie o nich wszystko, wszędzie ich dopadnie, jeżeli coś pójdzie nie tak, i która pragnie wyrównać swoje rachunki z dzierżawcami.

Najbardziej przerażało ich to, że musieli oficjalnie stawić się w willi dawnego domu dziecka i powiadomić dzierżawców o konieczności pilnego opuszczenia budynku. Co innego przygotować dokumenty u siebie w gabinecie i złożyć na nich wszystkie niezbędne podpisy, a zupełnie co innego spojrzeć w oczy tym, od których wzięło się pieniądze i których, mówiąc delikatnie, się wykiwało, połączony się na większą kwotę. Co tu dużo mówić, zadanie było mało przyjemne.

Poniesiono również pewne koszty w związku z organizacją pikiet. Z całej okolicy zebrano mieszkańców, wręczono im

transparenty z napisami „Dom dziecka dla dzieci!” i „Precz z obcymi w domu dziecka!”, po czym wyjaśniono, jak i co należy robić. Demonstranci mieli zapewnić urzędnikom wsparcie moralne i wystąpić jako żywy argument na rzecz szybkiego rozwiązania umowy.

- Nie chcieliśmy pana przedwcześnie niepokoić. Sądziliśmy, że wszystko skończy się na rozmowach - tłumaczył dzierżawcy przedstawiciel miejscowych władz. - Ale widzi pan, jak się wszystko obróciło. Nic nie mogę z tym zrobić, umowa dzierżawy została zawarta z naruszeniem prawa i z pominięciem zasad, to dla pana nie nowość. Mogliśmy wydzierżawić willę tylko na krótki okres, pod warunkiem natychmiastowego opuszczenia budynku przez najemców, gdy tylko pojawi się możliwość finansowania instytucji dla dzieci. Odstąpiliśmy od zasady, zawarliśmy z panem umowę na trzy lata, ponieważ byliśmy pewni, że w ciągu trzech lat pieniądze na dom dziecka się nie znajdą. Ale się znalazły. Już i tak mamy duże nieprzyjemności z powodu trzyletniego okresu umowy. Niech mi pan wierzy, że zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy w obronie pańskich interesów, ale niestety.

Taszkow stał w tłumie mieszkańców odgrywających rozgniewaną społeczność i uważnie studiował okolicę. Betonowe ogrodzenie willi było wysokie, więc Aleksander, wcielając się w rolę entuzjasty aktywisty, wspiął się na dach autobusu, który przywiózł demonstrantów, i podniósł transparent wysoko nad głowę. Wprawne oko co rusz wychwytywało z brązowo-zielonego masywu leśnego, otaczającego budynek, ruchome obiekty. Tak, ochroniarzy jest tu całe mrowie. A najgorsze jest to, że pełnią służbę nie tylko po tamtej stronie betonowego ogrodzenia, na terenie posesji, ale i na zewnątrz, na zboczu góry. Poważni ludzie z tych dzierżawców. W razie operacji siłowej straty będą niemałe. Słusznie zrobił, że uruchomił pieniądze Bogatowa. Jeżeli można obejść się bez przelewu krwi, warto to zrobić, bez względu na koszty. Szkoda tylko, że nie wszyscy szefowie to rozumieją.

Wasilij Ignatjewicz nie wyszedł przed dom, żeby odprowadzić gościa. Rozgrywające się wydarzenia spadły na niego jak grom z jasnego nieba. Że też wszystko nastąpiło jednocześnie: Ajaks dał rozkaz pozbycia się za trzy dni dziewczyny i Mirona, a tu jeszcze dodatkowy kłopot. Z trzech przydzielonych dni minęło półtora, ale na razie nie da się niczego przedsięwziąć, bo mogą przyjechać eksperci. Trzeba im pokazać żywą Nataszę, a nie jej martwe ciało. To nic, może do rana wszystko się ułoży.

Jednakże sprawa przybierała zupełnie niepomysłny obrót. Po wyjeździe urzędnika demonstranci się nie rozeszli, na co liczył Wasilij, lecz wciąż stali wokół willi, nie wykazując najmniejszej chęci, żeby się wycofać. A gdy zaczęło się zmierzchać, wyciągnęli z autobusu namioty i zaczęli rozpalać ogniska z wyraźnym zamiarem przygotowania posiłku. Czyżby zamierzali tutaj nocować? Co za idiotyzm. Wasilij wziął głęboki oddech i wyszedł przed bramę.

- Obywatele - powiedział głośno, starając się wyglądać na pewnego siebie - zabierzcie swoje rzeczy i rozejdźcie się do domów. Przedstawiciel wiaźdz powiadomił mnie o podjętej decyzji, a ja się z nim zgadzam i niczego nie kwestionuję. Dostałem tydzień na to, żeby wywieźć majątek i opuścić willę. Obiecuję, że za tydzień już nas tutaj nie będzie. Wasza demonstracja nie ma sensu, nikt nie musi o niczym mnie przekonywać. Rozwiązaliśmy wszystkie problemy.

W odpowiedzi rozległa się wrzawa, nad tłumem wzniosły się nowe transparenty, których Wasilij nie widział za dnia. „Precz z ukraińskiej ziemi, kacapy!”, „Ukraińskie ziemie dla Ukraińców!”.

- Zostaniemy, póki się stąd nie wyniesiecie!

- Nie wierzymy wam!

- Wynoś się z willi, ona należy do dzieci!

- Zapasiony kacap, utuczyl się na ukraińskim chlebie!

- Wynocha stąd, pókiś cały! Nie mamy gdzie pracować przez takich jak ty!

Okrzyki stawały się coraz bardziej agresywne, więc Wasilij zrozumiał, że drogą pokojową niczego nie osiągnie. Przecież jednak nie każe strzelać do tłumu. Jego nazwisko figuruje we

wszystkich dokumentach dotyczących dzierżawy, więc jeżeli któryś z demonstrantów ucierpi, on pierwszy zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

- O co wam chodzi? - zapytał głośno, starając się nie tracić zimnej krwi. - Dlaczego się nie rozejdziecie?

- Zamierzamy cię przypilnować - rozległ się głos z tłumu. - Przyjrzymy się, co wywozisz. Sprawdzimy wszystkie samochody, żebyś nie zwędził czegoś należącego do domu dziecka. No dalej, ruszaj pakować manatki.

Tego już było za wiele. A więc nie uda się stąd wywieźć Nataszy, ani żywej, ani martwej. Można oczywiście wypuścić samochody pod eskortą ochroniarzy i nie zezwolić na kontrolę, ale ochroniarzy Wasilij ma takich, że każdy od razu pozna, jakiej są narodowości. Tego jeszcze brakowało, żeby rozeszły się słuchy, że w Karpatach osiedlili się uzbrojeni Czeccy. Za naruszenie poufności Ajaks urwie mu głowę.

Nie ma wyjścia, trzeba będzie poczekać, aż upłyną trzy doby, i rozwiązać problem z Nataszą i Mironem na miejscu. Chociaż po jakie лихо czekać? Należy pilnie odwołać przyjazd ekspertów. Tłum ich nie przepuści, a jeżeli nawet przepuści, to informacja o przybyciu cudzoziemców od razu dotrze tam, gdzie nie powinna.

Wasilij wrócił do domu i wezwał do siebie Marata, szefa ochrony, rosłego, atletycznego faceta z twarzą zarośniętą brodą po same oczy.

- Trzeba jak najszybciej załatwić sprawę, bo nie dadzą nam spokoju. Dzisiejszej nocy zrób, co trzeba, i będziemy się zwijali.

- Ci ludzie będą tak sterczeć wokół willi?

- Wygląda na to, że tak. Nie zamierzają się rozejść i w ogóle zachowują się wyjątkowo nieprzyjaźnie. Nie możemy drażnić tych drani, to nie Rosja. Tutaj i wy, i my jesteśmy tak samo obcy i niemiłe widziani. Ukraina nie bierze udziału w wojnie. Tak więc nie będziemy się narażać.

- A co na to Ochrimienko? Jak mógł na to pozwolić?

- Jak, jak... Pozwolił i już. Głupiec z niego. Okazuje się, że niezadowolenie rosło powoli, a on, zamiast zareagować i podjąć działania, miał nadzieję, że wszystko samo się uspokoi i

rozejdzie po kościach. O czym teraz dyskutować? Dyskutować należało wcześniej, gdy można było coś jeszcze zrobić, zapobiec. A teraz trzeba będzie dostosować się do tego, co się już stało. Krótko mówiąc, dziewczynę i syna pułkownika należy sprzątnąć po cichu, dłużej nie są potrzebni, przy ewakuacji będą zbędnym ciężarem. Można to zrobić jedynie w nocy, gdy nic nie widać. Odetniesz oświetlenie zewnętrzne.

- A więc oboje?

- Po co pytasz? - Wasilij się zirytował. - Raz usłyszałeś i powinno ci wystarczyć. Wykonaj rozkaz. Tylko zachowaj ostrożność.

Szef ochrony w milczeniu wyszedł z pokoju. Zmierch szybko gęstniał. Wasilij Ignatjewicz niespokojnie wpatrywał się w tłum otaczający posiadłość. Z okna na drugim piętrze, gdzie znajdował się jego pokój, dobrze było widać, jak ludzie rozbijają namioty i krzątają się wokół ognisk. To chyba doświadczeni demonstranci, ponieważ są dobrze zorganizowani. Z ogółu protestujących wydzielono grupę „nacisku moralnego”, która stała z transparentami i skandowała chórem hasła. Teraz, gdy pierwsza zmiana skończyła kolację, grupy się wymieniały. Ludzie przekazywali transparenty tym, którzy już zjedli, i podchodzili do ogniska. Zdaje się, że zamierzają nękać mieszkańców bez przerwy przez całą noc. Ale to wcale nie jest takie złe. Własne histeryczne okrzyki nie pozwolą im usłyszeć tego, czego nie powinni usłyszeć.

Zrobiło się jeszcze ciemniej. Szef ochrony wykonał rozkaz i nie włączył oświetlenia wzdłuż ogrodzenia i na dachu domu. Nagle Wasilij usłyszał warkot silnika, a chwilę potem zobaczył, jak do tłumy podjechała nieduża ciężarówka. Natychmiast od jednego z ognisk oderwała się grupa mężczyzn i parę minut później było jasne, że przywieziono akumulatory, do których podłączano potężne jupitery. Minęło jeszcze trochę czasu i willę zalało jaskrawe, oślepiające światło.

- A to gnojki - zaklął półgłosem Wasilij. - Dopięli swego. Ciekawe, co oni tutaj chcą wypatrzeć.

Mężczyzna wyskoczył na korytarz.

- Znaleźć mi Marata, to pilne! - rzuci! ochroniarzowi dyżurującemu na piętrze.

Szef ochrony pojawił się jakieś pięć minut później, akurat skończył kolację.

- Wróc na razie - burknął Wasilij. - Za dużo światła.

- Można ustawić snajpera i powystrzelać tę ich aparaturę - zaproponował Marat. - Pewnie nie mają zapasowych jupiterów.

- Oszalałeś! Jesteśmy spokojnymi dzierżawcami, skąd możemy mieć snajperów? Zachciało ci się skandalu? Jeżeli pozwolimy sobie choćby na jeden strzał, jutro zjawią się tu wszyscy, i milicja, i kontrwywiad, i Ministerstwo Obrony, i prasa. Zachciało ci się światowej sławy, bęcwale? Siedzieć cicho i nie wyściubiać nosa! Rano coś nam przyjdzie do głowy. Ochrimienko powiedział, że mamy tydzień. Przez tydzień coś wymyślimy. Najważniejsze to nie zdradzić, ilu nas jest. Jak wytłumaczysz, dlaczego na jednego dzierżawcę, to znaczy mnie, przypada pięćdziesięciu uzbrojonych Czeczeńców? Nadia to nie kłopot, powiemy, że to personel. Lekarza też można stąd wywieźć bez problemu. Jeżeli dojdzie do wyjaśnień, dziewczynę podamy za moją chorą córkę, Mirona za syna, wtedy wiadomo, po co lekarz i pielęgniarka. Ale co zrobić z tobą i twoimi drabami? Nie chcę słyszeć żadnego wystrzału, żadnego, zrozumiałeś? Natychmiast zabierz całą ochronę z terenu posiadłości, zostaw tylko tych, co są w lesie. Na szczęście ci pomyłeńcy nie wpadli na to, żeby oświetlić las. Na zewnątrz zostaw tylko psy.

Takiej nocy jak ta Wasilij nigdy przedtem nie przeżył. Okrzyki nie milkły do świtu, więc gdy wzeszło słońce, Wasilij Ignatjewicz miał nerwy w strzępach. Pierwszą osobą, na której się wyładował, był Miron, który również spędził bezsenną noc, nie rozumiejąc, co się dzieje, i o szóstej rano poprosił ochroniarza z pierwszego piętra, żeby go zaprowadził do Wasilija.

- Po co się pałetasz po willi?! - wrzasnął na niego Wasilij. - Nie możesz usiedzieć na miejscu?

- Co się dzieje, Wasiliju Ignatjewiczu? Kim są ci ludzie? Czego chcą? - z niepokojem zapytał Miron.

- Nie twoja sprawa! Nie pchaj się, gdzie nie trzeba. Do ciebie należy nauka dziewczyny, no to ją ucz. A teraz jazda stąd!

W południe napięcie sięgnęło zenitu. Panował niemal trzydziestostopniowy upał. Trzydziestu pięciu dorosłych silnych mężczyzn, którzy w normalnych okolicznościach powinni byli znajdować się wokół domu na świeżym powietrzu, siedziało w zamknięciu i snuło się bez zajęcia w duchocie. Najgorsze było to, że brakowało jedzenia. Zwykle po zakupy jeżdżono do Kutztów, Kosowa i Zabołotowa, czasem do Kołomyi. Wysyłano małą ciężarówkę i przywożono zapasy na tydzień. Mięso kupowano u zaufanych Hucułów, którzy ładowali tusze i za dodatkowe pieniądze o nic nie pytali i trzymali język za zębami. Warzywa również brano hurtem, a pozostałe rzeczy nabywano małymi partiami w różnych miejscach, żeby nie zwrócić na siebie uwagi dużymi sprawunkami. Zgodnie z harmonogramem transport po prowiant powinien być zostać wysłany wczoraj, ale nie zdążył wyjechać. A teraz zupełnie nie wiadomo, jak wybrnąć z sytuacji. Nawet jeżeli udałoby się przekonać demonstrantów, że trzeba jechać po zaopatrzenie, w drodze powrotnej skontrolują samochód i mocno się zdziwią, gdy zobaczą ogromne zapasy. Dla czterech osób to za dużo nawet na miesiąc. Trzeba będzie się jakoś wyłgać. Ale jak? Pięćdziesięciu facetów nie naje się powietrzem, potrzebują przynajmniej mięsa i chleba.

Koło czwartej po południu rozległo się wycie syreny milicyjnej. Tłum rozstąpił się wolno, przepuszczając mikrobus z kogutem na dachu. Auto zatrzymało się przy samej bramie. Wyskoczyli z niego dwaj milicjanci uzbrojeni w pistolety maszynowe, a w ślad za nimi wyładował swoje ociężałe, opasłe ciało zasapany mężczyzna w mundurze milicyjnym z naramiennikami majora. Nad tłumem natychmiast pojawiły się nowe transparenty, których Wasilij jeszcze nie widział: „Przecz ze sprzedajną władzą!”, „Precz z milicją, która żyje z naszych podatków i broni bandytów!”. Widocznie manifestanci przygotowali transparenty zawczasu, na wypadek gdyby milicja stanęła w obronie najemców. Przewidujące dranie, ze złością wyszeptał Wasilij. Gruby milicjant długo tłumaczył coś zebrany i

transparenty z obraźliwy- mi wyzwiskami powoli zniknęły.

Przedstawiciel władzy leniwie rozejrzał się wokół i zrobił kilka kroków w kierunku bramy.

- Przepuście go - rozkazał Wasilij ochronie.

Brama rozsunała się powoli, gruby major ruszył rozkołysanym krokiem ku domowi, a w ślad za nim wjechał mikrobus. Wasilij zszedł na parter, żeby powitać majora.

- Bałaganik, pan - zaczął bez wstępów major, zwracając się do Wasilija w zabawnej mieszaninie ukraińskiego i rosyjskiego. - Treba opuścić budynek.

- Dostaliśmy tydzień na zorganizowanie wyjazdu - zaproponował Wasilij. - Za tydzień nas nie będzie, może się pan nie martwić.

- Jakże to tak, ja nie mogę tyli czekać. Niech pan ba- czy, szczo robi się nawkoło? Nie treba meni bólu głowy. Zbyrajcie rzeczy i wyjeżdżajcie.

Major był zmęczony i spocony, z czerwoną, błyszczącą od tłuszczu twarzą, mówił bez pośpiechu i pewnym tonem, ani przez chwilę nie wątpiąc w swoje racje. Nie potrzebuje tego skupiska manifestantów na podległym mu terenie. Jeżeli coś się wydarzy, on za to odpowie i będzie musiał robić porządek. A jeśli dojdzie do rozruchów? Okolica jest cicha, spokojna, więc nie życzy sobie żadnych komplikacji. Jeżeli, nie daj Boże, do czegoś dojdzie, zwolnią go z pracy, a on jeszcze nie dosłużył się emerytury. A więc, panowie, zapomnijcie o tygodniu, który łaskawie wam podarowano, i bądźcie uprzejmi zabierać się z nielegalnie zajętego budynku.

Nie dosłużył się emerytury... Nagle Wasilija olśniło: to ich jedyna szansa. Nie na darmo major z niekłamana i źle skrywaną zawiścią zerkał na złotego roleksa na nadgarstku Wasilija. Jest chciwy i drażni go własna bieda.

- Zapraszam na obiad, panie majorze. Czym chata bogata - powiedział z gościnnym uśmiechem. - Niech pan wyświadczy nam grzeczność.

Gruby, czerwony na twarzy major przyjął propozycję z wyraźnym zadowoleniem. Z apetytem zjadł barszcz i nawet poprosił o dokładkę, a na duszoną baraninę rzucił się tak łakomie, jakby nie jadł przez pięć dni. Alkoholu, co prawda,

próbował odmówić, ale z chciwego błysku w małych oczkach, które od razu zrobiły się maślane na widok wyjętej z lodówki butelki izraelskiej wódki, Wasilij domyślił się, że gość nie będzie długo oponował. Tak się też stało.

Obiad podano w pokoju Wasilija. Po baraninie przyszła kolej na bliny i na ich widok major całkowicie zmiękł. Wasilij pomyślał, że chyba pora przystąpić do rzeczy.

Działał bardzo ostrożnie, mówił aluzjami, ale gruby major okazał się bystry, widocznie mózg jeszcze nie obrósł mu tłuszczem.

- Ile? - zapytał zniecierpliwiony, nie dosłuchawszy Wasilija do końca.

- Ile pan chce. Sam pan rozumie, że sprawa jest delikatna.

Major wymienił kwotę. Wasilijowi wydała się całkiem przyzwoita, więc od razu się zgodził.

- A więc tak. - Major otarł dłonią tłuste od blinów usta. - Będziemy wywozili małymi grupami, po pięć osób, więcej nie zmieści się w busie. To znaczy zmieści, jeżeli sadzać ciasno, ale szyby nie są przyciemniane, ludzie będą zaglądali do środka, a w środku nie powinno być nikogo prócz milicjantów. Twoich chłopców poupychamy między siedzeniami i nakryjemy czymś, żeby z wierzchu nie było widać. Pasuje?

- Oczywiście. - Wasilij gorliwie skinął głową. - Pan wie lepiej, jak to urządzić. Dokąd ich wywieziecie?

- Mnie wszystko jedno. Gdzie chcesz, tam ich wywieziemy. Tylko niedaleko, bo nie zdążymy. Kursów ile trzeba zrobić...

- Trzeba wywieźć gdzieś niedaleko trasy autobusów, na szosę. Stamtąd sami się wydostaną.

- W porządku. - Major kiwnął głową. - Zaraz zaczniemy.

Zerknął na zegarek.

- Do szosy to jakieś czterdzieści chywyln, z powrotem tyle samo, czyli razem godzina dwadzieścia. Teraz jest wpół do szóstej. Siódma... Wpół do dziewiątej... Jedenasta...

Liczył, ile kursów zdoła zrobić do północy, a Wasilij z niepokojem czekał na ostateczną odpowiedź. Zaraz pewnie powie, że wywozą tyle, ile zdążą przed nocą, a dalej już proszę wybaczyć. Jednakże major kontynuował swoje wyliczenia i

okazało się, że jest gotów pracować bez przerwy przez całą noc, żeby jak najszybciej dostać swoje pieniądze. W walucie, ma się rozumieć, a nie w karbowancach czy w rublach.

- Panie majorze - nieśmiało wtrącił Wasilij. - Mam pewien problem... Nawet nie wiem, jak to panu powiedzieć. Wśród osób, które trzeba wywieźć, znajduje się ciężko ranny człowiek. Raczej nie można przewieźć go tak, jak pan proponuje. Jest na wpół sparaliżowany i porusza się na wózku inwalidzkim.

- Nic nie szkodzi. - Major machnął ręką. - To nie problem. - Jedną ranną osobą damy radę wywieźć. Zabierzemy ją nocą, gdy niewiele widać. Chyba że macie więcej takich chorych?

- Nie, nie, tylko jednego - pospiesznie zapewnił Wasilij.

No i załatwione. Najważniejsze to wydostać się stąd, ukrywając przed cudzym wzrokiem liczną ochronę i chorą dziewczynę. Później Marat ją załatwi. I Mirona. Wasilij musi pamiętać, żeby powiedzieć Maratowi, że Mirona trzeba zakneblować i związać przed transportem, bo jeszcze zacznie wyrzaskiwać jakieś głupstwa w samochodzie.

- Czy w domu jest tylne wyjście?

- Oczywiście. Są nawet dwa. Jedno z nich to właz prowadzący do piwnicy. Wykorzystujemy go do ładowania prowiantu.

- No proszę. - Major się ożywił. - To rozumiem. Będziemy ładować samochód przez piwnicę. Samochód postawimy tak, żeby z boku nie było widać. Chodźmy popatrzeć, jak to wszystko jest urządzone.

Zeszli na parter, po czym wyszli z domu i obeszlą go dookoła. Właz do piwnicy znajdował się przy ścianie szczytowej, po przeciwnej stronie bramy. Co prawda demonstranci i tak mogli zobaczyć...

- Masz samochód? - zapytał major.

- Mam, i to niejeden.

- Podjedź tutaj i zasłoń właz ze wszystkich stron.

Dziesięć minut później trzy samochody stały wokół domu w ten sposób, że obserwator z zewnątrz nie mógł zobaczyć, jak przez właz wydostają się ludzie i wsiadają do milicyjnego mikrobusa. Minęło kolejne dziesięć minut i samochód z pierwszą partią ludzi opuścił teren posiadłości i powoli ruszył

przez tłum. Głośnik umocowany na dachu ożył, rozległ się stamtąd głos grubego majora. Tym razem mówił wyłącznie po ukraińsku:

- Szanowni panowie, proszę o zachowanie spokoju. Organy milicji będą pilnowały wykonania postanowienia sądu o wysiedleniu postronnych osób z domu dziecka. Osobiście odpowiadam za wasze bezpieczeństwo, więc proszę nie dopuszczać do rozruchów i innych naruszeń porządku. Średnio co dwie godziny będę przyjeżdżał, żeby się przyjrzeć, jak idzie wysiedlenie. Będę wchodził do budynku i pilnował, żeby majątku domu dziecka nie rozgrabiono i nie zniszczono. Możecie być spokojni. Jeszcze raz zwracam uwagę na konieczność zachowania porządku, a także podjęcia środków gwarantujących bezpieczeństwo pożarowe. Nie zostawiajcie palących się ognisk bez nadzoru i nie rozpalajcie ich tuż przy ścianie lasu.

Samochód przedarł się przez tłum, gwałtownie przyspieszył i zniknął z pola widzenia. Wasilij odetchnął. Ten major to niegłupi facet. No cóż, chyba się wszystko ułożyło. Pieniądze potrafią jednak zdziałać cuda.

Mironowi nie udało się zobaczyć dzisiaj Nataszy. Po porannej utarczce z Wasilijem wrócił do swego pokoju. Czekał, aż otrzyma śniadanie i będzie mógł iść do Nataszy, ale wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Ochroniarz, który przyniósł śniadanie, nie wyszedł jak zwykle z pokoju, lecz podszedł do okna, zaciągnął zasłony i bez słowa usiadł w fotelu przy drzwiach. Miron postanowił udawać, że nic szczególnego się nie dzieje, spokojnie zjadł śniadanie i wstał od stołu.

- Idziemy? - powiedział pytająco.

- Dzisiaj zajęć nie będzie.

- Dlaczego?

- Rozkaz.

Miron już dawno zrozumiał, że ochrona jest tutaj małymówna, więc nie ma sensu zadawać pytań, bo i tak niczego się nie dowie.

- Co mam robić przez cały dzień?
- Siedzieć tutaj.
- Może w dodatku razem z tobą? - zapytał kpiąco.
- Taki rozkaz.

Serce Mirona ogarnął niepokój. Wokół willi coś się działo, od wczoraj gromadzili się ludzie wykrzykujący hasła, których nawet bujna wyobraźnia nie pozwalała zinterpretować jako przyjaznych i życzliwych. Miron próbował się czymś zająć, poczytać albo się przespać, ale jego myśli wciąż powracały do tłumu za ogrodzeniem. Skąd on się wziął? Może to wynik starań, które podjęli z Nataszą, żeby nawiązać kontakt z Moskwą? A jednak co się tam dzieje?

Dzień włókł się wolno w bolesnym oczekiwaniu. Obiad i kolację przyniesiono Mironowi jak zwykle do pokoju. Nadeszła noc, ale ochroniarz nie ruszył się z miejsca, nadal w milczeniu tkwił przy drzwiach, więc Miron również się nie położył. Koło trzeciej w nocy pojawił się jeszcze jeden brodacze z automatem przewieszonym przez pierś.

- Idziemy - rozkazał.
- Dokąd?
- Nie zadawać pytań. Idź za mną.

Ochroniarz siedzący przy drzwiach również wstał i ruszył za nimi. Zeszli na parter, po czym przemierzili korytarz i dotarli do otwartych stalowych drzwi, za którymi zaczynały się schody prowadzące w dół. Miron odwrócił się przestraszony i napotkał niewzruszone spojrzenie podążającego za nim ochroniarza.

- Dokąd mnie prowadzicie?
- Idź. Nie zadawać pytań.

Patrząc pod nogi, Miron zaczął schodzić po stopniach. Prowadzą go do piwnicy. Czyżby to koniec? Wiedział, że prędzej czy później go załatwią, ale nie sądził, że wszystko odbędzie się tak szybko i gładko. Z jakiegoś powodu wyobrażał sobie, że najpierw Wasilij przeprowadzi z nim długą rozmowę. Albo może będą go bili... W każdym razie nie w ten sposób: wstawaj, idziemy do piwnicy. Miron był nawet pewien, że pozwolą mu pożegnać się z Nataszą, chociaż nie potrafiłby wyjaśnić, na czym tę pewność opierał.

Gdy tylko dotknął nogą podłogi, chwyciły go mocne dłonie, a usta błyskawicznie zaklejono mu plastrem. Ręce związane z tyłu sznurkiem. Przed sobą zobaczył otwartą klapę wjazdu prowadzącego na zewnątrz. Dwaj ochroniarze wzięli go pod ręce i pociągnęli w stronę wjazdu. Na zewnątrz Miron zobaczył jeszcze dwóch, którzy pomogli mu wydostać się z piwnicy i wsiąść do busa.

Strach i zaskoczenie odebrały mu zdolność myślenia, więc posłusznie poddał się rozkazowi, gdy polecono mu usiąść na podłodze między siedzeniami. Zdążył jedynie dostrzec kierowcę, dwóch mężczyzn z pistoletami maszynowymi i jakiegoś grubasa. Wszyscy byli w milicyjnych mundurach. Mirona przykryto plandeką przesiąkniętą zapachem benzyny i jeszcze czegoś nieprzyjemnego. Od tego zapachu zaczęły mu łzawić oczy i poczuł szczypanie w nosie.

- Siedzieć cicho - usłyszał głos z góry. - Nie wiercić się, nie rozmawiać i w ogóle nie robić hałasu.

Miron niczego nie widział spod plandeki, ale na podstawie dobiegających odgłosów domyślił się, że między pozostałymi siedzeniami umieszczano inne osoby. Wreszcie drzwi samochodu się zatrzasnęły i rozległ się warkot silnika.

Początkowo samochód jechał bardzo wolno, później gwałtownie przyspieszył i zaczęło nim rzucać na nierównej drodze. Miron wciąż uderzał głową o coś ostrego i metalowego. Ciało skurczone w niewygodnej pozycji, z wykręconymi do tyłu rękami, szybko zdrętwiało. Od strony kierowcy dolatywały niewyraźne urywki rozmowy. Rozmawiano półgłosem.

Miron z napięciem wsłuchiwał się w słowa, próbując coś zrozumieć.

- Ganusia da mi popalić, że nie nocowałem...

- Daj spokój, za takie pieniądze...

- Ja dostanę pieniądze, a ona co? Muszę wymyślić jakieś kłamstwo...

- Wymyślisz, to żadna sztuka...

Rozmowa dotyczyła tematów, które dla Mirona były niezrozumiałe albo go nie interesowały. Mężczyźni zastanawiali się, w jakim miejscu najlepiej zbierać grzyby, mówili o

krewnych Ganusi, którzy wkrótce będą zabijać wieprza i liczą na pomoc, o awansowych knowaniach jakiegoś Ostapczuka, który ma chrapkę zakończyć służbę nie w Użhorodzie, ale przynajmniej w Charkowie albo jeszcze lepiej w Kijowie.

Samochód łagodnie zwolnił i powoli zaczął hamować. Nagle Miron nawet przez plandekę, którą był przykryty, zauważył, że oświetlenie gwałtownie się zmieniło.

- Koniec drogi, moi państwo. Przyjechaliśmy, wyłazić - rozległ się ten sam głos, który na początku kazał im siedzieć cicho, nie wiercić się i nie rozmawiać.

Miron niezręcznie spróbował się podnieść, ale zdrętwiałe nogi go nie słuchały, a pomóc sobie rękami nie był w stanie. Nagle ogarnęła go niemal dziecinna nadzieja, że o nim zapomną, zostawią go w tym busie, a później ktoś go stąd wypuści. Może jednak mu się powiedzie? Znieruchomiał w niewygodnej pozycji, wciągnął głowę w ramiona i wstrzymał oddech, żeby przykrywająca go wstrętna, śmierdząca plandeka się nie poruszała. W tym momencie rozległ się donośny głos przez megafon:

- Wychodzić pojedynczo! Broń zostawić w busie! Ręce za głowę! Strzelamy bez uprzedzenia.

Wpadli! Schwytano ich! Z radości Miron chciał krzyknąć, ale usta miał mocno zaklejone plastrem, więc udało mu się wydać jedynie cichy, zdławiony pomruk, którego raczej nikt nie usłyszał. Teraz myśl, że o nim zapomną, nie zauważą w ciemnym wnętrzu samochodu pod brudną plandeką, wydała mu się straszna i wzbudziła panikę. Nabrał więcej powietrza do płuc i znowu krzyknął, z całej siły kręcąc głową i próbując zwrócić na siebie uwagę. Tuż koło niego rozległy się kroki, ktoś zerwał szarpnięciem plandekę, wyciągnął go z ciasnej przestrzeni pomiędzy siedzeniami i postawił na nogi. Miron zachwiał się, ścierpnięte nogi nie chciały go utrzymać, ale stojący obok mężczyzna nie pozwolił mu upaść i popchnął ku drzwiom.

Miron zobaczył, że bus stoi na lotnisku, tym samym, na które przyleciał dwa tygodnie temu. Cały teren był zalany jaskrawym światłem i wszędzie znajdowali się uzbrojeni mężczyźni w

mundurach specnaz. Tych, którzy wysiadali z busa, prowadzono do stojącego nieopodal samolotu. Wszyscy byli już w kajdankach.

Do Mirona podszedł mężczyzna średniego wzrostu, z wysokimi zakolami i poważnymi oczami. Gwałtownym ruchem zerwał plaster, po czym surowo zapytał:

- Nazwisko?

- Asłan-bek Ucijew.

- Czecheniec?

- Jestem Inguszem. To znaczy niezupełnie... ja...

- Dlaczego z plastrem i związany?

- Nie wiem. Pewnie Wasilij bał się, że zacznę krzyżeć.

- Zakładnik?

- Nie, ja...

- A więc ochroniarz? - przerwał mężczyzna.

- Skądże - pospiesznie powiedział Miron, bojąc się, że zostanie uznany za jednego z podwładnych Wasilija. - W ogóle nie jestem z nimi. Przywieziono mnie, żebym uczył Nataszę.

- Czego uczył?

- Matematyki i fizyki. Niech pan posłucha, tam jest Natasza, całkiem bezbronna, na wózku. Proszę ją uratować.

- Zorientujemy się - krótko odparł mężczyzna. - Ilja, tego na pokład pięćdziesiąt siedemnaście.

Mironowi rozwiązano ręce, ale od razu na jego nadgarstkach zatrzasnęły się kajdanki. Wszystkich ochroniarzy, którzy przyjechali razem z nim, ładowano do samolotu. Nieco dalej stał jeszcze jeden samolot, mały kukuruźnik z numerem 5017 na boku, do którego zaprowadzono Mirona. W środku od razu dostrzegł tamtego grubego milicjanta z mikrobusa. Mężczyzna z zakolami wspiał się na pokład w ślad za Mironem.

- No co, Pietrowicz, jesteś gotów do drogi?

Gruby milicjant zdjął czapkę i dużą chustką otarł spocone czoło.

- Zaraz, Saszko, daj jeszcze pięć minut odsapnąć.

- Później odsapniesz, Pietrowicz, później. Wasilij Ignatjewicz nie może się ciebie doczekać. Nie wolno go denerwować. Jak sądzisz, kiedy zamierza wysiać dziewczynę?

- Myślałem, że wysła ją z tą partią. Mówiłem mu przecież, że jak się całkiem ściemni, można wywozić.

- Wymyśl coś, żeby go przycisnąć.

Milicjant ciężko wstał i ruszył w stronę trapu.

- Wymyślę po drodze. A to co za jeden?

Machnięciem dłoni pokazał na Mirona.

- Mówi, że student, że uczy! Nataszę.

- Student, mówisz? - Pietrowicz uśmiechnął się tak nieprzyjemnie, że Mironowi zrobiło się nieswojo, jakby był czemuś winien.

- Naprawdę jestem studentem - powiedział szybko, jak gdyby się usprawiedliwiając. - Nie miałem pojęcia, co tam się dzieje. Powiedziano mi, że mam pomóc dziewczynie, że chodzi o coś w rodzaju korepetycji, że sobie dorobię. O niczym nie wiedziałem, przysięgam.

- A kto cię tam, bratku, wysłał? - tym samym kpiącym tonem zapytał milicjant.

- Ojciec.

- A kim jest ojciec?

- To pułkownik Ucijew ze sztabu Karpackiego Okręgu Wojskowego.

- Jasne - wycedził Pietrowicz. - Poważna sprawa. No to co z dziewczyną?

- Trzymają ją w pokoju na drugim piętrze. Pokój jest na podsłuchu, a może zainstalowali tam również kamerę. Proszę, zabierzcie ją jak najszybciej. Ona jest tam sama, nie rozumie, co się dzieje, i pewnie odchodzi od zmysłów ze strachu.

- Dobrze, Pietrowicz. - Mężczyzna, który przyprowadził Mirona do samolotu, machnął ręką. - Rzeczywiście pora na ciebie. A my tu sobie porozmawiamy z synem pułkownika Ucijewa ze sztabu okręgu.

Taszkow nie spał już trzecią noc i co pewien czas czuł, że traci jasność umysłu i przestaje cokolwiek kojarzyć. Niezawodny Piotr Pietrowicz zrobił już osiem kursów do willi, udając tępego, sprzedajnego gliniarza, który za okrągłą sumkę zgodził

się wywozić mieszkańców małymi partiami. Dostarczonych na lotnisko ludzi od razu wysyłano samolotem do Czernowców, bo było to bliżej, niżby ich wieźć do Lwowa albo Użhorodu. Do chwili przyjazdu busa z kolejną partią ochroniarzy mały kukuźnik był już z powrotem, żeby zabrać następnych. Na razie wszystko szło zgodnie z planem: cicho, spokojnie, bez rozlewu krwi i strzałów. Wszystko poza jednym: z jakiegoś powodu do tej pory nie wywieziono Nataszy. Co się z nią stało? Czyżby Wasilij zaryzykował i postanowił ją zgładzić? To by oznaczało, że cała operacja była niepotrzebna.

Aleksander siedział na pokładzie samolotu 5017 i w oczekiwaniu na następny przyjazd busa przesłuchiwał Asłanbeka Ucijewa. Chłopak mu się właściwie podobał, nie wyglądał na członka bandy. Ale z drugiej strony, był synem pułkownika Ucijewa, a według danych ukraińskich wywiadowców Ucijew utrzymuje aktywne kontakty z czeczeńskimi separatystami. Co prawda na niczym go nie przyłapano, mimo to...

- Jaką rolę odgrywa twój ojciec w tej sprawie?

- Nie wiem dokładnie, ale przyjechał specjalnie, żeby mnie uprzedzić, że mam bezwzględnie słuchać Wasilija.

- Dlaczego tak powiedział? Dałeś im powód?

- Zauważyli, że lituję się nad Nataszą.

- A ty rzeczywiście litowałeś się nad nią?

- Tak. Dziewczyna jest wspaniała. Razem zrobiliśmy wszystko, żeby was powiadomić. Domyśliliście się?

- Oczywiście. Oboje jesteście bardzo dzielni.

- Aleksandrze Nikołajewicz...

-Tak?

- Boję się o nią. Dlaczego Wasilij jej nie wysłał?

-I ty mnie o to pytasz? Sam pomyśl i mi powiedz. Przecież lepiej znasz i Nataszę, i Wasilija, i sytuację tam, na miejscu. W czym tkwi haczyk?

- Wiem - powiedział wzburzony Ucijew. - Chodzi o lekarza. Wasilij boi się wysłać Nataszę bez lekarza. Pewnie jest jakiś powód, dla którego lekarz nie może na razie wyjechać. Dlatego nie wypuszczają również Nataszy.

Taszkow zamyślił się przez chwilę. Chłopak chyba ma rację.

Nataszy nie wypuszczą, póki nie wyjedzie lekarz. A lekarz nie wyjedzie, póki... Póki co? Póki piorun nie trzaśnie i chłop się nie przeżegna? Jak rak śwśnie, a ryba piśnie?

Lekarz nie pojedzie, póki Wasilij nie skontaktuje się z Ajaksem i nie otrzyma od niego instrukcji. A z Ajaksem na razie nie może się skontaktować. I nie będzie mógł jeszcze bardzo długo. Ponieważ Ajaks został aresztowany, gdy tylko na lotnisku w Kołomyi pojawiła się pierwsza partia ochroniarzy z willi i potwierdziło się, że Wasilij połknął przynętę, zrećźnie podsunętą mu przez Pietrowicza.

Taszkow wyskoczył z samolotu i popędził do budynku lotniska.

W porannej ciszy zgrzyt zasuwki wydał się szczególnie nieprzyjemny. Ajaks nie spał, mimo to drgnął na skutek nieoczekiwanego hałasu. Znajdował się w celi sam, ale nie było w tym nic dziwnego, bo choć w więzieniach i izolatkach panuje przepełnienie, aresztowani tego formatu są początkowo izolowani. Przynajmniej przez pierwszą noc.

- Wstać - rozkazał dyżurny, który wszedł do celi.

- Nie ma jeszcze siódmej - beznamiętnie odparł Ajaks. - Nikt nie ma prawa mnie przesłuchiwać.

- Powiedziałem: wstać!

Ajaks powoli, jak gdyby niechętnie, wstał i zaczął wciągać buty. Otwierając parę razy po drodze kraty, dyżurny zaprowadził go korytarzem do jakiegoś pokoju, w którym siedziało trzech mężczyzn. Dwóch było po cywilnemu, a jeden w mundurze. Na biurku Ajaks zobaczył telefon komórkowy. Swój telefon.

- Przez cały wieczór i całą noc ktoś próbował się do pana dodzwonić. Nie chce pan porozmawiać z abonentem?

-Nie.

- Jak pan sądzi, kto może do pana bez przerwy wydzwaniać?

- Ktokolwiek. Ten numer mają dziesiątki moich przyjaciół. Zerwał mnie pan o świcie, żeby zaproponować pogawędkę przez telefon?

- Doceniam pańskie poczucie humoru - zimno odparł mężczyzna w mundurze. Ajaks przypomniał sobie, że brał udział w aresztowaniu i pierwszym przesłuchaniu, ale nie mówił i w ogóle nie przejawiał żadnej aktywności. - Chcę panu przypomnieć, że w Karpatach znajduje się porwana przez pana Natasza Tieriochiną. Osobiście odpowiada pan za jej życie. Jeżeli uda się panu przywieźć ją całą i zdrową do Moskwy, będziemy rozmawiali. Jeżeli zaś coś jej się stanie, rozmowa przybierze zupełnie inny obrót. Dlatego chciałbym, żeby odebrał pan telefon i porozmawiał. Ma się rozumieć, spokojnie i bez głupstw.

- Dlaczego pan sądzi, że telefon jest związany z tą sprawą? Może dzwoni moja żona, która wypoczywa za granicą.

- Możliwe - przyznał mężczyzna w mundurze. - Tak czy inaczej, będzie lepiej, jeżeli pan odbierze. Zresztą bardzo wątpię, żeby pańska żona tak uparcie wydzwaniała do pana przez całą noc. Raczej to pański przyjaciel Kokowcew, który przebywa w willi w Karpatach. Ma tam problemy, wspominałem już panu o tym. Więc lepiej niech pan zrobi to, o co proszę. W przeciwnym razie nie pozostanie mi nic innego, jak pana do tego zmusić.

- W jaki sposób? - Ajaks dumnie uniósł brwi. - Będziecie mnie bili i torturowali?

- A jak pan myślał? - Nagle do rozmowy włączył się jeden z mężczyzn po cywilnemu. - I bili, i torturowali. Ale przede wszystkim przekonywali. Po aresztowaniu rozmawialiśmy z panem dość długo i miał pan możliwość się przekonać, że sporo o panu wiemy. Nie ma sensu marzyć o wolności, ponieważ na wolności przyjaciele dopadną pana tak szybko, że nie zdąży się pan obejrzeć. Dopadną pana nawet w areszcie śledczym należącym do MWD. Sam pan wie, jakie panują tam zwyczaje, w dodatku strażnicy są sprzedajni, więc pańscy przyjaciele raz, dwa pana dorwą. Pańska jedyna nadzieja to nasza izolotka. Warunki są tutaj lepsze i co nie bez znaczenia, mamy pewniejszych strażników. Ale tutaj możemy pana trzymać tylko pod warunkiem, że będzie się toczyło przeciwko panu śledztwo. Jeżeli natomiast będziemy razem z panem

udawali, że FSB nic na pana nie ma, automatycznie przejmie pana MWD i trafi pan do Butyrek. Tam zaś wszystko panu przyczepią: i Aniskowiec, i Olega Żesterowa, a nawet Romanowską. Ale przede wszystkim zakonnicę i pielęgniarkę. W zabójstwach pierwszych trzech osób uczestniczył pan tylko jako ideolog i organizator, ale zakonnicę i pielęgniarkę udusił pan własnoręcznie. Wciąż łamaliśmy sobie głowę, jak one pozwoliły panu się do siebie zbliżyć i nawet nie krzyknęły. A wszystko okazało się proste. Doskonale pana znały i ufały panu. Ala Myrikowa odbywała u pana praktykę na ostatnim roku studiów pielęgniarskich. Nawiasem mówiąc, chodzą słuchy, że w tamtym czasie często widywano, jak się pan z nią zamykał w swoim gabinecie. No a o siostrze Marfie nawet nie ma co mówić, codziennie pracowała z panem ramię w ramię. No to jak, Siergieju Lwowiczu, będziemy odbierali telefony? Czy pojedziemy do Butyrek? Ale niechże pan sobie przysiądzie, nogi pana rozbolą, zwłaszcza o tak wczesnej porze.

Gułanow usiadł na podsunętym mu krześle. Mają rację, już się nie wywinie. Organizacja jest zbyt potężna i za dużo ma na sumieniu, żeby mógł na coś liczyć. Zawsze mu się wydawało, że stanowisko ordynatora w domu opieki i spokojnej starości uchroni go przed podejrzeniami. Przez długi czas prawdopodobnie tak właśnie było. Szukano nieuchwytnego Ajaksa, sądząc, że musi to być jakiś groźny mafioso, rozbijający się wypasioną bryką i szastający pieniędzmi na prawo i lewo, z ochroniarzami przy boku. No cóż, wszystko ma swój czas. Używał życia, robił, na co miał ochotę, zabezpieczył i matkę, i żonę z synem. Zaspokoił też ambicję, przeprowadzając zuchwałę i kosztowne operacje.

Zawsze, od chwili gdy ojciec przekazał mu interes, wiedział, że prędzej czy później wszystko się skończy, i to nie spokojnym pożegnaniem na łożu śmierci, ale właśnie tak brutalnie, w niesławie, z aresztowaniem, zarzutami i przesłuchaniami. Był na to przygotowany.

Życie wydawało mu się jałowe i nudne, więc wnosił w nie to, co sprawiało, że stawało się ciekawe i kolorowe, dodawało pikanterii i wywoływało poczucie nieustannego ryzyka.

Potrzebował nie tyle pieniędzy, ile świadomości własnej potęgi i nietykalności, sprytu, chytryści, rozmachu...

Leżący na biurku telefon zabrzączał. Nie zastanawiając się dłużej, Gułanow wyciągnął rękę i sięgnął po słuchawkę.

- Tak, słucham. Tak... Brawo, spisałeś się. Doceniam to. Niech jedzie, tutaj go ktoś odbierze. Sam go zawieziesz do Lwowa? No dobrze, a tutaj wszystko załatwimy. Wszystko rozumiem, nie ma w tym twojej winy, z Ochri- mienką sam się później porachuję. Co? Nie, na razie nie trzeba, sytuacja się zmieniła. Ulokuj ją gdzieś na parę dni, odstaw gościa do Lwowa, a później skontaktuj się ze mną, to powiem ci, co trzeba zrobić. Do roboty, Wa- sia, powodzenia.

Gułanow odłożył komórkę na biurko.

- Teraz jesteście zadowoleni?

- W zupełności - żywo odparł mężczyzna w mundurze. - Może pan iść się zdrzemnąć, przez najbliższe trzy godziny raczej nikt pana nie będzie niepokoił.

Ajaks wrócił do celi i wyciągnął się na pryczy, podłożywszy ręce pod głowę. Operacja z wynalazkiem Wołochowa była najciekawsza, ponieważ pochłonęła najwięcej czasu. Kiedyś studiował razem z Walerką Wo- lochowem i nieraz wysłuchiwał jego bzdurnych pomysłów dotyczących stworzenia nadczołowieka. Jednakże w tamtych czasach to słowo budziło niedobre skojarzenia, więc niedługo potem Wołochow zaczął się wypowiadać ostrożniej, mówiąc o ludziach obdarzonych wyjątkowymi walorami fizycznymi i intelektualnymi. Śmiano się z niego i tyle.

Po otrzymaniu dyplomu ich drogi się rozeszły. Wołochow zajął się praktyką lekarską i nauką, a Siergiej Gułanow, mając na koncie aktywną komsomolską działalność, wybrał karierę w administracji. Odgłosy skandalu, gdy na Radzie Naukowej Wołochowa dosłownie starto w proch razem z jego pomysłami korekcji radiologicznej płodu we wczesnych stadiach ciąży, dotarły oczywiście do Gułanowa, ale wtedy jeszcze nie myślał o tych sprawach. Sześć lat temu rozpoznał dawnego kolegę ze studiów w mężczyźnie, który pojawił się w domu opieki i dowiadywał się o Galinę Tieriochinę, pacjentkę cierpiącą na

zanik pamięci wskutek urazu czaszkowo- mózgowego. Właśnie wtedy Siergiej Lwowicz zrozumiał, że Walerka Wołochow nie zarzucił swoich pomysłów.

I wtedy przyszło mu do głowy, że mógłby je wykorzystać.

Sześć lat żmudnej pracy, sześć lat uważnej obserwacji Wołochowa, jego kobiet i dzieci. Gdy Ira wyprowadziła się z internatu i zamieszkała sama, Gułanow pomyślał, że byłoby dobrze mieć ją stale na oku. Ira zaczęła wynajmować pokoje, a prawie rok później jeden z pokoi zajął doktor Wołochow, co Gułanow uznał za niebywałe szczęście. Wszystko się układa, sukces sam pcha się do rąk, więc byłoby głupio tego nie wykorzystać. Ajaks od razu dołożył starań, żeby w drugim wynajmowanym pokoju mieszkali wyłącznie jego ludzie. W ten sposób Ira i jej tatuś znaleźli się pod kontrolą. Siergiej Lwowicz miał niezły ubaw, gdy meldowano mu o telefonicznych rozmowach, które prowadził Gieorgij Siergiejewicz! Ach, jak Ojciec się starał, jak wyłaził ze skóry, żeby uwiarygodnić swoją historyjkę o rozwodzie oraz zamianie mieszkań, i plótł niestworzone brednie do milczącej słuchawki telefonu.

Operacja była oczywiście długofalowa i gdyby nie stara Aniskowicz, wszystko przebiegłoby sprawnie i bez pośpiechu. Ona się jednak wtrąciła, stara wiedźma, wściubiająca wszędzie swój nos, i wszystko poszło nie tak. Szkoda. Ale na to już nic się nie poradzi.

Nie, nie wstydzi się swojego życia. Zdążył się nim nacieszyć do woli. Nawet wyjazdy do znieawidzonego Wiecznego Miasta Rzymu przynosiły mu upragnione poczucie błęgiego ryzyka. Bez niego się dusił, a nawet miał wrażenie, że zaczyna się starzeć w oczach. Ładnie sobie pożył. Odejść też musi ładnie. Nikt go nie będzie niepokoił jeszcze przez trzy godziny. To w zupełności wystarczy. Nasi przedpotopowi detektywi nie nauczyli się jednak przeszukiwać zatrzymanego. I całe szczęście.

Gdy tylko rozległ się warkot nadjeżdżającego busa, Taszkow rzucił się w jego stronę. Najpierw konieczne rozkazy:

- Wychodzić pojedynczo!
- Broń zostawić w autobusie!
- Ręce za głowę!
- Strzelamy bez uprzedzenia!

Aleksander siłą woli powstrzymywał się, żeby nie wpaść do środka. Nie wolno mu tego zrobić, póki znajduje się tam choć jeden uzbrojony bandyta. Na stopniach ukazał się smagły mężczyzna, który nie przypominał Europejczyka. Taszkow domyślił się, że to właśnie jest ten zagraniczny lekarz, o którym mówił Asłan-bek Ucijew. To znaczy, że Natasza również powinna tu być. W ślad za smagłym cudzoziemcem z autobusu wyrzwał Pietrowicz i machnął ręką.

- Zabieraj dziewczynę, Saszko.

Natasza siedziała na podłodze. W blasku światła lotniska dało się zauważyć jej zastygłe z przerażenia ogromne, jasne oczy. Aleksander nachylił się i uniósł ją lekko jak piórko.

- Już dobrze, kochanie - mówił łagodnie, niosąc ją do samolotu. - Wszystko się skończyło. Przyjechaliśmy po ciebie. Jesteś bardzo mądra, Nataszeńko. Niesamowita. Już nie masz się czego bać, wszystko w porządku. Wszystko się skończyło.

- A Miron? - raptem zaszemrał jej głosik przy samym uchu Taszkowa. - Co z nim?

- Kto to jest Miron?

- Miron. Uczył mnie. Gdzie on jest?

- Czy to nie Asłan-bek cię uczył?

Taszkow zatrzymał się i uważnie spojrzał na dziewczynę.

- Niczego nie poplątałaś?

- Nie.

Taszkow zwolnił kroku. Coś się nie zgadza. Czyżby chłopak kłamał? Chyba nie, wszystko odbyło się tak, jak mówił. Nataszę przywieziono razem z lekarzem zaraz po tym, jak Wasilijowi pozwolono skontaktować się z Ajaksem. Aleksander podniósł głowę i zobaczył twarz Asłan-beka przyciśniętą do iluminatora.

- Przyjrzyj się. - Odwrócił się, żeby Natasza widziała iluminator. - Czy to on cię uczył?

- Miron! - nagle krzyknęła Natasza tak głośno, że Taszkow omal nie ogłuchł. - Miron!

Taszkow ledwie zdążył odsunąć się od trapu, bo chłopak zwałiby go z nóg. Ucijew wyskoczył z samolotu i wyrwał mu z rąk Nataszę. W zapamiętaniu całował jej policzki, oczy, usta, tulił do siebie, kołysząc jak do snu.

- Udało nam się! Udało! Udało!

Wychodząc z prokuratury miejskiej po kolejnym przesłuchaniu u śledczego Olszańskiego, Walerij Wasiljewicz Wołochow natknął się przed budynkiem na Wierę Żesterową. Jej twarz wydała mu się dziwna i nienaturalna. Nigdy przedtem Wiera nie spoglądała tak nieobecny wzrokiem.

-Wciąż jeszcze ciągną cię w sprawie Olega? - zapytała obojętnie.

-Tak.

Był zadowolony, że może zasłonić się śmiercią męża Wiery i nie omawiać z nią prawdziwych powodów wezwań do prokuratury. Wiera zerknęła na złoty zegarek.

- Mam jeszcze pół godziny, wezwano mnie na wpół do czwartej. Przejdźmy się - zaproponowała.

Nie spiesząc się, ruszyli ruchliwą ulicą. Nie mieli o czym rozmawiać. Nagle Wiera powiedziała:

- Co za okropna duchota. Przez te samochody zupełnie nie ma czym oddychać. Skręćmy w jakieś podwórko, posiedzimy na ławce.

Szybko znaleźli podwórko. Jednakże Wierze się nie spodobało, nie było tam cienia, a wokół piaskownicy uganiały się z krzykiem dzieci.

- Boże, co za straszny upał - wyjęczała. - Żeby chociaż przez kilka minut zażyć chłodu. Może wejdziemy do bloku?

Wołochow w milczeniu wzruszył ramionami. W zasadzie Wiera ma rację, na klatce schodowej na pewno jest chłodno i cicho. Otworzyli pierwsze z brzegu drzwi i wspięli się na półpiętro. Było tam rzeczywiście chłodno i cicho, unosił się tylko intensywny zapach smażonych ziemniaków i ryby. Wiera oparła się o parapet i zaczęła wpatrywać w okno, odwrócona do Wołochowa plecami. Później otworzyła torebkę i zaczęła czegoś

w niej szukać. Patrząc na jej zeszywniałe plecy, Walerij Wasiljewicz pomyślał, że pewnie płacze i próbuje znaleźć chusteczkę do nosa. Gdy Wiera odwróciła się do niego, nawet nie zorientował się, co się dzieje. Najpierw poczuł palący ból w klatce piersiowej, a dopiero później usłyszał huk wystrzału.

- Drań - powiedziała Wiera z kamiennym wyrazem twarzy. - Gnojek, przez ciebie warto pójść do więzienia.

Rzuciła pistolet na stopnie i powoli zaczęła schodzić na dół. Gasnąca świadomość pozwoliła jeszcze Wołochowi się zdziwić, dlaczego na korytarz nie wypadł żaden z mieszkańców, przecież odgłos wystrzału był ogłuszający...

I znowu wszystko potoczyło się jak dawniej. Ira wstawała o piątej rano i szła sprzątać ulicę. Później myła schody w piętnastopiętrowym wieżowcu. Biegła na bazar. Wieczorami pracowała w Glorii. Natasza wróciła do szpitala, tego co dawniej, nawet do tego samego pokoju. Tylko lokatorów już nie było. A raczej był jeden, przystojny brunet, który w dowodzie osobistym miał wpisane imię Aslan-bek, ale z jakiegoś powodu nazywano go Mironem. Nie płacił za mieszkanie, bardzo ciężko pracował i oddawał Irze pieniądze. Co do kopiejki.

- Najpierw zbierzemy na Pawlika - mówił - a później na nagrobek dla twojego ojca. Później Natasza skończy instytut, znajdę jej pracę, zabierzemy ją do domu i będziemy żyli o wiele lepiej. Wytrzymaj tylko jeszcze trochę, dobrze? Będziemy żyli o wiele lepiej, obiecuję.

Więc Ira wierzyła.

Raz w tygodniu odwiedzała ją Zoja z Taszkowem, z tym Taszkowem, który oddał wszystkie swoje pieniądze, żeby uratować Nataszę. Ira nie wiedziała, gdzie oboje posadzić i czym poczęstować. Wydawało jej się, że nigdy nie zdoła odwdziżyć się temu mężczyźnie. Tak się cieszyła, że Zoja zdecydowała się urodzić dziecko!

Będzie miała braciszka albo siostrzyczkę, będzie zabierała malca na spacer, bawiła się z nim w chowanego albo w berka, odbierała z przedszkola. I może będzie mogła zaprowadzić go

kiedyś po raz pierwszy do szkoły. Bo Pawlika już pewnie nie zaprowadzi.

Będzie miała rodzinę składającą się nie tylko z inwalidów. Będzie w niej Miron, Zoja i jej dziecko, a nawet chyba Taszkow. Wszystko się ułoży, musi tylko ciężko pracować i bardzo mocno wierzyć.

Więc Ira wierzyła.

*czerwiec-sierpień 1996,
Moskwa*

Przekład: Aleksandra Stronka

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Małgorzata Denys
Korekta: Justyna Pogorzelska, Natalia Kraszewska
Adiustacja: Joanna Duchnowska

Projekt okładki i stron tytułowych: Sandra Dudek
Fotografia na okładce:
© Rynio Productions / shutterstock.com

Skład i łamanie: Małgorzata Krzywicka - Tekst

Druk i oprawa: Lega, Opole

Książkę wydrukowano na papierze Creamy 70 g/m², vol. 2.0
dostarczonym przez **zing**

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2632-2



Właścicielka cennej kolekcji obrazów, Jekatierina Aniskowicz, zostaje brutalnie zamordowana w swoim mieszkaniu. Po drobiazgowym dochodzeniu okazuje się, że nie było to zabójstwo na tle rabunkowym. Brak motywu, brak świadków, brak punktu zaczepienia – nic dziwnego, że śledztwo nie posuwa się ani o krok.

Tymczasem Nastia Kamieńska odkrywa, że Aniskowicz mogła znać powód, dla którego sześć lat wcześniej niejaka Galina Tieriochina usiłowała zabić czwórkę swoich dzieci i popełnić samobójstwo. W poszukiwaniu ogniwa łączącego obie sprawy Nastia odwiedza Tieriochinę, która po wypadku straciła pamięć i przebywa w domu opieki. Niebawem dochodzi tam do ...morderstwa.

w
ab
two

KSIAŻKA DOSTĘPNA RÓWNIEŻ JAKO E-BOOK

ISBN 978-83-280-2632-2



9 788328 026322

Cena sugerowana 39,99 zł

www.gwfoksal.pl

lesiojot